

A snowy winter landscape with a path of blood. The scene is misty and cold, with evergreen trees in the background and a path of blood leading through the snow in the foreground.

Steffen
JACOBSEN

Trofeum

Steffen Jacobsen

Trofeum

Tłumaczenie Edyta Stępkowska
Saga

Trofeum

Tłumaczenie Edyta Stępkowska

Tytuł oryginału *Trofæ*

Język oryginału duński

Copyright © 2023 Steffen Jacobsen i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788727060729

www.sagaegmont.com

Nic nie może się równać z polowaniem na człowieka. Dla tego, kto przez dłuższy czas ścigał uzbrojonych ludzi i kto się w tym rozsmakował, wszystko inne już zawsze będzie jałowe.

Ernest Hemingway [1]

Prolog

*Finnmark, północna Norwegia
24 marca 2010, godz. 18:35
70° 29' 46,97" N
25° 43' 57,34" E*

Znaleźli go, gdy słońce zachodziło za górami na zachodnim brzegu fiordu Porsanger, a on wiedział, że wschodu już nie zobaczy. Wraz ze zmierzchem od strony wody docierało przenikliwe zimno. Kilka kroków dalej płaskowyz gwałtownie się urywał i zawisał nad taflą fiordu. To była jedyna droga ucieczki, ale zejście w dół stumetrowej ściany z przewieszeniem w jego stanie i przy zapadającym zmroku było ponad jego siły. Dotarł do kresu i rozsądniej było przygotować się na to, co nieuchronne. Przestać być zwierzyną.

Zrozumiał, że myśliwi przez cały dzień spychali go właśnie w to miejsce: na skraj nicości. Chwiejnym krokiem przeszedł po granitowych łupkach, rzucił na ziemię pusty karabin i przykucnął za samotnym blokiem skalnym, w którym wiatr wyłobił wgłębienie jakby stworzone dla jego pleców. Kilka metrów od niego strumień odprowadzał do morza wodę z topniejących lodowców. Płynęła bez przeszkód biała i wartka, docierała do krawędzi i spadała wodospadem na brzeg fiordu daleko pod nim.

Na drugim brzegu widział światła pojedynczych samochodów. Znajdowały się góra pięć kilometrów od niego, w innym świecie. Wsunął dłonie pod pachy, brodę oparł na kolanach i patrzył na but trekkingowy zniszczony w miejscu, gdzie wiele godzin temu, gdy jeszcze uciekał w popłochu, trafiła go kula klienta. Rana wciąż krwawiła, widział krew wypływającą z dziury w skórzanej cholewie, ale bólu już prawie nie czuł. Chciał oswobodzić stopę i zacisnął zęby, gdy ściągał sztywną od krwi skarpetkę. But wepchnął

pod kamień i przysypał drobnymi kamykami. Może kiedyś ktoś go znajdzie.

To były porządne trapery. W ogóle cały sprzęt był dobrej jakości. Składały się na niego: kurtka z kamuflażem, spodnie bojówki, polar, bielizna termiczna, kompas oraz laminowane mapy Finnmarku wraz z cyplami i meandrami, które wcinają się w Morze Barentsa pomiędzy fiordami Porsanger, Laksefjord i Tanafjord.

Na niebie zapłonęły pierwsze gwiazdy i planety. On znał tylko Wenus. Ingrid kojarzyła je wszystkie. Górskie niebo, roślinność i zwierzęta miała zapisane w genach.

Wyjął dłonie spod pach, złożył je i pomodlił się za swoją żonę, chociaż dotąd nigdy tego nie robił. Ingrid musiała, *musiała*, ocaleć. W górach zawsze była od niego szybsza, i na nartach, i pieszo. A przecież nawet jemu prawie się udało. Prawie.

Kiedy po południu usłyszeli gwizdki myśliwych i zrozumieli, że tamci wpadli na ich trop, przytulili się mocno. Pocałował jej zziębnięte wargi, a potem ją od siebie odepchnął. Dalej, przez wodę przesączającą się ze szczelin topniejącego lodowca. Nie chciała się rozdzielać, musiał ją pchnąć silniej, aż prawie upadła. Tłumaczył, że będzie się trzymał grani, żeby odwrócić ich uwagę. Ona miała biec dalej wzdłuż lodowca, a potem wspiąć się na stały ląd. Jeśli nie będzie się zatrzymywać, to o świcie może dotrze do Lakselv i zawiadomi policję.

Ingrid założyła narty i jak strzała pomknęła w dół śnieżnego zbocza. Na jego końcu zanurzyła się w gęste krzaki sosnowe, gdzie nie mieli szans jej wypatrzeć. Uciekła im.

Po raz ostatni widział żonę ze szczytu ozu i zaraz dostrzegł również myśliwych wychodzących zza najbliższej grani. Popołudniowe słońce mieli za plecami, a ich sylwetki rzucały na śnieg długie cienie. Pierwszy z nich też go zobaczył i w zagłębieniach między wzgórzami ogłuszającym echem zabrzmiał głośny dźwięk gwizdków.

To był ich pierwszy wypad w góry, odkąd dwa lata temu przyszły na świat bliźniaki, i bardzo już byli spragnieni takiej wyprawy. Ingrid jest Norweżką i to ona zaraziła go miłością do pustych krajobrazów północnej Norwegii. Decyzję podjęli spontanicznie. Sprawdzili prognozę pogody w Finnmarku. Teraz, pod koniec marca, miało być bezwietrznie i bezchmurnie.

Przekonał swoją matkę, żeby zajęła się dziećmi i zarezerwował dwa miejsca na najbliższy lot z Kopenhagi do Oslo, a następnie z Oslo do Lakselv.

Na miejscu zjedli kolację w niemal pustym zajeździe Porsanger Vertshus. Sezon dopiero się rozkręcał, gospodyni ucieszyła się na ich widok. Potem w pokoju wypili butelkę czerwonego wina, kochali się pod chłodną pierzyną i zasnęli snem głębokim i niezmaconym.

Następnego ranka wyruszyli na północ wzdłuż wschodniego brzegu fiordu Porsanger. Po drodze kierowca ciężarówki podrzucił ich do Vakkärä i stamtąd ruszyli w góry. Plan był taki, żeby przejść trzydzieści kilometrów na północny wschód do Kjæsvatnet albo jeszcze dalej, rozbić namiot, trochę połowić, porobić zdjęcia i za jakieś dwa dni wrócić do Lakselv.

Wędrowali w wiosennym słońcu, wśród woni budzącej się do życia roślinności, przez krainę tysiąca jezior i mokradeł. Gdzieniedzie czarny lód pękał im pod butami. W Kjæsvatnet złapał dwa rozleniwione zimą pstrągi. Gdy trzymał je w rękach, były ciężkie, zimne i jędrne. Umieścił je w wyłożonym mchem koszu na ryby. Ingrid rozpałała ognisko. Mróz zaczynał podpełzać im pod stopy, ale gdy jedli, siedząc blisko ognia, okryci śpiworami i wsparci o pnie karłowatych brzoź w niewielkim zagajniku, to nie czuli zimna.

W środku nocy zbudził go niski monotony szum helikoptera dochodzący ze wschodu. Dźwięk dobiegał z oddali. W ciągu dnia wielokrotnie go słyszeli. Helikopterami transportowano pacjentów do szpitali w Kirkenes albo Hammerfeście i dowożono zaopatrzenie ludziom pracującym na platformach wiertniczych na Morzu Północnym. Okręg miał mniej więcej siedemset kilometrów średnicy i był bezludnym pustkowiem, nie licząc ich dwojga, kilku rozproszonych, smaganych wiatrem miasteczek na wybrzeżu i Samów, którzy wypasali renifery i prowadzili wędrowny tryb życia.

Zasnął ponownie, a następnej pobudki nie pamiętał już tak dobrze. Od tamtego momentu wszystko było poszarpane na małe, oderwane od siebie fragmenty: błysk zimnego rozgwieźdzonego nieba, gdy rozcięto tropik namiotu nad ich głowami, krótki krzyk Ingrid, ostry zapach ozonu, migawka czegoś niebieskiego, trzeszczącego. Ból i ciemność. Nie był w stanie poruszyć żadnym mięśniem, ale czuł, jak nieśli go razem ze śpiworem, i widział nad sobą gwiazdy.

Potem pomyślał, że porazili ich elektrycznym paralizatorem. Zupełnie jak w filmie.

Na niebie pojawił się czarny kształt helikoptera. Umieszczono ich na podłodze, a gdy mężczyźni wsiedli na pokład, maszyna wzbiła się w powietrze.

Nieważkość. Transport.

Porywacze nie odezwali się słowem, ani do siebie, ani do Ingrid czy do niego. Dwie minuty po starcie jeden z nich pochylił się nad Ingrid ze strzykawką i przez śpiwór wbił jej igłę w udo. Jej na wpół przytomne jęki ustały.

Widział, jak z następnej strzykawki tryska cienki strumień przejrzystej cieczy. Mężczyzna przyklęknął obok jego głowy i w śpiworze odnalazł jego ramię.

Obudził się po wieczności, którą spędził, płynąc niestrudzenie do świetlistego kwadratu. Siedział nagi na betonowej podłodze, trząsł się z zimna i miał przed sobą pusty otwór okienny jaśniejszy od ściany wokoło. Jego ciało musiało być aktywne, zanim obudziła się w nim świadomość, bo zorientował się, że balansuje na pośladkach i piętach. Dłonie były niebieskie i nabrzmiałe przez plastikowe opaski zaciskowe, które wrzynały mu się w nadgarstki. Od plastikowych zacisków biegła stalowa lina zaczepiona do ringu w podłodze.

Na końcu pomieszczenia zobaczył łupki ułożone w równy stos i domyślił się, że są przetrzymywani w jednym z opuszczonych kamieniołomów, jakich tu wiele.

Obok siebie usłyszał westchnienie i drapanie paznokciami po betonie. Szybko położył się na boku, chciał, żeby jego twarz była pierwszą rzeczą, jaką Ingrid ujrzy po przebudzeniu.

Kiedy drzwi się otworzyły, wtulili się w siebie tak mocno, jak tylko pozwalały na to metalowe liny. W drzwiach na tle porannego słońca zobaczyli dwie ciemne postacie. Żwir chrząścił pod ich butami, kiedy ruszyły w głąb hali. Jego wzburzone okrzyki po duńsku, angielsku i norwesku pozostawały bez odpowiedzi. Obrzucał ich obelgami, aż jeden z nich przyłożył Ingrid pistolet do głowy.

Wyższy z mężczyzn pociągnął go za włosy i sprowadził do pozycji siedzącej. Następnie z kieszeni kurtki wyjął ich paszporty. Poprawną angielszczyzną, ale ze skandynawskim akcentem, odczytał na głos ich wiek i spytał o ich wagę, przyjmowane leki oraz o to, czy znają swój poziom poboru tlenu.

Zmylił go spokojny, rzeczowy ton mężczyzny oraz to, że ten drugi odsunął pistolet od głowy Ingrid. Właśnie dlatego zebrał ślinę w ustach i splunął na but przesłuchującego.

Mężczyzna się nie poruszył. Nie zamienił nawet słowa ze swoim towarzyszem, zanim ten ciężkim obcasem zmiotł mały palec u nogi Ingrid. Wrzasnęła, a gdy rzucił się ku niej, tamten kopnął go w brzuch.

Pierwszy z mężczyzn powtórzył pytania – i tym razem uzyskał odpowiedź. Otworzyli kłódki, przecięli plastikowe zaciski na ich kostkach, postawili ich na nogi i wyprowadzili na zewnątrz.

Ingrid trzeba było podtrzymywać, on jednak nalegał, żeby iść samodzielnie.

Na dziedzińcu, między zabudowaniami kamieniołomu stało czterech innych mężczyzn: czarne kominiarki, kurtki i spodnie z kamuflażem do warunków w wysokich górach, w stalowych odcieniach szarości, czerni i ciemnej zieleni, z nieregularnymi plamami pozwalającymi na rozbitcie sylwetki w terenie.

Popatrzył w brązowe oczy mężczyzny.

– Prawdziwi z was twardziele, co? – odezwał się po duńsku.

Mężczyzna zmrużył oczy. Ich kąciki zniknęły w zmarszczkach uśmiechu, ale nic nie odpowiedział.

Gdy tylko rozcięli im paski na nadgarstkach, przytulił do siebie Ingrid. Była drobna i szczupła, rękami starała się zasłonić krocze i mały biust.

Na prowizorycznym stole z drzwi położonych na dwóch kozłach do picia leżała odzież, buty, sprzęt i jedzenie. Kazali im założyć bieliznę termoaktywną, tiszerty, polary, skarpety, wierzchnią odzież maskującą. Ich dowódca rozkazał im zjeść jak najwięcej makaronu, musli i chleba, które zostały na stole. To był ich ostatni posiłek.

Dowódca o brązowych oczach wyjaśnił, że klient zapłacił za to, że przez czterdzieści osiem godzin będzie na nich polował wysoko w górach. Zapewnił, że to nic osobistego. Klient ich nie zna, a oni nie znają jego. W grę wchodziło inni kandydaci, ale klient wybrał właśnie jego i Ingrid.

Ingrid ukryła twarz w dłoniach, skuliła się i zaczęła szlochać. W kółko powtarzała imiona bliźniaków.

Za jednym z okien dostrzegł jakiś ruch. Tam ktoś był, za tą brudną, popękaną szybą. Zamglony owal twarzy, na wpół zacieniony szerokim rondem kapelusza.

Potem postać przesunęła się na bok i oddaliła od okna.

Dowódca przedstawił im reguły gry. Dostaną dwie godziny przewagi. Jeśli zostaną schwytani przed końcem wyznaczonego czasu, klient będzie miał prawo ich uśmiercić wybraną przez siebie metodą. Wskazał na biały, wolno stojący klif jakieś dwieście metrów dalej. Powiedział, że u jego stóp znajdują karabin myśliwski z trzema nabojami w magazynku. Mogą z niego korzystać wedle uznania. Komendant spytał go, czy potrafi się nim posługiwać.

Przytaknął.

Ingrid osunęła się na kolana. Złapał ją mocno i postawił na nogi. Potem wyprowadził ją między budynkami i stosami łupków na otwarty teren.

Na wschodzie słońce oderwało się od wzgórza, a oni zaczęli biec.

W strumieniu na mokrych kamieniach błyskały światła czołówek. Serce zaczęło mu bić szybciej i mocniej. Jego zwieracze puściły i po udach rozlało się ciepło. Zaklął z poczucia upodlenia, panicznego strachu o Ingrid, poczucia nierzeczywistości.

A potem wstał, odszedł od przytulnego bloku skalnego i stanął w pełni widoczny na tle jasnego, wieczornego nieba.

Krzyknął do nich, kiedy wyłonili się z ciemności. Jeden z nich utykał. Żałował, że trafił bydlaka w udo, a nie w serce. Jeden słup światła był mocniejszy i bielszy od tych z czołówek. Zasłonił dłonią oczy. Te skurwysyny go filmowały.

Zatrzymali się dziesięć metrów od niego i zaczęli rytmicznie klaskać. Z początku cicho, potem coraz głośniej. Schylił się, podniósł kamień i rzucił w nich, ale chybił. Stali w półkolu, siedmiu strzelców. Czerwone i zielone promienie lasera przesuwwały się nieśpiesznie w górę jego ciała i skrzyżowały na wysokości serca.

Wtedy zaczęli śpiewać i jego mózg się poddał. Stał plecami do przepaści w jednym z najbardziej odludnych i trudno dostępnych miejsc na świecie, a szwadron egzekucyjny, tupiąc i klaszcząc, wykonywał hit Queenów – *We Will Rock You*.

*BUDDY, YOU'RE A YOUNG MAN, HARD MAN!
SHOUTIN' IN THE STREET
YOU GOT BLOOD ON YO' FACE
YOU BIG DISGRACE*

WE WILL, WE WILL ROCK YOU!

Śpiewali głośniej. Ich buty dudniły o skałę. Półkole otworzyło się, żeby zrobić przejście klientowi. Ten, potykając się, wyszedł przed szereg ze sztucerm w rękach. Wydawał się niezdecydowany. Na moment opuścił lufę., lecz po chwili ponownie ją podniósł.

Choć się starał, nie był w stanie pochwycić spojrzenia klienta pod szerokim rondem kapelusza. Liczył na coś w rodzaju ludzkiego kontaktu, porozumienia. Ale oślepiął go projektor kamery. Osłonił oczy przed ostrym światłem i rozejrzał się. Ingrid z nimi nie było. Szalona nadzieja rozwarła zaciśnięte gardło, wydał dziki, nieartykułowany okrzyk zwycięstwa.

Klient odwrócił się bokiem i zwymiotował. Sztucer oparł o kamienie i wsparł się na lufie. Dowódca powiedział coś do niego krótko i ostro, tamten pokiwał głową i wytarł usta.

Następnie dowódca odwrócił się do ściganego i rzucił coś w jego stronę. Przedmiot poszybował powolnym łukiem.

Odruchowo złapał czarny, ciężki worek przewiązany sznurkiem. Na moment podniósł jeszcze wzrok na milczące, nieruchome postacie, zanim go otworzył i wyjął zawartość.

Świat się pod nim rozstał, a chwilę potem Kasper Hansen już nie żył.

1

Michael Sander przesunął grzebieniem po włosach i poprawił krawat. Szedł właśnie wzdłuż wysokiego na trzy metry białego muru otaczającego jeden z najdroższych adresów w kraju. Tak naprawdę wszystkie domy przy Richeleus Allé w Hellerupie należały do tej najbardziej luksusowej kategorii budownictwa mieszkalnego, od dużych willi po wręcz pałace.

Wbił wzrok w tabliczkę z napisem CASPERSEN wmurowaną w ścianę obok bramy. W wypolerowanym na błysk mosiądzu sprawdził przedziałek, wcisnął dzwonek i spojrzął w obiektyw kamery monitoringu z uśmiechem, który z założenia miał budzić zaufanie.

– Kto tam?

Pytanie padło z głośnika w kolumnie bramy.

– Michael Sander.

– Chwileczkę.

Skrzydła bramy otworzyły się i ruszył w górę podjazdu. Drobnny żwir chrząścił mu pod butami.

W fontannie przed domem uśmiechnięte delfiny wypluwały strumienie wody w stronę nagiej, zmysłowej nimfy w osobliwej, sugestywnej pozie. W otwartym garażu obok domu wyeksponowano zabawki zamożnego mężczyzny: błękitne maserati quattroposte, mercedes roadster i gołębioszary rolls-royce. Tablice rejestracyjne SONARTEK i cyfry kolejno od jednego do trzech.

Za to przed schodami wiodącymi do głównego wejścia stał całkiem zwyczajny czarny opel.

Michael stopniowo coraz wyraźniej uświadamiał sobie, że uległ złudzeniu optycznemu. Kiedy stał przy bramie, dom wydał mu się nieproporcjonalnie duży, ale się pomylił. W rzeczywistości dom był olbrzymi.

Wszedł po ośmiu szerokich stopniach i podniósł rękę, żeby zapukać kołatką, kiedy drzwi się otworzyły.

Szare oczy taksowały go przez chwilę, zanim na nieruchomą twarz jakby niechętnie wypłynął powściągliwy uśmiech. Kobieta była wysoka i obdarzona ciężką, kanciastą sylwetką. Prawdopodobnie nigdy nie była urzekająca ani pełna wdzięku. Twarz miała szeroką, ale symetryczną i Michael obstawiał, że mogła być od niego parę lat młodsza.

Mechanicznie wyciągnęła rękę i przedstawiła się:

– Elizabeth Caspersen-Behncke.

Następnie odwróciła się i ruszyła w głąb holu, którego podłogę wyłożono białymi i zielonymi marmurowymi płytkami. Idąc za nią, Michael pozwolił sobie lepiej jej się przyjrzeć. Miała na sobie czarny kaszmirowy sweter, sznur pereł, ciemnoszarą prostą spódnicę i kontrastujące z całością bordowe rajstopy, które skojarzyły mu się z chudymi nogami ostrygojada. Jej wzrost nie pozwalał na wybór obuwia innego niż płaskie. Kobieta wyglądała na człowieka umysłu.

Potencjalnych klientów w pierwszej kolejności zawsze dzielił na ludzi umysłu i ciała. Oczywiście trafiały się również formy pośrednie, ale to pierwsze wrażenie niemal zawsze okazywało się prawdziwe. Z zebranych informacji wiedział, że Elizabeth Caspersen-Behncke była dziedziczką ogromnej rodzinnej fortuny, a przy tym partnerką w jednej z największych i najstarszych kancelarii adwokackich w Kopenhadze. Była zatem niewątpliwie inteligentna w pojęciu czysto mieszczańskim. Nie to jednak rozstrzygało o tym, czy była człowiekiem umysłu czy ciała, ale sposób, w jaki jej biodra łączyły się z tułowiem i nogami, łuk w dole pleców, postawa, długość kroku. To, czy jej stawy były dobrze naoliwione czy suche.

Żona czasem pytała go, do jakiej kategorii należy on sam i Michael za każdym razem czuł się tym pytaniem nieco urażony. Uważał się bowiem za szczęśliwą formę pośrednią: człowieka zmysłowego, lecz racjonalnego.

Elizabeth Caspersen ruszyła schodami na piętro i nagle poczuł się jak w muzeum zoologicznym. Ściany wokół niego szczelnie zapełniały wypchane zwierzęce głowy, rogi i poroża najróżniejszych rozmiarów i kształtów od jeleniowatych po egzotyczne gatunki antylop. Zewsząd patrzyły na niego puste oczodoły i wszystkie trofea wydziały suchy, stęchły zapach.

Na pierwszym półpiętrze afrykański lew wyciągał do niego długie na kilka centymetrów pazury. Potężna głowa wystawała poza obręb mahoniowej podstawy, czarne wargi były odsunięte i odsłaniały żółte zęby. Grzywa była zjeżona, a wściekły wzrok szklanych oczu zwierzęcia dosłownie zmroził Michaela.

Kobieta odwróciła się za siebie.

– Mój ojciec nazwał go Louis. Przerazający, prawda?

– Zdecydowanie, pani Caspersen-Behncke.

– Proszę mi mówić Elizabeth, jeśli mnie wolno będzie mówić do pana Michael.

– Oczywiście.

Wciąż stał nieruchomo, jak zahipnotyzowany przez to zwierzę.

– Wyobraź sobie, że jesteś małą dziewczynką o bujnej wyobraźni i musisz w środku nocy zejść tymi schodami, bo potrzebujesz czegoś z kuchni.

– Do dziś miałbym koszmary – przyznał.

Kontynuowali wspinaczkę, aż Michael ponownie się zatrzymał przed trzymetrowym portretem właściciela tego domu, niedawno zmarłego biznesmena Flemminga Caspersena. Obraz był fotograficznie dokładny. Jedną stronę zajmowały półki z rzędami starych tomów o pozłacanych grzbietach, a Caspersen stał zamyślony z ręką opartą o okrągły stół. Na stole leżały zapieczętowane pergaminy i pożółkłe manuskrypty, mapy i rozłożone arkusze, jakby artysta przyłapał miliardera na zgłębianiu źródeł Nilu albo sensu wszechrzeczy.

Za miliarderm wyrastał szary niedźwiedź grizzly, a cienie zwierzęcia i mężczyzny na ścianie zlewały się ze sobą. Krzepka, pełna życia twarz Caspersena była poważna, jego białe włosy sterczały do góry jak krótka szczecina, brązowe oczy były skierowane wprost na widza, a wysokość, na jakiej powieszono obraz, w połączeniu z imponującym wzrostem portretowanego dodawały mu majestatu. Miał na sobie stonowany krawat w szare paski i garnitur dopasowany tak, jakby go uszyto w tunelu aerodynamicznym.

– Ojciec chciał uchodzić za człowieka renesansu – wyjaśniła Elizabeth. – Chociaż wątpię, by przez całe życie przeczytał choć jedną książkę beletrystyczną. Zawsze powtarzał, że wystarczy mu to, co sam przeżył. Życie zmyślane niezmiernie go nudziło.

Michael wskazał na głowę nosorożca wiszącą sześć metrów nad podłogą. Zwierzę zezowało rozpaczliwie w stronę szarego płaskiego kikuta, który był wszystkim, co zostało z jego rogów.

– A temu co się stało?

– Dwa miesiące temu mieliśmy włamanie. Sprawcy przystawili do ściany drabinę naszego ogrodnika, brzeszczotem odpiłowali rogi i uciekli. Mama była w szpitalu, dom stał pusty. Zdaniem policji sprawcy działali jak profe-

sjonaliści. Tak naprawdę powinniśmy go zdjąć. Nosorożec bez rogów jakby mija się z celem.

Wskazała na szafę na dole, przy głównych drzwiach.

– Łomem wyważyli drzwi, a system alarmowy spryskali ciekłym azotem.

Michael odchylił się do tyłu i opierając się o poręcz, uważniej przyjrzał się kremowej ścianie poniżej okaleczonego trofeum. Dostrzegł dwa ciemne ślady po drabinie.

– Muzea zoologiczne i prywatne kolekcje doświadczają ostatnio czegoś w rodzaju inwazji złodziei rogów – oznajmił. – To cenny towar, ma podobno leczyć wszystko od impotencji po raka.

– Te rogi były naprawdę zachwycające – Elizabeth pokiwała głową. – Ojciec ustrzelił ten okaz w Namibii w siedemdziesiątym trzecim. To jest nosorożec biały. To znaczy: był.

– Myślałem, że są pod ochroną.

– Zwierzę ustrzelono na potrzeby badań naukowych, co oczywiście jest po prostu innym określeniem przekupstwa. Ojciec nie ustawał, dopóki nie dopiął swego.

Michael nie ruszał się z miejsca. Prehistoryczne zwierzę obudziło w nim szczególny rodzaj współczucia.

– Rogi ważyły mniej więcej osiem kilogramów i są warte tyle samo co osiem kilo kokainy – ciągnęła. – Cena detaliczna na czarnym rynku jest dokładnie taka sama. Pięćdziesiąt dwa tysiące dolarów za kilogram.

Te liczby zrobiły na Michaelu wrażenie. Czteryście tysięcy dolarów za pół godziny pracy, nieźle. Wręcz genialnie.

– Nic więcej nie zabrali? – spytał.

– Mama trzyma biżuterię w bankowym sejfie, a gotówki w domu jest zawsze tylko tyle, żeby opłacić ogrodnika i personel sprzątający.

Ruszyła korytarzem na pierwszym piętrze. Po drodze, w skąpanej w półmroku sypialni Michaelowi mignęła szczupła kobieca twarz na poduszce: duże, jakby ptasie oczy zwrócone w stronę otwartych drzwi. Pielęgniarka zawieszała kroplówkę na stojaku.

– Flemming? Flemming?

Pielęgniarka zamknęła drzwi.

Głos nie przestał wołać.

– To mama – wyjaśniła Elizabeth. – Alzheimer.

Michael uśmiechnął się współczująco.

Kobieta otworzyła następne drzwi i Michaela oślepiło migotliwe światło słońca odbijającego się w wodach Sundu.

– Piękny widok, prawda? – zagadnęła.

Okna od podłogi po sufit miały co najmniej sześć metrów wysokości.

– Olśniewający – przyznał i dłonią osłonił oczy.

Teraz rozpoznał bibliotekę z portretu Flemminga Caspersena. Wzdłuż regałów na wysokości trzech metrów biegł pomost z czarnego kutego żelaza, tworząc galerię. Wielki wypchany niedźwiedź wymachiwał przednimi łapami wysoko nad własną głową.

– Niedźwiedź kodiacki, Alaska, dziewięćdziesiąty piąty – wyjaśniła kobieta lakonicznie.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego grozi im wyginięcie.

– Ty nie polujesz? – spytała.

– Nie na zwierzęta.

– Mój ojciec by powiedział, że bez przemysłu safari nie byłoby środków na tworzenie rezerwatów i opłacanie strażników przyrody, chociażby w Afryce, a kłusownicy już dawno wybiliby w pień wszystko, co tam żyje.

– I zapewne miałyby rację – przyznał Michael.

Elizabeth podeszła do okna, skrzyżowała ręce na piersi, a jedną dłoń podsunęła do twarzy i przygryzła paznokieć kciuka. Pomyślał, że z pewnością nie było to zachowanie typowe dla adwokatki Sądu Najwyższego, i stanął obok niej, żeby jej dać coś w rodzaju wsparcia.

Wysoki biały mur ostro oddzielał otaczający dom park od sąsiednich posiadłości. Wzdłuż górnej krawędzi muru dostrzegł cienkie przewody systemu alarmowego i mnóstwo białych kamer monitoringu, które zdawały się obejmować zasięgiem każdy centymetr kwadratowy terenu. Z tego, co widział, jeśli chodziło o zabezpieczenia pasywne domu, nie było się do czego przyczepić. Choć, oczywiście, słabym punktem był dostęp do wody.

W parku obok masztu flagowego siedział czarny labrador, wystawiał kufę do wiosennego słońca i skowyczał żałośnie.

– To Murzyn, pies ojca – powiedziała cicho Elizabeth. – Siedzi tak i wyje, odkąd ojciec umarł.

– Murzyn?

Elizabeth uśmiechnęła się rozbrajająco.

– Ojciec nie był rasistą. W ludziach interesowało go tylko to, czy potrafią wykonywać powierzone im zadania. Myślę, że po prostu świetnie się bawił, kiedy głośno przywoływał swojego psa. Tu, w Hellerupie.

Michael nadal patrzył na mur z przewodami i kamerami.

– Kamery nagrały włamanie?

– Tak. O drugiej w nocy dwaj mężczyźni podpłynęli pontonem. Mieli bluzy z kapturem, kominiarki i rękawiczki. Przebiegli trawnikiem na tył domu, zabrali drabinę ogrodnika i wyważyli drzwi.

– A Murzyn?

Popatrzyła na rozpaczające zwierzę.

– On pewnie tylko się ucieszył na widok ludzi. To samotny i bardzo przyjazny pies. Może usiądziemy?

Zdjął torbę z ramienia i usiadł w fotelu. Elizabeth Caspersen spoczęła obok, skrzyżowała czerwone nogi i wyglądała przez okno, kiwając stopą.

Michael oparł się wygodnie.

Stopa zaczęła kiwać się szybciej.

Oczywiście już to przerabiał, to wahanie, zanim się ujawni sekrety obcemu człowiekowi i wpuści go do swojego życia. Zwykle w tym momencie ludzie albo się wycofywali i kończyli spotkanie, albo szli na całość.

Obstawiał, że tym razem finał będzie czymś pomiędzy.

– Niełatwo było cię znaleźć – powiedziała. – Jak siebie nazywasz? Konsultantem?

– Tak.

– Bo na prywatnego detektywa nie wyglądasz.

– Uznam to za komplement.

– Słucham? Ależ tak, oczywiście. Kawy? Wody?

– Nie, dziękuję – zapewnił ją.

– Jesteś żonaty?

Jej palce znalazły zajęcie przy sznurze pereł.

– Tak, szczęśliwie – odparł.

– Ja również jestem mężatką.

Jego rozmówczyni odchyliła się w fotelu, zamknęła oczy i przycisnęła palcami powieki.

– Czyli śledzisz niewiernych małżonków, chowasz się w środku nocy za garażami obcych ludzi z aparatem albo grzebiesz w ich śmieciach?

– Tylko pod koniec miesiąca – potwierdził.

– Przepraszam... ja... – Zaczerwieniła się. – Przepraszam. To dla mnie bardzo trudne. Jeden z angielskich adwokatów ojca mi ciebie polecił. Słyszał o duńskim konsultancie do spraw bezpieczeństwa, który pomógł kiedyś

pewnemu Holendrowi. Ale wszyscy nagle stali się niesłuchanie małomówni, a tamten Holender nie śpieszył się z odpowiedzią.

– Zadzwoił do mnie, zanim skontaktował się z tobą – wyjaśnił Michael.

– Nie sądziłam, że w Danii w ogóle istnieją ludzie z twojej branży.

– Owszem, jest nas paru. Tylko nie mamy związku zawodowego ani nic z tych rzeczy.

– I nazywasz się Michael Vedby Sander?

– Tak – skłamał.

– I znasz Pietera Henryka?

– Oczywiście.

Namierzył dla Pietera Henryka dwóch nieudolnych porywaczy, ojca i syna, na opuszczonym gospodarstwie na południe od Nijmegen w Holandii. Postanowili porwać młodszą córkę tego obrzydliwie bogatego człowieka i to był ich pierwszy błąd.

Powierzenie sprawy policji wiązało się z ryzykiem wywołania skandalu i chorego zainteresowania mediów, co dla Henryka było nie do pomyślenia. Był dość staroświecki i wolał sprawę rozwiązać po cichu i na zawsze.

Czekając na okup, porywacze dla rozrywki wielokrotnie gwałcili dwiętnastolatkę, bili ją, ogolili jej głowę i gasili papierosy na jej plecach. Dziewczyna była bardziej martwa niż żywa, kiedy Michael i reszta ekipy do niej dotarli. Jego zadaniem było jedynie znaleźć dziewczynę, a porywaczami zajęli się ludzie Pietera Henryka.

Michael z samochodu zaparkowanego na skraju lasu dwieście metrów od gospodarstwa widział, jak potężnie zbudowany serbski najemnik niósł dziewczynę na rękach w stronę mercedesa, gdzie czekał jej ojciec razem z lekarzem. Dziewczyna była naga, zwisała z ramion mężczyzny bezwładnie, jak lalka albo zaszlachtowane zwierzę. Samochód odjechał, spod opon wzniósł się w powietrze żwir.

Michael czekał. Pół godziny później na podwórko wjechała furgonetka i najemnicy zaczęli wnosić cegły, zaprawę i wiadra do domu, w którym wciąż znajdowali się porywacze.

W końcu odjechał. Już to widział i znał ludzi Pietera Henryka. Nie tych, innych, ale tamci też byli weteranami wojen bałkańskich i przeżyli już wszystko. Jeśli byli w dobrym nastroju, być może w przypiływie litości, zanim wmurują ostatnią cegłę w nową ścianę wnęki, wrzucą im do środka pistolet z dwoma nabojami, żeby mogli skrócić swoją mękę. Lecz jeśli byli w

złym humorze, to zwiążą ich z rękami i nogami do tyłu, dokończą stawiać ścianę i zaczekają, aż zaprawa zastygnie.

Ze wspomnień wyrwało go jej głośne klaśnięcie w dłonie.

– Przepraszam, zamyśliłem się.

– Chcę, żebyś dla mnie pracował – powtórzyła.

– Możliwe, że się zgodzę – powiedział z rezerwą w głosie.

– Pieter Henryk powiedział, że powinnam całkowicie zdać się na ciebie.

Michael potwierdził:

– Tak, to zwykle niezbędne, jeśli mamy cokolwiek osiągnąć.

– Michael. Jeśli nadużyjesz mojego zaufania, to będziesz mógł zniszczyć całą moją rodzinę. Nie będziemy mieli przed sobą żadnej przyszłości.

– Z reguły tak właśnie jest – odparł spokojnie. – Może wyjaśnię ci pokrótce, jak to działa. Otóż jeśli zdecyduję się przyjąć twoje zlecenie, to będę nad nim pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę, dopóki nie osiągnę pożądanego rezultatu albo dopóki ty nie poprosisz mnie, żebym zaprzestał działań. Moje honorarium to dwadzieścia tysięcy koron dziennie plus zwrot kosztów wsparcia ekspertów zewnętrznych, łąpówek, podróży, wyżywienia i zakwaterowania. Nie podpiszemy żadnego kontraktu i nie przedstawię ci żadnych paragonów, musisz mi zaufać. Otrzymasz numer klienta w moim biurze rachunkowym i mój księgowy zgłosi wszystkie kwoty w urzędzie skarbowym. Czy te warunki są dla ciebie do przyjęcia?

– A drobnym druczkiem? – spytała.

– Niewiele. Nie dopuszczam się poważnych przestępstw ani innych działań zagrożonych karą, jeśli uznam, że nie są one zgodne z moim postrzeganiem tego, co słuszne i rozsądne. Przy każdym zleceniu oceniam, jak daleko jestem gotów się posunąć.

– Niezależnie od wysokości honorarium?

– Tak.

– W porządku – powiedziała Elizabeth. – Więc dlaczego tak niesłychanie trudno do ciebie dotrzeć?

– Jestem wybredny – przyznał.

Żona pytała go czasem o to samo. Jednoosobowej firmy doradczej Michaela Sandera nie dało się znaleźć w internetowych bazach. Ktoś wyjątkowo zawzięty dotarłby być może do ostatniej wersji strony internetowej jego firmy gdzieś w odmetach deep web, piwnicy Internetu niedostępnej z poziomu standardowych wyszukiwarek jak Google czy AltaVista i możli-

wej do odnalezienia tylko przez wyspecjalizowane narzędzia jak Technorati.com. Niewykluczone, że przez ekskluzywność tracił rzesze klientów, ale wolał działać w ten sposób. Znał w Londynie piękną Dunkę pracującą jako call girl, której usługi intymne kosztowały tyle co deficyt budżetowy Grecji i która stosowała tę samą strategię. Twierdziła, że chodzi o bezpieczeństwo jej i jej córki.

Jego strona internetowa była lapidarna i dość enigmatyczna. Można się było z niej dowiedzieć, że Michael Sander to były żołnierz i policjant i że przez dziesięć lat pracował jako konsultant do spraw bezpieczeństwa w firmie Shepherd & Wilkins Ltd, znanej brytyjskiej agencji ochroniarskiej. Do jego zadań należała ochrona osób, negocjacje z porywaczami, dochodzenia finansowe i inne. Dane kontaktowe stanowił numer telefonu komórkowego wymieniany co najmniej raz w miesiącu, ale zazwyczaj częściej.

– Ile wiesz o mnie? – spytała nagle.

– Wiem, że jesteś jedyną córką Flemminga i Klary Caspersenów – odparł. – Twój ojciec był mechanikiem radiowym, a z czasem zdobył dyplom inżyniera. W latach osiemdziesiątych opatentował szereg przełomowych rozwiązań, z których później powstały radary dopplera, miniaturowe sonary i laserowe dalmierze, używane we właściwie wszystkich rodzajach uzbrojenia od łodzi podwodnych po myśliwce, ale również w cywilnych systemach ostrzegania meteorologicznego. Krótko mówiąc, jest to technologia, z której rozwinęły się wszystkie współczesne systemy mierzenia odległości i identyfikacji celu. Jest kluczowa i nie ma dla niej alternatywy. Twój ojciec razem z kolegą ze studiów Victorem Schmidtem w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku założyli Sonartek, a reszta jest... historią duńskiego przemysłu. I historią sukcesu.

– Któręś wieczoru ojciec usłyszał karetkę we Frederiksbergu i potem całą noc przesiedział na ławce, zastanawiając się, jak to możliwe, że echo syren wskazało mu dokładną lokalizację karetki. Od tego się zaczęło. Potem zaczął badać delfiny, nietoperze i w sumie dość elementarną technologię Dopplera. Ulepszył ją i rozwinął.

– O ile mi wiadomo, Sonartek w Danii ma jedynie centrum badawcze, a produkcja i dystrybucja są zarządzane z...

– Tak, te działy zostały przeniesione do Chin, Indii, Polski i Estonii – przerwała mu Elizabeth. – To było konieczne.

– Wiem również, że twój ojciec zmarł na zawał dwa miesiące temu – dodał Michael.

– Dwa dni wcześniej przebiegł maraton w nieco ponad trzy godziny. Miał siedemdziesiąt dwa lata, ale był w doskonałej formie. Przez całe życie chyba nigdy nie wziął żadnych leków. Zawsze powtarzał, że wszystko zależy od genów.

Wstała i znów podeszła do okna. Z ogrodu cały czas dochodził psi lament. Michael siedział nieruchomo i milczał.

Elizabeth wytarła oczy i się odwróciła.

– Przekłety kundel – mruknęła pod nosem.

– A twoja matka? – spróbował zmienić temat.

– Zaczęło się cztery lata temu i choroba rozwinęła się błyskawicznie. Jest właścicielką znacznej części koncernu z oddziałami w trzydziestu krajach, a nie wie, jak się nazywa. Nie wie nawet, że ojciec umarł.

– Jak obecnie wygląda sytuacja firmy?

– Tuż po śmierci akcje oczywiście gwałtownie spadły, ale szybko się odbiły. Produkują rzeczy najwyższej jakości, ojciec decydował niemal o wszystkim, a o reszcie decydował Victor.

– Victor Schmidt?

– Tak. Ojciec wymyślał różne rzeczy, a Victor je sprzedawał. Doskonale się uzupełniali.

– Ich współpraca przebiegała gładko?

– Myślę, że tak. Kiedy firma weszła na giełdę, Victor kupił zamek na południu Zelandii, w Jungshoved, a ojciec ten pałac.

– Jesteś w zarządzie Sonarteku?

– Tak. I do czasu, gdy mama nie będzie w stanie pełnić swoich obowiązków w zarządzie, a wiemy, że ten czas nie nastąpi nigdy, reprezentuję w zarządzie również ją. Ojciec był prezesem, Victor obecnie jest pełniącym obowiązki prezesa, a w przyszłym miesiącu na nadzwyczajnym zebraniu zarządu zostanie wybrany na nowego prezesa.

– Czyli rodzina jest zabezpieczona?

– Niekoniecznie. Dzieci bądź wnuki założycieli firmy nie dostają automatycznie miejsc w zarządzie czy posady w firmie. W akcie założycielskim jest napisane, że muszą posiadać „kompetencje”, a to, czy je posiadają, ocenia zarząd. Najwyraźniej uznano, że ja się nadaję. Nikt nie chce w firmie rodzinnych waśni albo żeby o jej przyszłości decydowała banda kretynów, bo tak się złożyło, że noszą nazwisko Schmidt albo Caspersen. Z drugiej strony mama odziedziczy po tacie akcje grupy holdingowej Sonartek, więc jako jej reprezentantka dysponuję obecnie pakietem większościowym.

– Twój ojciec chciał, żebyś pracowała w firmie?

– Jeszcze jak! Był wniebowzięty, kiedy zostałam zaakceptowana przez zarząd. Wszystko na mnie czekało i gdy odmówiłam, to wręcz liczyłam się z tym, że ojciec mnie zastrzeli.

Michael uśmiechnął się z uznaniem.

– A on nawet cię nie wydziedziczył?

– Pogodził się z tym. Jak mówię, byłam przygotowana na najgorsze, tymczasem gdy przyszło co do czego, zniósł to całkiem nieźle. Pod tym względem był w porządku. Może zresztą liczył, że kiedyś i tak zacznę pracować w Sonarteku. Że wrócę do domu. Kiedy zaczęłam chodzić na zebrania zarządu, to głównie po to, żeby sprawić mu radość.

Elizabeth ponownie usiadła. W jej twarzy widać było napięcie, jakby wiele różnych emocji próbowało wydostać się na powierzchnię.

– Victor Schmidt ma dwóch synów, prawda? – spytał Michael.

– Tak, Henrika i Jakoba.

– Czym oni się zajmują?

– Henrik jest szefem działu sprzedaży w Sonarteku. Zastąpił na tym stanowisku swojego ojca, który obecnie przejął kierowanie firmą. Jest pracowity i ma ogromną sieć kontaktów. Niemal stale przebywa w Nowym Jorku albo Waszyngtonie, gdzie intensywnie lobbuje w amerykańskiej armii. Jest pracoholikiem i nie ma żadnych zobowiązań. A Jakob... – wzruszyła ramionami – ...szczerze mówiąc, nie wiem, co dokładnie teraz robi. Jest czarną, lecz hołubioną owcą w rodzinie. Był w Gwardii Królewskiej, a potem pracował jako logistyk dla dużych organizacji charytatywnych. Jest wyjątkowo niezależny i najbardziej lubi samotność i aktywność na świeżym powietrzu. Bracia rzadko się spotykają, ale od śmierci mojego ojca są tu, w Danii. Ojciec ich uwielbiał i obaj są mocno poruszeni tym, co się stało.

– Uwielbiał? Aż tak?

– Oczywiście. Obaj wiszą tam. – Wskazała na ścianę za spiralnymi schodami.

Michael wstał i podszedł obejrzeć z bliska czarno-białe zdjęcie w delikatnej srebrnej ramce. Zdjął je z gwoźdźca. Tapeta pod zdjęciem nie była wyblakła, więc albo zdjęcie wisiało tam od niedawna, albo często je zdejmowano. Jasny kształt znajdował się za to pod zdjęciem wiszącym obok i przedstawiającym długiego martwego lamparta leżącego na trawie oraz uśmiechniętego Flemminga Caspersena w stroju safari kucającego przy głowie zwierzęcia.

Michael przyjrzał się małemu zdjęciu w srebrnej ramce: chudy ciemnowłosy chłopiec, na oko trzynastoletni, uśmiechnięty siedział na końcu kajaka i trzymał jasną rybę długą jak jego ramię. Za chłopcem ciągnęło się połyskujące w słońcu jezioro. Chłopiec znajdował się na granicy słońca i cienia rzucanego przez drzewo, którego połowa wisiała nad lustrem wody. Na konarze siedział brat. Na oko parę lat młodszy. Jego włosy były prawie białe, korpus chudy. Siedział w krótkich spodenkach okrakiem i machał bosymi stopami nad wodą. Na pierwszym planie widać było namiot, a całe zdjęcie emanowało atmosferą beztroskiego wiecznego lata.

– Zrobił je w Szwecji – wyjaśniła Elizabeth.

– Twój ojciec?

– Tak. Victor nigdy nie jeździł na wakacje, więc przekazywał chłopców mojemu tacie. A on uczył ich tych wszystkich chłopięcych rzeczy: żeglować, wędkować, polować.

– Victor ma żonę?

– Monikę. Szwedzkie ziemiaństwo.

– Żona typu trofeum?

– W żadnym razie. Pracowała w firmie jako przedstawicielka handlowa. Zdolna i świetnie wykształcona. Teraz ma stadninę koni. Hoduje duńskie konie gorąckrwiste. Choć to brzmi jak oksymoron. – Na jej ustach zamajaczył gorzki uśmiech. – Ojciec zazdrościł Victorowi synów. Mnie nazywał brązowym medalem.

– Nie rozumiem.

– Złoty medal to chłopak, srebrny medal to niepełnoprawny chłopak, a brązowy medal to dziewczynka. Tak mawiał.

Michael coraz mniej lubił Flemminga Caspersena. Zamierzał oczywiście zaczekać, aż klientka wyjawi mu, na czym miałyby polegać jego zadanie, lecz już postanowił, że je odrzuci. Jasne, przydałyby im się z Sarą takie pieniądze, ale równie dobrze mogą się bez nich obejść. Zawsze mogli zacisnąć pasa, a on mógł zrobić coś jako wolny strzelec dla Shepherd & Wilkinsa, mimo że tamci pewnie by go wysłali w jakieś zapomniane przez Boga miejsce w Jemenie albo Nigerii, albo, jeszcze gorzej, Kazachstanie. I to na co najmniej miesiąc. Michael miał u nich otwartą furtkę i mógł dla nich pracować, kiedy tylko zechciał, co zasadniczo było w porządku, lecz w praktyce oznaczało, że dostawał zlecenia, których stali pracownicy unikali jak dżumy.

– Ten brązowy medal to, mam nadzieję, również przejaw specyficznego poczucia humoru? – spytał oschle.

– Tak. Nie sądzę, aby ojciec przywiązywał do tego większą wagę. Był po prostu...

Nieczułym megalomańskim starym prykiem, dokończył w myślach Michael.

– Dlaczego tu jestem? – spytał na głos.

Pytanie najwyraźniej ją zaskoczyło:

– Słucham?

– Dlaczego tu jestem?

Popatrzyła na niego i zaczęła coś mówić, ale zaraz zamknęła usta i chwilę zbierała się w sobie.

– Jesteś tu, Michaelu, ponieważ wydaje mi się, nie, wiem, że mój ojciec oszalał i zabił człowieka. Dla zabawy. Dla sportu. Podczas czegoś w rodzaju chorego, perwersyjnego polowania na ludzi. Dlatego tu jesteś.

Następnie wstała i z półki za ich plecami wyjęła płytę DVD, bez etykiety, bez jakiegokolwiek opisu. I się rozplakała.

2

Film trwał trzy minuty i przez cały ten czas nie poruszyła się ani nie odezwała słowem. Nie przestała jednak płakać. Milczała i nie próbowała hamować łez. Michael też siedział nieruchomo.

W najciemniejszym rogu biblioteki na wysokiej klasy laptopie spoczywającym na kolanach obejrzał egzekucję młodego mężczyzny gdzieś w górach. Słyszał męski śpiew i widział jakiś przedmiot przelatujący przez ekran: czarny worek zawiązany białym sznurkiem. Mężczyzna złapał go, włożył do środka rękę i wyjął z niego coś, co zasłaniał własnym ciałem.

Nagranie musiało być wykonane dobrej jakości sprzętem, obraz i dźwięk były ostre i wyraźne, kamera stała nieruchomo i uchwyciła w zbliżeniu białą jak śnieg twarz mężczyzny. Ten odwrócił się i kulejąc, pobiegł w ciemność. Rękami dociskał coś do piersi. Śpiew ucichł i pół sekundy później rozległ się strzał.

Padł tylko ten jeden strzał i nie dało się ocenić, czy mężczyzna został trafiony czy nie. Następnie kamera sfilmowała jego ciało na wąskim kamiennym brzegu u stóp klifu. Jego jedna ręka dotykała wody, a przedmiot, który wyjął z worka zniknął. Operator wyłączył reflektor. Kamera przez kilka sekund pokazywała rozgwieżdżone niebo nad migoczącą w świetle księżyca wodą, zanim i ona została wyłączona.

Michael wysunął płytę DVD z komputera, pamiętał, żeby dotykać tylko jej krawędzi. Położył ją na klawiaturze i wstał.

– Mogę skorzystać z toalety?

Nie patrzyła na niego.

– Trzecie drzwi po lewej... Przepraszam... przepraszam...

W dużym domu panował chłód, ale on czuł pot między łopatkami. Ruszył przestronnym korytarzem, a w łazience zamknął drzwi na klucz. Spryskał twarz zimną wodą. Szczekał zębami, a brzuch skręcał mu się jak klucz w zardzewiałym zamku. Obiecał sobie, że nie wymiotuje.

Zobaczył właśnie polowanie na człowieka aż do makabrycznego finału. Ujrzał je w wyrazistych, naturalnych kolorach z autentyczną ścieżką dźwiękową. Ogarnęła go pustka na myśl o trudnej do opisanego, lecz przepastnej różnicy pomiędzy najbardziej realistyczną produkcją hollywoodzką a rzeczywistością.

Najbardziej poruszyło go jednak nie samo nagranie, choć nie wątpił w jego autentyczność. Raczej nie chodziło o sam film, ale o piosenkę, która przypominała mu o Grozny, wymarłej stolicy Czeczenii.

We wrześniu 2007 Michael razem z Keithem Mallorym, z którym tworzyli w pracy zgrany duet, przesiedzieli nieskończone długie dni na zaszczurzonej, na wpół zawalonym strychu kościoła na przedmieściach Groznego. Keith utykał po niefortunnym spotkaniu z miną przeciwpiechotną w Iraku i zanim został starszym doradcą w S & W, pełnił funkcję majora osławionej elitarniej jednostki komandosów. Był bibliofilem, bezpośrednim przełożonym Michaela, a z czasem stał się również jego bliskim przyjacielem.

Anglik stwierdził, że konflikt, w którego centrum się znaleźli, był najdziwniejszym w jego karierze. Wypoczęte i dobrze odżywione siły rosyjskie czekały w biernej gotowości dwieście metrów na północ od tamtego kościoła, a na południu muzułmańscy rebelianci przechadzali się swobodnie wśród ruin. Kilka kobiet śpiewało, zamiatając ulicę pomiędzy rzędami rozpadających się i od dawna opuszczonych kamienic. Czysty surrealizm. Wyglądało to, jakby na chwilę wszyscy stracili zapał do walki i stali się sobie nawzajem zupełnie obojętni. Jakby po prostu cieszyli się błękitnym niebem, ciepłym letnim dniem i przerwą w działaniach wojennych.

Negocjacje, jakie Michael i Keith prowadzili z fedainami, stały w martwym punkcie. Chodziło o kwotę okupu za ekipę angielskiego Czerwonego Krzyża, którą Czeczeni dwa miesiące wcześniej pojмали jako zakładników ze szpitala polowego. S & W prowadziła negocjacje w imieniu międzynarodowej firmy ubezpieczeniowej, której klientem był Czerwony Krzyż. Mieli z Keithem jedną walizkę wypchaną używanymi dolarami i drugą, mniejszą, dla skorumpowanego oficera rosyjskiego lotnictwa, który być może przyśle po nich helikopter, jeśli zajdzie potrzeba ewakuowania lekarzy i ich samych do Azerbejdżanu. Mieli do dyspozycji podłogę pokrytą dwucentymetrową warstwą ptasich gównien, krótkofalówkę, gipsowe anioły i ikony przyniesione tu z wnętrza kościoła poniżej i okaleczone kulami karabinów maszyn-

nowych, siebie, swoje wsparcie oraz rolkę plastikowych woreczków, do których się załatwiali. Mieli również zapas wody i żywności dla astronautów.

Ofertę od żądania dzieliło już marne kilka tysięcy dolarów, ale dalsze rozmowy paraliżowało poczucie dumy porywaczy i ich niejasna struktura dowodzenia.

– *He fishes 'cause he can't fuck lady Ashley.*

Michael do dziś pamiętał słowa, jakie wypowiedział Keith na chwilę przed tym, jak wybrzmiała piosenka.

– Co?

– Jake Barnes, oczywiście. – Keith machnął mu przed twarzą kieszonkowym wydaniem książki Hemingwaya *Słońce też wschodzi*, za pomocą której obecnie zabijał czas.

– Aha.

Dawny major westchnął głęboko i odłożył książkę. Od dawna bezskutecznie próbował przekonać młodszego duńskiego kolegę do przeczytania czegoś innego niż katalogi broni, tabele balistyczne i magazyny motoryzacyjne.

Nagle przechylił głowę.

– Mike, kto to śpiewa?

Michael przyłożył oko do celownika karabinu wyborowego ustawionego przy oknie i skierowanego w stronę wojsk rosyjskich. Keith podszedł do niego na czworakach, bo strop był niski, i spojrzał przez swoją lornetkę.

Trzysta metrów od nich załoga czołgu złapała młodą muzułmankę i jej na oko siedmioletnią córkę. Byli to komandosi specnazu, łatwo rozpoznawalni przez podkoszulki w biało-niebieskie paski. Skakali i tupali w pancierz czołgu, skandując stary hit Queenów *We Will Rock You*. Ich koledzy przed czołgiem ustawili się w okręgu i popychali między sobą kobietę. Zrywali z niej kolejne części barwnego haftowanego stroju. Dziewczynka siedziała między nogami żołnierza stojącego przy wieżyczce i z płaczem odwracała głowę. Żołnierz podniósł ją, wykręcił jej ręce do tyłu i próbował ją pocałować, przytykając jej pistolet do szyi. Kilka metrów dalej jej naga matka krzyczała przerażona.

Keith zaczął się cofać.

– Mike, to nie jest nic osobistego. Tak działa terror. Odsuń się od tego okna. Odsuń się, mówię!

Pierwszy z żołnierzy zgwałcił matkę, dociskając ją do czołgu. Spodnie moro leżały na jego butach, a kobieta tyłem głowy uderzała o pancerz. Michael widział jej bezwładne ramiona i szeroko rozwarte nogi po obu stronach napierającego ciała mężczyzny. Miał opalone przedramiona i szyję, reszta ciała była blada i pokryta niebieskimi amatorsko wyglądającymi tatuażami.

W kolejce czekało czterech następnych.

Mężczyzna na czołgu wsunął dziewczynce do ust lufę pistoletu, a drugą ręką rozpinał rozporek.

Keith szarpnął go za rękę. Michael wiedział, że strzelbą snajperską trafiłby podskakującą głowę żołnierza bez ryzyka, że oberwie matka.

Ale to by pogrzebało ich szanse na ocalenie ludzi z Czerwonego Krzyża.

Był gotów to zrobić, bez względu na wszystko. Wsunął nawet nabój do komory i wtedy Keith wyszarpnął mu karabin z rąk i przez zęby wycedził mu wprost do ucha szereg zdań racjonalnych i przerażających. Następnie założył słuchawki, chociaż ich częstotliwość była martwa. Michael wpełzł w najbardziej odległy kąt strychu i przycisnął dłonie do uszu.

Gdy wrócił do biblioteki, Elizabeth Caspersen przesuwiała między palcami ciasno zwiniętą chusteczkę do nosa. Usiadł w fotelu, splótł dłonie na kolanach i opanował drżenie.

– Co powiesz o tym nagraniu? – spytała.

– Myślę, że jest autentyczne – przyznał i spojrział na swoje ręce. – Mam tu na myśli, że ktoś sfilmował zbrodnię. Na pierwszy rzut oka powiedziałbym, że ten film to rodzaj trofeum myśliwskiego.

– Boże.

Spojrzała w sufit i po jej policzkach ponownie popłynęły łzy.

– Myślę, że twoje odczucie jest podobne – dodał. – Inaczej bym tu nie siedział.

Elizabeth popatrzyła na chusteczkę owiniętą ciasno wokół palca.

– To prawda. Ale miałam nadzieję... Sama nie wiem, na co liczyłam. Chociaż tak, wiem, liczyłam, że stwierdzisz, że to była inscenizacja. Że to tylko film... Bardzo dziwny, ale jednak film.

– Gdzie to znalazłaś?

Wstała i podeszła do weneckiego lustra. Odsunęła je od ściany i wskazała białe metalowe drzwi z klawiaturą.

– Adwokaci ojca są w trakcie inwentaryzacji spadku. Opróżniliśmy skrytki bankowe przy Kongens Nytorv i do podliczenia został tylko jego prywatny sejf.

– Znałaś kod? – Michael zdziwił się, że Caspersen trzymał taki materiał w swoim sejfie. Osobiście uważał, że coś takiego należało zamknąć w podziemnym bunkrze atomowym.

– Pracownik zakładu pogrzebowego go znalazł. Ojciec wytatuował sobie kod na wewnętrznej stronie ramienia.

Wydmuchala nos.

Michael zmarszczył czoło.

– Naprawdę? Czyli kiedy szedł popływać, to każdy, kto miał teleobiektyw, mógł go sobie...

– Kod był bezużyteczny, jeśli ktoś nie wiedział, że liczby trzeba pomnożyć razy jedenaście i podzielić przez trzy, tak jak jego data urodzin – przerwała mu.

– Aha.

Mimo wszystko uważał, że to było zbyt oczywiste. To jak ustawić sobie imię swojego psa jako hasło do komputera. M-U-R-Z-Y-N.

– Co zrobiliście z ciałem?

– Chciał zostać skremowany.

– Zrobiliście sekcję?

– Tak.

– I?

– Nic. Powiedzieli, że to był zator tętnicy wieńcowej.

– No tak...

Wstał i dokładnie obejrzał sejf. Nowszy model marki Chubb ProGuard. Doskonały produkt zaklasyfikowany do tych, których nie da się otworzyć w czasie krótszym niż trzy minuty, nawet jeśli się jest technikiem z Chubbs. Drzwi były białe, gładkie i w stanie nienaruszonym.

– Pokazywałaś ten film jeszcze komuś?

– Oczywiście, że nie! Nie pojmuję, że ojciec mógł zrobić coś takiego. Chociaż czy to nie typowe?

– Co?

Z jej rzęs powoli skapywały łzy.

– To, że ludzie bardzo zamożni... Wiem, jak łatwo stracić kontakt z rzeczywistością, kiedy ktoś żyje w bańce tak, jak pod koniec żyli moi rodzice. Ani ojciec, ani matka nie mieli pojęcia, ile kosztuje litr mleka.

– Nie wiem, czy to typowe. I nie ma pewności, że to twój ojciec.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– W przeciwnym razie chyba by tego nie trzymał? Przecież jego tam wi-
dać!

– Widać połowę baku, kawałek ucha, kapelusz, fragment rękawa i nad-
garstek – zauważył łagodnym tonem. – To może być ktokolwiek.

– Ojciec miał właśnie taki kapelusz! Wiem, że to on.

– Wszyscy myśliwi mają takie kapelusze – obstawał Michel.

Elizabeth otworzyła drzwi sejfu na oścież, wyjęła płaskie pudełko na bi-
żuterię i otworzyła je. Na granatowym jedwabiu złotymi literami wybito na-
pis „Cartier-Paris”.

– Leżała tutaj.

– Wolałbym, żebyś więcej nie dotykała tego pudełka ani płyty – powie-
dział poważnym tonem.

Spojrzała na niego i dopiero to do niej dotarło. Wykonała gest, jakby
chciała rzucić pojemnik w kąt.

– Spokojnie – powstrzymał ją i wyjął z torby foliową torebkę. Elizabeth
ostrożnie wsunęła do niej etui.

– Oczywiście, odciski palców. I pomyśleć, że jestem adwokatką. Boże
drogi.

– Nie tylko odciski, również włókna, komórki, naskórek i tym podobne.
Ale nie bądź dla siebie taka surowa. Lekarze też czasem nie zauważają
guza, który się rozwija w nich samych. To szczególny rodzaj ślepoty.

– Mów mi jeszcze – stwierdziła gorzko.

– Co chcesz, żebyśmy zrobił z tym filmem?

Zawahała się.

– Chciałabym, żebyś się dowiedział, czy to mój ojciec. Żebyś się dowie-
dział, kim jest zamordowany przez nich człowiek oraz kto jeszcze w tym
uczestniczył. To jest to, na czym mi zależy i dlaczego tu jesteś. Muszę się
dowiedzieć, czy ten młody człowiek miał jakichś bliskich, którym mogę
pomóc.

– Finansowo?

– Pod każdym względem. Co ty zobaczyłeś na tym nagraniu? I czy nadal
jesteś gotów wziąć to zlecenie?

Wyjrzał za okno.

– Chcę się tym zająć. Mimo że zadanie jest skomplikowane i pewnie bę-
dzie wymagało sporo wsparcia z zewnątrz – zastrzegł i zaraz dodał: – Ale

nie podejmowałbym się tej sprawy, gdybym nie uważał, że mam szansę ją rozwiązać. To zadanie nie narusza mojego osobistego kodeksu. Twój ojciec nie żyje, więc nie będzie mógł zostać osądzony i ukarany.

– Nie w tym świecie – przytaknęła.

– Właśnie. Dowiem się, kim jest ofiara, a myśliwych będę ścigał do skutku. Gdy już ich znajdę, będzie można ich oskarżyć i skazać.

– Pod warunkiem, że da się im cokolwiek udowodnić – przypomniała mu. – Albo zmusić do przyznania się do winy.

– Tak, o to drugie pewnie będzie łatwiej – przyznał. – Na pierwszy rzut oka obstawiałbym, że ci ludzie mają przeszkolenie wojskowe. Używają celowników laserowych, które są co prawda do zdobycia również przez cywilów, ale wydaje mi się mało prawdopodobne, że wszyscy dostaliby taki sprzęt, gdyby chodziło o grupę zwykłych obłąkanych myśliwych uczestniczących w jakimś zorganizowanym polowaniu na przypadkową ofiarę. Widać również rękaw osoby stojącej obok operatora. To rękaw wojskowego munduru kamuflującego. Do tego mamy szereg innych, pojedynczych szczegółów, jak chociażby piosenka i tak dalej. Jestem niemal pewien, że to żołnierze albo byli żołnierze.

– Słyszałeś kiedykolwiek o polowaniu na ludzi dla sportu? Przecież to nienormalne. Chore.

Ludzkie safari? Nie, Michael nigdy nie słyszał o czymś takim, a gdyby ktoś mu o tym powiedział, uznałby to za miejską legendę jak te opowieści o filmach z prawdziwych zbrodni dostępnych w sieci, *snuff movies*. Tylko że właśnie widział i jedno, i drugie, i wiedział, że ten film jest autentyczny.

Wiedział również, że niektórzy żołnierze mentalnie nigdy nie wracali z frontu. Albo od początku byli inni, albo wojna ich zniszczyła. Niektórzy wycofywali się ze społeczeństwa, wyprowadzali na pustkowia i zostawiali odludkami. Inni znajdowali zatrudnienie w firmach ochroniarskich. W swojej karierze niejednokrotnie spotykał się z wybitnymi zawodowcami, którzy byli zdecydowanie z innego świata i w większości zapomnieli, jak funkcjonuje ten.

– Nigdy wcześniej o tym nie słyszałem – odparł wreszcie.

– Masz jakiś pomysł, gdzie to może być?

– Krajobraz jest arktyczny, ale to, jak wiadomo, szerokie pojęcie. Może oznaczać zarówno Patagonię, jak i Alaskę. Nagranie może pochodzić również z obszarów górskich spoza Arktyki. On coś do nich krzyczy, ale nie jestem w stanie rozróżnić ani języka, ani tym bardziej poszczególnych słów.

– Mimo to sądzisz, że jesteś w stanie się tego dowiedzieć? – spytała bez większej nadziei. – Tego wszystkiego?

– Tak, myślę, że tak – Michael nie miał wątpliwości.

– W jaki sposób?

– W pierwszej kolejności zbadam film za pomocą programów wizualnych. Myślę na przykład, że być może miejsce zdarzenia uda się namierzyć na podstawie układu gwiazd widocznych pod koniec nagrania.

Elizabeth znów wytarła oczy chusteczką i popatrzyła na półkolisty sufit.

– Może powinnam po prostu pójść na policję.

– Może. – Michael uśmiechnął się, chcąc jej dodać otuchy. – Ale najpierw daj mi dwa tygodnie. Niewykluczone, że ostatecznie włączenie w to policji okaże się konieczne. Oni dysponują środkami, których ja nie mam. Z drugiej strony muszą działać w ramach zasad cywilizowanego społeczeństwa, które mnie nie obowiązują.

– To znaczy, że jesteś niecywilizowany?

– Potrafię być dość niecywilizowany, zgadza się.

– Dobrze. Masz zatem dwa tygodnie. Co zrobisz z tym pudełkiem?

– Wyślę je do prywatnego laboratorium kryminalistycznego w Bernie. Jeśli są na nim ślady DNA, oni je znajdą, a jeśli są odciski palców, inne niż twoje oczywiście, to je zdejmą.

– Ale chyba nie wyślesz im tej płyty – przestraszyła się.

– Jasne, że nie. Sam mogę sprawdzić, czy na dysku są inne odciski palców oprócz twoich. Nie jestem kryminalistyką, ale mam folię i trochę argenteratu.

Elizabeth bez przekonania pokiwała głową.

– Nie wiedziałam, że coś takiego istnieje – powiedziała niepewnie. – Prywatne laboratoria kryminalistyczne. Z drugiej strony nie miałam pojęcia, że istnieją tacy ludzie jak ty.

– W Szwajcarii za pieniądze można kupić wszystko – zapewnił ją Michael. – Co mi przypomina, że powinnaś zlecić komuś zbadanie prywatnych rachunków twojego ojca. Jeśli dokonywał jakichś transakcji z Liechtensteinem, Wyspami Normandzkimi, Kajmanami czy innymi rajami podatkowymi, to może być dla nas interesujące.

Nadymała policzki i wydmuchała cienki strumień powietrza.

– Oczywiście. Jak daleko wstecz?

– Powiem ci, gdy tylko będę wiedział. Mogę zobaczyć jego broń?

– Oczywiście.

Wstała, ale zaraz z powrotem usiadła.

– Przecież to niepojęte! – jęknęła z bezsilności i wskazała na płytę. – Jak ktokolwiek mógł zrobić coś takiego?

– Elizabeth, ty jesteś normalna, więc to oczywiste, że tego nie rozumiesz. Ja też tego nie pojmuję, chociaż kilka razy zdarzyło mi się... polować na ludzi, w pewnym sensie. Tylko to były prawdziwe kanalie. Tymczasem ludzie, którzy żyją w izolacji, a z tego, co mówisz, tak właśnie żył twój ojciec, i którzy zadają się tylko z podobnymi sobie, dość szybko nabierają przekonania o własnej wyższości i nietykalności. Takie osoby przestają funkcjonować w zwyczajnej, powszechnie przyjętej rzeczywistości i tracą poczucie, że obowiązujące w niej zasady dotyczą również ich.

– Na przykład miliarderzy?

Michael rozłożył ręce.

– Albo politycy, którzy nigdy nie mieli zwykłej pracy, saudyjscy książęta czy trzydziestodwuletni piłkarze, którzy co tydzień kopiąc piłkę przez dwie godziny zarabiają roczny dochód szarego człowieka. Świat oglądają wyłącznie z okien klubowego autobusu albo własnego astona martina. Mówimy im, że są półbogami, i oni w końcu w to wierzą. Ich dwór pilnuje, aby rzeczywistość zbyt nie zbliżyła się do nich, i wyszukuje dostawców gotowych spełnić ich najdziwniejsze fantazje.

– Jak ludzkie safari?

– Albo dziewice, zabytkowe bugatti czy proszek z rogu nosorożca.

Fleming Caspersen oczywiście nie miał zwykłej szafki na broń, ale cały arsenał urządzony w piwnicy domu. Tutaj również ściany były obwieszane trofeami, pośrodku stały masywne skórzane fotele, a na regałach królowała literatura myśliwska. Między nimi stały duże mahoniowe szafy z przeszklo-nymi drzwiami zamykanymi na klucz, widać było, że wykonane na zamówienie. Słowem, ostentacyjnie męska jaskinia.

Michael lubił broń. Podziwiał funkcjonalność, niezawodność i precyzję poszczególnych jej rodzajów i sam rozwój uzbrojenia uważał za fascynujący. Za szlifowanym szkłem w szafkach Caspersena zobaczył karabiny i strzelby warte średnią roczną pensję albo dwie, aż poczuł, jak ślinka mu cieknie na ten widok. Poprosił o klucze i w rękawiczkach otwierał kolejne szafki. Każdą sztukę broni wyjmował, otwierał zamek, oglądał wnętrze lufy, celując nią w stronę górnego światła, i obwąchiwał baskile, magazynki i zamki. Z ostatniej szafki wyjął sztucer z zamontowanym celownikiem

optycznym, odciągnął łożę i zaskoczony złapał wyrzucony z magazynka nabój. Odciągnął zamek do końca i uważnie obejrzał gwint lufy, zanim ostrożnie oparł broń o ścianę.

Przejrzał jeszcze pozostałe szafki, otworzył każdą z szuflad i obejrzał pasy na naboje, najróżniejsze rodzaje celowników i pudełka z amunicją.

Na koniec wskazał na stojący przy ścianie sztucer:

– Ten karabin niech tak zostanie. Nie chowaj go i nie pozwól nikomu go dotykać, dobrze?

– Dobrze, ale dlaczego?

– To świetna broń – wyjaśnił. – Mauser zero trzy. Nowoczesny karabin wysokiej jakości, ale dość pospolity w porównaniu z perełkami, jakie znajdują się w kolekcji twojego ojca. Nie ma na nim na przykład grawera jak na pozostałych egzemplarzach. Poza tym ta broń nie jest pod żadnym względem lepsza od pozostałych. Ma porządny teleskop Zeiss z noktowizorem. Pewnie właśnie taką broń wybrałbym, gdybym miał...

– Polować na człowieka – dokończyła.

Przytaknął z powagą.

– Nie przyciąga uwagi i jako jedyna tutaj nie jest wyczyszczona ani naoliwiona, więc już choćby z tego powodu warto jej się przyjrzeć. W lufie zostały resztki prochu, a w magazynku naboje, co jest grzechem śmiertelnym. Wyjąłem jeden. Wyślę go do Berna razem z pudełkiem na biżuterię. Kto wie, może nam się poszczęściło. Będę również potrzebował czegoś, na czym znajdę odciski palców twoje i twojego ojca.

– Może być pióro?

– Pióro nada się znakomicie.

Michael wskazał na mały stolik z napoczętą butelką whisky i kryształową szklanką. Na jej dnie zaschnął brązowy osad.

– Domyślam się, że to twój ojciec się tu raczył tym trunkiem?

– Nie sądzę, żeby kogokolwiek tu zapraszał – przytaknęła. – To była jego pustelnia, tu medytował. Sama jestem tu pierwszy raz od jego śmierci. Wszyscy wiedzieliśmy, że to jego przestrzeń, i akceptowaliśmy to, że nie wolno nam tu wchodzić.

– Gdy pozwolisz mi zabrać tę szklankę, to myślę, że jeśli chodzi o odciski, będę miał wszystko, czego potrzeba.

Michael rozejrzał się po pokoju i szybko znalazł bogaty asortyment śrubokrętów i szczypców do wytwarzania amunicji. Jednymi obcęgami złapał

końcówkę naboju, a drugimi wyjął z niego pocisk. Proch wysypał do szuflady, a łuskę schował do małego plastikowego woreczka.

Elizabeth patrzyła na sztucer z odrazą.

– Myślisz, że to była ta broń?

– Możliwe. Ale chciałbym jeszcze obejrzeć nagrania z tamtego włamania, o ile to możliwe.

– Zdobędę je dla ciebie.

Podał jej adres hotelu, w którym zawsze się zatrzymywał, kiedy był w Kopenhadze.

– Najlepiej do jutra – dodał.

– Oczywiście – potwierdziła mechanicznie.

Odprowadziła go do głównych schodów, chyba próbowała się uśmiechnąć, ale ostatecznie stała tylko ze skrzyżowanymi rękami i wzrokiem wbitym w posadzkę.

Michael pomyślał, że od załamania dzieliło ją jedno nieostrożne słowo. O wiele za długo samotnie dźwigała ten ciężar i pewnie przez cały ten czas ścierały się w niej sprzeczne interesy i najróżniejsze punkty widzenia. Poza tym nie miała przecież pewności, czy rzeczywiście mogła mu zaufać. Gdyby to DVD przedostało się do opinii publicznej, wówczas ona, jej mąż i ich dzieci już zawsze musieliby żyć w cieniu tej zbrodni. Media by ich ukrzyżowały i nigdy nie pozwoliłyby Elizabeth Caspersen zapomnieć o tym, że jej ojciec, znany biznesmen, był w istocie psychopatycznym mordercą.

Już samo to, że się z nim skontaktowała, zamiast zniszczyć płytę w nadziei, że nie istnieją kopie, było godne podziwu. Michael wiedział, że sam pewnie by się na to nie zdobył.

3

Po tym spotkaniu Michael jeszcze długo siedział w samochodzie pod jednym z obsypanych pąkami drzew. Zdjął marynarkę i poluzował krawat. Było nienaturalnie ciepło. Wsunął płytę do odtwarzacza i słuchając Joan Armatrading, wypalił trzy z ośmiu papierosów stanowiących jego dzienną dawkę. Tyle przydzieliła mu żona. Popatrzył na torbę z komputerem i nie miał wątpliwości, co by powiedział Keith Mallory na to, że przyjął takie zlecenie: *Don't forget your kevlar, Mike.*

Tylko że Michael nie dysponował kamizelką kuloodporną i nie był uzbrojony. Broń palna miała tę wadę, że nieprzewidziane sytuacje zmieniała w nagłe tragedie.

Był natomiast przekonany, że tamci myśliwi polujący na ludzi to czynni lub byli żołnierze. Zawodowi żołnierze tworzyli rodzaj subkultury, mieli własne piosenki, specyficzne powiedzenia, fryzury, tatuaże i własny slang. Tę konkretną piosenkę Michael słyszał w innych miejscach poza Groznym. To hymn zwycięstwa znany komandosom z wielu krajów.

Młodzi żołnierze po trudnych misjach szukali środowiska, które dałoby im poczucie wspólnoty porównywalne z tym na wojnie. Bo nic innego nie było już w stanie ich zadowolić. Często okazywało się, że wyjechać na misję było łatwo, ale powrót do domu okazywał się niemożliwy zwłaszcza jeśli wśród rodaków nie było powszechnej zgody co do zasadności ich udziału w wojnie.

Michael zetknął się ze zjawiskiem czegoś w rodzaju uzależnienia od walki. Młodzi mężczyźni i kobiety błagali albo wręcz zebrali o możliwość ponownego wyjazdu. Na misjach powierzano im kosztowny i zaawansowany technicznie sprzęt, a po powrocie kazano na przykład zamiatać podłogi w koszarach. Trzeba pamiętać, że to było pokolenie pozbawione autorytetów. Rodzice i nauczyciele nie potrafili już albo nie mieli odwagi tych dzieci wychowywać, więc ci ludzie dorastali w świecie bez wymagań,

ostrzych kantów i konturów. W wojsku otrzymali kompetentne, mocne wzorce do naśladowania, odpowiedzialność, cel i braterstwo. Niektórzy dopiero w wojsku odnaleźli coś na kształt rodziny.

Pod wieloma względami mieli pod górkę. Ich pojęcie o świecie było z góry fałszywe. Zanim padły pierwsze strzały i pierwsi koledzy poległi albo odnieśli ciężkie rany, ci młodzi ludzie sądzili, że z każdej opresji zawsze wyjdą nietknięci, gdy tylko ktoś zrestartuje komputer.

Michael zostawił samochód przy stacji Hellerup i do Nørreportu pojechał kolejką miejską. Gdy za jego pobyt w Kopenhadze płacili klienci, zawsze zatrzymywał się w Hotelu Admiral. Miejscu dogodnie położonym w samym centrum miasta, stosownie drogim i wygodnym oraz oferującym kąpiel dla duszy i zawsze ciekawy widok na port.

Idąc nieśpiesznie Frederiksborggade, obserwował tłumy ludzi korzystających z wiosennego słońca na Kultorvet. Było ciepło i bezwietrznie. Trwał okres przejściowy między puchówkami, kozakami i czapkami a koszulami, tiszertami, dzinsami i letnimi butami. Jego wzrok przykuły trzy kobiety sadowiące się właśnie przy stoliku w kawiarni na środku skweru. Ta pośrodku miała kasztanowe włosy, długie nogi, na które włożyła dopasowane spodnie, do tego szerokie biodra, obfity biust, proste plecy i wąską talię charakterystyczną dla sylwetki klepsydry. Jej karnacja była jasna, typowa dla rudzielców, a na jej skórze widać było duże piegi. Pokrywały zarówno twarz, jak i wypukłości piersi, co mógł stwierdzić, kiedy się schyliła po dzwoniący w torebce telefon i w rozpięciu koszuli ukazał się fragment białego koronkowego stanika. Kobieta odgarnęła ręką włosy do tyłu, przystawiła aparat do ucha, a jej zielone oczy przesunęły się obojętnie po Michaelu. Po chwili zarówno jej wzrok, jak i twarz zastygły.

Zadzwoił również telefon Michaela. Gdy odebrał, w słuchawce usłyszał krótkie gulgoczące dźwięki. Znieruchomiał i zmarszczył czoło.

– Halo?

Bulgotanie zostało przerwane głośnym kichnięciem.

– Mówi Michael Sander... – dodał.

– Słyszałeś? – przerwała mu żona.

– Czy co słyszałem?

– Julie o ciebie pytała.

– Saro, ona ma półtora roku. Szczerze mówiąc, myślałem, że ktoś nadepnał na chomika.

- Michael, przysięgam, że zaczęła mówić.
 - Okej.
 - Ty palisz?
 - Nie w tej chwili.
 - Czego ona chciała? – Głos Sary stał się mroczniejszy.
 - Zlecić mi zadanie – odparł Michael i wytarł pot z czoła. – Zgodziłem się.
 - Będziesz musiał wyjechać?
 - Prawdopodobnie tak.
- Kobieta odstawiła torebkę i spojrzała na wystawę sklepu obuwniczego.
- Na długo? – spytała Sara.
- Michael zdjął krawat i schował do kieszeni marynarki.
- Możliwe. To złożona sprawa.
 - Niebezpieczna?
 - Tak.
- Słyszał, jak jego żona odkłada małą i jak w tle jego czterolatek krzyczy coś do psa.
- Obiecuj, że będziesz na siebie uważał – poprosiła.
 - Oczywiście.
 - Kocham cię.
 - Ja ciebie też, Saro.

W lobby Hotelu Admiral było Wi-Fi, więc Michael znalazł sobie spokojny kąt i napisał długiego maila do laboratorium kryminalistycznego w Bernie. Potem owinał w sreberko woreczek z łuską naboju sztucera Flemminga Caspersena i poprosił portiera o dużą kopertę bąbelkową, w której umieścił szklankę po whisky, łuskę, pióro Elizabeth i pudełko na biżuterię. Poprosił portiera, żeby jak najszybciej wysłał to wszystko FedExem, i dla podkreślenia wagi tego polecenia położył na ladzie pięćset koron napiwku. Portier uśmiechnął się i obiecał załatwić tę sprawę od ręki.

W swoim pokoju Michael otworzył drzwi balkonu francuskiego i popatrzył na kopenhaski port, mosty, dzielnicę Christianshavn i spokojną taflę Sundu hen za tym wszystkim. Wziął długi prysznic, a potem, opatulony w gruby hotelowy szlafrok, położył na biurku laptop, długopis i notes.

Pędzlem nałożył na płytę proszek daktyloskopijny, zdmuchnął ostrożnie jego nadmiar i przyjrzał się małym plamkom z kręgami i kształtami pozostawionymi przez linie papilarne. Specjalną folią zdjął odciski z dysku i

obejrzał je pod światło wpadające przed drzwi balkonowe. Odciski były małe, jednolite i owalne. Obstawił, że należały do kobiety, i był pewien, że w grę wchodziła tylko jedna.

Zamierzał wysłać folię z odciskami do Berna i poprosić o porównanie ich z odciskami zabezpieczonymi na piórze Elizabeth Caspersen.

Potem wielokrotnie obejrzał nagranie, odnotowując szczegóły, które mu umknęły za pierwszym razem oraz ten jedyny, przekrzywiony i trwający kilka sekund obraz, na którym kamera uchwyciła samego klienta. Został ujęty z prawej strony, po skosie od tyłu. Na ekranie widać było połowę kapelusza myśliwskiego z szerokim rondem i piórami zatkniętymi za wstążkę. Poniżej ronda widać było fragment ucha, siwy, starannie przystrzyżony bak – identyczny jak na portrecie milionera wiszącym w jego domu w Hellerupie. Zielonkawy rękaw, dłoń obleczone w rękawiczkę i fragment kolby strzelby. Michael wyciął pojedyncze fragmenty z nagrania i próbował różnych ustawień światła, rozdzielczości, kontrastu. Wynik za każdym razem był co najwyżej niejednoznaczny. Kształt małżowiny usznej był na przykład cechą niesłychanie indywidualną, ale na nagraniu większą jej część skrywał kapelusz i kołnierz kurtki.

Próbował się dopatrzyć zegarka między rękawem a rękawiczką, ale stwierdził, że osoba na filmie go nie miała. Nawet broni nie sposób było zidentyfikować. Błysk z lufy obejrzał z dziesięć razy, zatrzymując obraz i przewijając go to w przód, to w tył. Nie miał wątpliwości, że to sztucer. Płomień był dłuższy i bardziej żółty niż z karabinu wojskowego o mniejszym kalibrze.

Pozostali myśliwi byli widoczni tylko jako nierówne przypadkowe cienie na ziemi, jeśli akurat dostali się w snop światła czołówki albo projektora kamery. Wyglądało na to, że stali w szeregu i wnosząc z liczby laserowych celowników, było ich sześciu plus klient. W pewnym momencie operator kamery się poślizgnął i obiektyw przesunął się po najbliższej stojącej osobie, ale gdy tylko odzyskał równowagę, wyrównał obraz. Michael raz jeszcze odtworzył tę krótką sekwencję. Przez pole widzenia przesunęło się coś białego i różowawego. Zatrzymał obraz. Noga, prawa noga w stroju maskującym z zakrwawionym opatrunkiem polowym zawiązanym na udzie tuż poniżej pachwiny.

Zatem operator został ranny.

Michael raz jeszcze odtworzył końcówkę. Ofiarą był młody ciemnowłosy mężczyzna. Otworzył usta w niemym krzyku, a potem odwrócił się i sko-

czył w przepaść, dociskając do piersi zawartość czarnego worka. Był przed trzydziestką, a jego ciało – dobrze zbudowane i wysportowane. Miał na sobie odpowiednią odzież wierzchnią. Kiedy ponownie znalazł się w obiektywie kamery, wyglądał jak bezwładna szmaciana lalka na brzegu czegoś, co wyglądało na fiord, ujście szerokiej rzeki albo fragment wybrzeża szkierowego.

Przewinął film od początku i powiększył ujęcie prawej stopy ofiary w pierwszej części nagrania. Była bosa, blada i wysmarowana czymś ciemnobrązowym, co wyglądało na zaschniętą krew. Po ruchach mężczyzny nie było widać, aby był ranny, ale mógł też być tak nabuzowany adrenaliną, że pobiegłby na połamanych nogach. Na lewej stopie miał porządny but trekkingowy z niebieską sznurówką.

Choć były to wciąż bardzo skąpe informacje, Michael był pewien, że wyciągnie z tego nagrania znacznie więcej. Na ostatnich ujęciach widział wyraźnie gwiazdy oraz całą sylwetkę mężczyzny.

Zatrzymał nagranie i zaczął się przechadzać po pokoju. Potem wypakował na łóżko torbę podróżną i uśmiechnął się, widząc lektury, jakie wybrała mu na podróż Sara. Razem z przyjaciółką prowadziły mały, ale wypełniony po sufit antykwariat z nietypowymi godzinami otwarcia wypisanymi na drzwiach. Ich biznes mieścił się przy głównej ulicy małego miasteczka na Fionii, gdzie oboje mieszkali i gdzie on sam dorastał. Jego żona, podobnie jak Keith Mallory, miała nadzieję wydostać Michaela z bezkresnego literackiego marazmu, ale zawsze podsuwała mu dzieła, których głównymi tematami były opresja, zmarnowane szanse oraz subtelne kobiece tęsknoty i bólaczki. Tym razem włożyła mu do torby *Panią Bovary* Flauberta. Poprzednim razem zapakowała mu powieść Jane Austen, a jeszcze wcześniej – tomik poezji Emily Dickinson. Michael pokręcił głową i wrzucił *Panią Bovary* z powrotem do torby, a na szafce nocnej położył przemycony ukradkiem kryminał Jo Nesbø.

Wrócił do komputera. Kiedy Elizabeth Caspersen spytała go, czy będzie w stanie zlokalizować miejsce zdarzenia, odparł, że to kwestia geometrii albo raczej trygonometrii. Bo zasadniczo tak właśnie było: na podstawie pikseli ustalił wzrost ofiary na metr osiemdziesiąt pięć, porównując jego sylwetkę z rozmiarem zegarka, guzików kurtki maskującej i okularów słonecznych zawieszonych na jego szyi. Potem uważnie przyjrzał się krajobrazowi widocznemu przez kilka sekund od wyłączenia projektora do wyłączenia nagrywania. Pod drugiej stronie wody dostrzegł parę charakterystycz-

nych żółtych świateł należących zapewne do samochodu albo ciężarówki. Czyli za wodą biegła droga, chociaż sam brzeg poniżej urwiska był nagi i kamienisty. Na wodzie unosiły się pojedyncze kry, w których załamywało się światło. Porównując długość leżącego na brzegu ciała i znów licząc piksele, oszacował wysokość klifu na jakieś sto metrów.

Powiększył obraz gwiazd i planet nad niskimi pagórkami, a zmieniając kąty, udało mu się wyłonić jeszcze więcej ciał niebieskich. Ktoś z odpowiednią wiedzą mógłby dokonać obliczeń na podstawie względnego położenia gwiazd według almanachów astrologicznych oraz wysokości punktu obserwacyjnego nad poziomem morza i ustalić geograficzne położenie miejsca zdarzenia z dokładnością do paru kilometrów, zaś czas zdarzenia – do kilku minut lub nawet sekund.

Czuł, że jest na dobrej drodze. Powycinał fragmenty nocnego nieba, zapisał je na dysku USB i rozejrzał się w poszukiwaniu bezpiecznej skrytki dla płyty. Mógł ją oczywiście zdeponować w hotelowym sejfie, ale gdyby jakiś wścibski pracownik uległ pokusie zajrzenia tam, miałyby to niewyobrażalne konsekwencje. Spojrzał na sklepienie. Podłogę od kalenicy dzieliło jakieś pięć metrów, a oryginalne belki były efektownie wyeksponowane. Przysunął stół na środek podłogi i postawił na nim krzesło. Płytę włożył do koperty z hotelowej papeterii, kopertę włożył między zęby i wspiął się na konstrukcję. Na jednej z belek wymacał dłonią grubą warstwę nietkniętego kurzu i w szczelinę między nią a drugą belką wsunął kopertę. Następnie przyjrzał się skrytce z każdej strony. Z podłogi nie sposób było jej wypatrzyć.

Zadowolony z poczynionych postępów, Michael przejrzał najnowsze roczne rozliczenia Sonarteku wraz ze zmianami cen na rynkach finansowych, po czym zadzwonił do swojej ulubionej wyroczni w kwestiach gospodarczych: Simona Hallberga, dziennikarza „Berlingske Tidende”. Ten młody człowiek miał wrodzony talent do researchu i dysponował imponującą siecią międzynarodowych kontaktów. Michael od lat polegał na wybitnej wiedzy Hallberga, również w czasach, gdy pracując dla S & W sprawdzał wiarygodność kredytową firm. Wiedział, że gotowość do współpracy rzutkiego dziennikarza była uwarunkowana wpłatą dwóch tysięcy euro na konto w Liechtensteinie. Simon Hallberg był smakoszem, entuzjastą wina i miłośnikiem drogich hoteli, a tajne konto pozwalało mu na podróże na poziomie.

Umówili się na spotkanie następnego dnia i Michael natychmiast przelał mu honorarium.

Resztę popołudnia spędził, buszując na oślep w deep webie. Próbował najróżniejszych kombinacji ze słowami takimi jak SAFARI, SNUFF, MAN HUNTING, LIVE, SOLDIER, MERCENARY, REAL, TARGET, HUMAN, KILLING, BOUNTY, EXPERIENCE, UNIQUE, LIFETIME. Przebrnął przez szeroki asortyment treści dowodzących niewyczerpanego potencjału ludzkiej głupoty i perwersji, ale nie znalazł niczego, co byłoby warte zgłębienia.

Zamówił do pokoju kanapkę i piwo i szukał dalej, do czasu, gdy siedział już tylko i kiwał głową, a jego mózg dawno przestał pracować. Hotelowe łóżko nagle zaczęło go niesamowicie kusić. Postanowił zrobić sobie krótką przerwę i zdrzemnąć się na dosłownie kilka minut. Taka była jego ostatnia przytomna myśl, zanim niedziela 15 kwietnia zmieniła się w poniedziałek 16 kwietnia.

4

Obudziła go ta piosenka. Albo kac. Albo pełny pęcherz. Kim Andersen wsparł się na łokciu i popatrzył na śpiącą twarz swojej świeżo poślubionej małżonki.

Potem usiadł na łóżku. Pokój zawirował. Żeby pozbyć się tego uczucia, wbił wzrok w komodę. Na podłodze leżała marynarka galowego munduru Gwardii Królewskiej. Jasnoniebieskie spodnie wciąż miał na sobie, a szelki plątały mu się między nogami. Po weselu zostali odstawieni do domu o czwartej rano. Pijani, tak bardzo pijani i nieskończenie szczęśliwi.

Znowu popatrzył na ładną twarz na poduszce. Louise trwała przy nim niezmiennie. Kiedy wracał z Kosowa, Iraku czy Afganistanu, z nieba i piekła na ziemi. Była przy nim, kiedy czuł największą pustkę i wyobcowanie, kiedy za dużo pił, kiedy dręczyły go koszmary, w środku nocy wyciągały go z łóżka i zmuszały do długich wędrówek po lesie, dopóki nie zrobiło się jasno i normalnie. A teraz byli małżeństwem. Czuł się szczęśliwy. To był nowy, lepszy początek.

Sikając, patrzył na siebie w lustrze. Jego włosy były świeżo przycięte i wilgotne od potu. Na twarzy widać było cień zarostu na brodzie i szkliste, przekrwione oczy. Impreza się udała i bawili się na niej dosłownie wszyscy: ich rodziny, koledzy Louise ze szkoły, jego dawni kompani z wojska, przyjaciele z koła łowieckiego, koledzy z warsztatu i majster z żoną.

I ta piosenka.

Zapiął rozporek i pomyślał, że to mu się śniło. Nie mógł jej słyszeć na swoim weselu. Była ściśle zabroniona w ich wspólnym życiu. Wszedł do niskiego salonu i wyjrzał przez okno. W całym domu panowała absolutna cisza. Odetchnął. To był tylko sen.

Chwiejnym krokiem wszedł do kuchni, zrobił sobie filiżankę kawy rozpuszczalnej i popatrzył na las, który się ciągnął zaraz za domem. Mieszkali w dawnej leśniczówce. Na końcu podjazdu stał służbowy wóz dostawczy z

nazwą stolarni, a tuż przed domem lśniła nowiutka kremowa alfa romeo Louise przewiązane niebieską jedwabną wstęgą z wielką kokardą na dachu. Wczoraj nie mógł dłużej wytrzymać, więc obudził ją, kazał jej zamknąć oczy i wyprowadził ją do ogrodu. Szedł za nią i kierował nią dłońmi opartymi na jej ramionach. Pozwolił Louise otworzyć oczy dopiero, gdy stała dwa metry od samochodu. Powiedziała, że bardzo się cieszy, ale przypomniała mu, że jeszcze nie zapłacili za wesele i że chyba nie stać ich na taką rozrzutność. Poczul się zawiedziony i trochę się posprzeczałi.

Kim zmrzył oczy. Przez kuchenne okno zobaczył, że drzwi samochodu są otwarte, a instrumenty w kabinie świecą na czerwono. Z kubkiem w ręce wyszedł z domu i zmierzał w stronę samochodu, gdy ponownie rozległa się piosenka. Kawa wylała się na ziemię a on rzucił się biegiem w stronę samochodu. Szelki obijały mu się o nogi. Utwór wypełnił jego uszy i mózg obezwładniającym, dławiącym strachem. Kluczyk tkwił w stacyjce, sprzęt grający był włączony, a dźwięk ustawiony na maksimum. Po omacku wciskał guziki, aż wysunął płytę ze starym numerem Queenów. Była gładka, bez etykiety czy opisu.

Rzucił ją na trawę, usiadł bokiem w fotelu kierowcy ze stopami opartymi na żwirze. Zarost drapał go w dłonie, kiedy ukrył w nich twarz. Chwilę potem zwymiotował.

Znacznie później wstał i poszedł do domu, głównym wejściem przez ganek i korytarz. Otworzył drzwi dziecięcego pokoju. Sam namalował na nich lwy, żyrafy i zebry, małą dziewczynkę i chłopca biegnących przez wysokie trawy sawanny. Dzieci były u rodziców Louise. Ich łóżka stały starannie pościelone. Na obu niepomiętych poduszkach leżały dziewięćmilimetrowe naboje: jeden dla pięcioletniej głowy Lukasa i jeden dla trzyletniej głowy Hanny.

Dwie godziny później świeżo poślubiona żona Kima Andersena znalazła go wiszącego na sznurze na jednej z niższych gałęzi rosnącego za domem dębu. Pod rozkołysanymi bosymi stopami leżało przewrócone białe krzesło ogrodowe.

5

Trzy godziny później zadzwonił telefon komisarz i Lene Jensen, dokładnie w chwili, gdy siadała przy kawiarnianym stoliku na Kulturtorvet w towarzystwie swoich dwóch najlepszych przyjaciółek. Lene tak się cieszyła na to spotkanie. Takie wypadki na miasto urządały sobie raz na pół roku. Spojrzała na wyświetlacz i westchnęła.

– Co?! – wypaliła do telefonu i łyżeczką przebiła grubą warstwę białobrazowej pianki w latte, które właśnie przed nią postawiono. Popatrzyła na Marianne i Pię i skrzywiła się przepaszająco, kiedy głos w słuchawce zespuł to wyczekane popołudnie.

Głos poinformował Lene, że w lesie na południe od Holbæku przed dwiema godzinami z gałęzi drzewa w jego własnym ogrodzie odcięto trzydziestojednoletniego czeladnika stolarskiego Kima Andersena. Mężczyzna się powiesił.

Dzwoniła komendant Charlotte Falster, bezpośrednia przełożona Lene w korpusie policji, i jak zwykle wyrażała się jasno, wyraźnie i trochę za głośno, jakby w głębi kierowniczej duszy podejrzewała, że jej podwładni są może pracowici, ale odrobinę niedorozwinięci umysłowo. Charlotte nie znosiła niedomówień, ceniła wyłącznie jasną komunikację. Odbyla z niej szkolenia i zdobyła certyfikat.

– Pewnie po prostu popełnił samobójstwo – skwitowała wypowiedź szefowej Lene. – Człowiek ma chyba, do cholery, prawo ze sobą skończyć.

Ale już wypowiadając te słowa, cicho i niewyraźnie, bo Charlotte nienawidziła, kiedy ktoś tak właśnie mówił, Lene zdawała sobie sprawę, że pani komendant nie przerwała swoich niedzielnych zajęć z body flow albo weekendowego rajdu po berlińskich muzeach, żeby osobiście włączyć się w zwykłe samobójstwo w Zelandii Zachodniej.

– Miał ręce skute kajdankami na plecach – wyjaśniła komendant. – Poza tym wczoraj się ożenił, więc wybrał dość nietypowy moment na odebranie

sobie życia. To wysoko odznaczony weteran wojenny, więc należy się spodziewać dużego zainteresowania mediów. W opinii publicznej panuje przekonanie, że armia nie daje dostatecznego wsparcia powracającym z misji żołnierzom. Że zostawia ich samych sobie, nawet gdy są schorowani i traumatyzowani. Tamtejsza komenda poprosiła o wsparcie. Możesz tam pojechać i się rozejrzeć?

Lene już miała spytać, czy Charlotte nie może zadzwonić ponownie w poniedziałek, ale ugryzła się w język.

– A Torsten? – spytała zamiast tego.

– Urlop ojcowski.

– Jan?

– Uraz kolana, grał w piłkę.

– Christian?

– Na szkoleniu. Jeśli chcesz, możesz zabrać Mortena – zaproponowała jej szefowa. – Bo tak naprawdę powinna was być co najmniej dwójka.

Lene nie opuściłaby płonącego samochodu, gdyby kazał jej to zrobić Morten Christensen, i Charlotte doskonale o tym wiedziała.

– Jadę za pół godziny. Może być?

– Cudownie, że masz ochotę i czas się tym zająć, Lene – rzuciła z ironią jej szefowa. – Zadzwonię do nich i powiem, że niedługo będziecie.

Lene wypuściła łyżeczkę, która chlupnęła zanurzając się w szklance. Nie miała już ochoty na kawę. Chciała krzyknąć. Odchyliła się na krześle i splościła ręce na kolanach.

– Twoja ulubiona prawniczka? – spytała Pia.

– *Powerbitch*. – Marianne pokiwała głową.

Dobrze znały Lene i wiedziały, że tylko jedna osoba była w stanie wywołać u niej taki wyraz twarzy.

– Bez przesady – warknęła ze złością Pia. – Masz urodziny, czemu, u licha, jej nie powiedziałaś?

– Słuchajcie, ona w rzeczywistości nie jest aż taką suką – przyznała Lene. – W sumie jest całkiem w porządku... Trochę oschła i ma kij w dupie, ale jest okej, a w każdym razie...

– Ale pieprzysz. Właśnie że nie jest okej – przerwała jej Pia stanowczym tonem.

Pia Holm była pielęgniarką na oddziale psychiatrycznym szpitala okręgowego. Miała czarne włosy, południowy temperament i pochodzenie i kochała Lene bezgranicznie. Poznały się na schodach kamienicy przy Isted-

gade przed wieloma laty, gdy Lene nosiła jeszcze mundur, pracowała na pierwszym posterunku i patrolowała ulice w centrum miasta. Spotkały się, ponieważ były partner Pii, warunkowo zwolniony z więzienia tego samego dnia, próbował wyważyć drzwi jej mieszkania. Kiedy Pia zadzwoniła na numer alarmowy, jej pięcioletnia wówczas córka kucała w kącie przedpokoju w koszuli nocnej i zasłaniała uszy rękami. Sąsiedzi podkręcili dźwięk w telewizorach i liczyli, że facet zrobi, co ma zrobić, i sobie pójdzie.

Przysuwała właśnie komodę do drzwi, kiedy usłyszała na klatce schodowej szybkie kroki, okrzyk zaskoczenia i spokojny stanowczy kobiecy głos. Kiedy uchyliła drzwi, z półpiętra uśmiechała się do niej młoda ruda kobieta w policyjnym mundurze. Stopę trzymała między łopatkami byłego partnera i dociskała go do podłogi, a ten leżał z rękami splecionymi na karku, przed czarnym butem policjantki.

W szparze, poniżej twarzy Pii ukazała się drobna buzia jej córki. Ruda policjantka uśmiechnęła się szerzej i zapytała małą, jak ma na imię i ile ma lat. Potem przeniosła wzrok na Pię.

– Znasz go?

– Tak, to znaczy nie... Kiedyś, dawno temu byliśmy jakby parą. Jest na zwolnieniu warunkowym. Prześladowuje mnie. Próbowałam uciec.

Nagle zaczęła płakać.

Policjantka popatrzyła Pii Holm w oczy i powiedziała, że więcej nie będzie jej nachodził. Potem poradziła, żeby obie z małą spróbowały się prześpać, a następnego dnia naprawiły drzwi.

– Obiecujesz?

– Słowo harcerza.

– Dziwki jebane – warknął mężczyzna z podłogi.

Pia zamknęła drzwi i usłyszała dźwięk, jakby pękała sucha gałąź. Krzyk byłego partnera. A chwilę potem łomot, jakby coś ciężkiego spadało ze schodów.

Z okna salonu wyjrzała na ulicę. Włosy policjantki w świetle latarni miały miedziany połysk. Szła, wlokąc za sobą człowieka. Ciągnęła go za stopę, a jej partner z patrolu stał ze skrzyżowanymi nogami oparty o maskę radiowozu i palił papierosa. Drzwi samochodu były otwarte, niebieskie światło koguta rytmicznie omiatało fasady kamienic, a z kabiny dochodziło trzeszczenie radia. Policjant pstryknięciem wyrzucił peta i spokojnie pomógł koleżance zapakować pozostałości byłego chłopaka Pii na tylne sie-

dzenie samochodu. Zamknęli drzwi, wyłączyli kogut i chwilę później radiowóz zniknął za rogiem, zmierając w stronę Dworca Głównego.

Dwa dni później przypadkiem wpadła w sklepie na tę samą rudowłosą policjantkę, tym razem w cywilu, i zaprosiła ją na kawę. Reszta jest już historią.

Marianne z kolei poznała Lene, gdy usiadła obok niej pierwszego dnia pierwszej klasy. Obecnie mieszkały w sąsiednich klatkach tej samej kamienicy w dzielnicy Frederiksberg. To Marianne położyła dłoń na ramieniu Lene i spytała z troską:

– Skarbie, dokąd masz jechać?

– Do Holbæku.

– Ale to nie jakieś dziecko, co?

– Raczej nie.

Lene wciągnęła głęboko powietrze i zmusiła się do uśmiechu.

– Słuchajcie, przyszły weekend, dobra? Obiecujcie!

– Jasne – zapewniły ją obie przyjaciółki.

Lene jeszcze raz popatrzyła na swój leżący na stoliku telefon i szarpiąc ze złością długie rozpuszczone włosy, warknęła:

– By to szlag... Kurwa, ludzie mogliby sobie czasem zrobić przerwę!

– Wówczas stałabyś się bezrobotna – zauważyła rozsądnie Marianne.

– Zawsze mogłabym wrócić na Kretę i wypożyczać deski surfingowe – rozmarzyła się Lene. – Albo robić biżuterię i sprzedawać turystom.

– To było dwadzieścia lat temu – przypomniała jej Pia. – Ale czekaj, prezenty!

Obie zaczęły grzebać w swoich przepastnych torebkach. Karta podarunkowa do kina Cinemateket – bo Lene uwielbiała filmy. Do tego śliczne srebrne kolczyki z delfinami i perełkami. Lene poczuła, że zaraz się rozplącze.

– Jesteście takie kochane – wymamrotała.

– No pewnie, że jesteśmy – potwierdziła Marianne. – Wszystkiego najlepszego!

Swojego małego starego citroena Lene zostawiła przy Nørre Voldgade. Kiedy usiadła za kierownicą, przez chwilę przyglądała się sobie w małym lusterku osłony przeciwsłonecznej. Uśmiechnęła się lekko, poprawiła szminkę i westchnęła. W nowych kolczykach było jej do twarzy. Włosy związała w gruby kucyk. Czterdzieści trzy lata, a ona miała wrażenie, że nic

a nic się nie zmieniła. Jej córka Josefine miała dwadzieścia jeden lat i pracowała długie godziny w knajpie, żeby odłożyć na półroczną wyprawę po Ameryce Południowej, którą zaplanowały razem z przyjaciółką. Po powrocie miała nadzieję, że się dowie, jak zaplanować swojego resztę życia. Dokładnie tak, jak zrobiła kiedyś Lene po skończeniu liceum oraz – jak stwierdził jej ojciec – umiarkowanie dobrze zdanej maturze. Przez pół roku mieszkała na Krecie, skąd wróciła do Vordingborgu i tej samej pustki w głowie. Złamała wielopokoleniową rodzinną tradycję i nie poszła na studia. Bo szkoła policyjna oczywiście się nie liczyła dla jej ojca, aptekarza, ani matki, filolożki klasycznej.

Z Nielsem rozwiodła się w wieku trzydziestu dziewięciu lat. Josefine miała wtedy siedemnaście. Rozstanie można uznać za polubowne i co najmniej o pięć lat spóźnione, jak oboje zgodnie stwierdzili. Niels ponownie się ożenił, a ona wiodła dalej w miarę satysfakcjonujące życie zapracowanej singielki. Od lat nie była prawdziwie zakochana, zaś we flirtach zawsze była kiepska.

Podjechała pod swój dom przy Kong Georgs Vej, zaparkowała i weszła do czteropokojowego mieszkania na pierwszym piętrze. Lokum było wygodne, słoneczne i jej własne. Lene kupiła je za pieniądze odziedziczone po ojcu. Otworzyła drzwi i zawołała, że to ona.

W mieszkaniu pachniało popcornem. Josefine siedziała przy stole z tą przyjaciółką, z którą miały lecieć do Ameryki, i jedząc popcorn, studiowały mapę i przewodniki podróżnicze.

– Co robisz w domu? – zdziwiła się jej córka, ale gdy zobaczyła minę matki, nie musiała pytać o nic więcej. Podniosła miskę z popcornem.

– Chcesz?

Lene wzięła garść.

– Ładne. – Josefine pochwaliła nowe kolczyki.

– Dziękuję, skarbie. Muszę lecieć.

– Dokąd? – zainteresowała się przyjaciółka.

– Do Holbæku – odparła ponuro.

– Dobra, mogło być gorzej – zauważyła Josefine.

– Na przykład Grenlandia.

– Na przykład.

– Chryste.

Lene weszła do swojej sypialni i na oślep zaczęła wrzucać bieliznę, ubrania i kosmetyki do sportowej torby, zastanawiając się, czy spakować też

buty do biegania. Starła się dbać o formę. Dwa albo trzy razy w tygodniu boksowała w policyjnym klubie sportowym. Ochraniacz na zęby, kask i pełen kontakt. Od dwudziestego piątego roku życia utrzymywała tę samą wagę i nigdy nie czuła się silniejsza, zwinniejsza i szybsza niż obecnie. Potem otworzyła małą metalową szafkę wmurowaną w ścianę za garderobą. Trzymała w niej służbową broń, brzydki pistolet Heckler & Koch 9 mm z osiemnastoma nabojami w magazynku. Sprawdziła, czy jest naładowany, i włożyła go do torby. Obok umieściła kaburę i dwa magazynki, po czym zasunęła suwak.

Gotowe.

6

Wyłączyła GPS-a, kiedy na końcu wąskiej leśnej drogi dostrzegła radiowóz. Ulica nazywała się Gærdesmuttevej. „Ścieżka na skróty”. Sielska nazwa i biały dom, do którego prowadziła, też wyglądał na przytulny i zadbane z murem pruskim i dachem krytym strzechą. W jego pobliżu stała furgonetka z nazwą lokalnego warsztatu stolarskiego, karetka, samochód techników kryminalistyki i nowiuteńkie alfa romeo z wielką niebieską kokardą na dachu. Na noszach obok karetki leżała zasłonięta postać. W pobliżu stali dwaj ratownicy i patrzyli w jej stronę.

Kiedy podjechała bliżej, dostrzegła policjanta w mundurze stojącego pod drzewem w ogrodzie za domem oraz kryminalistka w białym plastikowym kombinezonie, który kucał obok alfa romeo i pobierał próbki czegoś, co wyglądało na wymiociny.

Znalazła miejsce do zaparkowania obok ścieżki wytyczonej przez ślady kół. Ogród sąsiedował z lasem, a za działką ciągnął się długi pas wilgotnej łąki. Sarna, która się na niej pasła, podniosła głowę i przez chwilę jej się przyglądała, po czym wróciła do jedzenia.

Lene pokazała legitymację starszemu z ratowników medycznych, który skinieniem dał sygnał swojemu koledze. Tamten odsunął prześcieradło, odsłaniając ciało do wysokości bioder.

Mężczyzna był szczupły, dobrze zbudowany, umięśniony. Klatki piersiowej nie pokrywało owłosienie, a włosy na brzuchu schodziły czarnym szpicem do pępka. Głowa była nienaturalnie przekrzywiona w lewo. Domyśliła się, że miał złamany kręg szczytowy tuż pod czaszką. Węzeł pętli znajdował się pod prawym uchem, a sznur zostawił głęboki, siny odcisk wokół szyi. Oczy Kima Andersena były przymknięte, usta zaś – szeroko otwarte. Ciało leżało częściowo na boku, a częściowo na plecach, taką pozycję wymuszały związane z tyłu ręce. Lene kucnęła, żeby z bliska przyjrzeć się kajdankom. Nie różniły się od tych, które miała w szufladzie swojego biurka

na komendzie. Kryminaliści naciągnęli na dłonie denata plastikowe woreczki zamykane na sznurek, żeby zabezpieczyć ewentualne ślady i materiał pod paznokciami.

Na ciele zmarłego widocznych było kilkanaście tatuży. Nad lewym sutkiem – czerwone serce, a powyżej – napis *Rege et grege*. Wzdłuż lewego ramienia od wewnątrz Lene wyczytała motto *Dominus providebit*. Krzyż celownika wymierzony w głowę taliba, a pod nim napis *RLG Keeping Hell Busy*. Powyżej prawego sutka drugi krzyż celownika i sentencja *You Can Run, But You Will Only Die Tired*.

Kim Andersen miał na sobie jasnoniebieskie spodnie od munduru z grubej tkaniny z szerokim białym lampasem. Między nogami widać było splątane szelki i rozpięty rozporek. Zwieracze się rozluźniły i zmarły cuchnął.

– Gwardzista – wyjaśnił młodszy z ratowników.

– Tak, widzę – pokiwała głową. – Dziękuję, że zaczekaliście. Możecie go zabrać.

Martwy członek Gwardii Królewskiej miał być teraz przewieziony do Zakładu Medycyny Sądowej w Kopenhadze, dokąd sama zamierzała się udać następnego dnia w nadziei, że od medyków dowie się czegoś więcej. Poza tym, co oczywiste.

Pomiędzy rosnącymi w ogrodzie drzewami rozpięto czerwono-białą taśmę policyjną, a kryminaliści zielonymi i czerwonymi tabliczkami oznaczyli dwa zestawy odcisków butów. Lene przeszła pod taśmą, minęła wiatę z idealnie ułożonym stosem drewna na opał i podeszła do stojącego pod drzewem młodego funkcjonariusza. Uważnie obejrzała białe przewrócone krzesło i końcówkę nylonowego sznura odciętego jakiś metr poniżej gałęzi.

Policjant wskazał na otwarty garaż, gdzie na przyczepce stała mała żaglówka.

– To prawdopodobnie lina z tamtej łódki – wyjaśnił.

Razem weszli do garażu.

– Brakuje lewego szota foka – stwierdził. – To znaczy... szot wisi na gałęzi.

– Żeglujesz? – spytała Lene.

– Mam małą łódkę. – Pokiwał głową i ruszył z powrotem w stronę drzewa.

– A co powiesz na ten węzeł na górze? – spytała ponownie.

– Dobrze wykonany węzeł ratowniczy. Uniwersalny węzeł stosowany właściwie do wszystkiego na łódce.

– Znałeś go?

Policjant pokręcił głową.

– Kto go znalazł?

– Żona. Zaparzyła mu kawę. Odcięła go i zanim do nas zadzwoniła, robiła mu masaż serca i sztuczne oddychanie. Telefon dostaliśmy piętnaście po dziesiątej.

Lene zmarszczyła czoło. Niesłychane. Większość ludzi doznałaby szoku albo wpadła w ślepy popłoch.

Mężczyzna wskazał na białe alfa romeo na podjeździe:

– Niezły prezent ślubny, co nie?

– Dokładnie – przytaknęła. – Trzeba było się uczyć na rzemieślnika. Gdzie twój kolega?

– Koleżanka. W domu, z żoną. Chociaż chyba wdową, mimo że nie byli małżeństwem nawet przez dobę.

Wzrok Lene padł na piaskownicę i trzykołowy rowerek obok garażu.

– Chyba tak. A dzieci gdzie?

– U jej matki.

Zanim weszła do domu, Lene naciągnęła na stopy niebieskie plastikowe ochraniacze. Na pierwszych drzwiach po lewej ręcznie namalowano biegnące dzieci i afrykańskie zwierzęta. Drzwi były uchylone. Lene pchnęła je paznokciem. Był to najporządniejszy pokój dziecięcy, jaki w życiu widziała. Dwa schludnie zasłane białe łóżka, na jednym pościel z *Toy Story*, na drugim z *My Little Pony*. Idealnie. Chłopiec i dziewczynka. Zabawki stały w równych rzędach na półkach-drabinkach, a reszta była pochowana do plastikowych pudełek pod łóżkami. Kołdry starannie wsunięto pod materace, ale poduszki leżały na podłodze, jakby ktoś z wściekłością pozrywał z nich poszewki, a poduszkami rzucił o ścianę. Poszewki chwilę później znalazła pod zabawkowym stolikiem. Nie dotykała ich. Wyszła z pokoju i poprosiła jednego z kryminalistyków o zabranie pościeli.

Mężczyzna popatrzył na nią zaskoczony:

– I czego mamy szukać na tych poszwach?

– Arne, gdybym wiedziała czego, to nie musielibyście szukać.

Mężczyzna westchnął i poszedł do samochodu po kolejne worki na dowody.

– Co jeszcze znaleźliście? – zwróciła się do jego zgarbionych pleców.

– Ktoś zwymiotował obok alfy – odparł. – I znaleźliśmy to. – Pokazał płytę CD w plastikowym woreczku. – Leżała na trawie, ale niezbyt długo.

Lene popatrzyła na szary plastikowy krążek.

– Nie mogę się doczekać, aż się dowiem, co na nim jest. Może jutro?

– Jasne. Z radością zarwę noc, żeby porobić kopie i do świtu poddawać je wszelkim akustycznym analizom, jakie tylko zdołamy wymyślić. I tak miałem w planach tylko gości na kolację, a potem brydza. Naprawdę, nie przejmuj się.

– W porządku, nie będę. I jeśli chcesz wiedzieć, nie ty jeden miałeś plany. Ja na przykład mam dziś urodziny.

– Wszystkiego najlepszego. Żona denata użyła sekatora. Zabieramy go.

– Coś jeszcze? Komputer?

– Nie znalazłem żadnego.

Lene spojrzała na niego badawczo.

– Kto u licha nie ma dziś laptopa? – spytała.

– Nie wiem. Najwyraźniej oni.

Lene rozłożyła ręce.

– Arne, oczywiście, że mają komputer. Trzeba go znaleźć.

– Jeśli ci tak zależy, to proszę bardzo, szukaj.

– Dlaczego wszystko muszę robić sama?

Mężczyzna tylko się wyszczerzył.

– To nie ja jestem śledczym.

– Nie wierzę... A te odciski w ogrodzie?

– Dwa zestawy. Bose stopy w rozmiarze czterdzieści pięć i rozmiar trzydzieści dziewięć w skarpetkach.

– Dziękuję, Arne.

Lene otworzyła drzwi salonu. Na krawędzi fotela siedziała policjantka. Miała krótkie jasne włosy, ręce splecione na kolanach, a stopy wsunięte pod fotel. Jedną z pozycji, jakie przybieramy instynktownie, gdy wiemy, że nasza obecność jest niepożądana. Lene siadała w ten sposób niezliczoną liczbę razy.

W najdalszym krańcu pokoju młoda kobieta chodziła tam i z powrotem z telefonem przyciśniętym do ucha. Zdawała się nie zwracać uwagi na pojawienie się Lene, nie spojrzała na nią i nie przerwała nerwowej wędrówki między ławą a regałem. Wolną ręką przytrzymywała pod szyją rozcięcie szlafroka, a z okrągłego podbródka kapały jej łzy. Była niższa od Lene i

miała ładną, choć teraz wykrzywioną, bladą twarz okoloną długimi ciemnymi włosami. Na nogach nosiła cienkie cieliste rajstopy. Lene obstawiała, że stanowiły element stroju weselnego. Stopy były ciemne z wilgoci i ziemi, we włosach kobiety nadal tkwiły pojedyncze ziarna ryżu. Mocny ślubny makijaż był w strasznym stanie, strugi rozmazanej maskary ciągnęły się aż do szyi, a szminka całkiem się starła.

– Nie wiem dlaczego! – krzyknęła do telefonu. – Po prostu nie żyje! Mamo, on nie żyje! NIE ŻYJE! Ktoś go zamordował.

Lene cały czas stała w drzwiach.

Kobieta zatrzymała się na chwilę i wciągnęła dawkę leku na astmę z inhalatora.

– Kim jesteś? – spytała nagle i popatrzyła na Lene. Miała czerwony nos i spuchnięte oczy, ale doświadczona śledcza dostrzegła w tych oczach błysk. Był to błysk przytomny i chłodny.

– Komisarz Lene Jensen z Komendy Głównej – odparła. – Moje kondolencje.

– To tak cholernie niesprawiedliwe – wyszeptała kobieta. – Tak cholernie, kurwa, niesprawiedliwe. Tyle wojen bez jednego zadrapania i nagle... A wczoraj było tak pięknie. Wiedziałam, że...

Lene zawiesiła wzrok na czarno-białym zdjęciu zmarłego, które stało na najwyższej półce. Furażerka, galowa marynarka, łobuzerski uśmiech, ładna twarz. Standard. Fotografia przypominała wszystkie inne żołnierskie portrety, które Lene oglądała przez lata. Na niej dedykacja: „Dla mojej ukochanej Louise”. Lene przeniosła wzrok na inne, większe i kolorowe zdjęcie w srebrnej ramce stojące półkę niżej. Przedstawiało pięciu spieczonych słońcem żołnierzy na jakiejś odległej pustyni. W tle majaczyły brązowe nagie szczyty gór, a słońce stało pionowo nad głowami mężczyzn. Wyglądali prawie identycznie: wszyscy wysocy i umięśnieni. Kapelusze pustynne zasłaniały im górną część twarzy i wszyscy mieli ciasno przylegające, mocno przyciemnione albo lustrzane okulary. Żołnierze byli opaleni na mahoń, zarosnięci i brodaci. I w strojach nie do końca regulaminowych: dwaj mieli na sobie piaskowe tiszerty i luźne spodnie moro, dwaj byli topless, a ostatni ubrany był w rozpiętą koszulę od munduru wypuszczoną na spodnie. Czterech z tej piątki nosiło na szyi arafatki w czerwoną albo czarną kratkę, a na udach ich wszyscy widniały czarne kabury.

Kim Andersen stał w środku. Lene rozpoznała go po tatuażach.

Najwyższy i najpotężniejszy z całej piątki, stał w pewnym oddaleniu i z rękami skrzyżowanymi na piersi. Oddalenie było niewielkie, ale znaczące. Nie miał koszulki, chusty ani żadnego ramienia, które by go po przyjacielsku obejmowało. Lene stwierdziła, że był przystojny. I przesadnie wytatuowany. Postacie, litery i runy wiły się ciasno w górę ramion, na barki i wyżej, sięgając ucha. Uśmiechał się, podobnie jak pozostali, ale inaczej. Z rezerwą.

Lene usiadła na kanapie obok Louise Andersen. Wdowa dociskała czoło do kolan, a komisarz czekała, aż na wpół tłumiony szloch powoli ucichł.

– Louise?

Głowa przytaknęła.

– Gdzie są twoje dzieci?

– U mojej mamy.

– Chcesz do nich pojechać?

– Bardzo.

– Ja też uważam, że powinnaś to zrobić. Czy mogę cię o coś zapytać, zanim wyjdiesz?

– Tak.

– Pobraliście się wczoraj?

Gwałtownie wciągnęła powietrze. Ponownie użyła inhalatora i wytarła dłońmi policzki.

Uśmiechnęła się lekliwie.

– A dziś się rozstaliśmy.

– Powiedziano mi, że sama odcięłaś Kima i próbowałaś go reanimować. Louise, doskonale się spisałaś, nie każdy by tak potrafił.

– Dziękuję...

– Widziałaś wcześniej te kajdanki?

Louise ponownie skuliła się w sobie.

– To był taki żart – zaszlochała. – Dostał je od kolegi, bo będzie do mnie przykuty na zawsze.

– Od którego kolegi?

– Nie wiem. Nie pamiętam.

– Okej. Gdzie jest wasz komputer?

Młoda wdowa ręką machnęła w stronę zabytkowego sekretarzyka stojącego między oknami od strony ogrodu. Lene skinęła głową na drugą policjantkę, a ta podeszła do sekretarzyka i podniosła klapę. Pokazała Lene dwa luźne kable.

- Louise, jaki mieliście komputer?
- Co?
- Jakiej marki?
- Toshiba. Laptop. Ale stary. Nie ma go tam?
- Nie, ale go znajdziemy.
- Mogę już iść? Chcę pojechać po dzieci.
- Oczywiście. Zawieziemy cię.

Louise Andersen szybko wstała, przebiegła przez pokój i zamknęła się w łazience.

Lene popatrzyła na drugą policjantkę. Była młoda. Bardzo młoda. I zagubiona, chociaż starała się robić wrażenie spokojnej i kompetentnej.

- Zawieziecie ją do matki?
- Oczywiście.
- I może dobrze byłoby, żeby jakiś lekarz ją obejrzał – dodała Lene. – Dał jej coś na uspokojenie.

7

Sekretarka zarezerwowała jej pokój w małym hotelu na obrzeżach Holbæku. Pokój wyglądał jak wszystkie inne pomieszczenia, w których Lene spędzała mniej więcej sto pięćdziesiąt nocy w roku: był schludny i sterylny.

W niemal pustej hotelowej restauracji wybrała danie dnia i pięć minut po tym, jak je zjadła, nie pamiętała, co miała na talerzu. Ze stolika miała widok na fiord. Mały biały prom sunął przez granatową taflę w stronę Orø, a jego światła pozycyjne w połączeniu z cichym szmerem rozmów nielicznych gości restauracji podziały na nią kojąco, niemal hipnotycznie. Siedziała nad talerzem i bezwiednie kiwała głową, aż kelner spytał, czy chce kawy.

Dostała wstępny raport od Arnego, głównego kryminalistyka. Jego ludzie rozwiertli szafkę na broń i znaleźli w niej strzelbę i sztucer z celownikiem optycznym. Broń była zadbana, ale na kolbach, zamkach i lufach leżała cienka warstwa kurzu i wydawało się, że dawno z żadnej z nich nie korzystano. Taka sama warstwa kurzu leżała na nieotwartych pudełkach ze śrutem i nabojami.

W łazience znaleźli fiolkę sertraliny, leku znanego Lene jako antydepresant, oraz opakowanie tabletek nasennych, identycznych jak te, które sama czasem łykała. Oba preparaty zostały przepisane Kimowi Andersenowi. Opakowania były otwarte, więc Lene była ciekawa wyników toksykologicznych.

Arne podał w raporcie nazwisko i adres lekarza, który przepisał leki.

Poza tym dom pary niczym się nie wyróżniał, jego inwentarz był mniej więcej taki jak w setkach tysięcy innych duńskich domów, jak stwierdził.

Pijąc kawę w pustym hotelowym barze, Lene przeglądała własne notatki i szkice i zastanawiała się nad nieścistościami. Pewne było to, że Kim Andersen nie był jedynie zdrowym jak koń czeladnikiem stolarskim i wielokrotnie odznaczonym byłym szeregowcem Gwardii Królewskiej, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Co się tyczy młodej wdowy, to

choć śmierć męża niewątpliwie nią wstrząsnęła, a jej emocjonalny wybuch wydał się szczery nawet tak doświadczonej i cynicznej obserwatorce jak Lene, to wyjaśnienia Louise i opisany przez nią samą sposób postępowania były tak nietypowe, że zapaliła jej się lampka ostrzegawcza.

Komisarz Jensen wypła jeszcze jedną kawę na koszt podatników i wysła z hotelu bocznym wyjściem. Obeszła żywopłot otaczający parking i udała się na asfaltową ścieżkę prowadzącą nad wodę. Przez kilka minut patrzyła na światła miasteczka Hørby leżącego na Tuse Næs. Prom wracał w stronę Holbæku. Woda miała wciąż temperaturę zimową, choć na płyciznach była cieplejsza, a morska bryza szybko zmieniła się w gęstą mgłę.

Wracała do hotelu, kuląc się z zimna. Niemal pusty parking oświetlały sennie dwie żółte latarnie. Pod jedną stało jasnoszare volvo kombi, a w środku, za kierownicą siedział mężczyzna. Przez otwarte okno wystawiał obleczone w skórę ramię i dłoń w rękawiczce, w której świecił żar papierosa. Drugą ręką trzymał przy uchu telefon. Z samochodowego radia płynęła muzyka klasyczna. Lene omiotła postać w samochodzie zmęczonym, nieobecny spojrzaniem. Odnotowała krótkie ciemne włosy, fragment kołnierzyka koszuli oraz oczy mężczyzny we wstecznym lusterku. Te oczy przez chwilę ją śledziły, zanim mężczyzna odwrócił wzrok. Zaśmiał się cicho z czegoś, co usłyszał w telefonie, ale sam nic nie powiedział. Lene ziewnęła i weszła do hotelu, chcąc jak najszybciej znaleźć się w łóżku.

Wzięła szybki prysznic, umyła zęby, zmyła urodzinowy makijaż, założyła świeżą bieliznę i wsunęła się pod miękką kołdrę.

Obudziła się na długo przed świtem i od razu usiadła na łóżku. Była w pełni przytomna, jakby coś ją ugryzło. W pokoju było chłodno. Na zewnątrz padał drobny deszcz, krople zostawiały na szybie żółte ślady tam, gdzie odbijało się w nich światło latarni. Serce jej waliło, była zlana potem. Z trudem oddychała. Położyła palce na nadgarstku i liczyła, patrząc, jak sekundnik obraca się po tarczy zegarka. Tętno też miała o wiele za szybkie.

Każdy policjant wie, czym jest panika. Z początku wszyscy myślą, że te ataki są przypadkowe, ale Lene już się przekonała, że zawsze była przyczyna i zawsze taka sama: mały wyciek z szafy pełnej śmierci, tragedii, przemocy i okaleczenia, z którymi się zetknęła w ciągu osiemnastu lat służby.

Puls się uspokoił, jej oddech również. Oparła się o wezgielowie z rękoma splecionymi na brzuchu i kolanami przyciśniętymi do piersi. Tym razem to

nie było to. Nie było żadnych twarzy, głosów, wyzwisk ani syren czy biegnących kroków na schodach. Żadnych martwych dzieci.

Był za to masywny męski kark widoczny w przydymionym świetle latarni. Kark z wytatuowanym czarnym przegubowym ogonem skorpiona, który wyłaniał się spod kołnierzyka i sięgał ucha. Kark należał do mężczyzny w samochodzie na parkingu za hotelem. Ten mężczyzna obserwował ją we wstecznym lusterku. A ona widziała już gdzieś tego skorpiona.

Dziś, w leśniczówce. Była niemal pewna.

Nad łąką sunęła mgła, tworząc klimat niesamowitości i grozy, zaś w górze Wielka Niedźwiedzica wykonywała swój monumentalny obrót. Lene okrążyła ciemny pogrążony w ciszy dom. Niemal się potknęła o wszechobecną taśmę kryminalistyków i zaklęła nerwowo. Wcześniej pukaniem obudziła dyżurnego na posterunku w Holbæku, żeby dał jej klucz do domu. Stała teraz pod wiatą przed głównymi drzwiami i szukała go w kurtce, kiedy usłyszała za plecami ciche pociąganie nosem. Rozgrzane cząsteczki powietrza w jej ciele szykowały się do podniesienia cienkich włosów na przedramionach, gdy odwróciła się z pistoletem w wyciągniętej ręce i latarką na wysokości barku.

Snop światła padł na okrągłe, szeroko otwarte oczy samy. Zwierzę prychnęło urażone, podkuliło nogi i pomknęło długimi susami w opary mgły.

Lene kucnęła, przyłożyła do czoła zimną stal pistoletu i wbiła wzrok w swoje czarne sneakersy. Serce znów waliło jej za szybko. Z ust popłynęła długa, przeciągła litania bluzgów. Była przerażona i aż żałowała, że nie ustrzeliła tego niewinnego stworzenia.

W końcu otworzyła drzwi, szybko przeszła przez korytarz, weszła do salonu i zatrzymała się przy regale.

Zdjęcie z pustyni stało na swoim miejscu.

Odwróciła ramkę, odgięła metalowe przyciski i wyjęła fotografię. Usiadła na kanapie i w świetle latarki jeszcze raz przyjrzała się żołnierzom. Skupiła się zwłaszcza na barczystym wysokim mężczyźnie, który stał z boku w lekkim rozkroku, z rękami skrzyżowanymi na piersi i mięśniami napiętymi pod opaloną skórą. Jego oczy były ukryte za lustrzanymi okularami przylegającymi do twarzy. Tatuaze ciągnęły się od barku w stronę prawego ucha. Skorpion z uniesionym kolcem jadowym.

Powściągliwy uśmiech do aparatu. Samotny wilk.

Przyczajony na skraju lasu mężczyzna zdjął okulary noktowizyjne i świat przestał się składać z szarzielonych powierzchni i kształtów. Uśmiechnął się, gdy sobie przypomniał, jak sarna napędziła jej strachu. W sumie był pod wrażeniem refleksu pani komisarz, choć oczywiście widział lepszych od niej.

Wracając przez las, zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby od razu ją zneutralizować. Myśl wydała mu się kusząca, niemal zbyt kusząca. Kobieta była sama. Najbliżsi sąsiedzi mieszkali co najmniej kilometr stąd. Zatrzymał się na wąskiej leśnej ścieżce i jeszcze raz na spokojnie zastanowił się, co by z nią zrobił, krok po kroku.

Ostatecznie ruszył dalej. Innym razem. Komisarz policji Lene Jensen była pewnie silna i wytrzymała. Sporo czasu zajęłoby zrobienie z niej zwierzyny.

8

Michaela nie trzeba było przekonywać, że dobre przebranie niekoniecznie oznaczało sztuczne wąsy, perukę, ciemne okulary albo buty z podwyższeniem, ale raczej dobrze wyważone połączenie intonacji, postawy i mimiki. Należało wykreować postać, która w świadomości napotkanych osób przesłoni osobę za tą ukrywającą się postacią. Keith Mallory lubił powtarzać, że ludzie powinni widzieć Myszki Mickey i zapomnieć o facecie w jej kostiumie.

Pierwsze spotkanie tego dnia wymagało wejścia w rolę poczciwego i bardzo zatroskanego ojca. Zaczesał włosy do przodu i zrobił sobie grzywkę kończącą się półtora centymetra nad brwiami. Posmarował skronie gliceryną, żeby wyglądał, jakby się pocił z nerwów. Do tego założył jasną, trochę za dużą lnianą marynarkę, którą jego żona nazywała: „ceramik z Møn na wernisażu”, brązową koszulę w prążki i sandały w tym samym kolorze, które on sam nazywał: „butami nauczyciela biologii, ukrytego pedofila, A.D. 1973”. Dobrał do nich szare skarpety w romby i workowate spodnie w nieokreślonym kolorze, na które Sarze zabrakło słów. Obrazu dopełniały okulary zerówki w grubych oprawkach.

Możliwe, że postarał się trochę za bardzo, ale zadanie, którego się podjął, było inne niż wszystkie, a Michael nie chciał, żeby ktokolwiek w którymkolwiek momencie był w stanie zrekonstruować jego ruchy i go zdemaskować. A już na pewno nie dążył do tego, żeby ktoś wpadł na trop jego klientki.

Po obfitym śniadaniu poszedł do FOTO/C, specjalistycznego sklepu z aparatami, wyposażeniem ciemni i sprzętem do obróbki zdjęć i filmów, który mieścił się za Teatrem Królewskim. Jeden z pracujących tam ludzi skopiował dla niego najlepsze i najostrzejsze ujęcia nocnego nieba z ostatnich kilku sekund filmu Elizabeth Caspersen. Korzystając z zaawansowa-

nego oprogramowania, dodatkowo powiększył zdjęcia i zrobił zestaw czarno-białych odbitek w wysokiej rozdzielczości.

Następnie udał się w stronę Kongens Nytorv, skąd metrem podjechał do Nørreportu. Resztę drogi do Instytutu Nielsa Bohra w Nørrebro postanowił pokonać pieszo.

Wcześniej zadzwonił i przedstawił swoją nietypową prośbę. Kilukrotnie go przełączano, aż trafił na młodego i świetnie się zapowiadającego doktora o romantycznym nazwisku Christo Buizart, wypożyczonego na czas określony z Obserwatorium w Paryżu. Michael przedstawił się jako Knud Winther, zrozpaczony ojciec zaginionej nastolatki, który ma nadzieję odnaleźć córkę dzięki układowi gwiazd na filmie.

Przez chwilę podziwiał osławione szare mury instytutu, zanim spojrzął na swoje notatki sporządzone ze wskazówek młodego Francuza, które ten wyrzucił z siebie z prędkością karabinu maszynowego. Wszedł na pierwsze piętro i niemal natychmiast stracił orientację w labiryncie wąskich korytarzy, dziwnych zmian poziomów i połączonych skrzydeł. Niezliczoną liczbę razy musiał pytać o drogę, zanim zapukał do drzwi z nazwiskiem astronoma napisanym na żółtej samoprzylepnej karteczce.

Najwyraźniej był to gabinet nieoficjalny.

Christo Buizart dysponował biurem wielkości dwóch połączonych budek telefonicznych i dzielił je ze stertami papierów, buczącymi szafami z elektroniką oraz kilkoma dużymi monitorami. Wydawało się, że absolutnie nikt ani nic więcej się tu nie zmieści. Było zresztą tylko jedno krzesło, to, na którym siedział młody naukowiec. Wstając, niemal przewrócił kubek z kawą, zaklął w ojczystym języku i wyciągnął rękę.

– *Bonjour.*

– *Bonjour* – przywitał się Michael. – Możemy rozmawiać po angielsku?

– *Naturellement, monsieur.*

Michael przedstawił historię swojej dziewiętnastoletniej córki, która pod wpływem niezdrowej fascynacji gotyckim rockiem wmówiła sobie, że się zakochała w liderze niemieckiej grupy o nazwie Styx. Córka mówiła o tym piosenkarzu per Mistrz i sądząc ze zdjęć w prasie, ów Mistrz miał koło sześćdziesiątki.

Christo Buizart uśmiechnął się współczująco.

– Po koncercie w Berlinie w dwa tysiące dziesiątym roku członkowie tej przeklętej grupy i ich dziwaczny świat wciągnęli moją córkę bez reszty i po

prostu zniknęła. Czasem dostajemy od niej esemesy albo maile. Styx jest czymś gorszym niż sekta. To koszmar każdego rodzica.

Mężczyzna, który nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat, pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Ale w jaki sposób mogę pomóc? – spytał.

Michael przesunął torbę na brzuch i wyjął z niej zdjęcia nieba. Na ich widok Christo szybko przesunął własne papiery i raporty, żeby zrobić miejsce na biurku.

– Jeden znajomy poradził mi, żebym zrobił te odbitki – wyjaśnił Michael.

– On amatorsko zajmuje się astronomią i jego zdaniem na podstawie zdjęć nieba być może da się zlokalizować moją córkę. Zdjęcia pochodzą z krótkiego filmu, jaki wysłała mojej żonie przed paroma miesiącami.

Sztucznie spocona twarz Michaela wyrażała desperację, gdy francuski astronom opuścił rolety i zaczął studiować zdjęcia za pomocą lupy.

– Mogę po nich rysować? – spytał.

– Oczywiście.

Mężczyzna białym ołówkiem błyskawicznie połączył gwiazdy w konstelacje.

Wskazał na największą, lśniąca plamę na środku zdjęcia.

– To, naturalnie, Wenus – oznajmił.

Michael uśmiechnął się z podziwem i pochylił w stronę biurka.

– Powyżej Wenus mamy Scheat w Pegazie, a to Sheratan w Baranie – tłumaczył dalej Buizart. – Czyli jesteśmy gdzieś na północy. Na bardzo dalekiej północy. Patrzymy na zachodnie niebo na wysokiej szerokości geograficznej. A tu, tu są Ryby. To dobrze. Nawet bardzo dobrze.

Zerknął na Michaela.

– Widać też wodę, otwartą wodę na pierwszym planie. Wydaje się, że jej tafla jest położona sporo poniżej punktu obserwacyjnego.

– Córka rzeczywiście napisała, że stoi sto metrów nad wodą i „kłania się gwiazdom” – potwierdził Michael poważnym głosem.

Francuz pokiwał głową i zaczął przeskakiwać między bazami danych, tabelami i niekończącymi się rzędami zielonych, stale zmieniających się cyfr na monitorze. W końcu wpisał jakieś cyfry w narzędzie wyglądające na zaawansowany kalkulator.

– To kalkulator astronomiczny – wyjaśnił.

– Aha.

Mężczyzna jeszcze przez parę minut pozostawał zanurzony we własnym świecie, zanim podniósł wzrok.

– Siedemdziesiąt stopni, dwadzieścia dziewięć minut i czterdzieści sześć sekund szerokości północnej i dwadzieścia pięć stopni, czterdzieści trzy minuty i pięćdziesiąt siedem sekund szerokości wschodniej. – Zapisał współrzędne w bloku. – Jeśli przyjmiemy, że wysokość obserwacji to sto dwa metry.

– Gdzie to jest?

– Tu.

Christo Buizart otworzył Google Earth i przesunął kursor na współrzędne.

– Kawalek na wschód od fiordu Porsanger. Możliwie najbardziej północna Norwegia, *monsieur. Voilà.*

– A kie... – Michael odkaszlnął. – Przepraszam. Kiedy?

Zwinne palce astronoma znów wpisały cyfry w kalkulator.

– Dokładnie o osiemnastej czterdzieści pięć czasu lokalnego, dwudziestego czwartego marca.

Michael popatrzył na niego.

– A rok?

Buizart wzruszył ramionami jak kogut galijski.

– *Je ne sais pas, monsieur.* Kiedyś w ciągu ostatnich kilku lat. Konstelacje i ich dokładne położenie względem ziemi naturalnie powtarzają się co roku. Mniej więcej. Gdybym miał całkowitą pewność wysokości punktu obserwacji i gdyby na zdjęciach uchwycono komety, satelity albo inne charakterystyczne obiekty, wówczas naturalnie mógłbym panu powiedzieć, który to rok. Ale sam pan powiedział, że córka zniknęła jesienią dwa tysiące dziesiątego, więc skoro film dostali państwo kilka miesięcy temu, to może chodzić tylko o dwa tysiące jedenasty, prawda?

– No tak, rzeczywiście. Ma pan rację. Stokrotnie dziękuję!

Mężczyzna się uśmiechnął. Michael u nikogo jeszcze nie widział tak ładnych zębów.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Mam nadzieję, że wkrótce spotka się pan z córką – dodał uroczyście.

Michael znalazł kawiarnię przy samych Jeziorach z małym ogródkiem do strony ścieżek. Wypił czarną kawę, starł glicerynę ze skroni, włosy ponownie zaczesał do tyłu, a okulary schował do torby. Patrzył chwilę na biegaczy

i młode kobiety z dziecięcymi wózkami. Wiosenne słońce wygoniło ludzi na świeże powietrze.

Finnmark. Fiord Porsanger. Michael nie znał zbyt dobrze północnej Norwegii. Wiedział tylko, że jest słabo zaludniona, pozbawiona sieci dróg i niczym magnes przyciąga miłośników górskich wędrówek i wspinaczki, chociaż marzec wydawał mu się dość wczesną porą na trekking po górach. Z drugiej strony to by się zgadzało, bo na wodzie pod klifami pływały kry. Być może mężczyzna z nagrania był narciarzem. Może wyruszył z jakiejś chaty w okolicy. Albo został przewieziony na klif z jakiegoś innego miejsca.

Michael zastanawiał się, czy jego zwłoki wciąż leżą na kamienistym wybrzeżu. Nie, to raczej mało prawdopodobne. Zwierząt tam pewnie nie brakowało i miały co najmniej rok na rozprawienie się z ciałem. A tym, co zostało, pewnie zajęły się pływy, lód i zimowe sztormy. W Finnmarku podobno można było zgubić całą armię.

To nic. Najważniejsze, że miał wiarygodne współrzędne, o ile wysokość obserwacji, kluczowa dla poprawności obliczeń, była prawidłowa.

Wstał, zapłacił za kawę i ruszył wzdłuż Jezior na swoje następne spotkanie.

Simona Hallberga rozpoznał już z daleka. Młody dziennikarz zgodnie z umową stał przed Boghallen, siedzibą konkurencyjnego dziennika na placu Ratuszowym. Miał na sobie krótką brązową sztruksową kurtkę, dzinsy, żółte vansy i błękitną koszulę. Na jego ramieniu wisiała wysłużona szara torba marki Crumples. Trochę streetwearowo, a trochę jak pan magister. Jednym słowem: po dziennikarsku. Jego ramiona i barki wyglądały, jakby rzadko podnosił coś cięższego od długopisu, głowę miał ogoloną, jak wielu jego rówieśników. Michael miał wrażenie, że coraz więcej duńskich mężczyzn bardzo wcześnie traciło włosy. Słyszał kiedyś, że to miało związek z ftalanami w gryzakach dla niemowlaków. Chociaż to pokolenie może już gryzło iPhone'y.

Michael położył dłoń na ramieniu Simona i ten poderwał się ze strachem.

– Hej, Simon. Rozważasz przejście do konkurencji?

– Cześć, Michael. Co? A, to – prychnął. – W życiu. Za dobrze mi tam, gdzie jestem. Bez dwóch zdań. A co u ciebie?

– W porządku.

– A syn?

– Oboje mają się świetnie. Półtora roku temu przybyła nam dziewczynka – wyjaśnił Michael.

– Brawo.

Simon Hallberg, zdeklarowany bezdzietny kawaler, zmierzył Michaela wzrokiem i skrzywił się ze współczuciem.

– *Undercover*?

Michael się uśmiechnął.

– Żebyś wiedział. Idziemy?

– Może na kawę? Znam...

– Nie. Myślę, że lepiej, jeśli się przejdziemy – przerwał mu Michael.

Przeszli przez plac Ratuszowy, minęli pomnik Hansa Christiana Andersena i ruszyli dalej bulwarem. W pięknym, choć z jakiegoś powodu mało znanym i zwykle pustym, ogrodzie ratuszowym znaleźli odosobnioną ławkę. Michael się rozejrzał. W zasięgu słuchu nie było nikogo. Dwoje pracowników ratusza siedziało na ławce kawałek dalej i jadło lancz.

– Sonartek – zaczął Michael. – Co mówią wtajemniczeni?

Dziennikarz odchylił się i zetknął dłonie czubkami palców. Zmrużył oczy w zadumie. Michael wiedział, że chłopak miał fotograficzną pamięć.

– Bezpieczna wyspa na wysokiej skale pośród globalnego finansowego tsunami. Mówię serio, Michael. Są solidni jak Fort Knox. Kryzys nawet ich nie musnął. Mają taki asortyment, na jaki zawsze będzie zapotrzebowanie, a przy tym są innowacyjni i elastyczni. Cały czas ukazują się nowe wersje ich oprogramowania, a udoskonalone sprzęty tylko czekają na wypuszczenie na rynek. Ich produkty w zasadzie sprzedają się same. Sonartek jest monopolistą w niszy. Są odpowiednikiem Gillette w branży dalmierzy.

– Ale myślisz, że zdołają utrzymać poziom po śmierci Flemminga Caspersena? Bo to chyba on był u nich motorem innowacji?

– To prawda, ale wydaje się, że sobie poradzą. Ich inżynierowie są najlepsi w tej dziedzinie. Ich zespół to zdrowa mieszanka utalentowanych ludzi, którzy są w firmie od początku, oraz młodych, piekielnie zdolnych Duńczyków, Chińczyków i Amerykanów. Są więc zabezpieczeni na przyszłość zarówno jeśli chodzi o doświadczenie, jak i kreatywność. Z kolei wszystkie kosztowne i pracochłonne elementy produkcji wyprowadzili z Danii do innych krajów.

– Takich jak Chiny, Indie, Litwa i Polska?

– Dokładnie. Stworzyli solidną markę i przyszłość Sonarteku maluje się wyłącznie w jasnych barwach. Teoretycznie.

– To znaczy? – dopytywał Michael.

– Koncern taki jak Sonartek zawsze musi się liczyć z zagrożeniem ze strony wrogów zewnętrznych i wewnętrznych – oznajmił Simon poważnym głosem. – Umiera założyciel i co teraz? W historii duńskiego przemysłu nie brakuje przykładów solidnych rodzinnych firm, które rozpadły się na atomy po śmierci założyciela. Zwalczające się frakcje i rozpieszczeni spadkobiercy, którzy gówno potrafią i nie są w stanie zdzierżyć siebie nawzajem, potrafią wysadzić w powietrze zarząd i obrócić wszystko w pył. I to, Michaelu, jest wręcz regułą, a nie wyjątkiem. Sonartek przed takim losem mogą uchronić oczywiście Victor Schmidt, mocna spółka holdingowa, precyzyjny regulamin oparty na przesłankach racjonalnych, a nie emocjonalnych, oraz profesjonalizm zarządu, który dba o dobro firmy, nie spadkobierców.

– A co z wrogami zewnętrznymi?

Simon uśmiechnął się, zapalił papierosa i poczęstował Michaela, który postanowił nie wliczać go do dziennego limitu.

– Tu sprawa przedstawia się ciekawie i nietypowo. Otóż w przypadku Sonarteku musisz się przede wszystkim zastanowić, kto mógłby być zainteresowany utrzymaniem statusu quo, a kto nie. Ich największym klientem jest amerykańska armia, ale technologia jest niezbędna dla przemysłu zbrojeniowego wielu innych krajów. Dla szwedzkiego Boforsa czy koncernu Celcius, jak się teraz nazywają, Thalesa z Francji, brytyjskiego BAE-systems i tak dalej. Wyobraź sobie, że Sonartek nagle przestaje istnieć. To byłaby katastrofa dla całej branży. Nie miałby kto przeprowadzać konserwacji systemów zbrojeniowych, dostarczać części zapasowych, nie byłoby techników ani automatycznych aktualizacji oprogramowania. Trzy czwarte światowego arsenału myśliwców, czołgów, łodzi podwodnych i okrętów wojennych zostałyby unieruchomione. Ich obsługa stałaby się po prostu zbyt niebezpieczna.

Michael zagwizdał.

– Nie mówiąc o systemach ostrzegania meteorologicznego.

– Właśnie. Lotniska na całym świecie, zarówno cywilne, jak i wojskowe, trzeba by zamknąć. Kontrolerzy nie byłiby w stanie kierować ruchem. Więc to oczywiście również byłoby nie do przyjęcia. Technologia Dopplera opatentowana przez Sonartek znajduje się we wszystkich tych systemach. Amerykanie od dawna alarmowali, że to ryzykowne. Tak ścisły monopol nie podoba się nikomu. Czyni podmioty bezbronnymi.

– Próbowali wykupić koncern?

– A kto nie próbował? Amerykański Departament Obrony oczywiście bezpośrednio nie wykupuje firm, które są mu przydatne, ale może się zwrócić do jakiegoś dużego funduszu i zaproponować, aby on kupił wskazaną firmę w zamian za przyszłe gwarancje udziału w rynku oraz kontrakty, rabaty, korzystne ceny, gładkie przeprowadzenie procedury patentowej i tak dalej.

– I tak zrobili?

– I to nie raz. W dwa tysiące dziesiątym Bridgewater Associates zaproponował sześćdziesiąt miliardów koron za całość, po tym padła oferta sześćdziesięciu pięciu miliardów od Black Rock. To dwa gigantyczne amerykańskie fundusze kapitałowe. Nikt nie mówił tego na głos, ale wszyscy wiedzieli, że za obiema ofertami stał Pentagon. Victor Schmidt i Flemming Caspersen odmówili.

– A gdyby się zgodzili? – Michael spróbował sobie wyobrazić sześćdziesiąt pięć miliardów koron.

– W ciągu pięciu minut firma zostałaby pokrojona na cienkie plasterki – odparł Simon bez cienia wahania w głosie. – Część wojskowa zostałaby sprzedana na przykład Raytheonowi, zarejestrowanej w Stanach spółce będącej głównym dostawcą dla branży zbrojeniowej. Stworzono by strukturę własności, w której Departament Obrony posiadałby rozstrzygający pakiet akcji nowej spółki córki. Część meteorologiczną sprzedaliby Philipsowi albo Siemensowi, a optyczną – Sony albo Samsungowi. Fundusz kapitałowy, któremu by się poszczęściło, w jedną chwilę zarobiłby miliardy, a amerykański sekretarz obrony mógłby spać spokojnie, wiedząc, że gdy się obudzi, jego samoloty i łodzie podwodne nadal będą działać. W sumie wszyscy byliby zadowoleni.

– Kogo u licha stać na odrzucenie sześćdziesięciu pięciu miliardów? – dziwił się Michael.

– Flemminga Caspersena i Victora Schmidta. To dzieło ich życia, a pieniędzy i tak im nie brakuje. Jeden z synów Victora, Henrik Schmidt, jest już ponoć szykowany do przejęcia pałeczki. Stoi na czele działu sprzedaży w Sonarteku i zdaniem większości akcjonariuszy doskonale się sprawdza.

– Schmidt ma dwóch synów, prawda?

– Prawda. Ale drugi, Jakob Schmidt, chyba nigdy nie był specjalnie zainteresowany tym, co się dzieje w firmie. Albo poluje na futra w jakimś zapomnianym przez Boga miejscu, albo pracuje dla organizacji charytatywnych

w Afryce. W każdym razie moim zdaniem jeśli chodzi o przyszłość Sonarteku, to nikt nie bierze go pod uwagę.

Michael spojrział na zegarek. Miał dziś jeszcze sporo do zrobienia. Na przykład dowiedzieć się, kim była osoba zamordowana nad fiordem Porsanger.

– A spadkobiercy Caspersena? – spytał.

Dziennikarz podniósł do góry palec.

– Spadkobierczyni. Liczba pojedyncza. Elizabeth Caspersen-Behncke, zwróć uwagę na kolejność nazwisk. Jest w zarządzie Sonarteku, ale rozwija własną karierę adwokacką i jej chyba też firma niespecjalnie interesuje. Po zostaje więc wdowa, która cierpi na Alzheimera, ale z czysto prawnego punktu widzenia dziedziczy udziały Caspersena, dopóki sąd nie przyzna jej kuratora. Wiadomo, że nie jest już w stanie podejmować decyzji.

– I co będzie, jeśli to córka zostanie kuratorką?

– Wówczas Elizabeth Caspersen, dysponując własnymi udziałami oraz udziałami swojego ojca i matki, łącznie będzie miała pakiet kontrolny w pierwotnej spółce holdingowej i bezpośrednią władzę w Sonarteku.

Michael w zamyśleniu popatrzył na swoje brzydkie sandały. To, co usłyszał, było ciekawe.

– Jak Amerykanie zareagowali na śmierć Caspersena?

– Nie mam pojęcia. O ile mi wiadomo, żadnego oficjalnego powiadomienia nie było, ale możesz być pewien, że każda zmiana w Sonarteku musi budzić ich obawy. Zawsze lepiej wiedzieć, na czym się stoi.

Michael pokiwał głową. Czy Departament Obrony albo któraś z niezliczonych amerykańskich służb wywiadowczych mogła mieć coś wspólnego z DVD Elizabeth Caspersen? W jego mózgu zaczęły pączkować nowe, coraz bardziej złożone możliwości i punkty widzenia.

Wstał i podał Simonowi rękę.

– Dzięki, Simon. Jak zawsze jesteś doskonale poinformowany.

Dziennikarz również wstał.

– Dlaczego interesuje cię Sonartek? Wiesz coś, o czym ja nie wiem?

Michael się uśmiechnął.

– Bardzo bym się zdziwił.

9

– Polowanie na ludzi? – spytał Keith Mallory z niedowierzaniem. – Mike, bez jaj.

– Nie. Mówię poważnie – potwierdził Michael. – Jesteś w stanie całkowicie to wykluczyć? Ludzie zjeżdżają na nartach z Everestu, płacą, żeby ich przeszmygłować do Afganistanu, bo mają ochotę pobawić się w wojnę, a polujący na grubego zwierza zamawiają hybrydę lwa i tygrysa bengalskiego, żeby postawić sobie na kominku trofeum, którego im brakuje do kolekcji. I czyżbyś zapomniał już, że w dziewięćdziesiątym czwartym byli tacy, co płacili Serbom za możliwość strzelania do kobiet i dzieci w alei Snajperów w Sarajewie? Tak, dla sportu?

W telefonie zapadła cisza, którą Michael postanowił zinterpretować jako sygnał głębokiego zamyślenia.

– I nie mówimy o Nowej Gwinei albo Matto Grosso? O dmuchawkach z zatrutymi strzałami i drągach? – upewnił się Anglik.

– Nie. Mówimy być może o psychopatycznym miliarderze, Arktyce i laserowych celownikach... i o *We Will Rock You* Queenów. O specjalistach, Keith. Weteranach.

Michael wiedział, że w tej chwili myśleli o tym samym: o konsultantach pracujących dla międzynarodowych firm ochroniarskich. Ludziach, którzy podostawali kontrakty w Iraku, Kosowie czy Afganistanie, kiedy wraz z wycofywaniem się wojsk do ich krajów napływały zagraniczne firmy. O byłych żołnierzach chroniących dziś instalacje wiertnicze, zagranicznych dyplomatów, organizacje charytatywne, parlament, nową demokrację. O tych, którzy mieli szkolić siły bezpieczeństwa tych nowych demokracji, pomóc w tworzeniu policji i armii, po to, aby w urnach do głosowania znajdowały się głosy, a nie materiały wybuchowe.

– Czyli na przykład o ludziach z Paxu – domyślił się Keith.

– Na przykład – potwierdził Michael.

Pax był chyba najgorszą z wszystkich firm ochroniarskich. Zablokowaną przez wiele państw, ale poszukiwaną przez inne. Byli skuteczni, zaś ich metody były etycznie wątpliwe, a gdy tylko kurz opadał, zawsze się okazało, że nie ma żadnych żywych świadków.

– Potrzebuję trochę więcej informacji – powiedział wreszcie Mallory.

Michael odprowadził wzrokiem sunący w stronę centrum autobus wodny.

– Norwegia – odparł.

– To duży kraj.

– Finnmark.

– Kiedy?

– Marzec, w obrębie ostatnich kilku lat.

– Nie możesz określić bliżej?

– W tej chwili nie, ale gdy tylko poznam dokładną datę, dowiesz się jako pierwszy.

– Ilu?

– Sześciu myśliwych i klient – wyjaśnił Michael. – To jak, przyjrzyj się temu? Kasa jest niezła. Nawet bardzo dobra.

– I co? Poszczyściło im się?

– Mężczyzna, na oko trzydziestoletni. Skoczył z klifu albo został zastrzelony, kiedy te skurwysyny przestały śpiewać.

– Duńczyk?

– Nie mam pojęcia.

– Mike, to jacyś zwyrodnialcy.

– Wiem.

– Okej, zobaczę, co mi się uda znaleźć.

Michael wstał, otworzył drzwi balkonowe i oparł się o poręcz. Popatrzył na swój nowy telefon na kartę, zamachnął się i rzucił go daleko do basenu portowego. W zapasie miał jeszcze trzy aparaty w fabrycznych opakowaniach. Odtąd zamierzał codziennie używać nowego.

Rozmowa z Keithem była najlepszym, co mogło mu się w tej chwili przytrafić. Anglik dysponował świeżą i rozległą siecią kontaktów. Jeśli naprawdę się do tego przyłoży, to prędzej czy później coś znajdzie. W mrocznym świecie Mallory'ego właśnie tak to działało. Żadnych esemesów, telefonów czy maili. Ktoś w pubie położy rękę na ramieniu byłego majora albo gdy ten będzie wyprowadzał psa. Następnie Michael zostanie zmuszony za-

płacić horrendalne znaleźne. Ktoś coś piśnie albo będzie znał kogoś, kto coś wie. To osobista sprawa. W ich branży wszystko było osobiste.

Michael położył się na łóżku i wbił wzrok w sufit.

Sześćdziesiąt pięć miliardów.

To przekłete nagranie zawisnie nad głową Elizabeth Caspersen i przesądzi o wszystkim: o losie jej samej, jej rodziny i firmy. Plastikowy krążek z zerami i jedynkami był pilotem i czyjeś palce wisiały nad przyciskami.

Jego myśli wirowały jak spłoszony rój pszczół i odbijały się od wnętrza czaszki. Michael wyjął poranną gazetę i raz jeszcze przeczytał nagłówek i pierwszą stronę, która rzuciła mu się w oczy, kiedy mijał kiosk: „Tajemnicza śmierć młodego ojca i weterana”. Pod spodem widniało zdjęcie uśmiechniętego mężczyzny w galowym mundurze Gwardii Królewskiej. Furażerka z białym frędzlem z przodu, granatowa marynarka, koszula i krawat. Równe zęby.

Samobójstwo czy zabójstwo?, zastanawiał się dziennikarz na stronie piątej. Trzydziestojednoletniego stolarza Kima Andersena, który wraz ze zmechanizowanym pułkiem piechoty odbył misje w Iraku, Bośni i Hercegowinie, i w Afganistanie, znalazła jego świeżo poślubiona żona rankiem dzień po weselu. W śledztwo włączyła się policja krajowa, co sugerowałoby, że może chodzić o udział osób trzecich. Zdaniem Michaela sam timing był co najmniej podejrzany. Przed ślubem para była w związku od siedmiu lat i mieli dwoje małych dzieci. Dziennikarz zdawał się sugerować, że była to kolejna tragiczna historia wypalonego weterana, niemogącego się przystosować do życia w warunkach pokoju.

Artykuł ilustrowało również wykonane z helikoptera zdjęcie krytego strzechą domu na skraju lasu, karetka pogotowia i pojazdów kryminalistyków. Dziennikarz wyniuchał również, że w pobliskim hotelu Strandmarken zameldowała się doświadczona śledcza z Komendy Głównej, komisarz Lene Jensen.

Michael zmarszczył brwi, kiedy przyjrzał się archiwalnemu zdjęciu pani komisarz stojącej na schodach sądu okręgowego w Kopenhadze: czarny garnitur, wysokie obcasy, słoneczne refleksy w płomiennie rudych włosach spiętych nisko kłamrą. Poważna twarz.

Uśmiechnął się, kiedy sobie przypomniał, gdzie ją widział. Oczywiście, wczoraj, w kawiarnianym ogródku na Kultorvet.

Odłożył gazetę na łóżko, wsunął pod głowę jeszcze jedną poduszkę i wrócił do studiowania sufitu.

10

Lene ziewała zasłonięta maską chirurgiczną, kiedy patrzyła na Andersena leżącego na metalowym stole w prosektorium. Padała ze zmęczenia. Zapach formaliny przyprawiał ją o mdłości i głowa ją bolała od nieustającego szumu systemów wentylacyjnych nad stołami. Po powrocie do hotelu nie zmrużyła oka. Zdjęcie z pustyni położyła na szafce przy łóżku i resztę nocy przewracała się z boku na bok albo zapalała lampkę i ponownie przyglądała się zdjęciu.

Dzisiejszą sekcję miała prowadzić młoda lekarka sądowa, którą Lene знаła z wcześniejszych spraw. Ciężkie prześcieradło odsunęła składając je przy stopach denata. Kim Andersen przypominał siebie za życia. Tam, gdzie skóra dotykała stołu pojawiły się niebieskie i czerwone plamy opadowe. Uwolniono go od kajdanek, woreczków na rękach i sznura na szyi. Bruzda pod uszami, która została po sznurze zmieniła kolor na czarny.

Lekarka popatrzyła na Lene.

– Pewnie interesuje cię, jaka jest przyczyna śmierci?

– Domyślam się, że skreślił kark – odparła.

W widocznych nad maską oczach lekarki pojawił się uśmiech.

– Yep. To co, idziemy na obiad?

– Bardzo chętnie.

Poszła za patolożką w stronę wiszących na ścianie negatoskopów, na których znajdowały się już zdjęcia rentgenowskie kręgosłupa szyjnego denata. Lene spytała ją kiedyś, dlaczego wybrała tę makabryczną specjalizację, gdzie na co dzień była zmuszona obcować z maltretowanymi dziećmi, ofiarami gwałtów, zwłokami wyrzuconymi przez morze i spalonymi w pożarach zamiast mniej drastycznej i bardziej lukratywnej kariery w chirurgii plastycznej albo laryngologii, ale nie pamiętała, jaka była odpowiedź.

Lekarka pokazała miejsce na zdjęciu:

– To jest pierwszy kręgi kręgosłupa, po łacinie atlas, jak ten, który dźwiga glob ziemski, czyli czaszkę na swoich barkach. Jest przemieszczony względem podstawy czaszki, a kręgi poniżej, axis jest złamany. Wszystko jasne?

Lene pokiwała głową.

– Tym, co go zabiło było złamanie tej oto części drugiego kręgu – potwierdziła lekarka.

– Przy upadku z krzesła ogrodowego?

– To mogło wystarczyć. On waży osiemdziesiąt pięć kilo, wysokość upadku wynosiła jakieś czterdzieści centymetrów. Siła, przyśpieszenie i grawitacja wystarczyłyby, żeby złamać mu kark.

Lenne wsparła się o umywalkę.

– A nadgarstki?

– To już twoja działka, Lene. I życzę powodzenia, bo ci się przyda – dodała potrząsając głową.

– Ktoś mu je założył po śmierci – domyśliła się Lene.

Patolożka potwierdziła skinieniem i podeszła do stołu sekcyjnego. Podniosła ramię Kima Andersena. Stężenie pośmiertne ustąpiło.

– W miejscu kajdanek nie ma zadrapań ani krwiaków, które pojawiłyby się, gdyby ktoś na przykład założył mu kajdanki, w momencie, gdy on jeszcze żył, a potem na sznurze podciągnął go z ziemi. Wybroczyny pojawiłyby się również, gdyby sam się skuł z obawy, że się rozmyśli. Układ nerwowy funkcjonował jeszcze przez jakiś czas po śmierci mózgu, więc gdyby miał kajdanki, mimowolnie by się z nimi szarpał. Poza tym na wnętrzach dłoni znaleźliśmy nylonowe włókna pasujące do tych z liny. Sam zawiązał pętlę, ale nie próbował podciągać się na linie. Wówczas miałyby na dłoniach pęcherze, a tu, jak widzisz, nic takiego nie ma.

Lekarka zdjęła rękawiczki i fartuch, zwinęła wszystko w kulę i wrzuciła ją do worka na śmieci.

– Miałam do czynienia z przypadkami, gdzie sprawcy próbowali upozorować samobójstwo – powiedziała w zamyśleniu – ale nie słyszałam jeszcze, żeby ktoś, kto odbiera sobie życie chciał, by jego śmierć wyglądała na zabójstwo.

– Dość niezwykły sposób działania, prawda?

– Zdecydowanie. I po co ktoś miałyby to robić?

Lene się uśmiechnęła. Lubiła pracować z tą młodą lekarką, która teraz też się uśmiechnęła pokazując czarującą przerwę między jedynkami. Oczy-

wiecie mogłaby ją zlikwidować, ale Lene podobało się, że postanowiła jej nie ruszać.

– To elementarne, drogi Watsonie – odpowiedziała komisarz. – Ktoś chce, żeby samobójstwo Kima Andersena zostało uznane za zabójstwo. Co też zamierzam zrobić. A próbki krwi?

Lekarka otworzyła teczkę.

– Całkiem przyzwoity poziom promili, jak to po weselnych toastach, chociaż w żadnym razie nie alarmujący czy zagrażający życiu.

– A leki nasenne?

Lekarka potrząsnęła głową.

– Żadnych benzodiazepin czy barbituranów. Wykryliśmy za to terapeutyczne ilości sertraliny, dość popularnego antydepresantu. To pigułki szczęścia. Z ich pomocą nie da się popełnić samobójstwa.

– Można się tylko jeszcze bardziej uszczęśliwić – mruknęła Lene pod nosem.

– Słucham?

– Nie, nic. A co powiesz o tatuażach?

– Jak to u gwardzisty. *Pro rege et grege* to nadrzędne motto Gwardii: Dla króla i ludu. Potem mamy słowa: *Dominus providebit*, co oznacza „Pan zapewni”. Bardzo bogobojnie. Ale sprawdziłam i jest to motto pierwszej kompanii piechoty pancernej Gwardii. Na wewnętrznej stronie prawego przedramienia widnieją litery ISAF, co oznacza „International Security Assistance Force”, czyli natowska misja w Afganistanie.

– Wojska koalicji?

– Tak. Był weteranem.

– Zgadza się. Poza Afganistanem służył na Bałkanach i w Iraku. A szminka?

– Słucham?

– Żona twierdzi, że po tym jak go odcięła, zrobiła mu sztuczne oddychanie. Po weselu zostały jej na twarzy resztki makijażu, w tym mocno rozmazana szminka i maskara, która absolutnie nie była wodoodporna. Tymczasem u niego nie widziałam śladów szminki, ani przy nosie, ani przy ustach, chociaż chyba powinny tam być?

Patolożka otworzyła szerzej oczy i w zadumie pokiwała głową.

– Tak, masz rację. To znaczy... żadnych śladów nie ma.

Obie uważnie przyglądały się sztywnej, zamkniętej twarzy zmarłego. Jego oczy były głęboko zapadnięte.

– Myślisz, że żona kłamie? – spytała lekarka.

– Jediną prawdziwą informacją, jaką mi podała jest jej imię – stwierdziła Lene.

Zdjęła z twarzy maseczkę, chociaż ta częściowo absorbowowała zapach i ręką zasłoniła usta, kiedy ponownie ziewnęła. W kieszeni jej kurtki wibrował telefon, lecz go zignorowała. Wiedziała, kto dzwonił. Komendantka Charlotte Falster lubiła otrzymywać codzienne raporty, żeby móc wkroczyć do akcji ze swoją nadrzędną inteligencją, jeśli sprawy zaczną się wymykać spod kontroli.

– Na kajdankach są jakieś odciski palców? – spytała Lene po chwili.

– Twoi technicy je zabrali.

Lene wskazała nieregularną głęboką bliznę na prawym udzie denata.

– Jak myślisz, co to jest?

– A to akurat dość ciekawe. Na pierwszy rzut oka wygląda na postrzał z karabinu myśliwskiego albo wojskowego. – Lekarka z trudem podniosła nogę. – Mamy tu gwiazdzistą ranę wlotową, w miejscu, gdzie przelatujący obok pocisk wbił się w zewnętrzną stronę uda i w ciełe zmienił tor, omijając kość i inne ważne tkanki znajdujące się z tyłu, jak nerw kulszowy czy którąś z dużych tętnic.

Lekarka pokazała bliznę po ranie wylotowej z tyłu uda. Była znacznie większa od tej z boku.

Lene zmarszczyła czoło.

– I nie mógł to być odłamek przydrożnej bomby?

– Nie. Ale przede wszystkim, rana nie została zamknięta przez chirurga. Została starannie oczyszczona ale nie zszyta. Doszło do samozasklepienia, co musiało trwać kilka miesięcy. Oceniam, że blizna ma jakieś dwa lata.

Lene kiwała głową i przyglądała się, jak lekarka pobierała małe próbki tkanki z krawędzi blizny.

– Więc twoim zdaniem nie zgłosił się z tym do szpitala czy na pogotowie?

Lekarka stanowczo pokręciła głową.

– Nie zgłosił się, na sto procent. Gdyby tą raną zajął się chirurg, to w pierwszej kolejności przeciąłby tkanki miękkie, żeby otworzyć kanał postrzału i sprawdzić, czy do środka nie dostała się ziemia albo fragmenty odzieży.

Lene kiwała głową zamyślona. Próbowwała sobie przypomnieć słowa Louise Andersen. O tym, że jej mąż uczestniczył w tylu wojnach i zawsze

wracał bez jednego draśnięcia.

Chwilę stała przed niskim budynkiem zakładu medycyny sądowej, a potem spojrzała na błonia Fælledparken. Przez rozległy trawnik maszerowała grupa przedszkolaków, zaś jakieś sto metrów dalej biegacz w bluzie z kapturem rozciągał się przy drzewie. Oddychała głęboko, żeby pozbyć się przykrego zapachu z nosa i ust.

Znów zawibrował jej telefon.

– Gdzie jesteś? – spytała szefowa.

– Pod Zakładem Medycyny Sądowej. – Lene zaczęła iść w stronę swojego samochodu.

– I czego się dowiedziałaś?

Lene wyobraziła sobie Charlotte Falster siedzącą za ogromnym biurkiem w nowej siedzibie Komendy Głównej w nudnej przemysłowej dzielnicy Glostrup. Na biurku stała potrójna srebrna ramka ze zdjęciami szefa departamentu, który był jej mężem oraz ich bardzo grzecznych i udanych dzieci, syna i córki. Na ścianach reprodukcje impresjonistów, na podłodze dywan Vibeke Klint, a na głowie pani komendant nieśmiertelny siwy bob..

Wbrew temu, co uważały przyjaciółki Lene, nie chodziło tylko o to, że Charlotte była irytującą służbistką i złą szefową. Sprawa była zarówno prostsza jak i bardziej skomplikowana: Charlotte i Lene zwyczajnie się nie lubiły i wiedziały o tym od pierwszej sekundy. Brakowało między nimi chemii.. Obie jednak szukały w tej sytuacji plusów i mimo braku sympatii darzyły się wzajemnym zawodowym szacunkiem.

– Kim Andersen popełnił samobójstwo – powiedziała Lene. – Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Otworzyła drzwi samochodu. Zapalony biegacz zostawił swoje drzewo i truchtem oddalał się ścieżką.

– A kajdanki?

– Ktoś mu je założył pośmiertnie.

– Żebyśmy się zajęli sprawą?

– Tak sędzę.

– Masz jakiś pomysł, kto to mógł być?

– Żona. Na trawie nie ma żadnych śladów wskazujących na obecność kogokolwiek poza nimi. Ziemia była wilgotna i miękka od rosy.

W słuchawce zapadła cisza. Przełożona Lene próbowała zebrać myśli.

– Potrzebujesz wsparcia? – spytała po chwili. – Jan wrócił do pracy po tym urazie kolana. Wiesz, że...

Nie dokończyła zdania i Lene była jej za to wdzięczna. Oczywiście, że zasadniczo powinni pracować w zespole trzyosobowym: jedna osoba gromadzi ślady w miejscu zdarzenia, druga czyta raporty, a trzecia przesłuchuje świadków. Normalnie Charlotte Falster zaczęłaby teraz wykład o pracy zespołowej, synergii, koordynacji, odpowiedzialności, informacji zwrotnej i innych pustych pojęciach z podręcznika biznesu, ale łaskawie jej go oszczędziła.

– To tylko samobójstwo – przypomniała jej Lene. – Porozmawiam z wdową.

W słuchawce usłyszała szelest papieru. Pewnie dzisiejsza gazeta. Stosunek Charlotte do pracy w policji był niejednoznaczny. Z jednej strony jej chłodna rezerwa, elokwencja i opanowanie doskonale się prezentowały na pierwszych stronach gazet czy w telewizji. A z drugiej nie znosiła tego, ile zasobów musiała marnować na dziennikarzy, których bez wyjątku uważała za stado aroganckich, leniwych i nadętych nieudaczników, kiedy ci bez ustanku domagali się wglądu do akt, wywiadów, odpowiedzi i sprostowań.

– I zajmę się prasą – dodała szybko Lene. – Na jutro zwołam briefing. Miałaś rację. To medialna sprawa. W Holbæku już roi się od dziennikarzy.

– Dziękuję. – Charlotte brzmiała, jakby mówiła szczerze. – Mam zatem wystosować nic niemówiącą informację dla prasy i zarezerwować salę na posterunku w Holbæku na, powiedzmy, czternastą?

– Tak. I nie ma za co.

Wsiadła do samochodu i wcisnęła w telefonie guzik szybkiego wybierania, żeby połączyć się z Arnem i poprosić go o porównanie odcisków palców z kajdanek z odciskami Louise Andersen.

Jednocześnie próbowała rozstrzygnąć, dlaczego nawet nie przyszło jej do głowy mówić szefowej o swojej nocnej wizycie w domu Andersenów, o zdjęciu młodych wojowników na pustyni i o wrażeniu, że ktoś ją śledził. Nie istniało żadne proste wyjaśnienie. Poinformowanie o tym Charlotte zwyczajnie nie wchodziło w grę. Nie chciała dopuszczać jej zbyt blisko siebie.

Zakapturzony biegacz podszedł do motocyklu zaparkowanego za Zakładem Medycyny Sądowej, zdjął łańcuch, którym przypiął kask do kierownicy, z bocznych sakw wyjął skórzaną kurtkę i rękawiczki, i wsunął kluczyk

do stacyjki. Nie śpieszył się. Wiedział, że znajdzie Lene Jensen gdy tylko i gdzie tylko zechce: zeszłej nocy rozmieścił w jej starym Citroënie kilka ukrytych nadajników GPS. Pani komisarz była taka przewidywalna. Podobnie jak jej śliczna dwudziestojednoletnia córka, Josefine.

Mieszkanie przy Kong Georgs Vej było puste. Josefine wywietrzyła po popcornie, na drążku zasłony prysznicowej nie suszyła się już bielizna, podłogi były odkurzone, a kuchnia lśniła i pachniała czystością. Nawet jej pokój wyglądał jak po konsultacji z doradcą feng shui i Lene czuła się lekko oszołomiona przechadzając się po własnym domu. Wyglądało na to, że jej córka wykonała kwantowy skok i z roztrzepanej, skrajnie egocentrycznej nastolatki stała się dyrektorką szkoły dla perfekcyjnych pań domu.

Lene stwierdziła, że będzie jej brakowało Josefine, gdy ta uda się w podróż, a potem się wyprowadzi. Będzie tęskniła nawet za tymi dziwnymi, pełnymi mroku kłótniami, które potrafiły wybuchać bez powodu i w które obie, raz za razem angażowały się całym sercem i duszą. Żadna nie błagała o litość ani nie brała jeńców. Każda prędzej by umarła niż przyznała, że mogła się mylić. I zawsze, gdy w oparach absurdu zabrnęły już naprawdę daleko, ich spojrzenia się krzyżowały, każda przewijała rozmowę do początku i rozumiejąc, jak nieskończenie głupie było to, co mówiły – zgodnie wybuchały histerycznym śmiechem.

Wszystkiego będzie jej brakowało.

Lene przespała się parę godzin na najlepszej i najbezpieczniejszej kanapie świata stojącej w ich salonie, a gdy się obudziła, poczuła silny wewnętrzny opór przed tym, co musiała i powinna zrobić: odbyć długą i stanowczą rozmowę z młodą, nieszczęśliwą i zakłamaną wdową.

Ale najpierw należało porozmawiać z lekarzem Andersena w Holbæku.

11

Gabinet lekarski mieścił się bardzo praktycznie, w mieszkaniu nad apteką i poniżej gabinetu okulisty w białym budynku mniej więcej w połowie głównej ulicy Holbæku. W środku Lene poczuła się, jakby cofnęła się w czasie o czterdzieści lat. Szare płytki PCV na podłodze w poczekalni były poodklejane na rogach, a kanapa wyglądała, jakby ją obito żywą zieloną pleśnią. Lene uważnie przyjrzała się wytartej tapicerce, zanim zdecydowała się usiąść. O swoim przybyciu powiadomiła starszą otyłą sekretarkę w recepcji, chociaż odniosła wrażenie, że kobieta w ogóle jej nie słuchała.

Czekając, Lene obserwowała małego chłopca w okularach z grubymi szklami i z dużymi wacikami sterczącymi z uszu, który w kąciku zabaw próbował przecisnąć kwadratowy klocek przez okrągły otwór w drewnianej płytce, podczas gdy jego matka czytała kolorowe czasopismo. Chłopiec próbował osiągnąć swój cel niestrudzenie, a jej przyszło do głowy, że być może tak się czuli ci wracający do domu żołnierze: jak ten kwadratowy klocek, który nie pasuje do okrągłej dziury.

Kobieta wstała nagle, złapała chłopca za rękę i bez słowa wyszła z poczekalni. Lene nie słyszała, aby kogoś wzywano ani nie widziała, żeby zapaliła się jakaś lampka. Pomyślała, że może tylko wtajemniczeni dostępują audiencji u doktora Knudsena. Po chwili z gabinetu dobiegł rozdzierający krzyk, a po nim Lene usłyszała, jak matka wrzeszczy na chłopca. W końcu w drzwiach pojawił się zapłakany brzdąc, uwolniony od wacików. Matka złapała go za ramię i wyprowadziła z poczekalni, niemal wlokąc go po podłodze.

Drzwi do gabinetu pozostały uchylone i Lene usłyszała, jak jakiś głos w środku szepcze jej nazwisko.

Weszła i zmrużyła oczy w półmroku. W świetle lampki na biurku pojawiła się blada dłoń na końcu rękawa kitla, a męski głos poprosił ją, żeby usiadła.

Kiedy jej oczy powoli przywykły do ciemności, zobaczyła przed sobą zmęczoną twarz doktora Knudsen. W rogu biurka stał stary, szary monitor, a w popielniczce leżało cygaro i samo się paliło.

Lene usiadła i lekarz odchylił się w fotelu, ponownie znikając w półmroku.

– Dzień dobry – zaczęła. – Komisarz Lene Jensen z Komendy Głównej.

– Dzień dobry, Lene Jensen.

A potem cisza.

– Kim Andersen jest, albo był jednym z pańskich pacjentów – powiedziała.

Następnie podała mu numer osobowy zmarłego. Lekarz jeden po drugim wyciągał palce strzelając kośćmi. Nienawidziła tego dźwięku. Jej były mąż robił tak samo. I jej ojciec. Dłonie lekarza przesunęły się nad klawiaturę, a monitor zalał chudą twarz zielonkawym światłem.

– Słyszałem, że popełnił samobójstwo – powiedział cichym, niemal zawiedzionym głosem.

– Powiesił się wczoraj rano – potwierdziła.

– Wielka szkoda. I tragedia. Znałem Kima od małego. Rzadko tu przychodził. Był w doskonałej kondycji fizycznej.

– A psychicznej?

Doktor Knudsen odchylił się na krześle.

– Pani komisarz Jensen, normalnie obowiązuje tu coś w rodzaju tajemnicy lekarskiej. Nie wiem, czy...

– Pacjent nie żyje. A w związku z jego zgonem ujawniono pewne medyczne szczegóły, które chciałabym wyjaśnić.

– Tak?

– Tak. Znaleźliśmy w jego domu antydepresanty. Sertralinę. Oraz środki nasenne. Opakowanie tych drugich było w połowie puste. Pan wystawił recepty.

– Stilnoct – powiedział lekarz. – To stosunkowo nieszkodliwy środek.

– Doktorze, od jak dawna Kim brał ten lek?

– Ze dwa lata.

– A dokładniej?

– Od czerwca dwa tysiące dziesiątego.

– A sertralinę?

– Tak samo.

– Od czerwca dwa tysiące dziesiąty?

– Tak.

– Dostał skierowanie do psychiatry?

Doktor Knudsen milczał i już miała powtórzyć pytanie, kiedy ten nachylił się ku niej.

– Pani komisarz Jensen, on nie chciał skierowania. Widocznie miał do mnie zaufanie. Obecnie stało się normą, że my, lekarze rodzinni, zajmujemy się leczeniem pacjentów w lekkiej i umiarkowanej depresji. Psychiatrów brakuje, kolejki są długie, więc coraz więcej osób bierze antydepresanty. Substancję aktywną można by właściwie dodawać do wody pitnej.

Odkaslnął i ciągnął dalej:

– Naturalnie proszę nie brać tego dosłownie. Prawdą jest jednak, że depresja stała się chorobą społeczną. Wynika to albo stąd, że lepiej potrafimy ją diagnozować, co z kolei oznaczałoby, że dawniej wiele osób nie otrzymywało odpowiedniego leczenia albo po prostu ludzie są dziś bardziej nieszczęśliwi niż kiedyś. Albo...

– Albo co?

– Albo ludzie są lepiej poinformowani o dostępnych terapiach i żądają, żeby ich leczono. Internet – wypowiedział to słowo jak nazwę choroby wenerycznej. – Istnieje mianowicie również taka możliwość, że choroba jest dziś nadmiernie diagnozowana. Co zresztą wydaje się nieuchronne. Nikt nie może się uważać za w pełni zdrowego według obecnie obowiązującej normy, którą przykłada się do wszystkich bez wyjątku. Osoba nieśmiała ma fobię społeczną, introwertyk jest chorobliwie wycofany, melancholik albo osoba źle znosząca rozwód cierpi na depresję, a irytujący niesforny dzieciak na pewno ma ADHD. Z kolei ludzie ze sztywnością karku albo postrzałem mają zespół whiplash, fibromialgię albo coś jeszcze innego. Pani komisarz, w życiu nie ma już miejsca na stary dobry smutek. Takie jest moje zdanie. Dziś to się nazywa zespołem stresu pourazowego, PTSD. Ja wolę słowo smutek.

Lene skinęła krótko głową.

– A on dlaczego był smutny?

Czekając, aż mężczyzna sformułuje odpowiedź, rozejrzała się po gabinecie. Nie zdziwiłaby się, gdyby zobaczyła narzędzia chirurgiczne dezynfekowane w szklance whisky. Próbowала sobie wyobrazić badanie ginekologiczne na stojącym w rogu antycznym fotelu obitym popękany czarnym skajem, ale to zadanie ją przerosło.

– Kto wie? Stracił kilku kolegów w Afganistanie – powiedział w końcu doktor Knudsen.

– Ale z misji wrócił w dwa tysiące ósmym, a sertralinę zaczął przyjmować w dwa tysiące dziesiątym – zauważyła.

– Zgadza się. I niestety nie mam na to żadnego wyjaśnienia. Wiem natomiast, że Kim był badany przez psychologów z Zakładu Psychologii Wojskowej. Jak chyba wszyscy weterani.

– Jakieś nazwisko?

– Niestety. Mają siedzibę w Koszarach Svanemøllen w Kopenhadze.

Lene zamknęła oczy. Przyjdzie jej resztę życia spędzić na kursowaniu między Holbækiem a Kopenhagą. Mogłaby, oczywiście, skorzystać z oferty Charlotte i poprosić któregoś z kolegów, żeby porozmawiał z psychologami, przełożonymi Kima Andersena i jego dawnymi kolegami z pułku, ale wiedziała, że tego nie zrobi. Gdy nad sprawą pracowało zbyt wielu śledczych zawsze mogło się zdarzyć, że jakiś kluczowy acz niepozorny szczegół komuś umknie, a Lene tak naprawdę ufała tylko sobie. Taka już była. Poza tym nie cierpiała być zależną od tempa i staranności innych ludzi. Zawsze wydawało jej się, że pracują za wolno i wszystko robią nie tak jak trzeba.

– Podczas obdukcji w prawym udzie Andersena znaleźliśmy zabliźnioną ranę. – Zmieniła temat. – Medycy sądowi uważają, że to rana postrzałowa z broni myśliwskiej albo bojowej. Pobrali próbki tkanki, a rana jest sprzed mniej więcej dwóch lat. Wspominał panu o niej?

Doktor Knudsen zbliżył głowę do monitora. Poruszał wargami czytając własne notatki w karcie pacjenta.

– Nie był u mnie z czymś takim i nigdy o tym nie wspominał. Nie dostałem też żadnego wypisu z pogotowia ani szpitala odnośnie rany nogi. A powinienem dostać. Dziwne.

Lene uważała tak samo. To było dziwne.

– Dziękuję, doktorze Knudsen.

– Nie ma za co, pani komisarz.

Lekarz ponownie zanurzył się w cień.

12

Jakość obrazu nie była najlepsza, jak zwykle na nagraniach z monitoringu, poza tym można było odnieść wrażenie, jakby dwaj złodzieje rogów nosorożca wiedzieli dokładnie, gdzie w rezydencji Caspersena są rozmieszczone kamery. Cały czas bowiem poruszali się na granicy światła i mroku, i przemieszczali się szybko i sprawnie. Ponton wyłonił się z ciemności tuż przed drugą w nocy, w styczniu. Zanim łódka dotarła do plaży, mężczyźni wskoczyli do wody i wyciągnęli ją na kamienisty brzeg, po czym sprintem przemierzyli park. Na nagraniach nie było widać żadnych jasnych plam twarzy ani dłoni, Michael domyślał się, że mieli rękawiczki i coś w rodzaju kominiarek. Przebiegli przez pole widzenia jednej kamery i wbiegli w pole następnej, zanim dotarli do schodów. Jeden z nich nieznacznie utykał na prawą nogę.

Wyższy stał nieruchomo, gdy jego kolega z chorą nogą wyjmował z plecaka łom. Wsunął go pod zawiasy i wyjął drzwi z futryny, które wpadły do środka i teraz to specjalista od łomu czekał, aż jego kolega wyjmie z plecaka puszkę sprayu. Pewnie ten ciekły azot, którym schłodzili system alarmowy wewnątrz rezydencji. Obaj zbiegli po schodach i zniknęli za garażem. Po kilku sekundach znów się pojawili niosąc aluminiową drabinę ogrodnika i wbiegli z nią do domu.

I to by było na tyle. W domu nie było monitoringu.

Postąpili dokładnie tak, jak zrobiłby to Michael.

To naprawdę frustrujące, że nagrania z kamer nie grzeszyły jakością. Ci dwaj – bo raczej, cholera, musieli to być faceci sądząc po ich posturach – spędzili w domu dokładnie sześć minut i dwadzieścia trzy sekundy, sądząc po zegarze na nagraniu.

Czy tyle czasu wystarczyłoby im, żeby podrzucić DVD?

Raczej nie. Poza tym według Elizabeth Caspersen na sejfie za weneckim lustrem nie było śladów włamania.

Za to bardzo rzucała się w oczy nieobecność psa Murzyna.

Michael kliknięciem wysunął płytę z komputera, położył obok i popatrzył smutno na telefon. Po rozmowie z Sarą czuł jeszcze większą tęsknotę i poczucie winy. Ich syn Axel wylądował na pogotowiu z rozciętym czołem i on powinien ich tam wspierać. Sara została ze wszystkim sama. Z wrzeszczącym maluchem na rękach i czterolatkiem, który skończył z ośmioma szwami.

Takie były zasady gry w jego branży, ale czasem szczerze ich nienawidził i żałował, że nie został piekarzem, kucharzem, nauczycielem albo kimś innym, kto robi coś dla ludzi, ale przy tym może prowadzić normalne życie rodzinne.

Po powrocie do Danii próbował nawet znaleźć sobie jakąś zwykłą pracę. Wszędzie jednak mówili mu, że jego kwalifikacje są za niskie albo za wysokie, albo zbyt nieokreślone. Skończyło się więc tak, że Sara sama nalegała, żeby zajął się tym, w czym jest najlepszy: szukaniem rzeczy i ludzi. A wolnym strzelcem został, ponieważ rozmowy w każdej firmie, do jakiej uderzył kończyły się w dokładnie tym samym miejscu: dziesięć lat w angielskiej firmie ochroniarskiej, i czym się pan tam zajmował?

No, niestety, nie wolno mi o tym mówić.

O czym nie wolno panu mówić?

Michael za każdym razem był zmuszony uśmiechać się przepaszająco i wzruszać ramionami. Shepherd & Wilkins wysłaliby za nim łowców skalpów, gdyby ujawnił szczegóły operacyjne. Było tak, jakby po dziesięciu latach wybudził się ze śpiączki. Czy da się sprawić, żeby śpiączka wyglądała w CV jak aktywność zawodowa?

Michael nalał sobie czarnej kawy i zabrał się za przeglądanie internetowych wydań norweskich gazet w poszukiwaniu informacji o zaginionych ludziach. Zwłaszcza tych, których po raz ostatni widziano na północnych krańcach Finnmarku.

Wiedział, że nie będzie to łatwe. Zaginięcia stanowiły dla prasy łakomy kąsek, ale ci, którzy się odnaleźli nie byli już tak interesujący. I rzeczywiście nie brakowało artykułów o turystach górskich, wspinaczach, narciarzach biegowych, ludziach na skuterach śnieżnych, zbieraczach jagód i ornitologach, którzy zabłądzili na pustkowiach północy, za to informacji o tragicznym bądź szczęśliwym zakończeniu poszukiwań było znacznie mniej.

Pod koniec lipca 2010 niedaleko fińskiej granicy zaginął trzydziestodwujęcioletni Duńczyk. Przez niemal tydzień nie dawał znaku życia, ale ostatecznie helikopter norweskiej armii znalazł go całego i zdrowego. Pod koniec marca tego samego roku młode duńsko-norweskie małżeństwo zaginęło podczas trekkingu w Finnmarku. O tej parze artykułów było sporo, zarówno w gazetach duńskich, jak i norweskich. W tekstach pojawiały się linki do filmów na YouTube, gdzie przyjaciele i rodzina informowali o ich zaginięciu i prosili o pomoc. Ale ofiara z nagrania była sama, więc nie pozostało nic innego jak szukać dalej.

Sprawdził informacje o zaginionych na stronie Komendy Głównej, ale wyglądało na to, że lista nie była aktualizowana od roku. Zresztą i tak profili było na niej niewiele. Następnie Michael odwiedził strony wielkiej trójki: Czerwonego Krzyża, Czerwonego Półksiężyca oraz Missing Persons Tracing Service przy ONZ. A potem odwiedził jeszcze strony kilku mniejszych organizacji, ale bez powodzenia.

Godzinę, dwie kawy i trzy papierosy później zorientował się, że mimo wszystko co najmniej cztery razy przeczytał te same fragmenty z „Ekstra-bladet” z 4 kwietnia 2010 roku:

Trwają poszukiwania trzydziestojednoletniego Duńczyka i jego dwudziestodwujęcioletniej żony, obywatelki Norwegii. Bliscy pary zgłosili ich zaginięcie 27 marca. Małżonkowie ostatni raz byli widziani w Finnmarku w okolicach Lakselv. Oboje są doświadczonymi turystami górskimi. Według norweskiej policji mieli ze sobą zarówno w GPS, jak i telefon satelitarny. Do Lakselv przylecieli z Oslo 22 marca. Nieznana jest trasa, jaką przemierzali.

Norweska policja i wojsko prowadzą poszukiwania na obszarze na północ i wschód od Lakselv. (Reuters).

Jego intuicja zaczęła iskrzyć, choć na razie słabo. Czasem miała rację, czasem nie, ale Michael nauczył się jej słuchać. Doświadczeni trekkerzy, GPS, telefon satelitarny... norweska żona. Norwedzy uczą się poruszać w górach, kiedy tylko zaczynają chodzić. Zaginięcie tej pary było zastanawiające.

Michael wiedział, że to dobry trop. Wiedział to, ponieważ poczuł, że wewnętrzne rozedrganie, które go nie opuszczało, nagle ustało, a jego mózg przeszedł w tryb widzenia tunelowego. Potwierdzenie znalazł w obszernym

artykule w „Verdens Gang” z 3 maja 2010 roku z kolorowym zdjęciem zaginionej pary.

Duńczycy zagubieni w Finnmarku, brzmiał norweski tytuł.

Dziennikarz, niejaki Knut Egeland przypomniał całą długą historię przypadków, w których żyjący na równinach Duńczycy gubili szlak na pionowych bezdrożach północy. Niemal zawsze udawało się ich znaleźć całych i zdrowych, ale Kasper Hansen i Ingrid Sundsbö nie mieli takiego szczęścia. Zaginęli na wschodnim brzegu fiordu Porsanger pod koniec marca 2010. Ingrid Sundsbö miała samskie korzenie i była bardzo doświadczoną turystką górską. W chwili zaginięcia miała dwadzieścia dziewięć lat. Kasper Hansen był duńskim inżynierem budownictwa i razem z żoną wielokrotnie spędzali urlop w górach. Małżeństwo wyszło z zajazdu Porsanger Vertshus rankiem we wtorek, 23 marca. Według personelu zajazdu para była dobrze przygotowana, w góry wyruszyli wyposażeni w namiot, śpiwory, przenośny GPS i telefon satelitarny. Właścicielce zajazdu podali numer telefonu.

Kierowca ciężarówki, który ich podwiózł również świetnie ich pamiętał. Opisał oboje jako pogodnych i pełnych zapału młodych ludzi. Kobieta oczywiście mówiła po norwesku bez akcentu, ale norweski mężczyzny był niemal równie płynny. Kierowca wiózł dostawę komputerów do Murmańska, a duńsko-norweską parę wysadził na parkingu dwa kilometry na południe od jeziora Kajavajärvi. Również on zauważył, że wydawali się świetnie przygotowani do wyprawy, a przy tym zdrowi i pełni energii. Kobieta miała na sobie czerwoną parkę, a mężczyzna – czarną. Wyglądało na to, że kierowca ciężarówki był ostatnią osobą, która widziała ich żywych.

Michael przyjrzał się zdjęciu, które ilustrowało artykuł. Kasper Hansen i Ingrid Sundsbö pozowali oczywiście na tle ośnieżonych szczytów, sami stojąc na szczycie góry. Mężczyzna obejmował żonę ramieniem, a ona patrzyła na niego i się uśmiechała. Szczupła, na głowie biała wełniana czapka, długie, proste czarne włosy, czerwona parka obszyta futrem. Mężczyzna patrzył w obiektyw, na szyi miał zawieszony okulary śnieżne. Czarna parka, krótkie ciemne włosy, białe zęby. Oboje wyglądali na tryskających zdrowiem i szczęściem, a Michael był pewien identyfikacji młodego mężczyzny z nagrania. To Kasper Hansen był mężczyzną, na którego urządzono śmiertelną obławę, i którego oprawcy dopadli na skraju fiordu Porsanger.

Michael rozparł się w krześle. Palce nieznacznie mu drżały, dopiero po kilku razach udało mu się przypalić papierosa. Co się wobec tego stało z Ingrid Sundsbö?

Od 25 marca z telefonu satelitarnego pary nie wykonano żadnego połączenia. Za to połączeń przychodzących na ten numer było mnóstwo, wszystkie od zaniepokojonej matki Kaspra, która zajmowała się dwuletnimi bliźniakami pary oraz od rodziców Ingrid.

Jednostki norweskiej policji i armii rozpoczęły oczywiście szeroko zakrojoną akcję poszukiwawczą. Nad długim wąskim jeziorem o nazwie Kjæsvatnet, policyjne psy znalazły pozostałości po ognisku, a przy pobliskim strumieniu, torbę na ryby z wikliny i skóry. Widniały na niej inicjały KH. Więcej śladów, które mogłyby naprowadzić na trop małżeństwa, nie znaleziono.

Na początku kwietnia przyszło załamanie pogody z gwałtownym ochłodzeniem i śnieżycami. Około 10 kwietnia służby były zmuszone zakończyć poszukiwania.

Michael wszedł na Facebooka i przejrzał profile poświęcone obojgu. Znalazł mnóstwo portretów zaginionej pary, a wszystkie profile były pełne apelów skierowanych do ludzi na całym świecie, aby dzielili się wszelkimi informacjami, jakie mogą rzucić światło na losy małżeństwa. Zamieszczono również zdjęcia pięcioletnich dziś bliźniąt, dziewczynki i chłopca, ładnych, ciemnowłosych. Poza tym opublikowano zdjęcia rodziców obojga, dziadków, rodzeństwa i kilkadziesiąt zdjęć z uroczystości wyglądającej na coś w rodzaju mszy żałobnej zorganizowanej przez bliskich pary w norweskim kościele Sjømannskirken na Amager. Ze zdjęć biła prostota i szczerść przeżywanych emocji, a przy tym głęboko ludzka godność, która czyniła je tym bardziej poruszającymi.

Według najświeższych postów matka Kaspra Hansena mieszkała w Vangede i uzyskała prawa do opieki nad bliźniętami, mimo że Kasper Hansen i Ingrid Sundsbø z prawnego punktu widzenia wciąż żyli. Dopiero za pięć do siedmiu lat sąd może ich uznać za zmarłych.

Michael wszedł na stronę norweskiego instytutu meteorologicznego, a potem sprawdził historyczne mapy pogody paru innych międzynarodowych serwisów pogodowych. Wszędzie znalazł takie same informacje: w ostatnim tygodniu marca i pierwszych dniach kwietnia dwa tysiące dziesiątego roku z półwyspu Karelskiego nad Północną Norwegię nadciągnął nietypowy dla tej pory roku łagodny wyż, który następnie rozpadł się na Morzu Północnym gdzieś pomiędzy Islandią a Jan Mayen. Niebo było bezchmurne, a temperatura – wyjątkowo wysoka jak na tę porę roku. W okolicach fiordu Porsanger nie odnotowano żadnych większych opadów. Noce

były pogodne i gwieździste. Dokładnie jak na DVD Elizabeth Caspersen. Gwiazdy. Pogodne niebo. Bezwietrznie. Żadnych szumów w mikrofonie.

Uważnie przejrzał najróżniejsze norweskie i duńskie strony, chciał wiedzieć, czy w okolicach współrzędnych były jakieś koliby, ale najbliższe oficjalne schronienie znajdowało się trzydzieści kilometrów od miejsca zdarzenia. I to w linii prostej.

Michael wyłączył komputer, położył się na łóżku, zaraz wstał ponownie i zaczął niespokojnie przemierzać pokój. Wreszcie zadzwonił do Elizabeth Caspersen, poprosił, żeby kupiła telefon na kartę i zadzwoniła do niego z nowego numeru. Nagrał krótką wiadomość na skrzynce Keitha Mallory'ego z datą zaginięcia pary.

Nagromadzona energia i stres domagały się ujścia. Przebrał się w koszulkę i szorty, i w butach do biegania zszedł do hotelowej siłowni, gdzie kolejne półtorej godziny spędził na bieżni, stepperze i podnosząc ciężary.

13

Brał akurat prysznic po treningu, kiedy dostał esemesa z nowego numeru Elizabeth Caspersen.

Gdy oddzwonił, nie traciła czasu na uprzejmości. W tle Michael słyszał szum ruchu ulicznego i domyślił się, że była w samochodzie.

– Kobięcy głos przekierował mnie na twój nowy numer – powiedziała zamiast przywitania. – Jak często zmieniasz telefon?

– Raz dziennie.

– Ale teraz rozmawiam z tobą, tak?

– Tak sędzę – odparł.

– Michael, powiedz, czego się dowiedziałeś i po co mi nowy telefon? Oraz, kto twoim zdaniem mógłby mieć ochotę mnie podsłuchiwać i czy to w ogóle możliwe?

W jej głowie słychać było napięcie i zniecierpliwienie.

– Zacznę od końca: tak, to możliwe. Jest to w rzeczywistości dziecinnie proste, niestety. Jeśli chodzi o to, kto mógłby być zainteresowany podsłuchiwaniem twoich rozmów, to kandydatów raczej nie brakuje. Wyobraźmy sobie, na przykład, że ktoś podrzucił to DVD do sejfu twojego ojca, żeby cię szantażować. Wówczas bez problemu potrafię sobie wyobrazić, że ten ktoś podsłuchuje twoje rozmowy.

– Szantażować? Ale po co?

– Pomyśl o firmie. Jak rozumiem, twoja mama będzie musiała mieć wyznaczonego opiekuna prawnego i wydaje się logiczne, że będziesz nim ty, prawda?

– Oczywiście. Adwokaci już się tym zajmują. Tak naprawdę lada chwila sprawa będzie rozstrzygnięta.

– I co na to Victor Schmidt?

– Nagle stanie się dla mnie bardzo, ale to bardzo miły. Albo wprost przeciwnie.

Michael czekał na rozwinięcie, ale nic więcej nie powiedziała. Dlatego sam przerwał ciszę:

– Elizabeth, wasza firma dysponuje szalenie cenną technologią. Wartością dla wielu potężnych graczy. Jeśli w firmie nastąpią jakiegokolwiek gwałtowne ruchy, na przykład zacznie się wewnętrzna walka o władzę, nastąpi rozłam albo jeśli firma zostanie sprzedana, to amerykański departament obrony będzie musiał za wszelką cenę uzyskać wpływ na te decyzje. Ty natomiast, dysponując akcjami własnymi oraz rodziców, znajdziesz się, przynajmniej hipotetycznie, w centrum tych rozważań. Jako że możesz się teraz pochwalić pakietem większościowym.

– Tylko dlaczego, u licha, miałabym robić cokolwiek, co naraziłoby na szwank firmę mojego ojca? – spytała. – To bez sensu. Michael, Sonartek tak naprawdę kompletnie mnie nie interesuje. Tak się składa, że mam własne życie.

Michael westchnął.

– Niestety, nie ma pewności, czy rozumieją to również decydenci w branży zbrojeniowej albo amerykańskim departamencie obrony. Myślę, że oni mogą zakładać coś wręcz przeciwnego.

Uśmiechał się, kiedy to mówił i miał nadzieję, że ten uśmiech był dostrzegalny w jego głosie. Czytał gdzieś, że telemarketerów szkoli się, żeby się uśmiechali, gdy próbują namówić ludzi do tego, do czego akurat mają ich namawiać. Podobno uśmiech można usłyszeć przez telefon. – To, jak mówię, tylko hipoteza, ale nie ulega wątpliwości, że to nagranie może być doskonałym sposobem na wywarcie presji.

– Doskonałym – przyznała bezdźwięcznym głosem. – Tak naprawdę nie jestem w stanie wyobrazić sobie skuteczniejszego środka przymusu.

– Cieszę się, że co do tego jesteśmy zgodni – podsumował Michel rzeczowym tonem. – A teraz, w odpowiedzi na twoje pierwsze pytanie, mam bardzo prawdopodobne miejsce zdarzenia.

– Gdzie?

– Północna Norwegia. Finnmark. Wschodni brzeg długiego wąskiego szlaku żeglownego, nazywanego u nich fiordem Porsanger. Mam również datę. – I po teatralnej pauzie oznajmił: – Mężczyzna został zastrzelony dwudziestego czwartego marca o siódmej wieczorem.

– Jesteś pewien? Ale kiedy? W zeszłym roku? Dwa lata temu?

Miał nadzieję, że właśnie tak zareaguje. Gdyby wiedziała więcej niż mu powiedziała, pytanie o rok nie padłoby tak szybko i tak naturalnie.

– Jestem w stu procentach pewien miejsca, daty i godziny – odparł. – Wiem również, że to musiało mieć miejsce w ciągu ostatnich trzech lat. Lokalizację wytyczyliśmy na podstawie położenia gwiazd w ostatnich ujęciach filmu.

– Z położenia gwiazd? Jesteś pewien, że to wiarygodne?

– Absolutnie – potwierdził.

– O cholera. To potworne. Wiesz, kim był?

– Jeszcze nie.

Michael uznał, że nie jest gotów opowiedzieć jej o duńsko-norweskiej parze. Wmawiał sobie, że musi to jeszcze porządnie przemyśleć, zyskać pewność, że to oni. A w rzeczywistości chciał odwlec w czasie moment, w którym powie Elizabeth Caspersen, że bardzo możliwe, że jej ojciec ma na sumieniu życie nie jednego, lecz dwojga ludzi. Pary, która osierociła dwójkę małych dzieci.

– Co mam robić? – spytała i wydmuchała nos.

– Dowiedz się, czy twój ojciec w ciągu ostatnich trzech lat wyjeżdżał w marcu za granicę.

– Prawda jest taka, że od tych trzech miesięcy, jakie minęły od jego śmierci uczestniczę w jego życiu bardziej niż kiedykolwiek za jego życia – wyznała gorzko. – Przez ostatnich dziesięć lat prawie się nie widywaliśmy.

– Dlaczego?

– Chyba po prostu przestaliśmy się lubić. Uważasz, że to dziwne?

– Nie.

Michael pomyślał o własnym ojcu, który był nie tylko protestanckim proboszczem, ale również alkoholikiem, człowiekiem zupełnie nie nadającym się do życia w rodzinie i na którego nie można było liczyć. Fantastą, który ruchał wszystko, co żyje i złamał serce matce Michaela. I którego Michael ubóstwiał.

– Ojciec nie mógł zdzierżyć mojego męża – dodała. – Może w rzeczywistości za bardzo są do siebie podobni. Albo to we mnie poniewczasie odezwała się potrzeba młodzieńczego buntu. Ostatnio dużo o tym rozmyślałam.

– Jesteś w stanie sprawdzić, czy wyjeżdżał dokądś w marcu w okolicach tej daty? – Michael wrócił do tematu.

– Możliwe. Firma ma własny odrzutowiec. Ojciec niemal w nim mieszkał. Jest też dom na Majorce i mieszkanie w Nowym Jorku.

– Jestem pewien, że uda ci się to sprawdzić. Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę?.

- Co takiego mam zrobić?
- Twój ojciec musiał mieć rusznikarza, który zajmowałby się konserwacją i naprawą broni, może jakiś warsztat. Sprawdź, czy w jego rzeczach nie ma jakichś rachunków albo wizytówki firmy, z której korzystał.
- I na co ci to?
- Ciekawi mnie ten sztucer Mausera. Chciałbym wiedzieć, kiedy został kupiony i czy został dopasowany do twojego ojca. Firma mogła na przykład zmienić długość kolby. A może w ogóle nie znają tej broni. To też byłaby dla nas cenna informacja.
- Myślisz, że mógł ją kupić gdzie indziej, specjalnie w tym celu?
- Tak.
- I naprawdę nie masz pojęcia, kim jest człowiek z nagrania?
- Nie.
- Ale dowiesz się tego, prawda?
- Na pewno. Pytanie, czy ty jesteś pewna, że chcesz, abym dalej nad tym pracował? Elizabeth, wkrótce staniemy na rozdrożu – zastrzegł i pomyślał o Ingrid Sundsbö i jej bliźniętach.
- To znaczy?
- Jeszcze nie jest za późno, żeby to zostawić i mieć nadzieję, że sprawa po prostu się rozmyje. Ale jeśli będę drążył dalej, to za chwilę poznamy jakieś nazwisko. Zgłębimy historię tego człowieka, jego rodzinę, bliskich, być może dzieci. Teraz on wciąż jest postacią na plastikowym dysku. To nagranie jest przerażające, naprawdę. Ale mimo wszystko on jest w nim tylko postacią. Kimś obcym. Na twoim miejscu dałbym sobie czas na zastanowienie, czy naprawdę, ale to naprawdę tego chcesz.
- Michael, gdzieś tam są bliscy tego człowieka i wciąż nie wiedzą, co się z nim stało – odpowiedziała bez wahania. – Gdyby zniknęła któraś z moich córek, za wszelką cenę chciałabym poznać prawdę.
- Rozumiem. I oczywiście ty tu decydujesz – powiedział cicho.
- Jest coś jeszcze – dodała po chwili.
- Co takiego?
- Pozostali. Ludzie, którzy byli tam razem z moim ojcem. Może już wcześniej to zrobili. Może zrobili to również potem. Ktoś musi ich powstrzymać i chciałabym być tym kimś. Tylko to pozwoli mi w jakiś sposób odpokutować za zwyrodniałstwo mojego ojca. Jestem bogata i gotowa oddać każdą koronę swojego majątku, żeby znaleźć tych ludzi.
- Niewykluczone, że będziesz musiała to zrobić, pomyślał Michael.

– Znajdę tego rusznikarza i porozmawiam z pilotami ojca – dodała. – A ty działaj dalej, jasne?

– Tak jest. A w ogóle dzięki za nagranie z włamania.

– Przydało ci się?

– Będę musiał je obejrzeć raz jeszcze, ale miałaś rację, byli świetnie przygotowani.

Michael mocno potarł czoło, zanim zadał następne pytanie:

– Victor Schmidt i jego synowie. Można się z nimi jakoś spotkać?

– Nie wiem. Ale może być trudno. Po chcesz się spotkać z Victorem?

– Być może to DVD jest po prostu tym, czym jest. Szczególnym trofeum myśliwskim, które twój ojciec sam umieścił w domowym sejfie. Ale może ma większe znaczenie. Chciałbym sobie wyrobić zdanie o ludziach z otoczenia twojego ojca. Oni wszyscy mieszkają w Danii?

– Tak, ale od razu cię uprzedzę, że niełatwo będzie to zorganizować. Victor nie jest głupi. Trzeba się liczyć z jego przenikliwością. I jako kogo miałabym cię przedstawić? Dziennikarza piszącego biografię ojca? – zaśmiała się nerwowo.

Michael akurat rozważał taką możliwość, ale ją odrzucił.

– Nie. Żeby kłamstwo było wiarygodne, musi być możliwie najbliższe prawdy. Od jak dawna choruje twoja matka?

– Od czterech lat, tak mniej więcej.

– Podróżowała z twoim ojcem?

– Rzadko. Nie cierpiała latać, a pod koniec nie lubiła również tych oficjalnych spotkań towarzyskich. Zawsze powtarzała, że wypiła już swoje ostatnie martini. Miała mnóstwo bliskich przyjaciółek, grała w brydża i tenisa, malowała i dużo czytała. I była fantastyczną babcią. Miała własne życie.

– Znakomicie – ucieszył się Michael. – A twój ojciec lubił kobiety?

– To znaczy?

– Po prostu: czy lubił kobiety.

– Chyba tak, chociaż nigdy nie słyszałam żadnych plotek o romansach czy zdradach, jeśli o to ci chodzi. Jeśli miał kogoś na boku, to był bardzo dyskretny. W ogóle uważam, że rodzice byli zgraną parą. Nigdy nie pomyślałam, że mógłby mieć kochankę.

Michael mimowolnie pomyślał o nagich nimfach rozstawionych wokół pałacu Caspersena.

– W porządku, ale wyobraźmy sobie, że twój ojciec jednak z kimś romansował podczas jednej ze swoich licznych podróży biznesowych. Albo nie. Załóżmy, że miał stałą kochankę. Może na Majorce a może w Nowym Jorku. Powiedzmy, że w Nowym Jorku. I nie mówię tu o jakiejś call girl, tylko o kobiecie wykształconej i pochodzącej z szanowanej rodziny... Babce z klasą.

– Okej – powiedziała bez przekonania.

– Zatem wyobraźmy sobie, że ich związek miał pewne... konsekwencje, tak to nazwijmy.

– Chcesz powiedzieć, że mam w Stanach młodszego brata albo siostrę? Byłoby cudownie!

– To tylko taka historyjka – dodał szybko. – Nie dla ciebie tylko dla Victora. Jeśli wpadniesz na coś innego i lepszego, to nie ma sprawy.

– O nie, chyba nie mam aż takiej wyobraźni. Dobra, czyli ojciec w Nowym Jorku zdradził matkę z jakąś dobrze sytuowaną babką. I co dalej?

– Ta kobieta domaga się teraz swoich praw w imieniu własnym i małoletniego syna. Jest stuprocentowo pewna, że chłopak jest owocem lędźwi Flemminga Caspersena.

Usłyszał zamykanie drzwi samochodu i hałas ruchu ulicznego stał się wyraźniejszy.

– Znowu zaczęłam palić – wyjaśniła. – Rzuciłam dziesięć lat temu, ale właśnie się zatrzymałam na jakimś obskurnym parkingu przy autostradzie i pałę jednego za drugim. A zaczęłam po spotkaniu z tobą – nagle prychnęła, trochę nerwowo, ale również z niejaką ulgą. – Owoc lędźwi? Chryste... Michael, jesteś synem pastora?

Teraz sam się roześmiał.

– Żebyś chciała wiedzieć. Tylko nie mów nikomu. Ojciec się zapił na śmierć.

– A ty? Pijesz?

– Jacka Danielsa wysłałem na emeryturę. Zasadniczo. Ale czasem wpada z wizytą.

– Dobrze to słyszeć. W sensie, że jest na emeryturze – oznajmiła. – Picie to jedno wielkie marnotrawstwo.

– Z reguły tak – przytaknął, choć nie do końca się z tym zgadzał.

– A wiesz, o czym właśnie pomyślałam? Nie, jasne, że nie wiesz. Pomyślałam, jaką minę zrobi Victor, gdy go powiadomię o nieznanym dotąd spadkobiercy Sonarteku.

Michael parsknął śmiechem. Kontrolowanym.

– To ile lat ma ten łepok? – spytała i zachichotała jak nastolatka.

Wszystkie te odgłosy Michael interpretował jako przygrywkę do wielkiego, pięknego i klasycznego załamania nerwowego.

– Powiedzmy, że jest całkiem mały, niech ma z sześć miesięcy. A ty dostałaś list od... miss Janice Simpson.

– Simpson? – Znowu parsknęła głośnym śmiechem, który zagłuszyła przejeżdżająca ciężarówka. Brzmiało to tak, jakby stała na jezdni.

– Albo kogoś innego. Nazwij ją jak chcesz. Przysłała ci list napisany odręcznie na eleganckiej papeterii. Jeśli chcesz, możesz go sama zredagować. Składa ci w nim kondolencje z powodu twojej straty, która jest również stratą dla niej i dla juniora. Jest taktowna i empatyczna, ale udaje jej się zawrzeć w liście kilka bardzo osobistych informacji na temat twojego ojca, jego firmy i ciebie. Są to detale znane nielicznym. Do listu dołączyła zdjęcie małego, który wygląda oczywiście jak każdy niemowlak. Jest zdruzgotana śmiercią twojego ojca... i swojego kochanka. Musi jednak myśleć o szeroko pojętej przyszłości swojego syna.

– No tak, oczywiście.

– Jej zdaniem twój ojciec chciałby zapewnić juniorowi jak najlepszy start. Miss Simpson nie ma wygórowanych oczekiwań, w żadnym razie. Chce jedynie dać ci możliwość ustosunkowania się do tej sytuacji i dalszego postępowania, zanim włączy w nie swoich adwokatów. I naturalnie jest gotowa na życzenie przesłać wam wszelkie próbki DNA.

– Michaelu, jesteś genialny – powiedziała z uznaniem w głosie.

– To tylko przykrywka.

– Ale mogłaby się wydarzyć.

Przez chwilę oboje milczeli.

– A kim ty jesteś w tej historii? – ona pierwsza przerwała ciszę.

– Tym, kim w rzeczywistości. Prywatnym detektywem, którego polecił ci pewien Holender. Sama już nie wiesz, co począć. Najpierw niespodziewanie umiera ci ojciec, do tego masz na głowie chorą matkę i teraz jeszcze to. Czego może chcieć miss Simpson? Pieniędzy? Nazwiska? Miejsca w zarządzie firmy? Oficjalnego uznania ojcostwa? Chciałabyś oczywiście rozważyć te wszystkie możliwe scenariusze z Victorem i jego rodziną, jako ludźmi z najbliższego otoczenia twojego ojca, i chciałabyś, abym w tym uczestniczył jako twój pełnomocnik. Jeśli chodzi o prawo spadkowe, to oczywiście wiesz na czym stoisz, ale przede wszystkim zależy ci, żebym w

twoim imieniu sprawdził, czy ta miss Simpson jest osobą wiarygodną czy zwykłą oszustką. Chciałabyś poznać przeszłość panny Simpson, jej rodzinę... Dowiedzieć się, kim ona jest i skąd pochodzi.

– To prawda – przyznała Elizabeth. – Musiałabym się tego dowiedzieć. Gdyby to się wydarzyło naprawdę, pewnie poszukałabym kogoś takiego jak ty.

– Sama widzisz. Victor Schmidt zapewne też będzie chciał się upewnić, czy przed następnym zebraniem zarządu musi wyparzyć butelki ze smoczkiem.

Znów zachichotała, tym razem nie mogła się uspokoić, aż Michael jej przerwał:

– Elizabeth, jeszcze jedna, ostatnia rzecz.

Śmiech ucichł.

– Co takiego?

– Szpitalna kartoteka twojego ojca. Gdzie właściwie umarł?

– W zamku Victora. Pojechał tam na polowanie. Bez przerwy tam jeździł. Gdy nie podróżował, niemal tam mieszkał. Znaleźli go martwego w łóżku w niedzielny poranek. Dlaczego pytasz?

– Bez konkretnego powodu. Domyślam się, że zabrali go do najbliższego szpitala.

– Gdzie stwierdzono zgon w momencie przybycia – wyjaśniła.

– Oczywiście, ale i tak musi istnieć jakaś karta pacjenta albo notatka służbowa z izby przyjęć czy chociażby akt zgonu. A skoro, jak mówisz, była sekcja, to powinien istnieć również raport. Jesteś najbliższą rodziną, muszą ci wydać dokumentację medyczną. Chciałbym się z nią zapoznać.

Głos Elizabeth nagle stał się szorstki:

– A ja chciałabym wiedzieć, po co? Nie mam żadnych powodów przypuszczać, że ojciec zmarł z powodu innego niż zawał.

Dobrze się zastanowił, jak ubrać w słowa to, co zamierzał jej powiedzieć.

– Uważam, że mamy tu do czynienia z dziwnym nagromadzeniem niezwykłych zbiegów okoliczności. Nagły atak serca u kogoś w pełni zdrowego, włamanie i kradzież rogów, broń myśliwska z nabojami w magazynku. DVD. Wszystko to jest przecież dość niespotykane.

Tym razem cisza w słuchawce była wyjątkowo długa.

– Masz rację i jednocześnie nie masz – powiedziała wreszcie. – Ale w porządku, zdobędę dla ciebie te papiery i ci je prześlę.

– Dziękuję. – Doceniał, że przynajmniej przestała chichotać.

Po rozmowie z Elizabeth Caspersen, z torby podróżnej Michael wyjął podrapaną białą legitymację prasową rozmiarem i tworzywem, z którego została wykonana, przypominającą kartę kredytową. Legitymacja miała mikroczip i widniało na niej niewyraźne zdjęcie paszportowe. Nazwisko mógł zmieniać wedle potrzeby, naklejając litery. Zawodowiec od razu rozpoznałby fałszywkę, ale większość ludzi nigdy wcześniej nie widziała legitymacji prasowej i jak dotąd nie zdarzyło się, żeby ktoś chciał ją obejrzeć więcej niż raz.

Peter Nicolaisen, Danmarks Radio, postanowił i przystąpił do dzieła.

Michael nie był wierzący w potocznym znaczeniu tego słowa. Ojciec, jako upadły proboszcz skutecznie wyleczył go z chrześcijaństwa w standardowej duńskiej wersji. Mimo wszystko miał nadzieję, że gdzieś jest jakaś wyższa siła, która zrozumie i wybaczy mu to, co będzie musiał zrobić: tchnąć fałszywą nadzieję w serca ludzi oplakujących stratę swoich bliskich.

14

Lene zaparkowała dwieście metrów od zgrabnego budynku z czerwonej cegły mieszczącego komisariat w Holbæku. Słońce już minęło zenit, ale nadal było ciepło. Bluzę zawiązała sobie na szyi i założyła ciemne okulary. Śmierć weterana i udział w śledztwie Komendy Głównej przyciągnęły do kupieckiego miasta w Zelandii Zachodniej rzesze dziennikarzy kryminalnych, którzy dzięki rudym włosom z daleka rozpoznawali komisarz Lene Jensen. Ona z kolei nie miała w tej chwili ochoty być obleganą przez tłumy wygłodniałych pismaków. Niech czekają do briefingu ogłoszonego na następny dzień.

Weszła na posterunek bocznymi drzwiami i zajrzała do pokoju, gdzie mieściło się centrum alarmowe. Zamieniła kilka słów z oficerem dyżurnym i dostała biuro na pierwszym piętrze.

Na jego umeblowanie składały się: wyblakła szkolna tablica, plakat z mostem nad cieśniną Storstrøm, instrukcja przeciwpożarowa z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku, odrapane biurko i dwa krzesła. Na jednym z nich powiesiła kurtkę, torbę zostawiła na podłodze i usiadła przy biurku. Zdjęła zegarek i położyła go obok notesu i długopisu.

Jadąc do Holbæku, odbyła jeszcze jedną krótką rozmowę z Arnem. Była to rozmowa pod wieloma względami bardzo niepokojąca, która potwierdziła wiele z jej własnych podejrzeń.

O szesnastej ktoś zapukał do drzwi i po chwili stanęła w nich ta sama młoda policjantka, którą Lene poznała w leśniczówce. Wpuściła do środka Louise Andersen i ponownie zamknęła drzwi. Lene nie wstała, żeby się przywitać, milczała i pilnowała, aby zachować neutralny wyraz twarzy. Wskazała na krzesło po drugiej stronie biurka i młoda wdowa usiadła.

Prezentowała się czysto i schludnie. Po ślubnym makijażu nie było śladu. Wyglądała za to na dziesięć lat starszą. Na tyle, na ile młoda, zdrowa i ładna trzydziestolatka jest w stanie wyglądać na wymizerowaną i załamana,

Louise Andersen udało się to idealnie. Miała podkrążone oczy, a kąciki ust skierowane do dołu. Lene obawiała się, że być może tak jej już zostanie. Kobieta unikała wzroku komisarz.

– Louise, jak ty się czujesz? Gdzie są dzieci?

– U mojej mamy.

– Udało ci się przespać?

– Nie.

Lene próbowała pochwycić jej wzrok, ale bez powodzenia.

– Pamiętasz, co się wczoraj stało?

– Myślisz, że kiedykolwiek uda mi się zapomnieć?

Zerknęła na Lene i zaraz z powrotem wbiła wzrok w swoje czerwone converse'y. Była naprawdę ładną dziewczyną, pomyślała Lene. Piękne brązowe, kręcone włosy, wydatne kości policzkowe, duże, lekko skośne oczy, choć w tej chwili pozbawione blasku i życia.

– Kiedy się wczoraj obudziłaś, zaparzyłaś kawę dla Kima. Najpierw go zawołałaś. Sprawdziłaś, czy nie ma go w łazience, potem weszłaś do kuchni... Proszę, dalej ty – zachęciła ją Lene.

– Weszłam do kuchni – wymamrotała Louise. – Było mi niedobrze i bolała mnie głowa. Przesadziliśmy z alkoholem. Wypiłam pół kartonu soku i zaparzyłam kawę. Nie pamiętam, czy go wołałam. Pomyślałam, że może poszedł się przejść.

– Na spacer?

– Tak. Często tak robił. Wypiłam kawę i jemu też nalałam do kubka. Dwie łyżeczki cukru i odrobina mleka. Kim nie jest w stanie wypić gorzkiego americano.

Kąciki ust nieznacznie jej się poruszyły.

– Co zrobiłaś potem?

Louise Andersen zamknęła oczy i przyłożyła palce do powiek.

– Poszłam do ogrodu. Tam go znalazłam. Ktoś powiesił Kima na drzewie...

Jej ręce opadły na kolana. Twarz się wykrzywiła i z oczu popłynęły strumienie łez. Nagle wstała, przeszła przez pokój i wcisnęła się w kąt obok drzwi. Szloch wstrząsał jej plecami.

Lene odchyliła się na krześle i wyjrzała przez okno. Jakiś policjant otworzył drzwi samochodu kombi stojącego na parkingu przed budynkiem i na skąpym w słońcu placu wyskoczył owczarek niemiecki. Stając na tylnych nogach pies położył łapy na piersi mężczyzny. Ten odepchnął go i rozkazał

mu siedzieć. Zwierzę posłuchało i zaczęło lizać mężczyznę po rękach. Młody pies. Po szczeniacku figlarny i skory do zabawy.

– Nie... nie... nie... nie... – wdowa mówiła cicho do ściany.

– Louise?

Drobna postać nieznacznie się wyprostowała i lekko opuściła barki.

– Louise?

Skinienie głową.

– Wiesz, kogo widzę, gdy na ciebie patrzę?

– Nie.

– Widzę kogoś wyjątkowego. Młodą kobietę, która jest silna i odważna. Louise, masz w sobie wielką moc. I wyjdiesz z tego. To, co się stało to nie jest koniec. Masz przed sobą przyszłość, również po Kimie. Tam, po drugiej stronie czeka na ciebie dalsze życie. Choć dotarcie do niego zajmie dużo czasu. I tylko od ciebie zależy, czy początek tej przyszłości będzie trudny czy nieco łatwiejszy.

– To nieprawda. Nie ma żadnej przyszłości.

Kobieta wciąż stała twarzą do ściany w kolorze kojącej zieleni.

– Owszem, jest. Louise, spójrz na mnie.

Nadal stała nieruchomo, plecami do Lene.

– Cholera, siadaj na tym krześle!

Komisarz Jensen użyła swojego głosu ulicznego. Tembru policyjnych sił porządkowych. Dawno już nie miała okazji stosować go wobec uzbrojonych w płyty chodnikowe demonstrantów albo nabuzowanych sportowymi emocjami kiboli, ale okazało się, że nadal działa bez zarzutu. Młoda kobieta wyprostowała się jakby ją porażono prądem, posłusznie podeszła do biurka i usiadła na wprost Lene, robiąc wielkie oczy.

– Myślisz, że pierwszy raz mam do czynienia z kimś takim jak ty? – spytała Lene ostrym tonem.

– Pewnie nie.

– Dokładnie. Więc jak mówię, że masz przyszłość, to znaczy, że ją masz, do diabła. Wiem, że w tej chwili jesteś w czarnej dupie, a w głowie zionie ci pustka. I tak będzie jeszcze długo. Wszystko będzie chujowe, okej? Pytanie, czy temu ulegniesz, czy utopisz swoje życie w tym bagnie. Jesteś w szoku. To oczywiste, kto by nie był. Jest to zdrowa i naturalna reakcja na to, co się wydarzyło. Ale uwierz mi, do cholery, kiedy ci mówię, że to minie. Kiedyś się otrząśniesz i ruszysz z miejsca, i nie będzie to oznaczało, że nie kochałaś czy nie szanowałaś męża.

– Straciłaś kiedyś kogoś?

Lene zamrugła. Słyszała już to pytanie. Owszem, straciła ojca, ale był stary, schorowany i pogodzony z losem. Nie chciał dłużej cierpieć. Miała też aborcję w wieku siedemnastu lat, ale to się jakby nie liczy w tym kontekście. Tak naprawdę największą stratą, z jaką musiała się uporać było zniknięcie jej ukochanego kota, gdy miała jedenaście lat. Płakała bez ustanku przez trzy tygodnie. Do dziś uważała, że kot, nazwany Valium przez ojca, aptekarza, padł ofiarą zbrodni. Ich sąsiad nienawidził wszystkich żywych istot. Na bank zamordował Valiuma i gdzieś go zakopał. Kiedy sąsiad był w pracy Lene przeszukała jego ogród, ale niczego nie znalazła. W sumie to było jej pierwsze śledztwo.

– Nie – przyznała.

– Masz szczęście.

– Wiem. Powiedz, co zrobiłaś, gdy znalazłaś Kima.

– Przecięłam linę.

– Czym?

– Pobiegłam do domu i z kuchni wzięłam nóż. Biegiem wróciłam do ogrodu, postawiłam krzesło, ale nie mogłam dosięgnąć do liny... och, Boże...

– Więc co zrobiłaś?

– Pobiegłam do garażu po sekator, którym udało mi się dosięgnąć.

– Świetnie się spisałaś – pochwaliła ją Lene, łagodniejszym głosem. – Naprawdę. Domyślałam się, że pewnie nie byłaś w stanie utrzymać Kima, prawda? Był wysokim, postawnym mężczyzną.

– Nie. Upadł na trawę. Próbowалаm go przytrzymać, ale krzesło się przewróciło.

– Która to była godzina?

– Nie wiem.

– Okej. Kim leży na trawie, a ty... co robisz?

Jej twarz stała się maską bez wyrazu, znów uciekała wzrokiem.

Lene pomyślała, że teraz się otworzy.

– Próbowалаm mu zrobić sztuczne oddychanie i masaż serca. Ale to nie działało. Był zimny i nieruchomy. Tylko patrzył w niebo. Serce już mu chyba nie biło.

– Louise, gdzie się nauczyłaś reanimować?

Między jej cienkimi, starannie wydepilowanymi przed ślubem brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka.

- Jestem nauczycielką. Mamy w pracy szkolenia z pierwszej pomocy.
- A kajdanki zauważyłaś od razu?
- Od razu.
- Pamiętasz, czy ich dotykałaś?
- Nie dotykałam.
- Kawy?
- Słucham?
- Napijesz się kawy? A może chcesz szklankę wody, cokolwiek?
- Poproszę o wodę.
- Zaraz wracam.

Lene wyszła z biura i ruszyła długim korytarzem. Gdy znalazła drzwi toalety, odkręciła zimną wodę i wsunęła pod strumień nadgarstki. Potem spryskała twarz. Długo patrzyła na siebie w lustrze, zanim zakręciła kran.

Kuchnia znajdowała się za dyżurką. Przy stole zastała opiekuna psa. Sam pies siorbał wodę z plastikowej miski, a potem niepewnie przeszedł po śliskim linoleum. Długonogi szczeniak, który wciąż nie do końca panował nad wszystkimi czterema łapami, ogonem i wielką głową. Z zaciekawieniem obwąchał Lene aż policjant przywołał go do siebie. Lene nalała sobie kawy do kubka i wrzuciła trzy kostki cukru. Potem z kieszeni kurtki wyjęła snickersa i rozdarła papierek. Ręce jej się trzęsły. Niski cukier.

Popijając czekoladę kawą wskazała głową na psa.

– Nada się?

Policjant spojrział na zwierzę z ojcowską dumą.

– Myślę, że tak. Szkoliłem jego starszego brata z poprzedniego miotu i był naprawdę świetny.

– King?

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Nie. Rollo też nie. Wabi się Tommy.

Lene uśmiechnęła się do psiaka.

– Fajne imię.

– Racja.

Potem nalała wody dla Louise i wróciła do swojego małego zakurzonego pokoju.

Kubek z kawą postawiła obok zegarka, w równej linii, a szklankę wody podsunęła wdowie. Przy okazji dyskretnie zerknęła na swoją torbę leżącą na podłodze. Nikt jej nie ruszał.

– Jeśli chcesz, możesz zapalić – powiedziała.

– Mam astmę.

– I wszystko jasne. Wasz dom jest chyba najczystszym, w jakim kiedykolwiek byłam. Włączając w to mój własny.

– Musi być czysto.

– Tak, oczywiście.

Lene zajrzała do swojego kubka i wypła mały łyk.

– Louise. Kiedy mówiłam ci o przyszłości, że od ciebie zależy, czy jej pierwszy dzień będzie niezwykle trudny czy tylko trudny, to mówiłam poważnie.

Kobieta nawinęła na palec kosmyk włosów i mocno szarpnęła. Lene się skrzywiła. Wydawało się, że ból przyniósł kobiecie ulgę. Odwrócił jej uwagę.

– Okej.

– Posłuchaj uważnie. Istnieje coś takiego jak znieważenie zwłok ludzkich. Oznacza to, że zabronione jest dotykanie zmarłych albo ich przenoszenie, chyba że ma się ku temu bardzo ważny powód. Nie wolno zmieniać pozycji zmarłego, przebierać go ani rozbierać, nie wolno mu nakładać makijażu. Nie wolno zmarłej osoby sadzać na motorze ani przewozić jej w bagażniku na dachu samochodu. Rozumiesz? Wiem, że tak. To karalne.

– Jasne.

– W porządku. Istnieje również coś, co się nazywa wprowadzaniem w błąd albo utrudnianiem pracy policji. To również podlega karze. I wreszcie istnieje coś, co się nazywa krzywoprzysięstwem albo składaniem fałszywych zeznań. Mamy z tym do czynienia, gdy ktoś podczas śledztwa albo w sądzie świadomie mówi nieprawdę.

Wdowa uważnie popatrzyła na Lene. Miała zwilżone, lekko rozchylone wargi.

– Wiem, co to znaczy.

– Ciesz się mnie to, Louise. Naprawdę. Mam niestety wrażenie, że popełniłaś wszystkie trzy przestępstwa, więc naturalnie chciałabym wiedzieć, dlaczego.

– Słucham? O czym ty, do diabła, mówisz?

Lene, patrząc jej prosto w oczy odparła:

– Kiedy powiedziałam, że jesteś silna i odważna, to również mówiłam poważnie. Kajdanki nie zostawiły na nadgarstkach Kima żadnych śladów. Gdyby na przykład ktoś mu je założył, zanim go podciągnął na linie, Kim próbowałby się z nich wyswobodzić i to byłoby widać. Podskórne krwiaki

powstałyby nawet gdyby sam się skuł z obawy, że się rozmyśli. Próba uwolnienia rąk byłaby reakcją odruchową. Nieuchronną.

Louise Andersen szybko odsunęła krzesło, zerwała się z miejsca i była w połowie drogi do drzwi, kiedy Lene znów bardzo głośnym i ostrym tonem kazała jej ponownie usiąść. Kobieta zastygła w pół kroku, jakby zderzyła się ze ścianą. Lene już miała wstać, żeby siłą posadzić ją przed sobą, gdy tamta odwróciła się i bez słowa wróciła na miejsce. Jej oczy pałały. Skrzyżowała ręce i nogi, a knykcie zaciśniętych na ramionach palców pobieleły.

– Dziękuję – powiedziała Lene poważnym głosem. – Ta sytuacja nie rozwiąże się sama tylko dlatego, że stąd wyjdiesz. Na kajdankach są odciski palców tylko jednej osoby. Twoje. Jeśli chodzi o sztuczne oddychanie, którego, jak twierdzisz, się podjęłaś, to powinniśmy znaleźć na twarzy Kima ślady twojej szminki. Nie znaleźliśmy. Zabezpieczyliśmy twoje odciski palców na sekatorze, więc przynajmniej część twojej wersji jest zgodna z prawdą. Teraz chciałabym usłyszeć całą historię. Tę w pełni prawdziwą.

– Chcę adwokata – oznajmiła wdowa.

Lene pokiwała głową.

– Oczywiście. Ale jeśli chcesz adwokata, to muszę ci postawić zarzuty. A jeśli to zrobię, to staniesz przed sądem, który cię skaze. To pewne.

Jej usta drgnęły. Ukryła twarz w dłoniach.

Lene spojrzała na zegarek. Będą tu siedzieć w nieskończoność. Nagle straciła cierpliwość. Poczula, że ma dość kręactw młodej wdowy i jej niechęci do współpracy.

– Więc jak będzie – spytała z irytacją w głosie. – Niezwykle trudno czy tylko trudno?

Tamta odparła coś niezrozumiale.

– Słucham? Skarbie, nie słyszę, co mówisz.

– Myślę, że tylko trudno to już i tak za dużo.

– Też tak uważam – przytaknęła komisarz. – Zacznijmy od kajdanek.

– Nie wiem... Sama nie wiem, o czym myślałam... To znaczy, tak, pomyślałam, że jeśli mu założę kajdanki, to może wy, to znaczy, policja, że może się dowiedzie, co mu dolegało. Przepraszam. Źle zrobiłam.

– A co mu dolegało?

– Fuck. Wszystko!

– Chodzi ci o to, że miał depresję? Znaleźliśmy leki, rozmawiałam z jego lekarzem.

– Nie, to nie to... Wydaje mi się, że leki z początku działały, ale potem Kim coraz bardziej zamykał się w sobie. Był wycofany i smutny. Dzieci zaczęły go irytować, chociaż zawsze je ubóstwiał. To było coś więcej niż depresja. Depresję rozumiałam, nauczyłam się z nią żyć. Ale potem... Były takie dni... Potrafił całymi dniami nie odezwać się słowem do mnie ani do dzieci. Nie jadł. Nie mył się. Nie zmieniał ubrania. Znikał z domu i chodził po lesie albo wypływał łódką i wracał dopiero, gdy był pewien, że już śpię. Przestaliśmy uprawiać seks, przestaliśmy ze sobą rozmawiać, nic już razem nie robiliśmy.

– Jak długo to trwało?

– Prawdziwy koszmar zaczął się rok temu. To ja wpadłam na pomysł, żebyśmy się pobrali. Sama mu się oświadczyłam. Myślałam, że to pomoże. Że on dzięki temu poczuje się bezpieczniej, uwierzy, że go nie opuszczę. Pod koniec bardzo się tego bał. Miałam nadzieję, że wesele i wszystkie przygotowania, a potem spotkanie z dawnymi przyjaciółmi pomogą mu się pozbierać. I chyba rzeczywiście pomogło. Wydawał się, w każdym razie, bardziej pogodny. Wcześniej często się zdarzało, że nie mógł wstać rano z łóżka. Jego szef znał sytuację, był wyrozumiały. Uważał, że jako weteran, Kim potrzebuje czasu, żeby dojść do siebie. Ale ostatecznie prowadził interes i miał też innych pracowników, którym przez Kima przybywało pracy. Kim o tym wiedział i miał potworne wyrzuty sumienia.

Lene zmarszczyła czoło.

– Louise, czegoś tu nie rozumiem. Czas mi się nie zgadza. Z tego, co wiem, Kim wrócił z Afganistanu w listopadzie dwa tysiące ósmego, tak?

– Tak.

– Natomiast antydepresanty doktor Knudsen zaczął mu przepisywać w czerwcu dwa tysiące dziesiątego. Mniej więcej w tym samym czasie zaczął również brać leki nasenne. Dlaczego?

– Spał tylko po tabletkach. Mówił, że bierze je, bo po nich nic mu się nie śni. Chciał całkiem przestać śnić, tak twierdził.

Lene pokiwała głową.

– Rozumiem, ale spodziewałabym się, że jego problemy wynikały z powrotu z misji. Bo zakładam, że wykonywał zadania bojowe, prawda? Nie był logistyką ani, na przykład, kucharzem?

Louise uśmiechnęła się smutno.

– Kim wolałby sobie połamać obie ręce niż usiąść za biurkiem. Praca biurowa zupełnie do niego nie przemawiała. A w kuchni nie potrafił nawet

ugotować jajka. Słabo pisał i czytał. Nigdy nie przeczytał książki dla przyjemności. Tylko instrukcje obsługi. Tym, co miało dla niego sens była walka na froncie ramię w ramię z towarzyszami broni. Kim był jednym z najwyższej odznaczonych szeregowców w kraju. Był dobrym żołnierzem i bardzo doświadczonego. Walczył w Iraku, Bośni i Kosowie, a pułk był jego rodziną.

– Miał rodzeństwo?

– Starszego przyrodniego brata, który mieszka na Jutlandii i z którym rzadko się widywał. Nie byli skłócenii, ale między nimi było dziesięć lat różnicy, więc niewiele ich łączyło. Rodzice Kima się rozwiedli, kiedy on miał dziewięć lat. Z ojcem niemal całkiem stracił kontakt. Nie przepadali za sobą. Ojciec wyprowadził się do Tajlandii i tam się ponownie ożenił, z Tajką. Matka również wyszła drugi raz za mąż. Mieszka na Bornholmie.

– Więc jak on się czuł po powrocie z Afganistanu?

Louise napiła się wody i wbiła wzrok przed siebie.

– Wiadomo, że potrzeba czasu, prawda? Adrenalina nadal buzuje... Są, jak by to powiedzieć, trochę niereformowalni zaraz po powrocie do kraju. Trochę jakby mieli ADHD. Dni i noce zlewają im się ze sobą. Ale zwykle po jakimś czasie wszyscy się wyciszają. I z Kimem też tak było. W sensie, po Afganistanie. Zaczął pracować i wydawało się, że panuje nad sytuacją. Zawsze panował.

– Zgłosił się do Zakładu Psychologii Wojskowej?

– Wszyscy musieli się tam zgłaszać. Badają poziom stresu u żołnierzy zarówno przed jak i po misji. Najpierw, żeby sprawdzić, czy sobie poradzą, a potem, czy nie potrzebują pomocy po powrocie do domu. Ale na żadną terapię nie chodził, jeśli o to pytasz.

Zamilkła i po chwili dodała:

– Ludzie tacy jak Kim są na wagę złota.

– Dlaczego?

Zarówno jej twarz jak i oczy się ożywiły. Lene pomyślała, że Kim Andersen był szczęściarzem. W pewnym sensie.

– Doświadczenia niczym nie da się zastąpić – wyjaśniła Louise. – Tacy jak Kim pomagają młodym, niedoświadczonego żołnierzom ucząc ich jak wolno, a jak nie wolno postępować. Był skrzydłowym w pierwszej kompanii piechoty pancerniej. Skrzydłowymi, zdaje się, zostają zwykle żołnierze najbardziej doświadczeni i to ich wysyła się do zadań bojowych, gdy robi się gorąco.

– Okej. Czyli w pierwszym okresie było jako tako. Co się w takim razie wydarzyło wiosną dwa tysiące dziesiątego?

– Nie wiem, naprawdę. Lubił polowania. Został członkiem klubu łowieckiego w Holbæku. Jeździł też na polowania do jakiegoś zamku na południu Zelandii z grupą kolegów, też weteranów. Pederslund, tak się nazywa to miejsce. Często tam bywał. Strzelali głównie do saren. Czasem jeździł do Polski albo Szwecji polować na dziki albo łosie. W marcu albo kwietniu dwa tysiące dziesiątego pojechał z kolei do Szwecji i tam zranił się w nogę. Utykał, ale twierdził, że rana sama musi się zagoić. Tak mu powiedzieli na pogotowiu. Ale myślę, że to nie o to chodziło. W maju dowiedział się, że dwaj z jego najlepszych przyjaciół, którzy nadal przebywali w Afganistanie, zginęli od przydrożnej bomby. Kenneth i Robert. Talibowie umieścili w szybkowarze plastyczny materiał wybuchowy, kulki łożyskowe, śrubki, gwoździe, odłamki szkła i drobne kamyki. Potem zaczęli się na szczycie pobliskiego wzgórza i czekali. Ładunek zdetonowali telefonem komórkowym. Patrol składał się z pięciu osób. Przyjaciel Kima szedł pierwszy i on zginął na miejscu. Jego kolega, idący trzy metry za nim zmarł później od odłamków, które trafiły go w szyję. Potworne, naprawdę.

– Chryste.

Louise spojrzała na Lene.

– Właśnie, Chryste – wymamrotała. – Wydaje mi się, że Kim uważał, że gdyby był na miejscu, zdołałby temu zapobiec. Że to była w jakiś sposób jego wina. To było naprawdę straszne. Powtarzał, że ich śmierć była karą za coś, co on zrobił. Za coś, co oni wszyscy zrobili. Tydzień później Kenneth i Robert mieli wrócić do domu.

– Ale w jakim sensie kara? Za co?

Kobieta uśmiechnęła się nieznacznie.

– Nie wiem. Nie chciał o tym mówić. Powtarzał tylko, że to kara. Kazałam mu iść do lekarza. I wtedy dostał te leki.

Lene pokiwała głową i zanotowała parę haseł.

– Rozumiem. W szafce na broń rzeczywiście znaleźliśmy sztucer i strzelbę – potwierdziła. – Chociaż obie sztuki wyglądały na dawno nieużywane.

– Bo po tamtym wypadku w Szwecji przestał polować. Wtedy też zaczęły się jego problemy psychiczne.

– Z kim tam pojechał?

– Chyba z kolegami z tego zamku. Sam bardzo mało o tym opowiadał, a gdy próbowałam go podpytać, zamykał się w sobie. Był bardzo uparty.

– Jak doszło do tego wypadku?

– Powiedział, że upadł na przewrócone drzewo i gałąź przebiła mu udo na wylot.

– I mówisz, że nie był ranny ani w Kosowie, ani w Iraku czy w Helmandzie?

– Nigdy. Kule się go nie imały. Zawsze mówił, że chroni go jego miłość do mnie. Faktem jest, że miał niebывałe szczęście.

Lene odchyliła się na krzesło. Z jednej strony miała nadzieję usłyszeć coś więcej, jakieś konkrety, a z drugiej dostała znacznie więcej, niż mogła się spodziewać. Te informacje otwierały mnóstwo nowych tropów. Prawdopodobnie powinna notować na bieżąco, ale wiedziała, że nic porozumienia między nią a wdową jest zbyt wątpliwe i może się zerwać, jeśli Lene zacznie zbyt oficjalnie rejestrować zeznania Louise. Kobieta mogłaby ponownie się załamać albo ukryć za milczącym uporem. W tej chwili znajdowały się na małej bezpiecznej wyspie. Nie wolno było tego zepsuć.

Lene uśmiechnęła się tak życzliwie, jak była w stanie.

– A list, Louise?

Wdowa popatrzyła na nią zaskoczona i Lene powtórzyła:

– Czy zostawił list?

Kobieta wciągnęła głęboko powietrze i Lene przez chwilę obawiała się, że właśnie ją spłoszyła, ale tamta z trzymanej na kolanach torebki wyjęła kopertę i wręczyła śledczej.

Jedna kartka. W kratkę. Wyrwana z kołnotatnika.

Louise, moje serce należy do ciebie. Na zawsze.

Wybacz mi.

Dominus providebit.

Kim.

Lene odwróciła kartkę. Na odwrocie nie było nic na pisane, na kopercie też nie.

Louise Andersen wbiła nieruchomy wzrok w dłoń komisarza. Z jej oczu polały się łzy.

– To mój list. Nie możesz go zatrzymać.

Lene oddała jej kartkę.

– Oczywiście.

Kobieta z powrotem złożyła kartkę na pół i włożyła do koperty. Torebkę nadal trzymała na kolanach i teraz oparła na niej rękę.

Lene uważnie jej się przyjrzała.

– Louise, jeśli chodzi o to, co zrobiłaś, to może i jestem w stanie zrozumieć, co tobą kierowało, kiedy zakładałaś mężowi kajdanki. Ale prawdą jest, że on popełnił samobójstwo. Odwiązał linę z waszej łódki, wspiął się na krzesło, zawiązał linę na gałęzi, założył sobie pętlę na szyję i kopnął krzesło. Nie mówię tego z cynizmu, ale dlatego, że taka jest prawda. Próby samobójcze oraz samobójstwa nie są ścigane kodeksem karnym. Nawet jeśli dla nas, osób postronnych, zrozumienie motywacji, które popchnęły kogoś do takiej decyzji, jest trudne albo wręcz niemożliwe, to w istocie motywacje te są i pozostaną prywatną sprawą tego, kto się na taki czyn zdecydował. Nie wyobrażam sobie, jak my, policja, możemy ci pomóc. Z naszego punktu widzenia teraz, gdy znamy prawdziwą wersję wydarzeń, sprawę można uznać za wyjaśnioną.

Louise Andersen pokiwała głową. Przez chwilę milczała. A potem wsunęła dłoń do torebki, wyjęła z niej coś i położyła w zamkniętej pięści na środku biurka.

– A co mam zrobić z tym?

Rozprostowała palce. Na jej drobnej dłoni leżały dwa dziewięćmilimetrowe naboje.

15

Naboje potoczyły się po blacie biurka, aż same się zatrzymały. Lene ich nie tknęła.

- Gdzie je znalazłaś? – spytała.
- Jeden leżał na poduszce Lukasa, a drugi na poduszce Hanny.
- Myślisz, że Kim je widział?
- Drzwi do ich pokoju były otwarte.
- To ty zrzuciłaś poduszki na podłogę?
- Tak.
- Louise, kto położył naboje na łóżkach?
- Nie wiem, naprawdę. Jakiś psychopata.
- Znaliście jakichś psychopatów?
- O ile mi wiadomo, nie.

Wdowa była spokojna. Mówiła cicho, ale wyraźnie i bez cienia niepewności.

- Myślisz, że to ta sama osoba, która zabrała wasz komputer?
- A kto inny?
- Ale dlaczego?
- Przecież właśnie po to założyłam mu te przekłete kajdanki, prawda?

Lene pokiwała głową i wyjęła z torby zdjęcie pięciu żołnierzy na pustyni. Położyła je na biurku i odwróciła w stronę Louise.

- Pozwoliłam sobie zabrać to zdjęcie z waszego domu. Kima rozpoznałam po tatuażach. A pozostali?
- Na lewo od Kima stoją Robert Olsen i Kenneth Enderlein. Ci, którzy zginęli. Najlepsi przyjaciele Kima.
- Kiedy zrobiono to zdjęcie?
- Latem dwa tysiące szóstego. Gdzieś niedaleko Camp Bastion albo Camp Viking, jak nazywają duńską część obozu. Przez bazę przewijali się

też Anglicy, Amerykanie i Kanadyjczycy. I Korpus Łowców. Tam stacjonuje prawie jednaście tysięcy osób. Trudno powiedzieć, kto jest kim.

Lene wskazała na żołnierza w rozpiętej koszuli. Jako jedyny w tej ekipie nie wyglądał na reklamę salonu tatuażu.

– A ten, zaraz obok Kima, to kto?

– Allan. Jest młodszym oficerem w Gwardii. Chyba dalej czynnym. Allan Lundkvist. Kim mówił, że to dobry żołnierz. Jest pszczelarzem.

– Jak to pszczelarzem?

– Kim przywoził od niego czasem kilka słoików miodu w zamian za pomoc w pracach stolarskich. Rzeczywiście robi doskonały miód. Mieszka w starym wiejskim domu niedaleko koszar.

Lene się uśmiechnęła.

– A co to znaczy być dobrym żołnierzem?

– Że można mu zaufać, bo nie zrobi nic głupiego, co spowodzi niebezpieczeństwo na pozostałych. Wiadomo, że w tym fachu trzeba stale balansować między jednym a drugim, prawda?

– Nie rozumiem.

– No, dowódcy muszą być solidni, godni zaufania. Pozostali powinni wiedzieć, że nie wysyła się ich na front w ciemno. A jednocześnie od dowódcy oczekuje się gotowości do walki i podejmowania decyzji pod presją. To niełatwe. W ułamku sekund trzeba się wykazać brawurą, a przy tym dbać o pozostałych. Tak naprawdę tylko to się dla nich liczyło: żeby dbać o siebie nawzajem.

– A co z ofiarami cywilnymi? – spytała komisarz.

– Zdarzały się. Jeśli znaleźli się w potrzasku, mogli poprosić o wsparcie z powietrza albo artyleryjskie. Czasem trafiali tam, gdzie zamierzali, a czasem coś szło nie tak i zdarzało się, że granat zabijał cywilów. Problem w tym, że na oko nie da się odróżnić wroga od cywila. Są tak samo ubrani, tak samo mówią i chadzają w te same miejsca. Kim powiedział, że z tym najtrudniej było właśnie w Afganistanie. W Kosowie, Bośni i Hercegowinie czy Iraku było łatwiej. Tam z reguły było wiadomo, kto jest kim.

– Rozumiem. A ten piąty, który stoi trochę z boku? Ten ze skorpionem na szyi?

Louise Andersen wzięła zdjęcie do ręki.

– To jest Tom – powiedziała krótko i odłożyła zdjęcie.

– Po prostu: Tom?

– Zdaje się, że akurat tam był tego dnia.

– Pytałaś Kima o niego?

– Kim nigdy o nim nie wspominał. Myślę, że niezbyt dobrze go znał. Nie wiem nawet, czy jest Duńczykiem. To może być Kanadyjczyk, Anglik albo Amerykanin.

– Czyli Kim nie mówił ci nic o... Tomie?

– Nigdy.

Lene uważnie jej się przyjrzała. Głos wdowy brzmiał całkiem naturalnie. Nie kłamała.

– Louise, kto zrobił to zdjęcie?

– Nie wiem, Kim nigdy o tym nie wspominał. Wydawało mi się, że ustawili aparat na kamieniu i użyli samowyzwalacza.

– Okej. A co powiesz o tym? – Lene pokazała jej foliową torebkę z płytą CD. Krążek był pokryty czerwonymi plamami po proszku daktyloskopijnym. – Znaleźliśmy ją w trawie obok alfa romeo. Są na niej tylko odciski palców Kima.

– Co na niej jest?

– *We Will Rock You* Queenów. Zapętlone.

– Co?

– Louise, myślę, że słyszałaś, co powiedziałam.

Cały kolor odpłynął z twarzy kobiety. Lene miała przed sobą szarą maskę.

– To była ich piosenka... chłopaków z kompanii. Śpiewali ją, kiedy się upili. Śpiewali ją, kiedy wracali do bazy po udanej akcji.

– W jakim sensie udanej?

– Lene, oni tam pojechali zabijać talibów.

Po raz pierwszy użyła jej imienia.

– Tak, oczywiście. Czyli to było coś w rodzaju pieśni bojowej?

– Można tak powiedzieć.

– Słuchał jej czasem w domu?

– Nigdy. Nawet by mu to nie przyszło do głowy. Pewnych rzeczy robić nie wolno. Oni są niesłychanie przesądni. Wydaje mi się, że to typowe nie tylko dla żołnierzy, ale też dla marynarzy i innych, którzy wykonują niebezpieczne zawody. Policjanci na przykład są przesądni?

– Chyba niespecjalnie. A w ogóle gratuluję alfy – powiedziała nagle Lene. – Piękny samochód.

– Nienawidzę go – skwitowała Louise i znów zaczęła płakać.

Lene podała jej chusteczkę.

– Dlaczego? To przecież elegancki, drogi wóz.

– Właśnie dlatego! Nie stać nas na taki samochód. To było szaleństwo. Nawet za wesele jeszcze nie zapłaciliśmy. Nie wiem, co mu strzeliło do głowy. Ani skąd się wzięły tamte pieniądze. Powiedział tylko, że mu się poszczęściło.

– Jakie pieniądze?

– To ja płacę rachunki i korzystam z bankowości internetowej. I nagle, jakieś dwa miesiące temu ni stąd, ni zowąd na naszym koncie pojawiło się milion trzysta tysięcy koron. Okazało się, że kwota została przeliczona z ponad dwustu tysięcy franków szwajcarskich przelanych z banku w Zurichu.

Lene pochyliła się ku niej.

– Z jakiego banku przyszedł przelew i czy dołączono do niego jakąś informację?

– Credit Suisse. I nie, żadnych dodatkowych informacji. Tylko numer konta, ale żadnego linku, w który można by kliknąć. Kim powiedział, że to odszkodowanie. Chciał wyprawić wesele i podarować mi coś, co zapamiętam na zawsze.

– Odszkodowanie za co?

Młoda kobieta poruszyła się niespokojnie.

– Mogę już iść? Chciałabym wrócić do domu, do dzieci.

– Louise, za co było to odszkodowanie?

– Nie wiem, kurwa! Mogę już iść?! Odszkodowanie za nogę, depresję, noce w lesie. Nie wiem! Ale powiedział, że można dostać jeszcze więcej, o wiele więcej. Że możemy podróżować. Albo się przeprowadzić do Argentyny czy Nowej Zelandii. Zacząć nowe życie. Spokojne i dobre nowe życie!

– Louise, czy to się wcześniej zdarzało?

– Nigdy.

– Nigdy?

– Nie. Pieniędzy nigdy nie mieliśmy za wiele. W każdym razie nie więcej niż nasi znajomi.

– To było przed czy po tym, jak mu się oświadczyłaś? – spytała komisarz i bacznie przyjrzała się wdowie.

– Nie wiem. Czekaj... Nie, to musiało być krótko po tym. Boże, myślisz, że...? Że to przeze mnie...

– Nie, Louise, nie sądzę. – Lene szczerze jej współczuła. – To i tak by wyszło, prędzej czy później. Jestem tego pewna. – Położyła jej dłoń na

przedramieniu.

Louise wciągnęła głęboko powietrze i położyła na stole jeszcze dwa przedmioty: duże złote pudełko ze srebrnym napisem ROLEX i drugie, niebieskie z logo Kgl. Hofjuveler Hertz.

– Trzy tygodnie temu pojechał do Kopenhagi. I przywiózł to. Rolexa i pierścionek z diamentem. Chcesz?

Lene popatrzyła na pudełka i chwilę się zastanawiała. To była prawdopodobnie jedyna okazja, aby stać się posiadaczką rolexa. Zaczęła masować skronie.

– Wracaj do domu, Louise. I zatrzymaj te rzeczy. Albo sprzedaj je na eBayu i wpłać pieniądze na Czerwony Krzyż.

Zanim Lene skończyła mówić, wdowa była już w połowie pokoju. W drzwiach jeszcze się odwróciła.

– To wszystko? Zamierzasz...

Lene zmusiła się do czegoś na kształt uśmiechu.

– Wracaj do dzieci.

– Dziękuję.

– Nie ma za co, Louise.

– Nie powinnam była tego robić, prawda? Nie powinnam była mu się oświadczać – powiedziała w przestrzeń. – Nie powinnam była.

– Jedź ostrożnie.

Komisarz Lene Jensen siedziała jeszcze chwilę, potem wstała, przeciągnęła się i podeszła do okna. Na parkingu zobaczyła drobną postać Louise Andersen. Szła szybkim krokiem, ze spuszczoną głową, nie rozglądając się na boki. Gdy Lene się odwróciła, jej wzrok padł na leżące na biurku naboje: jeden dla chłopca, a drugi dla dziewczynki. Naboje... piosenka... odruchy warunkowe. Kim Andersen się powiesił, ponieważ ktoś wywołał w nim wyuczony odruch warunkowy. Ktoś nim zdalnie sterował.

Tom... obywatel Danii, Kanady, Stanów, Wielkiej Brytanii? By to szlag!

Schowała naboje do kieszeni. Nawet jeśli były na nich odciski palców, to wdowa już dawno je starła. Ale na pewno żadnych odcisków nie było.

Nakaz sądowy. Trzeba sprawdzić historię finansową Kima i Louise Andersenów oraz znaleźć tamto konto w Szwajcarii choćby musiała się osobiście pofatygować do Zurichu i przystawić jakiemuś wypchnionemu bankierowi pistolet do skroni. Chyba żeby pójść drogą oficjalną i zwrócić się do kolegów z wydziału przestępczości gospodarczej w Glostrup. Poprosić,

żeby wyznaczyli kogoś, kto się tym zajmie. Wówczas policyjni prawnicy musieliby wystąpić z formalnym wnioskiem do szwajcarskiego sądu i sformułować zarzuty, które komenda główna oraz Europol mogliby przedstawić przed sądem w Szwajcarii.

Ale zanim doczekałaby się odpowiedzi, od dawna mieszkałaby w domu starców. Choćby udało jej się nawrócić Kima Andersena na islam, z pewnością trochę by to przyspieszyło tok postępowania.

16

Lene miała wrażenie, że liczącą sześćdziesiąt pięć kilometrów podróż z Holbæku do Kopenhagi i z powrotem odbyła niezliczoną ilość razy, i była nią szczerze zmęczona.

Choć stale obserwowała swoje otoczenie, wciąż nie umiała się wyzbyć nękającego ją poczucia, że ktoś ją obserwuje, ani przekonać siebie samej, że po prostu ma paranoję. W Danii nikt nie obserwuje policji. Sama ta myśl była niedorzeczna. Zaparkowała samochód kilka metrów od swojego domu, wysiadła, sięgnęła po leżącą na tylnym siedzeniu torbę i rozejrzała się po ulicy. Przez skrzyżowanie między Kong Georgs Vej a Kronprinsesse Sofies Vej powoli przejechał motocykl, ale kierowca nie patrzył nawet w jej kierunku. Po drugiej stronie ulicy jakiś mężczyzna szedł chodnikiem, oddalając się od Lene. Stała jeszcze chwilę, aż mężczyzna zatrzymał się przy jednej z kamienic, otworzył kluczem drzwi i wszedł do środka.

Josefine siedziała na kanapie i oglądała jakieś reality show, w którym anorektyczki o przeciętnej urodzie walczyły o to, by zostać następną duńską top modelką. Kolejno wywoływała je prowadząca o równie zwyczajnym typie urody, mówiąca kuriozalną mieszanką duńskiego i czegoś w rodzaju egzaltowanej angielszczyzny.

– W lodówce masz coś do jedzenia – oznajmiła córka.

– Otworzyłaś puszkę makreli?

Josefine zamrugnęła urażona.

– Zrobiłam spaghetti carbonara, wystarczy dla ciebie i jeszcze zostanie na jutro.

Lene stała nieruchomo i zamknęła oczy.

– Proszę, oddajcie mi moją córkę – wyszeptwała.

– Bardzo śmieszne – skomentowała Josefine. Spojrzała na zegarek i wstała. – Idę do pracy.

Pracowała w barze niedaleko ratusza we Frederiksbergu i do domu wracała dopiero o drugiej nad ranem. Chociaż knajpa była piętnaście minut piechotą od domu, a Josefine miała dwadzieścia jeden lat i była nad wiek rozsądna oraz w pełni zdolna zatroszczyć się o siebie, Lene i tak wiedziała, że nie zaśnie, dopóki nie usłyszy klucza w zamku.

Kiedy na dole trzasnęły drzwi, Lene weszła do kuchni. Podniosła pokrywkę garnka z carbonarą i skosztowała niepewnie. W sumie niezłe. Nałożyła makaron na talerz, otworzyła butelkę czerwonego wina i zasiadła na kanapie przed telewizorem, a nogi nakryła kocem. Przeskakiwała po programach, aż na TCM znalazła *Oślawioną* Hitchcocka z Ingrid Bergman w roli nazistowskiej kobiety typu trofeum i Carym Grantem grającym najprzystojniejszego i najbardziej nieudolnego agenta świata. Widziała ten film milion razy, ale go uwielbiała. Za każdym razem spodziewała się, że uciekający kochankowie w ostatnim momencie zostaną zdemaskowani i pojęmani w trakcie przemierzania niekończących się schodów argentyńskiego pałacu nazistów.

Po filmie i dwóch kieliszkach wina zapadła w płytki sen, w którym jej podświadomość przepracowywała pewien niepasujący szczegół na samych peryferiach percepcji. Zobaczyła coś, co się nie zgadzało. Zaburzało obraz. Nie była jednak w stanie tego uchwycić, choć wiedziała, że to ważne. Im usilniej próbowała, tym dalej odpływał ten niepasujący element.

Kucał na chodniku obok motocykla. Pokrywa silnika leżała obok, a lartarkę trzymał w zębach. Usłyszał, że się zatrzymała jakiś metr od niego. Musiała odchrząknąć, żeby na nią spojrzeć. Josefine Jensen z uśmiechem wskazała na grodzącą przejście pokrywę i rowery oparte o ścianę domu. Odpowiedział uśmiechem, wstał, mruknął coś przepaszajaco i ją przepuścił. Było zimno, dziewczyna szczelnie otulała się cienką kurtką. Ładnie pachniała.

Po dwudziestu metrach odwróciła się, ale udawał całkowicie pochłoniętego naprawą w pełni sprawnego silnika. Gdy tylko zniknęła za rogiem przy Falkoner Allé, z powrotem przykręcił pokrywę, uruchomił silnik i opuścił szybkę kasku. Policzył do pięćdziesięciu i ruszył. Dziewczynę zobaczył dwieście metrów dalej, jak przebiegała przez przejście dla pieszych. Truchtem sprawnie poruszała się w wieczornym tłumie.

Stwierdził, że w innych okolicznościach stanowiłaby świetną zdobycz.

Śledził ją aż do baru, w którym pracowała. Przebiegła przez ulicę na czerwonym świetle, prowokując wściekłe trąbienie taksówki. Nie oglądała się za siebie, więc nie widziała, że mężczyzna na motocyklu uśmiechnął się, kiedy pokazała środkowy palec w stronę odjeżdżającej taksówki, nie przerywając biegu. Potem kilkakrotnie odetchnął głęboko i zanim otworzył drzwi baru, mentalnie przygotował się na hałas, do którego nie był przyzwyczajony: głośne, egzaltowane rozmowy młodych mieszczuchów o przeośnętym ego, brzęczenie szklanek, filiżanek, sztućców o talerze, muzyki pozbawionej kontroli głośności. Nienawidził miejskiego życia i wiedział, że zaraz większość oczu skupi się na nim.

Znalazł wolny stolik w głębi lokalu obok czterech młodych kobiet. Skórzaną kurtkę powiesił na oparciu krzesła, z wieszaka zdjął gazetę, a kobiety całkowicie zignorował, choć czuł, że ukradkiem mu się przyglądały. Przywykł do tego. Od kobiet niemal wszystkich ras słyszał, że jest piękny, chociaż jemu trudno było to dostrzec, a swojemu wyglądowi nie poświęcał szczególnej uwagi. Rzadko się golił, nie brał codziennie prysznic i sam sobie obcinał włosy, gdy uważał, że są za długie. Obecnie mieszkał w starym kamperze, który nazywał domem.

Josefine Jensen właśnie wyszła z kuchni i przewiązując w pasie fartuch, stanęła za barem. Włosy związała niski kucyk. Przy ładzie akurat nie było klientów, zaczęła więc wsuwać kieliszki i szklanki do stojaków. Miała neutralną minę, a ruchy – szybkie i pewne. Drugi z kelnerów coś do niej powiedział i oboje parsknęli śmiechem.

Wstał, przemierzył salę i stanął przy barze, czekając, aż go zauważy i rozpozna. Gdy to zrobiła, uśmiechnął się, usiadł na stołku barowym i sięgnął po kartę koktajli. Wiedział, że go rozpoznała, ponieważ w jej ruchach nastąpiła krótka przerwa. Dalej odkładała szkło i wspinała się przy tym na palce. Jej piersi za każdym razem napinały cienką tkaninę białej bluzki.

Zamknął kartę, odłożył ją i przesunął wzrokiem po półkach za barem oraz jej sylwetce, która odbijała się w lustrze. Wąska talia, zgrabny tyłek, długie nogi.

Skończyła z kieliszkami i popatrzyła na niego.

– Udało ci się naprawić motor?

– Słucham?

– Twój motor. To nie ty przed chwilą zastawiłeś cały chodnik przy Kong Georgs Vej? – Wskazała na jego brudne od smaru dłonie.

On też na nie popatrzył i się uśmiechnął.

– To byłaś ty? Przepraszam. Tak, już ożył. Stary i zdziwaczały.
Otworzył kartę.

– Zostawisz ślady – zauważyła.

– A ty co byś wybrała? – spytał.

– Nie wiem. Będziesz prowadził?

– Tak.

Wyjęła mu z rąk kartę, chociaż obok leżało pięć innych, dmuchnięciem odsunęła z czoła jasny kosmyk i zmarszczyła brwi. Wychylił się lekko i zauważył książkę leżącą na skrzynkach piwa za jej plecami. *Lonely Planet Guide to South America*.

Świetnie.

– Może mojito? – zaproponowała.

– Za dużo roślin – odparł.

– Black Russian?

– Wyglądam na kogoś, kto pije kahlkę?

Przyjrzała mu się uważniej.

– Nie bardzo.

Przewróciła kartkę i ponownie zmarszczyła brwi. Pomyślał, że może być krótkowidzką. Oczy miała zielone, jak jej matka.

– Singapore Sling?

– Sok ananasowy? Nie sądzę.

Roześmiała się.

– No tak...

Spojrzał na butelki whisky za jej plecami.

– Niech będzie podwójny glenlivet z lodem – postanowił.

– Okej, ale mówiłeś, że musisz prowadzić...

– To się przejdę.

Znad baru zdjęła szklanę, nalała alkoholu i przez chwilę szukała łyżki w kostkarce do lodu.

– Weź palcami – rzucił.

Spojrzała na niego, a potem jedną po drugiej palcami wrzuciła mu do szklanki trzy kostki lodu. Postawiła przed nim drinka, a on zapłacił nowym dwustukoronowym banknotem.

– Chcesz też? – zaproponował.

Josefine czuła na karku wzrok swojego kolegi.

– Muszę tu wytrzymać jeszcze kilka godzin.

– To może innym razem?

– Nie sędzę – odparła i wydała mu resztę. Monety powoli wpadały do jego dużej dłoni. Potem zamknęła kasę i uśmiechnęła się do stojącej za nim kobiety w futrze.

Nie ruszył się z miejsca. Wwiercał się w nią wzrokiem, aż była zmuszona na niego spojrzeć.

– Innym razem? – powtórzył.

Patrzyła na niego obojętnie.

– Będziesz tu jutro wieczorem? – spytał.

– No raczej – odburknęła.

– Będę czekał na zewnątrz. Jutro. – Uśmiechnął się szeroko, zsunął ze stołka i wrócił do stolika, niosąc swoją whisky. Josefine pobrudzoną smarem kartę schowała pod ladą.

– Przepraszam, co mówiłaś? – spytała następną osobę.

Kobieta w futrze popatrzyła na nią dziwnie i odparła bardzo wyraźnie:

– Dwie latte.

Czytał gazetę i sączył drinka, kiedy w kieszeni zabrzączał mu telefon. Przeczytał esemesa i zerknął na dziewczynę za barem. Spłonila się pod jego wzrokiem, ale jej jasne, zielone oczy unikały go, gdy obsługiwała klientów.

Szkoda.

Z powrotem schował telefon do kieszeni i dopił drinka.

Pani komisarz rozmawiała w Holbæku z wdową po Kimie Andersenie. Długo. Najwyraźniej o wiele za długo. Powinna w tej chwili przerwać swoje śledztwo.

Osobiście nie był ani za, ani przeciw. Płacili mu tyle, że mógł żyć tak, jak chciał, przez większość czasu. Wolność zawsze miała swoją cenę. Proste.

Lene się obudziła, kiedy usłyszała klucz w zamku. Telewizor był pulsującą szarą plamą w ciemności. Czuła się jeszcze bardziej zmęczona, niż kiedy zasypiała. Usiadła i spojrzała na podświetlane wskazówki zegara. Wpół do trzeciej. W korytarzu zapaliło się światło, usłyszała, jak Josefine odwiesza kurtkę, otwiera drzwi do łazienki, szeleści papierem toaletowym, potem odkręca kran. Zabuczała elektryczna szczoteczka i zaraz potem otworzyły się drzwi salonu.

Lene zapaliła lampkę obok kanapy.

– Hej, skarbie – wymamrotała.

– Cześć, mamo. Obudziłam cię? Słuchaj, nie musisz na mnie czekać. Wiem, gdzie mieszkam.

– Nic się nie stało. Boże, ale jestem padnięta. Jak było? – Lene poklepała miejsce na kanapie obok siebie.

Josefine wcisnęła się w najdalszy kraniec kanapy i wyciągnęła nogi, niemal się kładąc.

– W porządku.

Lene ziewnęła, zasłaniając usta ręką, i przyjrzała się nieruchomej twarzy córki. Od razu się zorientowała. Dobrze znała te symptomy.

– Kto jest tym szczęściarzem?

Dziewczyna spojrzała na nią gniewnie.

– O czym ty mówisz?

– Josefine, do cholery...

– No co?!

– Nic. Dzięki za kolację. Carbonara była pyszna.

Josefine wstała.

– Nie ma za co. Dobranoc.

– Śpij dobrze.

Drzwi do pokoju córki zamknęły się z nieco większą siłą, niż to było absolutnie konieczne.

Lene dopiła kieliszek wina. Miało gorzki posmak. Była na siebie zła, to oczywiste... ale do ciężkiej cholery! Czy ona też kiedyś taka była? A może była odrobinę zazdrosna? Tę myśl zaraz odrzuciła. Josefine nie była wzorem cnót i Lene wcale tego od niej nie oczekiwała. Sama też bynajmniej nie czekała z seksem do ślubu. Po ślubie zresztą też zdarzyło się parę razy, że... no dobra, czasem brakowało jej innego ciała, czyichś dłoni i ust. Doskonale wiedziała, że była na najlepszej drodze, żeby stać się zdziwaczalą pracoholiczką, i chętnie wprowadziłaby do swego życia wątek romantyczny, gdyby akurat ktoś się przytrafił. Tylko jakoś nikt się nie pojawiał. Albo nie miała tego w programie, albo po prostu nie chciało jej się znowu w to bawić czy ryzykować kolejne bolesne i wydłużone w czasie rozstanie. Możliwe, że najlepszym rozwiązaniem byłby żonaty kochanek, tylko niestety wiedziała, że to nie dla niej. Seks bez choćby minimum uczucia i zdrowych oczekiwań był dla niej pusty.

Zgasiła światło, przeszła przez pokój i zajrzała do pokoju córki. Josefine leżała na brzuchu z kołdrą zwiniętą w nogach i dużą poduszką w objęciach. Lene westchnęła i zamknęła drzwi.

– Asatru? – spytała Lene zaskoczona i lekko rozczarowana. – Poważnie?

Na twarzy głównej psycholożki Zakładu Psychologii Wojskowej Hanne Meier pojawił się uśmiech. Lene już się zorientowała, że ta kobieta uśmiechała się niemal bez przerwy.

– Tak – potwierdziła. – Tor, Odyn, Lokke i reszta ferajny. Gdybyś zdjęła z nich mundury, pomyślałabyś, że siedzisz na uczcie w Valhalli albo na jakiejś łodzi ze stadem wikingów. Cali są pokryci runami i symbolami staronordyckimi, zawsze do znudzenia poprawnymi. Kompani ci nie darują nieodpowiedniego tatuażu. To plemię.

– A co na to wojskowi kapelani?

– Moim zdaniem podchodzą do tego bardzo trzeźwo. Wydaje mi się, że niektórzy nawet zapoznali się z obrzędami i ceremoniami asatru, żeby w razie potrzeby móc im pomagać.

Lene, która była ochrzczona, przystąpiła do konfirmacji, a do kościoła chodziła tak często, jak mogła, poczuła się tą informacją szczerze wstrząśnięta.

– Ale przecież to pogaństwo! – wypaliła.

Hanne Meier była jej rówieśniczką. Spojrzała teraz na komisarz i obie parsknęły śmiechem.

– Skoro pastorowie nie mają z tym problemu, to my chyba też nie powinniśmy – powiedziała w końcu psycholożka, zresztą całkiem rezolutnie. – Nie twierdzą oczywiście, że oni wszyscy mają takie przekonania, ale wielu z nich owszem.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego asatru?

– To bardzo wojownicza wiara, nie sądzisz? Religia wojowników. A nasi żołnierze są wojownikami. Wszystko się zgadza. Chcą się ponownie spo-

tkać w Valhalli. Nie wyobrażam ich sobie jako buddystów albo taoistów.

Lene mimo wszystko nie potrafiła tego zrozumieć. Zastanawiała się, jak głęboko sięgała w żołnierzach ta przemiana. Czy po przejściu do cywila wracali do utartych norm i zasad, czy nadal postrzegali siebie jako plemię wybrańców z własnymi, niezależnymi regułami.

– Co się dzieje, kiedy któryś ginie? Bo zakładam, że raczej im nie robią wikińskich pogrzebów z łodzią i stosem zapalonym płonącymi strzałami?

– Nie, ale Ministerstwo Obrony robi całkiem sporo, żeby wyjść naprzeciw ich życzeniom, zarówno za życia, jak i po śmierci. Przed wyjazdem na misję żołnierze piszą testamenty oraz listy do bliskich, które zostają im przekazane, jeśli dojdzie do najgorszego. I jeśli ktoś ma szczególne życzenia odnośnie pochówku, to resort będzie się starał je spełnić. Oczywiście w granicach rozsądku. – Psycholożka uśmiechnęła się do siebie. – Był na przykład jeden major, który napisał, że chce, aby go skremowano, a prochy rozpuszczono w szampanie Dom Perignon. – Znowu się roześmiała. Miała bardzo zaraźliwy śmiech, więc Lene jej zawtórowała.

– Ale czekaj! – Hanne podniosła rękę. – To jeszcze nie koniec. Zażądał, aby tego szampana wypić Naomi Campbell. Chciał znaleźć wieczny odpoczynek w jej ciele!

– Jezu, mam nadzieję, że wrócił cały i zdrowy – wymamrotała Lene.

– Tak, na szczęście. Bo to byłoby spore wyzwanie.

– Okej, a jaki ty masz do tego stosunek? – Lene wróciła do tematu. – Do asatru?

– Jeśli to im pomaga, to jak dla mnie mogą sobie wierzyć w świętego Mikołaja albo wielkanocnego Zajączka. Istnieje oczywiście pewna granica, po przekroczeniu której należałoby uznać, że za bardzo się odkleili od świata, który ich wysłał, a teraz chce ich z powrotem. Ale jak dotąd nie zetknęłam się z tym, żeby któryś z nich tę granicę przekroczył. Duńscy żołnierze są świetni w swoim fachu. Dobrze wiedzą, dlaczego jadą na misję. Mają świadomość, że to polityka zagraniczna. Słyszałam, że to jedni z najlepszych żołnierzy na świecie. Wszyscy tak mówią. Są kreatywni i działają demokratycznie. To, że w kantynach siedzą osobno szeregowcy, dowódcy i oficerowie, jest wyłącznie na pokaz. Sama byłam w Afganistanie i nie raz widziałam, jak podoficer z szefem batalionu omawiali przy piwie strategię w klubie oficerskim. Takiego zbratania nie uświadczysz w armiach innych krajów, może z wyjątkiem armii izraelskiej. To profesjonaliści i doskonale wie-

dzą, kto jest kim i do kogo należy ostatecznie zdanie. Poważne problemy z dyscypliną praktycznie się nie zdarzają.

– I mówisz, że uważają się za kogoś w rodzaju wikingów? – drążyła Lene.

– Nie podpalają, nie gwałcą i nie plądrują kościelnego złota. Ale poza tym... chyba tak. Myślę, że widzą się gdzieś pomiędzy wikingami a pracownikami organizacji humanitarnych.

Lene pokiwała głową i rozejrzała się po spartańsko urządzonej gabinecie. W rogu stały kartony opisane rokiem dwa tysiące siedem.. Budynek mieszczący się w koszarach w Svanemøllen wyglądał, jakby wiecznie był w stanie przejściowym. Jakby Instytut Psychologii nie mógł się zdecydować, czy zostać tutaj czy przenieść się gdzie indziej.

– Braterstwo broni... – skomentowała Lene po chwili namysłu.

– W najwyższym stopniu. I są zdolni.

– Badacie ich, zanim wyjadą na misję?

– Teraz zaczęliśmy to robić. Rozmawiamy z nimi również, kiedy wracają do domu. I nie zetknęliśmy się dotąd z jakimiś przygnębiającymi historiami, o których może słyszałaś w Stanach, gdzie weterani wojny wietnamskiej zostali zepchnięci na margines społeczeństwa i żyją gdzieś w lasach. Wielu z nich cierpi na choroby psychiczne albo wręcz psychozy. I nikt ich nie leczy.

Lene zmarszczyła czoło.

– Ale czasem chyba się zdarza, że dla kogoś to będzie za dużo, psychicznie. Ostatecznie nie da się przecież kogoś w pełni przygotować na wojnę, prawda?

Hanne odchyliła się na krześle.

– Prawda. I rzeczywiście nieliczni po powrocie miewają problemy. Bywają epizody psychotyczne. Rzadko, ale bywają.

– I co się wtedy robi?

– Jeśli załamanie ma miejsce w bazie albo w trakcie zadań bojowych, żołnierz zostaje związany, uspiiony i pierwszym samolotem odesłany do Danii.

– Słucham?

– Lekarze wojskowi służący w strefie walk mają na wyposażeniu paski zaciskowe. Plastikowe kajdanki. Wy chyba też ich używacie?

– Tak.

– No więc takiego żołnierza się skuwa, wstrzykuje mu się ketalar, anestetyk, i... cóż, jak najprędzej odsyła do domu.

– Kim są ci, którzy nie dają rady?

– W miarę jak nabieramy doświadczenia, jesteśmy w stanie skuteczniej ich wyłapywać. Wojna działa jak szkło powiększające. Tam nic się nie ukryje. Słabe strony zostaną uwypuklone, podobnie jak te mocne. Dlatego jeśli ktoś doświadczył maltretowania albo zaniedbania i ma w związku z tym niskie poczucie własnej wartości, to nawet jeśli ono na co dzień pozostaje schowane głęboko w potężnym ciele kulturysty, na polu walki wyjdzie na wierzch. A niektórzy nie są w stanie się pogodzić z tym, że zsunięto im maskę i zmuszono ich do konfrontacji z własną niedoskonałością. Zderzenie z rzeczywistością okazuje się zbyt trudne. – Kobieta zamilkła i chwilę się namyślała. – Czasem świadomość, że istnieje zbyt duża różnica między własnym wyobrażeniem o sobie a tym, kim się jest w rzeczywistości, jest nie do zniesienia. Myślę, że wszyscy znamy ten ból. Kiedy na polu walki rozpada się w pył misternie skonstruowany wizerunek samego siebie, można wpaść w obłęd. W każdym razie chwilowy.

– Jak z nimi postępujecie?

– Najważniejsze to uświadomić tym ludziom... Sprawić, aby uwierzyli, że nawet jeśli nie zostali stworzeni do tego, by przetrząsać ciemne izby w poszukiwaniu talibów w górskich wioskach przypominających labirynty, jeśli boją się iść na początku patrolu na terenie usianym minami przeciwpiechotnymi albo załamali się, widząc, jak przyjaciel ginie czy zostaje okaleczony, innymi słowy, nawet jeśli nie zostali stworzeni, żeby walczyć na wojnie, to nie znaczy, że nie są wartościowymi ludźmi. – Pokiwała głową i dodała: – To nasze zadanie.

– I udaje wam się?

– Czasem. Zazwyczaj. Załamanie nerwowe jest takie niemęskie. Ale pewnie wiesz o tym z własnej pracy.

O tak, pomyślała Lene i przypomniała sobie kolegów, którym z biegiem lat brutalna rzeczywistość zerwała maski z twarzy. Co właściwie się z nimi stało i jak blisko ona sama była tego zderzenia?

– Tak, wiem – potwierdziła. – Ale potrzebni są chyba również ludzie zimni i obdarzeni cechami, które w cywilu przysparzałyby im kłopotów i z których mogą zrobić użytek wyłącznie na wojnie? Tacy, którzy spełniają się na wojnie i nigdzie indziej?

– Psychopaci?

– Być może. Jaka jest aktualna definicja psychopatii?

Hanne rozłożyła ręce:

– Chyba taka jak zawsze. Uczuciowa oziębłość, wyrachowanie, stawianie siebie poza przyjętymi normami społecznymi i brak empatii. Robienie wyłącznie tego, co służy mnie samemu, za wszelką cenę i wszelkimi środkami. Bez oglądania się na innych.

– Spotkałaś tu takie osoby? – spytała Lene.

– Zarówno tutaj, jak i poza armią. Oczywiście, że tak. Jest to odstępstwo od normy, które występuje w różnych stopniach nasilenia. Z drugiej strony łatwiej zdefiniować odstępstwo niż samą normę. Co właściwie jest normalne?

– Myślisz, że tacy ludzie sprawdziliby się w wojsku?

– Z pewnością mogliby się przydać w pewnych określonych okolicznościach. Na przykład przy zadaniach szczególnie niebezpiecznych, takich, w których trzeba wyłączyć emocje albo w których dylematy etyczne byłyby przeszkodą. Mówię ogólnie, nie konkretnie o armii duńskiej.

– A Kim Andersen jaki był? – spytała.

Psycholożka przysunęła do siebie cienką zieloną teczkę i założyła okulary do czytania.

– Nie był w każdym razie ani psychopata, ani socjopata. Nie pamiętam go zbyt dobrze, ale rozmawiałam z nim w styczniu dwa tysiące dziewiątego roku, kilka miesięcy po tym, jak wrócił do domu z ostatniej misji. Szczerze mówiąc, jestem zaskoczona, że popełnił samobójstwo. Bardzo zaskoczona.

Lene odnotowała w myślach, że to kolejna osoba, którą zaskoczyła śmierć Andersena.

– Nie miał podręcznikowo silnego charakteru, ale był bardzo zdyscyplinowany i świetnie się dogadywał z przełożonymi i kolegami – ciągnęła Hanne. – Gdybym miała go określić jednym słowem, powiedziałabym, że cechowała go pogoda ducha, a nic nie może się równać z wrodzonym, pogodnym usposobieniem. Przy tym był w świetnej kondycji fizycznej. Nigdy nie dostał nagany poza zwykłymi szczeniackimi wygłupami typu wciągnięcie na maszt roweru dowódcy batalionu albo wrzucenie kolegom do sypialni granatu hukowo-błyskowego w środku nocy. Tego typu historie.

– Miał jakieś zadania specjalne? – spytała Lene.

– Odbył specjalne szkolenie dla snajperów zarówno u nas w kraju, jak i w Anglii. Podobno miał do tego talent.

– To by się zgadzało. Wiemy, że był doświadczonym myśliwym. – Lene pokiwała głową. – I że przez ostatnie dwa lata życia brał antydepresanty. Jego pogodne usposobienie najwyraźniej osłabło. Powiesił się dzień po ślubie ze swoją partnerką Louise. Byli razem od siedmiu lat i mieli dwójkę dzieci, trzy- i pięcioletnie.

– Tak. Jak wspominałam, jest to dla mnie ogromne zaskoczenie – przyznała psycholożka. – Mówię całkiem szczerze. Dysponujemy najróżniejszymi narzędziami, testami psychologicznymi, również indeksem depresji. Wyniki, jakie Kim Andersen w nich uzyskiwał nigdy nie były niepokojące czy chociażby zastanawiające.

– Na depresję zaczął się leczyć w czerwcu dwa tysiące dziesiątego roku – wyjaśniła Lene. – W tym samym czasie zaczął mieć problemy ze snem. Jego żona powiedziała, że co wieczór łykał tabletki nasenne, a lekarz rodzinny to potwierdził.

Hanne Meier zamyślona pokiwała głową i wyjrzała przez jedyne okno w swoim biurze. Młodzi mężczyźni i kobiety z wszystkich trzech armii składających się na duńskie siły zbrojne szli w stronę audytorium. Rozgadani, roześmiani, zdrowi. Lene również na nich patrzyła. Było coś krzepiącego w widoku tak licznej grupy poważnych i pełnych zapału młodych osób. W tym, że jeszcze istnieje taka młodzież.

– Co oni robią w tych bazach w Afganistanie, kiedy mają wolne? – spytała.

– Oglądają filmy pornograficzne albo filmy akcji, grają w gry komputerowe, podnoszą ciężary. Mniej więcej to samo co w domu.

– Hm. To gdzie można się zgłosić? – skwitowała cierpko Lene.

– Myślę, że tobie dość szybko by się znudziło.

Lene tylko się uśmiechnęła i zaraz wróciła do tematu:

– Czy nie należałoby oczekiwać, że te problemy psychiczne pojawią się w związku z powrotem z misji?

– Problemy można mieć również na innych frontach, nawet jeśli się jest żołnierzem – zauważyła Hanne Meier. – One nie muszą wynikać wyłącznie z wyjazdów na misje, chociaż Kim Andersen akurat odbył ich maksymalną liczbę.

– Oczywiście. Ale czy nie jest tak, że niektórym z nich zwyczajnie trudno jest się odnaleźć w kraju? Tęsknią za towarzyszami broni, życiem na krawędzi, codziennym wyrzutem adrenaliny i tym, że wszystko jest proste?

– To akurat można powiedzieć o większości z nich – przyznała. – W większym lub mniejszym stopniu. To ogromny przeskok: jednego dnia oczyszczać wioskę z uzbrojonych po zęby talibów, a następnego czyścić rynny albo jechać z żoną do marketu budowlanego po taśmę uszczelniającą. Większość z nich tęskni za wojenną rzeczywistością. Tylko że Kim Andersen akurat już to wszystko przerabiał, i to wielokrotnie. Dobrze wiedział, z czym się wiąże powrót do domu.

– No tak... – Lene wyjęła z torby zdjęcie z pustyni. Wielokrotnie mu się przyglądała i za każdym razem intuicyjnie czuła, że to zdjęcie jest ważne. Teraz zagięła jego czwartą część i pokazała psycholożce resztę.

Wskazała palcem:

– To jest Kim. Ten najbardziej wytatuowany. Poznajesz go?

– Szczerze mówiąc, nie – przyznała Hanne. – Oni wszyscy są do siebie podobni. Zarośnięci i cali w tatuażach. Żeby tak wyglądać, musieli być poza bazą od dłuższego czasu. Może są na misji rozpoznawczej. I kogoś brakuje.

– Kogo?

– Plutonowego.

– To może być on? – Lene odsłoniła resztę zdjęcia i wskazała na mężczyznę ze skorpionem.

Psycholożka nasunęła okulary na nos i zmrużyła oczy.

– Możliwe. Wygląda na przywódcę.

– Znasz go?

– Nie. Ale jak mówię, nie jestem pewna, czy własne matki by ich poznały.

Lene westchnęła.

– To człowiek-zjawa – wyjaśniła, chowając zdjęcie z powrotem do torby.

– Żona Kima Andersena też go nie zna, chociaż zdjęcie stało w jej salonie od lat. Jesteś w stanie stwierdzić, czy jest oficerem?

– Nie ma żadnych dystynkcji, więc nie, nie jestem.

– Oficerowie też mają tatuaże?

– Oczywiście. To nie jest uwarunkowane społecznie. Kim są pozostali?

– Dwaj zginęli w maju dwa tysiące dziesiątego roku. Robert Olsen i Kenneth Enderlein. Przydrożna bomba. Piąty to Allan Lundkvist.

– To ten, który hoduje pszczoły? – spytała Hanne, a Lene się uśmiechnęła.

– Podobno. Znasz go?

– Jeden z moich kolegów go prowadził.

– I?

– Lene, nie mogę się wypowiadać na temat profili psychologicznych osób żyjących.

– No tak, oczywiście. – Lene wstała, uścisnęła rękę Hanne i była już przy drzwiach, kiedy psycholożka powiedziała cicho:

– On jest chyba w porządku. Pszczelarz. Przynosił mojemu koledze miód. I powinien wiedzieć, kim jest ten ostatni ze zdjęcia.

– W każdym razie zamierzam go o to spytać – potwierdziła Lene. – Dzwoniłam już do niego niezliczoną liczbę razy, ale nie odbiera.

Otworzyła drzwi, kiedy psycholożce najwyraźniej coś przyszło do głowy:

– Twoja zjawa...

– Tak?

– To Duńczyk?

– Nie mam pojęcia.

– Bo pomyślałam... Chociaż nie... sama nie wiem...

– Co takiego?

Hanne Meier wzruszyła ramionami.

– Wydaje mi się, że z czasem nabrałam pewnego doświadczenia. Że potrafię rozpoznać ludzi niebezpiecznych i przebiegłych. Uważam, że on się wyróżnia w jakiś dziwny, niepokojący i całkiem nienaukowy sposób. Może nie należy się do niego zbliżać.

– Chyba nie da się tego uniknąć – oznajmiła komisarz, chociaż wewnątrz poczuła, jak budzi się w niej coś zimnego i mrocznego.

– Rozumiem. Ale bądź ostrożna – powiedziała psycholożka poważnym głosem.

– Będę. Dziękuję.

18

– Lene, powiedz, dlaczego tu jesteśmy?

Typ spoufalający się. Charlotte Falster zwołała briefing prasowy w kantine komisariatu w Holbæku i Lene zdecydowanie nie mogła narzekać na frekwencję. Sala pękała w szwach. Jej szefowa zaproponowała, że weźmie udział, ale Lene odmówiła. Zapewniła ją, że umie sobie radzić z prasą, i w słuchawce wyczuła pewną ulgę.

Popatrzyła chłodno na pytającego. Pracował dla jednej z kopenhaskich gazet porannych. Byli coraz młodsi – albo ona coraz starsza. Miał ogoloną głowę, wąskie okulary w drucianych oprawkach, czarną koszulkę z Metallicą na piersi.

– To znaczy?

– Zapytam inaczej. Dlaczego ty tu jesteś? Skoro Kim Andersen „tylko” popełnił samobójstwo?

Dobre pytanie.

Pozostali patrzyli na nią wyczekująco. Chłopak pytał w imieniu ich wszystkich.

– W pewnym momencie uznaliśmy, że istnieją... Że niektóre techniczne okoliczności śmierci Kima Andersena można tłumaczyć wielorako – odparła. – Czasem, gdy dochodzi do samobójstwa, zdarza się, że uczestniczymy w pierwszej fazie postępowania, aż nie będziemy mieli raportu z sekcji zwłok. W tym wypadku raport był jednoznaczny.

Uśmiechnęła się do starszej dziennikarki „Ekstra Bladet”. Znała ją z widzenia. Ich kariery rozwijały się równolegle, a Lene czasem czytała jej artykuły. Uważała, że są wyważone i rzeczowe. Kobieta odwzajemniła uśmiech i zanotowała coś w notesie.

– W jakim sensie „tłumaczyć”? Chcesz powiedzieć, że coś wskazywało na udział osób trzecich? Czysto technicznie? – drążył fan Metalliki. Mocno

zaakcentował ostatnie dwa słowa i rozejrzał się z dumą jak najpilniejszy uczeń w klasie, którym zapewne kiedyś był.

Głodny. W drodze na szczyt.

– Nie mogę niestety ujawniać szczegółów, yyy... Janus, tak? Mogę powiedzieć jedynie, że nie ma wątpliwości co do tego, że Kim Andersen popełnił samobójstwo. I tym samym z naszej strony sprawa zostaje zamknięta.

Chłopak pokiwał głową wyraźnie niezadowolony, a Lene skinęła na otyłego mężczyznę w średnim wieku, w błękitnej koszuli i tweedowej marynarce. Guziki koszuli były napięte do granic wytrzymałości. Wyciągał w górę szeroką, czerwoną spracowaną dłoń.

– To jednak dziwne, że zahartowany w bojach weteran, doświadczony gwardzista postanowił popełnić samobójstwo dzień po swoim ślubie – zaczął. – Wrócił z misji dobre cztery lata temu. Leczył się na depresję?

Dłonie Lene leżały nieruchomo splecione na szarym laminacie stołu. Obecnie każdy, kto znał jakiegoś lekarza, farmaceutę albo pielęgniarkę środowiskową, mógł uzyskać dostęp do danych medycznych dowolnej osoby, znając jedynie jej numer CPR. Dla dociekliwego dziennikarza wyszukanie informacji o antydepresantach Kima Andersena byłoby bułką z masłem.

– Na ten temat również nie mogę się wypowiadać – odparła, wiedząc, że dziennikarz znał już odpowiedź.

– Ale zgadzasz się, że czas zdarzenia jest zaskakujący?

– Oczywiście. Choć motywów, jakie kierowały Kimem Andersenem, nie poznamy nigdy.

– Miał problemy finansowe?

– Nie mam żadnych informacji na ten temat.

– Więc nie łączysz jego śmierci ze służbą w wojsku? – Dziennikarz przewrócił kilka kartek w notesie. – Był w Iraku, Bośni i Hercegowinie, oraz trzykrotnie w Helmandzie. Rozmawiałaś na przykład z jego dowódcą? Towarzyszami broni?

– Nie rozmawiałam. – Patrząc wprost na pytającego, dodała: – Chcę podkreślić, że nie mamy najmniejszych podstaw, by podejrzewać, że śmierć Kima Andersena nastąpiła wskutek przestępstwa. Ze strony Komendy Głównej sprawa jest zakończona. Brakuje powodów i czasu na zgłębianie hipotetycznych motywów jego decyzji.

Głos zabrała wysłanniczka „Ekstra Bladet”:

– Lene, on miał dwójkę małych dzieci. A swoją żonę Louise znał od siedmiu lat, zanim się pobrali. Rozmawiałaś z nią. Powiedz: jak ona to

znosi? Rozumiem, że osobiście odcięła męża z gałęzi i próbowała go reanimować. Wiem, że wczoraj odbyłaś z nią długą rozmowę tu, na komisariacie.

Lene z powagą pokiwała głową i przesunęła metalową solniczkę w stronę butelki z keczupem.

– Tak i moim zdaniem radzi sobie doskonale – oznajmiła łagodnym tonem. – To dla niej oczywiście potężny cios. Dla każdego by był. Została sama z dwójką dzieci. Ale jej rodzice mieszkają niedaleko i ma wokół siebie mocną sieć wsparcia. Jestem przekonana, że Louise Andersen sobie z tym poradzi. Moje osobiste wrażenie jest takie, że to osoba wyjątkowo silna, mądra i zaradna. I tu możecie mnie zacytować. Przez wiele lat musiała żyć w ciągłej obawie, że Kim Andersen może zginąć podczas którejś z misji, i myślę, że to doświadczenie, to mentalne przygotowanie na najgorsze, obecnie jej się przydaje. Jestem również pewna, że Siły Zbrojne udzielą jej wszelkiego możliwego wsparcia.

Kobieta się uśmiechnęła. Może właśnie dostała swój nagłówek.

– Czy twoim zdaniem Siły Zbrojne robią dostatecznie dużo dla weteranów? – spytał ponownie ten o spracowanych dłoniach. – To nie pierwszy raz, kiedy jeden z nich popełnia samobójstwo.

– Nie jestem socjolożką i nie czuję się kompetentna, aby wyrażać swoje zdanie na ten temat – odpowiedziała Lene. I wstała: – Czy są jeszcze jakieś pytania?

Rozejrzała się po sali, w pełni świadoma, że wszyscy byli mocno rozczarowani, bo przejechali taki szmat drogi, a dostali tak niewiele. Mieli nadzieję na tajemniczą zbrodnię albo chociaż opowieść o wojennych traumach, które dopadły weterana i zmusiły go do wykonania tego ostatniego, nieodwracalnego kroku. Podobnie jak tyłu przed nim.

Dziennikarze zaczęli już się zbierać, zaś Lene podniosła swój płaszcz ze stołu, kiedy odezwał się Metallica:

– Lene, a ja akurat rozmawiałem z przyjaciółmi i kolegami Kima Andersena. – Chłopak jako jedyny nie ruszył się z miejsca i siedział z pewnym siebie uśmiechem.

Lene odłożyła płaszcz. Tylko nie mrugaj, upomniała się w myślach.

– O czym?

– O tym, że nigdy nie został ranny podczas misji, ale za to... – Zajrzał do notatek. – Wiosną dwa tysiące dziesiątego roku był na zwolnieniu lekarskim przez trzy miesiące. A potem poszedł do czegoś w rodzaju pracy chro-

nionej. – Dziennikarz unikał wzroku Lene. – Według moich informatorów od czerwca dwa tysiące dziesiątego brał leki przeciwdepresyjne. Nie ukrywał tego, wszyscy wiedzieli, że się leczył.

– Tak. I co z tego?

Pozostali dziennikarze zamienili się w słuch.

– To, że nikt nie umiał powiedzieć, jak to możliwe, że bez pracy na czarno i nadgodzin oraz przy takiej liczbie zwolnień chorobowych było go stać na wyprawienie wesela na osiemdziesiąt osób i na zakup alfa romeo dla żony. – Metallica zrobił dramatyczną pauzę.

„Na co czeka ten pajac?”, pomyślała Lene. Na fanfary? Cheerleaderki z pomponami?

Uśmiechnęła się do chłopaka, chociaż najchętniej przełożyłaby go sobie przez kolana i dała tego klapsa, którego nigdy nie dostał od rodziców.

– Uważam, że nie należy wierzyć we wszystko, co ludzie mówią. Może zazdroszcza, skąd mam wiedzieć? Nie mam więcej komentarzy.

Za modnymi oprawkami zapłonęła złość. Lene знаła ten typ. Stawał się coraz powszechniejszy: pokolenie płatków śniegu, wyczekane, wychuchane dziecko z ciepłego akademickiego domu, o wiele, kurwa za ciepłego, i zbyt uległego. Nigdy nie usłyszał słowa „nie”. Drewniane, kurwa, zabawki. Przedszkole waldorfskie. Chwiejna męska tożsamość. Dupek.

– Ale jak to? W ogóle tego nie skomentujesz?! – zaprotestował. – Jego przyjaciele z koła łowieckiego i koledzy z pracy mówią, że się chwalił jakąś odłożoną fortuną. To musi coś znaczyć!

– Niby co? – odcięła się Lene. – Popęłił samobójstwo i być może umarł bogaty, kto wie? Życzę wszystkim udanego dnia.

Mocno trzymając maskę na twarzy, wyszła z kantyny i pierwszy normalny oddech zaczerpnęła dopiero na zewnątrz, na deszczu. A zaraz potem wdepnęła w dziurę w asfalcie i woda naląła jej się do buta, więc całą drogę do samochodu przeklinała głośno. Usiadła za kierownicą, złapała ją oburącz i szarpiąc najmocniej, jak była w stanie, wrzasnęła z głębi serca.

– Ależ Lene, przecież świetnie ci poszło – wymamrotała, kiedy się uspokoiła i patrzyła pustym wzrokiem w szybę. – Jesteś w tym zajebista.

19

Dziennikarz publicznego nadawcy Danmarks Radio Peter Nicolaisen alias Michael Sander najpierw zadzwonił do Tove Hansen – babci i matki zastępczej dwójki osieroconych pięcioletnich bliźniąt, matki i teściowej, odpowiednio Kaspra Hansena i Ingrid Sundsbö. Nie zawracał sobie głowy przebraniem, dzwoniąc do drzwi małego żółtego domu, miał na sobie wiatrówkę, bluzę z kapturem, dzinsy i buty do biegania, swój roboczy uniform. Wiedział, że bez problemu może w nim zagrać rolę dociekliwego dziennikarza szukającego informacji o losie dwójki spośród wielu Duńczyków, którzy przepadli bez śladu w dwa tysiące dziesiątym roku.

Wyglądało na to, że dzieci nie było w domu, co stwierdził z ulgą. Rozejrzał się po ogródku. Pod drzewem stały dwa zadbane dziecięce rowerki. Na trawniku słupek do tenisa ogrodowego, za to w trampolinie brakowało połowy sprężyn. Rabatę kwiatową zaatakował podagrycznik, a strzaskaną szybę w oknie piwnicy załatano taśmą klejącą i żółtą reklamówką z Netto.

Uśmiechnął się do kobiety, która ukazała się w drzwiach, i przedstawił się. Ona z kolei pokiwała głową i powstrzymała go, gdy zaczął zdejmować buty.

– Nie trzeba.

– Dziękuję. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

Kobieta wzruszyła ramionami. Zdjęła fartuch i powiesiła na mocno już przeciążonym wieszaku w wąskim korytarzu. Wisiały na nim dziecięce kurtki zimowe, kombinezony, beżowy damski płaszcz, czapki i pomarańczowe sanki bobsleje, które utknęły tu zapewne w swojej wiosennej podróży do piwnicy. Tove Hansen otworzyła drzwi na oścież i zaprosiła go do niskiego salonu.

Usiadła w fotelu, a do Michaela podbiegł mały biały pudel i obwąchał mu nogawki. Najwyraźniej postanowił zaakceptować przybysza, bo nie wydając jednego dźwięku, zaraz ponownie wybiegł z pokoju.

- To Perle – oznajmiła poważnym głosem.
- Słodki – przyznał Michael i usiadł na wprost niej.
- Mogę zrobić kawy – zaproponowała, machając ręką w stronę kuchni.
- Nie, właśnie wypilem. Ale bardzo dziękuję, pani Hansen.
- Tove – poprawiła go.
- W porządku, Tove.

Świdrowała go matowymi szarymi oczami, a Michael chwilę się rozglądał. Na półkach stało mnóstwo książek z popularnych serii wydawniczych. Meble zadbane, ale stare. W niebieskich i czerwonych pudełkach z Ikei starannie uprzątnięte zabawki. Zatrzymał wzrok na zdjęciu przedstawiającym Tove w wersji młodszej, szczupłej i opalonej, stojącej obok wysokiego bruneta na hotelowym balkonie z jasnym połyskującym morzem w tle. W obojgu dostrzegł rysy Kaspra Hansena, którego zdjęcie z czasów studenckich wisiało na ścianie nad kanapą. Studencką czapkę miał zawadiacko przesuniętą do tyłu i wyglądał jak młody człowiek gotów swymi białymi zębami wziąć wielki, łapczywy kęs życia. Obok wisiało zdjęcie długowłosej blondynki, również w studenckiej czapce. Rysy twarzy miała niemal identyczne jak brat, ale oczywiście delikatniejsze i kobiece.

– Po lewej jest Kasper, po prawej Sanne – wyjaśniła Tove.

– Tak, widzę. Dwa tygodnie temu trafiłem na artykuł w „Verdens Gang”, w którym było zdjęcie Kaspra i Ingrid. I właśnie wtedy pomyśleliśmy w redakcji, że dobrze byłoby wrócić do tej historii.

– Minęły dwa lata. Dziwne, wciąż nie umiem się z tym oswoić. Kiedy się budzę... właściwie co rano... Oczywiście kiedy słyszę, że dzieci wstały, to sobie przypominam, że Kaspra nie ma. Ale do dziś myślę, że wciąż z nami jest.

– Mają pięć lat, prawda? Chłopiec i dziewczynka?

Patrzyła na niego, jakby rejestrowała jego słowa, ale nie do końca je rozumiała. Potem pokiwała głową.

– Są w przedszkolu. Mogę po nie pójść, jeśli...

– Nie, nie trzeba – zapewnił ją Michael i uśmiechnął się sztucznie, walcząc w duchu z odrazą do siebie samego. Wyjął notes i otworzył go, choć nie zamierzał niczego notować.

– Zaginęli w Norwegii w marcu dwa tysiące dziesiątego roku, tak?

– Dwudziestego czwartego albo dwudziestego piątego marca – pokiwała głową.

– Dlaczego pojechali do Finnmarku?

– Jak to? Przecież oni kochali góry.

– Ale ktoś ich zaprosił albo jechali większą grupą?

– Nie. To była spontaniczna decyzja. Od dwóch lat nigdzie nie byli i bardzo im tego brakowało. Myślę, że zwłaszcza Ingrid tęskniła za górami. Wiesz, ona się urodziła i wychowała w Telemarku. Kasper odłożył trochę urlopu, a Ingrid pracowała na pół etatu, żeby spędzać więcej czasu z dziećmi. Była graficzką. Powiedzieli, że na północy są wyjątkowo dobre warunki. Prawie jak wczesna wiosna. Miało ich nie być tylko parę dni, więc zapytali, czy mogą mi przywieźć maluchy. Przyjechali z nimi rano dwudziestego drugiego, a potem odwiozłam ich na lotnisko.

Bez jakiegokolwiek zapowiedzi czy zmiany w tonie głosu po całkowicie neutralnej twarzy Tove Hansen zaczęły płynąć łzy. Michael patrzył na nią, zastanawiając się, kiedy sama się zorientuje. Poruszyła się, kiedy łza kapnęła jej na nadgarstek. Mruknęła coś do siebie i pośpiesznie wyszła z pokoju. Słyszał jej kroki na schodach na piętro.

Wstał i małym cyfrowym aparatem sfotografował wszystkie wiszące na ścianie zdjęcia: bliźniaki od urodzenia aż do czasu, gdy skaczą na trampolinie w ogrodzie. Ślubne zdjęcie Tove Hansen, studenckie zdjęcie Kaspra, potem następne, w wojskowym mundurze, zdjęcie Kaspra i Ingrid na jakimś przyjęciu. Ingrid wyglądała ślicznie w zielonej jedwabnej sukience, z upiętymi wysoko włosami i odsłoniętymi opalonymi ramionami.

Schował aparat i wrócił na swój fotel na chwilę przed powrotem Tove.

– Zawsze robi mi się tak smutno... – wyjaśniła.

– To zrozumiałe, Tove. Kasper wychował się w tym domu?

– Razem z mężem zamieszkaliśmy tutaj zaraz po ślubie. Sanne mieszka w Kalifornii. Jest inżynierem, jak Kasper. A mój mąż... ich ojciec zmarł pięć lat temu.

Michael wskazał na ścianę.

– Gdzie Kasper odbywał służbę wojskową?

– W Slagelse. W dawnym pułku kawalerii. Nie podobało mu się. Myślę, że on się tam nudził.

Michael zamrugął zaskoczony. On sam w koszarach żandarmerii wojskowej przy Antvorskov w Slagelse dorobił się stopnia porucznika, a potem kapitana, ale to było oczywiście na długo przed tym, jak Kasper Hansen odbywał tam służbę.

– Myślisz, że co się z nimi stało? – spytał wprost i zamknął notes.

Kobieta przesunęła stojący na ławie świecznik.

– Wszystko. Wyobrażam sobie absolutnie każdy scenariusz. Czasem to dobrze się kończy i oni wracają... A czasem nie jest tak kolorowo.

– Rozumiem.

– Mówiłeś, że jesteś z Danmarks Radio czy TV Dwa?

– DR.

– DR. Ojciec Kaspra pracował jako rzeźnik, ja stałam za ladą. Oni oboje skończyli studia, i Sanne, i Kasper... – Jej głos zawisł w próżni.

– Czy Kasper i Ingrid byli zdrowi? – spytał Michael.

– Słucham...? Tak, zdecydowanie. Nic im nie dolegało. Oboje regularnie uprawiali sport. Biegali, jeździli na rowerach. Kasper dwa razy w tygodniu grał z kolegami w squasha. Byli silni i zdrowi. Kasper zresztą nawet jako dziecko prawie nie chorował.

– Nigdy z Norwegii nie zadzwonili?

– Zniknęli, tak po prostu. Nikt więcej nie miał z nimi kontaktu.

– Oni dość dobrze znali tamtą okolicę, prawda?

– Dawniej często tam jeździli. Sama nigdy tam nie byłam, ale widziałam oczywiście filmy i zdjęcia, które przywozili. Są tam i klify, i lodowce, i bagna. Łatwo o nieszczęście, wystarczy chwila nieuwagi.

Michael pokiwał głową.

– Czy ktoś ci pomaga w opiece nad dziećmi?

– Wolę sama się nimi zajmować. Rodzice Ingrid czasem nas odwiedzają. Poza tym część wakacji dzieci spędzają u nich. Ingrid była jedynaczką. Jest też Sanne, która ma dzieci w podobnym wieku i przylatuje ze Stanów, kiedy tylko może. Myślę, że są szczęśliwe. Chyba już nie pamiętają rodziców.

– A finansowo?

Kobieta się wyprostowała.

– Radzimy sobie. Co to właściwie za program, który robicie?

Michael pochylił się ku niej.

– Jakiś czas temu wypuściliśmy cykl o zaginionych Duńczykach. Pomysł bardzo się spodobał, a w kilku przypadkach udało nam się nawet ponownie połączyć rodziny i przyjaciół. Ta sprawa jest oczywiście nieco inna, przede wszystkim dlatego, że Kasper i Ingrid zniknęli bez śladu w miejscu odludnym i niebezpiecznym. I rzeczywiście, najbardziej prawdopodobne jest to, że doszło do wypadku. W tamtych innych sprawach, które przedstawialiśmy, przeważnie chodziło o ludzi, którzy z powodu problemów psychicznych albo finansowych świadomie postanowili zniknąć.

– Rozumiem. – Tove pokiwała głową

Michael na tyle, na ile był w stanie, spróbował uśmiechem dodać jej otuchy.

– Z drugiej strony to jest dobra historia. Tove, nie chciałbym, żebyś mnie źle rozumiała, ale to nam otwiera szereg możliwości. Możemy wysłać tam ekipę z kamerami, która na nowo porozmawia z policją, wojskiem, mieszkańcami. Kto wie, może uda się znaleźć jakiś nowy trop albo przynajmniej zwiększyć świadomość ludzi wybierających się w północne rejony Szwecji czy Norwegii. Kasper nie był pierwszym Duńczykiem, który tam zaginął, i z pewnością nie ostatnim.

Kobieta pokiwała głową.

– Tak, to ważne. Ale chciałabym się też dowiedzieć, co się stało z nimi.

– Oczywiście.

– Chciałabym, aby istniało jakieś miejsce, w które mogłabym zabrać dzieci i powiedzieć im, że tu leżą ich rodzice. Myślę, że to będzie dla nich ważne, gdy dorosną. Bez tego jest bardzo dziwnie. Jakby zaginęli na morzu.

– Doskonale cię rozumiem – przytaknął. – Jeśli się zgodzisz, pogrzebie trochę i dam ci znać, gdy czegoś się dowiem. Będziemy musieli przeprowadzić wywiady z rodzinami ich obojga, kolegami ze szkoły, przyjaciółmi i kolegami z pracy.

Tove Hansen wstała i spojrzała na zegarek.

– Muszę już iść po dzieci.

Michael również wstał.

– Oczywiście.

– Chcesz obejrzeć jego pokój? – spytała nagle. – Wygląda tak, jak kiedy się wyprowadził. To w piwnicy.

Wszystko w nim krzyczało, żeby już stąd wyjść, opuścić ten mały, cichy dom.

– Tak, bardzo bym chciał – odparł.

20

– Jak poszło? – spytała Charlotte.

– Chwileczkę. – Lene wyjątkowo ucieszyła się, że zadzwoniła jej szefowa. Wciąż nie otrząsnęła się po briefingu prasowym i ta rozmowa zmuszała ją do przekierowania myśli na inne tory. Wsunęła do ucha słuchawki, wtyczkę do telefonu, a smartfon włożyła do popielniczki w samochodzie.

– Czy dziennikarzy w ogóle można nazwać ludźmi? – spytała.

– Moim zdaniem nie – przyznała komendant. – Czego się dowiedziałas?

– Kim Anderson popełnił samobójstwo. Jego żona założyła mu kajdanki, kiedy go zobaczyła wiszącego na drzewie. Niepokoiły ją i nadal niepokoją problemy, w jakie jej mąż najwyraźniej się wpakował.

– Czyli?

– Depresja, bezsenność, pijaństwo... oraz duże pieniądze od nieznanego zagranicznego sponsora, przelane z konta w Credit Suisse w Zurichu na osobiste konto Andersena. Żona nie ma pojęcia, skąd się wzięły, a ja jej wierzę. Odniosłam wrażenie, że ona wręcz boi się tych pieniędzy. Sama mu się oświadczyła i teraz uważa, że to przez nią wpłatał się w coś, za co mu tyle zapłacono. Żeby mieć na wesele, prezenty i całą resztę.

– O jakich pieniądzach mówimy? – głos Charlotte Falster był opanowany, jak zawsze, a Lene mimo wszystko odniosła wrażenie, że wyłapała w nim pewne napięcie.

– Dwieście tysięcy franków szwajcarskich. Nieco ponad miesiąc temu.

– To niemało. Masz jakiś pomysł?

– Nic mi nie przychodzi do głowy poza tym, żeby prokuratura i ludzie z Glostrup wystąpili do Zurichu o przekazanie danych.

W telefonie zapadła wymowna cisza. Lene wyczuła, że udało jej się zainteresować panią komendant.

– Zanim dostaniemy odpowiedź, już dawno zjedzą nas robaki – powiedziała wreszcie. Chcesz, żebym sama spróbowała coś zdziałać?

Lene się uśmiechnęła.

Liczyła, że to zaproponuje. Mąż Charlotte był szefem departamentu w Ministerstwie Sprawiedliwości i należał, obok szefa Banku Narodowego i Boga, do grupy łączącej ludzi zarządzających największymi firmami sektora prywatnego i państwowego, osławionej VL-Gruppe. On na pewno mógłby wcisnąć klawisze biurokratycznych skrótów, które były całkowicie nieosiągalne dla zwykłej komisarz.

– Tak, bardzo – przyznała. – Będę ci niesamowicie wdzięczna.

– Co on mógł zrobić, co było warte dwieście tysięcy franków szwajcarskich? – zastanawiała się Charlotte. – Bo raczej nie pergole, prawda?

– Raczej nie. Ale chciałabym się tego dowiedzieć, jeśli nie masz nic przeciwko. Rozmawiałam z psycholożką wojskową, opisała go jako zupełnie normalnego. Była wręcz zaskoczona, że się zabił. Podobnie zareagował jego lekarz rodzinny. Andersen wrócił z misji jesienią dwa tysiące ósmego, ale dopiero latem dwa tysiące dziesiątego zaczął chorować na depresję wymagającą leczenia. Najpierw pojechał na polowanie do Szwecji, a później dowiedział się, że dwaj jego najbliżsi przyjaciele zginęli w Afganistanie. Nigdy nie odniósł obrażeń podczas działań wojennych, ale wtedy w Szwecji został ciężko ranny. Zdaniem patolożki blizna wygląda na samozasklepioną ranę postrzałową. I teraz mam problem, bo z jednej strony chciałabym zamknąć sprawę jako potwierdzone samobójstwo, żeby dziennikarze dali mi spokój, ale równocześnie chciałabym nadal w niej pogrzebać, traktując jak coś w rodzaju zabójstwa. Na poduszkach dzieci Andersenów ktoś położył po jednym naboju. Kim Andersen znalazł je tuż przed tym, jak się powiesił. I to też trudno zignorować, moim zdaniem.

– Czyli ktoś dał Andersenowi do zrozumienia, że dobrze by było, gdyby się zabił i oszczędził mu pracy? I dlaczego dopiero teraz mówisz o tych nabojach?

Zawodowe sparringi z Charlotte Falster należały do ulubionych elementów pracy Lene, nawet jeśli prywatnie nie przepadała za swoją szefową. Falster myślała dokładnie tak jasno, jak się wyrażała, a kiedy roztrząsały jakąś sprawę, to zwykle okazywało się, że obie bardzo niewiele jest w stanie zaszokować.

– Widocznie zapomniałam.

– Jasne – powiedziała oschle Charlotte. – Lene, przyznasz, że to dość niespotykane.

– Tak, masz rację.

Gdy szefowa zamilkła, Lene wiedziała, że właśnie z prędkością komputera rozważała i sortowała wszelkie możliwe scenariusze.

Wiadomo było, że ich wydział cierpiał na chroniczne braki personalne, wiadomo, że w toku było mnóstwo innych spraw, które wymagały czasu i uwagi doświadczonej śledczej, wiadomo też, że prawem i obowiązkiem Charlotte było zarządzać skąpymi zasobami tak, aby możliwie najefektywniej osiągać cele, które jej wyznaczono. Lene wszystko to rozumiała i akceptowała. I zwykle nie czuła jakiejś szczególnej osobistej odpowiedzialności za prowadzone przez siebie sprawy. Również pod tym względem to dziwne, niemal warunkowo wywołane samobójstwo Kima Andersena różniło się od innych spraw i było zbyt nietypowe, żeby oddać je komuś innemu.

– Okej – powiedziała wreszcie komendant. – Kontynuuj i trzymaj się z dala od prasy. Jeśli ktoś będzie pytał, to jesteś na urlopie. Co zamierzasz zrobić?

– Jeśli zajmiesz się szwajcarskimi pieniędzmi, to ja się przyjrę ich pozostałym finansom oraz porozmawiam z jego kolegami z wojska i oficerami.

– I ze Szwecją?

– I ze Szwecją.

– A osoba, która podłożyła naboje... Kto to mógł być? Wydaje się, że nie jest to ktoś, kogo chciałoby się spotkać ciemną nocą.

Lene pomyślała o mężczyźnie ze skorpionem. Jego chłodnym uśmiechu. Małym, ale znaczącym dystansie między nim a resztą świata.

– Dowiem się.

– Uważaj na siebie – powiedziała Charlotte zamyślonym tonem, a Lene prawie wjechała do rowu. Co to miało być? Troska? Ze strony Charlotte Falster? Koniec świata, zaraz Brøndby wygra Superligę.

– Jasne – obiecała i się rozłączyła.

Ponownie zadzwoniła na numer stacjonarny pszczelarza. Dzwoniła już kilka razy i za każdym razem nagrywała mu się na sekretarkę. Ton jej wiadomości zmieniał się od neutralnego aż po jawnie błagalny. Z tego, co wiedziała, nie jeździł już na misje, choć oczywiście mógł mieć milion innych powodów, żeby nie odbierać telefonu. Ale kurde, czy tymi pszczołami nie trzeba się jakoś zajmować? Mieszkał w gospodarstwie wiejskim w Ravnsholcie, niedaleko koszar Gwardii w Høvelte.

Lene sprawdziła godzinę na desce rozdzielczej. Zastanawiała się, czy nie podjechać do Ravnsholtu po drodze do domu, ale uznała, że woli posiedzieć

godzinę z Josefine, zanim ta pójdzie do pracy. Allan Lundkvist będzie musiał zaczekać.

Po drodze do domu zrobiła zakupy spożywcze przy Værnedamsvej, ulicy, która w całej Kopenhadze najlepiej się do tego nadawała. Kupiła parę wykwintnych serów, francuską wodę mineralną, winogrona, pyszny chleb, świeże duże oliwki i hiszpańską szynkę. Zdążą coś zjeść na szybko, zanim Josefine będzie musiała wyjść.

– Jose?

Lene postawiła na blacie torby z zakupami. Córka bezlitośnie masakrowała hit Shakiry w łazience, więc Lene w tym czasie ułożyła frykasy na drewnianej desce do krojenia, przełożyła oliwki do miseczki i nalała sobie czerwonego wina, a Josefine – wody. Wszystko zaniósła do salonu, wraz z talerzami, i wsunęła do wieży płytę Niny Simone.

– Jose... szynka! ...oliwki! ...chleb!

Z łazienki dobiegł dźwięk suszarki, więc Lene wiedziała, że córka nie usłyszała ani słowa. Sama zjadła dwie oliwki i zanurzyła kawałek chleba w oliwie z gruboziarnistą solą morską. Uświadomiła sobie, że była wściekle głodna. I że musi się wysikać. Stała w korytarzu i płaską dłonią kilkakrotnie uderzyła w drzwi łazienki.

– Co?

– Josefine, muszę tam wejść! Już, teraz! Jedzenie na stole.

– Mamo, nie jestem głodna.

– Jasne, że jesteś.

Jej córka miała przemianę materii niczym spalarnia śmieci, a kiedy była mała, to codziennie jadła tyle, ile sama ważyła. Do teraz mogła jeść, co tylko chciała, i wcale nie tyła.

Teraz wyszła z zaparowanej łazienki, zapinając jedwabną bluzkę w kolorze indygo. Białego koronkowego stanika, który miała pod spodem, Lene chyba wcześniej nie widziała. Josefine pośpiesznie objęła matkę – ramionami i zapachem Chanel Mademoiselle. Twarz miała rumianą od kąpieli, a na niej dyskretny makijaż, za to jej usta były krwistoczerwone.

– Mamo, mogę pożyczyć twoje nowe kolczyki z perłami?

– David Beckham jest w mieście?

– Za stary. Mogę?

Lene westchnęła i wyjęła z uszu swój prezent urodzinowy. David Beckham... za stary? Przecież to smarkacz, do cholery.

– Czy mogę już skorzystać z własnej łazienki?

– Jasne.

Myjąc ręce, Lene zwróciła uwagę na wykrzykniki, błyskawice i serca narysowane na zaparowanym lustrze i poczuła ukłucie w brzuchu. Wciągnęła głęboko powietrze i zganiała się w myślach. Skumaj to wreszcie, Lene! Dziewczyna ma dwadzieścia jeden lat, jest dorosła, do cholery. Ale i tak wiedziała, że dla niej Josefine zawsze będzie miała mniej więcej pięć lat.

Zdmuchnęła z półki pod lustrem ślady po depilacji brwi córki i odłożyła maskarę do pudełka z kosmetykami. Pigułki. Otworzyła apteczkę i sprawdziła blister należący do Josefine. Okej, przynajmniej się zabezpieczała.

Kiedy wróciła do salonu, Josefine pochylała się nad stołem, ostrożnie wsunęła między zęby oliwkę i mały kęs szynki, żeby nie rozmazać szminki. Włosy uczesała w gładki kucyk i do twarzy jej było w tych kolczykach. Czarne dzinsy leżały, jakby je namalowano na jej długich nogach. Do tego założyła nową, sięgającą bioder zamszową kurtkę, oliwkowy szalik i nowe czarne kozaki.

Lene była dumna z córki... i zaniepokojona.

– Wrócisz na noc do domu?

– Mam nadzieję, że nie! Nie, mamo, żartowałam... chyba... ale nie, wrócę. Na razie.

– Uważaj na siebie – rzuciła mechanicznie Lene, ale Josefine już zdążyła wyjść.

Lene stała w korytarzu i patrzyła na drzwi, które się za nią zamknęły.

Znowu spróbowała zadzwonić do nieuchwytnego pszczelarza Allana Lundkvista i po raz Bóg wie który wysłuchała jego powolnego powitania na sekretarce. Nagrała kolejną wiadomość i ze złością rzuciła telefon na stół.

21

Po rozmowie z matką Kaspra Hansena Michael wracał do hotelu w podłym nastroju. Wyrzucał sobie, że jest oślizgłym, dwulicowym krętaczem. Podłym i zepsutym do szpiku. Biedna kobieta będzie teraz czekać na telefon od dziennikarza, który nigdy nie zadzwoni, na program w telewizji, który nigdy się nie ukáže.

Portier w recepcji wręczył mu grubą żółtą kopertę bez nadawcy, zaklejoną i dodatkowo spiętą zszywkami. W pokoju rozerwał ją i na łóżku rozłożył dokumentację medyczną Flemminga Caspersena.

Zaczął od zwiezłych notatek z izby przyjęć Szpitala Rejonowego w Næstvedzie. Flemming Caspersen został znaleziony martwy w swoim łóżku o ósmej trzydzieści rano, czternastego stycznia dwa tysiące dwunastego roku we wschodnim skrzydle zamku Pederslund. Karetka była na miejscu kwadrans później. W tym czasie Victor Schmidt i jego żona próbowali go reanimować, wykonując masaż serca i sztuczne oddychanie. Ratownicy również podjęli próbę reanimacji na miejscu i kontynuowali ją w drodze do szpitala. Podali mu dosercowo adrenalinę i użyli defibrylatora. Bezskutecznie. Flemming Caspersen nie wykazywał oznak życia. Podczas transportu jego źrenice nie reagowały na światło i uznano, że mózg od dłuższego czasu był niedotleniony.

W szpitalu w Næstvedzie lekarz dyżurny stwierdził zgon. Ustalono, że pacjent zmarł o dziewiętej trzydzieści trzy, czyli w momencie przybycia do szpitala, a przyczyną śmierci, którą potwierdziła sześciogodzinna autopsja, było *institio cordis*, zatrzymanie akcji serca prawdopodobnie wywołane silnym zawałem mięśnia sercowego.

Michael zajął swoje ulubione miejsce przy drzwiach balkonowych. Zawał. Czy to nie była tak naprawdę przyczyna każdego zgonu? Raport z obdukcji był lapidarny i powierzchowny. Stwierdzono miażdżycę tętnic wieńcowych bardziej zaawansowaną, niż można by uzasadnić wiekiem, i za-

krzep, który spowodował obumarcie dużej części lewego mięśnia sercowego. Flemming Caspersen zmarł we śnie. Na jego ciele nie znaleziono widocznych oznak przemocy. Miał we krwi alkohol, ale w stężeniu takim jak po wypiciu kilku jednostek poprzedniego wieczora. Nie przeprowadzono analizy pod kątem substancji toksycznych ani nie sprawdzono, czy miał ślady po wkłuciu na przykład między palcami u stóp albo rąk, pod językiem, na skórze głowy, wewnątrz uszu albo na błonie śluzowej odbytu. Michael nie był pod wrażeniem pracy wykonanej przez patologa, mówiąc delikatnie. Miażdżycza, zakrzep, zgon, kropka. Istniały setki sposobów, aby zabójstwo upozorować na naturalny zgon, a w raporcie nie uwzględniono żadnego z nich.

A teraz Flemming Caspersen był skremowany i przepadło.

Michael wrzucił do szklanki dwie tabletki treo na migrenę i właśnie je mieszał, kiedy zadzwonił telefon. Wypił duszkiem gorzki biały napój.

– Słucham?

– Otrzymałeś zaproszenie na kolację w zamku dziś wieczorem – oznajmiła Elizabeth Caspersen bez słowa wstępu. – Oboje otrzymaliśmy. Victor prawie dostał wylewu, kiedy mu powiedziałam o miss Simpson z Nowego Jorku. Ale w sumie nie wiem, czy dziś wieczór ci pasuje?

– Jasne, że tak. Świetna robota, Elizabeth. Sama napisałaś list?

– Tak. To było okropne.

– A zdjęcie małego? Udało ci się jakieś zdobyć?

– Jedno z wnucząt sekretarki. Wyjątkowo brzydkie niemowlę. Wygląda jak Winston Churchill.

– Z cygarem?

– Oczywiście. Powiedziałam, że jedna z dziewczynek potrzebuje zdjęcia niemowlaka do szkolnego projektu o przeludnieniu. Okazało się, że sekretarka nie wierzy w przeludnienie.

– O której mam tam być?

– Punkt osiemnasta będą serwować drinki, a kolacja zostanie podana o wpół do siódmej. Na wsi jadają dość wcześnie. Są tam wszyscy. Mogę cię odebrać spod hotelu o wpół do piątej. Czyli za półtorej godziny. Po drodze będziemy mogli chwilę porozmawiać. Masz coś nowego?

– Mam – potwierdził. – Ale lepiej z tym zaczekajmy. Jakiś dress code?

– Raczej nie. Ale jeśli nie masz czystych koszul, to lepiej w jakąś zainwestuj.

Michael zamknął drzwi na balkon.

– Tak zrobię. A skoro mowa o inwestycjach, muszę cię prosić o zaliczkę. Poniosłem już trochę wydatków, a te wkrótce mogą znacznie podskoczyć. Muszę na przykład wynająć helikopter.

– Helikopter...? – W jej głosie słychać było osłupienie.

– Prawdopodobnie tylko na parę dni – wyjaśnił.

– Parę dni?

Jej głos się załamał i Michael mimowolnie się skrzywił.

– Pozwól, że przypomnę ci twoje wczorajsze oświadczenie, że jesteś gotowa wydać każdą koronę ze swojej fortuny, aby poznać prawdę, która być może jest taka, iż twój ojciec odpowiada za dokonanie egzekucji przypadkowego turysty w Norwegii. Mogę oczywiście zrezygnować z helikoptera i udać się do Finnmarku pieszo, ale koszt będzie podobny, zważywszy na moją stawkę godzinową.

Jej milczenie było nad wyraz wymowne.

– Oczywiście... – powiedziała wreszcie tonem już bardziej opanowanym. – Tak, oczywiście, koszty nie grają roli, wybaczone. Muszę tylko... Wiesz, to jest trochę inna skala, jeszcze do tego nie przywykłam. Ale to ja powierzyłam ci to zadanie, a ty doskonale się z niego wywiązujesz. Ile ci potrzeba?

– Myślę, że dwieście tysięcy koron powinno na tę chwilę wystarczyć.

– Przeleję ci pieniądze od razu – zapewniła go z nowo zdobytą pokorą w głosie.

– Dzięki.

Podał jej numer konta w biurze swojego księgowego w Odense. Wiedział, że Sara by się ucieszyła, dopóki by nie zaczął wynajmować helikopterów w północnej Norwegii.

– Będę o wpół do piątej – powiedziała.

– Świetnie.

– Nie ciesz się tak – ostrzegła go i się rozłączyła.

Michael przejrzał dzisiejsze gazety. Komenda główna nadal prowadziła śledztwo w sprawie domniemanego samobójstwa weterana z Holbæku. Pojawiło się nowe zdjęcie zmarłego w gronie kolegów z wojska na dachu transportera opancerzonego gdzieś na obrzeżach Bagdadu. Kim Andersen świecił nagim tułowiem w środkowowschodnim słońcu, a na szyi miał związaną arafatkę w czarną kratę. Michael uśmiechnął się pod nosem na widok licznych tatuaży pokrywających ręce, barki i tors gwardzisty.

Sam miał tylko jeden tatuaż i uważał, że o jeden za dużo. Upił się nie-
możliwie któregoś wieczora w Manili i Keith Mallory zawlókł go do małej
obskurnej budy.

Michael zorientował się dopiero dzień później, kiedy wciąż pijany wy-
cierał się przed lustrem po wyjściu spod prysznic. Wrzasnął przerażony,
gdy zobaczył na prawej łopacie wielkiego żółtego Homera Simpsona z tym
jego chytrym uśmieszkiem. Homer miał opuszczone spodnie i każdemu za-
interesowanemu pokazywał gołą owłosioną dupę. Sara go nienawdziła.

W innej gazecie znalazł nowe zdjęcie Lene Jensen zrobione na parkingu
przed komisariatem w Holbæku. Została sfotografowana w połowie kroku i
patrzyła prosto w obiektyw. Twarz miała jak zawsze poważną, ale reszta
ciała wydawała się rozluźniona i swobodna.

Lene Jensen była człowiekiem ciała, zawyrokował.

Dziennikarka rozmawiała z kolegami Kima Andersena z warsztatu sto-
larskiego, kilkoma dawnymi kolegami ze szkoły i obecnymi kolegami z
kółka łowieckiego. Wszyscy, bez wyjątku, wyrażali głębokie zaskoczenie
tym, co się stało. Najwyraźniej powrót do domu był dla Kima trudniejszy,
niż wszyscy sądzili. Od jakiegoś roku był smutny, zamknięty w sobie. Uty-
kał, boląca noga nie pozwalała mu wspinać się na rusztowania i dachy.
Może więc jego samobójstwo nie powinno być aż takim zaskoczeniem.

Michael przejrzał jeszcze pozostałe gazety, ale znalazł same spekulacje i
oczywistości.

Martwy, wysoko odznaczony weteran. Z bolącą nogą. Jak jeden ze zło-
dziei rogów nosorożca.

Czarny opel insignia Elizabeth Caspersen podjechał pod Hotel Admiral
dokładnie o szesnastej trzydzieści. Michael otworzył drzwi i zajął miejsce
pasażera. Zdążył kupić czystą koszulę, a w hotelowej pralni wyprasowali
mu jedyny garnitur, który ze sobą przywiózł.

Elizabeth wyglądała na zmęczoną i zestresowaną. Siedzenie odsunęła
maksymalnie do tyłu, żeby zrobić miejsce na swoje długie nogi. Dłonie w
rękawiczkach z dziurkami trzymała na kierownicy i prowadziła pewnie i w
skupieniu. Przejechali przez Langebro, minęli hotel SAS i skierowali się na
wschód wzdłuż Ørestads Boulevard.

Żadne z nich się nie odezwało, dopóki nie wjechali na autostradę.

– Michaelu, prezentujesz się bardzo ładnie.

– Dziękuję, ty również.

Uśmiechnęła się lekko.

– Więc co znalazłeś? Jesteś bardzo poważny.

Michael westchnął i spuścił wzrok na swoje dłonie.

– Młode małżeństwo, duńsko-norweskie, które zaginęło podczas wyprawy w góry na północ od Lakselv dwudziestego trzeciego marca dwa tysiące dziesiątego. Kasper Hansen i Ingrid Sundsbö – wyrzucił jednym tchem, nie patrząc na nią. – Trzydzieści jeden i dwadzieścia dziewięć lat. Inżynier i graficzka. Do Lakselvu przylecieli z Kopenhagi przez Oslo wieczorem dwudziestego drugiego marca. Przenocowali w zajezdzie Porsanger Vertshus, a następnego dnia ruszyli na północ. Norweski kierowca ciężarówki podwiózł ich kawałek. Potem nie widział ich już nikt poza zabójcami. Oboje mieli duże doświadczenie w poruszaniu się po górach i świetny sprzęt. Pogoda była znakomita, temperatura wysoka.

Samochód zjechał na środkową linię i Elizabeth gwałtownie naprowadziła go z powrotem na pas.

– Było ich dwoje...? Przecież tam nie było dwojga?

– Obawiam się, że tak. Jak mówię, młode małżeństwo. Ją prawdopodobnie zabili jeszcze tego samego dnia. Jej ciała nie znaleziono. Jego, jak wiemy, też nie.

– Michael... cholera jasna... och, Boże... – odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy. Michael z rosnącym niepokojem obserwował ciężarówkę w bocznym lusterku.

– Może ja poprowadzę? – zaproponował, ale chyba go nie słyszała. – Dwoje ludzi... – wymamrotała raz jeszcze zdruzgotana i szczerze jej współczuł. – Ale dzieci nie mieli? Michael... powiedz, że nie mieli dzieci...

– Dwójkę. Bliźnięta. Chłopiec i dziewczynka. Mają dziś pięć lat. – Nie oszczędzał jej, nie mógł. – Przykro mi. Sześćdziesięciopięcioletnia matka Kaspra Hansena dostała prawa rodzicielskie. Mieszkają w małym domu w Vangede. Odwiedziłem ją dziś rano. Jako dziennikarz zainteresowany tą sprawą.

– Ale Michael, przecież to potworne! Co ja mam zrobić? Ale to naprawdę oni? Na sto procent?

– Nie ma żadnych wątpliwości. Rodzina i przyjaciele jesienią zeszłego roku odprawili mszę żałobną z udziałem dwóch pustych trumien w kościele Sjømannskirken na Amager. Byli lubiani. Na Facebooku działa sporo stron,

na których wciąż szukają nowych informacji. Ludzie chcieliby wiedzieć, jak sama stwierdziłaś.

– Przestań... Zrozumiałam, naprawdę...

Miała szkliste oczy i Michael położył rękę na hamulcu ręcznym.

– Czyli nie chcesz więcej szczegółów? – upewnił się.

– Nie w tej chwili.

– To właśnie próbowałem ci powiedzieć, Elizabeth. Naprawdę próbowałem ci ostrzec. Oni mają teraz twarze i nazwiska.

– Wiem. I chcę się dowiedzieć wszystkiego, musisz mi to tylko trochę dozować. Nie wiedziałam na przykład... Nie przypuszczałam, że tam mogło być więcej osób. Akurat wtedy.

– Tak, oczywiście. Nie zapominaj tylko, że ty nie zrobiłaś nic złego. Wręcz przeciwnie. Proszę, pamiętaj o tym.

– Ja nie, ale mój ojciec, który okazał się psychopatycznym zabójcą. Nie potrafię wyzbyć się poczucia odpowiedzialności. Wiem, że to nieracjonalne, ale nic nie poradzę. – Zaczęła płakać. – Tak cholernie mi żal tych maluchów. – Mrugając, strzepywała łzy z rzęs. – Ty masz dzieci?

– Dwójkę. Cztery lata i półtora roku – odparł.

Pokiwiała głową i patrzyła przed siebie. Pod jej nieruchomą twarzą wzbierała kolejna burza wywołana tą nową, jeszcze bardziej przerażającą sytuacją. Michael śledził wzrokiem łzę, która odczepiła się od kącika oka i skapnęła na kołnierzyk, zostawiając na nim małą ciemną plamę.

Kiedy po jakimś czasie dostrzegł, że Elizabeth w miarę odzyskała panowanie nad sobą – oraz nad samochodem, sam rozparł się w fotelu i stwierdził, że we wnętrzach dłoni ma małe czerwone półksiężycy od paznokci.

– A pozostali? – zapytała. – Myśliwi. Mordercy?

– Na razie nic.

– Ale znajdziesz ich?

– Myślę, że tak.

– Michael, *musisz* ich znaleźć!

– Oczywiście.

– Ojciec zaopatrywał się w Guns & Gents – poinformowała go później. – Ich rusznikarz dbał o jego broń. Mausera zamówili dla niego w styczniu dwa tysiące dziesiątego i zamontowali na nim ten celownik optyczny. Wszystko się zgadza, pieczątki, paragony, numery seryjne. Masz jeszcze jakieś wątpliwości, że to był on?

Michael nie odpowiedział.

– Firmowy gulfstream zawiózł ojca do Sztokholmu dwudziestego marca dwa tysiące dziesiątego przed południem – mówiła dalej. – Wrócił po południu, bez pasażerów, i ponownie poleciał tam dwudziestego siódmego marca, przywożąc ojca.

– No tak.

– To twój jedyny komentarz?

– Na razie tak.

– Słuchaj, bo szczerze mówiąc, nie wiem, czy ty nie rozumiesz, co do ciebie mówię, czy po prostu nie chcesz uwierzyć, że to był on – wyparowała ze złością. – Nie pojmuję tego. Taka jest prawda, Michael. On to zrobił, z grupą innych zwyrodnialców. To nie był żaden spisek uknuty przez CIA albo Victora, albo kogo tam jeszcze, żeby go oczernić albo przysporzyć mi kłopotów. Nie. Oni zamordowali dwoje młodych niewinnych ludzi!

– Elizabeth, słucham cię i rozumiem, co mówisz. Tylko...

– Tylko co?! To za mało? Co z tobą, do diabła?

Westchnął i bardzo chciał zapalić.

– Nic.

– Michael, nie jestem idiotką. Co się dzieje?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. To po prostu coś, czego się nauczyłem.

– Co takiego?

– Schematy, Elizabeth. – Bezradnie machnął ręką. – Gdy coś idzie zbyt łatwo, kiedy wszystko zbyt dobrze do siebie pasuje, to znaczy, że jest zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Zawsze.

– Niech ci będzie – mruknęła pod nosem. – Ja za to jestem przekonana, że to on.

Michael postanowił zmienić temat:

– Czego mogę się spodziewać na miejscu?

– Victor będzie próbował cię zastraszyć, w życiu ci nie zaufa, mnie zresztą też nie. Nikt nie lubi, a on zwłaszcza, kiedy obcy ludzie wtrącają się w jego prywatne sprawy. Na wszystko, co powiesz, będzie reagował wzburzeniem. Za to jego żona Monika będzie uprzejma i gościnna. Chyba że Victor niedawno ją stłukł.

– Jak to?

– Zdarza mu się. Jeśli usłyszysz w nocy dziwne hałasy, to powstrzymaj się przed otwieraniem drzwi.

– Jak to w nocy? – Spojrzał na nią zdumiony.

– To będzie długi wieczór. Victor nie odpuści, dopóki najdrobniejszy szczegół tej historii nie zostanie prześwietlony i omówiony z każdej możliwej strony. Nieślubne dziecko jego współnika, w Stanach, z ich porąbanym systemem prawnym? O nie, dziś nieprędko pójdziemy spać.

– Nie wziąłem szczoteczki – powiedział głupio.

– Ich pokoje gościnne są świetnie wyposażone. Na pewno niczego ci nie zabraknie.

– A synowie?

– Henrik pewnie ledwie odnotuje twoją obecność. Będzie siedział w telefonie albo komputerze. On pracuje bez przerwy. Ale *jeśli* cię zauważy, to będzie uprzejmy i roztargniony. Czarujący na swój nieco staroświecki sposób.

– Ma żonę?

– Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że jest aseksualny. Ja w każdym razie nigdy nie słyszałam, żeby był w związku z osobą jakiegokolwiek płci. On pracuje.

– A Jakob, oficer?

– Oficer rezerwy. Nie wdał się ani w matkę, ani w ojca. Bez przerwy podróżuje. Żyje jak włóczęga.

– Singiel?

– Seryjny monogamista. Niełatwo się zakochuje. Miał w życiu chyba tylko jeden poważny związek.

– Z kim?

Zmarszczyła czoło.

– Z jakąś dziewczyną, którą, z tego co pamiętam, poznał w Nepalu podczas urlopu z armii. Była taka jak on, szukała przygód. I zdaje się, znalazła.

– To znaczy?

– W sumie nie wiemy, co dokładnie się stało. Jakies pięć albo sześć lat temu Jakob wyszedł z wojska i schudł dziesięć kilo. Na miesiąc zamknął się w swoim pokoju. Nie chciał z nikim rozmawiać, a zwłaszcza o niej. Nie pamiętam, jak miała na imię.

– Rzuciła go?

– Jakob nie jest typem, którego się rzuca, ale nie wiem. Nie rozmawiamy o tym.

– Czytałeś raport z autopsji? – spytała po chwili milczenia.

– Tak.

– I?

– I nic. Twój ojciec po prostu umarł.

Zamek był piękny, wręcz bajkowy, chociaż jadąc wąskim parowem, w którym biegła prywatna droga, nikt by się nie zorientował, że istnieje. Po obu stronach drogi jasne wieczorne niebo przysłaniały gęste krzaki i drzewa.

Elizabeth skręciła nagle w przerwę w chaszczach, której Michael nawet by nie zauważył. Kątem oka dostrzegł tylko dwa czerwone słupy bramy i samą bramę, czarną, z kutego żelaza i niemal całkiem zarośniętą bluszczem. Przejechali jeszcze paręset metrów wąską szutrową drogą, aż otworzył się przed nimi uroczy park z krętymi strumykami, stawami pełnymi lilii wodnych, zacienionymi i krytymi strzechą kwaterami dla personelu, zadbanymi rabatami i trawnikami tak równymi, że można by na nich grać w bilard.

O ile wjazd na zamek był ukryty i zarośnięty, o tyle pobliski park i zabudowania wyróżniał ich perfekcyjny stan. Główny budynek był biały, harmonijny i o lekkiej konstrukcji. Kojarzył się z Włochami albo jakimś włoskim deserem. Za nim park schodził do morza. Wzdłuż prawej ściany zamku ciągnęły się ogrodzone białym płotem zagrody i malownicze czerwone stajnie. W zagrodach pasło się kilka rasowych koni w czystych niebieskich derkach.

– Wspaniałe miejsce – stwierdził.

– To prawda – przytaknęła. – Konie to pasja Moniki. Hoduje duńskie konie gorącokrwiste i nie zawraca głowy Victorowi. Taki mają układ. Peder-slund to zamek myśliwski, który Fryderyk VI zbudował dla jednego z czworga nieślubnych dzieci, jakie mu urodziła kochanka, Dannemand.

– Wszędzie te nieślubne dzieci – uśmiechnął się Michael.

– Tak, historia się powtarza – potwierdziła. – Tak w ogóle mój amerykański przyrodni brat ma na imię Charles. Po dziadku miss Simpson.

– Sympatyczny szczegół – pochwalił ją Michael.

Zaparkowała między volvo kombi a ciemnym bmw. Michael wysiadł i rozprostował plecy.

– Victor pracuje stąd?

– Ma mieszkanie przy Bredgade. Tutaj urzęduje głównie Monika.

Elizabeth obeszła samochód i stając tuż przy Michaelu, dodała:

– Nie jest wielką tajemnicą, że on ma w mieście kochankę, a Monika... zmieniających się kochanków. Wygląda na to, że obojgu ten układ w pełni odpowiada.

Kiedy ruszyli schodami do głównego wejścia, zapaliły się duże lampy po obu stronach drzwi i zaraz otworzył je wysoki, bardzo szczupły mężczyzna. Miał stalowoszare włosy, starannie przyciętego wąsa i haczykowany nos. Jasnobrązowe włoskie mokasyny, miękki karmelowy pulower, a pod nim błękitną koszulę, której podwinięte rękawy odsłaniały żylaste przedramiona. Mężczyzna miał szybkie, energiczne ruchy i od razu przywitał się serdecznie, chociaż ciemnymi oczami już mierzył Michaela.

– Wejdźcie, wejdźcie! Elizabeth, jak dobrze cię widzieć. Jak się miewasz?

Nie czekając na odpowiedź, pociągnął ją do środka, żeby móc się skupić na jej towarzyszu.

Michael uśmiechnął się uprzejmie. Dłoń Victora Schmidta była długa, chłodna i sucha. Wydawał się być w znakomitej formie fizycznej, chociaż dobijał siedemdziesiątki.

– Witaj w Pederslundzie. Victor Schmidt.

– Michael Sander.

– Tajemniczy... no właśnie, kim właściwie jesteś dla Elizabeth?

– Doradcą?

– Michael mi pomaga – wyjaśniła.

Victor Schmidt wypuścił rękę Michaela. Uśmiechnął się, chociaż oczy w tym uśmiechu nie uczestniczyły.

– W każdym razie, witaj.

– Dziękuję za zaproszenie.

Michael rozejrzał się po holu. Szerokie schody na wprost drzwi rozdzielały się na dwa biegi prowadzące na piętro. Wokół starannie wyprawionych trofeów w łukach, wachlarzach i rozetach wyeksponowano rogi i poroża. Wydawało się jednak, że były tu szczątki wyłącznie przedstawicieli duńskiej fauny.

Victor pomógł Elizabeth zdjąć trencz, cały czas zerkając na Michaela, który odwzajemniał te spojrzenia z obojętną miną. Stwierdził, że coś mu nie pasowało w oczach Victora. Wiszący w holu ogromny kryształowy żyran-

dol dziwnie się w nich odbijał. Dopiero po chwili Michael zorientował się, że lewe oko Victora Schmidta było protezą.

Gospodarz prześmiewczo załamał ręce.

– Elizabeth, co za historia. Ten stary cap. Nie wiem nawet, czy się śmiać czy płakać... czy mu zazdrościć. Chociaż spodziewałbym się, że Flemming słyszał o kondomach, do jasnej cholery. Ach, twoja biedna matka. Może to i lepiej, że...

– Że nie kontaktuje? – odpowiedziała mu Elizabeth.

– Właśnie. Przynajmniej zostanie jej to oszczędzone. Czego się napijecie?

Ruszył przodem przez ciemne podwójne drzwi, a Michael pochylił się do swojej towarzyszki.

– On ma sztuczne oko? – spytał cicho.

– Brawo, jesteś doskonałym detektywem.

Ścisnął krótko jej ramię.

Zamkowa biblioteka nie ustępowała tej u Flemminga Caspersena, chociaż Michael miał wrażenie, jakby była scenografią, czego nie poczuł w Hellerupie. Brakowało tu tej szczególnej atmosfery przynależności i posiadania, z którą zetknął się w pałacach starej arystokracji w Anglii i na którą składało się wiele pokoleń nieprzerwanych, przekazywanych w nieskończoność przywilejów. Biblioteka w Pederslundzie była na to jednocześnie za mała i za duża.

Poza tym nie brakowało tu niczego. Stały tu wygodne angielskie kanapy, piękny kominek, w którym wesoło trzaskał ogień, zajmujące całe ściany regały pełne opasłych tomów z imponującymi tytułami na grzbietach i kupowanych chyba na metry podczas aukcji. Poza tym olejne obrazy z okresu duńskiego romantyzmu, jedwabne abażury, wielkie chińskie wazy, orientalna kość słoniowa i drzeworyty, a nawet puchar z zawodów wioślarskich na kominku. Słowem, było tu wszystko i wszystko wydawało się pozbawione duszy.

Z kanapy wstała szczupła brunetka i podeszła do nich. Wymieniły z Elizabeth cmoknięcia w oba policzki, trzymając się wzajemnie za łokcie, a potem ich gospodyni skierowała na Michaela duże wrażliwe oczy. Miała na sobie dopasowaną beżową jedwabną spódnicę obszytą wzdłuż talii perłami, czarną jedwabną bluzkę, której dekolt spięła perłową broszką tuż nad rowkiem między piersiami, i do tego krótki żakiet z tej samej tkaniny co spódnica. Z wdziękiem poruszała się na bardzo wysokich szpilkach. Gdy wycią-

gnęła do niego rękę, w stronę łokcia zsunęły się wąskie srebrne bransoletki, a Michael przez chwilę nie był pewien, czy powinien tę rękę uściskać czy pocałować. Zdecydował się na to pierwsze.

– Monika – powiedziała z lekką chrypką.

– Michael.

Lubiła się opalać, skórę na dekolcie miała zgrubiałą i trochę jakby wyprowadzoną, za to szyja była gładka, długa i wytworna, twarz również nadal w dobrej formie. Czarne włosy zebrała w niski ciasny kucyk, jak to mają w zwyczaju amazonki.

– Jestem Szwedką – dodała. – Victor uprowadził mnie ze Sztokholmu.

– Potrafię zrozumieć dlaczego – odparł szarmancko Michael.

Uśmiechnęła się.

– Dziękuję. Czego się napijesz? Jak rozumiem, jesteś kimś w rodzaju prywatnego detektywa, więc pewnie whisky?

– Tak, dziękuję.

– Z lodem?

– Jeśli masz.

– To mój syn Henrik – powiedziała i podeszła do barku. Miała zgrabne pośladki i silne, szczupłe nogi. Kiedy się odwróciła, zauważył również duże okrągłe piersi, które zdawały się przeczyć sile grawitacji i upływowi czasu. Musiała być po pięćdziesiątce, ale była doskonale zakonserwowana. Pewnie ta cała jazda konna też pomagała jej zachować formę, pomyślał.

Młody mężczyzna o włosach w kolorze piasku i bardzo jasnych niebieskich oczach wstał od biurka. Na ekranie jego laptopa przez chwilę pokazały się długie zielone kolumny liczb. Michael rozpoznał jasnowłosego chłopca ze zdjęcia z wakacji na ścianie biblioteki Caspersena. Nadal był chłopięco szczupły. Miał długie nogi i wąskie ramiona jak ojciec, ale twarz jasną, a usta zawsze gotowe do uśmiechu. Odsunął grzywkę, która mu wpadała do oczu, i wyciągnął rękę.

– Cześć. Jestem Henrik. Witaj.

– Michael. To wspaniałe miejsce.

– Trochę na uboczu, ale tata twierdzi, że dorastał w ciemnych zaułkach Vesterbro i zawsze marzył o zamku. To teraz go ma i znów niemal cały czas siedzi w mieście. Trochę bez sensu, prawda?

– Ale twoja mama tu mieszka, tak?

– Nie mogłaby opuścić swoich koni.

– A ty jeździsz?

– W życiu. Moim zdaniem konie są neurotyczne i podstępne jak jaszczurki. Przeceniane i nieprzewidywalne.

Michaela znowu owionął zapach perfum Moniki Schmidt i po chwili lekko dotknęła jego ramienia. Victor i Elizabeth stali przy kominku pogrążeni w rozmowie.

– Michaelu, twoja whisky – powiedziała cicho gospodyni. Stała bardzo blisko, ten zapach był zniewalający. Popatrzyła na swojego syna.

– Opowiedział ci już o jaszczurkach?

– Pokrótce.

– Prawda jest taka, że się ich boi.

Henrik się uśmiechnął i przewrócił oczami.

– Tak, mam. Nie, mam. Wiem, że to bardzo szlachetne zwierzęta.

– To prawda.

Michael popatrzył na zagrody. Biel ich płotów w świetle zachodzącego słońca aż oślepiła. Konie za to wyglądały jak ciemne, spokojne kształty. Wypił mały łyk whisky i zaciągnął się aromatem morza i glonów. Słód Islay, zgadywał. Jakby się wgryzał w smołowany sznur konopny. Doskonały trunek. Szkoda, że był w pracy.

– A ty... hodujesz je? – spytał.

– Mam wspaniałego ogiera – odparła i przesunęła po Michaelu taksującym spojrzeniem. – Cavalier z Pederslundu. Mrozimy jego spermę i sprzedajemy na całym świecie. Albo dopuszczamy do niego klacze. W tej chwili jest u niego z wizytą pewna klacz z Niemiec. Myślę, że dziś pozwolimy mu ją pokryć.

Uniosła szklankę do ust i Michael popatrzył na ślad, jaki zostawiła jej szminka.

Znów się uśmiechnęła:

– Uwielbiam *deckara*... to znaczy, kryminały. Naprawdę jesteś detektywem?

– Nie takim książkowym – zapewnił ją szybko.

Znów zmierzyła go wzrokiem, jakby się zastanawiała, czy nie wystawić go na aukcji.

– Na pewno? – spytała zawiedziona.

– Na pewno.

Michael w popłochu rozejrzał się za Elizabeth.

Henrik Schmidt z kolei z obojętną miną popatrzył na matkę jasnymi, płytko osadzonymi oczami, a potem z chłopięcym uśmiechem przeprosił

Michaela i wrócił do komputera. W jego pochylonej, szczupłej sylwetce było coś z samotności i ascezy mnicha. Henrik Schmidt sprawiał wrażenie człowieka, który był dokładnie tam, gdzie powinien być.

Ostatecznie Michaela uratowali wspólnie Victor i Elizabeth. Finansista położył dłoń na ramieniu żony, przyciągnął ją do siebie i uśmiechnął się do Michaela.

– Michaelu, muszę cię ostrzec – zaczął. – Kiedy moja żona wypatrzy w zwierzęciu dobry potencjał hodowlany, zrobi wszystko, żeby to zwierzę mieć.

Monika Schmidt zaczerwieniła się i nie uśmiechnęła.

– Victorze, on jest detektywem – powiedziała cicho. – Jego nie można mieć, on pracuje dla siebie.

Mężczyzna mocniej przycisnął żonę do boku i spytał, patrząc Michaelowi w oczy:

– Jakie masz właściwie kwalifikacje? Próbowałem cię wyszukać, ale chyba jesteś ostatnim człowiekiem na planecie, którego nie ma w Google'u.

– Daj spokój, Victorze – wtrąciła się Elizabeth. – W pełni ręczę za Michaela.

Victor mimo to zdrowym okiem wymierzył Michaelowi inkwizytorskie spojrzenie, a szklane oko przypadkiem było skierowane na siedzącego przy biurku syna.

– Zanim dopuszczę tego człowieka do wszystkich sekretów swojej firmy, muszę się o nim czegoś dowiedzieć.

– *Twojej* firmy?

– *Naszej*. Elizabeth, do cholery.

– Elizabeth – zaczął Michael pojednawczym tonem – uważam, że Victor ma rację. Na jego miejscu miałbym podobne wątpliwości. – I z uśmiechem wyjaśnił: – Przez kilka lat pracowałem dla agencji Shepherd & Wilkins w Londynie i Nowym Jorku, zanim zacząłem pracować na własny rachunek. Może słyszałeś o tej firmie? Wcześniej byłem kapitanem w żandarmerii wojskowej przy Gwardii Królewskiej i pracowałem w wydziale kryminalnym policji w Hvidovre.

Schmidt pokiwał głową.

– I co, Elizabeth. Nie bolało, prawda? – Dopił drinka i wypuścił żonę z uścisku. – Powiedzmy, że to mnie zadowala. Zważywszy na okoliczności. Masz ten list od tej Simpson czy jak jej tam? – Spytał i odstawił szklanekę na stolik, kiedy Elizabeth wyjęła z torebki błękitną kopertę z grubego pa-

pieru dobrej jakości i mu ją wręczyła. Założył na długi nos okulary do czytania i wyjął gęsto zapisaną kartkę. Na podłogę wypadło małe zdjęcie.

Michael podniósł je i zerknął, zanim podał je Victorowi. Elizabeth nie kłamała. Naburmuszone grube dziecko do złudzenia przypominało brytyjskiego męża stanu.

Schmidt wziął zdjęcie od Michaela. Jego okulary poruszały się w trakcie czytania. Odwrócił kartkę i czytał dalej. Potem spojrzął znad okularów na Elizabeth.

– Nie jest dobrze.

Spokojnie pokiwała głową.

– Zgadza się. To bardzo niefortunna okoliczność.

– Niefortunna? Elizabeth, to jakiś dramat. Gdyby twój ojciec jeszcze żył, to sam bym go, kurwa, zabił.

Pokazał kartkę Michaelowi.

– Ty to czytałeś?

– Tak.

– I?

– Co: i?

– No to, kurwa! To autentyk? Ona w ogóle istnieje?

Monika Schmidt zza pleców męża uśmiechała się do Michaela przepraszająco.

Michael pokiwał głową.

– Tak. Pod wskazanym adresem rzeczywiście mieszka niejaka Janice Simpson – odparł spokojnie. – Ma trzydzieści trzy lata, jest redaktorką w wydawnictwie przy Bryant Park, mieszka w niemal spłaconym mieszkaniu własnościowym w kamienicy przy Pięćdziesiątej Ósmej Zachodniej. Wydaje książki o sztuce współczesnej. Jej matka jest bibliotekarką w New York Public Library, a ojciec sędzią New York Criminal Court. To stara rodzina o imponującym drzewie genealogicznym. Są nowojorczykami od siedmiu pokoleń, co czyni ich kimś w rodzaju wielkowiejskiej arystokracji.

Spojrzął na Victora Schmidta, licząc, że ta ostatnia informacja wywoła w nim kompleks niższości klasowej, ale ten tylko mechanicznie pokiwał głową. Michael mówił więc dalej:

– Czekam na wyciągi z konta i inne dane bankowe, akt urodzenia Simpsona juniora oraz dokumentację fotograficzną.

Schmidt mimo wszystko wydawał się być pod wrażeniem.

– Doskonale – powiedział w końcu. Popatrzył na zdjęcie. – Brzydkie dziecko.

– Mogę zobaczyć?

Monika Schmidt wyciągnęła rękę. W milczeniu obejrzała zdjęcie i oddała mężowi. Wzrok miała spuszczone, powieki – przymknięte. Michael popatrzył na duży obraz wiszący nad kominkiem. Monika w wesołym, młodszym wydaniu stała przy oknie z cienkimi zasłonami w długiej jasnej jedwabnej sukience. Obok niej synowie: jasnowłose Henrik o błękitnych oczach, podobny do ojca, oraz mocniej zbudowany, ciemniejszy i zamknięty w sobie Jakob, który bardziej przypominał matkę. Obraz był realistyczny i szczegółowy niczym fotografia. Wyglądał jak spod pędzla tego samego artysty, który wykonał wiszący w Hellerupie portret Flemminga Caspersena z niedźwiedziem z Alaski.

Michael ukradkiem posłał Elizabeth wymowne spojrzenie, ale ona póki co unikała jego wzroku.

– Moim zdaniem jest uroczy – powiedziała. – Charles...

– Charles Caspersen? – wysyczał Victor ze złością. – Co to w ogóle za imię?

– Victorze, nie sądzę, że ona będzie się upierała przy nazwisku. To by było kompletnie bez sensu.

– To wszystko jest, kurwa, kompletnie bez sensu – oznajmił. – Stary pacjent.

– Słuchaj, wolałabym, żebyś nie mówił o ojcu w ten sposób. Bez niego sprzedawałbyś używane samochody w Nordvest, a nie był właścicielem połowy Sonarteku. Nie zapominaj o tym.

– O nie, moja droga Elizabeth. Mniej niż połowy. Reszta przecież należy do ciebie i twojej zdemenciałej matki – odparł kąśliwie.

Monika stanęła między nimi.

– *Snälla ni båda!*[2] Victorze, masz natychmiast przeprosić Elizabeth, a ty, Elizabeth, wybaczyć Victorowi. Jak zawsze.

Przygwoździła swojego męża wzrokiem, aż ten niechętnie wykonał rozkaz.

Michael z kolei odwrócił się, kiedy sam poczuł na karku czyjeś spojrzenie. Henrik Schmidt przypatrywał mu się z miejsca przy biurku z taką intensywnością, jakby był krótkowidzem. Kiedy się zorientował, że Michael też na niego patrzy, uśmiechnął się szeroko, ale zaraz dostrzegł coś za plecami detektywa. Jego twarz się rozpromieniła i wstał z krzesła.

– Cześć, Jakob!

Michael odwrócił się i nie mógł wyjść z podziwu, że ktoś mógł się poruszać tak bezgłośnie. Keith Mallory zawsze powtarzał: „Mike, prędzej czy później spotkasz jakiś nowy talent i chociaż tobie się wydaje, że jesteś niesamowicie skuteczny i groźny, to wówczas będziesz mógł się tylko modlić, żebyście grali do tej samej bramki, bo inaczej dostaniesz po dupie tak, że zapomnisz, jak się nazywasz”.

Michael pomyślał, że to właśnie był ten moment.

23

– Michael Sander – powiedział i wyciągnął rękę.

– Jakob.

Mężczyzna przyglądał się przez chwilę dłoni Michaela, zanim ją uściśnął. Niemal ostrożnie. Nie miał potrzeby udowadniania, kto tu był samcem alfa. Jakob Schmidt nie mrugnął okiem, twarz miał niewzruszoną i poważną. Ciemny garnitur, czarny golf. Był wysoki, niemal o głowę wyższy od Michaela, barczysty i dobrze zbudowany. Włosy ciemny blond, pozbawiona wyrazu ogorzała twarz, długi haczykowaty nos, ciemne oczy bez cienia uśmiechu.

Michael powiódł wzrokiem po twarzach wokół siebie. Odniósł wrażenie, że na twarzy Victora irytacja walczyła z wyrazem szczerego oddania.

– Byłeś nad wodą? – spytał ojciec.

– Stałą trasą.

– Dzieciak ma na imię Charles – powiedział Victor. – Lepiej się oswój z tym imieniem, o ile zdołasz.

– Charles?

– Tak, na miłość boską. Charles Simpson Caspersen.

– Przestań, Victor. – Głos Moniki był ostry i zahartowany.

Elizabeth była niemal tego samego wzrostu co Jakob. Przytulili się serdecznie.

Michael poderwał się, kiedy kolejny nowy kobiecy głos za jego plecami oznajmił, że w kuchni nakryto do stołu. Po chwili zobaczył wyciągniętą ku sobie rękę. Kobieta przedstawiła się jako pani Nielsen i wyjaśniła, że dba o tę rodzinę. A w każdym razie pilnuje, żeby spożywali regularne posiłki. Miała twarz białą jak ściana, ciemną prostą sukienkę i była dziwnie pozbawiona jakiegokolwiek aury.

– Doskonale, pani Nielsen – ucieszyła się Monika. – Henrik, Jakob, idziecie? Victor?

Michael, wymijając Jakoba, zbliżył się do niego na kilka centymetrów. Młody Schmidt pachniał trawą i zimnym powietrzem..

– Będiesz pracował dla Elizabeth? – zagadnął, kiedy szli w stronę drzwi.

– Tak – potwierdził Michael.

– Jako...?

– Doradca.

– To nie jest chroniony tytuł zawodowy, prawda?

– W żadnym razie.

– Myślisz, że dasz radę?

– Z czym?

Jakob się uśmiechnął, a w głębi jego spojrzenia na moment pojawił się szybki śmiercionośny błysk.

– Odkryć prawdę.

– Mówimy o Flemmingu Caspersenie i jego synu Charlesie?

– Oczywiście. O tym właśnie rozmawiamy.

– Tak, mam taką nadzieję – powiedział Michael jasnym głosem.

Wysoki młodzieniec przytrzymał Michaelowi drzwi i puścił go przodem, a Michael znowu minął go na centymetry. Jakob Schmidt miał oszczędne ruchy atlety i Michael zastanowił się, czy dałby mu radę w walce. Chyba nie.

Przy długim stole w zamkowej kuchni zajął miejsce na wprost Moniki. Na stole nie było obrusu, za to kamionkowa zastawa, sztucce i szkło wyglądały na drogie, a podniesienie srebrnych sztucców wymagało pewnej siły. Wśród nich rozstawiono rustykalne włoskie koszyki na pieczywo, brązowe hiszpańskie dzbanki na wino i pomalowane na niebiesko portugalskie talerze.

Michael rozłożył wykrochmaloną lnianą serwetę na kolanach i poczuł, że zgłodniał. Uśmiechnął się do pani domu.

Za jego plecami, z garnków stojących na dużej angielskiej kuchni dobiegało apetyczne bulgotanie.

– Pachnie wyśmienicie – skomentował.

Za chwilę postawiono przed nim miskę bouillabaisse, w której pływały duże kawałki homara i ryb. Michael niecierpliwie wciągnął obiecujący aromat. Monika naląła mu białego wina, a Victor podniósł swój kieliszek i rozejrzał się. Położył dłoń na ramieniu młodszego syna.

– Zdrowie spadkobierców. I tych znanych, i nowych.

– Jak rozumiem, Pederslund to zamek myśliwski – zaczął Michael tonem luźnej konwersacji. – Jest tu jeszcze jakaś zwierzyna czy...?

– O tak. Mnóstwo – podchwycił Victor. – Bażanty, bekasy, trochę dzików... wredne bestie... nad wodą kaczki i gęsi. Do tego oczywiście sarny i trochę jeleni. Ty polujesz?

– Nie. – Już miał dodać, że nie ma problemów z potencją, ale w porę się powstrzymał.

– To dobry biznes – mruknął pan domu. – Działa tu kilka konsorcjów, mamy też łowczego, który zajmuje się dokarmianiem, odnową populacji, psami i tak dalej. To jeden z dawnych kolegów Jakoba. W ogóle mamy tu wielu byłych żołnierzy.

Michael ułamał kawałek chleba.

– I ten łowczy tu mieszka?

– Oczywiście. Chyba że jest na wyjeździe. A podróżuje sporo, prawda, Jakob?

Michael nie potrafił rozszyfrować twarzy Victora Schmidta.

– O tak – potwierdził syn. – Thomas jest współwłaścicielem firmy organizującej safari. Jeździ z ludźmi do Afryki, Kanady i w Himalaje. Pod jego nieobecność psami i zwierzyną zajmuje się któryś z jego przyjaciół. W tej chwili jest u nas Peter.

– Wszystko działa bardzo sprawnie – zapewnił Michaela Victor i dał mu do zrozumienia, że temat uważa za wyczerpany.

Michael uśmiechnął się zatem i zwrócił do Jakoba:

– Elizabeth mówiła, że byłeś oficerem?

Mężczyzna tylko przytaknął skinieniem, za to jego ojciec oznajmił z dumą:

– Kapitanem pierwszej kompanii piechoty zmechanizowanej. Służył w Bośni i Hercegowinie, Iraku i Afganistanie, a obecnie zajmuje się głównie przebywaniem gdziekolwiek, tylko nie w domu, prawda?

Syn wpatrywał się w swoją zupę.

– Jakob to zjawa – podsumowała Monika Schmidt.

Henrik spojrzał najpierw na brata, potem na ojca, a wreszcie uśmiechnął się do Michaela i zaczął:

– Jak byliśmy mali, bawiliśmy się, chyba jak wszyscy, w *Szkarłatny kwiat*. Jakob był oczywiście Szkarłatnym Pimpernelem. W końcu był starszy i mógł mnie tłuc ile wlezie. A ja zwykle udawałem jakiegoś nieszczę-

snego arystokratę skazanego na gilotynę albo rewolucjonistę, który próbował go złapać. Pamiętasz, mamó?

Michael zorientował się, że Henrik w tej rodzinie pełnił rolę dyplomaty. Wciskał się niczym poduszka powietrzna między uparte, być może wybuchowe ego ojca i brata.

Monika wydeła wargi.

– Czy pamiętam? Skarbie...

They seek him here, they seek him there,

Those frenchies seek him everywhere

– Is he in heaven? – Is he in hell?

That damned, elusive Pimpernel!

– wydekłamała, patrząc czule na starszego syna.

– I to się nie zmieniło. – Victor pokiwał głową. – Próżniak i zjawa.

– Victorze, Jakob nigdy się nie interesował biznesem – przypomniała mu żona pojednawczym tonem. – Masz Henrika, docień to. Jakob udusiłby się w sali konferencyjnej. On nie znosi zamkniętych pomieszczeń. Wiesz przecież.

– Wiem i oczywiście ogromnie doceniam wkład Henrika – zapewnił ją szybko Victor. – Myślę, że wszyscy się ze mną zgadzają.

– A teraz masz kolejnego dziedzica – podpowiedziała ochoczo Elizabeth.

– W dodatku bardzo blisko Wall Street – dodał Jakob z niewinnym uśmiechem.

– Henrik, a może ją spotkałeś? – ożywił się nagle ojciec. – Ona pisze, że odwiedzała Flemminga w mieszkaniu przy Trzeciej Alei. Ty praktycznie tam mieszkasz. Nigdy się na nią nie natknąłeś?

– To duże mieszkanie – odparł wymijająco Henrik.

– Ale przecież nie tak duże, by się nie zorientować, że w którymś z pokoi jakaś para dziko kopuluje, do cholery? Nie wspominając o paletach z viagrą? – Zreflektował się i szybko spojrzął na Elizabeth. – Wybacz, ale...

– W porządku, Victorze – westchnęła i również skierowała uwagę na Henrika. – Spotkałeś ją?

– Oczywiście, że nie. Flemminga prawie nigdy nie było w mieszkaniu, zwykle zresztą był wtedy ze mną. Niemal bez przerwy przebywaliśmy na spotkaniach. Tak się składa, że my tam pracujemy. Szczerze mówiąc,

trudno mi sobie wyobrazić, że mógł mieć romans, a ja niczego nie zauważyłem. Więc nie, nie widziałem jej ani w mieszkaniu, ani nigdzie indziej.

Michael prawie współczuł chłopakowi, który musiał się tłumaczyć z ich kłamstwa.

– Ona pisze, że poznali się na wystawie w Muzeum Guggenheima – ciągnął Victor. – Guggenheim? Od kiedy Flemming interesował się sztuką współczesną? O ile na obrazie nie było martwych zwierząt, to nigdy specjalnie...

– Poprzedniego lata zorganizowano tam duże wydarzenie dla kongresmenów z komisji obrony – przerwał mu Henrik. – Wzięliśmy w nim udział jako lobbyści. Flemming też.

Michael popatrzył na Elizabeth. Szczegóły, które wplotła w ten list, były wprost genialne. Niesłychanie wiarygodne. Był pod głębokim wrażeniem.

– Czego ona właściwie chce? – Victor rzucił to pytanie w powietrze, a w międzyczasie zabrano miski i na stół wjechał półmisek z pieczonymi młodymi gołębiami.

– Chce zapewnić przyszłość sobie i swojemu synowi – odpowiedziała mu Elizabeth. – I jeśli ojciec naprawdę zrobił jej dziecko... to znaczy Charlesa, jeśli naprawdę jest jego ojcem, to doskonale ją rozumiem. Ona zresztą pisze, że nie będzie stawiać nierealnych żądań.

– A to dobre. Ciekawe, co dla niej, Amerykanki, i to z Nowego Jorku, jest nierealne? Kilka miliardów dolarów?

– Co najmniej. Jej ojciec jest sędzią – przypomniał mu Henrik. – Będzie zabawnie!

Victor wściekł się jeszcze bardziej.

– Nie rozumiem, jak możecie podchodzić do tego tak lekko. Trzydzieści lat zapierdalaliśmy, żeby zbudować Sonartek, a teraz, kiedy Flemminga nie ma, przychodzi taka... taka...

– Uspokój się, tato – powiedział Jakob poważnym tonem. – Może nie będzie tak źle.

Ojciec z najwyższym trudem zdołał się opanować i przekierował złość na syna:

– A ty na jak długo zaszczyciłeś nas swoją obecnością tym razem?

Jakob Schmidt odsunął krawędź rękawa, szarpiąc ją i jednocześnie obracając nadgarstkiem, jakby rękaw był za ciasny. Spod rękawa wysunął się porysowany rolex na stalowej bransolecie. Michael dostrzegł pod zegarkiem blady ślad.

– Wyjeżdżam o wpół do dziewiątej.

– O wpół do dziewiątej. – Ojciec zmroził go wzrokiem. – Posłuchaj, chłopcze. Flemming, mój partner w interesach, którego możesz słabo pamiętać, puścił się z inną i zrobił jej dziecko. Nie w życiu pozagrobowym, tylko, kurwa, w Nowym Jorku. Teraz. Charlesa. Bez żadnej przesady można to nazwać katastrofą. Matka tego bękarta może nas pozwać o grube miliony. To Amerykanka, Jakob! Jej ojciec jest sędzią. Wiesz, co to dla nas oznacza?

Jakob Schmidt spokojnie odwzajemnił spojrzenie ojca i wzruszył ramionami.

Michael, który z uwagą przysłuchiwał się tej wymianie, stwierdził, że nie dało się w niej wyczuć jakiejś wielkiej synowskiej miłości. Tak naprawdę w oczach Jakoba, kiedy patrzył na ojca, uderzała przede wszystkim obcość. Może nie podobało mu się, że ojciec bił matkę. A może chodziło o coś innego. Michael zetknął się z podobną sytuacją, kiedy jedno z dzieci grało według zasad, a drugie, zwykle to bardziej kochane, nie mogło albo nie chciało tego robić i nie zważając na uczucia rodziców, odcinało się od nich, żeby nie pójść na dno. Elizabeth Caspersen postąpiła podobnie. I rzeczywiście wydawało się, że między nią i Jakobem istniała nić porozumienia.

– Zdefiniuj *nas* – powiedział teraz obojętnym głosem.

Victor Schmidt dopił wino i ponownie napełnił swój kieliszek. Część wina wylała mu się na stół. Pani Nielsen natychmiast wkroczyła do akcji ze szmatką, kompletnie niezauważona przez pana domu.

– Chodzi o nas, do diabła! Twoją rodzinę. Twoją matkę, brata i mnie. I o Elizabeth. Co takiego masz w planach na wieczór, co jest ważniejsze niż to, hę?

– Mam się z kimś spotkać.

– Mogę się z tobą zabrać do Kopenhagi? – spytał brat.

– Jasne.

Victor patrzył pustym wzrokiem to na jednego syna, to na drugiego. Zniesmaczony i urażony do żywego.

– A jeśli chodzi o amerykańskiego potomka Flemminga, to chyba dość oczywiste, że jego matka powinna otrzymać jakiegoś rodzaju wsparcie, prawda? – dodał Jakob i patrząc na Michaela, spytał: – Porozmawiasz z nią?

– Taki jest plan.

– Ale Jakob, wrócisz chyba, co? – spytała Monika.

– Jasne. Nim się zorientujesz, będę z powrotem.

– Obiecujesz?

Wyciągnął potężną dłoń i ścisnął drobną dłoń matki.

Lecz ojciec jeszcze z nim nie skończył.

– Oczywiście? Twoim zdaniem to oczywiście? To może powiesz nam, jakie wsparcie jest twoim zdaniem oczywiście? Miejsce w zarządzie? No, śmiało.

Syn tylko się uśmiechnął.

– Wydaje mi się, że jest jakiś dolny limit wieku dla członków zarządu spółek giełdowych. Elizabeth, prawo gospodarcze to twoja specjalność.

– Dolną granicą jest chyba pięćdziesiąt lat – odparła. – Poza tym trzeba należeć do duńskiego oddziału Klubu 300 i być dyrektorem w jakiejś innej firmie, w której zarządzie zasiada z kolei część pozostałych chłopców. Innymi słowy, trzeba się dzielić zabawkami. Tak to w każdym razie działa w praktyce. Chów wsobny. Victor na przykład poza Sonartekiem należy też do zarządu TDC, Carlsberga i Brødrene Hartmann. Wszyscy świetnie się bawią, zapewniając się nawzajem, jacy to są wyjątkowi, mądrzy i już dawno mogliby zostać CEO w Pfizerze albo Morganie Stanleyu, gdyby nie byli tak zajebistymi patriotami. – Jej policzki płonęły.

Monika Schmidt położyła dłoń na przedramieniu męża, próbując go uspokoić, ale on gwałtownie ją strzepnął. Wyglądał, jakby zbierał się do jeszcze bardziej dosadnego wyrażenia dezaprobaty wobec Jakoba i Elizabeth, na wypadek gdyby ktokolwiek miał jeszcze wątpliwości, lecz nagle jego wzrok spoczął na Michaelu, osobie postronnej. Zacisnął więc wargi, jakby mucha wleciała mu do ust, a on postanowił ją zjeść.

– Tato, do cholery – zaczął Jakob pojednawczo. – Sprawdźmy najpierw, o co tam chodzi. Wyślij tam Michaela. Niech się dowie, czego właściwie chce ta kobieta. Mogę zobaczyć ten list?

Elizabeth podała mu go przez stół.

Jakob najpierw obejrzał zdjęcie. Uśmiechnął się i odłożył je na bok. Ciemne oczy przesuwają się po wersach. Na koniec starannie złożył kartkę, wsunął ją do koperty i podał Elizabeth.

– Mogę zapalić? – spytał.

Pani Nielsen bez słowa postawiła mu obok łokcia popielniczkę. Jakob Schmidt zapalił długie brązowe cygaro, a po chwili wzrokiem odprowadził szarą nitkę dymu sunącą do otwartych drzwi.

– Henrik powiedział, że miss Simpson jest redaktorką w jakimś wydawnictwie – powiedział.

– Tak, Michael już to potwierdził – pokiwała głową Elizabeth. – Dlaczego?

Starszy syn gospodarzy posłał Michaelowi nieprzeniknione spojrzenie.

– Nic takiego. Kobieta pewnie jest w porządku. Mówisz, że to nowojorkanka od siedmiu pokoleń? Nie zapomnij przekazać jej pozdrowienia od rodziny.

– Będę pamiętał – obiecał Michael.

– Ode mnie nie przekazuj – zastrzegł szorstko Victor.

– Mam możliwość potwierdzenia ojcostwa w laboratorium kryminalistycznym w Bernie – dodał Michael. – Elizabeth powiedziała, że miss Simpson jest gotowa dostarczyć próbkę. Może więc lepiej poczekać na wynik testu. Kto wie, może to bluff.

Monika Schmidt uśmiechnęła się do niego ciepło.

– Victorze, posłuchaj tego, co mówi Michael, zanim wytoczysz ciężkie działa – zwróciła się do męża. I dodała: – Elizabeth, a ty? Nie sądzisz, że to rozsądne? Może niepotrzebnie panikujemy?

– Tak, uważam, że powinniśmy zachować spokój – przytaknęła. – Proponuję, żebyśmy wysłali Michaela do Nowego Jorku na wstępną rozmowę z miss Simpson. Niech oceni ją, zobaczy dziecko i sprawdzi, na czym stoimy. Oraz przywiezie próbkę tkanki.

Victor Schmidt wwiercał się w Michaela zdrowym okiem, a drugie, nieruchome, było akurat skierowane na półmisek z ptactwem. W końcu potarł obiema rękami policzki.

– W porządku, tak zrobimy. Chociaż Flemming został skremowany i nie wiem, skąd u licha weźmiecie jego DNA.

– Coś wymyślimy – zapewnił go Michael i zwracając się do gospodyni, dodał: – Te gołąbki są fenomenalne.

– Pani Nielsen zawsze gotuje jak dla pułku wojska – skomentował Henrik. – Najchętniej tak by nas utuczyła, żebyśmy się toczyli, zamiast chodzić.

Michael uśmiechnął się sztywno, odsunął krzesło i wstał:

– Mogę skorzystać z toalety?

Henrik również wstał.

– Na górze, trzecie drzwi po lewej. Zaprowadzić cię?

– Nie, myślę, że sobie poradzę.

Szybko wszedł na piętro i otworzył drzwi korytarza po lewej stronie. Poczł się jak w hotelu. Wysokie białe panele, zielona jedwabna tapeta i jednakowe drzwi po obu stronach. Michael otworzył pierwsze z nich. Gdy zaj-

rzał do środka, ujrzał chłodny pokój gościnny z nietkniętym starannie zasłanym łóżkiem. Za następnymi drzwiami znajdowała się ogromna łazienka z wanną wpuszczoną w podłogę ze schodkami, połączoną armaturą i freskami. Rzymskie sceny, w których kobiety zażywały kąpeli w cienkich mokrych szatach, a nadzy młodzi mężczyźni obficie polewali je wodą z trzymany w wyciągniętych rękach amfor. Na borderach z mozaiki zalecały się do siebie kolorowe ptaki. Michael otworzył każdą szafkę, ale były w nich tylko najwyższej jakości pachnące ręczniki, szlafroki, najróżniejsze olejki, balsamy i mydła.

Zamknął drzwi łazienki i zajrzał do pozostałych pomieszczeń, lecz na piętrze był jeszcze tylko schowek na bieliznę i szwalnia, a poza tym więcej identycznych pokoi gościnnych.

Ostatnie drzwi po lewej stronie jako jedyne były zamknięte na klucz. Na futrynie ktoś namalował farbą olejną herb Gwardii Królewskiej oraz motto *Dominus providebit*.

Kiedy wrócił, podano już kawę. Michael uśmiechnął się kolejno do wszystkich siedzących przy stole kobiet i sam usiadł.

– Kawy? – spytała pani Nielsen.

– Tak, poproszę.

– Kawa dla detektywa – powiedział Victor uroczyście, chociaż chyba nie miał przy tym na myśli nic szczególnego. Żartobliwie puścił oko do Michaela.

Być może pod jego nieobecność ktoś się za nim wstawił. Nawet Jakob Schmidt bowiem uraczył go lekkim, choć nadal sceptycznym uśmiechem. Nagle zrobiło się prawie jak na zwykłej kolacji w zwykłym domu całkiem zwykłej rodziny.

24

Kiedy ktoś zapukał cicho do drzwi jego pokoju, Michael spojrzął na zegarek i zmarszczył czoło. Był kwadrans po drugiej, w zamku panowała cisza jak w mauzoleum. Jakob Schmidt opuścił towarzystwo o wpół do dziewiątej razem ze swoim bratem.

Pozostali do późna roztrząsali prawne konsekwencje owocnego, choć całkiem zmyślnego skoku w bok Flemminga Caspersena, aż Victor zaczął się plątać i bełkotać, więc żona zaprowadziła go do łóżka. Michael rozstał się z Elizabeth pod drzwiami jej pokoju po drugiej stronie korytarza. Ona też była lekko wstawiona, czemu ani trochę się nie dziwił.

Sam nie wypił prawie nic. Był z siebie bardzo dumny.

Przez otwarte okno wyrzucił pierwszy tego wieczora papieros. Żar świetlistym łukiem przeciął bezkresną ciemność nad Jungshoved. Następnie poszedł otworzyć drzwi Monice Schmidt, ale nie wpuścił jej do środka, rękę oparł na futrynie, grodząc przejście. Miała na sobie coś w rodzaju środkowoschodniego peniuaru: kilka warstw przezroczystej tkaniny sięgającej do kostek i przypominającej skrzydła motyla. Pod światło lamp w korytarzu widać było zarys szczupłej drobnej sylwetki.

Zmieniła zapach na lżejszy, bardziej kwiatowy i odurzający. Popatrzyła na niego z powagą, ale nie cofnęła ręki. Wokół jej ust zamajaczył niepewny, zalękniony uśmiech, ale reszta twarzy pozostała spokojna i wyczekująca.

– Mam tu tak stać? – spytała.

Michael podrapał się po karku. Zdjął sztywną nową koszulę, marynarkę, buty i skarpetki. Miał na sobie tylko spodnie, a przez otwarte okno do pokoju wpadało chłodne wieczorne powietrze.

Spróbował się uśmiechnąć.

– Moniko, posłuchaj... naprawdę uważam, że jesteś bardzo piękna... pociągająca... ale...

Dygnęła z ironią i zatrzepotała długimi rękami, parodiując zalotną trzpiotkę, po czym wyciągnęła rękę. W jednej trzymała butelkę taliskera, a w drugiej dwie kryształowe szklanki. Zabrzęczały cienkie bransoletki.

– Whisky? *Snälla, snälla*[3] Michael. Wiesz, że nie możesz mnie odprawić. Tak się po prostu nie robi.

Schyliła się i przeszła pod jego ramieniem. Jej postać na chwilę zniknęła w panującym w pokoju mroku. Michael wysunął głowę i rozejrzał się po pustym korytarzu. Szpara pod drzwiami Elizabeth była ciemna. W jego drzwiach nie było klucza.

– Jezu, nikt tutaj nie zamyka drzwi na klucz? – zdziwił się.

– Jakob z reguły zamyka – odezwała się za jego plecami.

Zapaliła nocną lampkę, usiadła na jego łóżku i wyprostowała nogi. Uśmiechnęła się i silną jak skała ręką naląła whisky do obu szklanek.

Michael zamknął okno i zajął miejsce w fotelu, zachowując bezpieczny dystans. Potem skrzyżował nogi, jakby chciał jej zasygnalizować, że może powinna zrobić to samo. Nie zrobiła. Po prostu przyglądała mu się z lekkim uśmiechem. Wyciągnęła ku niemu szklankę. Wstał po nią i zaraz wrócił na fotel.

Ona z powrotem oparła się o wezglowie, westchnęła i podwinęła pod siebie jedną nogę. Michael skupił się na swojej whisky. Kątem oka dostrzegł, że jej wystudiowany ruch sprawił, że peniuar czy kaftan, czy co to u licha było, podsunął się do góry i odsłonił udo.

– Michael, nie zrozum mnie źle – zaczęła.

– A co miałbym źle zrozumieć, Moniko?

Sączył alkohol, nie podnosząc wzroku. Odnotował jednak, że z powrotem naciągnęła peniuar na miejsce.

– Jesteś żonaty? – spytała.

Michael mruknął twierdząco.

– Szczęśliwie?

– Tak uważam.

– To szczęśliwe małżeństwa jeszcze istnieją?

– Mam taką nadzieję.

– Proszę, jak w bajce. A dzieci?

Pokazał dwa palce.

– Dwójka.

Monika Schmidt pokiwała głową i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Szczęściara z tej twojej żony – przyznała.

– Nie sędzę. Mnie się poszczęściło, ale jej chyba nie.

Nie skomentowała tego, a jedynie się uśmiechnęła.

– Zdrowie – powiedział.

Podniosła szklanke i wypila mały łyk. Michael pomyślał, że ma przed sobą inną wersję Moniki Schmidt. Poważną, spokojną. Nie było w niej śladu nerwowego chaosu sprzed paru godzin.

– Szalona historia, prawda? – zagaiła i przesunęła lekko spłoszonym wzrokiem po jego nagim torsie.

– Mówisz o dziecku w Nowym Jorku?

– Tak. Wierzysz w to? – spytała.

– Czemu nie? Ludzie miewają czasem nieślubne dzieci. Tak słyszałem.

– Ale nie Flemming.

– Miał jaja i popęd seksualny jak wszyscy – powiedział Michael cicho. – Czy potrzeba czegoś więcej?

Spojrzała na niego z poważną miną.

– On taki nie był. Naprawdę.

– Skoro tak mówisz.

Pokiwała głową, wypila duszkiem i od razu nalala sobie drugą kolejke.

– Michael, nie chciałabym, żebyś źle o nas myślał.

– Ależ, Moniko, oczywiście, że nie myślę o was źle. Dlaczego tak mówisz?

– Ach, bo wiesz... co chwila jakaś kłótnia, sprzeczka, ciągle konflikty. Victor... ja... Victor i ja, Victor i Elizabeth, Victor i Jakob. A w rzeczywistości nie jest tak źle. Victor jest dobrym człowiekiem, tak naprawdę. Ukształtowały go czynniki środowiskowe, jak nas wszystkich. W dzieciństwie ojciec go bił, a matka obojętnie się temu przyglądała. Wiesz, jak stracił oko?

– Nie.

– Ojciec postawił go raz na kuchennym blacie i kazał skoczyć, mówiąc, żeby się nie bał, bo on go złapie. Victor miał wtedy pięć lat. Skoczył, ale ojciec nie dotrzymał obietnicy i on stracił oko. Po wszystkim tatuś mu oznajmił, że to była lekcja o tym, że nigdy, ale to nigdy nie wolno nikomu ufać. I Victor rzeczywiście się tego nauczył. Byli bardzo biedni. I teraz Victor, jaki by nie był bogaty, potężny i jak mocna by nie była jego pozycja, we własnym mniemaniu cały czas stoi nad przepaścią. On naprawdę tak się czuje. I brzydzi się bezsilnością, uzależnieniem i słabością, bo sam zawsze musiał być silny. To chyba typowe dla tych, którzy... jak to się mówi, przerwali

schemat. Flemming był dla niego zarówno ojcem, jak i bratem. Bez niego Victor jest bezbronny i słaby. Zrobi wszystko, żeby zabezpieczyć siebie i firmę.

– Absolutnie wszystko?

Popatrzyła na niego. Tym razem chyba bezwiednie ponownie podwinęła pod siebie nogę i Michael spojrzął prosto w jej śliczną wydepilowaną cipkę. Szybko odwrócił wzrok. Monika Schmidt przyglądała mu się badawczo, nagle się zorientowała i szybko zakryła nogi narzutą.

– Gotowe! Teraz nic nie będzie cię dekoncentrować. Ani mnie. Wybacz, Michaelu.

– Powiedziałaś, że Victor robi wszystko – przypomniał jej.

– To prawda.

– Jeśli przerwał schemat, to powinien chyba lepiej rozumieć Jakoba.

Skrzywiła się.

– Victor nie pojmuje, dlaczego Jakob nie chce wejść do firmy. Odbiera to tak, jakby Jakob odrzucał jego jako ojca i wzór do naśladowania. Nie może pojąć, że własny syn nie chce wypełnić swojego obowiązku, chociaż on dał mu wszystko. Wszystko to, czego sam nie dostał. To są tak naprawdę same materialne rzeczy, w istocie zupełnie nieistotne, ale Victor, jak mówię, tego nie rozumie.

– I zazdrości Jakobowi?

– Tak sądzę. Myślę, że chciałby być człowiekiem tak wolnym jak Jakob, ale nie rozumie, że to nie dla niego. Że on, mając tyle wolności co Jakob, nie czułby się bezpiecznie. Victor w końcu będzie musiał nauczyć się dostrzegać samego siebie w nich obu, zamiast cały czas patrzeć na siebie i syna jak na dwóch obcych ludzi. A tobie jak się podobają moi chłopcy?

– Bardzo. Myślę, że są całkowicie różni, a jednocześnie – niesamowicie podobni. Ale to wszystko?

– Nie rozumiem?

– No, ten konflikt między Victorem i Jakobem. Fizycznie zupełnie nie są do siebie podobni. Sądziłbym, że to sięga głębiej. Że chodzi o coś więcej niż o wybór między wygodnym życiem a obowiązkiem.

Lampka nocna odbijała się złotymi kwadratami w brązowych tęczęwkach jej oczu.

– Och, Michael...

– Słucham?

Dolała sobie whisky i zmęczonym gestem potarła twarz.

– Michaelu, myślę, że jesteś bardzo niebezpiecznym mężczyzną.

Wymawiała jego imię po szwedzku, zmieniając „ch” na „k”. W sumie uważał, że to czarujące.

Ziewnęła i przeciągnęła się. Peniuar odsunął się teraz na bok i odsłonił twardy ciemnobrązowy sutek. Teraz bez względu na to, gdzie spojrzał, widział albo sutki, albo delikatne wargi sromowe. Było to bardzo niepokojące.

– Ja tak nie uważam – wymamrotał.

– Ale to prawda. Potrafisz dostrzec różne rzeczy. Nie dziwię się, że Elizabeth cię wybrała. – Popatrzyła przed siebie. – Dzieje się coś złego, Michaelu. Wiem, że wkrótce wydarzy się coś przerażającego. – Grzbietem dłoni wytarła łzy, które nagle popłynęły jej po policzkach i ze zdumieniem spojrzała na swoją moką rękę.

– Powiedz, co twoim zdaniem jest nie tak – poprosił cicho.

– Nie wiem. Wszystko. Ci myśliwi, stąd, z Pederslundu.

– Co z nimi?

– Kiedyś kręcili się tu bez przerwy. A teraz prawie się nie pojawiają. Wszyscy byli żołnierzami, przyjaciółmi Jakoba i Henrika. Z czasem głównie tego drugiego, chociaż on nigdy nie był w wojsku. Chłopcy uwielbiają polować. Mają taki swój chłopięcy klub, wiesz, o co chodzi? Urządzają sobie imprezy i biesiady, na które poza luksusowymi dziewczkami i striptizerkami kobiety nie mają wstępu. Mężczyźni potrzebują przestrzeni, żeby się wyżyć. Należy to uszanować. W przeciwnym razie czują się osaczeni i zniewoleni. Dzisiejsze młode kobiety często tego nie rozumieją. Kastrują swoich mężów poczuciem winy. Nie sądzisz, Michaelu?

– Zdecydowanie – przytaknęła. – Ale wracając do Jakoba, gdzie on się podziewa, gdy nie pracuje akurat w jakimś dotkniętym kataklizmem zakątku globu?

Westchnęła.

– Jakob to Jakob. Czy jemu kiedykolwiek ktokolwiek był potrzebny? Jako dziecko nigdy nie płakał. Najbardziej lubił się bawić sam ze sobą, a i tak był najbardziej lubianym chłopcem w szkole, bo nigdy się nie starał. Chyba wszystkich nas, pozostałych, pociągają tacy ludzie, którzy są całkowicie samowystarczalni i mają charakter. Wydaje nam się, że skrywają jakąś tajemnicę, którą mogą i zechcą się z nami podzielić. Tak naprawdę wykorzystujemy ich i myślimy, że też się tacy staniemy. Flemming też taki był. I ty taki jesteś.

– To znaczy?

Nie odpowiedziała.

Zapytał raz jeszcze i w odpowiedzi usłyszał ciche pochrapywanie. Monika Schmidt spała.

Fuck...

Fuck, fuck, fuck!

Wstał i pochylił się nad nią. Przyjrzał się śpiącej, spokojnej twarzy. Sen wymazał wszystkie lata i Monika wyglądała jak śpiące dziecko. Pod cienkimi powiekami gwałtownie poruszały się gałki oczne. Usta miała rozluźnione, wargi czerwone jak krew. Pachniała kobietą i drogimi perfumami.

By to szlag.

Co ma z nią teraz zrobić? Zanieść do sypialni małżonków i położyć ją obok zalanego w trupa męża? Albo oprzeć o ścianę, zapukać i uciec? W sumie nie wiedział nawet, gdzie znajdował się ich pokój. Czy po prostu położyć ją na kanapie w salonie na dole?

Zostawił ją w spokoju.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął mały cyfrowy aparat, skórzane etui i cienką latarkę Maglite, otworzył drzwi i raz jeszcze spojrzął na Monikę Schmidt. Spała jak kamień. Wymknął się na korytarz, otworzył drzwi na główne schody i przeszedł do korytarza po drugiej stronie. W domu panowała absolutna cisza.

Stanął przed zamkniętymi drzwiami pokoju Jakoba Schmidta i sprawdził, czy do futryny nie przyklejono włosa albo papierka, który spadnie po otwarciu drzwi. Ale nie, żadnej pułapki nie znalazł, więc nacisnął klamkę. Drzwi nadal były zamknięte. Kucnął i na dywanie rozłożył etui zawierające kolekcję cienkich metalowych narzędzi. Otwarcie staroświeckiego zamka zajęło mu niecałą minutę.

Był pewien, że Jakoba w Pederslundzie nie było, ale i tak wstrzymał oddech, gdy otworzył drzwi i wsunął się do jego pokoju. Zaraz je za sobą zamknął i oparł się o nie plecami. Jednocześnie próbował się rozeznać w niemal kompletnej ciemności. Potem włączył latarkę. Znajdował się w typowym pokoju młodego mężczyzny, w którym czas zatrzymał się wiele lat temu. Na wąskim, staroświeckim metalowym łóżku leżała patchworkowa narzuta, na półce z książkami klasyka: *Moby Dick*, *Wyspa skarbów*, *Lord Jim* i szereg wojskowych podręczników, które stały na półkach również w jego własnym domu. Nad łóżkiem wisiała bambusowa wędka, a pod nią to

samo zdjęcie z wakacji w Szwecji, które miał w swojej bibliotece Fleming Caspersen. Nawet ramka była taka sama.

Pod oknem o szerokim parapacie stało odrapane biurko noszące odwieczne ślady chłopięcych frustracji i fascynacji: napisy wyryte czubkiem noża, wypalone ślady zakazanych papierosów i kręgi po piwach. Na blacie leżał laptop. Michael otworzył go i został poproszony o hasło. Z powrotem zamknął klapę i podszedł do garderoby. Jej zawartość potwierdzała zamiłowanie Jakoba do aktywności na świeżym powietrzu: były w niej liny wspinaczkowe, uprząże, karabinki, buty trekkingowe, wodery, kurtki żeglarskie, sztormiaki i stare fragmenty wojskowego umundurowania oraz odzież męska, ale nie w wersji wojskowej. Nie rozpoznał tu na przykład niczego, co widział na DVD Elizabeth Caspersen. Od wewnątrz na drzwiach szafy wisiała szabla i nowoczesny bagnet w pochwie. W plastikowym worku leżał galowy mundur Gwardii, a na szafie stało wysokie, obite tkaniną pudło, w którym pewnie znajdowała się czapka z niedźwiedziej skóry.

Michael mimowolnie pomyślał, że gdyby mężczyzna o zwierzęcych ciemnych oczach teraz go tu zastał, to miałby szczęście, gdyby się skończyło na wizycie na pogotowiu. Bardziej prawdopodobne było jednak, że trafiłby na OIOM z instrukcją karmienia przyklejoną do czoła.

Trzymając latarkę w zębach, ustawił aparat, żeby sfotografować kolejno zdjęcia na ścianach. Zasłony były zaciągnięte, ale błysk lampy i tak byłoby widać z zewnątrz. Z tym niestety nie dało się nic zrobić. Każde zdjęcie sfotografował kilkakrotnie, sprawdzając ostrość na podglądzie, i przechodził do kolejnego.

Zdjęcie grupowe z ostatniego roku w szkole oficerskiej. Dwa tysiące pierwszy rok. Jakob Schmidt stał w mundurze porucznika w ostatnim rzędzie w środku. Wszyscy uśmiechnięci, on jeden z twarzą zupełnie neutralną. Michael przesunął się o pół kroku w bok i zawiesił wzrok na ostrym jak brzytwa zdjęciu z pustyni, przedstawiającym pięciu półnagich wojowników z długimi włosami i brodami. Ich twarze częściowo przesłaniał cień pustynnych kapeluszy, a oczy skrywały ciemne okulary. Szczególnie bacznie przyjrzał się pierwszemu z lewej. Mężczyzna stał nieco z dala od pozostałych. Był wytatuowany, umięśniony i wysoki. Na twarzy miał ironiczny półuśmiech. Michael był niemal pewien, że to Jakob Schmidt. Znał ten typ: samotny wilk, ale z tych niezastąpionych. Na szyi skorpion unosił kolec jadowy w kierunku ucha.

Potem była seria zdjęć z polowań wokół zamku. Na wielu z nich rozpoznał Henrika, co było pewnym zaskoczeniem. Chociaż dyrektor sprzedaży Sonarteku nie wyglądał na typowego miłośnika ganiań w moro po lesie, to na zdjęciach z pokotów zdawał się doskonale pasować do reszty. Był jednym z nich. Na zdjęciach brakowało Jakoba, więc Michael pomyślał, że pewnie stał za obiektywem.

Zmarszczył brwi i cofnął się do zdjęcia wykonanego na nieokreślonej pustyni. Porównał je z grupowym zdjęciem zrobionym przed schodami na zamek. Było w tej scenie coś rytualnego. Psy gończe siedziały w szeregu u stóp schodów. Z boku pani Nielsen ze srebrną tacą, na niej kieliszki z porannym sznapsem. Victor i Henrik Schmidowie stali na szczycie schodów, a poniżej w dwóch rzędach ośmiu młodych mężczyzn. Jeden rząd stał, drugi klęczał.

Kim Andersen. Zmarły gwardzista. Samobójca. Kim Andersen był na zdjęciu przed zamkiem i na zdjęciu z pustyni. Nie było najmniejszych wątpliwości. Miał na sobie zwykły strój do polowania: nieprzemakalną kurtkę, spodnie moro i kalosze. Przez ramię miał przewieszoną strzelbę i, podobnie jak pozostali, uśmiechał się beztrudnie do fotografa. Obok ten sam człowiek stał w gronie spieczonych na słońcu żołnierzy na jakiejś pustyni, pewnie irackiej albo afgańskiej. Michael rozpoznał tatuaże ze zdjęcia w gazecie. Zwłaszcza tej dzisiejszej, z wozem opancerzonym na przedmieściach Bagdadu z małą duńską flagą zawieszoną na antenie.

Wyprostował się. Próbował sobie przypomnieć, jakie wnioski padły w tym artykule. Samobójstwo czy zabójstwo? W śledztwie uczestniczył w działaniu zabójstw komendy głównej.

Michael chwilę nasłuchiwał śpiącego domu, zanim otworzył drzwi łazienki Jakoba, całkiem zwyczajnej w porównaniu z rzymską łaźnią kawalek dalej. W białej apteczce nad umywalką stał dezodorant, a obok leżał paracetamol i nieotwarta pasta do zębów. Michael przesunął palcem po szczoteczce. Sucha jak wiór. Na dnie wanny leżała cienka warstwa kurzu. Od miesięcy nikt z niej nie korzystał.

Ostatni raz rzucił okiem na zdjęcia w pokoju, przyświecając sobie lartarką. Monika nazwała ich chłopięcym klubem, ale nie to widział na tych zdjęciach. Dostrzegał na nich zagubione dusze stęsknione świata rządzącego się własnymi prawami, złotej ery, której nigdy nie było. Marzycieli, wojowników i morderców.

25

Gdy otworzył drzwi, przewróciła się na bok, ale dalej spała. Wszedł do środka, schował do kieszeni marynarki aparat, foliową torebkę, latarkę i wytrychy, i ostrożnie nakrył Monikę narzutą. Wypalił papierosa w oknie, wypił łyk taliskera i zastanawiał się, kto ją do niego przysłał.

Najwyraźniej ktoś z najbliższego otoczenia wiedział, że Michael nie przebywał tu, aby pomóc w ustaleniu ojcostwa. W każdym razie było to prawdopodobne.

Poczuł się obserwowany i gdy się odwrócił, Monika Schmidt leżała nieruchomo na łóżku z rękami splecionymi pod brodą i przyglądała mu się badawczo.

– Śpij – powiedział.

Przesunęła wzrokiem po jego nagim torsie.

– Michael, wyglądasz, jakbyś wpadł pod kombajn. Skąd masz te wszystkie blizny i Homera Simpsona?

– Jestem niezdarą. I pijakiem.

Uśmiechnęła się.

– Dlaczego wyjechałeś do Anglii?

– Przez dziewczynę.

– A dlaczego wróciłeś do Danii?

– Przez inną dziewczynę.

Zamknęła oczy, przewróciła się na plecy, ziewnęła i się przeciągnęła.

– Tak naprawdę nie powinno mnie tu być. Chociaż to jest cudowne, cudowne łóżko.

– Tak, pewnie nie powinno – przyznał jej rację.

Powoli rozsunęła ramiona na boki jakby robiła anioła w śniegu i popatrzyła w sufit.

– Moniko?

– Tak?

– Kto jest ojcem Jakoba?

Zgięła ręce w łokciach i zanurzyła dłonie w ciemnych gładkich włosach. Nadal wpatrywała się w sufit, ale źrenice poszerzyły jej się tak, że oczy miała niemal czarne. Potem wsparła się na rękach, przerzuciła stopy na podłogę i, nie patrząc na niego, płynnym ruchem zebrała rozchełstany peniuar.

– Mężczyzna, Michaelu. Prawdziwy mężczyzna. A nie taki fałszywy wścibski frajer jak ty. – Przeszła przez pokój krokiem pewnym jak lunatycka albo żołnierz na zmianie warty – i już jej nie było.

Michael patrzył na drzwi, które się za nią zamknęły. Westchnął, nogą przysunął sobie krzesło i zablokował klamkę oparciem. Gdyby ktoś jeszcze, ktokolwiek, spróbował wejść do tego pokoju tej nocy, Michael był zdecydowany skrócić temu komuś kark.

Położył się na łóżku, nie zdejmując narzuty i splótł ręce pod głową. Po chwili jedną wyciągnął, żeby zgasić lampkę. Czuł jej zapach, a połowa łóżka była ciepła od jej ciała. Przypomniawszy sobie rudą komisarz, która zajmowała się sprawą samobójstwa Kima Andersena. Lene... jak? ...Jensen. Rozważał, czy nie powinien się z nią skontaktować. Ale co miałby jej powiedzieć? Że były gwardzista wcale nie zranił się w nogę podczas niewinnego wypadu z kolegami do Szwecji wiosną dwa tysiące dziesiątego roku, ale dlatego, że uczestniczył w perwersyjnym polowaniu na ludzi w Północnej Norwegii? A dowody? Właściwie żadnych. Same domniemania.

Czy byłaby w stanie to zrozumieć? Michael wyobraził sobie jej nieprzejednane zielone oczy. I wargi, które układają się w słowa: Spierdalaj. Następny!

A potem pomyślał o Jakobie Schmidcie. Jego opalonych, zręcznych dłoniach. I stanowczych brązowych oczach. Jego inteligencji.

Na koniec zobaczył w myślach Sarę i dzieci, uśmiechnął się i zasnął.

26

Patrzył, jak ze smugi światła wchodzi w ciemność i zatrzymuje się na chodniku. Rozglądała się, a on pozwolił jej czekać. Wsunęła za ucho kosmyk włosów i spojrzała w dół Allégade. Patrzyła wprost na niego, stał po drugiej stronie, ale go nie widziała, bo był ukryty w cieniu. Gwizdnął i wtedy go zobaczyła. Pomachał do niej i przebiegła przez ulicę. Taka pewna siebie.

Z bliska poczuł jej orzeźwiający, świeży zapach. Po pierwszym spojrzeniu wiedział, że nic w jej dzisiejszym wyglądzie nie było przypadkowe. W jego również i szybko się zorientował, że była pod wrażeniem. Szorstkiego easy ridera zastąpił ugładzony makler. Jedwabny krawat zawiązany ciasno w węzeł windsorski, ciemny jednorzędowy garnitur, wypolerowane czarne buty, śnieżnobiała koszula i granatowy kaszmirowy płaszcz. Był świeżo ogolony, starannie ostrzyżony i dyskretnie pachniał perfumami L'Homme.

– A gdzie chłopak na motorze? – spytała.

– Dziś ma wolne.

Zmarszczyła brwi nadąsana.

– Szkoda. Spodobał mi się.

– Tak?

– Tak.

– Może jeszcze wpadnie, jeśli chcesz.

Skrzyżowała ręce na piersi i pokiwała głową.

– Zimno ci? – spytał.

– Trochę.

Wskazał na długie ciemne bmw stojące kilka metrów dalej.

– Mam podgrzewane siedzenia – dodał.

Spojrzała na samochód, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Fajnie – powiedziała.

Uśmiechnął się.

– Cieszę się, że przyszłaś. Jestem Adam.

– Josefina.

Z kieszeni płaszcza wyjął paczkę papierosów i wyciągnął w jej stronę. Poczęstowała się, a on zapalił im obojgu. Zakrztusił się i zamrugał, bo oczy łzawiły mu oczy.

– Jestem początkujący – wyjaśnił.

– Nie wierzę.

Odwróciła wzrok i przygryzła paznokcieć.

– Naprawdę... długo podróżowałem i zapomniałem, jak to się robi. – Uśmiechnął się rozbijająco.

– Gdzie byłeś? – spytała.

– Wszędzie. Nepal, Nowa Zelandia, Afryka Północna... Ameryka Południowa...

Josefine Jensen od razu się ożywiła.

– Byłeś w Ameryce Południowej?

Zaśmiał się krótko i popisał swoim płynnym hiszpańskim.

– Co? – zmrużyła oczy. – Czekał, co powiedziałeś? Mów natychmiast, co to było?

– Że jest cholernie zimno i zamarza mi dupa, więc chcę przekonać tę piękną panią, żeby wsiadła do mojego samochodu i dała się zabrać na drinka w jakieś ciepłe miejsce.

– Jeśli mi poopowiadasz o Ameryce Południowej, to umowa stoi. Wybieram się tam za parę miesięcy.

– Z przyjemnością. Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Otworzył jej drzwi i Josefina wsiadła, zanurzając się w wygodnym fotelu. Przesunęła palcami po skórzanej tapicerce, a on przez chwilę się rozglądał. W pobliżu nie było nikogo. Tablice ukradł na parkingu przy lotnisku, trzymając się cały czas martwych punktów kamer. Butem zgasił papierosa, wsiadł i uśmiechnął się do niej. Na chwilę zostawił uchylone drzwi, żeby przyjrzeć jej się w świetle kabiny. Jedną rękę trzymała swobodnie na kolanach. Drugą odsunęła za ucho ten niesforny kosmyk. Miała prosty nos, profil regularny i młody, pełniejszą górną wargę i usta, jakby zawsze lekko uśmiechnięte. Porcelanowa skóra, czoło wysokie i ładnie ukształtowane. Pachniała dziewczęco, perfumami i zamszową kurtką.

– To gdzie byłeś? – zagała.

– Kostaryka, Honduras, San Salvador, Argentyna – wymamrotał i zaciśnął w pięść dłoń w skórzanej rękawiczce.

– Tańczyłeś tango w Buenos Aires?

– Nie umiem tańczyć.

– Chodzę na hiszpański do starego Chilijczyka, który mieszka tu, we Frederiksbergu – powiedziała. – Jest poetą i ma co najmniej sto dwadzieścia lat. Znał Pabla Nerudę.

– Imponujące – przyznał.

Zamknął drzwi i spojrzał w okno po jej stronie. Ani żywej duszy. Wtedy z całej siły uderzył ją w twarz na wysokości lewego ucha. Pod knykciami poczuł, że pękła jej dolna szczęka. Głową uderzyła w szybę, oczy na moment otworzyły się szeroko i zaraz zmatowiały, a powieki opadły. Usta pozostały na wpół otwarte. Nagle znów otworzyła oczy i spojrzała na niego w pełni świadoma.

– Ale...

Wtedy uderzył ją drugi raz. Bezwładnie osunęła się w fotelu z twarzą zwróconą do niego. Z powrotem wciągnął ją na siedzenie i odchylił oparcie. Teraz na wpół leżała na miejscu pasażera. Zdjął z niej szalik i kurtkę. Była drobniejsza, niż sądził. Oddychała ciężko przez półotwarte usta. Jej kurtkę rzucił na tylne siedzenie. Rękaw bluzki podwinął powyżej łokcia. W schowku miał gumową opaskę, którą sprawnie owinął jej wokół ramienia. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął strzykawkę, zdjął z igły plastikową osłonkę i wstrzyknął jej do krwiobiegu pięć mililitrów ketalaru.

Uśpił ją na co najmniej pół godziny, ale w razie czego mógł jej zrobić kolejny zastrzyk.

Wrzucił kierunkowskaz i ruszył ulicą Allégade na wschód. Wyglądał jak dobrze ubrany młody mężczyzna w drogim samochodzie wiozący śpiącą dziewczynę.

Kiedy zadzwonił telefon, spojrzał na wyświetlacz i zirytowany zmarszczył brwi. Allan Lundkvist.

Pszczelarz panikował.

– Co wy chcecie zrobić? – spytał. – Pytam, kurwa, co zamierzacie z tym zrobić? Ona znowu dzwoniła. Dziś chyba z dziesięć razy. Wczoraj tak samo. Ona nie odpuści, a ja nie wiem, co mam jej powiedzieć. Dlatego pytam, co zamierzacie z nią zrobić?

– Rozmawiałeś z nią? – spytał.

– Kurwa, jasne, że nie! Ustaliliśmy, że mam z nią nie gadać. Ale ona tu w końcu przylezie, jeśli nie oddzwonię.

Spojrzał na smukłe uda dziewczyny w opiętych dżinsach i na miejsce, w którym się stykały. Zaczął nucić. Bruce. Wielki Bruce.

– Zadzwoń do niej i powiedz, że możesz się spotkać jutro rano. Na przykład o dziewiątej.

– O dziewiątej?... Czeka, ty śpiewasz?

– Nie. Albo o wpół do dziesiątej. O której wstajesz?

– O siódmej.

– Jesteś sam?

– Tak! Gadaj, co mam jej powiedzieć! Czego ona może chcieć?

Wystukiwał rytm na kierownicy i próbował sobie przypomnieć tekst. Gdyby tylko ten idiota przymknął na chwilę.

– Chce pogadać z tobą o Kimie, a o czym niby? – odparł. – Jak dobrze się znaliście i pewnie zapyta o nas, pozostałych.

– Aha, to po prostu wszystko jej powiem. Wielkie dzięki. Na pewno będzie zajebiście miło.

– Allan, robiliśmy rzeczy o wiele trudniejsze. To jest małe miki. Kim był twoim kumplem, każdy to wie. Czasem pomagał ci przy różnych pracach wokół domu, a ty mu dawałeś miód od swoich pracowitych pszczółek. Byliście razem w Camp Viking, ale w różnych pododdziałach. Na swoje wesela na przykład cię nie zaprosił.

– Ale jestem na zdjęciach. I filmach. Z Qala. Wszyscy na nich jesteśmy.

– Nikogo nie da się na nich rozpoznać. Wyglądaliśmy wtedy tak samo.

– A teraz wszyscy nie żyją.

Roześmiał się.

– Ty żyjesz. I ja żyję. Fotograf też żyje.

– Dobra, ale tak naprawdę co się stało? – spytał pszczelarz.

– W sensie?

– No z Kimem, kurwa.

– Powiesił się.

– Dobra. A ja co zrobię? Wsadzę głowę do piekarnika?

– Oczywiście, że nie. Po co miałbyś to robić. A masz w ogóle piekarnik?

Głos w słuchawce się uspokajał, ale również oddalał, jakby tamten odchodził od telefonu i nie zamierzał wracać.

– Nie, po co mi. To co, o dziewiątej, tak?

– Na przykład.

– A ty gdzie jesteś?

– W sumie niedaleko.

– Czekał, ale nie zamierzasz chyba... likwidować jej tu, u mnie, co? Chyba tego nie zrobisz? Wiesz, że nie pracujesz już dla tych świrów, prawda?

Znowu popatrzył na nieprzytomną dziewczynę.

– Jasne, że wiem. To jest Dania.

– To dobrze. Żebyś tylko nie zapominał, gdzie jesteś. Bo czasem naprawdę mam wątpliwości – mruknął tamten bez przekonania.

– Tak, Allan, wiem, gdzie jestem – powiedział i mocniej ścisnął kierownicę.

– Mam, kurwa, nadzieję. To co, chcesz sam z nią pogadać?

– Taki jest plan. W swoim czasie.

– Dobra, to dziewiąta albo wpół do dziesiątej – powtórzył Allan Lundkvist głosem jeszcze bardziej odległym niż wcześniej.

– Zadzwoń do niej od razu i się umów – powiedział i się rozłączył.

Zębami zdjął rękawiczkę z prawej dłoni i wierzchem palców pogłaskał ją po twarzy. W okolicy żuchwy i lewego oka pojawił się obrzęk. Za kilka minut oko się zamknie. Skóra tuż nad nim, jak również w miejscu złamania żuchwy była rozpalona, ale chłodna w pozostałych, nieuszkodzonych częściach twarzy. Czubkami palców przesunął po jej piersi. Młodej. Jędrnej. Szkoda.

Cofnął rękę i wystukując rytm na kierownicy, uśmiechnął się do siebie w lusterku wstecznym. Nagle przypomniał sobie tekst, jakby cały czas miał go z tyłu głowy:

*HEY LITTLE GIRL, IS YOUR DADDY HOME?
DID HE GO AWAY AND LEAVE YOU ALL ALONE?
I GOT A BAD DESIRE
I'M ON FIRE*

*TELL ME NOW BABY IS HE GOOD TO YOU?
CAN HE DO TO YOU THE THINGS THAT I DO?
I CAN TAKE YOU HIGHER
I'M ON FIRE*

Śpiewał na cały głos i płaskimi dłońmi wystukiwał rytm na kierownicy. Jedną ręką odwrócił jej głowę, twarzą na wprost, żeby jej oczy nie były skierowane na niego. Głowa mimowolnie z powrotem odwróciła się w jego

stronę. Spróbował raz jeszcze, z tym samym skutkiem. Jakby nie miała już w szyi żadnych kości.

– Dziwka – mruknął i dał sobie spokój.

Dobry kawałek. A dziewczyna pospolita.

Zaparkował przed szarym betonowym budynkiem w Sydhavnen niedaleko morza i potężnej buczonej nisko elektrociepłowni H.C. Ørstedsværk. Okna były zaklejone czarnymi workami na śmieci, więc budynek był w pełni zaciemniony. Przeszedł przez plac przeładunkowy, zamknął metalowe kraty łańcuchem z kłódką i wracając do samochodu, przystanął na chwilę między przepełnionymi kontenerami na śmieci i stosami połamanych europalet. Rozejrzał się.

Do najbliższych domów był spory kawałek, a tu kręcili się co najwyższej grafficiarze i bezdomni. Otworzył drzwi samochodu i wyciągnął dziewczynę. Zarzucił ją sobie na barki chwytem strażackim, drzwi zamknął kopniakiem i ruszył w stronę rampy przeładunkowej. Trzykrotnie zapukał do znajdującej się tuż obok metalowej bramy i jednocześnie znów się rozejrzał.

Brama się zwinęła, a w środku stał jego szef i uśmiechnął się na widok dziewczyny. Ręką zaprosił go do jaskrawo oświetlonej hali.

- Były problemy?
- Żadnych.
- Kominiarka – powiedział tamten.
- Jest nieprzytomna.
- Nie szkodzi.

Położył dziewczynę na zdezelowanej kanapie, którą znaleźli za śmietnikiem. Jej głowa bezwładnie przetoczyła się na bok, dłoń pacnęła o podłogę. Szef już ustawił wokół kanapy cztery lampy studyjne. Kanapa stała bezpośrednio pod jedną z biegnących pod dachem szyn, z której zwisała stara, ale działająca wciągarka z łańcuchem sięgającym podłogi.

- Ile jej dałeś?
- Pięć mililitrów. Zaraz się obudzi.

Zdjął płaszcz, zwinął go poszewką na zewnątrz i odłożył na podłogę. SzeF podał mu kominiarkę. Założył ją i poprawił otwory na oczy i usta.

Tamten spojrzał na niego.

– Allan?

– Rozmawiałem z nim. Zadzwoń do tej komisarz i umówi się na jutro rano.

– Świetnie. Nie chcemy kolejnego, w którym się odezwie sumienie, wpadnie w depresję albo zacznie szastać forszą czy dzwonić po ludziach. Jak Kim.

Wspólnie ją rozebrali. Jej szczupłe kończyny były zupełnie bezwładne. Przyjrżeli się nagiej dziewczynie na kanapie, ale żaden się nie odezwał. SzeF wziął ją pod pachy i wciągnął głębiej na kanapę. Zdrowa powieka zadrdzała i Josefine zaczęła mamrotać niezrozumiale. Miała przetrąconą szczękę, a lewe oko czarne i zamknięte.

SzeF się wyprostował.

– Budzi się – stwierdził i poprawił ustawienie każdej z lamp. – Wygląda nieźle.

– Tak.

– W sensie, trochę za dobrze. Uderz ją.

Nie ruszył się z miejsca. SzeF przyglądał mu się badawczo. Spojrzenie miał jasne, oczy niebieskie.

– Chcemy chyba zrobić odpowiednie wrażenie, prawda? Przecież po to tu jesteśmy?

– Tak.

– Więc ją uderz.

Podszedł do kanapy, znów naciągnął skórzaną rękawiczkę i wymierzył dziewczynie cios w środek twarzy. Złamał jej nos. Z przesuniętych na prawo dziurek popłynęła krew.

Rozmasował knykcie. Kiedyś przychodziło mu to łatwiej.

– Jeszcze raz – rozkazał tamten.

– Wystarczy.

– Więc ja to zrobię.

Jego szeF podniósł z podłogi krótką metalową rurkę i pochylił się nad dziewczyną.

On sam odwrócił się, ale usłyszał, jak coś pęka z wilgotnym chrupnięciem.

Tamten wskazał na wiszący z góry łańcuch i wręczył mu kajdanki.

– Podnieś ją, bo się udusi.

Jej drobna klatka piersiowa gorączkowo pompowała powietrze do płuc, ciało było mokre od potu. Krew z nosa i ust spłynęła między piersiami i zgromadziła się w pępku razem z odłamkami zębów. Założył jej kajdanki, wsunął w łączący je łańcuch koniec haka i odrobinę ją podciągnął. Jej ramiona wydłużyły się nienaturalnie, zanim długie, szczupłe ciało zaczęło się podnosić z kanapy. Głowa opadła na ciężko pracującą klatkę piersiową, gumka zsunęła się z włosów, które przesłoniły jej twarz. Przyciągnął łańcuch do filara i go przymocował.

Szef tymczasem umieścił na statywie ciężką profesjonalną kamerę, zamocował ją, spojrział w wizjer i pokiwał głową. Kucnął obok leżącego na podłodze laptopa, kliknął i na monitorze pojawił się obraz z kamery.

– Mam pomysł na ścieżkę dźwiękową – przypomniał sobie i powiedział szefowi o piosence, która chodziła mu po głowie, odkąd usłyszał ją w samochodzie. Tamten przytaknął z zadowoleniem:

– Poszukam na YouTube. Wrażenie będzie piorunujące. Wręcz nieodparte, jak sądzę.

On tymczasem z kieszeni dziewczyny wyjął telefon, wszedł w wysłane wiadomości i przeczytał dziesięć ostatnich esemesów, żeby zorientować się w jej stylu pisania. Uśmiechnął się, czytając wiadomość, w której on sam został nazwany, jakże dogodnie i nieco ironicznie, jakąś „Laurą”. Wreszcie napisał wiadomość do jej matki, położył telefon na podłodze i roztrzaskał go obcasem.

– Jest świeża kawa – oznajmił tamten i wskazał na coś w rodzaju kantorka za ścianą działową.

Mężczyzna spojrział ponownie na dziewczynę, która częściowo leżała, a częściowo wisiała nad brudną zieloną kanapą.

– Zaczęła się trząść – zauważył.

– Mam tu coś.

Owinęli ją w szare sztywne koce.

Wbił dziewczynie wenflon w nadgarstek, przyłączył do niego sól fizjologiczną w kroplówce i wstrzyknął jej trochę stesolidu. Ciecz w woreczku na moment stała się biała jak mleko i zaraz znów zrobiła się przejrzysta. Dziewczyna przestała jęczeć.

Szef podniósł rękę w proteście.

– Nie za dużo. Chcemy przecież, żeby coś poczuła, nie?

– Jasne.

Lene próbowała czytać, ale zorientowała się, że co najmniej trzy razy przeczytała to samo zdanie, a słowa jakby nie docierały w głąb głowy.

Zadzwoił telefon.

– Lene.

– Allan Lundkvist. Dzwoniła pani. Wielokrotnie.

Głos mężczyzny wydawał się słaby i odległy, jakby dzwonił z innego kontynentu.

– Allan? Dzięki, że oddzwoniasz. Wybacz, ale... jesteś w kraju? To znaczy w Danii?

Odłożyła powieść i usiadła na łóżku. Zaswędziała ją kostka. Podrapała się nerwowo pod kołdrą.

– Może dzwonię za późno? Obudziłem cię? Właśnie wróciłem z Jutlandii – wyjaśnił, również przechodząc na ty. – Pomyślałem, że najlepiej od razu zadzwonić.

– Nie, nie jest za późno. I cieszę się, że dzwonisz. Bardzo. Wybacz, jeśli byłam natrętna.

Milczał.

– Chodzi o Kima Andersena – powiedziała.

– O kogo?

– Szeregowy. Gwardia Królewska. Holbæk. Camp Viking. Helmand.

– A, o Kima, no tak, miałem właśnie... Tak, cholera. Co z nim?

– Powiesił się dzień po swoim weselu.

– Jak to powiesił? – Na dłuższą chwilę w słuchawce zapadła gęsta cisza.

– Louise. Ożenił się z Louise, prawda?

– Zgadza się. Ciebie podobno na weselu nie było?

– Nie. Ale kurwa, ja pierdołę... dzień po? Przecież to nienormalne.

– Nie.

Allan Lundkvist wydawał się szczerze zaskoczony, zagubiony i jakby trochę wyczerpany. Szukał odpowiednich słów i mówił pasującym do chwili, niepewnym głosem:

– Dlaczego? Dlaczego u licha to zrobił? On za nią szalał. I za dziećmi. Cały czas o nich mówił.

– Nie wiem, Allan. Mam jednak pewne zdjęcie z Afganistanu. Przedstawia pięciu mężczyzn. Robert Olsen nie żyje, Kenneth Enderlein nie żyje, Kim Andersen popełnił samobójstwo, zostajesz ty i piąty mężczyzna, który

nazywa się... no właśnie: jak? Wygląda na to, że przynależność do tej grupy jest mocno niezdrowa.

Oddech w słuchawce był równy, ale słaby. Lene obawiała się, że mężczyzna zaraz się rozłączy.

– Musa Qala – powiedział wreszcie. – Zdjęcie zrobiono przed Musa Qala.

– Czyli?

– To takie miasto. Chociaż więcej w nim zmarłych niż żywych. Jeśli ktokolwiek tam jest, to tylko talibowie, gdy akurat wrócili. Odbijaliśmy je z pięć razy, ale zawsze wracali. W marcu dwa tysiące szóstego zamordowali Amira, gubernatora prowincji, i szefa prowincji Abdula Quddusa. Potem teren zajęli Anglicy i wyparli talibów, po czym weszli bornholmczycy, czyli kompania zwiadowcza, żeby zmienić Anglików, i tak w kółko. Amerykanie niedawno w ataku dronowym zabili w pobliżu miasta Mullaha Gafoora. To się, kurwa, nie chce skończyć.

– Tak uważasz?

– Przecież to się tak ciągnie od Aleksandra Wielkiego. Afganistan to nie jest państwo, to kawałek skamieniałego średniowiecznego gówna.

– Ale wy się nie poddajecie?

– Bo to niezła zabawa! – roześmiał się. – Za pół roku w styczniu znowu tam lecę i autentycznie nie mogę się doczekać.

– Allan, kim jest ten piąty? Ten ze skorpionem na szyi?

– Słuchaj, nie wiem. Przez bazy przewija się mnóstwo ludzi. Obstawiam, że akurat był tam wtedy z nami. Nic nie pamiętam. Może po prostu spotkamy się jutro i pogadamy? Jestem naprawdę padnięty.

Lene spojrzała na czarną noc za oknem i pomyślała o Josefine.

– Jasne, ale na tym zdjęciu wszyscy macie długie brody i włosy. Wygląda to, jakbyście byli w od dłuższego czasu w tym samym miejscu, dość daleko od maszynki do golenia.

– Tak... pewnie masz rację. Wiadomo. Pewnie chodziliśmy po bazarach albo spotykaliśmy się ze starszą plemienną. A ci nam wciskali niemożliwy do przełknięcia kit. Lene, oni tam nie mają zegarków. Mają za to pamięć. Zajeście dobrą. O czymś, co się wydarzyło dwa tysiące lat temu, opowiadają, jakby to było wczoraj. I nie śpieszy im się. Wciąż mówią o Siskandarze, Macedonii i koniu Bucefale, jakby za piętnaście minut z górskich szczytów miał zejść wielki Aleksander ze swoimi zasranymi słoniami.

– Zdjęcie zrobiono latem dwa tysiące szóstego – powiedziała szybko, bojąc się, że szeregowiec Lundkvist lada chwila zniknie w eterze albo własnych rozmyślaniach nad minionymi wiekami i bezsensiem wszystkiego.

Lene usłyszała cichy szelest dłoni przesuwanej po zaroście i brzęk szklanej butelki wpadającej do kosza na śmieci. Albo obok kosza.

I czy tym od słońi nie był Hannibal, a te góry to nie były Alpy? – pomyślała odruchowo. Takie małe, długowłose słońie? Jej mama by to wiedziała.

– *Fuck...* no wiem – wymamrotał Lundkvist. – Pewnie byliśmy w terenie ze dwa tygodnie. Ale nie pamiętam. Nie możesz do mnie jutro wpaść? Spróbuję poszukać w dzienniku. Staram się codziennie skreślić parę zdań. Nawet wtedy, kiedy jestem na tej przeklętej pustyni.

– Okej – westchnęła. – O której?

– O dziewiątej albo wpół do dziesiątej – odparł. – Jestem wolny do dwunastej trzydzieści.

Podał jej adres.

– A jak twój miodowy biznes? – spytała na koniec.

– Mój miodowy biznes ma się wybornie, Lene, wprost znakomicie. To do jutra, co?

Spojrzała na zegarek.

Była północ. Josefine kończyła tego dnia o dziesiątej, ale wciąż nie dała znaku życia.

– Dobranoc – powiedziała.

– Dobranoc – odparł.

– Allan...?

– Tak?

– Kto zrobił to zdjęcie?

– Nikt. Samowyzwalacz.

Lene oparła się o wezgłowie i zgasila lampkę przy łóżku. Była zajęta wgapieniem się w sufit, kiedy telefon zasygnalizował przyjście esemesa.

Hej, mutti. Got lucky!

Śpij poza domem. Trzymaj się ciepłutko.

Słodkich snów, ściski, Jose.

I po tym jak zawsze dwie buźki.

Lene odłożyła telefon i napiła się wody ze szklanki przy łóżku. Potem poprawiła poduszki, położyła się i naciągnęła kołdrę pod brodę.

Got lucky?

Czy po czymś takim uda jej się słodko zasnąć? Lene szczerze w to wątpiła. W myślach odtwarzała rozmowę z Allanem Lundkvistem. Miał normalny, zmęczony głos, więc dlaczego rozdzwoniły jej się wszystkie alarmy w tyle głowy? Powinna była mocniej go przycisnąć o nazwisko tego piętego, ale bała się, że przesadzi.

Szukała we wspomnieniach jakichś dobrych, spokojnych miejsc, do których mogłaby powędrować myślami, ale wszystkie zwyczajowe bezpieczne schronienia zamykały się przed nią na sto spustów, gdy tylko się do nich zbliżała. Po raz kolejny przeniosła się myślami do leśniczówki Kima Andersena i nagle wiedziała, co jej się nie zgadzało i nie dawało spokoju od kilku dni.

Komin. Elegancko ułożone drewno na opał pod wiatą. A w środku żadnego pieca

Uśmiechnęła się w ciemności.

Wciąż była w tym dobra, jak się okazuje.

Gospodarstwo wyglądało jak tysiące innych starych czworobocznych duńskich gospodarstw z wygiętymi dachami krytymi strzechą, brudnymi bielonymi ścianami i pomalowaną na czarno drewnianą konstrukcją muru pruskiego. Przy zjeździe z szosy Lene minęła nowy zgrabny szyld reklamujący ekologiczny miód.

Czy pszczoły wiedziały, które kwiatki zostały spryskane pestycydami, a które nie? I czy dało się je wytresować, żeby zbierały nektar tylko z tych „czystych” kwiatków?

Droga nie była wyasfaltowana. Nie była nawet drogą, raczej śladami po kołach między polami. Lene słyszała, jak trawa szoruje o podwozie. Zwolniła, kiedy między kilkudziesięcioma małymi białymi ulami na łące za domem zobaczyła ubraną na biało postać. Miała na sobie luźny płócienny kombinezon i kapelusz z szerokim rondem oraz siatką ochronną. Kiedy wcisnęła klakson, Allan Lundkvist przystanął, spojrział na nią, pomachał jej i zniknął za domem. Był wyższy, niż się wydawał na zdjęciu z pustyni.

Lene zaparkowała przed półokrągłą bramą w jednym ze skrzydeł gospodarstwa. Wysiadła i się rozejrzała. Pomyślała, że ma przed sobą obraz beznadziejnej walki samotnego człowieka z nieuchronnym upadkiem. Nic dziwnego, że przez telefon wydawał się przygnębiony i bezsilny. Przy ogrodzeniu i części murów widać było napoczęte prace, wszędzie leżały stosy materiałów budowlanych zabezpieczonych plandekami poszarpanymi przez zimowe burze. Stał też stary niebieski traktor bez kół, za to z przypiętą do niego broną przeżartą przez rdzę. Niebo było bezchmurne i błękitne. Stado jaskółek wystrzeliło znikąd i ostrym łukiem pofrunęło nad dachami i drzewami. Jedyne, co w tym obejściu wyglądało na choć trochę zadbane, była pasieka z równymi rzędami ulów.

Lene przeszła przez bramę i stanęła na brukowanym dziedzińcu. Spodziewała się, że pszczelarz wyjdzie jej naprzeciw, ale wszędzie panował

bezruch, zarówno na dziurawym placu, jak i w ciemnej pustce za drzwiami stajni. Dotarła do domu i spróbowała otworzyć odrapane drzwi. Ani drgnęły.

Zastanawiała się, czy do niego nie zadzwonić, ale przecież był tu przed chwilą, do cholery.

Weszła na klapę studzienki pod jednym z okien, wspięła się na palce i osłaniając oczy, spróbowała zajrzeć do środka. Szprosowe okna były jednak ciemne i wyjątkowo nieprzejrzyste, więc niczego nie wypatrzyła. Ruszyła wzdłuż ściany i przeszła między domem a jednym ze skrzydeł. Drzwi, które miały być w przejściu, stały oparte o ścianę szopy i nie miały zawiasów. Za domem stał wieszak na pranie bez sznurków, trawnik zaatakowany przez chwasty i kilka starych spróchniałych drzew owocowych, które już dawno należało ściąć. Przyciągnęła plastikowe krzesło ogrodowe do jednego z okien domu i znów spróbowała zajrzeć do środka.

W oknie wisały żółte zasłony, przy krawędziach lekko brązowe. To okno również było dziwnie ciemne i... żywe? Lene zmarszczyła brwi, dopiero teraz usłyszała głucho niskie buczenie zza szyby. Szyba się poruszała, Lene nagle dostrzegła pojedyncze owady w ożywionej masie tuż przy swojej twarzy. Odruchowo szarpnęła głową i prawie spadła z krzesła. Za szybą nieprzebrane tysiące żółto-czarnych, pełzających owadów zalewały szybę grubym żywym dywanem, wspinając się i wchodząc jedne na drugie.

Podeszła z krzesłem do drugiego okna, którego szybę pokrywała ta sama drżąca, rozgorączkowana masa. Gdy ostrożnie zapukała w szybę, pszczoły na moment się rozpierzchły i wtedy dostrzegła ubraną na białą postać w kapeluszu pszczelarza, siedzącą na krześle na środku pokoju. Siatka zasłaniała twarz. Pszczoły ponownie wypełniły puste miejsce, więc znów zapukała. Tym razem mocniej. Rój się wycofał. Mężczyzna się nie poruszył.

Lene obiegła dom wokół, wróciła do drzwi, wciągnęła powietrze i z całej siły kopnęła w nie tuż pod zamkiem. Stare drewno się rozłupało i drzwi przytrzymał tylko łańcuch od środka. Kopnęła drugi raz i wyrwała łańcuch z framugi razem z zamknięciem.

– Allan? ALLAN?!

Jej uszy wypełniło głośne buczenie kilkudziesięciu tysięcy zapracowanych pszczoł. Hałas przypominał potężny strumień wody przepływający pod ciśnieniem przez betonową rurę.

Rozejrzała się pośpiesznie: wycieraczka z kokosa, wieszak, na nim sztormiak i smycz dla psa. Wyjęła pistolet, odciągnęła i zwolniła zamek, odbez-

pieczyła go, ale palec wskazujący trzymała wzdłuż pistoletu, a nie na spuście, zaś broń trzymała przepisowo, oburącz z lufą skierowaną w sufit. Dźwięk falował, nasilał się i słabł. Cofnęła się, żeby nie wpaść... na co?

– Allan, do diabła! To ja, Lene!

Na wprost drzwi były schody na piętro, a w sieni panował zaduch. Po lewej zamknięte białe drzwi. Przystawiła do nich ucho, piekielne buczenie się nasiliło. Położyła dłoń na klamce i jednak się zawahała. Czy pszczoły atakowały ludzi? Głupie pytanie. Przecież nie tak po prostu, same z siebie? To przyjaźnie nastawione, pracowite małe istotki, nic więcej. Powoli otworzyła drzwi na oścież i na chwilę wszystko zamarło, jakby owady przyglądały jej się niczym jeden czujny organizm.

Były wszędzie. Siedziały grubą warstwą na szybie, na zasłonach, tworzyły ruchome plamy we wszystkich kątach. Ich wściekłe bzyczenie było ogłuszające. Jak buzujący żółto-brązowy koc pokrywały nogi i dolną część ciała mężczyzny, który siedział na krześle. Ale podłoga była od nich wolna. Lene szerokim łukiem zbliżyła się do niego od tyłu. Przechodziły ją ciarki na myśl, że owady mogą nagle wszystkie naraz uznać ją za zagrożenie i rzucić się na nią, wdrzeć do uszu, nosa i ust. Że ją pochłoną.

Mężczyzna siedział na zwykłym krześle kuchennym z wysokim oparciem. Teraz Lene widziała paski szarej błyszczącej taśmy, którą był do niego przywiązany. Kiedy położyła dłoń na jego ramieniu, głowa opadła mu na pierś z niskim, martwym westchnieniem, a kapelusz się przekrzywił. Leżące na podolku dłonie były pokryte pszczołami. Między nimi Lene zobaczyła matki z obrzydliwie nadętymi, białymi odwłokami produkującymi jaja, zaś wokół nich hordy trutni i robotnic.

To dlatego owady się tu zleciały: żeby bronić swoich królowych, które ktoś zabrał z uli i położył mężczyźnie na kolanach.

Przystanąła na drewnianej podłodze i przyjrzała się przesłoniętemu siatką profilowi mężczyzny. Jego twarz wydawała się pogrążona w uroczystym skupieniu. Zaschnięta strużka krwi brała początek w małym, całkiem niepozornym okrągłym otworze między brwiami. Miał na wpół otwarte oczy i wyglądał, jakby kontemplował własne dłonie i pełzające między nimi matki. Przód kombinezonu również był poplamiony krwią.

Lene wyciągnęła rękę w jego stronę i nagle to sobie uświadomiła: mężczyzna na krześle nie żył od dawna. A ona przed chwilą widziała w pasiece ubraną na białą postać.

Dźwięku nie usłyszała wcale, a ten moment olśnienia od całkowitej ciemności dzielił zaledwie ułamek sekundy.

Gdy otworzyła oczy, ból w tyle głowy stał się obezwładniający. Bała się, że od niego zemdleje, ale wiedziała, że nie może ich zamknąć. Było to absolutnie najważniejsze zadanie, jakiego kiedykolwiek się podjęła. Że musi to zrobić, że musi mieć oczy otwarte dla siebie, dla wszystkich, dla całego świata. Mimo że ktoś wbił jej metalową sztabę w głowę i głębiej, w kręgosłup. Ugryzła się w język, krew była ciepła i słona. Poza polem widzenia otaczała ją ciemność. Najłatwiej i zdecydowanie najrozsądniej byłoby wsunąć się w nią i w niej zniknąć. Dostała odruchu wymiotnego i z nosa i kąciaków ust popłynęła gorzka żółć. Lene wypluła ją i w bolesnych skurczach łąpała powietrze.

Siedziała nago na twardym krześle. Nogi miała związane razem i przywiązane do krzesła szarą taśmą, dokładnie tak jak martwy mężczyzna w tamtym pokoju. Nie mogła poruszyć głową i przez chwilę była przekonana, że została trwale okaleczona, ma złamany kark i nigdy już nie będzie mogła się poruszać.

Zamknęła oczy i z zawziętą furią skupiła się na faktach. Odtwarzała kolejność zdarzeń, zmusiła się, by poczuć swoje ciało. Twarda krawędź wrzyła jej się w brodę, zrozumiała, że niewidoczny napastnik nałożył jej coś w rodzaju kołnierza, jak te, którymi ratownicy medyczni unieruchamiali odcinek szyjny ofiar wypadków samochodowych. Mogła poruszać stopami i dociskać golenie do sztywnej jak skała taśmy. Pod stopami czuła szorstkie deski podłogi. Nie była sparaliżowana. Nie miała złamanego karku.

Wyczuła za sobą jego obecność, chociaż nie wydawał żadnych dźwięków i nie wyczuła jego zapachu. Pojedyncza deska poruszyła się pod krzesłem i Lene spróbowała odwrócić głowę. W tym momencie ostry, oślepiający ból ponownie przeszył jej kręgosłup i czaszkę. Jęczała głośno pomiędzy przerywanymi, wymuszonymi oddechami. Nie mogła tego powstrzymać. Ból domagał się jakiegokolwiek formy ujścia.

– Widzisz to, Lene?

Otworzyła oczy. Tuż przed sobą ujrzała laptop leżący na komodzie. Na ekranie komputera poruszało się coś białego i czerwonego a z głośników dobiegał metaliczny, płaski głos jak nie z tego świata. Wpatrywała się w ekran. Kamera pokazywała surowe wnętrze betonowej hali, z wysokim sklepieniem i głębokimi cieniami, w które ostro wcinały się projektory.

Zatrzymała się na dwóch wiszących zakrwawionych stopach. Były rozdzielone półmetrowym drewnianym drążkiem i przywiązane do niego taśmą. Stopy lekko się kołysały. Słysząc było cichy chrzęst łańcucha. Kamera zrobiła zbliżenie prawej szczupłej stopy. Starannie nałożony lakier w kolorze koralowym. Proste, zgrabne palce.

Komoda, komputer i kołyszące się stopy na jego monitorze zrobiły się zamazane od łez, które Lene próbowała powstrzymać gorączkowym mruganiem.

Głos:

– Widzisz?

Lene mrugała i wwiercała się wzrokiem w ekran.

Białe palce u stóp wypełniały go teraz w całości. I ten lakier. Nie chciała widzieć tego lakieru. Nie chciała widzieć tej stopy, tak bardzo podobnej do jej własnej.

– Pytam: czy widzisz?

Napięła mięśnie, na próżno próbowała rozerwać nimi niewzruszoną taśmę. Krzesło się zachwiało. Usiłowała uciec przed tym obrazem, choć wiedziała, że jej nie wolno. W uszach zaszumiał jej ruch powietrza na moment przed tym, jak pięść oprawcy uderzyła ją w ucho. Krzesło przesunęło się w bok i usłyszała własny krzyk.

– Pytam: czy widzisz, Lene?

– TAK! Tak...

W wyniku pęknięcia błony bębenkowej, z jej ucha popłynęła ciepła strużka krwi. Czaszkę wypełniło przenikliwe wycie. Słyszała, jak cząstki powietrza wibrują i ocierają się o siebie. Albo tak jej się zdawało.

– TAK!

Kamera się oddalała. Centymetr po centymetrze na monitorze ukazywało się ciało, zawieszona, z rękami w górze, harmonijne, szczupłe i białe. I brązowe tam, gdzie zaschnięta krew utworzyła linie przypominające żyłki na liściu. Kamera zatrzymała się na wąskim pasku jasnych włosów na

wzgórku łonowym. Brzuch poruszał się nieznacznie przy każdym płytkim, pośpiesznym oddechu. Nogi były szeroko rozsunięte na drążku.

Na ekranie pojawiła się dłoń w czarnej rękawiczce, a za nią rękaw w tym samym kolorze. Dłoń zatrzymała się na wysokości podbrzusza dziewczyny, rozcapierzyła palce i pchnęła. Ciało odchyliło się w tył, dłoń wycofała się z pola widzenia i ciało znów zbliżyło się do kamery.

Lene zaczęła krzyczeć niekontrolowanie, jednocześnie usłyszała za sobą jakiś ruch. Spodziewała się kolejnego ciosu, ale nic takiego nie nastąpiło.

Wolno jej było krzyczeć.

Ciało na ekranie bujało się w przód i w tył jak wyjątkowy, rzadki owoc wiszący na gałęzi i poruszany wiatrem. Kamera odsunęła się kawałek i podjechała w górę. Lene zamknęła oczy, a obraz się zatrzymał.

– Lene – powiedział głos – widzę cię. Kamera w komputerze przed tobą jest włączona. Masz, kurwa, otworzyć oczy, słyszysz?

Rozpaczliwie potrząsała głową.

– Nie? Dobra, to zrobimy z tego słuchowisko – postanowił głos. – Ty będziesz dalej zaciskać powieki, a ja spróbuję ci je otworzyć. Zabawimy się. Zatem nie widzisz tego, ale pokazuję ci właśnie świeży pęd bambusa. To staroświeckie narzędzie, ale wciąż nie wynaleziono lepszego.

Lene usłyszała świst łodygi w powietrzu.

Głos stał się bardziej obojętny, pozbawiony emocji.

– Poddamy ją próbie. Sprawdźmy, jaka z niej twardzielka, co, Lene?

Kobieta Na ekranie bambusowy pęd smagnął ciało z wilgotnym plaśnięciem a ona rzuciła się do tyłu, wbiła plecy w oparcie krzesła... Poczuła to smagnięcie w najgłębszym miejscu mózgu i duszy. W najodleglejszej części swojej świadomości.

Nagle usłyszała krzyk kogoś młodego, wrzask człowieka oszalałego, którego ciało jest w stanie reagować już tylko na jeszcze silniejszy ból.

Lene otworzyła oczy. Na brzuchu i podbrzuszu zawieszono ciała pojawiła się świeża struga krwi. Bambus rozciął cieką skórę i czerwony strumień coraz intensywniej wypływał z brzegów rany.

– Lene? Widzisz to?

– Tak... och, TAK! – wyszlochała. – Przestań!

– Chcesz zobaczyć resztę?

– Tak. Boże... tak.

Usłyszała kliknięcie w głośnikach. Muzyka? Lene była przekonana, że ma omamy, że miesza jej się w głowie. Ale piosenka leciała dalej. Brzmiała

bardzo wyraźnie, bez zakłóceń – i coraz głośniej. Odbijała się echem od ścian hali i wracała, zamykając się wokół młodego, zawieszzonego ciała.

Tańczyła do tego kawałka z Nielsem na jednej z pierwszych imprez, na których zwrócili na siebie uwagę. Uśmiechali się do siebie nad stołem zastawionym kieliszkami i butelkami. W pewnym momencie on wskazał głową na mały parkiet w salonie któregoś z ich wspólnych znajomych i Lene wstała.

*HEY LITTLE GIRL, IS YOUR DADDY HOME?
DID HE GO AWAY AND LEAVE YOU ALL ALONE?
I GOT A BAD DESIRE
I'M ON FIRE*

Kamera oddalała się, ukazując kolejne szczegóły: różowy sutek, ogoloną pachę, ramię i widoczne pod skórą drżenie pracujących, napiętych do granic możliwości mięśni. Długie ślady krwi biegnące w dół ramienia, nadgarstek z plastrem i zieloną kaniulę. Dłonie białe, zmiażdżone i sine, lśniące kajdanki, zardzewiały łańcuch biegnący do góry i znikający w ciemności. Kamera zatrzymała się na dłoniach. Operator wcisnął pauzę. Po chwili na ekranie pojawił się fragment jasnych, sklejonych krwią włosów i kolczyk z perłą i delfinem.

Kamera się oddaliła, lecz twarz ofiary zakrywały włosy. Broda dziewczyny dotykała piersi. Dłoń w rękawiczce złapała garść jasnych włosów.

– Patrzysz, Lene?

– Tak.

– To twoje kolczyki, prawda?

Wyszeptała coś niewyraźnie.

– Nie słyszę cię. To dla mnie bardzo, ale to bardzo ważne. I dla niej też.

– *TAK* ... to moje kolczyki.

Dłoń szarpnęła włosy i pociągnęła głowę do góry. Lene jęknęła.

– Jose... boże, Jose...

To już nie była twarz, to już nie była twarz jej córki, lecz makabryczna kompozycja sińców, groteskowych obrzęków i okaleczeń. Zdeformowana maska. Nienaruszona powieka dziewczyny drżała, jej oko się otworzyło i zielona tęcza spojrzała prosto w obiektyw, na Lene. Białko oka było przekrwione, a oko – pozbawione wyrazu. Przemieszczone, spuchnięte usta otworzyły się, ukazując bezzębną czarną dziurę.

Dłoń wypuściła włosy i głowa Josefine z powrotem bezwładnie opadła na pierś. Piosenka leciała dalej, ale kamera nie filmowała już wiszącej postaci, lecz podłogę, na której mieszały się krew, mocz i żółć.

– Lene?

Pokręciła głową.

– Możesz to zatrzymać. W tym momencie – powiedział spokojnie głos.

– Przyjdą inni – powiedziała.

– Ty możesz to zatrzymać, Lene. Zakończyć tę sprawę. Mówię o *tobie*, nie o innych. Jeśli zechcą się tą sprawą zająć, będziemy się kontaktować z nimi. Rozumiesz? Więc jak, Lene, chcesz to zatrzymać?

Bambusowa różga świsnęła w powietrzu i uderzyła.

– TAK!

– Dziękuję. Doceniam to.

Mężczyzna wszedł w kadr, ale Lene widziała tylko czarny kombinezon i rękawiczki, bezkształtną sylwetkę, i dziwną, przylegającą ciemną skórzaną maskę, jak te używane przez fetyszystów i fanów bondage’u z zamkami na ustach i oczach. Znowu podniósł za włosy głowę jej córki, wcisnął w jej krwawiące, skatowane usta knebel w kształcie kulki i zacisnął skórzany pasek na karku.

– To piękna dziewczyna, Lene. Prawda, Josefine? Jesteś piękna.

– ZOSTAW JĄ! – wrzasnęła dziko Lene, ale tamten jej nie słuchał. Zobaczyła, jak rękawiczka sunie w górę uda i na koniec brutalnie wciska do środka dwa palce.

Josefine wydała z siebie niski, charczący dźwięk.

Mężczyzna podszedł od kamery. Skórzana maska wypełniła cały ekran. W jej otworach zobaczyła uśmiechnięte niebieskie oczy. Zaprezentował jej wąski, obosieczny nóż. Cofnął się i przycisnął czubek ostrza pod obojczyk dziewczyny. Na jej skórze pojawiło się wgłębienie.

– Wiesz, Lene, to dziwne, ale oni zawsze... naprawdę, zawsze, mają nadzieję. Do samego końca wierzą, że to wszystko się nie dzieje naprawdę. Nawet kiedy widzą, że to się już zaczęło, są tacy zaskoczeni, tak cholernie oszołomieni i rozczarowani, że coś podobnego się im przydarzyło. Potem nadchodzi koniec i okazuje się, że gównem warta była ich wiara.

Ekran zgasł.

30

Pani komisarz go nie zauważyła, chociaż stał metr od niej. Wpatrywała się nieruchomym wzrokiem w czarny ekran komputera.

Była apatyczna i pokonana. Nic więcej nie wyczytał z jej twarzy, zanim wyszedł z pokoju. Przeszedł na drugą stronę domu i zadzwonił do szefa.

– Wszystko gra – powiedział.

– Na pewno?

– Na sto procent. Złamaliśmy ją.

– Dobra. To ja się stąd zwijam. I ty powinienesz zrobić to samo.

– Czyli co?

– Czyli zniknąć. Skontaktuję się z tobą, jeśli będziesz mi potrzebny. A pewnie będziesz.

– Na pewno?

– Na pewno. Trzymaj się.

– A co z tamtym? – spytał.

– Michaeliem Sanderem?

– Tak.

– Sam się nim zajmę. On jest przynajmniej interesujący. Szerokiej drogi.

– Dzięki. Ale czemu pojawia się akurat teraz?

– Nie mam pojęcia, naprawdę. Znalazłem jego stronę internetową przez specjalną wyszukiwarkę. To zawodowiec i nie należy go lekceważyć. Ale może powinniśmy poczekać, aż nam pokaże, gdzie Kim ukrył swoje skarby.

– W sensie filmy? – spytał mężczyzna.

– Tylko on wiedział, gdzie są te przekłete nagrania i zdjęcia – zauważył tamten.

– Miejmy nadzieję.

– Może powinienem sobie porozmawiać z wdową po Kimie... – zamyślił się szef.

Kiedy mężczyzna wrócił do sypialni, na nieruchomą głowę policjantki nałożył worek z tkaniny nieprzepuszczającej światła i zaciągnął sznurek, ale nie za mocno. Potem pochował swoje rzeczy do walizki postawił ją przy drzwiach i zrobił ostatni obchód. Pszczoły w salonie nadal bzyczały histerycznie.

Na podłodze obok jej krzesła położył kartkę z odręcznie zapisanym adresem nieczynnego magazynu części zapasowych w Sydhavnen, nożem do linoleum przeciął plastikowy zacisk przy jej nadgarstkach, a nóż również położył obok krzesła. Potem odwrócił krzesło, żeby na pewno zobaczyła narzędzie, którym może się wyswobodzić i zdjął jej z głowy kaptur.

Poszedł do drzwi, podniósł walizkę i wyszedł.

31

– Wyspałeś się?

– Niezbyt – odpowiedział szczerze Michael.

Usiadł przy stole w kuchni na wprost Elizabeth. Niezmordowana pani Nielsen krzątała się przy piecu, a kuchnię wypełniał zapach jajecznicy.

Elizabeth Caspersen mechanicznym ruchem posmarowała grzanek cienką warstwą masła i wskazała na słoiczek pomarańczowej marmolady obok dłoni Michaela. Podał jej go i zaraz podeszła do niego pani Nielsen.

– Jajecznicy? – spytała uprzejmie.

– Nie, dziękuję. Myślę, że wystarczy mi kawa.

Napełniła mu filiżankę i wyszła z kuchni. Słyszeli, jak przesuwa coś w spiżarni.

– Dlaczego? Ktoś cię niepokoił?

Jej technika wymownego układania brwi była niezrównana.

Nalał sobie mleka do filiżanki i rozejrzał się.

– Gdzie są wszyscy?

– Victor zawsze wyjeżdża wcześniej, żeby uniknąć korków, i nigdy nie ma kaca. Chłopcy w ogóle nie wrócili. A Monika... albo jeszcze śpi, albo poszła do koni. I co myślisz o tej rodzinie?

– Gdyby byli miejscem, to byliby Bałkanami – mruknął i napił się kawy.

Elizabeth się roześmiała i coś odpowiedziała, ale nie słuchał. Był rozkojarzony i niespokojny. Znów pomyślał o rudowłosej komisarz Lene Jensen. Odgrywała w tej historii ważną rolę.

– Co mówiłaś? – spytał po chwili.

– Pytałam, o której chcesz jechać.

Ugryzła grzanek i serwetką strzepnęła okruszek z górnej wargi. Jak zawsze opanowana, zwarta i poprawna. Chociaż może to dlatego, że prosto stąd jechała do biura. Miała staranny makijaż z wyrazistą, ciemnoczerwoną szminką pasującą do równie wyraźnych brwi i szarych oczu. Dziś nałożyła

perły, do tego szarą jedwabną bluzkę oraz spódnicę i zakiet, które leżały, jakby je odlano na jej długiej sylwetce.

– Jak najszybciej – przyznał.

Pokiwała głową, dopiła kawę i wstała. Oboje wiedzieli, że dopóki są na zamku, nie będą mogli porozmawiać na ważne tematy.

Wyszli razem do holu, gdzie Michael raz jeszcze obejrzał wiszące na ścianach poroża.

– Ten łowczy, Thomas. Znasz go? – spytał.

Pokiwała głową.

– Widziałam go parę razy. Postawny. Przystojny. Brunet... dość ponury i wycofany, z tego co pamiętam. Nie integrował się z nami. Typ samotnika.

– Ale to jeden z przyjaciół Jakoba?

– Uhm. Należy do bractwa. Są jak łoża.

– Braterstwo wykute w ogniu i krwi?

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Skąd wiedziałeś? Też do takiego należysz?

Uśmiechnął się.

– Elizabeth, ja byłem tylko takim żołnierzykiem z papieru. Aresztowałem pijanych żołnierzy i wrzucałem ich do puszki. Tego typu historie. To były pokojowe czasy, jeśli można to tak nazwać. Ci tutaj, Jakob Schmidt i jego koledzy, to trochę inna bajka. A co z Peterem, tym zastępcą? Jaki on jest?

Schyliła się i podniosła torbę z podłogi. Zwrócił uwagę, że dzisiejsze rajstopy miały z tyłu delikatny czarny szew.

Przytrzymał jej drzwi.

– On jest bardziej towarzyski. Z tego, co pamiętam, raczej wesoły i pogodny. Tylko, Michael, ja nie poluję, więc...

– Jasne, ale twój ojciec musiał ich znać całkiem dobrze – upierał się. – Ciągłe tu przesiadywał, prawda?

– Bez przerwy. Tyle że ja już prawie z nim nie rozmawiałam, jak ci wspominałam. – Wskazała głową. – Jest i Monika.

Michael przystanął na schodach i osłonił dłonią oczy. Niebo było błękitne i bezchmurne, pomiędzy gałęzi wysokich dębów na zagrodę porośniętą młodą trawą po skosie padały promienie wiosennego słońca.

Możliwe, że to ograny banał, ale naprawdę wydało mu się, że amazonka i koń stanowili w tej scenie jedność. Monika Schmidt wyglądała, jakby urodziła się w siodle. Miała spokojną, rozluźnioną twarz, a niewidzialna nić łączyła jej sylwetkę, od czubka głowy, przez szyję i kręgosłup, z klatką pier-

siową konia. Długonogie brązowe zwierzę kłusowało do przodu i bokiem, demonstrując jakiś wyszukany, wyćwiczony krok, a ciało amazonki aktywnie w tym ruchu uczestniczyło. Kiedy koń wykonał piruet i nawrócił, w klamrze z masy perłowej, którą spięła włosy na karku, odbiło się słońce.

– Dobra jest, co nie?

– Zdecydowanie.

– A przy tym nieszczęśliwa – dodała Elizabeth.

– Pewnie tak. Tylko nie wiem, czy mówimy o tym samym?

– Raczej nie. Albo tak... Mnie chodzi o to, że odkryła u siebie ten talent dopiero po czterdziestce, i to jest smutne. Wcześniej nigdy nie dosiadała konia. Gdyby zaczęła w wieku dziesięciu lat, tak jak inne dziewczynki, to mogłaby dziś...

– ...siedzieć ze złamanym kręgosłupem w wózku sterowanym ustami – dokończył. – Nie lubię koni. Nie jestem pewien, czy one w ogóle mają mózgi.

– Zapytaj o to Monikę.

Koń i amazonka rzeczywiście jechali w ich stronę i Elizabeth do nich pomachała. Po twarzy kobiety nie było jednak widać, żeby to zauważyła. Wydawała się w pełni skupiona na tym, co właśnie robiła.

Wzrok Michaela powędrował za ogrodzenie, minął Monikę i Cavalierra z Pederslundu, o ile to był on, zabudowania stajni i zatrzymał się na odległej postaci, która stała nieruchomo na skraju lasu. Kaszkiet, kalosze, tweedowa marynarka, łaciaty pies myśliwski przy nodze.

I lornetka przy twarzy.

– To Peter – wyjaśniła Elizabeth.

Pomachała mu, a on opuścił lornetkę i wszedł do lasu.

– Niezbyt uprzejmy – skwitował Michael.

– To prawda. Dziwne. Zwykle jest... inny.

– Jedziemy?

Zeszli po schodach, lecz Elizabeth zamiast do samochodu skierowała się w stronę zagrody. Michael poszedł za nią, choć się ociągał. Koń najpierw stanął dęba, a potem ruszył w ich stronę kłusem, zarzucając głową. Wreszcie zatrzymał się przy ogrodzeniu, gdzie Monika Schmidt przerzuciła nogę przez jego grzbiet i z wdziękiem się z niego zsunęła. Pewnie wylądowała na ziemi i pociągnęła konia za sobą. Bez konia i wysokich obcasów wyglądała na znacznie niższą. Michael spodziewał się, że będzie urażona albo sprawi

wrażenie zdystansowanej, ale było inaczej. Na jej twarzy malował się ten sam delikatny smutek, który widział u niej wczoraj.

Elizabeth pochyliła się i pośpiesznie ją uściskała, a potem Monika wyciągnęła do niego dłoń w rękawiczce.

– Miło było cię poznać, Michaelu.

– Dziękuję i wzajemnie. Dziękuję również za wspaniałą kolację. Mam nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży.

– Z Charlesem Simpsonem?

Miała rumieńce po przejażdżce. Poza tym teraz, w dziennym świetle, wokół ust i oczu widać było wyraźnie jej wiek. Ale ona zawsze będzie piękna, pomyślał Michael.

– Z juniorem i całą resztą – potwierdził uprzejmie.

– Już jedziecie? – spytała.

– Musimy wysłać Michaela do Nowego Jorku – przypomniała jej Elizabeth.

Monika pokiwała głową i spuściła wzrok.

– Michaelu, zawsze jesteś tu mile widziany. – Zaśmiała się z lekką chrypką. – I oczywiście ty również, Elizabeth.

– Dziękuję – powiedział.

Przyciągnęła głowę konia nad swoje ramię i poklepała go po chrapach. Oczy zwierzęcia były wielkie jak jabłka.

– To Cavalier? – spytał Michael, a ona roześmiała się serdecznie i potrząsnęła głową, aż klamra zsunęła jej się z włosów na ziemię.

Podniósł ją i jej podał.

– Och, Michaelu! Nawet ty nie możesz być aż tak niewinny! To Zarina, niemiecka przyjaciółka Cavaliera.

Schylił się i zajrzał między nogi konia.

– No tak.

– Jego rozpoznałbyś z daleka.

– Zapewne.

Gdy jechali przez park, odwrócił się na miejscu pasażera i raz jeszcze obejrzał za siebie. Monika Schmidt znów siedziała na koniu, ale nagle, nie wiadomo skąd, pojawił się przy niej łowczy. Jego pies obwąchał ogrodzenie i podlał jeden ze słupków, gdy tamtych dwoje rozmawiało. Monika siedziała w siodle wyprostowana jak struna i patrzyła przed siebie, a mężczyzna gestykułował z ożywieniem.

Pojedynczy sygnał telefonu Michaela oznaczał, że dostał maila.

Pisał doktor Henkel, szwajcarski lekarz sądowy z Berna. Michael kliknął w załączony dokument i przeczytał wnioski wybitnego uczonego. Potem odchylił głowę i potarł palce.

– Co jest, Michael?

– Napisali z Berna.

– Już skończyli?

– Tak.

Popatrzył na zielone pola Junghoved i połyskujące błękitne wody Bøgestrømmen.

– Na łusce z mausera były odciski palców twojego ojca. Są zgodne z tymi ze szklanki.

– A na pudełku po naszyjniku?

– Tylko twoje, Elizabeth.

– Żadnych włosów albo naskórka?

– Nic.

– A płyty nie możesz im wysłać – dopowiedziała sobie sama.

– Na niej też są tylko twoje odciski – wyjaśnił i przypomniał jej: – Sam to sprawdziłem, mam proszek i folię.

– Idiotka ze mnie. Nie pomyślałam o tym, kiedy to znalazłam.

– Oczywiście, że nie. Nie mogłaś wiedzieć, co to jest. To mogło być cokolwiek.

– Zatem ojciec w krytycznym czasie poleciał do Szwecji należącym do Sonarteku odrzutowcem, a jego odciski palców znajdują się na naboju, który wyjąłeś ze strzelby użytej, jak sądzisz, podczas polowania i zabójstw dokonanych właśnie tam. Ale twoim zdaniem to wszystko za bardzo do siebie pasuje, więc potrzebujesz więcej dowodów. Czy dobrze rozumiem?

– Jak się dostał ze Sztokholmu do Norwegii i Finnmarku? – spytał w przestrzeń i poruszył się w fotelu.

– Nie wiem. Może samochodem, razem z pozostałymi. Nie jest to najpilniej strzeżona granica na świecie, prawda? To nie Korea Północna.

– Kim zatem byli ci pozostali? – zastanawiał się. – To pytanie jest teraz kluczowe.

– Dowiesz się tego?

– Jasne. Ten księgowy się odezwał?

– W sprawie tajemniczych transakcji z Kajmanami, Cyprzem albo Liechtensteinem?

– Mhm.

Spojrzała na zegarek.

– Ma zadzwonić po południu. Od naszego pierwszego spotkania ślęczy nad wyciągami z kont i kart kredytowych ojca.

– Świetnie.

Potem milczeli aż do przedmieść Kopenhagi.

– Co dalej? – spytała.

– Jest parę rzeczy, na które chciałbym popatrzeć – powiedział tajemniczo.

– A Norwegia?

– Pojadę tam, kiedy tylko będę mógł.

– Michael, minęły dwa lata. Co u licha spodziewasz się znaleźć na tym zapomnianym przez Boga pustkowiu?

– Prawdopodobnie nic tam nie ma. Ale jeśli nie pojadę, to już zawsze będę myślał, że coś tam zostało. Jakiś dowód. Ślad, który można przywieźć tej rodzinie i który oni będą mogli pogrzebać. Muszę to zrobić.

– Tak, oczywiście – przyznała zmęczonym głosem. – Wysadzić cię przed hotelem?

Kiedy wysiadł, pochylił się jeszcze, spojrzał do środka i się uśmiechnął.

– Jesteśmy w kontakcie.

Elizabeth popatrzyła na niego, zmrużyła lekko oczy, ale nie odwzajemniła uśmiechu.

– Michael, to był on. Taki się stał. Oni wszyscy się tacy stają.

– Pewnie masz rację – przyznał.

Pomachał jej, gdy odjeżdżała, a ona spotkała jego wzrok we wstecznym lusterku i podniosła obleczoną w rękawiczkę dłoń. Michael odwrócił się i już się nie uśmiechał. Po co Caspersen miałby wycierać własne odciski palców z płyty, którą zamierzał schować w swoim osobistym, pilnie strzeżonym sejfie?

Leżał na łóżku. Położył się tylko na chwilę, a przespał trzy godziny, nie śniąc o niczym konkretnym. Zesztywniały i na wpół przytomny poszedł do łazienki. W pełni obudził się dopiero, gdy pod prysznicem pomylił zimną wodę z ciepłą.

Zamyślony wytarł się przed lustrem, przez chwilę zastanawiał się, czy się ogolić, ale uznał, że nie ma na to siły.

Lene Jensen, komisarz policji. Głos w tyle głowy, który uporczywie nakazywał mu się z nią skontaktować, domagał się tego coraz głośniej, chociaż włączanie do śledztwa osób trzecich było wbrew niepisanyim zasadom jego branży. Nie miał jednak wyjścia. Musiał się dowiedzieć, jakie znaczenie dla sprawy ma samobójstwo Kima Andersena. I to jak najszybciej.

Pani komisarz Lene Jensen nie było w biurze... i nie, Komenda Główna nie udostępniała prywatnych numerów swoich pracowników. Również byłym funkcjonariuszom. Jeśli Michael chce, to może zostawić wiadomość a ona oddzwoni, gdy tylko będzie mogła.

Nie chciał, więc podziękował i się rozłączył.

Czy w głosie sekretarki nie było ledwie wyczuwalnego, chłodnego napięcia? Dwa razy pytała go o nazwisko i słyszał, jak wstukiwiała w komputer jego nazwisko i numer. Bawił się telefonem w kieszeni i próbował sobie przypomnieć dawnych kolegów z komendy w Hvidovre. Pracował u nich w dziale kryminalnym przez trzy lata, kiedy był jeszcze kompletnie zielony. Zastanawiał się, kto z ówczesnej załogi komendy wyróżniał się brakiem ambicji i mógł wciąż tam pracować.

Wszyscy byli wtedy młodzi, nieopierzeni i żądni sukcesów. Michael nie wyobrażał sobie, żeby ktokolwiek z tej ekipy utknął w Hvidovre. Ale było też paru starszych śledczych, jakby zrosniętych z tamtą komendą. Mieszkali w okolicy, a ich żony pracowały w szpitalu w Hvidovre. Pielęgniarki i gli-niarze zawsze stanowili naturalne i mocne połączenie.

Poszcęściło mu się. Daniel Tarnowski wciąż tam pracował, był w swoim biurze i doskonale Michaela pamiętał. Jego samego jak zwykle mocno to zaskoczyło. Sam siebie uważał za człowieka zupełnie niezapadającego w pamięć. Po wstępnych pytaniach o to, jak potoczyły się jego losy po wyjeździe z Hvidovre, na które Michael odpowiedział bez żadnych konkretów, Tarnowski zapytany o Lene Jensen nazwał ją cholernie twardą sztuką. W jego języku oznaczało to, że uważa ją za obsesyjnie pracowitą. Jego zdaniem pod tym względem mogła się równać tylko z tą zadzierającą nosa prawniczką, która została teraz komendant główną. Bo na temat Charlotte Falster Daniel Tarnowski również miał wyrobione zdanie i oczywiście zaraz zapytał, dlaczego Michael się nią interesuje.

Ten zamknął oczy i myślał gorączkowo.

Bo poznał ją na imprezie i zakochał się w niej na zabój? Raczej nie. Bo przeczuwał, że śledztwo, które ona aktualnie prowadzi w sprawie samobójstwa szeregowca z Holbæku tak naprawę pokrywa się z jego własnym dochodzeniem dotyczącym grupy oszalałych weteranów, którzy organizują profesjonalne polowania na ludzi w najbardziej niedostępnych miejscach globu?

Tak, to wyjaśnienie wywołałoby w Vestegnen niemałą konsternację.

Michael odwrócił sytuację o sto osiemdziesiąt stopni i powiedział zamiast tego, że to komisarz poprzedniego dnia zwróciła się do niego z pytaniem. Chciała wiedzieć, czy jako były kapitan żandarmerii w Gwardii Królewskiej wiedział coś o grupie szeregowców, którzy byli zamieszani w czarnorynkowy handel lekami oraz bronią i amunicją w Sarajewie. W toku śledztwa padło bowiem nazwisko Kima Andersena – samobójcy z Holbæku. Z kolei on, Michael, jest wymieniany jako oficer prowadzący śledztwo w aktach przekazanych jej przez audytorów.

Tu Michael zaśmiał się bezradnie.

– Powiem ci, Daniel, że ja z tego czasu gównie pamiętam. Kiedy zadzwoniła, to mieliśmy w domu sajgon, dzieci ryczały, z pralki ciekła woda, a nasza suka rodziła właśnie osiem szczeniaków. Więc o ile się nie mylę, kazałem jej spierdalać, co teraz wydaje mi się trochę nie w porządku, bo babka wykonywała tylko swoją robotę. Zapamiętałem jej nazwisko, ale numeru nie. I teraz w sumie przypomniałem sobie parę rzeczy z tamtej historii, których nie ma w raportach, a one mogą być ważne. Sam rozumiesz.

– Nie, nie rozumiem – obruszył się niespodziewanie jego rozmówca. – Uważam, że zachowałeś się jak dupek, że ją zjechałeś, kiedy ona próbowała

pracować. Wstydź się, Michael.

– Okej, no właśnie dlatego dzwonię. Przepraszam – wymamrotał skruszony.

– To nie mnie masz przeproszać, tylko ją.

– Wiem i naprawdę próbowałem ją znaleźć. Ale, kurde, Lene Jensen? Ich jest milion.

– Lepiej wyślij jej kwiaty – podsunął Tarnovski.

– Dobra, ale dokąd?

– Czekaaj chwilę.

Tarnovski podał mu adres we Frederiksbergu i prywatny numer komórkowy komisarz.

– Najlepiej od razu do niej zadzwoń – poradził Michaelowi.

Nastanie ery cyfrowej znacznie ułatwiło pracę śledczym takim jak Michael. Dziś za głupie sto pięćdziesiąt koron każdy może kupić w sieci niezawodny i wiarygodny nadajnik GPS z taśmą samoprzylepną do umieszczenia pod samochodem albo na dnie czyjejs torebki. Dzięki temu można sobie spokojnie w domowym zaciszu śledzić obiekt na Google Maps. Pod wieloma względami znajdowanie ludzi stało się znacznie łatwiejsze. Znacznie prościej jest również zostać odnalezionym, co z kolei jest drugą stroną medalu oraz jednym z powodów, dla których codziennie zmieniał telefon i używał wyłącznie numerów niezarejestrowanych.

Michael wpisał w wyszukiwarce telefonu www.google.com/latitude/, potem numer Lene Jensen i po dwóch sekundach już wiedział, że telefon i domyśle jego właścicielka znajdują się obecnie w Rigshospitalet przy Blegdamsvej 9 w Østerbro, główny gmach, wejście drugie.

Zmarszczył brwi, tej lokalizacji się nie spodziewał. Zaraz jednak zadzwonił na recepcję i poprosił o taksówkę.

Pół godziny później z zadartą głową patrzył na brzydką szarą fasadę budynku szpitala z lat osiemdziesiątych. Raz jeszcze sprawdził lokalizację. Telefon Lene Jensen się nie przemieścił. Wszedł do środka obrotowymi drzwiami i ruszył prosto do windy razem z milczącymi pacjentami, personelem w białych kitlach i posępnymi odwiedzającymi.

Na siódmym piętrze z zatłoczonej windy wysiadł tylko on. Rozejrzał się. Możliwości było kilka. Otworzył pierwsze szklane drzwi i od razu owionął go charakterystyczny szpitalny zapach. Przeszedł powoli przez poczekalnię,

wypatrując charakterystycznego, kasztanoworudego odcienia. Wszedł na korytarz prowadzący do kolejnego holu z windami i spróbował korytarza równoległego. Oddział chirurgii laryngologicznej. Pielęgniarka siedząca w przeszkłonej dyżurce obejrzała się za nim, on z kolei omiół wzrokiem dwoje zmumifikowanych pacjentów spożywających przy stole posiłek powoli i w całkowitej ciszy. Jakby jeden nieostrożny ruch przeżuwaczy albo zbyt ciche słowo mogły sprawić, że posypie się cała misterna konstrukcja z szyn, śrubek, gumek i starannie złożonych kości czaszki.

Tamci jednak również się za nim obejrzel i Michael nagle poczuł się jak na celowniku. Gdy do tego zadzwonił jego telefon, jedna z pielęgniarek spojrzała na niego ze złością, przyłożyła palec do warg, a drugą ręką wskazała na wiszący na ścianie znak zabraniający korzystania na oddziale z komórek. Najwyraźniej powodowały zwania w respiratorach czy innych podtrzymujących życie maszynach.

Michael truchtem wybiegł z oddziału. W holu znalazł pustą wnękę z kanapami i fantastycznym widokiem na rozległe trawniki Fælledparken i dalej, na miejskie wieże, iglice i dachy. Na poręczy za oknem siedział gołąb i przyglądał mu się ruchliwymi czerwonymi oczami. Miał wielką narośl na jednej stopie i Michael zastanawiał się, jakim cudem ten ptak jeszcze żyje, nie mówiąc o tym, w jaki sposób utrzymuje równowagę na tej poręczy.

– Michael.

– Keith. Jak leci?

– Znakomicie.

– Na pewno?

– Jasne – zapewnił przyjaciela Michael.

Kaleki gołąb odleciał i na gzyms pomiędzy ścianą budynku a poręczą wolno opadły dwa pióra. Obróciły się jeszcze wokół własnej osi i zastygły między petami i kartonikami po soczkach.

– Running Man Casino – powiedział Anglik. – Indie Zachodnie. Antigua i Barbuda. Na północ od Wenezueli i na zachód od Puerto Rico. Kraina piratów. Mikropaństwo. To oni finansują twoich morderczych myśliwych.

– Kasyno?

– Serwis pokerowy w sieci. Zachodnie Indie się w tym wyspecjalizowały. I jeśli chcesz znać moje zdanie, to doskonały pomysł – stwierdził z uznaniem jego dawny mentor. – Wprost genialny. Dziwne, że nikt nie pomyślał o tym wcześniej.

– Może pomyślał.

Michaelowi przemknęło przez głowę wszystko, co mu się kojarzyło z całym ciągiem dawnych kolonii hiszpańskich i brytyjskich wzdłuż Morza Karaibskiego, od Florydy po północną Wenezuelę. Cały ten teren to polityczne, geologiczne i meteorologiczne piekło, kompletnie nieprzewidywalne i rozchwiane. Było tam wszystko: plantacje trzciny cukrowej, niewolnictwo, rum, dyktatorzy, tropikalne huragany, trzęsienia ziemi, kokaina, piękne plaże i nowocześni piraci w garniturach Armaniego z dredami, złotymi łańcuchami, bentleyami i bronią maszynową.

– To niezależne państwo – ciągnął Mallory. – Commonwealth, plaże, reggae, muzyka steel band, drinki z parasolkami, rastafarianie i...

– Małe banki i strony pokerowe – dokończył Michael.

– Małe banki z bardzo dużymi prywatnymi kontami, które utrzymują się z tego, że nigdy, ale to nigdy nie udostępniają jakichkolwiek informacji o właścicielach tych rachunków – sprecyzował Keith. – Kolumbijczycy i meksykańskie kartele muszą gdzieś inwestować swoje narkodolary, a internetowe kasyna idealnie się nadają do prania brudnych pieniędzy. Żeby w to wejść, wystarczy bambusowa chata na plaży z zajebicie szybkim internetem, ze dwa duże serwery chłodzone wodą i przyjazny mały bank.

Michael pokiwał głową.

To rzeczywiście był dobry pomysł. Pytanie, kto na niego wpadł. Fleming Caspersen? Przyjaźnił się ponoć z najbogatszymi i najbardziej wpływowymi ludźmi na świecie: najlepiej opłacanymi lobbystami w Waszyngtonie, miliarderami z Mumbaju, rosyjskimi oligarchami i szefami koncernów naftowych. Wszyscy byli zależni od produktów Sonarteku i pewnie każdy z radością wyświadczyłby Caspersenowi przysługę, gdyby ten chciał na przykład uruchomić internetowe kasyno w Indiach Zachodnich. Pytanie, czy można go uznać za jedyne go klienta czy też istniał cały rynek ekskluzywnych rozrywek dla starych, znudzonych życiem, ale wpływowych mężczyzn spragnionych coraz bardziej ekstremalnych doznań.

– Chryste, Keith. To trochę...

– Co mówisz? – zaszyfrowany telefon Anglika zatrzeszczał i zapiszczał.

– Kim jest twój informator? To ktoś zaufany?

– Mike, a kto jest dziś zaufany? Ty i ja. Nikomu więcej nie ufam. Ale tak, jako informatorowi można mu wierzyć. Ludzie z RunningMan zwrócili się do niego z pytaniem, czy nie chciałby być „przewodnikiem” podczas bardzo specyficznych wyjazdów na polowania dla niezwykle majątnej klienteli. Odmówił, ale go zaintrygowali, więc trochę pogrzebał i okazało

się, że na ich stronie jest specjalny bonus dla stałych i szczodrych klientów grających w gry bez górnego pułapu stawek. Obiecują wyjątkowe przeżycia. Jedyne w swoim rodzaju. Reklamują to banerami, które pozornie nie mają związku z kasynem, ale których nie widziałem nigdzie poza ich stroną. Jest na nich mowa na przykład o safari dla szczególnie wymagających klientów.

– I płaci się za to, przegrywając w pokera?

– Tak sędzę.

– A co, jeśli się wygra?

– Nie wygra się. Wszystko jest fejkowe jak cycki Cher. To po prostu miejsce, w którym ten wąski krąg wybrańców może się spotkać, ustalić co trzeba i rozliczyć. Wszystko się podwójnie szyfruje. Ich algorytmy są nie do złamania.

– Running Man Casino, powiadasz?

– Ładna nazwa, co nie?

Michaelowi przed oczami stanęło DVD Elizabeth Caspersen, twarz Kasprowa Hansena i pusta krawędź klifu.

– Bardzo adekwatna – przyznał. – Dzięki, Keith.

– Nie ma za co.

Przez chwilę milczeli obaj. W końcu odezwał się Anglik.

– Nie chciałem ci tego mówić, Mike, ale myślę, że to trochę inny kaliber niż to, co dotąd robiłeś. To jest... grube. Bardzo grube, wiesz, co chcę przez to powiedzieć?

Michael pokiwał głową. Gołąb wrócił i przysiadł na poręczy dwa metry dalej. Znowu mu się przyglądał, jakby Michael był wielkim hot dogiem, a ptak miał wobec niego plany niemożliwe do zrealizowania.

– Tak, wiem. Dzięki, ale chyba muszę to po prostu uwzględnić przy tym zadaniu.

– Jesteś pewien? Bo gdybyś chciał, to jest w tej chwili robota w S & W.

– Uzbekistan?

– Gorzej. Nigeria.

– A tam nie ma teraz wojny domowej? Wydawało mi się, że ganiają i strzelają do szybów naftowych.

– I z tego właśnie żyjemy. Pilnujemy ropy, żeby twoje dzieci nie marzły zimą. Zapomniałeś już?

Michael wyobraził sobie na chwilę ostry, dławiący zapach płonącej ropy. Jakby sama Matka Ziemia z wściekłością pluła ogniem, żeby unicestwić pa-

zerną ludzkość, która wierciła w jej brzuchu kilometrowe dziury.

– Dzięki, Keith, ale nie. Lubię Danię jesienią. Poza tym...

– Żona i dzieci – przerwał mu przyjaciel. – Rozumiem. Na razie, Mike.

Najlepiej od razu zrób mi przelew.

Michael stał jeszcze chwilę z telefonem w ręce i patrzył przed siebie pustym wzrokiem. Nigeria. Ciemny kontynent. To określenie doskonale oddawało jego charakter. Był tam wielokrotnie.

A potem wróciło do niego to, co podświadomie odnotował, zanim rzucił się w dół korytarza ze swoim beczelnie dzwoniącym telefonem. Ponownie spojrzął na drzwi prowadzące na oddział. Kolor. Coś kasztanowego błysnęło mu na skraju pola widzenia, kiedy mijał jedną z sal. To był ten kolor. Wyłączył dźwięk w telefonie i otworzył drzwi do królestwa największych ekspertów od chirurgii laryngologicznej.

Powoli szedł korytarzem, aż znalazł tamte drzwi. Nadal były uchylone. Kolor się zgadzał. Poza fragmentem włosów widział przez szparę kawałek niskiego krzesła, część bladej jak ściana twarzy i granatową bluzę z kapturem. Zapukał niepewnie i przyglądał się siedzącej w środku postaci. Nie poruszyła się. Zapukał głośniejsze i się rozejrzał. Mumie przy stole znowu go obserwowały. Jedna miała rurkę wsuniętą w metalową konstrukcję i Michaelowi przyszła do głowy absurdalna myśl, że pod tymi bandażami i opatrunkami znajdują się kobiece oczy w pełnym makijażu.

Pchnął szerzej drzwi i stanął w małym wyłożonym linoleum pokoju przechodnim.

– Halo?

Odkasznął. Postać w fotelu przy oknie pozostała nieruchoma. Włosy były piękne, tak jak zapamiętał. Ogniste i lśniące, ale jej twarz przypominała maskę opartą na zaciśniętych w pięści dłoniach i zwróconą do podłogi. Pokój wyglądał jak sala jednoosobowa, tylko bez łóżka. Nie było tu nic poza tym fotelem i siedzącą w nim kobietą. Michael kucnął przed nią.

Była w bluzie i dzinsach. Bardzo powoli położył rękę na jej kolanie i zaraz ją cofnął.

– Lene?

Komisarz miała opatrunek na lewym oku, a na szyi poniżej ucha – zaschniętą krew. Podniosła nieznacznie głowę i popatrzyła na niego zielonymi, suchymi oczami, najwyraźniej nie uznając go za wartego uwagi. W tych oczach nie zobaczył nic.

– Lene? Nazywam się Michael Sander. Chciałem...

Co właściwie miał jej powiedzieć?

Wstał. Kobieta się nie poruszyła, a wzrok ponownie wbiła w podłogę. Michael wyjął z portfela jedną ze swoich rzadko używanych wizytówek, na których było tylko jego nazwisko. Napisał na niej swój aktualny numer i położył wizytówkę na oparciu fotela.

– Zadzwoń do mnie. Chodzi o Kima Andersena. Wydaje mi się, że możemy pomóc sobie nawzajem.

Bezradnie wzruszył ramionami, schował ręce do kieszeni i ruszył w stronę drzwi.

Nagle zmienił zdanie i odwrócił się do niej raz jeszcze.

– Yyy... wydaje mi się, że nie mamy za wiele czasu, więc... zadzwoń, kiedy tylko... no, kiedy wyzdrowiejesz, okej?

Trzymał już rękę na klamce, kiedy coś wyszeptała. Cofnął się o krok i popatrzył na nią.

– Co powiedziałaś?

– Nie mogę z nikim rozmawiać – powiedziała i powoli pokręciła głową.

– Nie mogę z nikim rozmawiać.

– Dlaczego?

Zielone oczy Lene Jensen wypełniły się łzami, które otarła mechanicznie grzbietem dłoni. Dłonie miała brudne, paznokcie połamane.

– Nie mogę – powtórzyła.

Podniosła wizytówkę i przeczytała.

– Kim jesteś?

Podszedł bliżej, starając się nie przekraczać granicy między niezbędną bliskością a koniecznym dystansem. Lene Jensen była jak spłoszone zwierzę.

Zawahał się, ale wciągnął głęboko powietrze.

– Lene, pozwól więc, że ja będę mówił. Możesz mi przerwać albo nie, możesz też pokiwać głową, jeśli uznasz, że to, co mówię, ma sens, albo nią kręcić, gdy stwierdzisz, że nie ma, dobrze? Kim Andersen jest weteranem Gwardii Królewskiej. Służył w Afganistanie, Iraku i Bośni. Jest również członkiem grupy zrzeszającej byłych żołnierzy, która zorganizowała w pół-

nocnej Norwegii coś w rodzaju polowania na dwoje przypadkowych turystów. Chodzi o pewną parę, Duńczyka Kaspra Hansena, który był inżynierem, i jego żonę Norweżkę, Ingrid Sundsbö, graficzkę. Ona miała trzydzieści jeden lat, ona dwadzieścia dziewięć. Polowanie odbyło się dwudziestego czwartego marca dwa tysiące dziesiątego roku. Nie wiem, kiedy dokładnie zginęła Ingrid, ale Kasper został zastrzelony o wpół do siódmej wieczorem. Byli rodzicami dwuletnich bliźniąt.

Michael urwał na chwilę, żeby jej się przyjrzeć. Czy cokolwiek z tego do niej docierało? Jej twarz pozostawała obojętna, ale czy głęboko, w tych zielonych oczach nie pojawił się słaby żar?

– Moja wstępna teoria jest taka, że podczas tego polowania Kim Andersen został ranny w nogę. Istnieje... film przedstawiający finał polowania. To rodzaj trofeum, żeby klient mógł raz jeszcze poczuć ten dreszcz, kiedy wszyscy w domu zasną. Nie wiem, czy te zabójstwa były jedynymi czy może ta grupa organizowała podobne polowania na ludzi również w innych miejscach. Wydaje się, że mają w tym wprawę. Jestem kimś w rodzaju prywatnego detektywa, a wynajęła mnie osoba, która weszła w posiadanie tego nagrania i chce odnaleźć tych ludzi. Przypuszczam, że grupa może mieć siedzibę w pewnym dworku na południu Zelandii. Sądzę, że są weteranami duńskich sił zbrojnych i zostali zwerbowani przez skupione wokół dworku organizacje łowieckie. Uzyskałem informację, że ich honoraria są wypłacane w formie wygranych w internetowym kasynie o nazwie Running Man Casino zarejestrowanym w Indiach Zachodnich. Brakuje mi dowodów i dodatkowych informacji, zwłaszcza o Kimie Andersenie. Naprawdę się powiesił czy ktoś mu pomógł? Gdybyśmy mogli w jakiś sposób współpracować, bardzo by mi to ułatwiło sprawę. Wręcz ogromnie.

– Jesteś jednym z nich? – spytała w podłogę.

– O kim mówisz?

– To jakiś test? Nic nie powiem, już mówiłam. Obiecałam. Nie róbcie jej krzywdy.

Po jej twarzy znów popłynęły łzy.

Wielkie nieba, co oni z nią zrobili. Michael szczerze się zaniepokoił. Pamiętał z gazet jej zdjęcia. Przypomniał sobie również, że Tarnowski nazwał ją twardą i zaciętą. I twierdził, że była z tego znana.

Znowu kucnął przed nią i starał się uchwycić jej wzrok ukryty pod rudymi włosami, ale bezskutecznie. Nie chciała na niego spojrzeć.

– Nie, Lene. Nie jestem jednym z nich – powiedział głosem możliwie najbardziej opanowanym i ciepłym. – Pracuję sam. Nie wiem, co ci się stało ani kto leży w sali obok, ale, jak powiedziałem, możemy sobie wzajemnie pomóc. Uważam, że powinnaś zadzwonić, kiedy się namyślisz. – I dodał z uśmiechem: – Odbieram telefon o każdej porze dnia i nocy i bardzo bym chciał z tobą porozmawiać.

Wstał i popatrzył na nią. Miał powiedzieć coś jeszcze, ale ktoś zapukał do drzwi. Nie czekając na odpowiedź, szczupła siwa kobieta w ciemnym garniturze weszła do pokoju i zmierzyła go wzrokiem.

Na głowie miała nienagannego boba, a oczy, którymi go taksowała zza szkieł okularów, były jasne i bystre. Michael posłał jej uśmiech, ale go nie odwzajemniła.

Wyciągnął rękę.

– Michael Sander.

– Charlotte Falster. Przepraszam, myślałam... Czyli nie jesteś ojcem Josefine?

Nie słyszał, jak komisarz Jensen wstała z fotela i zaskoczyła go siłą, z jaką ścisnęła go za ramię. Lene Jensen odepchnęła go na bok, wciąż nie patrząc na niego, tylko na kobietę, która właśnie przyszła.

– On już idzie – oznajmiła.

Minęło kilka bardzo długich sekund, zanim Charlotte Falster otrząsnęła się jako pierwsza.

– Lene, mogę poczekać na korytarzu, aż...

Komisarz popatrzyła na Michaela nieobecny wzrokiem i wskazała głową na drzwi.

– Zostań, Charlotte. Do widzenia, Michael. Dzięki, że wpadłeś.

Popatrzył na nią zaskoczony.

– Nie ma za co.

Jeszcze raz uśmiechnął się do kobiety w garniturze i mijając ją, wyszedł z pokoju. Kiedy zamknął za sobą drzwi, usłyszał, jak Charlotte Falster zaczyna zadawać pytania głośno i wyraźnie. I usłyszał, jak Lene Jensen wybucha płaczem.

Uśmiechnął się do siebie. Nie dlatego, że go to rozbawiło, ale ponieważ zauważył szybki, ukradkowy ruch, z jakim komisarz schowała jego wizytówkę do kieszeni bluzy.

Szklane drzwi eleganckiego biurowca przy Bredgade otworzyły się automatycznie. Michael minął witryny, w których wyeksponowano wyszukaną ceramikę oraz kunsztownie tkane dywany, i wszedł do zadaszego atrium stanowiącego serce budynku. Uśmiechnął się do kobiety, która wyszła właśnie z okrągłej przeszklonej windy po drugiej stronie dziedzińca, sam wszedł do środka i wcisnął guzik trzeciego piętra, gdzie mieściła się kancelaria adwokacka Holm, Joensen & Partnerzy. Wszedł z windy, podszedł do eleganckiej recepcji i oznajmił obsługującej ją dziewczynie:

– Michael Sander do Elizabeth Caspersen.

– Sander?

Michael potwierdził skinieniem i dziewczyna wskazała czarny skórzany fotel z chromowanymi poręczami.

– Pięć minut – powiedziała. – Może się pan napić kawy albo wody.

– Dziękuję.

Usiadł i rzucił okiem na magazyny architektoniczne zachęcająco rozłożone jak wachlarz na szklanym blacie niskiego stołu i będące chyba stałym elementem wystroju eleganckich recepcji. Powietrze było suche, a temperatura – przyjemna. Słychać było cichy szum klimatyzacji.

Michael potarł nieogoloną brodę i ze smutkiem pomyślał o komisarz, którą zastał w szpitalu w stanie głębokiego szoku i odrętwienia. Miał wrażenie, że wpadła w otchłań, że najczarniejsza rozpacz spowiła ją jak zbyt ciężki płaszcz. Że doszła do granicy, za którą nie było już nic.

Wstał, gdy usłyszał stukanie obcasów o granitową posadzkę.

– Elizabeth...

– Cześć, Michael.

Poważna i skupiona ruszyła przodem, prowadząc go przez kolejne szklane drzwi w dół długiego korytarza z biurami po obu stronach. Zatrzy-

mała się przy biurze ze swoim nazwiskiem, otworzyła je i przepuściła go przodem.

Ściany od podłogi po sufit zastawiono regałami z oprawionymi czasopi-smami prawniczymi, na podłodze leżał stary perski dywan. Pomieszczenie wyposażone było w całkiem zwyczajne meble biurowe. Elizabeth najwy-rażniej nie zależało na sztucznym tworzeniu dystansu. Usiadła na niskiej kanapie i zaprosiła go, żeby usiadł na jej drugim końcu.

Widać było, że jest jej trudno usiedzieć w jednym miejscu.

– Michael, tym razem to ja mam wieści – powiedziała od razu. – Trochę dobre, trochę... jakby problematyczne. Dziękuję, że od razu przyjechałeś.

– Nie ma sprawy – zapewnił ją i spróbował przywołać na twarz entuzja- styczny uśmiech.

– Rozmawiałam z szefem duńskiego biura rachunkowego ojca, raczej... to międzynarodowa spółka, więc rozmawiałam z szefem ich duńskiego od- działu.

– Rozumiem.

– No właśnie. Więc musiałam mu podać różne hasła, inaczej on nie mógłby... – Wiła się i czerwieniła, jakby zamierzała mu wyznać, że próbo- wała wdychać gaz do zapalniczek, gdy miała piętnaście lat.

Michael cierpliwie czekał, aż przejdzie do rzeczy, choć miał nadzieję, że nastąpi to wkrótce.

– On wpadł na pewien trop, znalazł sposób, w jaki można było przelać pieniądze ludziom, którzy...

– Zamordowali Kaspra Hansena i Ingrid Sundsbö – dokończył za nią.

– Właśnie. Ten księgowy znalazł pewien kanał, bardzo poufny, którym można przesyłać naprawdę duże kwoty. Nie uwierzysz, ale...

– Running Man Casino, Antigua i Barbuda?

Zamrugnęła pośpiesznie i natychmiast zamknęła usta.

– Skąd, u licha, to wiesz? – spytała po chwili. – Jakim sposobem udało ci się...

Kiedy po prostu wzruszył ramionami, wybuchnęła:

– Michael, do cholery, dlaczego mi nie powiedziałeś? Tak się tym ekscy- towałam.

Zacisnęła pięści, aż zbieleły jej kostki. Pochyliła się ku niemu, jakby chciała go uderzyć. Była wysoka, szczupła i z pewnością wysportowana. I miała duże dłonie. Nie wątpił, że gdyby Elizabeth Caspersen dostatecznie

się wściekła, mogłaby mu zrobić krzywdę. A czy on mógł sobie pozwolić, żeby jej oddać? Klientce? Z pewnością nie.

Podniósł ręce na znak, że się poddaje.

– Dlatego, że wiem o tym dopiero od kilku godzin. Słowo honoru. Rozmawiałem z dawnym kolegą i daję głowę, że on sam dowiedział się kilka minut przed tym, jak do mnie zadzwonił.

Popatrzyła na niego. Naturalnie wąskie usta zacisnęła w cienką kreskę, a leżące na kolanach dłonie nadal były zaciśnięte.

Uśmiechnął się pojednawczo:

– Ale to dobrze, że udało się to potwierdzić także z innego źródła. Bardzo dobrze.

Zamknęła oczy i wciągnęła głęboko powietrze.

– Dobra, kurwa. Niech ci będzie.

Michael się zaśmiał i podrapał po karku.

– Z czego się śmiejesz? – spytała podejrzliwie.

– Z ciebie. Wybacz, ale jak na prawniczkę, w dodatku zasiadającą w Sądzie Najwyższym i wychowaną przy Richelieus Allé, trochę mnie dziwi, że przeklinasz jak robotnik drogowy.

Zaczerwieniła się i spuściła wzrok. A potem uśmiechnęła się zawstydzona.

– W sądzie też się tak wyrażasz? – spytał. – Doskonale cię rozumiem. Trzeba pokazać ławnikom, że nie jesteś miękka i jeśli pokpią sprawę, to dasz im popalić.

– Teraz rzadko bywam na sali rozpraw. Wspecjalizowałam się w prawie gospodarczym. Zajmuję się głównie wynajdywaniem dla bogaczy luk i kruczków w prawie i robię to tutaj.

– Co jeszcze powiedział ten księgowy? Dowiedział się, kto jest właścicielem kasyna?

– Transparentność nie jest bynajmniej tym, z czego słynie sektor bankowy w Indiach Zachodnich. Można tam ukryć właściwie wszystko. A księgowy ojca chyba skorzystał z pomocy jakiegoś hakera.

– Dobra myśl. – Michael z uznaniem pokiwał głową.

– Ale nie takiego zawalonego kartonami po pizzy, puszkami po coli i z dziwną ksywką, tylko człowieka, który ponoć pracuje w firmie zajmującej się cyberbezpieczeństwem. I który rzeczywiście był dobry.

– Zamieniam się w słuch.

– Running Man Casino powstało jakieś pięć lat temu w Antigui – ciągnęła. – Oferują online pokera, blackjacka, ruletkę, jednoręki bandytyw i inne gry. Są podstroną większej platformy, przez którą wchodzi się też na inne międzynarodowe portale oferujące gry hazardowe. Te strony cały czas otwierają się i zamykają, i wracają pod zmienionymi nazwami i ze zmienionymi danymi kontaktowymi. Jako strony z pornografią, wyjaśnił księgowy.

– Z pornografią?

– Proszę, nie mów mi, że porno w internecie to dla ciebie nowe zjawisko.

– Coś tam słyszałem – potwierdził Michael.

– Formalnym właścicielem kasyna jest spółka z siedzibą w Panama City, Pan Pacific Equity. Mówiąc „siedziba”, mam na myśli sekretarkę siedzącą w biurze z dostępem do komputera i telefonu.

– Spółka w spółce w spółce.

– Tak to z reguły wygląda – pokiwała głową. – A teraz dowiedziałam się czegoś, co od zawsze mnie zastanawiało...

– Co takiego?

– W jaki sposób firma ojca wręcza łapówki. To przecież jasne. I nawet wzniosłe, poniekąd.

Michael nie był zdziwiony. To oczywiste. Przecież nie wszystkie państwa, z jakimi Sonartek prowadził interesy, przestrzegały międzynarodowych konwencji. Wśród klientów mogli mieć zarówno dyktatury, jak i demokracje. Branża zbrojeniowa nie jest dla ludzi wrażliwych i płochych. Łapówka mogła być jedynym sposobem na utrzymanie porządku.

– O jakich kwotach mówimy?

– Jakies trzydzieści milionów dolarów rocznie przez ostatnich pięć lat.

Michael zagwizdał. To więcej niż wystarczająco, żeby skrzyknąć największych twardzieli świata i zrobić z ich pomocą wszystko, co zechcesz i jeszcze posmarować różnym wysoko postawionym urzędasom we właściwych ministerstwach obrony.

– Jest w tej sprawie jakiś duński trop?

Nie odpowiedziała, tylko podeszła do stojącej w rogu szafki kartotekowej. Wyjęła z niej kopenhaski dziennik i położyła przed nim. Michael znał tę gazetę i ten artykuł.

– Kim Andersen. Znałam go nawet, spotkaliśmy się parę razy na zamku, ale nigdy wcześniej nie myślałam, że był kimś ważnym, aż przeczytałam to. I nawet nad tym artykułem niespecjalnie bym się zastanawiała, przed rozmową z księgowym. Znasz tę sprawę?

– Akurat znam. Gwardzista. Weteran. Samobójstwo.
– Był względnie zamożny w chwili śmierci – zauważyła cierpko Elizabeth.

Michael podniósł wzrok znad strony tytułowej. Zdjęcie przedstawiało Lene Jensen idącą przez parking pod komisariatem w Holbæku. Patrzyła w stronę fotografa, nie uśmiechała się i miała na sobie tę samą bluzę z kapturem, w której aktualnie się ukrywała na oddziale zniszczonych twarzy.

– Tak?

– Miesiąc temu otrzymał z Credit Suisse w Zurichu przelew na równowartość dwustu tysięcy franków szwajcarskich.

– Od Running Man Casino?

– Dokładnie. A wypłatę zatwierdził Victor Schmidt w lipcu dwa tysiące dziesiątego.

– Victor?

– Własnym cyfrowym podpisem. Nie do podrobienia.

– To ciekawe – zamyślił się Michael. – Nawet bardzo ciekawe. Tak naprawdę to jest dowód.

– Wiem. Chcesz kawy? Niestety nie mam nic mocniejszego, chociaż sama chętnie bym się teraz czegoś napiła.

– Tak, poproszę – potwierdził mechanicznie.

– Z mlekiem?

– Tak.

Elizabeth zajęła się termosem, filiżankami i cukierniczką. Nalała mu kawy, usiadła na kanapie i skrzyżowała nogi.

– Dlaczego akurat miesiąc temu? – zastanawiał się Michael.

Nim odparła, odstawiła filiżankę i sama się zamyśliła.

– Ożenił się dzień przed tym, jak się powiesił. Wesele jest dziś wydarzeniem samym w sobie, symbolem przerostu formy nad treścią. Ludzie przecigają się, żeby udowodnić coś innym. Słowem, ślub stał się cholernie drogi.

– No tak.

Na jego ślubie z Sarą w wiejskim kościele w Devon było dwanaście osób. Potem wszyscy poszli do pubu. A jeszcze później właściciel lokalu razem z Mallorym zanieśli go do łóżka, zaś Sara balowała dalej z gośćmi. Uśmiechnął się na to wspomnienie. Ta bez wątpienia niezapomniana impreza kosztowała ich dwa tysiące funtów, wraz z noclegiem i śniadaniem.

Michael wskazał na małe zdjęcie Lene Jensen na stronie tytułowej.

– Ta kobieta jest komisarzem policji z Komendy Głównej i z tego, co mówią, to kompetentna, twarda i uparta babka. Widziałem się z nią dziś w Rigshospitalet. Jest w rozsypce. Coś kompletnie ją załamało.

– Posłuchaj. Chyba nie możemy dalej pracować w ten sposób – powiedziała cicho Elizabeth. – Ty mi najwyraźniej nie ufasz, mimo że to ja cię zatrudniłam i to ja ponoszę największe ryzyko, jeśli ten film wycieknie.

– Oczywiście, że ci ufam, ale również jestem zawodowcem i nie widzę sensu ryzykować, że się wygadasz albo że ktoś przypadkowy usłyszy, o czym rozmawiamy. To byłaby prawdziwa katastrofa.

Elizabeth Caspersen dotknęła swojej piersi dłońmi ze starannie wykonanym manicurem i wyraźnie wstrząśnięta wyznała:

– Miałabym komukolwiek powiedzieć, że mój ojciec był psychopatą i mordercą?

Ze spokojem wytrzymał jej wściekły wzrok.

– Oczywiście nie specjalnie. Mnie zresztą również mogłoby się to zdarzyć. Też jestem tylko człowiekiem, wiadomo. Ale im mniej osób wie, czym się zajmujemy i czego się dowiedzieliśmy, tym większe mamy szanse na wyciek informacji. To kwestia zachowania równowagi. Bo komuś jednak powiedzieć trzeba.

– Michael, mnie chodzi o komunikację. Zostałam nauczona, że jest kluczowa, podobnie jak ty nauczyłeś się, żeby zawsze trzymać gębę na kłódkę. I to się ze sobą jakby trochę kłóci.

Musiał się uśmiechnąć.

– Moim zdaniem ludzie przeceniają wagę komunikacji – przyznał. – Przesadna komunikacja to plaga naszej cywilizacji. Spotkania dla spotkań. Informacje bez treści.

Elizabeth dostarczyła mu kolejnego dowodu swojej maestrii w wyrażaniu emocji brwiami.

– Niech ci będzie. – Wzięła gazetę do ręki i przyjrzała się stronie tytułowej. – Lene Jensen. Dlaczego oni w ogóle się zajmują samobójstwem?

– Nie wiem. Ale tego Kima Andersena znalazłem na kilku zdjęciach wiszących w pokoju Jakoba. Na zdjęciach z Iraku, Afganistanu i ze schodów w Pederslundzie. Wszyscy uśmiechnięci. Panna Nielsen ze srebrną tacą. Róg myśliwski i poranna odprawa.

– Byłeś w pokoju Jakoba? Zabiłby cię, gdyby cię tam zastał. To najbardziej skryty i nieśmiały człowiek, jakiego w życiu spotkałam. Nie znosi ludzi. Tak ogólnie.

– Oczywiście, że byłem w jego pokoju. A myślisz, że po co chciałem tam pojechać?

Patrzyła na niego w osłupieniu.

– A skąd miałam wiedzieć?! Powiedziałeś, że chcesz się przyjrzeć ludziom z bliskiego otoczenia ojca. Sam tak powiedziałeś, do cholery.

– Naprawdę? Cóż, w takim razie miałem więcej powodów.

– Najwyraźniej. I co, mówisz, że jest w rozsypce. W jakim sensie? I dlaczego? Spotkało ją jakieś nieszczęście? Mów, co się stało i dlaczego chciałeś się z nią zobaczyć?

Odłożyła gazetę i popatrzyła na niego zaniepokojona.

– Nie chciałeś jej chyba opowiedzieć o polowaniu, prawda? I filmie? Michael, nie wolno ci tego robić. Nie wolno ci!

– Wcale nie zamierzałem. – Swobodnym gestem nalał sobie mleka do filiżanki. – Oczywiście, że nie, ale Andersen nie żyje, z nim już nie porozmawiam. A muszę go jakoś umiejscowić w tej historii. W szerszym kontekście z kasynem w Indiach Zachodnich i dwustoma tysiącami franków z Credit Suisse. Przyznasz, że to się robi nieco skomplikowane.

– Albo właśnie bardzo proste, Michael. To jest klub strzelecki. Taki dla myśliwych, którym się znudziło zwykłe ganianie za zwierzyną. I którzy chcieli spróbować czegoś innego i znaleźli sposób, jak to zrobić.

Popatrzył na nią smutno i napił się kawy.

– Możliwe. Tak czy inaczej chyba się spóźniłem. Ta policjantka jest obecnie najbardziej traumatyzowanym człowiekiem, jakiego w życiu widziałem.

– Więc co teraz? – spytała.

– Jakob Schmidt...

– Co z nim?

– Ma tatuaże?

Zamyśliła się.

– Chyba tak. Teraz wszyscy mają, prawda? Dlaczego pytasz?

Michael wskazał na swoją szyję.

– A na przykład skorpiona? Tu, pod uchem? Nie znalazłem go na żadnym ze zdjęć na ścianie w jego pokoju. On naprawdę jest jak przekłeta zjawa, dokładnie tak, jak to określił jego ojciec.

Elizabeth pokiwała głową.

– Jemu to odpowiada. Ale skorpion? Nie, nie sądzę, żeby miał coś takiego. Chociaż ostatnimi laty prawie go nie widuję. Oczywiście mógł sobie

zrobić tatuaż na szyi. Mam go spytać?

– Broń Boże. Zapomnij o tym.

Wyjrzał przez okno. W atrium zapalono światło. Na zewnątrz zapadał zmierzch i Michael poczuł się śmiertelnie zmęczony.

– Elizabeth, pytałaś, co powinniśmy zrobić. Otóż moim zdaniem pora przejąć inicjatywę.

– To znaczy?

– Powiedziałaś, że jesteś gotowa poświęcić temu wszystko, co masz, tak?

– Tak i nadal tak twierdzę – powiedziała stanowczo. – Wiem, że kręciłam nosem, kiedy chciałeś wynająć helikopter i tak dalej, ale już mi przeszło. Wal śmiało.

– Doskonale, bo jestem świetny w szastaniu cudzymi pieniędzmi. Mam pomysł, który będzie drogi. Bardzo, bardzo drogi.

– Okej, co chcesz zrobić?

Odchylił się i popatrzył obojętnym wzrokiem na perski dywan.

– Byłoby świetnie wprowadzić kogoś tylnym wejściem do Running Man Casino – powiedział. – Wpuścić tam konia trojańskiego.

Pokiwała głową.

– Masz na myśli kogoś konkretnego?

– Znam jednego piekielnie zdolnego gościa.

35

Porozmawiali jeszcze kilka minut, po czym Michael odbył bardzo długą rozmowę telefoniczną w obecności Elizabeth i na głośnomówiącym.

Tak naprawdę sprawę przesądziła decyzja klientki – i jej pieniądze, oczywiście.

Gdy skończył, Michael dopił kawę, a Elizabeth usiadła przy komputerze. Po paru minutach podniosła głowę, popatrzyła na niego i wcisnęła enter. Rozparła się w fotelu i westchnęła.

Nerwowo pocierała ramiona.

– Już wiem, jakie to uczucie sprzedać pięćdziesiąt tysięcy akcji Sonarteku. Ojciec by mnie zabił, gdyby żył.

Michael spróbował dodać jej otuchy uśmiechem.

– Mam nadzieję, że nie masz wątpliwości, czy warto było to zrobić. Myślisz, że Victor się dowie?

– Wiem, że warto. I nie, nie dowie się, ponieważ podzieliłam portfolio na szereg mniejszych transakcji u różnych pośredników na przestrzeni kolejnych dni. Akcjami Sonarteku obraca się tysiące razy każdego dnia i na całym świecie.

– No tak. – Michael pokiwał głową, choć nie był do końca przekonany. Sama mówiła, że nie wolno lekceważyć Victora Schmidta.

Przez chwilę milczeli, każde pogrążone we własnych myślach.

– A jakie są te wieści bardziej problematyczne? – przerwał ciszę Michael.

– Słucham?

– Powiedziałaś, że masz dobre wieści oraz nieco mniej pozytywne.

Westchnęła i wygładziła dłońmi grubą białą kopertę leżącą na podkładce do pisania.

– Chodzi o to, że dziś sąd mianował mnie opiekunką i wykonawczynią testamentu matki. Jednogłośnie decyzją ławy i oczywiście sędziego. W ko-

percie jest opinia psychologa klinicznego i lekarza specjalisty, który jest profesorem neurologii.

– Mam ci pogratulować?

– Szczerze mówiąc, nie wiem.

– Rozumiem, że teraz masz w firmie dużo do powiedzenia? Bardzo dużo, tak?

Pokiwała głową.

– Tak by wynikało z reakcji Victora i Henrika. – W jej twarzy nie było śladu entuzjazmu ani nawet triumfu. – Wczoraj po południu przydybali mnie tu na podziemnym parkingu i zaprosili na drinka. Niemal zmusili. Victor już o wszystkim wiedział. Nie mam pojęcia skąd.

– Czego chciał?

Elizabeth uśmiechnęła się słabo.

– Chciał, żebym potwierdziła, że poprę jego kandydaturę na stanowisko nowego szefa zarządu Sonarteku podczas czekającego nas zebrania nadzwyczajnego.

– I co powiedziałaś?

– A co miałam powiedzieć? Wydawali się wręcz zdesperowani. Tymczasem mnie to w ogóle nie obchodzi. Chcę tylko, żeby mi pozwolili żyć własnym życiem, to wszystko. Nie wiem, czy mnie rozumiesz?

Potwierdził skinieniem, ale w myślach dodał: czy naprawdę tak trudno jest dostać nagle sześćdziesiąt pięć miliardów?

– I co mu powiedziałaś? – spytał.

– Że naturalnie go poprę. Że zależy mi na zachowaniu ciągłości, kultury korporacyjnej... cały ten bełkot, który tak bardzo chcieli usłyszeć. Prawdą jest, że się go boję, Michael. Boję się ich obu.

Profesjonalizm i pewność siebie członkini kolegium Sądu Najwyższego były w tej chwili mocno przytłumione. Cienka warstwa potu na jej czole odbijała światło lampki na biurku.

– Henrika też?

– Słucham?

– Henrika. Jego też się boisz?

Wzruszyła ramionami.

– Nie... Tak! Nie wiem. Mam wrażenie, że się zmienił. Nabrał jakiejś nerwowej obsesji. Podobnie zresztą jak jego ojciec, chociaż Victor nigdy nie darzył zbyt ciepłymi uczuciami ani mojej mamy, ani mnie. Myślę, że był o nas zazdrosny. Podobnie jak Henrik. Obaj ubóstwiali mojego ojca.

– Ale zazdrosny...?

– Tak trudno to zrozumieć? Mojego ojca łączyła z Victorem głęboka, ale również skomplikowana przyjaźń. Victor nie miał chyba innych przyjaciół. Nikomu nie ufa. Chyba nawet swoim dzieciom ani tym bardziej Monice. W gruncie rzeczy nie podobało mu się, że w życiu mojego ojca byli jacyś inni ludzie. Nie jest już młody, a jego życiowym osiągnięciem jest Sonartek. Firma musi przetrwać i musi przetrwać w Danii. Cierpiał, kiedy przenosili produkcję za granicę, mimo że sam rozumiał, że to było słuszne posunięcie z czysto ekonomicznego punktu widzenia. Jest jednak patriotą i pękał z dumy, gdy Jakob został oficerem. A potem był równie rozczarowany, kiedy Jakob odszedł z armii i stał się ekspertem od rozminowywania i logistyki w organizacjach humanitarnych.

– A Henrik?

– Przykładny syn i prawa ręka swojego ojca. Cały czas próbuje mu się przypodobać i umiera ze strachu, że rodzice przestaną go kochać, jeśli tylko spróbuje im się postawić. Na przykład myśląc samodzielnie.

Michael wstał.

– Rozumiem.

Elizabeth podniosła na niego wzrok. Spróbowała się uśmiechnąć.

– Co ja mam począć? – spytała.

– Nie wychylaj się. Jeszcze przez jakiś czas. Nie rób nic wbrew ich woli. Dla własnego dobra. – I z powagą dodał: – I uważaj na siebie.

Pokiwała głową, wciągnęła głęboko powietrze i z torebki wyjęła małą kopertę. Wręczając mu ją, zaczerwieniła się lekko.

– Jest jeszcze ten drobiazg. Przykro mi, Michael. Naprawdę. Victor mi to dał. Był z siebie bardzo dumny, a mnie zatkało.

Michael otworzył kopertę, przeczuwając porażkę. Przeczytał tych kilka linijek i ponownie schował kartkę do koperty.

Była to fotokopia wypisu z opisem zabiegu operacyjnego przeprowadzonego w Szpitalu Rejonowym Næstved w dniu 3 maja 1997 roku. W dniu, w którym Flemming Caspersen poddał się wazektomii.

– Wspaniale – mruknął.

– Nie wiedziałam. Słowo honoru – powiedziała wyraźnie zażenowana.

– Kobieto, jak mogłaś, kurwa, nie wiedzieć?! – wypalił, zanim sobie przypomniał, że w tej chwili była jego jedyną klientką i jedynym źródłem dochodu. – Wybacz, Elizabeth. Ale kurwa, no.

– Nic się nie stało, rozumiem. Ojciec nigdy o tym nie mówił, nigdy nie słyszałam też, żeby mama o tym wspomniała.

– Okej, ale dlaczego?

– Dlaczego się zdecydował na wazektomię? Nie mam pojęcia.

Michael wstał ponownie i spojrzał na nią.

– Jeszcze jedna, ostatnia sprawa.

– Słucham cię – powiedziała zmęczonym głosem.

– Czyim synem jest Jakob Schmidt?

– Co?

Przyjrzał jej się badawczo.

– Nie jest przecież wykapanym ojcem jak jego brat – zauważył. – Wystarczy porównać portret znad kominka w Pederslundzie ze zdjęciem twojego ojca w Hellerupie.

Elizabeth Caspersen popatrzyła na czubki swoich butów.

– Michael, płacę ci za odnalezienie ludzi z filmu – odpowiedziała spokojnie. – Za nic więcej. Czy to jasne? To, o co pytasz, jest nieistotne dla sprawy.

– Jasne jak słońce, Elizabeth.

– Odprowadzę cię.

Idąc, mijali open space'y, w których uwijali się młodzi pracoholicy.

– Tak na marginesie, ona nie była sama – rzucił Michael, sam nie wiedząc po co.

– Kto?

– Komisarz Lene Jensen. Kiedy wychodziłem, minąłem się w drzwiach z pewną kobietą. Jest komendant główną policji i prawniczką. Wyguglowałem ją. Wiem, że jest was wielu, ale ona jest bezpośrednią przełożoną Lene Jensen, więc pomyślałem, że może ją znasz?

– Jak się nazywa?

– Falster. Charlotte Falster.

Elizabeth Caspersen zatrzymała się i popatrzyła na niego.

– Powiedziałaś: Falster?

– Znasz ją?

– Znam jej męża Joakima. Jest szefem departamentu. Studiowaliśmy razem. Na tym samym roku i w tej samej grupie. Byłam nawet na ich weselu.

Michael pokiwał głową. Pewnie tańczyli na nim kotyliona.

– Mam z nią porozmawiać?

- Tak. Tylko jak jej wyjaśnisz nagłe zainteresowanie jej podwładną?
 - Coś wymyślę. Nie tylko palić się przy tobie nauczyłam. Również wymyślać wiarygodne kłamstwa. To, że jedno akurat dość szybko zostało zde-maskowane, niczego nie zmienia.
 - Super. Pojętna jesteś. Trafisz za to do piekła.
 - Razem z ojcem? O niczym innym nie marzę.
- Michael uśmiechnął się lekko. Bez problemu wyobrażał ją sobie jako pilną uczennicę szatana.

36

Nagła i przemożna potrzeba wypełnienia ciała solą, pustymi kaloriami, tłuszczem i colą kazała mu wejść do McDonalda. Wrzucił w siebie górę jedzenia, po czym ociężyła i rozdrażniony przeszedł przez Kongens Nytorv, wzdłuż Nyhavn i wreszcie wszedł obrotowymi drzwiami do Hotelu Admiral. Niecierpliwił się, czekając, aż starsze amerykańskie małżeństwo uzyska odpowiedzi na miliard lękliwych pytań, po czym spytał recepcjonistkę, czy są dla niego wiadomości. Nie było, więc ruszył do wind. Skręcało go w brzuchu, który przetwarzał śmieciowy zestaw.

Po wejściu do pokoju jak zawsze wcisnął włącznik po lewej. Wszystko było jak zwykle poza tym, że ktoś zdjął osłonę, więc palcami trafił na fragment instalacji pod napięciem. Z łącznika strzeliła długa niebieska iskra, a Michael oszołomiony cofnął zdrętwiałą dłoń i zaklął.

Kiedy potrząsał nią w ciemnym przedpokoju, z mroku wypadł napastnik i uderzył go barkiem w brzuch. Michael zgiął się wpół i już poczuł w ustach smak porażki, kiedy z lewej dostał kopniaka w głowę. Zobaczył czarny, błyszczący, spiczasty męski but i dziwne wzory pod powiekami. W jego płucach nie został nawet milimetr sześcienny powietrza. Instynktownie podniósł ręce do twarzy, przez co nie zauważył kolejnego kopniaka wymierzonego w jądra. Całkiem się zwinął, bezgłośnie, bo brakowało mu tchu, żeby krzyknąć, a napastnik szarpnął ciężkie drzwi, uderzając go nimi w głowę. I wszystko zalała czerń.

Nie wiedział, ile czasu minęło, zanim się ocknął. Czuł zapach wymiocin i spróbował podnieść głowę. Nie powinien był tego robić. Jego mózg przeszył ból jak rozżarzony pręt i Michael ponownie osunął się w bezbrzeżną ciemność.

Czegoś się jednak nauczył, bo kiedy znów odzyskał świadomość, leżał nieruchomo i tylko oddychał łapczywie przez usta, ignorując przykry za-

pach wymiotów. Wszystko go bolało, więc postanowił działać powoli i systematycznie. Był w stanie poruszać stopami i nogami, nie czując przy tym szalonego bólu. Zdołał również przenieść drżącą z napięcia lewą dłoń w okolice głowy. Dłoń zanurzyła się w długie włosie dywanu oraz wilgotną masę, którą kawałek po kawałku zidentyfikował jako nieprzetrawione resztki frytek, burgerów i czegoś jeszcze. Palce odnalazły miejsce, w którym połączył się z podłożem: zaschnięta krew z głębokiej rany przy skroni stworzyła silny i nierozzerwalny związek z dywanem. Powoli i ostrożnie jeden po drugim odrywał kosmyki włosów. Wreszcie powoli podniósł się na rękach i po jakichś dwóch minutach usiadł. Od tego ruchu mdłości znowu podeszły mu do gardła, ale je powstrzymał. Odchylił głowę do tyłu, oparł ją o ścianę i siedział tak przez wiele długich minut.

Drzwi na korytarz były uchylone. Słyszał beztroskie paplanie dwójki turystów, kółka walizki i własny głośny jęk.

Wreszcie z najwyższym trudem stanął na nogach i ręką zaczął szukać włącznika światła, aż sobie przypomniał, że to również był zły pomysł. Zlokalizował zamiast tego włącznik w łazience i zamknął oczy. Mimo to światło przebiło powieki wszystkimi kolorami tęczy i wywołało w głowie nową eksplozję bólu.

Uchylił nieznacznie powieki i zorientował się, że wszędzie była krew. Duże plamy na jasnoszarym dywanie obok wymiocin ciągnęły się czerwonymi rozbryzgami do łazienki, gdzie rozchodziły się we wszystkich kierunkach po kafelkach. Z trudem dotarł do umywalki, zostawiając na ścianach krwawe odciski dłoni. Odkręcił zimną wodę i sięgnął po miękki hotelowy ręcznik w kolorze piaskowym.

Otępiąłem wzrokiem patrzył na długie smugi krwi na białej porcelanie. Potem spojrział w lustro. Jakob Schmidt stał tuż za nim na tle otwartych drzwi.

Michael nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek czuł się równie bezbronny.

Były oficer miał na sobie ten sam czarny golf co poprzedniego wieczoru, skórzaną marynarkę w tym samym kolorze i dzinsy. A na nogach – na których Michael zatrzymał wzrok na dłużej – wysłużone buty górskie. Żadnych lśniących pantofli w szpic.

Większość krwi musiała pochodzić z głębokiej rany na lewej skroni. Michael docisnął do niej ręcznik i popatrzył ponuro na niespodziewanego go-

ścia.

– Czego chcesz, kurwa? – spytał. – Nie nauczyli cię w domu pukać?

Jakob uśmiechnął się nieznacznie.

– A ciebie nie nauczyli, że nieładnie włamywać się do pokoi innych ludzi i przetrząsać ich rzeczy? Zwłaszcza gdy jesteś u nich w gościach?

Michael nie odpowiedział. Zmoczył zimną wodą róg ręcznika i docisnął do rany z tyłu głowy. Skrzywił się.

– Nie możesz wiedzieć, że byłem w twoim pokoju. Jestem na to zbyt przebiegły.

– Michael. Wiele można o tobie powiedzieć, ale nie to, że jesteś przebiegły. Znalazłem ślady butów. I myślę, że są twoje.

Michael popatrzył w lustrze na intruza.

– Człowiek nigdy nie przestaje się uczyć.

Jakob skrzyżował ręce na piersi i patrzył na niego obojętnie.

– Masz plaster? – spytał.

Michael potwierdził skinieniem.

– W torbie. Lewa boczna kieszeń... o ile mam jeszcze torbę.

Jakob cofnął się o krok, kiedy Michael zdjął koszulę. Wszyscy tak reagovali, widząc go nagiego po raz pierwszy. Jego tułów był mapą topograficzną z bliznami na plecach, bokach i piersi. A wiele osób potrafiło również rozpoznać blizny po ranach wlotowych nad prawym biodrem i powiązać je z większymi plamami na plecach, któredy wyszły kule. Jakob Schmidt w każdym razie powinien je kojarzyć. Teraz na brzuchu Michaela pojawił się nowy, niebieskoczerwony kształt.

– Prawie widać numer – stwierdził Michael. – Mniejszy od twojego.

– To nie byłem ja. Wyglądasz, jakby cię ktoś przepuścił przez linię do montażu samochodów.

– Jestem niezdara. Przyniesiesz mi ten plaster?

– Jasne.

Dwadzieścia minut później Michael siedział na swoim łóżku, trzymając bardzo małą butelkę wódki z minibaru. Miał na sobie czystą błękitną koszulę, a z tyłu głowy – plaster przyklejony przez Jakoba. Połknął sporą ilość paracetamolu i ibuprofenu, w sumie bywało już gorzej. Bywało też lepiej.

Jakob Schmidt siedział w fotelu z colą w ręce. Sprawiał wrażenie człowieka, który przyciąga cienie, nieruchomy jak skała. Michael stwierdził, że musiał być doskonałym myśliwym. Uosobienie cierpliwości.

– Czego chcesz? – spytał.

Tamten nie odpowiedział.

Michael westchnął, opróżnił butelkę i nie wstając z chwiejnego łóżka, wyciągnął się, żeby otworzyć minibar i wyjąć butelkę dżinu. Odkręcił nakrętkę i popatrzył na puste biurko. Zniknął jego komputer. Zniknęła koperta ze zdjęciami nieba nad Finnmarkiem i pozycją miejsca zbrodni, którą schował pod dywanem przy drzwiach. Belki pod sufitem jeszcze nie sprawdził, ale i tak wiedział, że brakowało również przeklętego DVD Elizabeth Caspersen.

– Właściwe pytanie brzmi raczej, czego ty chcesz, Michael. O ile tak masz na imię – dodał cicho Jakob.

– Ja? Ja w ogóle niczego nie chcę. Zostałem wynajęty.

– Do czego?

– Do ustalenia faktów w sprawie domniemanego ojcostwa.

Jakob napił się coli.

– Po pierwsze, Flemming piętnaście lat temu miał wazektomię. A po drugie listu od miss Simpson nie napisała Amerykanka, lecz Brytyjka albo osoba doskonale znająca brytyjski angielski – powiedział spokojnie. – Ktoś ze Stanów nie napisałby słowa *summarise* z „s” na końcu, ale z „z”. I nie powiedziałaby *a drop in the ocean*, tylko *drop in the bucket*. A już na pewno nie zrobiłaby tego redaktorka i nowojorczanka od siedmiu pokoleń, jak twierdziliście. Dlatego pytam raz jeszcze: czego chcesz?

Michael przyjrzał mu się uważnie.

– Rozmawiałeś o tym z Elizabeth? – spytał.

– Jeszcze nie.

– Czy wszyscy wiedzieli o wazektomii Caspersena? I dlaczego się na nią zdecydował?

– Moja matka uważała, że tak będzie lepiej. I nie, nikt inny o tym nie wie. Tak sędzę. Choć nietrudno byłoby się tego dowiedzieć.

Michael zastanawiał się, czy facet blefuje.

– Twoja matka? – powtórzył.

Spowita w cieniu postać poruszyła się nieznacznie. Butelka coli powędrowała na parapet.

– Tak.

– Ponieważ mieli romans?

– Dlaczego byłeś w moim pokoju?

– Pomyliłem drzwi.

– Zamknięte na klucz?

– Lunatykuję. Nie wiem, co wtedy robię. Budzę się w różnych dziwnych miejscach.

Tamten wstał.

– Na twoim miejscu następnym razem, śpiąc w czyimś domu, przywiązałbym sobie nogę do łóżka.

Michael uśmiechnął się, pomimo bólu.

– Potrzebuję w nocy dużo swobody. Poza tym będąc przywiązanym, trudno się bronić.

– Wygląda na to, że nie wychodzi ci to najlepiej, nawet kiedy nie jesteś przywiązany.

Michael niestety musiał mu przyznać rację.

Nagle brązowe oczy Jakoba zniknęły w gąszczu zmarszczek uśmiechu, co zupełnie zmieniło jego twarz.

– Ważne, żeby stawiać na zwycięskiego konia, prawda?

– Jeśli jest na to czas, to rzeczywiście bardzo dobry pomysł – przyznał Michael z powagą.

Tamten pokiwał głową. Potem przeszedł przez pokój, starannie omijając plamy krwi i wymiociny w przedpokoju. Zatrzymał się w otwartych drzwiach, mając za sobą oświetlony korytarz.

– Nie masz zbyt wielu przyjaciół, co?

– Nie, a ty masz?

– Szczerze mówiąc, sam już nie wiem – przyznał i zamknął za sobą drzwi.

Michael pokuśtykał do drzwi i przekręcił zamek. Potem przyciągnął biurko na środek podłogi, ustawił na nim krzesło i ostrożnie wspiął się na tę konstrukcję. Pocił się z nerwów, gdy jego palce poruszały się po belkach jak spłoszone pająki. Pusto. Koperta zniknęła. Jak u licha ją znaleźli? Czerń porażki zalała mu oczy, a smakujące goryczą poczucie winy podeszło do gardła. Razem ze strachem, że Keith miał rację. Że porwał się na niemożliwe, bo jego przeciwnicy grali w innej lidze niż on.

Choć myślał, że nie da rady, podciągnął się na belce i uważnie obejrzał zakurzoną powierzchnię. Szczelina świeciła pustką, tak, jak się spodziewał.

Napastnik musiał być najbardziej pedantyczną i dokładną osobą na świecie.

Opuścił się na drżących ramionach i się zachwiał. Balansował przez chwilę na śliskim siedzeniu krzesła i krawędzi kolejnej katastrofy, ale odzy-

skął równowagę.

Odstawił meble na miejsce, rozebrał się i wszedł do wnęki prysznic. Odkręcił zimną wodę, ranę na skroni osłonił idiotycznym czepekim kąpielowym. Patrzył, jak woda, która spływała mu między stopami, była jasna, potem rdzawa i znów jasna.

Wycieranie się zajęło mu tyle samo czasu co pacjentom z chorobą Parkinsona. Każdy ruch sprawiał ból. Jądra były dwa razy większe niż normalnie i robiły się sine. *Blue balls*. Wspaniale. Otworzył usta, z niepokojem przyjrzał się ranie po wewnętrznej stronie policzka i poruszał rozchwianym zębem trzonowym. Nie dało się go jednak wyjąć ani obrócić wokół własnej osi, więc uznał, że pewnie z powrotem wrośnie w dziąsło.

Pod wpływem impulsu przewiesił ręcznik przez ramię i wyjął z torby trymer. Na podłogę przed stopami spadały półdługie, niemal czarne pukle. Skrzywił się, kiedy maszynka zbliżyła się do rany na skroni. Ogolił głowę na kilka milimetrów. Założył brzydkie okulary, te same, w których poszedł do instytutu astronomicznego, i patrząc w lustro, ocenił efekt. Wyglądał jak zesłaniec z Syberii. Jeden z tych, których pozostali zesłańcy nie lubili.

Recepcjonistka popatrzyła na niego z troską.

– Panie Sander, co się panu stało?

Michael uśmiechnął się sztywno i rozsunął szerzej stopy, żeby ulżyć genitaliom.

– Drobne nieporozumienie z kurierem rowerowym – wyjaśnił. – Mogę prosić o rachunek? Muszę wyjechać wcześniej, niż planowałem. Choroba w rodzinie.

Kobieta pokiwała głową.

– Niestety chodzą parami – pokiwała głową i zaczęła stukać w komputer. – Minibar? ...filmy?

– Wódka, dzin, dwie cole, puszka orzeszków. – Siłąc się na uśmiech, dodał: – Żadnych filmów przyrodniczych.

Zapłacił kartą MasterCard i położył na ladzie banknot. Kobieta uśmiechnęła się i pieniądze zniknęły.

– Zapraszamy ponownie, panie Sander.

– Dziękuję.

Wracając w stronę schodów, pomyślał, że tego zaproszenia pewnie pożąda, gdy się dowie, w jakim stanie zostawił pokój.

Torbę podrózną i tę na ramię ukrył na pierwszym piętrze w pomieszczeniu na pościel i obrusy. Spojrzał jeszcze na mapkę dróg ewakuacyjnych i

zdecydował się na schody, które przez kuchnię prowadziły do wyjścia od tyłu. Na zewnątrz postawił kołnierz płaszcz i szybkim krokiem ruszył w stronę Sankt Annæ Plads. Oczywiście nasłuchiwał kroków za sobą i kilka razy się za siebie obejrzał, zanim szklanymi drzwiami wszedł do nowego teatru.

Za moment miał się zacząć spektakl, więc we foyer było mnóstwo pod-ekscytowanych ludzi. Nawigując między nimi, wyszedł bocznym wyjściem kilka metrów od postoju taksówek.

Kierowca zamknął gazetę i popatrzył na niego w lusterku wstecznym.

– Dokąd?

– Dobre pytanie.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– A jaka będzie odpowiedź?

Zastanowił się. Czy Elizabeth mogła być jeszcze w biurze o tej godzinie? A jeśli nie, to gdzie właściwie mieszkała?

Podał adres przy Bredgade.

Kierowca się nie poruszył.

– Bracie, znajdziesz tam w trzy minuty – poinformował Michaela.

Michael wyjął portfel i podał mu z tylnej kanapy zwinięty banknot pięciusetkoronowy.

– Jedź, człowieku, i nie wyłączaj taksometru, gdy będziemy na miejscu.

Obserwował Elizabeth, kiedy schodziła rampą do podziemnego parkingu. Pomachała studentowi urzędującemu w przeszklonej dyżurce przy szlabanie i podeszła do swojego opla. Kiedy wsiadła, najpierw rozparła się w fotelu i zapaliła papierosa. Wsunęła do odtwarzacza płytę z koncertem fortepianowym i ruszyła w stronę rampy. Wrzasnęła głośno, a papieros wypadł jej z ust, gdy zobaczyła go na tylnym siedzeniu.

– To tylko ja – powiedział szybko. – Zostałem napadnięty w moim pokoju w hotelu i miałem nadzieję, że jesteś jeszcze w mieście.

W panice szukała zapalonego papierosa między swoimi stopami i pedałami. Oparzyła się, gdy go znalazła, i poderwała się gwałtownie – w samą porę, żeby uniknąć czołowego zderzenia z betonowym filarem.

– Michael, kurwa. Ja pierdolę... W sensie: co ty robisz?!

Ze smutkiem popatrzył na jej kark i przesunął dłonią po własnej ogolonej głowie.

– Sprowadzam nieszczęście, obawiam się. Oni wiedzą, kim jestem.

Rozejrzała się.

– Więc się schowaj i zamknij – rozkazała.

Posłusznie zwinął się w pozycji embrionalnej na tylnym siedzeniu i naciągnął koc na głowę.

– Co się dzieje? Michael...?

– Byłem nieostrożny – przyznał. – Ktoś na mnie czekał. Ktoś, komu moja głowa do złudzenia przypominała piłkę futbolową. I był dobrym piłkarzem.

– Ale chyba spodziewałeś się, że jakoś zareagują, prawda?

– Tak, ale nie tak szybko. Co mi przypomina... Skontaktowałaś się z Charlotte Falster?

– Rozmawiałam z nią. Obiecała pomówić z Lene Jensen i spróbować ją przekonać do jakiejś współpracy. Chociaż z tego, co mówiła, nie będzie to

łatwe.

– Elizabeth, on zabrał wszystko – powiedział po chwili.

Odbiła przy Frederiksborggade i jechała wzdłuż Jezior.

– Wszystko? Co znaczy wszystko? Usiądź wreszcie!

– Lokalizację w Finnmarku... DVD.

Zobaczył, jak drżą jej mięśnie żuchwy, a usta zmieniają się w cienką czerwoną kreskę, ale nie odezwała się ani słowem.

– Wolałbym, żebyś coś powiedziała – przyznał.

– Nie wiem, co mam powiedzieć. – A po chwili spytała: – Dokąd jedziemy?

– Muszę znaleźć jakieś miejsce, gdzie będę mógł spokojnie pomyśleć.

– Kurwa, Michael. Kurwa, kurwa, kurwa mać!

Waliła dłońmi w kierownicę.

– Lepiej bym tego nie ujął – wymamrotał.

– Właśnie tego najbardziej się bałam. Dokładnie tego!

– Wiem. I przykro mi, naprawdę.

– Kim był ten, kto cię napadł? – spytała.

– Nie widziałem jego twarzy, tylko czarne buty w szpic. Mam odcisk podeszwy na brzuchu i z boku głowy. Dziwne jest to, że nagle zjawił się Jakob Schmidt. Zorientował się, że byłem w jego pokoju, wtedy na zamku.

– Myślałam, że jesteś zajebiście dobry. Płacę ci, kurwa, dwadzieścia tysięcy koron na dobę za bycie zajebiście dobrym!

– Zwalniasz mnie?

– Może powinieneś sobie poszukać prawdziwej pracy. Na przykład w jakimś urzędzie. Albo na cmentarzu, jako grabarz. Gdzieś, gdzie twoja nieudolność nikomu nie będzie się rzucała w oczy.

– Czyli mnie zwalniasz.

Pustym wzrokiem popatrzyła na niego we wstecznym lusterku, wyrzuciła papierosa przez okno i zapaliła następnego.

– Kiedy cię zwolnię, to ci powiem. Czego chciał Jakob?

– Myślę, że sam chciał mi spuścić wpierdol. Wydawał się rozczarowany tym, że ktoś go uprzedził.

– Potrafię go zrozumieć – powiedziała ponuro.

– Powiedział mi też o wazektomii twojego ojca. Najwyraźniej wiedzieli o niej wszyscy poza tobą. Powiedział, że to jego matka go namówiła. Poza tym zwrócił uwagę na parę językowych detali w naszym liście, które się nie zgadzały.

– W porządku. Zatem musimy sobie jasno powiedzieć, że żadne z nas nie jest przesadnie bystre – skwitowała i głęboko się zaciągnęła.

– Na to wygląda.

– W porządku. Więc czego naprawdę chciał?

– Dowiedzieć się, kto wygra. Znasz go lepiej niż ja. Ale odniosłem wrażenie, że jemu rzeczywiście zależy na tym, by postąpić słusznie.

– Michael, naprawdę nie umiem go sobie wyobrazić jako bezwzględnego mordercy. Po prostu nie umiem. Nie jego.

– Wielu bliskich, przyjaciół i znajomych bezwzględnych morderców mówiło w toku dziejów to samo – zauważył. – A na ile tak naprawdę jesteśmy w stanie poznać drugiego człowieka?

Wrzuciła kierunkowskaz i podjechała do krawężnika cichej ulicy willowej we Frederiksbergu. Wyłączyła silnik i światła.

– Dasz mi papierosa? – spytał i poklepał się po kieszeniach.

Odwróciła się, dała mu jednego i przypaliła.

– Przesiądź się do przodu. Dostaję skurczu w karku od tego odwracania się.

Wysiadł i rozejrzał się po ulicy, zanim usiadł obok niej i opuścił okno. Palili w milczeniu.

– Więc jaki jest plan? – spytała po paru minutach. – I tak, niniejszym daję ci szansę się zrehabilitować.

– Dziękuję. Na początek spójrzmy na jasne strony obecnej sytuacji.

– To nie powinno nam zająć dużo czasu – stwierdziła cierpko po tym, jak baczniej przyjrzała się jego zmasakrowanej twarzy.

– Czego chce Victor? – spytał.

– Tu akurat sprawa jest prosta. Chce utrzymać i rozwijać dzieło swojego życia. Mój ojciec pragnąłby tego samego. Victor jest człowiekiem zdecydowanym i bardzo próżnym. Jeśli zrobię to, czego on chce, i poprę go jako nowego przewodniczącego zarządu, to wszystko będzie dobrze. Jeśli nie... to mnie zniszczy.

– A ty, Elizabeth? Czego ty chcesz? W obecnej sytuacji?

Zmarszczyła brwi i popatrzyła na niego.

– Michael, trzeba ich znaleźć. Tych myśliwych. Moim zdaniem to, co się stało, niczego nie zmienia. Jeśli prawdą jest to, o czym oboje myślimy, choć nie mówimy tego na głos, to Victor nie dowiedział się niczego nowego. Z tamtego perwersyjnego polowania musiało zostać coś jeszcze. Jakaś doku-

mentacja. Nie wiem, kto cię napadł, ale należy przyjąć, że to był jeden z myśliwych z nagrania. Dlatego pytanie brzmi: jak daleko ty jesteś gotów się posunąć? Wiem, że masz żonę i dzieci, i w pełni zrozumiem, jeśli zrezygnujesz. Wiedz jednak, że to zadanie na ciebie czeka, jeśli wciąż chcesz się go podjąć. I nie chodzi mi o to, żeby ich postawić przed sądem, ale żeby oddać sprawiedliwość. Kasprowi Hansenowi, Ingrid Sundsbö i ich dzieciom, i być może innym, o których nie wiemy.

– Przyznam, że zaczęłam cię doceniać – ciągnęła po chwili. – Szczerze mówiąc, przerosłeś moje oczekiwania. Jeśli coś ci się stanie, zadbam, aby twojej rodzinie nigdy niczego nie zabrakło... w sensie finansowym, oczywiście. Mogę ci to od razu zagwarantować, jeśli to ci pomoże podjąć decyzję.

Wręczyła mu kopertę z pieczętką kancelarii, a w niej oficjalny dokument podpisany przez nią samą, dwóch starszych partnerów z kancelarii oraz notariusza. Dokument szczegółowo opisywał zakres i warunki wypłaty stałej i dożywotniej pensji dla... beneficjentów Michael mógł wpisać sam. W dokumencie zostawiono trzy miejsca na nazwiska i numery CPR, zaś na widok wymienionych kwot oczy zrobiły mu się jak spodki.

– W tej sytuacji zrobiłbym wszystkim przysługę, skacząc z wieży ratuszowej – stwierdził, kręcąc głową.

– Myślę, że mimo wszystko woleliby swojego męża i tatę.

– Mam taką nadzieję.

Schował kopertę do wewnętrznej kieszeni i poklepał się po niej.

– Jedną z ich ofiar jest Lene Jensen – powiedział. – Ona albo ktoś jej bliski. Obstawiam, że dostała ostrzeżenie, żeby przerwać śledztwo w sprawie samobójstwa Kima Andersena. Nie wiem, czy ma męża albo dzieci, ale zwykle tak działają: uderzają w bliskich.

– Z tego, co mówiła Charlotte, ma dwudziestojednoletnią córkę Josefine. Naprawdę myślisz, że ktoś próbowałby zastraszyć komisarz policji?

– To nie są pospolici przestępcy – zauważył Michael. – Oni się czują bezkarni. Muszę z nią porozmawiać.

Potarł dłońmi twarz i syknął, gdy przypadkiem dotknął rany na skroni.

– Nie jestem w stanie myśleć, Elizabeth. Muszę się przespać. Wypalić kilka papierosów, napić się kawy.

– Byłeś w harcerstwie? – spytała nagle.

Opuścił ręce i popatrzył na nią zdumiony:

– Żartujesz? Jestem ostatnim prawdziwym harcerzem.

Pogrzebała w torebce i wyjęła z niej pęk kluczy, który mu podała. Na skórzanym breloku wybito harcerską lilijkę.

– Moje dziewczynki są w harcerstwie, więc tak się składa, że mam dla ciebie pewne spokojne miejsce, w którym na pewno poczujesz się jak w domu.

– Stanica harcerska? Miałem nadzieję na jakieś służbowe mieszkanie albo coś takiego...

– Michael, bądź mężczyzną.

Czy można umrzeć z rozpaczy i poczucia winy? Zostać pożartym przez wstyd, wydrażonym, aż pusta skorupa się rozpadnie, aż człowiek zmieni się w coś, czego nikt nie będzie chciał pochować ani śpiewać nad tym psalmów? Lene się modliła. Dziesięć razy zmówiła *Ojczenasz*, nasłuchując oddechu córki i monotonnego pikania kardiomonitora. Do czasu, gdy morfina została wypłukana z ciała Josefine, powrócił ból, a serce przyśpieszyło i Lene pociągnęła za sznurek dzwonka.

Słyszała ostrożne pukanie do drzwi, kroki lekarzy i pielęgniarek na linoleum, ich krzątanie przy łóżku córki śpiącej obok jej dostawionego łóżka gościnnego. Kiedy weszli, odwróciła się do ściany, bo to ona była wszystkim winna. Oczy miała suche, a chaotyczne myśli i obrazy nakładały się na siebie. Zapytali, czy chce coś na sen, ale Lene uważała, że nie zasłużyła na ucieczkę od swoich emocji.

Przez cały dzień praktycznie nie odezwała się słowem, słyszała natomiast każde słowo, jakie padło z ust Charlotte. I było jej wstyd. Wstydziła się tego, że okłamała szefową, wstydziła się swojej nieufności, swojego niskiego poczucia własnej wartości, swojego aroganckiego chłodu, bo przecież była mądrzejsza niż jej szefowa, biurokratka, która nigdy nie musiała znajdować martwych dzieci.

Było jej wstyd, ponieważ Charlotte okazała jej troskę i cierpliwość. Całymi godzinami stała w oknie i czekała, aż skończą operować Josefine. Potem rozmawiała z lekarzami i przekazywała uzyskane od nich informacje w takich dawkach, jakie Lene była w stanie znieść. Pomięła komplikacje i trudności i ograniczyła się do pozytywów: rezonans nie wykazał uszkodzenia mózgu. Josefine będzie normalnie widzieć i słyszeć, czuć smaki i mówić. Z czasem. W twarzoczaszce umieścili małe tytanowe szyny i ponastawiali kości. Chirurdzy szczękowi za dwa dni zrobią pomiary, żeby wstawić trwałe implanty w miejsce zębów, które zostały na podłodze magazynu czę-

ści zamiennych w Sydhavnen. Wszystko będzie wyglądało jak dawniej. Nikt nie pozna, że to nie jej własne zęby. Chirurdzy laryngologiczni nastawią jej złamany nos, a chirurg zajmujący się jej ręką powiedział, że choć w dłoniach doszło do zmian uciskowych, to tkanka mięśniowa i nerwowa wróci do pierwotnej postaci, zaś kości zrosną się same. Z czasem.

Charlotte kucnęła przy jej fotelu. Jeden z lekarzy przypadkiem dotknął ramienia Lene i teraz już wszyscy wiedzieli, że do rudowłosej komisarz policji spod dwunastki nie wolno podchodzić bliżej niż na odległość metra. Poszła plotka, że kobieta jest uzbrojona i jakby tego było mało, przed drzwiami siedzą dwaj czujni, krótko obcięci i świetnie wyszkoleni młodzi antyterrorysty z pistoletami maszynowymi na kolanach. O to również zadbała Charlotte.

Przyszedł Niels i porozmawiał z komendantem policji. I bardzo długo płakał. Lene zerknęła z boku na byłego męża i w jego oczach dostrzegła czystą, rozpaczliwą nienawiść, choć znała go jako człowieka wyjątkowo łagodnego i szczerego. Jakąś godzinę przesiedział przy łóżku Josefine, aż przyszła pielęgniarka i powiedziała, że chora potrzebuje spokoju i poprosiła i jego, i Charlotte, żeby wyszli. Zanim wyszedł, nachylił się do Lene i zaczął coś do niej mówić cichym, zachrypniętym głosem, ale komendant Falster pociągnęła go za sobą do wyjścia.

Lene postawiła stopy na podłodze i weszła do małej łazienki. Nie patrząc w lustro, wysikała się i umyła ręce. Dłonią zaczerpnęła wody z kranu i się napiła. Potem podeszła do okna i popatrzyła na miasto. Niebo było pomarańczowo-fioletowe. Słyszała dźwięk helikoptera, który lądował na którymś z pozostałych budynków szpitala. Jego światła pozycyjne migają na czerwono, zielono i biało.

Przysunęła fotel do łóżka i delikatnie pogłaskała zabandażowaną dłoń Josefine. Twarz córki była pełna przebarwień od krwiaków, żółta od jodyny i woskowo biała tam, gdzie skóra pozostała nienaruszona. Lene trzymała ją za rękę i bez końca wpatrywała się w tę twarz. Możliwe, że na moment przysnęła, ale obudziła się, kiedy poczuła czyjąś obecność. Lampa przy łóżku była skierowana do podłogi. Światło – przygaszone i żółte. Lene popatrzyła w otwarte zdrowe oko Josefine i zobaczyła źrenicę, która poszerzyła się i szukała czegoś przed sobą. Pochyliła się nad córką.

Jej groteskowo spuchnięte wargi poruszały się wolno.

– Skarbie, nie mów nic – poprosiła szeptem Lene.

Josefine wolno i stanowczo pokiwała głową.

– Głupia – wymamrotała niewyraźnie.

W jej oddechu czuć było zapach krwi.

– Wiem, skarbie. Przepraszam.

Głowa poruszyła się na boki.

– Ja... głupia...

Lene myślała, że skończyły jej się łzy, ale się myliła. Kapały na Josefine. Zabandażowana dłoń poruszyła się, próbowała się wyswobodzić i Lene ją wypuściła. Dłoń jak w zwolnionym tempie podniosła się i spoczęła miękko na jej policzku. Wtedy w Lene coś pękło. Zaczęła szlochać niekontrolowanie.

Dłoń córki z powrotem opadła na kołdrę, a Lene patrzyła na jej zdeformowaną twarz. Malował się na niej spokój, a oko zaczęło się ponownie zamykać. Po chwili otwarło się znowu i jego kącik nieznacznie się unióśł, jak zawsze, gdy Josefine się uśmiechała. To było niewiele, ale wystarczyło. Lene wiedziała, że wszystko się ułoży. że jej córka wciąż była tam, w środku.

Gdy dziewczyna z powrotem zasnęła, Lene wstała, skrzyżowała ręce na piersi i oparła czoło o zimną szybę. Za oknem na poręczy siedział gołąb ze zdeformowaną nogą. Schował głowę w pióra na piersi, zagruchał cicho i zamknął oczy.

– Kawy?

Głos zabrzmiał tuż za jej plecami. Dwie minuty temu Lene wyskoczyłaby przez okno albo zastrzeliła tego, kto bezgłośnie zakradłby się, żeby zakłócić jej spokój. Ale coś właśnie się zmieniło.

– Tak, poproszę – odpowiedziała, nie odwracając się.

Charlotte Falster wróciła. Jej ręka postawiła brązowy papierowy kubek na parapecie przed Lene. Drzwi na korytarz były uchylone. Komisarz podziękowała skinieniem odbiciu Charlotte w ciemnym oknie. Jeden ze strażników zmienił pozycję na krześle. A raczej strażniczka. Dwóch mężczyzn zastąpiła para dziewczyn. Lene widziała w drzwiach fragment łokcia i kapturę jednej z nich.

– Przebudziła się? – spytała komendant.

– Tak.

– Powiedziała coś?

– „Głupia”. – Lene zdjęła wieczko z kubka i wypila mały łyk. – Która godzina? – spytała.

– Wpół do jedenastej. Lene, dlaczego oni to zrobili?

Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nie mogła nic powiedzieć. Odchrząknęła, napiła się kawy i spróbowała raz jeszcze, z podobnym skutkiem. Charlotte przyglądała się jej ciężko pracującej twarzy.

– Możesz to napisać? – spytała niecierpliwie.

Lene uśmiechnęła się ze złością.

– Nie mogę – odburknęła.

Jej szefowa westchnęła.

– Okej. W takim razie spróbuję odtworzyć chronologię zdarzeń za ciebie. Allan Lundkvist został zamordowany strzałem w głowę kulą kaliber dwadzieścia dwa. Kiedy się pojawiłaś, nie żył od godziny. Niełatwo było go wynieść z pokoju. Pszczoły zaatakowały kryminalistyków, aż jeden z nich przytomnie rzucił królowe do kąta i dopiero mogli przystąpić do pracy. Nie było śladów walki, żadnych ran i nic pod paznokciami. Najprawdopodobniej znał tego, kto go zabił.

Lene znowu zaczęła płakać.

Jej szefowa zamilkła.

– Wybacz, Lene. Tak naprawdę wcale nie po to przyszłam. Jestem tu, ponieważ zadzwoniła do mnie koleżanka mojego męża ze studiów, której nie widziałam od lat. Nazywa się Elizabeth Caspersen. To była dość nietypowa rozmowa, a dotyczyła głównie tego człowieka, który tu dzisiaj był. Michaela Sandera. Kojarzysz? Czarne włosy, niebieskie oczy?

Lene pokiwała głową.

– Była to również rozmowa mocno irytująca. Elizabeth wyrażała się enigmatycznie i nie jestem pewna, czy mówiła szczerze. W każdym razie sprawdziłam tego Michaela Vedby'ego Sandera. Był kapitanem żandarmerii wojskowej, a potem został obiecującym śledczym w Hvidovre, zanim się zakochał w pewnej Angielce i wyprowadził do Londynu. Wtedy nosił inne nazwisko. Przez niemal jedenaście lat był doradcą do spraw bezpieczeństwa w jednej z tamtejszych dużych międzynarodowych agencji ochroniarskich, Shepherd & Wilkins. Idiotów tam nie przyjmują, to pewne. A teraz pracuje dla Elizabeth Caspersen. Prowadzi dla niej pewnego rodzaju śledztwo, które ma jakiś związek z Kimem Andersenem. Okazuje się, że Andersen należał do grupy weteranów z Gwardii Królewskiej, którzy polowali wspólnie na terenach należących do współnika zmarłego ojca Elizabeth. Grupa ta najwyraźniej oddawała się również aktywnościom nie do końca... zdrowym. Takiego użyła słowa. I jest coś jeszcze. Mój mąż powęszył trochę w świątku bankierów i nie pytaj mnie, jak się tego dowiedział, ale te dwieście

tysięcy franków szwajcarskich, które się pojawiły na koncie Andersena, ma źródło w Indiach Zachodnich. Kim wygrał je w internetowym kasynie o nazwie Running Man Casino, zarejestrowanym w Antigui i Barbudzie. Pod względem prawnym nie ma się do czego przyczepić. Pieniądze wypłacono za pośrednictwem angielskiego brokera, więc został od nich odprowadzony europejski VAT. Więc, jak mówię, wszystko jest legalne, ale śmierdzi.

Charlotte urwała na chwilę i w oknie spotkała wzrok Lene.

– Lene, co on ci powiedział?

– Nie słuchałam.

Jej szefowa westchnęła.

– Nigdy się nie nauczysz, co?

– Pewnie nie. Charlotte, dziękuję ci za wszystko, co zrobiłaś. I przepraszam, że byłam dla ciebie taką wredną pizdą. Nie zasłużyłaś na takie traktowanie.

Komendant wzruszyła ramionami:

– Jesteś dla siebie zbyt surowa. Moim zdaniem wcale nie zachowywałaś się aż tak źle. W każdym razie nie uważałam tego za wielki problem. Jesteś zdolną śledczą, Lene. Mówiąc szczerze, chciałabym mieć więcej takich ludzi jak ty. Zwłaszcza gdyby posiadali również dar mowy i nie upierali się, żeby zawsze działać solo. To już nie jest czas na takie zabawy.

Lene zaśmiała się gorzko.

– To prawda. W dodatku teraz, kiedy naprawdę chciałabym coś powiedzieć, to nie mogę.

– Innym razem zaczniemy wszystko od nowa – zaproponowała Charlotte. – W każdym razie Elizabeth Caspersen znam bardzo dobrze. Ma wyzucie jakości, jest szczodra oraz oszałamiająco, nieprzyzwoicie bogata. Nie mam wątpliwości, że również prywatnego detektywa wybrała sobie najlepszego. I chociaż zdaję sobie sprawę, że współpraca z amatorami nie jest naszą standardową procedurą, nawet jeśli ten Sander pewnie myśli, że amatorami jesteśmy my... – Na parapecie, obok kubka z kawą położyła karteczkę i ziewnęła głośno, zasłaniając usta dłonią. – Być może, jeśli w ogóle uznasz, że chcesz i możesz dalej pracować nad tą sprawą, powinnaś z nim porozmawiać. Myślę, że nie zaszkodzi dowiedzieć się, ile on wie. Jeśli o mnie chodzi, to nie widzę przeszkód. Masz tu również prywatny numer Elizabeth Caspersen. Ona wie, gdzie go znaleźć.

– Charlotte. Jeśli z nim porozmawiam, oni się o tym dowiedzą. – Lene wskazała ręką na śpiącą w łóżku postać. – I znowu zemszczą się na mojej

córcie. Może nie teraz, ale kiedyś. Pewnego dnia Josefine nie wróci do domu dlatego, że nie odpuściłam. Tak się umówiliśmy.

Komendant pokiwała głową.

– Też mam dzieci, Lene. Zrozumiem każdą twoją decyzję. Oczywiście, że tak. I to też będzie w porządku. Chociaż jednocześnie wcale nie będzie w porządku, wiesz, o co mi chodzi? Rozmawiałam z naszym szefem. Obiecał mi pełną ochronę antyterrorystów tak długo, jak uznamy to za konieczne. Ludzie z jednostki specjalnej będą pilnowali ciebie i Josefine wszędzie i przez całą dobę.

– Dziękuję.

– Prześpij się, Lene.

– Dziękuję.

– Zostawię tu po prostu tę kartkę, okej?

– Dziękuję.

– To dobranoc.

– Dobranoc.

Kiedy w końcu poszła, Lene wróciła na swoje dostawione łóżko, naciągnęła kołdrę pod brodę i wbiła wzrok w sufit.

Wzrok skierowała również w głąb siebie. Pomyślała o Kimie Andersenie. O lśniących nabożach 9 mm na poduszkach jego dzieci. O decyzji, którą podjął. O starym rockowym numerze zapętlonym na CD. O tatuażach. *Dominus providebit*. Pan dostarczy. I o tym, że to jest próba. Jeśli przejdzie ją pomyślnie, Josefine będzie wolna. Jeśli zawiedzie – wówczas ona sama i cały porządek, w jaki wierzyła, legnie w gruzach. A jej córka i tak będzie ofiarą, bo wszystko będzie dozwolone. Pomyślała wreszcie o tym poważnym ciemnowłosym mężczyźnie, Michaelu Sanderze. I o Running Man Casino w Indiach Zachodnich.

A potem z wielkim trudem wyrzuciła z głowy i jego, i Josefine, i Charlotte Falster. I skupiła się na tym, żeby pośród obezwładniającego poczucia winy i strachu o córkę odnaleźć tę iskrę gniewu, która tliła się w niej od samego początku. Ostrożnie zaczęła w nią dmuchać. Bardzo delikatnie i wolno, aż owa iskra nabrała mocy i stała się małym płomykiem. Lene zaczęła go pielęgnować myślami i obrazami rzeczy, które mogłaby zrobić mężczyźnie z uśmiechniętymi niebieskimi oczami pod skórzaną maską. Myślała też o bydlaku, który pomachał do niej z ogrodu i zaprosił ją do domu Allana Lundkvista. A ona weszła tam, ufna jak dziecko.

Postawiła bosc stopy na podłodze i długo jeszcze siedziała na brzegu łóżka z twarzą ukrytą w dłoniach.

Josefine mamrotała przez sen i Lene czuła zimny pot na plecach, gdy tylko spróbowała sobie wyobrazić, z jakim koszmarem zмага się teraz podświadomość córki. Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła jedna ze strażniczek z uniesioną bronią. Lene spojrzała na dziewczynę.

– Co jest?

– Krzyknęłaś – odparła tamta i opuściła broń. Była śniada i miała krótkie włosy. Mogła pochodzić z Indii albo Pakistanu. I była czujna.

– Naprawdę? Przepraszam. Nie wiedziałam.

Zęby dziewczyny wydawały się oślepiająco białe, kontrastujące z jej ciemną twarzą.

– Wszystko w porządku? W sensie...

Lene pokiwała głową.

– Nic mi nie jest. Jak masz na imię?

– Aisha.

– Posłuchaj, Aisha. Chciałabym porozmawiać z lekarzem. Jednym z tych, którzy tu decydują. I chciałabym pożyczyć twój telefon.

Dziewczyna wyjęła z kieszeni na udzie telefon i podała go Lene.

– Kod to jeden, osiem, osiem, dwa. Poszukam lekarza. Któregoś z tych, co decydują.

I już jej nie było.

Chociaż była druga w nocy, Charlotte nie brzmiała, jakby Lene ją obudziła.

– To ja – powiedziała Lene.

– Co słyszeć?

– Będę potrzebowała pewnych gwarancji.

– Mów.

Odbyły długą rozmowę. Szefowa policji w pewnych punktach w pełni się z Lene zgadzała, w innych miała obiekcje. Lene była jednak nieugięta. Wiedziała, że stawia żądania bez precedensu i że spełnienie ich pochłonie sporo zasobów finansowych i ludzkich. Nie dbała o to. Musiała dostać wszystko albo nic.

Ostatecznie Charlotte obiecała, że się postara.

– Aha. I potrzebuję jakichś ubrań – dodała Lene. – I paru rzeczy z domu. Sąsiadka ma klucze.

- Sama tam pojedę.
- Dzięki. I porozmawiasz z tą Caspersen? – upewniła się Lene.
- Oczywiście.

Potem usiadła na krześle przy wezglowiu łóżka Josefine. Za oknem świeciło, ale o dziwo nie czuła zmęczenia. Adrenalina to cudowny wynalazek, pomyślała, chociaż wiedziała, że w którymś momencie dostanie rachunek – gdy hormon stresu odpuści, padnie jak zabita. Delikatnie pogłaskała córkę po policzku, a ta otworzyła zdrowe oko, skupiła wzrok i rozpoznała matkę. Lene w kąciку patrzącego na nią oka znowu dostrzegła ten nieznaczny zwiastun uśmiechu. Wciągnęła głęboko powietrze i z wszystkich sił powstrzymywała łzy.

Ktoś zapukał i po chwili strażniczka Aisha wprowadziła do pokoju mężczyznę w średnim wieku ubranego w biały kitel. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, a oczy za szklami okularów były matowe i zaczerwienione.

- Lene, znalazłam lekarza prowadzącego.

Mężczyzna wyciągnął rękę i się przedstawił.

- Zna pan jej historię? – spytała Lene.

Pokiwał głową.

– Oczywiście. Byłem w zespole, który ją operował. Dojdzie do siebie. Z czasem.

- Można ją przewieźć?

– Dokąd?

– Do innego szpitala.

– Gdzie?

Wyjaśniła mu wszystko i lekarz poszedł po kartotekę Josefine. Wrócił z dokumentami i pielęgniarką. Usiadł przy wezglowiu łóżka i przeczytał dokumentację od deski do deski. Na koniec powiedział „chwileczkę” i razem z pielęgniarką wyszli na korytarz, gdzie odbyli szeptaną naradę. Po powrocie oznajmił:

– Dla pewności będzie jej towarzyszyć pielęgniarka anestezjologiczna oraz będzie musiała mieć podawane leki rozrzedzające krew, żeby zapobiec zakrzepicy żyłnej. Miejsce, które pani proponuje, jest znakomite. Sam u nich pracowałem, mają doskonałych specjalistów.

- A nos i zęby?

– Z tym można poczekać. Tak naprawdę nawet lepiej się wstrzymać, aż poschodzą obrzęki. Choć, oczywiście, trzeba się tym zająć, zanim nos krzywo się zrośnie. Tego wolelibyśmy uniknąć. Zatem moim zdaniem możemy ją tam wysłać na czternaście dni, ale nie więcej. Zgoda?

Lene pokiwała głową. Miała ochotę go przytulić, ale chyba nie wypadało.

Kiedy znowu zostały same, głaskała Josefine po policzku i włosach, aż ta otworzyła oko.

– Pić – wymamrotała i Lene podsunęła jej kubek z dzióbkiem.

– Dzięki.

– Jose, słyszysz mnie?

Córka pokiwała głową.

Lene przysunęła twarz do jej twarzy.

– Zawsze chciałaś polecieć na Grenlandię, prawda?

– Nieprawda.

– Daj spokój, Jose. Oczywiście, że tak. Każdy by chciał polecieć na Grenlandię.

– Ja nie. Zimno.

– Ale nie tam, dokąd ty polecisz, skarbie.

– Mamo?

– Tak?

Oko córki się zamknęło. Dziewczyna mówiła dalej, cicho, z zamkniętymi oczami.

– Ten człowiek. Pod knajpą. Czekał na mnie. Ale był tam wcześniej.

Lene zapiekło pod powiekami. Delikatnie położyła palec na jej ustach.

– Skarbie, potem się tym zajmiemy. Naprawdę nie musisz...

– Tak! Karta drinków. Miał smar na palcach. Zapytaj, czy mają tę kartę.

– Tak zrobię, moja kochana. Ale teraz nic już nie mów!

W kąciку warg Josefine zamajaczył uśmiech, ale posłuchała matki.

Następnego ranka o godzinie ósmej dziesięć ratownicy wtoczyli łożko wraz z pacjentką na pokład karetki Kopenhaskiej Straży Pożarnej na dziedzińcu przed centrum urazowym w Rigshospital. Za nim szła pielęgniarka w pomarańczowej parce i pchała wózek wypełniony urządzeniami monitorującymi, lekami i rzeczami osobistymi. Karetka odjechała w stronę lotniska w Kastrup. Minęła strzeżoną bramę kilometrowego ogrodzenia lotniska i zatrzymała się przy należącym do Wojsk Lotniczych challengerze 604, który zatankowany i gotowy do startu czekał na końcu pasa startowego 22 L. Pacjentka została przeniesiona na nosze i wniesiona na pokład samolotu.

Dwadzieścia minut później załoga otrzymała pozwolenie na start i rozpoczęła liczącą cztery tysiące kilometrów podróż do bazy lotniczej w Thule na północny Grenlandii. Tam mieścił się między innymi doskonale wyposażony szpital. Na pokładzie poza pacjentką znajdowała się tylko pielęgniarka i dwaj piloci, nigdzie nie zgłoszono planu lotu.

Lene obudziła czyjaś ręka na ramieniu. Kilka minut po tym, jak przyjechali po Josefine, skrajnie wyczerpana zapadła w głęboki sen. Świadomość, że córka jest bezpieczna i nie zagraża jej już żadne wyobrażalne niebezpieczeństwo, podziałała jak wyłącznik obwodu.

Nie otwierając oczu, zrzuciła z siebie rękę, ale ta pojawiła się z powrotem jak natrętna mucha. Lene nabrała przekonania, że ta ręka leżała na niej od jakiegoś czasu. I że również od jakiegoś czasu próbował się do niej przebić głos:

- Lene!
- Co?!
- Otwórz oczy.
- Po co?

Mimo to rozchyliła ciężkie jak z ołowiu powieki i znużona spojrzała na twarz Charlotte Falster. Pani komendant również wyglądała na wykończoną i była rozczochrana.

– Przywiozłam ci ubranie – oznajmiła.

Lene usiadła i ziewnęła, zasłaniając usta dłonią.

– Dzięki.

– W twoim mieszkaniu ktoś był i zostawił otwarte drzwi. Nie musiałam budzić sąsiadki.

Lene w jednej chwili oprzytomniała.

– Włamanie?

Jej szefowa pokiwała głową. Stała przy oknie z rękami skrzyżowanymi na piersi. Ona też ziewnęła.

– Tak się cieszę, że zajmuję się głównie papierkową robotą – przyznała ze współczuciem i Lene mimowolnie się uśmiechnęła.

– Trzeba znać swoje limity – skomentowała.

– I nie wolno ich akceptować – dodała Charlotte. – To właśnie staram się robić w tej chwili. Odrobinę poszerzać swoje granice.

– Idzie ci świetnie. Jestem ci niesamowicie wdzięczna za wszystko, co zrobiłaś dla Josefine. Nie zapomnę ci tego, Charlotte. Nigdy.

Komendant się zaczerwieniła.

– Nie zniszczyli ci mieszkania, ale dokładnie wszystko przetrzepali. – Charlotte zawahała się chwilę, zanim dodała: – Wszędzie są bezprzewodowe kamery.

– Czyli cię sfilmowali?

– Tak.

Lene wzruszyła ramionami i postawiła stopy na podłodze.

– W sumie to chyba bez różnicy.

– Też tak uważam. To co? Zaczynamy?

Lene pokiwała głową.

– Daj mi pięć minut.

Wzięła bardzo ciepły prysznic, z grubsza wysuszyła włosy i wsunęła świeży wacik do ucha z pękniętym bębenkiem. Już jej nie bolało, a laryngolog powiedział, że błona sama się zrośnie w ciągu paru tygodni. Ale cały czas jej w tym uchu dzwoniło.

Charlotte przywiozła jej czyste ubranie. Lene się przebrała i umyła zęby. Nie pomalowała się. Ochroniarki z jednostki specjalnej się nie malują. Wsunęła głowę i skinęła na Charlotte, która weszła do łazienki z taborettem.

Ręcznikiem wytarła lustro, następnie starannie ułożyła go na ramionach Lene.

– Gotowa?

Lene wyprostowała plecy, popatrzyła w lustro i przytaknęła ze smutkiem.

Charlotte przeczesła długie, wilgotne włosy i przyjrzała im się oceniająco. Potem zebrała je w garść, uniosła nożyczki i popatrzyła na Lene w lustrze.

– Jesteś tego absolutnie pewna? Wiele kobiet oddałoby nerkę, żeby mieć takie włosy.

– Tnij.

Dziesięć minut później Lene miała na głowie bardzo praktyczną, chociaż trochę krzywą, krótką fryzurę. Pochylała głowę nad umywalką, a szefowa spokojnymi, miarowymi ruchami wmasowywała jej we włosy ciemną farbę. Ta bliskość, czułość i wzajemne porozumienie wydawały się Lene zupełnie nierzeczywiste w kontekście dystansu, jaki zwykle je dzielił. Wiedziała, oczywiście, że kiedyś przyjdzie moment, gdy wszystko będzie musiało wrócić na swoje właściwe tory, również konieczny dystans i hierarchia w ich relacjach. Ale teraz były po prostu dwiema kobietami, które pomagają sobie przy malowaniu włosów.

Na koniec Charlotte przytrzymała głowę Lene pod prysznicem i dokładnie wypłukała jej z włosów resztki ciemnobrązowej farby. Cofnęła się o krok, kiedy Lene wysuszyła włosy, założyła je za uszy i popatrzyła w lustro pustym wzrokiem.

– O Jezu – jęknęła Lene.

Charlotte przechyliła głowę na bok.

– Czemu, kolor nie jest taki zły – próbowała ją pocieszyć.

Popatrzyły na siebie w lustrze.

– O której ona ma przyjść? – spytała Lene i dokładnie wtedy ktoś zapukał do drzwi.

– Teraz, najwyraźniej.

Komendant wpuściła do pokoju kobietę w ciemnym mundurze służb specjalnych. Ta miała krótkie ciemne włosy, w kolorze podobnym do nowego koloru włosów Lene, zielone oczy, metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i przeciętną sylwetkę. Regularne rysy twarzy – oraz cywilne stanowisko w policji krajowej. Położyła na podłodze czarną sportową torbę, pistolet maszynowy i pasek z kaburą i szybko zdjęła mundur.

Lene wyjęła z torby rudą długowłosą perukę i wręczyła rozebranej urzędnicze wraz z ciemnymi okularami. Żadna z kobiet nie odezwała się słowem, kiedy Lene założyła mundur, zapięła pas, a broń powiesiła sobie na ramieniu. Podniosła z podłogi torbę i spojrzała na Charlotte, która wręczyła jej kluczyki.

– Biały passat, BK czterdzieści sześć osiemset jeden przy wyjściu numer trzy. Dbaj o niego, to mój własny.

– Jasne. Masz adres?

Podąła go Lene a ta zapytała:

– Co to za miejsce?

– Stanica harcerska w Herfølge. W tej chwili nie ma telefonu.

– Stanica?

– Bardzo adekwatnie. Podobno jest harcerzem. Sam tak powiedział. Ostatnim z prawdziwych. Powodzenia.

Popatrzyły na siebie. U obu widać było chęć wykonania jakiegoś gestu, może nieporadnego przytulenia, ale na nic takiego się nie zdecydowały.

– To zacięty indywidualista... – dodała Charlotte z lekkim uśmiechem.
– ...a ty nienawidzisz dzielić się wiedzą. Stworzycie idealny duet.

Lene też się uśmiechnęła, założyła okulary i wyszła.

Windą zjechała do podziemia szpitala, odnalazła właściwe drzwi i otworzyła je kartą, którą załatwiła jej Charlotte. Starannie zamknęła za sobą metalowe wejście i szybko przeszła przez liczący kilkaset metrów podziemny korytarz łączący kompleks szpitalny z uniwersyteckim wydziałem medycznym po drugiej stronie Tagensvej. Z tego korytarza normalnie korzystali tylko portierzy, wożąc zmarłych do zakładu anatomii. Na jego końcu skręciła w lewo, otworzyła kolejne metalowe drzwi i weszła do podziemnego parkingu, gdzie kilka metrów od drzwi czekał lśniący biały volkswagen passat szefowej.

Noc spędził na trzeszczącej antresoli w nieogrzewanej, ponurej chacie, w śpiworze, który pasowałby idealnie, gdyby był siedmioletnim karłem, i na karimacie cienkiej jak papier. Choć spał w ubraniu, co chwila budził się z zimna.

Zanim wspiął się na swoje legowisko, z czołówką znaną w szafce sprawdził, czy w chacie nie ma czegoś do jedzenia. Wynik poszukiwań był przygnębiający. Michael na kuchence naftowej podgrzał puszkę pomidorów i dodał paczkę makaronu rurek i nitek, które znalazł w szufladzie.

Po raz ostatni obudziły go poranne ptaki w pobliskim lesie i promienie słońca wpadające przez szpary między dachówkami. Jeszcze jakiś czas przewracał się z boku na bok, aż zrezygnował z prób ponownego zaśnięcia i na sztywnych nogach zszedł po drabinie do lodowatej izby na dole. Zniechęcony popatrzył na smętnie zwisające proporczyki, dwie niezbyt starannie rozpięte i włożone w ramki skóry zwierzęce oraz kilka bezpieczeństwa figurek z masy papierowej. Potem zdjął z głowy bokserki służące mu za czapkę i wełniane skarpetki z rąk, które były rękawiczkami. Ponieważ nie znalazł nigdzie kubka, opłukał puszkę po pomidorach i zapalił ogień pod turystyczną kuchenką Trangia. Do małego czajnika nalał wody i postawił go na spirytusowym płomieniu. Potem rozejrzał się za torebką herbaty z cytryną, którą ukrył wczoraj wieczorem, żeby go nie kusiła.

Zobaczył ją, gdy kroczyła wąską ścieżką prowadzącą przez las do pobliskiej szosy, wzdłuż której stały rozproszone gospodarstwa. Kobieta szła lekkim krokiem, chociaż ścieżka była stroma i gliniasta, a czarna sportowa torba musiała być dość ciężka, bo ramię, na którym wisiała, unosiła znacznie wyżej niż drugie. W ręce dzierżyła reklamówkę ze stacji benzynowej. Miała poważną minę. Była ubrana w ciemnozieloną bluzę z kapturem, czarną wiatrówkę, dżinsy i adidas. Michael nigdy wcześniej jej nie widział. Kiedy woda się zagotowała, zamyślony napełnił puszkę i do czerwo-

nawej cieczy wrzucił torebkę herbaty. Kobieta odsunęła okulary na krótkie ciemne włosy i popatrzyła wprost na niego przez brudne okno kuchni.

Zmarszczył czoło. Potem oparzył się czajnikiem i nagle rozpoznał kobietę za szybą. Zaklął i otworzył jej drzwi. Poranne słońce padało wprost na jej głowę i ramiona i wydawała się przez to jeszcze niższa i szczuplejsza.

Stanęła w progu i popatrzyła na niego uważnie:

– Mogę wejść?

– Jasne.

Rozejrzała się po pomieszczeniu, a na koniec zmierzyła go wzrokiem.

– Wyglądasz inaczej – stwierdziła, unikając jego wzroku.

– Pomóc ci z tą torbą? – zaproponował.

– Nie, dziękuję.

– Ty też wyglądasz inaczej – rzucił lekkim tonem i wrócił do stołu. – Herbaty? Czerwonej? O smaku pomidorowo-cytrynowym?

Postawiła na blacie reklamówkę z zakupami i Michael odetchnął z ulgą.

– Słyszałam, że tu nocowałeś, więc przywiozłam kawę i śniadanie. I papierosy. Moja szefowa mówi, że palisz.

– Niech cię Bóg błogosławi – wzruszył się Michael.

Zdjął wieczko z kubka z kawą. Pomieszczenie wypełnił niebiański aromat. Komisarz otworzyła papierową torbę z chlebem oraz masło. Zardzewiałą harcerską finką przekroiła bułki. Ruchy miała powolne i pewne, cały czas patrzyła na swoje ręce, nie na niego.

Michael posmarował masłem połówkę bułki, położył na niej dwa plasterki sera i pochłonął w dwóch kęsach, popijając wciąż gorącą kawą. Zamknął oczy i jęknął:

– Fuck, tego mi było trzeba.

Lene ze swoim kubkiem wycofała się w kąt. Podmuchała kawę, założyła ręce na piersi i niemal spojrzała mu w oczy. Michael z kolei przeniósł wzrok na dużą czarną torbę, z którą tu przyszła.

– Musiałem z tobą pomówić – zaczął. – Przepraszam, że naskoczyłem na ciebie w szpitalu.

– Skąd wiedziałeś, że tam byłam? Przez telefon?

Przytaknął, zębami zerwał celofan z paczki papierosów, wyjął jednego przy pomocy warg i rozejrzał się za zapalkami. Wreszcie zaciągnął się głęboko i zerknął na nią z boku.

– Porwali moją córkę i torturowali – wyjaśniła. – Potem złapali mnie i zmusili, żebym przez kamerę internetową się temu przyglądała. Byłam w

zupełnie innym miejscu. Oni tak działają. Uderzają w czułe punkty. Moją miłość do córki, na przykład.

Michael pokiwał głową.

– Wiem. Może wyjdziemy? Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że na zewnątrz jest cieplej.

W słońcu przed chatą stała ławka, a konkretnie związane sznurkiem belki. Michael pomyślał, że ktoś zdobył tą ławką kolejną sprawność. Oparł głowę o drewnianą ścianę chaty, która powoli się nagrzewała i pachniała słomą. Lene usiadła obok i założyła okulary.

Przez chwilę milczeli, po czym spytała:

– Kim ty jesteś?

– Konsultantem do spraw bezpieczeństwa z własną działalnością. Jeden pracownik. I jedna klientka.

– Elizabeth Caspersen?

– Tak.

– Do czego jesteś jej potrzebny?

Popatrzył na nią.

– Słuchaj, to trochę trudne...

– Cholernie trudne, Michael – przerwała mu. – I mnie bynajmniej nie jest z tym łatwiej. Mówią, że pracujesz w pojedynkę. Ja też. Szefowa się o to wścieka, ale toleruje to, dopóki jestem skuteczna. Na razie. Wygląda na to, że samodzielność wyszła z mody.

Michael przyjrzał jej się uważnie. Skrzyżowała ręce i nogi, i zgięła się wpół jak rodząca w chwili skurczu. Może zresztą tak się czuła? Nie oszczędzali jej.

– Więc o co tu chodzi? – spytała.

– To tajemnica – wymamrotał.

– Każdy ma jakąś tajemnicę.

Roześmiał się gorzko.

– Są tajemnice i tajemnice. Uwierz mi.

Westchnęła.

– Okej, czyli to jakiś wielki sekret. Ogromny. Zamieniam się w słuch.

Michael się uśmiechnął.

– To wielka tajemnica pewnego człowieka. Rodzinny sekret. Chociaż... tak początkowo myślałem. Bo w rzeczywistości jest to tylko fragment większej całości. Znacznie większej. A tamten człowiek tak w ogóle już nie żyje.

– I dowiedziałeś się czegoś?

– Tak. Znasz Elizabeth Caspersen? – spytał.

– Nie, ale ona najwyraźniej zna moją szefową.

– Jest prawniczką, specjalistką od prawa gospodarczego oraz córką Flemminga Caspersena. O nim musiałaś słyszeć. To miliarder. Stworzył firmę produkującą dalmierze, lasery i sonary dla koncernów zbrojeniowych na całym świecie. Firma jest ogromna, ma mnóstwo filii i dostarcza sprzęt do myśliwców, dronów, satelitów i atomowych łodzi podwodnych. Właściwie wszyscy są zależni od ich technologii. Ale jej ojciec był także zapalonym myśliwym. Dom jest pełen czaszek, rogów i martwych zwierząt. Był prawdziwym katem rodziny jeleniowatych.

– Tak, o nim coś słyszałam. Mówisz, że nie żyje?

Michael pokiwał głową.

– Zostawił po sobie DVD, które córka znalazła przypadkiem w domowym sejfie, gdy robiła porządki. Nagranie przedstawia ostatnie minuty wyprawy łowieckiej na północnych krańcach Norwegii. Pasja Flemminga Caspersena najwyraźniej stała się... niezdrowa. Przestało go interesować strzelanie do zwierząt i postanowił zapolować na zdobycz trudniejszą, mianowicie na młodych, wysportowanych ludzi, którzy potrafili uciekać szybko i długo i świetnie znali teren.

– Nazwałeś to niezdrowym?

– On oszalał.

– I chodzi o Kaspra Hansena i Ingrid Sundsbö?

– Tak.

Michael był pod wrażeniem. Jednak go słuchała wtedy, w szpitalnej sali, gdy czuwała przy córce.

– Wydaje mi się, że coś o nich słyszałam – dodała. – To było ze dwa lata temu, prawda?

– W marcu dwa tysiące dziesiątego, w Finnmarku. Na północ od koła polarnego. Nigdy ich nie znaleziono.

Michael zamknął oczy. Jak dobrze było tak siedzieć i grzać się w słońcu. Właściwie mógłby się stąd nie ruszać. To pomagało również na ból głowy.

– Wszystko się zgadza – powiedział. – Tak że aż wydaje się, że zgadza się za bardzo.

– Kiedy wydaje ci się, że coś się zgadza za bardzo, to zwykle dlatego, że ma ci się tak wydawać.

Michael popatrzył na nią zamyślony i pokiwał głową.

– Otóż to. Czy Kim Andersen naprawdę popełnił samobójstwo?

– Tak.

– Nie ma co do tego żadnych wątpliwości?

– Nie ma. Z drugiej strony raczej nie pozostało mu nic innego. Ktoś położył na poduszkach jego dzieci ostrą amunicję i zostawił w samochodzie płytę ze starym rockowym szlagierem... To piosenka, którą on i jego koledzy zagrzewali się do walki, kiedy walczyli na wojnie. Przekaz był więc dość czytelny. Odruch warunkowy.

– *We Will Rock You?* Queenów?

– Tak. Skąd wiedziałeś?

– To ich piosenka. Ale dlaczego akurat teraz?

Lene również odchyliła głowę i wystawiła twarz do słońca.

– Potrzebował pieniędzy. Na wesele. Na prezenty ślubne. Miało być na bogato. Bał się stracić żonę, która zaczynała być zmęczona nim i jego problemami. Albo stracił cierpliwość. Dwa miesiące przed ślubem dostał przelew od Running Man Casino na równowartość dwustu tysięcy szwajcarskich franków. Kupił żonie samochód, złotego roleksa i pierścionek z diamentem. Sądzę, że przelał te pieniądze, nie prosząc o zgodę, i oni to zauważyli.

Michael zapalił nowego papierosa, a Lene popatrzyła na niego wyczekująco.

– Posłuchaj, to ma być wymiana, mam nadzieję, że to rozumiesz, prawda? Domyślam się, że poufność danych klientów to dla ciebie rzecz święta i w ogóle, ale siedzimy tu, bo oboje znaleźliśmy się w czarnej dupie. I sprawa stała się osobista. Porwali moją córkę. To niewybaczalne. Chciałabym móc o tym zapomnieć i znaleźć jakiś sposób, żeby żyć dalej, ale wiem, że jak długo bym nie próbowała, nigdy by mi się to nie udało. Już zawsze żyłabym w strachu, że to się powtórzy.

– Miałbym tak samo. – Michael pokiwał głową. – I jestem gotów odpowiedzieć ci na każde pytanie, jakie zechcesz mi zadać. Kim Andersen był weteranem i byłym gwardzistą. A także członkiem grupy zrzeszającej byłych żołnierzy, która uczestniczyła w polowaniu na ludzi w północnej Norwegii niedaleko fiordu Porsanger. Kasper Hansen został zagoniony na skraj przepaści, a jego żona zniknęła. Na tej wyprawie Kim Andersen zranił się w nogę. Na DVD widać prowizoryczny opatrunek. Jestem całkowicie pewien, że on tam był.

– Lekarka sądowa powiedziała, że to była rana postrzałowa – potwierdziła Lene. – I że nie została opatrzona przez chirurga. To również jest pewne. Żonie powiedział, że podczas polowania w Szwecji upadł na złamane drzewo. W marcu dwa tysiące dziesiątego. Z Afganistanu wrócił w dwa tysiące ósmym, ale na depresję zaczął się leczyć dopiero w czerwcu dwa tysiące dziesiątego. Jego żona powiedziała, że zmienił się po tamtej wyprawie łowieckiej.

– To może oznaczać, że dali Kasprowi Hansenowi broń – zamyślił się Michael.

– Zgodnie z zasadami fair play – dodała gorzko.

– Właśnie.

– Okej, ale dlaczego?

Michael wstał z ławki i zaczął się przechadzać tam i z powrotem.

– Bo mogli? Bo się nudzili? Bo byli psychopatami? Albo potrzebowali adrenaliny?

Wokół jej ust zamajaczył uśmiech.

– Pewnie z tych wszystkich powodów oraz dlatego, że Flemming Caspersen dobrze im zapłacił – podsunęła.

– Doszedłem do takiego samego wniosku. Ale co mogło kierować samym Caspersenem?

Lene chwilę się zastanawiała.

– Wiem z doświadczenia, że mężczyźni bywają niesłychanie próżni. Wszyscy tak naprawdę są maratończykami, prawda?

– Prawda.

– Wydaje im się, że zdołają prześcignąć śmierć.

– Flemming Caspersen przebiegł maraton dwa dni przed śmiercią – zauważył Michael.

Komisarz pokiwała głową.

– Być może mordowanie innych łagodzi strach przed własną śmiercią. Albo zwyczajnie nie ma tu nic do rozumienia, chociaż nam się wydaje, że musimy i powinniśmy cokolwiek z tego rozumieć. Może nie da się tego wyjaśnić ludziom takim jak my.

– To znaczy?

– Motyw, plan, zbrodnia. Przywykliśmy szukać tych elementów, ale może w tym przypadku ich zwyczajnie nie ma. Wydaje mi się, że ani ty, ani ja nie zdołalibyśmy zrozumieć tych ludzi. Rozmawiałam z psycholożką z Zakładu Psychologii Wojskowej. Wydawała się bardzo kompetentna. Jej

zdaniem zarówno Kim Andersen, jak i Allan Lundkvist byli pod względem psychicznym całkiem normalni, chociaż funkcjonowali w zupełnie nadzwyczajnych warunkach i posiadali nadzwyczajne umiejętności.

– I zostali uznani za normalnych?

– Tak. Zostali zbadani przy pomocy narzędzi dostępnych psychologom i opracowanych przez innych, w pełni zdrowych ludzi. Nie mieli urojeń ani halucynacji, nie byli paranoikami, nie knuli spisków i nie przejawiali przesadnej potrzeby izolacji, chociaż Kim Andersen był tego bliski. Nie cierpieli na żadną chorobę psychiczną z klinicznego punktu widzenia i przez to zrozumienie ich motywacji może się okazać niemożliwe dla kogoś, kto sam jest normalny... albo względnie normalny.

Wstała i poprosiła:

– Zaczekaj tu.

– Nigdzie się nie wybieram.

Po chwili wróciła z jakimś zdjęciem. Wziął je od niej i obejrzał. Jedna trzecia fotografii z lewej strony była zagięta do tyłu.

– Już je widziałem. Całkiem niedawno, na zamku Pederslund na półwyspie Jungshoved. Posiadłość należy do wspólnika Caspersena, Victora Schmidta. Kim Andersen jest również na wielu innych zdjęciach, głównie z polowań. Weterani z Gwardii pracują tam jako łowczy, leśnicy albo działają w lokalnych klubach łowieckich. Jeden z synów rodu był oficerem w Gwardii.

– Syn rodu?

– Jakob Schmidt.

– On jest na tym zdjęciu?

– Możliwe. Nie jestem pewien. Są nie do poznania. Pozostali to kto?

Lene pokazała palcem:

– Kim Andersen. Samobójstwo. Po jego lewej stoi Robert Olsen, to ten z rudą brodą. Obok, ze smokiem wytatuowanym na piersi, Kenneth Enderlein. Obu w maju dwa tysiące dziesiątego zabiła w Afganistanie przydrożna bomba. Mężczyznę po prawej od Kima Andersena jest... był Allan Lundkvist, trzydzieści pięć lat, pszczelarz i szeregowiec w Gwardii. Mieszkał niedaleko koszar w Høvelte. Wczoraj przestrelono mu głowę kalibrem dwadzieścia dwa. Ja go znalazłam. Wszystko zostało zaplanowane tak, że bym to ja go znalazła.

– I to stamtąd...?

– Tak, stamtąd patrzyłam, jak torturują moją córkę.

– Ilu ich było?

– Dwóch. Jeden zabił Lundkvista i zaatakował mnie, a drugi torturował Josefine w magazynie w Sydhavnen. Chociaż oczywiście nie wiem, czy nie było ich więcej.

– Oglądałaś wszystko przez internet?

– Tak.

Michael pokiwał głową.

– Dobra. Spróbujmy ich jakoś policzyć. Allan Lundkvist nie żyje, Kim Andersen, Kenneth Enderlein i Robert Olsen nie żyją. Więc kto nam został?

Lene przesunęła czubek palca na ostatniego mężczyznę na zdjęciu. Tego, który przeżył.

– Najwyraźniej żyje tylko on – powiedziała. – Ma na szyi tatuaż. Skorpion. Żona Kima Andersena powiedziała, że może mieć na imię Tom, ale nie była pewna. Nie wiedziała nawet, czy jest Duńczykiem. Zdjęcie zrobiono na obrzeżach afgańskiego miasta Musa Qala. Myślisz, że to może być ten syn z Pederslundu?

– Jakob?

– Tak.

Michael przyjrzał się uważniej fotografii.

– Stoi na uboczu, Jakob Schmidt pewnie też by tak stanął. Poznałem go. To bardzo chłodny młody człowiek. I inteligentny. Tak, to mógłby być on. Kolor włosów się zgadza, postura też. Facet na zdjęciu jest dostatecznie wysoki, mógłby być Jakobem.

– Ale pewności nie masz?

Michael spuścił wzrok.

– Nie. Łowczy pracujący obecnie na zamku Pederslund ma na imię Thomas. Jego nie poznałem. Ma firmę organizującą safari. Nazywa się Thomas Berg.

– Ile osób było na tym filmie? – spytała Lene.

– Siedem, razem z klientem.

Pokiwała głową i policzyła na palcach:

– Kim Andersen, Robert Olsen, Kenneth Enderlein, Allan Lundkvist, mężczyzna ze skorpionem i Flemming Caspersen. Kim mógł być ten ostatni?

Michael popatrzył na nią i wzruszył ramionami.

– To mógł być Jakob Schmidt, jak się domyślam.

– To on cię napadł?

Opuszkami palców ostrożnie nacisnął ranę na głowie, zanim odpowiedział:

– Nie. Ale myślę, że miał na to ochotę. Zorientował się, że przeszukałem jego pokój. Ktokolwiek mnie napadł, ma w tej chwili mój komputer i DVD, a zanim wyszedł, walnął mnie drzwiami w głowę.

– Trzymałeś to DVD w swoim pokoju? – zdziwiła się.

– Pracowałem nad nim, okej? Musiałem je mieć pod ręką. Ale je ukryłem.

– Ukryłeś.

– Tak, kurwa.

Poczuł, że się czerwieni. Ta sytuacja była dla niego nowa. Dotąd uważał, że nikt nie jest w stanie oprzeć się jego urokowi, a tymczasem Lene Jensen zdawała się na niego całkowicie uodporniona. Nie dostrzegał w niej cienia zainteresowania i jego próżność odbierała to jako bolesną klęskę. Choć, naturalnie, rozumiał, z czego to wynikało. Ze skupienia. I żalu. Michael nagle zaczął pojmować, dlaczego nie wolno stawać między niedźwiedzicą a jej dziećmi. To cholernie niebezpieczna pozycja. Pomyślał, że ci myśliwi popełnili wyjątkowo głupi błąd, uderzając w jej córkę. Wciskając guziki wedle swojego uznania, uruchomili najpotężniejszą maszynę, jaką stworzyła przyroda. A zrobili to, bo nie rozumieli, jak bardzo jest potężna. Nie rozumieli, bo byli mężczyznami.

– Lecimy dalej? – spytał.

– Z czym? Ty tak naprawdę wiesz, kim oni są.

Michael pomyślał, że to oczywiste: myśliwi, weterani i obłąkany perwersyjny miliarder. Urokliwy zamek na odludziu tworzący korzystny klimat do pielęgnowania w sobie odklejonej od rzeczywistości psychozy. Zapewniający anonimowość kanał płatniczy w Indiach Zachodnich. Potrafił to sobie wyobrazić: adrenalinę po udanych łowach i triumfalny pokot, kuszący smak zakazanej pierwotnej męskości, te ich lancze, opowieści wojenne, fascynacja bronią i popisywanie się wyszlifowanymi do doskonałości umiejętnościami. W historii nawet w mniej sprzyjających warunkach rodzili się nadludzie.

– Wydaje mi się, że wiem. Ale musi istnieć też jakieś zaplecze. Ludzie, którzy to organizowali. Ty spotkałaś człowieka ze skorpionem?

– Widziałam go w samochodzie na parkingu przed hotelem w Holbæku, w którym nocowałam po śmierci Andersena. Ale tylko od tyłu.

– Bo taki był plan, że miałaś go zobaczyć?

- Nie wydaje mi się. Wyszłam spontanicznie, żeby przejść się po kolacji.
- Co właściwie tam robiłaś, skoro chodziło o samobójstwo?

Lene nagle wyglądała na rozdrażnioną.

- Żona założyła mu kajdanki.
- Co?!

Westchnęła. Ze złością założyła za ucho krótki brązowy kosmyk.

- Żeby zwrócić naszą uwagę, jak sądzę.
- Na co?

Popatrzyła na niego.

– Na pieniądze, Michael. Na to, jak się zmienił. Na samochód i diamenty. Widziała, że mu kompletnie odwaliło. Że działo się z nim coś złego. Ta rana w nodze. Depresja. I tak naprawdę w jakimś sensie ją rozumiem. Pewnie chciała też chronić dzieci.

- Widziałaś go jeszcze potem?

Zawahała się.

– Chyba nie. Moja córka w knajpie, w której pracuje, poznała jakiegoś mężczyznę. Sądziła... po prostu myślała, że pójdą na randkę. W tej knajpie ktoś musiał go widzieć, ale jeszcze nie przesłuchiwałam świadków.

- U Allana Lundkvista to też był on?

– Możliwe. Nie widziałam tamtego człowieka. Weszłam do domu i od razu znalazłam zwłoki Allana na krześle w salonie. Pszczoły go obsiadły. Byłam głupia.

Opowiedziała o napadzie, o tym, jak była naga, opisała twardego kołnierza, który unieruchomił jej szyję, i że piętnaście minut zajęło jej przewrócenie krzesła, sięgnięcie po nóż do linoleum i uwolnienie się. Zadzwoiła do Charlotte Falster, która pojechała po Josefina.

- Widziałaś jego dłonie?
- Miał rękawiczki.
- A nadgarstki?
- Chyba nie. Dlaczego?

Michael pomyślał o tym, jak Jakob Schmidt w charakterystyczny sposób wykręcił nadgarstek, kiedy odsunął rękaw, żeby spojrzeć na zegarek. Oraz o białym śladzie od zegarka widocznym na opalonej skórze.

– Jakob Schmidt nosi rolexa ze stali nierdzewnej na lewym nadgarstku. Jest bardzo opalony, więc ma pod nim jasny ślad.

Widział, że jej mózg pracował intensywnie, aż pokręciła głową:

– Nie widziałam nadgarstka. Jestem niemal pewna. Zwykle jestem niezła w wyłapywaniu szczegółów... albo przynajmniej w przypominaniu ich sobie po czasie... kiedy jest za późno. Rękawiczki, kominiarki. Ten, który torturował Josefine, miał na sobie czarną skórzaną maskę, taką, jakie lubią fe-tyszyści, z mnóstwem zamków błyskawicznych. Miał niebieskie, bardzo jasne oczy. A konkretnie, uśmiechnięte niebieskie oczy.

Lene zamilkła i Michael bacznie jej się przyglądał. Spod okularów popłynęły łzy.

– Płaczesz – stwierdził.

– Naprawdę?

Zaskoczona wytarła policzki rękawem.

– Ustawili ścieżkę dźwiękową. Piosenkę. *I'm On Fire*.

– Springsteen?

– Batożył moją córkę w rytm tej piosenki.

Michael milczał.

– Boję się ich – wyznała i popatrzyła na swoje leżące na kolanach dłonie.

– Naprawdę się ich boję. To działa, co robią.

– Mnie też przerażają. Istnieją wszelkie powody ku temu, żeby się ich bać. Ale ktoś musi ich znaleźć i powstrzymać. Jeśli nadal będą myśleli, że są najmądrzejsi i najsprytniejsi, ich okrucieństwo będzie eskalować.. To nieuchronne.

Wciągnęła głęboko powietrze i popatrzyła na niego. Jej zielone oczy połyskiwały jak woda.

– Czyli wiesz, kim oni są, wiesz, co robią i co zrobili, wiesz również, w jaki sposób przelewają pieniądze, i domyślasz się, kto stoi na czele całej organizacji. Jedyne, czego ci brakuje, to...

– Dowody – przyznał. – Chociaż zacznym mieć wyjebane na kodeksy.

Uśmiechnęła się.

– Ja właściwie też. Ale raczej nie wystarczy ich znaleźć i odstrzelić.

– Raczej nie. Choć to kuszące.

– Myślę, że w domu Kima Andersena można znaleźć coś więcej – powiedziała, wracając do swojego rzeczowego tonu. – Że za pierwszym razem coś przeoczyliśmy, kryminaliści i ja.

– Co takiego?

– Zniknął ich komputer. Mógł w nim mieć ciekawe rzeczy. Poza tym w ich domu jest komin oraz porządna wiata, a w niej równo ułożony stos

opału, ale nie ma pieca. Tylko kocioł opalany olejem. Może przygotował w domu jakieś miejsce...

– Był stolarzem, prawda?

– Tak.

Michael wstał.

– Powinniśmy się tam rozejrzeć – postanowił.

– Też tak uważam.

– Zakładam, że nie przyszłaś tu pieszo.

– Szefowa pożyczyła mi samochód.

– Muszę kupić parę rzeczy – wyjaśnił. – Na przykład śpiwór w moim rozmiarze.

Włożyła mu do ręki kluczyki.

– Biały passat przy drodze, dwieście metrów stąd. Skoro już jedziesz, to kup dwa śpiwory. Chcesz jakieś pieniądze?

Michael poklepał się po kieszeni.

– Tego wyjątkowo mi nie brakuje – przyznał.

– Kiedy będziesz wracał, lepiej coś zawołaj – ostrzegła go. – Inaczej możesz dostać kulkę w łeb. Nie żartuję. I kup latarkę, jeśli będą mieli.

41

Kiedy po kilku godzinach Michael wrócił do chaty obciążony sportowymi torbami, plastikowymi siatkami i z plecakiem przewieszonym przez ramię, na ławce nikogo nie było. W środku też nikogo nie zastał. Postawił na podłodze torby i siatki i poczuł się, jakby jakieś zwierzę z ostrymi jak igły pazurami grało mu na kręgosłupie jak na ksylofonie.

Znów wyszedł i rozejrzał się na polanie. Ani śladu.

Powiedziała, żeby coś zawołał, kiedy wróci, jeśli nie chce ryzykować, że go zastrzeli, więc posłusznie dwa razy zawołał swoje imię. A potem stał nieruchomo i słuchał, jak ptaki ćwierkają na drutach wysokiego napięcia. Ruszył w las i po paru minutach ją znalazł. Siedziała pod drzewem na skałce w słońcu polanie i spała w najlepsze.

Odetchnął z ulgą, ale i z irytacją, i podszedł bliżej. Lene Jensen siedziała na ziemi między korzeniami drzewa z kolanami przyciągniętymi do piersi i dociskała do siebie czarny pistolet maszynowy Heckler & Koch MP 5 – ulubioną broń ciężko pracujących żołnierzy i policjantów do strzelania z niewielkiej odległości. Usłyszał trzask gałęzi, która pękła mu pod butem, i zaraz po nim dźwięk przeładowania, który znał wyjątkowo dobrze. Patrzył prosto w lufę wycelowaną w jakiś punkt między jego oczami. Nad celownikiem widział zmrużone oczy Lene. Były dziwnie zamglone, jakby nie do końca się obudziła. Jej palec zagiął się na spuście i Michael zamknął oczy.

– To ja – wymamrotał i zasłonił twarz rękami, jakby chciał powstrzymać kulę. Zacisnął powieki, odwrócił twarz i czekał... czekał...

Strzał nigdy nie padł i po chwili ostrożnie uniósł o milimetr jedną powiekę. Lene stała i patrzyła na niego obojętnym wzrokiem.

– Miałeś zawołać – powiedziała.

– Wołałem.

– Wybacz.

Kolana mu drżały.

Z powrotem zabezpieczyła broń i ruszyła przed siebie. Ruchy miała dziwnie sztywne. Kiedy go minęła, rzucił w stronę jej pleców:

- Kupiłem ci śpiwór. I latarkę, i laptop... i butelkę wina.
- Kupiłeś wino?
- Châteauneuf du Pape.
- I korkociąg?
- Niełatwo cię zadowolić, co?

Nie odpowiedziała, ale ruszyła dalej w stronę chaty.

Michael wyjął nowy telefon i spojrzał na wyświetlacz. W pierwszej kolejności napisał esemesa do Londynu do Mallory'ego i właśnie dostał odpowiedź. Jedno słowo: „Kontakt”. Michael się uśmiechnął i prawie przewrócił o wystający korzeń. Potem zadzwonił na komórkę Sary i poszcęściło mu się, odebrała od razu.

- Hej, skarbie, to ja.
- Michael, dzwoniłam tysiąc razy. Coś się stało?

Głos jej drżał i Michael wiedział, że ze wszystkich sił próbuje się nie rozpłakać. Czasem jej się to udawało, a czasem nie.

- Wszystko w porządku, skarbie. Nic mi nie jest.

Lene już zniknęła w chacie.

- Na pewno? Co się dzieje?

Michael przesunął dłonią po krótkich włosach na karku i rozważył możliwe wersje.

– Zostałem napadnięty i ktoś zabrał mój komputer i parę innych ważnych rzeczy – odparł.

- Jak to: napadnięty? Przez kogo, kiedy, gdzie...? Jesteś ranny?

– Nie wiem, kto to był, Saro. To się stało wczoraj wieczorem w moim pokoju w hotelu. Ale jedyne, co ucierpiało, to moja duma.

Zapadła długa cisza. Michael słyszał jej oddech.

- Michael...

Podniósł głowę i popatrzył na nagie korony drzew. Już to przerabiali i naprawdę nie miał ochoty do tego wracać. Nie w tamtym momencie. Nie miał na to siły. Ani czasu.

- Staram się, naprawdę – powiedziała.
- Wiem. I doskonale ci idzie, Saro.
- Kiedy wrócisz? – spytała.

– Nieprędko. Słuchaj, pomyślałem o domku letniskowym twojego brata... Może byś się tam przeniosła z dziećmi na jakiś czas?

– Ale teraz?

– Myślę, że tak będzie lepiej.

Zdarzało się już, że prosił ją, aby opuściła dom, kiedy uważał, że ktoś za bardzo może się do nich zbliżyć. Czuł się pewniej, wiedząc, że są bezpieczni.

– Na jak długo?

– Może tydzień.

– Michael, jestem tym już tak bardzo zmęczona. Naprawdę. Tak strasznie bym chciała być twarda, ironiczna i dzielna, i w ogóle, ale kurczę, sama już nie wiem...

– Saro, nie teraz.

– Jesteś sam?

– Akurat nie. Jest ze mną jedna policjantka. Ona chce... oboje chcemy sobie jakoś nawzajem pomóc.

– To świetnie – powiedziała mechanicznie. Michael mógł tylko westchnąć. – Ładna? – spytała po chwili.

– Zjawiskowa. Saro, daj spokój.

Pociągnęła nosem, a Michael popatrzył na chatę. Z komina unosił się dym. Komisarz Jensen znalazła coś na rozpałkę. Dlaczego sam o tym nie pomyślał w nocy?

– Zapytam go. O domek – wymamrotała.

– Dziękuję. Byłbym spokojniejszy.

– Trzymaj się.

– Kocham cię – powiedział.

– Na razie...

Michael chwilę patrzył na telefon i w końcu schował go do kieszeni. Ruszył ścieżką i wszedł do chaty. Lene wcisnęła korek do butelki i właśnie nalewała wino do papierowych kubków, przytrzymując korek długopisem. Wino zabulgotało w butelce i pociekło jej po ręce. Skończyła rozlewać i splukała rękę nad zlewem.

– Chociaż w sumie to powinno być niemożliwe.

– Co?

– No, żeby ciecz płynęła w górę.

Wręczyła mu kubek i podniosła własny.

– Na zdrowie. To była twoja żona?

– Tak.

Uśmiechnęła się lekko.

– Pewnie niełatwo być twoją małżonką. Chodzi mi o twój zawód i w ogóle.

– Pewnie nie. Obstawiam, że twojemu mężowi też nie jest różowo.

– Rozwiedliśmy się. Masz dzieci?

– Półtora roku i cztery lata.

Michael przysunął kubek do piersi i podszedł do czegoś w rodzaju beczki pełniącej funkcję kozy do ogrzewania. Konstrukcja stała w izbie głównej i jej dno już rozgrzało się do czerwoności. Stanął do niej plecami, zamknął oczy i czekał, aż przyjemne ciepło rozejdzie się po całym ciele. W kościach nadal czuł przenikliwy ziąb, ale wiedział, że to nie tylko przez noc na antresoli i nieszczelny dach.

Lene usiadła na ławie pod ścianą i palcami przesuwiała po napisach wyrytych na stole przez kolejne pokolenia harcerzy. Wypiła łyk wina i palcem odnalazła kolejny napis.

– Był tu jakiś opał? – spytał.

Pokręciła głową.

– Spaliłam część proporczyków i skór. I jedno lekko zdezelowane krzesło. I tak było do wyrzucenia.

Michael popatrzył na puste ściany.

– No to pięknie. Będą zachwyceni – stwierdził. – A twoja córka... Josefine. Co z nią? Wyzdrowieje?

W jej oczach mignął ostrzegawczy zielony błysk i zmierzyła go wzrokiem, jakby był jedną z tych tekturowych postaci, do których się strzela na strzelnicy.

– Tak mówią. Jeśli chodzi o jej duszę, umysł, psychikę, *whatever*... bo domyślam się, że to o to pytasz?

– Tak, i nie tylko o Josefine.

– Rozumiem. I dziękuję. Ale to już się stało, prawda? To się stało. Nie sądzę, aby którakolwiek z nas była w stanie udawać, że to nie miało miejsca. Nie ma szans. To nie leży w naszej naturze.

Wstała szybko, poszła do kuchni i wróciła z winem. Poruszała butelką i mężczyzna nadstawił swój kubek.

– Dzięki. Myślisz, że jest dość silna? Odporna?

– Wydaje mi się, że tak. Ale z zaufaniem... Z tym, żeby znów komuś zaufać, zaufać mężczyźnie... To pewnie całkiem inna historia.

Ze złością wytarła łzę z policzka grzbietem dłoni.

– No tak – pokiwał głową.

– Nie mówmy już o tym, co? Tak naprawdę jestem śmiertelnie zmęczona.

Michael przytaknął i docisnął językiem rozchwiany ząb. Zaczął wypakowywać na stół zawartość sportowej torby i reklamówek, a Lene przyglądała mu się w milczeniu. Kiedy wręczył jej śpiwór, zaraz wyjęła go z pokrowca, wstała i rozwinęła. I przysunęła do nosa.

– Ładnie pachnie – zauważyła.

– Puch gęsi. Najlepsze, co można kupić za pieniądze. Kupiłem też maty samopompujące. I jedzenie – wyjaśnił i własny śpiwór położył na krześle obok piecyka. – I latarkę. Zgarnąłem też kilka koszulek, które chyba będą pasować na nas oboje. Bieliznę...

– Dla mnie?

Zademonstrował jej parę białych męskich slipów:

– Rozmiar L.

– Chcesz powiedzieć, że mam wielki tyłek?

Popatrzył na nią i z powrotem schował slipy do torby. Kobiety i ich nierównane wyczucie proporcji.

Potem ziewnęła i się przeciągnęła. On siedział cały czas na krześle obok pieca ze śpiworem zarzuconym na plecy. Sam nie wiedział, kiedy dopili to wino.

– A co, jeśli się mylisz i w domu Kima nic nie znajdziemy? – wymamrotał z zamkniętymi oczami.

– Nie ma takiej opcji – powiedziała stanowczo. – A ten człowiek ze skorpionem? Myślisz, że go spotkamy?

– Mam nadzieję, że nie. W każdym razie jeszcze nie teraz. Jest groźny. Oni wszyscy są.

– Ale my jesteśmy uzbrojeni po zęby – zauważyła.

– Tak?

Otworzyła torbę, z którą tu przyszła, pogrzebała w niej chwilę, po czym wyjęła kaburę i położyła na stole. Michael popatrzył na broń.

– To dla mnie?

– Jeśli chcesz. To broń służbowa, osiemnaście strzałów. Śmiało. Wszystko biorę na siebie.

Michael wstał i wyjął pistolet z kabury. Wysunął magazynek, podniósł broń do twarzy i spojrział przez lufę. Heckler & Koch. Ta sama marka co pistolet maszynowy. Dobry, ciężki i brzydki. Z powrotem wsunął magazynek i schował broń do kabury. Patrząc na nią, zamyślił się.

– Sam nie wiem. Nie lubię broni palnej.

Z powrotem włożyła pistolet do torby.

– Jak chcesz. Będzie tutaj, gdybyś zmienił zdanie. Co powiesz na sjęstę? Nie jestem w stanie myśleć.

– A dasz radę zasnąć? – spytał.

– Pewnie nie. Ale chcę spróbować.

Wrzucił jej śpiwór na antresolę.

– A ty?

– Ja zostanę tutaj i będę trzymał wartę.

Pokiwała głową i wspięła się po drabince.

Michael rozścielił sobie śpiwór na ławie i się na nim położył. Wiedział, że nie zaśnie. Przewrócił się na bok i patrzył na czerwony płomień za szybką kozy. Usłyszał, jak trzeszczą pod nią deski, a potem westchnienie. I nagle sam zapadł w głęboki sen, jakby ziemia się pod nim rozstąpiła.

42

Długo jechała, nie odzywając się ani słowem. Michael domyślił się, że jest niezadowolona.

– Zasnąłeś – powiedziała oskarżycielsko, kiedy obudziła go popołudniu.
– Obiecałeś, że będziesz trzymał wartę.

Wymamrotał jakieś przeprosiny, ale Lene pozostała zimna i milcząca, kiedy gotowała wodę, żeby zalać im kawę, a on zanosił rzeczy do samochodu. Wypili w milczeniu a potem Lene poszła przodem ścieżką. Jako pierwsza dotarła do samochodu i usiadła za kierownicą. Ruszyła, zanim zdążył zamknąć drzwi.

Michael podjął próbę zagajenia rozmowy, ale nieudaną. Kiedy jechali na zachód, przedzierając się przez popołudniowe korki, odwrócił się na fotelu i posłał jej profilowi swój najbardziej rozbrajający, łobuzerski uśmiech.

– Co robisz, kiedy chcesz zasnąć? – spytał.

– Słucham?

– Kiedy chcesz zasnąć. Ja na przykład przypominam sobie różne obrazy z dzieciństwa, staram się odtworzyć klimat tamtych miejsc. Strych ze starymi rupieciami, salon w domu babci. Miała zegar z kukułką, który cały czas chodził, chociaż w jej domu czas się zatrzymał, ja nigdy nie widziałem, żeby ktoś ten zegar nastawiał. A ty? Jaki masz sposób?

Zerknęła na niego z boku.

– Wyobrażam sobie, że leżę przywiązana do drewnianego stołu, a nad głową mam gilotynę. Wpatruję się w ostrze, które nagle spada... i zanim odrąbie mi głowę, zasypiam.

– Aha... to bardzo ciekawe, Lene.

– Michael, robię cię w konia. To nie twoja sprawa, o czym myślę, żeby zasnąć. Szczerze mówiąc, trochę mam już dość obcych ludzi, którzy włożą mi do głowy, okej?

– Okej.

– To dobrze.

Godzinę później zatrzymała się na poboczu przy punkcie widokowym. Wyłączyła silnik i położyła obie ręce na kierownicy. Przed nimi rozciągała się panorama fiordu Holbæk, a dwieście metrów dalej od szosy odbijała ślepa droga prowadząca do leśniczówki Andersenów.

– Dalej chcesz iść pieszo? – upewnił się Michael.

– Tak.

Popatrzył na nią uważnie.

– Jeśli wolisz, to mogę pójść pierwszy i się rozejrzeć.

Pokręciła głową.

– Nie trzeba. Muszę tylko...

Kropla potu spłynęła jej po skroni.

Torby zostawili w bagażniku. Michael wyjął tylko swoją latarkę i zamknął klapę.

– Tam stoi radiowóz – zauważył, kiedy zbliżali się do domu.

– Poprosiłam ich, żeby mieli oko na dom.

Nacisnęła klamkę zamkniętych na klucz drzwi i zmarszczyła brwi.

– Pewnie są w ogrodzie – domyśliła się.

Podążyli za głosami. Przy stole w ogrodzie siedział młody brodaty policjant, który tamtego pierwszego dnia zwrócił Lene uwagę, że przy łódce brakuje szota, a na wprost niego opiekun psa, z kuchni na posterunku. Młody owczarek niemiecki stał na środku trawnika i przyglądał im się, nadstawiając uszu. W trawie przed nim leżała piłka tenisowa. Policjanci też patrzyli na nią badawczo.

– Tak, to ja – zapewniła ich i pokazała legitymację.

Brodacz uśmiechnął się niepewnie.

– Tak, teraz widzę.

Michael odchrząknął zniecierpliwiony. Lene zignorowała go i zwróciła się do policjantów:

– Działo się coś?

– Nic – odparł brodac. – Louise Andersen była tu parę razy po rzeczy. Ubrania dla dzieci i takie tam.

– Jak wyglądała?

– Jakby było jej smutno.

– Możecie już jechać. Sami się zajmijemy domem. I w sumie nie musicie tu wracać. Przekażecie to pozostałym u was na posterunku?

– Jasne. Ale na pewno?

– Na pewno – potwierdziła.

Policjant pokiwał głową i zabrał ze stołu termos i kubki z kawą. Opiekun psa podniósł z trawy miski z wodą i jedzeniem dla szczeniaka. Pies ponownie nadstawił uszu i popatrzył w stronę lasu na końcu łąki. Jego opiekun popatrzył na zwierzę uważnie. Pies zrobił dwa kroki w przód i głośno zaszcze-kał.

– Co jest, Tommy?

Michael podążył za spojrzeniem owczarka i zobaczył sarnę, która powoli, nieśmiało wychodziła z lasu na łąkę. Jej uszy z kolei były zwrócone do tyłu, w stronę lasu.

– Znam tę sarnę – odezwała się Lene.

– Tak?

– Jest prawie oswojona. Kiedy byłam tu wieczorem, prawie do niej strze-liłam. Pojawiła się tuż za mną i pociągnęła nosem. Myślałam, że zemdleję.

Stali jeszcze chwilę, dopóki nie usłyszeli, jak radiowóz cofa się na pod-jeździe. Gałęzie powoli robiły się czarne na tle granatowego wieczornego nieba, a słońce wisiało nisko. Ładne miejsce, pomyślał Michael. Spokojne. Skojarzyło mu się z jego własnym domem. Sarna skubała trawę kawałek dalej, na końcu łąki.

– Przyjemne miejsce – oznajmił, a Lene wyraźnie się wzdrygnęła. – Ale ty, widzę, jesteś mieszczuchem?

– Zdecydowanie – ucięła i ruszyła w stronę domu.

Zatrzymali się przed stosem opału ułożonym za domem pod porządnie zbudowanym zadaszeniem krytym papą.

Michael otworzył szafkę obok zadaszenia. Stały w niej dwie duże żółte butle z gazem. Jedną połączono z domem za pomocą wentylu bezpieczeń-stwa i gumowego węża. Druga była zaplombowana. Przez okno zajrzał do małej, ale zadbanej kuchni z kuchenką gazową, okrągłym stołem, dwoma krzesłami i dwoma krzeselkami dla dzieci. Wnętrze jakby czekało na po-wrót gospodarzy.

Lene przesunęła palcami po belce biegnącej wzdłuż wiaty. Słońce szybko zachodziło, Michael włączył latarkę i sam zajrzał pod wiatę. Nie widział w niej niczego podejrzanego.

– Trzeba przesunąć to drewno – uznał.

– Całe? Przecież to Bóg wie, ile metrów sześciennych. Musi być inny sposób.

– Moim zdaniem nie ma.

Chociaż to mógł być oczywiście tylko stos drewna, pomyślał i na próbę potupał na betonowej pokrywie przed wiatą. Odgłos wydał mu się trochę głuchy. Poszedł do garażu, przecisnął się bokiem obok łódki i znalazł zarzewiały metalowy pręt. Leżał obok lewarka. Michael podniósł pręt, zważył go w rękach, wydawał się dostatecznie mocny. Wrócił do Lene, która stała przodem do dREW i jedno po drugim rzucała za siebie polana.

Uderzył prętem w pokrywę, która wcinała się kawałek w trawnik, i odpowiedziało mu głuche echo. Lene stała nieruchomo i patrzyła na niego.

– Brzmi jak studnia – zauważyła.

– Albo więzi tam całą rodzinę – podsunął Michael.

Przesunął palcami wzdłuż dachu wiaty w miejscu, gdzie stykała się ze ścianą domu. Okazało się, że między wiatą a ścianą jest przerwa, w którą można wsunąć palce. Dziwne, przecież deszcz i inne opady musiały przeciekać i moczyć na opał. Wsunął pręt między belkę w ścianie domu a dach wiaty. Zapierając się nogą o ścianę, pociągnął pręt do siebie, aż zaczęło mu pulsować w czaszce i przestraszył się, że rana na skroni się otworzy. Konstrukcja poruszyła się nieznacznie, ale coś blokowało ruch na dole. Wylał pot z czoła i popatrzył na wiatę.

– Myślę, że źle się do tego zabraliśmy – stwierdził. – To nie opał trzeba odsunąć, tylko całą przeklętą budę. Pod spodem jest jakiś zamek albo blokada. Musimy ją tylko znaleźć.

Uklęknął na trawie i zaczął rozgrzebywać ziemię w miejscu, gdzie betonowa płyta stykała się z trawnikiem. Lene kucnęła obok i też zaczęła kopać. Pachniała delikatnie szamponem albo czymś innym, bardziej kwasowym. Może farbą do włosów. Michael do kopania użył pręta i po paru minutach rzeczywiście natknął się na coś metalicznego. Odłożył pręt i gołymi rękami odsłonił czarny ring w warstwie gruzu pod darnią, do którego przyspawany był płaski kawałek metalu. Ten z kolei zniknął w szparze betonowej pokrywy.

Michael usiadł na piętach i uważnie przyglądał się całej konstrukcji.

– Na co czekasz? – zdziwiła się Lene. – No pociągnij. To chyba jakiś rygiel.

Pokiwał głową i wykonał polecenie. Ring razem z rygłem wysunęły się gładko. Były wpuszczone jakieś dwadzieścia centymetrów w beton. Teraz

komisarz pokiwała głową zachęcająco i powtórzyła:

– No, dalej!

– A może ty spróbujesz?

Wstał i podał jej metalowy pręt, ale zdecydowanie pokręciła głową.

– Śmiało, dajesz.

Michael ponownie wsunął pręt między belkę a wiatę i napał na niego całym ciężarem ciała. Szopa się zachwiała i z hukiem runęła na betonową pokrywą, a Michael upadł na plecy i tyłem głowy uderzył w krawędź betonu.

Lenne odwróciła się plecami akurat w chwili, gdy pod powiekami rozbłysły mu fajerwerki jak w chiński Nowy Rok. Ugryzł się w język i poczuł smak krwi w ustach.

Wsparł się na łokciu i drugą ręką dotknął karku. Jęknął, gdy spojrzał na tę rękę, jeśli tak dalej pójdzie, to nabawi się trwałego uszkodzenia mózgu. Chociaż może to nie byłoby takie złe. W domu opieki miałyby spokój, regularne posiłki i inspirujące rozmowy.

Dopiero po chwili do niego dotarło, że ona stała zgięta wpół i płakała ze śmiechu. On tymczasem z trudem usiadł, oparł czoło na przedramionach i popatrzył na ziemię między swoimi stopami.

Lene udało się w końcu w miarę zapanować nad sobą, wyprostowała się i odwróciła do niego.

– Przepraszam, Michael. Ale twoja mina... tak nieskończenie... tak szczerze zdumiona. – Wyjaśniła, ocierając łzy.

– Nic nie szkodzi – odparł ponuro. – Pewien poziom hysterii i okrucieństwa jest naturalną reakcją na to, co przeszłaś. Cieszę się, że miałaś się z czego pośmiać. Że mogłem ci w ten sposób ulżyć. Naprawdę.

Wyciągnęła do niego rękę, żeby pomóc mu wstać, ale pokręcił głową.

– Nie, dzięki. Poradzę sobie... odejdz...

– Michael... przepraszam...

Ostatecznie złapał ją za rękę i pozwolił jej się postawić na nogi. Poczerniało mu przed oczami i musiał chwilę postać z rękami na kolanach. Lene tymczasem przesunęła na beton resztę konstrukcji.

Okazało się, że wiata miała z jednej strony zawiasy, a pod dolnymi deskami – kółka albo walce. Pod całością znajdowała się płyta ze stali galwanizowanej. Ona też miała zawiasy, wzdłuż dłuższego boku, tego bliżej domu, i solidną kłódkę na krawędzi przeciwnej, od strony ogrodu. Wokół płyty biegł odlany z betonu odpływ, który mógł skutecznie odprowadzać deszczówkę z pomieszczenia znajdującego się pod płytą.

Lene wpatrywała się w niego. Jej twarz nabrała kolorów, a oczy błyszczały triumfalnie.

– No tak, mówiłaś, że coś tu jest – wymamrotał Michael łaskawie.

– No. Mówiłam – przyznała z satysfakcją.

Wsunął swój niezawodny pręt w pałąk kłódki i wyłamał ją z trzaskiem. Lene się schyliła, wsunęła czubki palców pod płytę i spróbowała ją podnieść.

– Cholernie ciężka – jęknęła.

– Śmiało, dajesz – dopingował.

Popatrzyła na niego, ale spróbowała ponownie. Płyta z hukiem upadła w stronę domu i razem podeszli zajrzeć do środka.

Kim Andersen nie przetrzymywał tam żadnej rodziny. W dziurze mieszkały co najwyżej dwie stonogi, które zwinęły się w kulki, gdy padło na nie światło latarki. Betonowy schowek liczył jakieś półtora metra głębokości, był dobrze zabezpieczony przed wodami opadowymi. W ścianie od strony domu widniała metalowa krata, która najprawdopodobniej grodziła przejście do czegoś w rodzaju spiżarni pod kuchnią.

Lene trzymała latarkę, a Michael schylił się i wyjął z pomieszczenia plecak w kolorze khaki.

– To wszystko? – spytała.

– Jeszcze to.

W schowku leżała też mała zielona kasetka na pieniądze owinięta grubą folią i taśmą klejącą. Lene wzięła ją od niego i wsunęła pod pachę. Poza tym pomieszczenie było puste. Michael schylił się jeszcze i poświecił w stronę kraty, ale nie zobaczył nic poza ciemnością, jakby znajdował się tam tunel prowadzący pod dom.

– W budynku jest piwnica – zauważył. – Wiedziałaś o tym?

– Tak. Na podłodze w kuchni widziałam klapę i drabinę – schodzi się nią do małej komórki. Ale nic w niej nie znaleźliśmy. Puste butelki po piwie, parę skrzynek oranżady, sanki, narty, tego typu rzeczy. Instalacja wodna.

– Ale kraty nie znaleźliście, prawda? – zauważył. – Wnieśmy to do domu i obejrzymy, co?

Na wierzchu plecaka spakowana była gruba kurtka z szaro-biało-czarnym kamuflażem arktycznym. Położył ją na podłodze w kuchni i przeszukał wszystkie kieszenie. Były puste.

Lene w tym czasie rozpakowała z folii zieloną kasetkę i w szufladach kuchennych szukała odpowiedniego wytrychu.

Zajrzał do plecaka i wyjął spodnie z takim samym wzorem jak kurtka. Uniósł je do światła. Przez poszarpaną dziurę na wysokości uda dało się precyzyjnie przycisnąć palec. Materiał wokół dziury był sztywny i ciemnobrązowy.

– Å propos dowodów, to chyba poprawia nieco naszą sytuację – zauważył.

Lene popatrzyła na spodnie i na dwie dziury w nogawce.

– Co tam jest jeszcze?

– Czapka, rękawiczki, kominiarka, czołówka, manierka. W sumie wszystko, co powinien mieć dobrze wyposażony myśliwy w Arktyce.

Otworzył zamek klapy plecaka i wyjął trzy złożone zalaminowane norweskie mapy w skali

1: 50 000. *Statens Kartverk serie M711: Porsangerfjord, Alta Fjord*. Ostrożnie chwycił je samymi paznokciami i położył na stole przykrytym ceratą.

– Finnmark – pokiwał głową.

– To już wiedziałeś. Ale jest coś jeszcze? – niecierpliwiła się.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego pracujesz sama.

– I wzajemnie. Coś jeszcze? – powtórzyła.

Michael poświecił latarką do środka plecaka i przeszukał wewnętrzne kieszenie.

– Nie... Ale czekaj... jest jeszcze jedna kieszeń.

W wodoodpornym pokrowcu plecaka wyczuł palcami wąski zamek. Otworzył go i z ukrytej kieszeni wyjął kartkę formatu A4.

Lene próbowała otworzyć kasetkę nożem kuchennym. Ostrze się ześliźnęło i ją skaleczyło.

– Co to? – spytała i włożyła sobie palec do ust.

– Rysunek architektoniczny pałacu Flemminga Caspersena. Dwa miesiące temu mieli tam włamanie. Dwaj mężczyźni odpływali i ukradli rogi nosorożca. Na teren posiadłości dostali się od strony Sundu. Przyłączyli pontonem o drugiej nad ranem, zamrozili instalację alarmową ciekłym azotem i poza rogami, zdaje się, nie zabrali niczego. Dom był pusty.

– Ale rogi? – Zmarszczyła czoło.

– Nosorożca. O łącznej wadze ośmiu kilogramów. Na czarnym rynku chodzą po pięćdziesiąt tysięcy dolarów za kilo. Tylko trzeba znać właściwych ludzi.

– Myślisz, że to był Kim?

– Mamy tu w każdym razie plan domu z zaznaczonym systemem alarmowym i rozmieszczeniem czujników ruchu i kamer monitoringu.

Lene owinęła palec kuchennym ręcznikiem i z wściekłością popatrzyła na niezwykłą zieloną skrzynkę.

– Ale żeby ukraść jakieś głupie rogi?

Wzruszył ramionami.

– Moim zdaniem wychodzi z tego niezła stawka godzinowa. Sam mógłbym się skusić, gdybym wiedział, jak je potem opchnąć.

– Nie jesteś złodziejem – zauważyła poważnym tonem.

– No tak, nie jestem – przyznał. – Jak ci idzie z kasetką?

– Nie najlepiej. Potrzebny jest wytrych albo coś takiego. Może łom czy śrubokręt.

– Może ja spróbuję?

– Zapraszam.

Przysunęła mu ją po stole, a Michael wstał i z całej siły rzucił kasetką o podłogę. Wieko odskoczyło i zawartość wysypała się na podłogę.

Lene nawet nie drgnęła.

– Bardzo zgrabnie – przyznała. – Sama mogłam to zrobić.

– Zwarcie – wyjaśnił i kucnął.

Na oko zawartość kasetki wydawała się rozczarowująca: CD albo DVD w plastikowej koszulce i dwa kolorowe zdjęcia. Michael wyłożył wszystko na stół i wskazał na pierwsze zdjęcie.

– Tu w tle widzisz zamek Pederslund. A to Kim Andersen z psem gończym. A ten... to on?

Lene przeszły ciarki, kiedy przyjrzała się drugiej osobie na zdjęciu: wysoki, włosy w kolorze ciemny blond, szerokie plecy, białe zęby, śniada karnacja, oczy chyba brązowe, szeroko otwarte, koszula w kratę, kurtka nieprzemakalna, sztruksowe spodnie i kalosze. I wreszcie: końcówka tatuażu pod uchem: przegubowy ogon skorpiona. Michael nie widział wcześniej tego człowieka.

Pokiwała głową i głośno przełknęła ślinę.

– To on.

Michael odwrócił zdjęcie. „Pederslund 2008. Max i T”.

– Max to pewnie pies.

– A T to Thomas.

– Mhm. Jeśli ktoś wie, to da się go rozpoznać na tym zdjęciu z Afganistanu – przyznał. – Stojącego trochę z boku. Thomas Berg.

– Dokładnie.

– A nie Jakob Schmidt.

Drugie zdjęcie było nieostre i ucięte. Fragment obiektywu przesłaniała czyjaś ręka. Czarna ukośna pręga z boku fotografii stanowiła prawdopodobnie fragment narożnego słupka we wnętrzu samochodu. Fotografie zrobiono późnym wieczorem. Na pierwszym planie znajdował się pusty, szary i zalany deszczem parking. Obiektyw był skupiony na kobiecie w czerwonej parce, która w chwili zrobienia zdjęcia odwróciła się w drzwiach żółtego drewnianego budynku. W jednej ręce trzymała plecak, drugą przytrzymała drzwi. Uśmiechała się i mówiła coś do stojącego za nią szczupłego bruneta. Miała lśniące czarne włosy i regularne rysy twarzy. Twarz natomiast wyrażała zarówno, czułość jak i zniecierpliwienie. Jej towarzysz był ubrany w czarną parkę, miał plecak na plecach i opierał dwie pary biegówek o ścianę domu obok drzwi.

W mokrym asfalcie odbijał się czerwony neon „Porsanger V rtshus”.

Michael odchylił się na krześle.

– To oni? – spytała.

– Kasper Hansen i Ingrid Sundsbö – potwierdził. W tym momencie wszystko się wyjaśniło, pomyślał z bezgranicznym smutkiem.

Schował zdjęcia do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął płytę.

– A odciski palców? – upomniała go.

Michael podniósł plastikowy krążek na wysokość oczu i obejrzał jego powierzchnię pod światło lampy nad stołem.

– Nie ma. Poza tym to już chyba bez znaczenia?

Odsunął krzesło i popatrzył na nią uważnie. Spojrzał jej w głąboko w te zielone oczy, które nawet nie mrugnęły.

– Lene? To chyba bez znaczenia? – powtórzył, tym razem bardziej stanowczo. – Mamy już dość dowodów, nie sądzisz? To oni. Pytanie, co chcesz z tym zrobić. Zamierzasz ich postawić przed sądem?

– Jeszcze nie wiem – odparła cicho.

Ona też odsunęła krzesło od stołu i wbiła wzrok w podłogę.

– To nie takie proste – przyznała po chwili. – Widziałeś kiedyś, jak ktoś jest mordowany, a ty mogłeś temu zapobiec?

Michael poczuł, jak się czerwieni. Pomyślał o dwóch porywaczach w Holandii w opuszczonym gospodarstwie na obrzeżach Nijmegen i o Pieterze Henryku, którego twarz, zwykle sympatyczna i pogodna, była zupełnie szara, kiedy go spotkał na schodach szpitala Slotervaart Ziekenhuis w Amsterdamie, gdzie po uwolnieniu trafiła jego córka. Kołnierzyk jego koszuli zrobił się o rozmiar za duży, a granatowy płaszcz wisiał na ramionach. Mężczyzna wręczył Michaelowi kopertę z wynagrodzeniem. W kilka tygodni zmienił się w starca. Jego oczy zmatowiły, ruchy stały się wolne i niepewne, a głos przeszedł w zachrypnięty szept.

– Dziękuję, *mijnheer*. Również w imieniu Julii. Dziękuję.

– Nie ma za co. – Michael popatrzył wtedy na betonową fasadę szpitala. – Jak ona się czuje?

Pieter wytarł oczy chusteczką i spojrzał na artystyczny bruk pod stopami.

– Zawsze była delikatna – zaczął, nie podnosząc wzroku. – Bardzo nieśmiała. Marzycielka. Arty dziewicą, chociaż ma dwadzieścia lat.

– Ale zawsze była kochana – powiedział Michael, próbując dodać mu otuchy.

Miliarder nadał wychudzone policzki.

– Zdecydowanie! Jeśli akurat mieliśmy czas i jeśli kochanie jej nie wymagało zbyt dużego wysiłku.

– Może się z tego otrząśnie – spróbował znowu Michael.

– Może tak. – Pokiwał głową, wyglądał, jakby w to nie wierzył. – Tak naprawdę myślę, że ona psychicznie tego nie udźwignie.

Michael skrzywił się na tamto wspomnienie.

– Co się dzieje? – spytała Lene.

– Nic.

– A to, o czym rozmawialiśmy?

– Zdarzyło mi się to zrobić osobiście. Zabić kogoś. I tego nie żałować – przyznał.

– Nawet przez chwilę?

– Zasłużyli sobie. To już nie byli ludzie. Zrobili coś niewybaczalnego.

Poszedł po swój nowy laptop, położył go na stole w salonie i wsunął do niego płytę.

Na dysku było mnóstwo plików w różnych formatach. Michael kliknął pierwszy z brzegu. Był to plik video o nazwie Sagarmatha 2006-23-10 i pochylał się bliżej ekranu.

Obejrzeni trwający półtora minuty film i zamilkli.

– Johanne Reimers – odezwała się wreszcie Lene. – To ta, która latała wśród jastrzębi w Himalajach.

Młoda Dunka najpierw zdobyła mistrzostwo świata w paralotniarstwie, zanim zajęła się obserwowaniem słynnych kani czarnych żyjących w parku narodowym Sagarmatha w północnym Nepalu, niedaleko Mount Everestu. W październiku dwa tysiące szóstego zniknęła bez śladu razem z Tedem Schneiderem – amerykańskim fotografem pracującym dla „National Geographic”. Wysłano po nich wiele ekspedycji ratunkowych, ale żadnej nie udało się trafić na ich ślad.

– I chyba nikt się nigdy nie dowiedział, co tam się właściwie stało, prawda? – dodała.

– Nie – potwierdził ponuro Michael.

Lene wyszukała więcej informacji w Wikipedii, a w Google’u znalazła kilka portretowych zdjęć paralotniarki. Johanne Reimers na wszystkich fotografiach się uśmiechała, ale jednocześnie utrzymywała skupienie. Była zarówno z tego, jak i z innego świata. Lene pomyślała, że ta dziewczyna musiała być wyjątkowo odważna. Ale nie nieustraszona, na to wydawała się za mądra. Potrafiła najwyraźniej przełamać ten najbardziej pierwotny strach, jaki musi czuć każdy, wisząc kilka kilometrów nad ziemią pod cienką warstwą tkaniny. A może po prostu doznania, jakich jej dostarczało unoszenie się w powietrzu wśród tych dostojnych ptaków i patrzenie na świat z ich perspektywy, wydawały jej się zbyt piękne, żeby z nich rezygnować.

I rzeczywiście śmierć dwudziestosiedmioletniej podróżniczki nie była spowodowana nagłym załamaniem pogody, błędem w obliczeniach, zawodnością sprzętu czy gwałtownym podmuchem wiatru. Nastąpiła pewnego dnia w październiku dwa tysiące szóstego roku na wąskiej ścieżce wykutej

w surowej granitowej ścianie. Wysoko ponad doliną srebrzystej rzeki, która meandrowała przez pasmo górskie i dużo dalej, tysiąc kilometrów na południe łączyła się z jedną z majestatycznych świętych rzek Indii.

Było deszczowe popołudnie. Mokra kamienie połyskiwały, a powietrze było gęste i szare od wilgoci. Ścieżkę przecinał strumień. Słysząc było zachrypnięty płytki oddech nagrywającego, a przed obiektywem dwie ciemne postacie oddalały się, co chwila się potykając. Wspinali się ścieżką pnącą się stale w górę i pełną ostrych zakrętów. Jedną z tych osób, mężczyzna, który musiał być tym amerykańskim fotografem, zawołał coś po angielsku do kobiety. Johanne Reimers poślizgnęła się i upadła na ręce i kolana. On z kolei zatrzymał się i przycisnął rękę do boku. Miał kredowobiałą twarz i z trudem łapał oddech.

Kamerzysta również się zatrzymał. Obraz unosił się i opadał wraz z jego własnym poszarpanym oddechem.

Amerykanin patrzył na kobietę, która kilka metrów przed nim próbowała się podnieść. Potem się odwrócił i spojrzał na prześladowców. Zapewne oceniając swoje szanse na wyjście z tego cała

– z nią albo bez niej. Chwiejnym krokiem wrócił po nią, objął ją ramieniem i nadludzkim wysiłkiem podniósł z ziemi. Znowu ruszyli przed siebie, ale mężczyzna się zatrzymał w połowie trzeciego kroku, gdy kula przeszła mu pierś. Kurtka lekko się podniosła pod wpływem uderzenia, ale ciało zostało nieruchome.

Johanne Reimers znowu upadła. Wsparła się na rękach i spojrzała na towarzysza. Stał w bezruchu i patrzył przed siebie, jakby o czymś zapomniał albo chciał jej powiedzieć coś ważnego. Ona podniosła się na kolana i wyciągnęła ku niemu ręce, gdy jej towarzysz powoli przechylił się i runął w dół, w stronę rzeki daleko pod nimi.

Kobieta z trudem wstała i odwróciła się do prześladowców. Ręce zwieszała wzdłuż ciała. Jej twarz była jasnym owalem okolonym mokrymi ciemnymi kosmykami kapturem kurtki.

Wszyscy stanęli w nieruchomym wyczekiwaniu, podobnie jak ona, niczym widownia sztuki kameralnej. Operator również się nie poruszał, obraz nie podskakiwał.

Kobieta w kadrze zmarszczyła brwi, skupiła wzrok i otworzyła usta, jakby chciała o coś zapytać, zaraz jednak je zamknęła. Pokręciła głową i w tym momencie ktoś przeładował karabin. Podeszła na skraj przepaści i popatrzyła w dół.

– Nie potrafię! – zawołała do nich spokojnie i wyraźnie.

Po duńsku.

Kamera zrobiła zbliżenie, aż jej usta wypełniły kadr.

– Nie potrafię! – powtórzyła.

Obraz z zawrotną prędkością oddalił się od jej twarzy, padł strzał i kobieta upadła do przodu. Nie poruszała się.

Lene ukryła twarz w dłoniach. Rozpoznała spojrzenie tej kobiety. Widziała je w jedynym otwartym oku Josefine na ekranie komputera. Pustka, tylko tu zabrakło czasu na rezygnację. Pod powiekami zobaczyła, jak twarz jej córki płynnie nakłada się na twarz Johanne Reimers pod kapturem wiatrówki.

– Bydlaki – wymamrotała i popatrzyła na zboląłą, lecz opanowaną twarz Michaela. Jego postawa i to, że był tam z nią, w jakiś sposób podziałało na nią uspokajająco, niemal krzepiąco. Ktoś bliski i prawdziwy.

Przez stół na chwilę złapał ją za rękę.

– Jak myślisz, o co chodziło w jej ostatnim zdaniu? – spytała.

– Wydaje mi się, że pozwolili jej wybrać, czy chce rzucić się w przepaść... czy zostać zastrzelona. Ale ktoś taki jak ona oczywiście nie byłby zdolny do samobójstwa.

– I oni o tym wiedzieli – pokiwała głową.

– Oczywiście.

– Oni są obłąkani. Perwersyjni sadyści.

– Ale nie według ocen psychologów – przypomniał jej Michael.

– Myślę, że psychologowie nie widzieli tego filmu – odparła.

Michael przytaknął. Zauważyła, że jeden nerw nieustannie pulsował pod jego okiem. W ogóle okolice oczu miał ciemne i zapadnięte, wyglądał, jakby był tak samo wykończony jak ona.

– Cechuje ich w każdym razie dziwaczna potrzeba dokumentowania wszystkiego – powiedział cicho.

– Uważasz, że to dziwaczne? Pomyśl, ile zdjęć i filmów naziści nakręcili w gettach i przy masowych grobach. Może spotykali się potem, żeby wspólnie je oglądać.

– Ale kto, naziści?

– Nie, Michael. Ci myśliwi.

– I Kim ma te nagrania, bo był operatorem?

– Może właśnie chodziło o to, że jemu nie wolno było tych filmów przechowywać ani kopiować. A on i tak to zrobił, traktując te nagrania jako ro-

dzaj ubezpieczenia na życie. Żeby nigdy nie mogli być pewni, czy ich nie zdemaskuje, jeśli poczuje się zagrożony. Być może tylko klienci mieli otrzymywać filmy, a oryginały miały być niszczone.

– Masz rację. Film stanowił trofeum dla klientów. To za to płacili. Za coś, czego nie miał nikt inny.

Michael przysunął do siebie komputer i zatrzymał palec nad touchpadem.

– Następny?

Boże, nie, pomyślała w rozpaczy, chociaż rozumiała, że nie ma wyjścia. Że to jej przeklęty obowiązek.

Wstała i popatrzyła na ekran przez jego ramię.

– Musa Qala – powiedziała cicho i wskazała na jeden z plików. – Allan Lundkvist mówił o tym mieście. To zdaje się stolica jakiejś prowincji w Afganistanie. Cały czas przechodzi z rąk talibów w ręce aliantów i z powrotem. Zdjęcie tamtej piątki zostało zrobione właśnie tam. Tak powiedział.

Po ciemnym deszczowym popołudniu na górkim zboczu w Himalajach afgańska pustynia wydawała się jaśniejsza. Pomimo ostrego słońca dwaj z czwórki żołnierzy na pierwszym planie byli bez koszulek. Trzeci miał na sobie tiszert w kolorze khaki i szorty, a ostatni rozpiętą koszulę od munduru wypuszczoną na wypchane spodnie moro. Wszyscy nosili arafatki w czarną albo czerwoną kratkę, zawiązane na szyjach albo na twarzy, bo pustynny wiatr wzbijał tumany kurzu i piachu na pustej białej wiejskiej drodze i spękanych jałowych polach. Lene rozpoznała ich wszystkich: Roberta Olsena, Kennetha Enderleina, Allana Lundkvista i Thomasa Berga.

Potem kamera przesunęła się po łuku, a na obrazie mieniły się zielonkawe refleksy.

Michael wskazał na cień, który padał na ziemię na przodzie kadru.

– To humvee – wyjaśnił. – Lekki wóz pancerny z ciężkim działem na dachu. Ktoś filmuje z samochodu. Refleksy to odbicia z szyb kuloodpornych.

Cała czwórka była uzbrojona w karabiny maszynowe, z którymi najwyraźniej się nie rozstawali. Dwaj na pierwszym planie byli pogrążeni w rozmowie, a pozostała dwójka kuciała w cieniu humvee i nie odzywała się do siebie.

Daleko za nimi nad zlepkiem niskich budynków o płaskich dachach w kolorze gliny unosił się niebieski dym pożaru. Był to początek – a może raczej koniec miasta Musa Qala. Wąska zielona wstążka rzeki wiła się mię-

dzy domami i znikąła za horyzontem. Rosły wzdłuż niej pojedyncze rachi-
tyczne drzewa i krzewy.

– Z czego w ogóle żyją ludzie w takich miejscach? – zastanawiała się
Lene.

Wyglądało na to, że nawet osty nie chciały tam rosnąć.

– Z opium i kóz – wyjaśnił Michael.

Lene pokazała na jednego z tych, którzy stali.

– Thomas Berg – oznajmiła.

– Rozmawia z Allanem – przytaknął.

– Czekają na kogoś.

Rzeczywiście nagle zamilkli i odwrócili się w stronę pustyni. Pozostali
dwaj wstali i wytrzepali spodnie z kurzu. Jeden z nich rzucił lornetkę, a
Lundkvist złapał ją w locie i przystawił do oczu. Teleobiektyw kamery zro-
bił zbliżenie na wysoki, kołyszający się snop kurzu, który w oddali unosił się
w rozedrganym od skwaru powietrzu. Poniżej szybko poruszało się coś bia-
łego. Mężczyźni stanęli w gotowości.

Przeładowywano karabiny, a jeden z mężczyzn, ten, w którym Lene roz-
poznała Kennetha Enderleina, wrócił do samochodu. Otworzył drzwi i
uśmiechnął się szeroko do obiektywu, zanim się przecisnął obok operatora,
którego nogi i buty na chwilę pojawiły się w kadrze. W tym czasie słychać
było odciągany i wskakujący na swoje miejsce zamek.

– Stoi we włączniku – poinformował ją Michael. – I właśnie przeładował
broń.

Biała kropka się powiększyła i zmieniła w furgonetkę toyoty. W meta-
licznie wibrującym powietrzu wyglądała, jakby żeglowała.

Żołnierze nie odzywali się do siebie. Wszystko wyglądało na doskonale
przećwiczone, działali spokojnie i rutynowo. Mężczyzna ze skorpionem na
szyi wyciągnął rękę i pomachał w stronę samochodu, który nadjeżdżał na
pełnym gazie. Mięśnie napięły się pod wytatuowaną skórą i rozległ się jego
głos wykrzykujący jakieś powitanie. Z toyoty również wysunęła się ręka,
odwzajemniła pozdrowienie i została na zewnątrz, wystukując płaską dłonią
na białych drzwiach rytm piosenki leżącej w radiu. Samochód zjechał na
bok i zatrzymał się z piskiem startych opon. Tuman kurzu przemieszczał się
dalej, minął samochód i zniknął z kadru.

– Denerwują się, ale próbują to ukryć – zauważył Michael i wskazał na
dwie siedzące w pick-upie osoby.

– Wcale im się nie dziwię – odparła Lene głucho. W zdecydowanych, mechanicznych ruchach żołnierzy było coś nieuchronnie tragicznego. Pomyślała, że to nie byli ludzie, lecz maszyny do zabijania, zimne i już nie z tego świata.

Allan Lundkvist również pozdrowił nowoprzybyłych, tą samą ręką nasunął kraciatą chustę na twarz i zawiązał mocniej z tyłu. Lustrzane okulary przeciwsłoneczne były srebrne i odbijały otoczenie. Spojrzał na swojego kolegę i skinął głową.

Ruszyli do toyoty pozbawionej tablicy rejestracyjnej oraz innych znaków rozpoznawczych. W środku siedzieli dwaj mężczyźni w średnim wieku ubrani w typowe afgańskie stroje, białe i luźne. Wyszli, nie wyłączając silnika, więc z kabiny wciąż płynęła atonalna muzyka. Białe turbany, czarne kamizelki, kałasznikowy na paskach przewieszony przez ramię i szerokie uśmiechy. Niższy, ale bardziej barczysty miał ciemne okulary. Mężczyźni i żołnierze uścisnęli się i najwyraźniej porozumiewali się bez przeszkód mieszanką angielskiego, języka migowego i farsi. Wyższy z Afgańczyków miał krótką czarną brodę, ostre ptasie rysy twarzy i wąskie czarne oczy. Stał na wprost humvee i widocznie dopiero teraz zauważył kamerę i operatora, bo celując palcem w obiektyw, wyrzucił z siebie potok wściekłych słów, cedząc je między jedynymi trzema zębami. Potem wsunął sobie do ust końcówkę turbanu. Lundkvist zaczął go uspokajać uśmiechem i gestami. Niższy najwyraźniej nie miał nic przeciwko filmowaniu. Pomachał nawet do kamery i sam wyjął telefon, żeby zrobić zdjęcie pojazdu. Obaj duńscy szeregowcy zawiesili na nim wzrok. Uśmiechy zamarły na ich twarzach.

– Nie powinien był tego robić – domyślił się Michael.

– Robić zdjęcia?

– To szalenie. Amator.

– Ale co oni robią? – spytała Lene szeptem, co ją zaskoczyło, chociaż w jakiś sposób wydawało się w tej chwili stosowne.

– Handlują surowym opium. Afganistan jest jego największym światowym eksporterem. A wiesz, jak je wywożą z kraju? Samolotami, razem ze sprzętem, który się nie nadaje do użytku, z rannymi albo w zapieczętowanych trumnach martwych żołnierzy – Michael też szeptał.

– A to są kozy, tam na pace? – spytała.

Z przyczepy dobiegł słaby, drżący ryk stłoczonych za kratami długowłosych zwierząt.

– To kamuflaż.

Afgańczyk o ptasiej twarzy wskazał na przyczepę samochodu, a jego nie-roztropny pomocnik zaskakująco zwinnie przeskoczył przez burtę i torował sobie drogę między chudymi i niemożliwie brudnymi kozami. Po chwili zaczął podnosić z podłogi małe brązowe pakunki. Lundkvist i ten, którego znali jako Berga, odbierali do niego płócienne i wyglądające na ciężkie worki i ustawiali z nich piramidę na ziemi. Mężczyzna na pace złapał za rogi jedną z kóz i rzucił nią na tył przyczepy, żeby zrobić sobie miejsce.

– Biedne zwierzę – jęknęła Lene.

– Dwadzieścia cztery worki – oznajmił rzeczowo Michael.

Korpulentny Afgańczyk zeskoczył z przyczepy i wtedy kałasznikow przesunął się do przodu i uderzył go w twarz. Chuda twarz jego towarzysza po raz pierwszy się ożywiła. Odchylił głowę do tyłu i zaśmiał się głośno, klepiąc się po udach.

Duńcycy popatrzyli po sobie z obojętnymi minami.

Lene wstrzymała oddech. Spodziewała się, że w każdej chwili może się polać krew, ale niezdarny handlarz opium potarł się tylko po zarośniętym policzku i też parsknął śmiechem. Przypomniała sobie, że czytała gdzieś o zwykłych Afgańczykach, że są najbardziej gościnnymi, uprzejmymi i obdarzonymi humorem ludźmi, jakich tylko można mieć nadzieję spotkać na swojej drodze. Gościnność była dla nich nieodzownym świętym obowiązkiem i ten, kto pokazywał obcemu drzwi i odwracał się do niego plecami, był uważany za najnędniesze stworzenie na ziemi.

Michael położył rękę na jej przedramieniu.

– Coś jest nie tak – powiedział cicho. – Kim u licha jest ten, tam?

W kadr wszedł piąty żołnierz. Niósł dwie aluminiowe skrzynki, które nawet wyglądały na dość ciężkie. Postawił je przed całą grupą na ziemi i pozdrowił szmuglerów. Ci wyglądali, jakby go znali, bo jemu też kolejno podali ręce i po męsku uścisnęli. Nie wydawali się też zaskoczeni jego widokiem. Nowo przybyły stanął obok Lundkvista, a Thomas Berg jak zwykle trzymał się na uboczu.

Mężczyzna się odwrócił. Miał długie włosy i brodę, kapelusz pustynny, nieodzowne okulary słoneczne i nagi tors pokryty łatwo rozpoznawalnymi tatuażami. Kamera wykonała panoramiczne ujęcie całej sceny i zrobiła naziemny jazd na worki z opium.

– Kim Andersen – oznajmiła Lene.

– Tak. Tylko kto w takim razie filmuje z samochodu?

– Nie wiem. Najwyraźniej ten piąty.

– Szósty.

– No tak. Thomas Berg, Kenneth Enderlein, Kim Andersen, Allan Lunkdkvist, Robert Olsen i...? W Norwegii ilu ich było?

– Z klientem siedmiu. Jeśli przyjmiemy, że klientem na fiordzie Porsanger rzeczywiście był Flemming Caspersen, to brakuje nam szóstego myśliwego. Jednego wciąż nie znamy.

– Jakob Schmidt?

– Dobrze pytanie. – Michael pokiwał głową i wskazał na ekran. – Poza tym myślę, że to ich ostatnie chwile. Nieszczęśni idioci.

Kim Andersen rozpieczętował skrzynie i z hukiem otworzył ich wieka. Afgańczycy zajrzeli do środka i uśmiechnęli się do siebie. Ponownie uściśnęli dłoń szeregowca. Ten z kolei ponownie zamknął skrzynie i pomógł im je zanieść do pick-upa. Podawał je grubemu szmuglerowi, który znowu wskoczył na pakę.

– Co może być w tych skrzynkach? – zastanawiała się Lene.

– Pewnie jakiś sprzęt wojskowy. Może plastyczny materiał wybuchowy, granaty ręczne, wyrzutnie, okulary noktowizyjne... coś w tym stylu. Stinger.

– Które ostatecznie trafią do talibów?

– Nie wiem, kto inny mógłby je od nich kupować.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Sprzedają broń za opium? Broń, która zostanie użyta przeciwko nim? Albo ich sojusznikom?

Westchnął ciężko.

– Szczerze mówiąc, nie sądzę, że zdążą to opchnąć. Albo zostaną zdjęci za dziesięć sekund, albo nasi wojacy umówili się z CIA czy MI Six że w skrzynkach są urządzenia lokacyjne, które pozwolą jednostkom specjalnym zbliżyć się do ich dowództwa. Albo zdalnie zdetonują ukryte w skrzynkach ładunki wybuchowe, kiedy tamci trochę odjadą. Obstawiam raczej to drugie.

– A ja to pierwsze – powiedziała bez cienia nadziei w głosie i popatrzyła na ekran. – Przyjrzyj się Bergowi. A poza tym skąd u licha to wszystko wiesz?

– Z żandarmerii. Byłem kapitanem. Wyobraź sobie, Lene, że mam wykształcenie.

Wysoki, potężnie zbudowany żołnierz obserwował niebo przez lornetkę, a biała toyota wjeżdżała na pylistą drogę. Brązowa dłoń pasażera znów wy-

stukowała takt na drzwiach samochodu, muzyka mieszała się z beczeniem kóz. Thomas Berg odwrócił się do humvee i przesunął krawędzią dłoni po swojej szyi. Michael przełknął ślinę. Dwadzieścia metrów. Trzydzieści. Pył zaczął się wzbijać spod kół pick-upa, dłoń w białym rękawie pomachała na pożegnanie i nagle w pobliżu mikrofonu kamery rozległ się elektryczny szum.

– Karabin maszynowy – oznajmił Michael, a Lene się skuliła, kiedy w głośnikach komputera zaterkotała potężna salwa. Na białej drodze można widać było pojedyncze strzały. Uderzyły w tył toyoty, przeleciały przez stłoczone zwierzęta i dosięgły szoferki. Kule dosłownie pożerały samochód. Kadr podskakiwał i trząsał się w takt długiej serii. Toyota wpadła w poślizg, tylna część przez chwilę zdawała się unosić nad drogą, po czym samochód obrócił się w poprzek drogi, uderzył w wysokie pobocze i wolno, koszmarnie wolno przewrócił się na bok.

– Jezu – wymamrotał Michael, a Lene odruchowo zasłoniła uszy dłońmi. W jej chorym uchu dzwoniło bezlitośnie. Film był przerażający, ale nie sposób było oderwać od niego wzroku.

Mężczyzna ze skorpionem ruszył przed siebie, wszedł w chmurę pyłu, przeskoczył przez rów i podszedł do przewróconego samochodu. Kim Andersen szedł parę metrów za nim ze służbową bronią wyciągniętą przed siebie. Instynktownie jeden drugiemu nie wchodził w linię strzału.

Jakimś cudem wewnątrz wraku wciąż grało radio. Kilka ocalałych kóz, becząc głośno, rozbiegło się po nagich polach, inne leżały nieruchomo obok samochodu albo zmiażdżone pod nim. Jedno zwierzę ze złamaną przednią nogą, kuśtykało w stronę żołnierzy. Z silnika zaczęły się dobywać małe płomienie. Kim Andersen podniósł pistolet i strzelił kozie w głowę. Powiedział coś do kolegi, roześmiali się.

W szoferce coś się poruszyło i przez boczne okno z trudem wyczołgał się ten chudy. Odłamki szkła w oknie poraniły mu dłonie. Jego turban zniknął i rozpuszczone włosy, długie, posklejane krwią, zasłaniały mu twarz. Z milczącym uporem walczył z grawitacją. Gdy uwolnił z wraku tułów, odwrócił się, żeby się podciągnąć na krawędzi podwozia. I wtedy stanął przy nim Berg. Afgańczyk zwrócił ku niemu twarz i zawisł nieruchomo, z dolną częścią ciała wewnątrz samochodu. Jego twarz również była nieruchoma.

Żołnierz zatrzymał się dwa kroki od niego, wyjął pistolet z kabury przy biodrze, przeładował i przyjął klasyczną pozycję strzelecką z nogami w rozkroku i pistoletem w wyprostowanej ręce. Głowę mężczyzny odrzuciło do

tyłu, ciało wygięło się w łuk jak rażone prądem i zaraz opadło bezwładne przytrzymywane w oknie odłamkami szkła.

Duńczyk podszedł jeszcze bliżej, zajrzał do szoferki i oddał dwa szybkie strzały. Zapewne do drugiego z mężczyzn, tego grubego, jowialnego.

Kim Andersen podszedł do aluminiowych skrzynek leżących kawałek dalej. Wziął jedną pod pachę i ruszył z powrotem do humvee.

– Miałaś rację – zauważył Michael.

Lene pokręciła głową.

– Ale i tak nie pojmuję, jak to możliwe, że oni się nie boją. Myślałam, że tamtejsze niebo jest całe w dronach, samolotach i satelitach skanujących każdy centymetr kwadratowy łądu.

– To zajebicie duży kraj – powiedział powoli. – A nasi wojacy po pierwsze na bank znają rozmieszczenie i tory lotów satelitów i dronów, po drugie... po drugie, to, jak mówię, w chuj duży teren. Gdyby dało się go pilnować dzień i noc, to talibowie nie mieliby kiedy rozmieszczać przydrożnych bomb.

– Co on teraz robi? – spytała.

– Zaciera ślady. Granatem hukowym.

Thomas Berg odkręcił klapkę ciekącego baku. Odszedł kilka metrów od wraku i rzucił w samochód czymś, co wyglądało jak biała puszka piwa. Przedmiot spokojnym łukiem poszybował w stronę tylnej części auta. Potem mężczyzna zasłonił uszy i zamknął oczy.

Rozległ się krótki, przeraźliwy huk i rozbłysło oślepiające białe światło. Toyota stanęła w ogniu i film się skończył. Lene zbierało się na wymioty.

– Niepojęte, jak porażająco nieludzki i wyzuty z emocji jest ten facet – wymamrotała. – Różnych psychopatów już spotkałam, sądziłam, że sporo widziałam, ale ten... Thomas Berg...

– Tak, wydaje się dość osobliwy – przyznał Michael.

– Spotkałeś kiedyś kogoś takiego?

– Kilku.

– I co z nimi zrobiłeś?

Michael wzruszył ramionami.

– Albo dla nich pracowałem, albo z nimi walczyłem. W zasadzie decydował przypadek.

– Niedobrze mi.

– Chcesz wody?

– Tak, dzięki.

Podszedł do zlewu i otworzył parę szafek, zanim znalazł szklanki. Zamyślił się na chwilę, trzymając palec pod strumieniem wody i czekając, aż popłynie zimna. Lene mu się przyjrzała. Nieobecny wzrokiem patrzył przez okno i nagle gwałtownie wyprostował plecy. Otworzył szerzej oczy i pochylił się do przodu. Coś świeżącego i białego, jak spadająca gwiazda, przesunęło się za oknem i z głośnym hukiem uderzyło w ścianę domu na zewnątrz.

Odwrócił się do niej i otworzył usta, ale żadne ostrzeżenie z nich nie padło. Zamiast tego wsparł się ręką o stół i przeskoczył przez całą jego szerokość. Lene jeszcze nie widziała, żeby ktoś miał tak szybkie i skoordynowane ruchy. Uderzył ją w mostek, gdy próbowała wstać i szepceni razem padli na podłogę. Ich twarze znajdowały się kilka centymetrów od siebie. Michael spojrzał jej w oczy, otworzył usta i tym razem krzyknął coś o butlach z gazem na zewnątrz, a ułamek sekundy później wszystko się rozpadło, kuchnia zmieniła się w kulę ognia i potężna gorąca ręka rzuciła ich na ścianę. Razem z nimi podmuch porwał meble i Lene nie była w stanie oddychać, nie wiedziała, jak ją obróciło, gdzie była góra, gdzie dół. Pomyślała, że umarła, i była to myśl przyjemna, bo wszystko stało się jasne i ciepłe. Ale nagle w jednej chwili wokół wszystko stało się czarne, każdą część jej ciała przeszywał ból, a powietrze, które wciągała do płuc, parzyło. Czyli jednak nie umarła, chociaż już tęskniła za tamtym pięknym światłem.

Michael oślepl i to go przeraziło. Wbił palce w oczodoły i zaszlochał z ulgi, kiedy udało mu się oderwać lepka gliniastą masę i okazało się, że jednak widzi. Popatrzył na swoje dłonie, ale nie był w stanie rozpoznać, która z substancji, jakimi były wysmarowane, zalepiła mu oczy: pył, tynk czy krew. A może połączenie ich wszystkich? To coś ciepłego, miękkiego i jednocześnie sprężystego, co miał pod sobą, to była Lene.

Podniósł się na rękach i odwrócił głowę w stronę ściany od ogrodu, której już nie było. Drzewa podświetlał konsekwentnie i nieubłaganie pożerający dom ogień. Na niebie świeciły gwiazdy, a łąką od strony lasu wolnym, ale zdecydowanym krokiem szły ku nim uzbrojone postacie. Z początku niewyraźne, nierzeczywiste jak zjawy, wkrótce przybrały formy dwóch mężczyzn w profesjonalnych strojach maskujących i kominiarkach. W rękach trzymali wojskowe karabiny.

Suche belki nad jego głową zaskrzypiały, uginając się pod naporem żywiołu, i nagle niebo, drzewa i idących po nich morderców przesłonił potężny płomień, gdy kryty strzechą dach runął w miejscu, gdzie wysadziło ścianę. Zapanował nieopisany gorąc, Michael poczuł, jak osmalone brwi i rzęsy kurczą się i zbijają w kulki. Lene zwróciła ku niemu twarz. Miała szeroko otwarte oczy i usta, zorientował się, że coś do niego mówiła, ale nie rozumiał słów. Uklęknął, potem stanął na nogach i pociągnął ją za sobą. Obejmując ją ramieniem, popatrzył przed siebie, na drzwi do pokoju.

– Idziemy – wymamrotał.

Zaczęła go okładać i już miał ją spoliczkować, żeby oprzytomniała, kiedy zobaczył, że próbowała zgasić iskry na jego plecach i głowie. Wytoczyli się przez drzwi i wpadli do chłodniejszego salonu. Lene zgięła się w pół, wstrząsana długim atakiem kaszlu. Michael za to wciągnął w płuca pierwszy haust powietrza od czasu, który wydał mu się wiecznością. Obej-

rzał się za siebie. Kuchnia zmieniała się w piekło. Płonąca masa słomy z dachu wypełniała wyrwę w ścianie i nie pozwalała dostrzec zabójców.

Złapał Lene za rękę. Na chwiejnych nogach ruszyli razem do przeciwnego końca salonu i ganku dającego nadzieję na ocalenie. I wtedy okna od strony ogrodu eksplodowały. Michael z dziwną obojętnością zauważył, że jednocześnie w białej ścianie pojawił się rząd perforacji. Małe kratery otwierały się błyskawicznie jeden po drugim na wysokości pasa, sypiąc strużkami pyłu i zaprawy i zbliżając się w zawrotnym tempie do Michaela i Lene. Przez pokój przeleciał grad odłamków szkła.

– Padnij, kurwa! – zawołał i podciął jej nogi.

Pociski z niskim świstem przeleciały tuż nad ich głowami. Położył się na niej i przycisnął jej twarz do podłogi. Byli uwięzieni między pożarem z jednej i automatyczną bronią zabójców z drugiej strony. Wszelkie nadzieje na ucieczkę przez ganek, pokój dziecięcy albo łazienkę okazały się płonne. Lene odwróciła się na plecy. Na jej twarzy połyskiwało mnóstwo drobinek szkła. Czubkami palców ostrożnie oczyścił z nich okolice jej oczu. Wtedy podniosła powieki i popatrzyła na niego. Blask ognia zmienił kolor jej tęczy z zielonego na odcień migoczący złotem.

– Co robimy? – spytała. – Co się stało?

– Wyszadzili butle z gazem granatem hukowym albo ręcznym – wyjaśnił. – I czekają, aż wyjdziemy.

– To co robimy? – powtórzyła spokojnie. Chciała wstać, ale jej nie pozwolił.

Akurat kiedy pochylił głowę z prawej, od strony łąki posypała się kolejna seria. Stary szkielet muru pruskiego i sama ściana nie stanowiły większej przeszkody dla pocisków, które wykonały nowy równy rząd perforacji w ścianie pokoju, poniżej pierwszego.

– Wracamy do kuchni – rozkazał i zaczął się cofać, oddalając od niej.

– Co?! Oszalałeś! Nie pójdę tam!

Przyczołgał się do niej z powrotem i z ustami przy jej uchu wrzasnął:

– To zginiesz! Chodź! Do piwnicy. NATYCHMIAST!

Pociągnął ją za sobą, szarpiąc mocno za przód kurtki. Kuchnia była ścianą ognia i strzelających iskiei, które podmuchy powietrza od strony wysadzanej ściany rzucały w stronę wybitych okien w salonie. Dym wisiał tuż nad ich głowami, gęsty jak gruby koc, i wyciskał im łzy z oczu. Michael kaszlał spazmatycznie i nieustannie, ale parł naprzód, zbliżając się do

drzwi. Ta niemożliwie uparta kobieta na szczęście w końcu zaczęła współpracować. Podniósł się do kłęk podpartego i przyciągnął ją do siebie.

– Złap mnie za stopę! Głęboki wdech, zamknij oczy i dajesz, Lene, bo to ostatni moment, jasne?

Zamrugał, żeby pozbyć się łez, i wtedy zobaczył, że kiwała głową i rzeczywiście zamknęła oczy. Wciągnęła głęboko gęste i lepkie powietrze.

Michael torował im drogę; parząc sobie dłonie, odsuwał krzesła i połamane meble. W morderczej temperaturze gałki oczne w jednej chwili zrobiły się suche i jakby mniejsze, więc z trudem skupiał wzrok. To Lene chwyciła metalowy ring wpuszczony w deski podłogi i podciągnęła do góry ciężką klapę do komórki pod kuchnią. Michael pomyślał, że była niesłychanie silna. Zsunęła się na brzuchu po krótkiej drabinie, a on tuż za nią.

W komórce było powietrze. Siedzieli skuleni, krztusząc się i łapczywie napełniając płuca, łzy płynęły im po policzkach nieprzerwanymi strumieniami. Kiedy znowu dobrze widział, zobaczył białe ślady łez na jej czarnej od sadzy twarzy. We włosach wciąż miała mnóstwo odłamków szkła. Podłoga nad nimi zatrzeszczała i ugięła się nieznacznie, gdy fragment konstrukcji dachu wpadł do kuchni i snop iskier opadł na plecy Michaela. Instynktownie rzucił się plecami na betonową podłogę, żeby je zgasić. Lene pociągnęła go do ściany, dalej od wejścia.

Charcząc, wypluł z ust czarną flegmę. Wspierając się na kolanach i rękach, wymamrotał:

- Muszę tam wrócić.
- Co?! Coś ty powiedział?
- Muszę wrócić. Po płytę.
- *NIE!*

Ale Michael już wiązał sobie wokół głowy wiatrówkę. Lene próbowała zatrzymać go siłą, więc się jej wyszarpnął i wszedł na drabinę. Najwyższy szczebel płonął.

Wystawił głowę i poczuł się jak gliniana figurka w piecu ceramicznym. Włosy na przedramionach podniosły się, zwinęły i odpadły. Białe niegdyś ściany kuchni były czarne, rozżarzone i spalone. Czy to możliwe? Czy ściana z kamienia i zaprawy murarskiej mogła się spalić? Z powrotem schował głowę do komórki, wziął głęboki wdech i po prostu to zrobił. Wiedział, że gdyby zwlekał jeszcze chwilę, toby się nie odważył. Czołgał się po czarnych, miejscami rozżarzonych deskach i wypatrzył komputer pod jednym z dziecięcych krzeselek. Odruchowo sięgnął po niego i wrzasnął z bólu,

kiedy topiący się plastik oblepił mu palce i wnętrze dłoni. Dosięgnął leżącego również pod krzesłem ręcznika kuchennego, owinął nim sprzęt i ruszył z powrotem do komórki. Był prawie przy zejściu, kiedy z dachu spadło mu na plecy coś ciężkiego i gorejącego. Pchnął komputer w stronę zejścia i zobaczył w otworze twarz Lene.

Patrzył jej w oczy i gestykulował, próbował jej powiedzieć, żeby zabrała ten przekłęty laptop, a jego zostawiła w spokoju.

Nie zważając na małe niebieskie płomienie, które zaczęły już kruszyć jej włosy, wyciągnęła do niego ręce. Złapała go za ramiona i pociągnęła w stronę otworu. Kłapa zatrzęsnęła się za nimi.

Upadł na betonową podłogę głową do dołu i przez kilka sekund miał wokół siebie bezlitosną ciemność. Rozpaczliwie pragnął wcisnąć pauzę, zatrzymać się na sekundę, zaznać chwili spokoju, ale nie było mu to dane. Komisarz Jensen okazała się dokładnie tak nieugięta, jak się tego spodziewał. Nie przestawała okładać go rękoma po plecach, zerwała mu z głowy kurtkę i dalej gasiła ogień na jego koszuli i włosach.

– Zostaw mnie – mamrotał błagalnie.

Najwyraźniej go nie słyszała, bo zaraz został wciągnięty głębiej w ciemność i ułożony pod tylną ścianą, gdzie wciąż było trochę powietrza. A potem niezłomna policjantka znalezionym gdzieś młotem zaczęła uderzać w rury pod sufitem.

Półprzytomny Michael przyglądał się jej wysiłkom, które wydały mu się niezrozumiałe, dopóki nie krzyknęła triumfalnie. Coś brzęknęło metalicznie i z pękniętej rury szerokim wachlarzem trysnęła zimna, cudownie zimna woda. Przyczołgał się bliżej, wystawił twarz do strumienia i pozwolił, żeby strumień schłodził mu plecy.

Wiedział, że nigdy nie będzie bliższy rajskiej rozkoszy niż w tej chwili.

Lene siedziała pod ścianą. Przysunęła kolana do piersi i wsunęła głowę pod strumień. Uśmiechała się. Michael jej zawtórował. Woda się podnosiła. Była czarna ze złotymi refleksami ognia, który szalał nad ich głowami, a jego blask przenikał między deskami podłogi. Nigdy nie widział czegoś piękniejszego.

Potem położył się na plecach i wreszcie usiadł.

Komputer.

Rozejrzał się w panice i dostrzegł go na skrzynce z jabłkami. Położył go sobie na kolanach, w bezpiecznej odległości od wody. Podniósł klapę i z

nabożną trwogą popatrzył na małe lampki migoczące na biało i niebiesko pod klawiaturą.

Kliknięciem wysunął CD z napędu i rozejrzał się za czymś, czym mógłby zabezpieczyć płytę przed ogniem i wodą. Znalazł worek ze starymi zabawkami. Wysypał je i włożył do niego swój portfel, zwinął ciasno i wcisnął pakunek w szparę między rurami a sufitem. Woda sięgała mu do kolan i cały czas ze zdumiewającą siłą tryskała z rury. Zaczerpnął dłonią i napił się, a potem popatrzył na Lene. Wciąż siedziała nieruchomo oparta o ścianę, teraz ze zwieszoną głową i zamkniętymi oczami.

– Dzięki – powiedział.

Podniosła głowę i spojrzała na niego. Twarz miała białą jak zjawa i momentami złocistą, kiedy padały na nią świetliste refleksy.

– Nie ma za co. Skąd wiedzieli, że tu jesteśmy?

Michael odruchowo schował głowę między ramiona, gdy coś ciężkiego uderzyło w podłogę wprost nad nim. Czubkami palców zbadał surowe deski. Były gorące, a drabina pod klapą parowała, syczała i się kurczyła.

– Samochód twojej szefowej – podsunął. – Byłem głupi, że nie poszukałem w nim GPS-a.

– Wówczas dorwaliby nas już w stancy, kiedy spaliśmy. Kiedy ty spałeś! Michael pokręcił głową.

– Po co mieliby nas likwidować, skoro mogli zaczekać, aż ich zaprowadzimy do kryjówki Andersena. Oni są racjonalni na swój własny, wynaturzony sposób. Choć pewnie mocno się zdziwili, że nie udało im się ciebie zastraszyć.

Woda sięgała mu pach. Wyciągnął przed siebie ręce. Zacisnął i rozprostował dłonie. Chwilowo nic nie czuł, ale wiedział, że kiedy ręce mu wyschną, ból wróci.

– O czymś pomyślałem – powiedział nagle. – A raczej... pomyślałem o dwóch rzeczach.

Uśmiechnęła się i Michael stwierdził, że miała ładny uśmiech.

– Pomyślałeś aż o dwóch rzeczach? Brawo, Michael.

Jego dłonie były jak żywe białe ryby w czarnej wodzie.

– Mhm. Po pierwsze uważam, że wkrótce utoniemy, co... no wiesz, myślę, że trochę głupio się utopić w płonącym domu, nie sądzisz?

Pokiwała głową zamyślona. Woda sięgała jej do brody.

– Tak, Michael. To rzeczywiście dość głupie. A ta druga rzecz?

– Że nie rozumiem, dlaczego nadal możemy oddychać. Ogień już dawno powinien spalić cały tlen. Teoretycznie od kilku minut powinniśmy być martwi. Albo dłużej.

Wyjął rękę z wody i przyjrzał jej się. Z jednej strony skóra schła szybciej niż z drugiej. W ich kryjówce był słaby przeciąg. Ogień nad nimi strawił cały tlen, ale skądś do komórki cały czas napływało nowe powietrze.

– Może zamkniemy wodę? – zaproponowała.

– Jeśli możesz – pokiwał głową i odchylił kark do tyłu. Przepłynął kawałek i dotknął czołem gorących desek.

Lene płynęła uzbrojona w swój młot. Zlokalizowała pękniętą rurę i zasłoniła dziurę rękami. Woda z taką samą siłą tryskała wokół jej dłoni. Spróbowała zablokować otwór trzonem młota, ale ten przeszedł na wylot i uderzył w ścianę. Rura musiała być niemal doszczętnie przeżarta przez rdzę.

– Nie jest dobrze – zauważyła.

– Zostaw to mnie, a ty spróbuj znaleźć kratę do jego schowka – postanowił Michael.

Pokiwała głową i powoli zaczęła brnąć przez czarno-pomarańczową wodę z nosem tuż nad jej powierzchnią. Płonącą kuchnię dzieliło od wody dziesięć centymetrów.

Michael docisnął ręce do wyrwy przy ścianie i zdołał nieco wyhamować strumień, lecz woda tryskała już w kilku innych miejscach. Po omacku znalazł garść mokrych gazet, zbił je w kulę i wcisnął ją w otwór tam, gdzie kiedyś była rura. Nie mógł się odwrócić, ale słyszał, jak za jego plecami Lene szarpie się z czymś, stękając z wysiłku.

– Chyba musisz się pośpieszyć! – zawołał w desperacji.

Nie odpowiedziała, tylko zaczęła mocno w coś uderzać. Michael położył się w wodzie i zapierając się stopami o jedną ścianę, wcisnął kulę z całej siły, aż ramiona mu zadrżały.

– Już! – zawołała.

Zamknął oczy i zacisnął wargi. Piwnica była zalana. Został mu tylko tlen, który miał w płucach. Poczuł, jak z nosa wymykają się bąbelki i ulatują w górę. Jego zmaltretowane płuca piekły w proteście, a pod powiekami zaczęły się przewijać najdziwniejsze sceny. Ręce bezwładnie unosiły się w wodzie, a on nie miał już ani siły, ani chęci ponownie szukać uszkodzonej rury. Jego niedotleniony mózg powoli się wyłączał i szykował do zapadnięcia w nieświadomość i wielką ciemność. Pomyślał o Sarze, zobaczył swoje dzieci biegające po trawniku przed ich domem. Sam stał przy furtce i

uśmiechał się do nich. Był ciepły, słoneczny dzień. Chciał im tylko pomachać, zanim zniknie...

Zakrztusił się, nie panował nad tym, musiał wziąć ten ostatni, kończący wszystko wdech, który wypełni jego płuca wodą.

Lecz zamiast zimna czy wody do jego pustych płuc dostało się powietrze, takie cudowne, tak nieskończenie przyjemne, zaczące, gorące i brudne powietrze, które mimo to smakowało lepiej niż najczystsze powietrze górskie. Spróbował raz jeszcze i okazało się, że jest go więcej. Że jest go nieskocznie dużo.

Otworzył oczy, odepchnął się nogami i podpłynął do Lene.

Objął ją pod wodą i po chwili ona niepewnie odwzajemniła uścisk.

Jej oczy iskrzyły się na żółto i zielono, ale twarz była biała jak śmierć, a zęby szczękały z zimna.

Złapała jego rękę i naprowadziła na otwór w ścianie. Jakimś sposobem udało jej się wyrwać kratę między komórką a kryjówką Andersena i zburzyć fragment ściany z betonu komórkowego, żeby zrobić odpływ.

– Woda już się nie podnosi! – zawołała.

– Da się przejść? – spytał

Pod wodą przycisnęła młot do jego piersi.

– Twoja kolej.

To, co zostało z dachu, zawałiło się z głuchym łoskotem odczuwalnym przez podeszwy butów. Wzbiły się wiry iskier, które gdzieś pomiędzy ziemią a ciemnym niebem przechwytywał lekki wiatr. Granat nieba nabrał pomarańczowego blasku. Dwaj przyczajeni w lesie mężczyźni usłyszeli syreny w oddali i wkrótce zobaczyli też pierwsze migoczące koguty.

– To mamy ich z głowy – stwierdził wyższy z mężczyzn.

– Najwyższa, kurwa, pora – przytaknął drugi. – Zabierajmy się stąd.

Wyjął telefon i spojrzął na ekran.

– Zgłosił się klient – oznajmił niespodziewanie. – Anglik norweskiego pochodzenia. Magnusson z Aberdeen. Branża naftowa. Gruba ryba. Obrzydliwie bogaty.

– Ale już sprawdzony?

– Jasne.

Ruszyli przed siebie. Automatyczne karabiny nadal trzymali w gotowości. Końcówki luf jeszcze się żarzyły.

– Czego chce? – spytał ten niższy.

- Jedną, a najlepiej dwie sztuki.
- Gdzie?
- Ponoć lubi Norwegię i Finlandię. Może być też Alaska.
- Dobra, znajźmy mu coś ciekawego – postanowił drugi. – Norwegię znamy.

– To ona? Żona Kima? – spytał Michael i docisnął do ciała skrzyżowane na piersi ręce. Dreszcze z zimna przychodziły falami.

– Tak. To Louise Andersen. Wdowa po Kimie. I jej dzieci. – Lene również trzęsła się jak zmoknięty pies.

Dom cały czas płonął, pod długimi wygiętymi w łuk kaskadami wyrzucanymi ze strażackich węży. Wszędzie, gdzie strumień wody trafiał w niebo, teraz bezchmurne i jasne, wzbijały się snopy iskier i białej pary.

Michael oparł się o najbliższe drzewo i obserwował młodą szczupłą kobietę, która stała nieopodal. Dwójka małych dzieci przytulała się do jej nóg. Młodsze z nich, dziewczynka, obejmowało nogę matki i dociskało twarz do jej uda, żeby nic nie widzieć. Chłopiec patrzył na płonący dom pustym wzrokiem i ssał kciuk. Kobieta obserwowała scenę z nieruchomą twarzą, której wyrazu nie sposób było rozszyfrować w migotliwym świetle ognia.

Karetki już odjechały, na miejscu został brodaty policjant i psi opiekun. Stali bez słowa z rękami w kieszeniach. Dwie milczące czarne sylwetki na tle niebiesko migającego koguta na dachu radiowozu.

Wreszcie udało się opanować największy ogień. Chmury iskier opadły na zgliszcza i strażacy zaczęli gasić płomienie.

– Może już chodźmy – zaproponowała Lene. – Cholernie tu zimno.

– Dobra.

Weszli między drzewa i szerokim łukiem okrążyli łąkę. Szli pochyleni do przodu, każde pogrążone we własnych myślach. Michael co chwila klepał się po piersi, żeby się upewnić, że w wewnętrznej kieszeni nadal ma CD. Ta kieszeń była zresztą jedynym skrawkiem nowej wiatrówki, który pozostał nietknięty.

Wcześniej odbyli krótką i gorącą dyskusję przy akompaniamencie szcękających z zimna zębów. Dotyczyła tego, czy powinni się ujawnić strażakom i policjantom z Holbæku czy po prostu zniknąć. Michael był za tą

drugą opcją. Uważał, że bycie uznanym za zmarłego jest wyzwalające. Daje większą swobodę i poszerza pole do działania, co jego zdaniem było im niezbędne. Lene ostatecznie się zgodziła, chociaż trudno powiedzieć, czy przekonały ją jego argumenty czy po prostu była zbyt zmęczona, żeby się dalej kłócić.

Z lasu wyszli jakieś dwieście metrów od parkingu i przebiegli ostatni odcinek. Kiedy dotarli do samochodu, Lene miała zgrabiące palce i upuściła kluczyki. Michael podniósł je i za trzecim podejściem zdołał trafić kluczykiem do zamka. Usiadł za kierownicą, a ona skuliła się na siedzeniu pasażera. Uruchomił silnik, maksymalnie podkręcił ogrzewanie i przytrzymał dłonie przy ciepłym nawiewie. Na palcach i po obu stronach dłoni zaczęły mu wyskakiwać płaskie białe pęcherze od oparzenia. Nie czuł jednak silnego bólu.

– Ogrzewanie foteli! Szybko – wymamrotała.

– Czekaj chwilę...

Michael wyłączył silnik, kiedy we wstecznym lusterku zobaczył, że na szosę wyjeżdżają wozy strażackie i radiowóz z wyłączonymi kogutami. Trochę później pojawiło się białe alfa romeo. Wrzuciło lewy kierunkowskaz i zniknęło za wzniesieniem.

– Prezent ślubny? – spytał.

– Białe alfa?

– Mhm.

– Tak. Mocno przeplącił – stwierdziła ponuro. – Jedźmy już, co? Gdy ruszymy, szybciej zrobi się ciepło.

– Lene...

– No tak. GPS. Wybacz, zapomniałam.

– Musimy się stąd zwijać. Tkwiąc tutaj, prosimy się o śmierć. I nie wiem jak ty, ale ja bym jeszcze trochę pożył.

– Więc co robimy? – spytała. – Możemy aresztować Thomasa Berga. Mamy film...

– A pozostali? On nie jest ostatni, ich musi być więcej – zauważył Michael.

– On pewnie się przyzna.

– Nie sądzę. Na bank mają jakiś pojebany kodeks rycerski. Ja chcę dorwać wszystkich. Każdego, kto w tym działa. Żywego albo martwego. Już wiemy, że Berg nie jest ostatni. Przy domu było ich co najmniej dwóch.

– Żywych lub martwych? – upewniła się.

– Tak. I najchętniej to drugie. Ale może być też pierwsze.

Zamilkła. Być może myślała o swojej córce. W końcu wciągnęła głęboko powietrze i powiedziała:

– Okej.

– Okej?

– Tak, Michael. Okej. Więc co robimy?

– Idziemy.

– Dokąd?

– Do stancy.

– Ale oni znają to miejsce!

– Znają, ale myślą, że nie żyjemy. Więc nie będą go obserwować.

– Taką masz nadzieję.

– Taką mam nadzieję.

– A może hotel – spróbowała. – Przyjemny, ciepły, z mnóstwem łóżek i kołder... z obsługą do pokoju... i...

– Lene, my nie żyjemy. Martwi nie mogą wynająć pokoju.

Popatrzyła na niego z wyrzutem.

– Jeśli masz lepszy pomysł, to wal śmiało – powiedział pojednawczo.

– Nie jestem w stanie myśleć. Jest mi zimno. I jestem głodna. I tęsknię za córką.

– Nic jej nie jest, Lene – zapewnił ją Michael. – To był dobry pomysł, by wywieźć ją na Grenlandię. Naprawdę.

– Tak uważasz?

– Jestem tego absolutnie pewien.

Otuliła się ciaśniej mokrą kurtką.

– Jeszcze pięć minut, dobra? – poprosiła błagalnym głosem.

– Jasne. Pięć minut raczej nas nie zbawi.

Przebrali się w suche ubrania, które Michael kupił przed południem i przezornie zostawił w bagażniku. Lene poszła do lasu, by założyć czyste rzeczy. Michael pokręcił tylko głową, uważając jej skrępowanie za wybitnie nie na miejscu. Dopiero co razem prawie spłonęli, a potem o mały włos się nie utopili. W jego odczuciu były to doświadczenia cholernie zbliżające, ale cóż. Pod jej nieobecność przeszukał ich torby, broń i mokre ubranie, żeby sprawdzić, czy nie ukryto na nich jakichś elektronicznych kapusiów, ale niczego nie znalazł. Przeszukał więc passata Charlotte Falster. Znalezienie pierwszego nadajnika zajęło mu dwie minuty. Czarny garmin GTU-10 wiel-

kości paczki papierosów przymocowany na rzep w ciemnym, niedostępnym zakamarku wnętrza koła zapasowego. Na dnie nadajnika beztrzesko migotała zielona żarówka LED. Doskonały gadżet dla rodziców, którzy chcieliby się przekonać, czy ich nastoletnia córka naprawdę nocowała u przyjaciółki – albo dla kogoś, kto miałby ochotę śledzić pewną hardą komisarz i wścibskiego prywatnego detektywa. Zostawił nadajnik tam, gdzie go znalazł. I tak nic z tym nie mógł zrobić, bo z pewnością było ich więcej. W zwykłym samochodzie osobowym istniało kilkaset miejsc, w których można je było ukryć.

Po jakichś pięciu kilometrach dotarli do Holbæku, gdzie z dworca wzięli taksówkę.

Michael z budki telefonicznej zadzwonił do Elizabeth Caspersen i przedstawił jej aktualną sytuację. Szczegółowo opisał również zawartość CD. Nie dopuścił jej do słowa, nie pozwolił o nic zapytać, niczego zaproponować czy skomentować, rozłączył się, gdy tylko sam skończył mówić. Powiedział, że płytę zostawi w stancy, i opisał kryjówkę, którą sobie upatrzył.

Z taksówki wysiedli pół kilometra od miejsca docelowego. Szli w milczeniu, unikając biegnących między drzewami ścieżek. Lene trzymała w ręce gotowy do strzału pistolet maszynowy, a Michael szedł z jej bronią służbową, odbezpieczoną i gotową do strzału. Skąpana w białym świetle księżycy drewniana chata wydawała się pusta. Michael dotknął ramienia Lene i pokazał jej na migi, żeby poszła w prawo, on sam szerokim łukiem obszedł chatę od lewej strony. Spotkali się w głębokim cieniu przy palenisku za domem. Żadne z nich nie widziało ani nie słyszało żywej duszy.

Michael klęknął przy drzwiach i pchnął je palcem. Lene stała obok przyklejona do ściany i z pistoletem na wysokości ramienia. Nie było komitetu powitalnego.

Zapaliła światło, odłożyła torbę i pośpiesznie sprawdziła antresolę, kuchnię i ubikację.

– Skromnie, ale zawsze to jakiś dom – zauważyła.

Michael zdemolował ławkę i zerwał ostatnie proporczyki, żeby złożyć je w ofierze w piecu. Obawiał się, że przy następnej zbiórce oczy niejednej harcerki się zaszklą.

Rozpalił ogień i odwrócił się do niego plecami, żeby dokładnie obejrzieć swoje dłonie. Pęcherze jeszcze się powiększyły i zrobiły się woskowe. Kilka pękło i limfa spływała mu między palcami.

Michael westchnął i poszedł do kuchni.

Lene podgrzewała na gazowym palniku puszkę minestrone, mechanicznym ruchem mieszając gęstą zupę. Ogień mocno skrócił jej włosy, a osmałone końcówki były kruche i poskręcane. Michael usiadł przy stole, mimowolnie przesunął dłonią po własnej głowie i skrzywił się z bólu. Pas między karkiem a uszami pokrywały pląty oparzonej skóry i zdartego naskórka. Nie był pewien, czy na tym spalonym fragmencie ciała wyrosną jeszcze włosy.

Lene przyglądała mu się, kiedy z kieszeni spodni wyjął telefon. Otworzył klapkę i wylał na stół zgromadzoną w aparacie wodę. Popatrzył ze smutkiem na bezużyteczny gadżet i odłożył go na bok.

– Masz jakąś działającą elektronikę? – spytał.

– Nie sądzę. Jesteś zmęczony?

– Pytasz, czy jestem zmęczony?

Uśmiechnęła się i zamieszała zupę.

– Tak.

– Jestem potwornie zmęczony – przyznał.

– Ja też.

– Zaczekaj chwilę – poprosił.

– Nigdzie się nie wybieram.

Kucnął obok swojej torby i wyjął z niej dokument, w którym Elizabeth Caspersen zobowiązywała się do wypłacenia Sarze i dzieciom zawrotnej sumy, gdyby miał pecha.

Michael rozłożył dokument na stole, wziął do ręki długopis przywiązany na sznurku do ściany i popatrzył na Lene.

– Jakie jest pełne imię i nazwisko twojej córki i jej numer CPR?

– Dlaczego pytasz? Czym się teraz zajmujesz?

– Czymś, co należało zrobić już dawno – odparł. – To dokument sporządzony przez moją klientkę. Poświadczony przez jej partnerów z kancelarii i potwierdzony notarialnie. Jeśli... w sensie jeśli coś mi się stanie... innymi słowy, kiedy umrę, to twoja córka otrzyma dożywotnią pensję od Elizabeth Caspersen albo jej spadkobierców. Mogę ją wpisać jako beneficjentkę.

– Naprawdę? Pokaż mi to.

Podsunał jej dokument po stole i Lene uważnie go przeczytała.

– Josefine Ida Thea Jensen – oznajmiła na koniec.

Podawała mu również numer CPR córki i przez szerokość stołu dotknęła jego przedramienia. Pierwszy raz, nie licząc gaszenia na nim ognia, zdecydowała się na fizyczny kontakt...

– Dziękuję, Michael.

– Stać ją na to, zdecydowanie. Tak naprawdę...

Zamilkł, bo nagle uświadomił to sobie z mocą kopniaka prosto w brzuch.

– Tak naprawdę co?

– Nic.

Próbował się uśmiechnąć, ale wiedział, że mu nie wyszło. Michael pokręcił głową zażenowany sobą samym. Był zmęczony. Skrajnie wyczerpany... i może popadł w lekki obłąd. Co przecież nie powinno nikogo dziwić, zważywszy na to, co przeszli. Ale ta bardzo niepokojąca myśl już się w nim zakorzeniła, zresztą spodziewał się, że tak się stanie. Myśl, że być może był jedynie pionkiem. Że Elizabeth Caspersen postanowiła się nim posłużyć do wyeliminowania swoich przeciwników z Sonarteku, aby przy pomocy pakietu większościowego niepodzielnie rządzić imperium stworzonym przez ojca. Że być może tak naprawdę chciała uderzyć w Schmidtów, a nie bandę myśliwych psychopatów. I w rzeczywistości od początku wiedziała, kto stał za zabójstwem Kaspra Hansena. Umieszczenie DVD w sejfie ojca to dla niej byłaby pestka. Znała szyfr. Jeszcze łatwiej byłoby jej podłożyć mausera do jego arsenału.

Pierdolenie. Wpadał w paranoję i wszędzie węszył spisek.

– Michael, co się dzieje?

– W sensie?

– Wyglądasz, jakbyś zobaczył upiora. Coś się stało? To znaczy poza tym, że grupa uzbrojonych po zęby facetów próbuje cię zabić?

Tym razem zebrał się w sobie i zmusił do odwzajemnienia jej uśmiechu.

– Nie... to nic takiego. Wszystko gra. Jest super. Fantastycznie.

Popatrzyła na niego z niepokojem.

Nie powiedziała „próbuj nas zabić”. Miał nadzieję, że kiedyś stanie się równie wspaniałomyślny.

– Masz rację – powiedziała po dłuższej przerwie.

– W jakiej sprawie?

– Thomasa Berga i pozostałych. To za mało. Po prostu ich aresztować to za mało.

– Jesteś pewna?

– Tak. Zgadzam się z tobą. Trzeba przyznać, że masz na mnie bardzo zły wpływ, Michaelu.

– Wszyscy tak mówią.

Zupę zjedli w milczeniu, bo tak jakby wszystko zostało już powiedziane. Michael schował płytę CD pod luzną deską w podłodze tak, jak obiecał Elizabeth, Lene tymczasem pozmywała naczynia. Potem rozwinęli śpiwory, zgasili światło i razem weszli na antresolę.

Ułożyli się obok siebie w ciepłych śpiworach. Michael leżał na brzuchu, przez poparzone plecy Oparł czoło o przedramiona i nasłuchiwał coraz wolniejszego oddechu Lene.

Potem usłyszał, jak kobieta coś mamrocze, i dopiero po chwili zorientował się, że odmawiała *Ojciec nasz*. Zakończyła modlitwę, wyciągając przed siebie w ciemność złożone dłonie, i dopiero położyła ręce wzdłuż ciała.

– Modlisz się? – spytał.

Nie odpowiedziała.

– Mój ojciec był pastorem – dodał cicho.

– Jestem wierząca – odparła. – Ty przywołujesz w pamięci zegar z kukłą w salonie babci, ja odmawiam pacierz. To nie znaczy, że jestem słabsza.

– Oczywiście, że nie. Dobranoc.

– Dobranoc.

Kiedy potem balansowała między snem a świadomością, jej ciałem, a przez to całą konstrukcją antresoli, wstrząsnęło kilka mocnych skurczy. Michael pomyślał, że jej zrozpaczona podświadomość pracuje pewnie ponad siły.

Znów wierzgnęła w śpiworze, wymamrotała jakąś niezrozumiałą skargę i Michael mógł tylko westchnąć ze smutkiem. Czuł się, jakby leżał obok psa gończego, który w niespokojnym śnie odtwarzał polowania i porażki całego dnia. Sam patrzył w szparę między deskami. Obserwował słabe światło ognia z kozy skaczące po podłodze i przypomniał sobie migotliwą niespokojną powierzchnię wody pod podłogą płonącej leśniczówki.

Michael usiadł i zorientował się, że jest na antresoli sam. Półprzytomnie patrzył na jej pusty śpiwór, potem spojrział na zegarek i jęknął. Było wpół do jedenastej rano. Całą noc i poranek wypełniło mu przybieranie mniej lub bardziej niewygodnych pozycji do spania.

– Lene?

Zwiesił nogi z antresoli i spojrział w dół. Czuł jednak, że w chacie poza nim nikogo nie ma. Słońce stało wysoko. Czubkami palców dotknął ciepłej dachówki. Był piątek. Odkąd wyszedł z domu, minęło siedem dni, a od śmierci Kaspra Hansena i Ingrid Sundsbö w Finnmarku upłynęły dwa lata i miesiąc.

Ostrożnie stawiając stopy, zszedł z drabiny i przeciągnął się, sypiąc z kręgosłupa serią suchych trzasków. Wyjrzał przez kuchenne okno i wtedy ją zobaczył. Chodziła tam i z powrotem przed małym, zalesionym wzniesieniem. Rozmawiała przez nową komórkę, a wolną ręką gestykulowała żywiołowo. W pewnym momencie stanęła nieruchomo i popatrzyła błagalnie w bezchmurne błękitne niebo. Raz tupnęła mocno nogą.

Nagle, zupełnie jakby łączyła ich jakaś telepatia, zatrzymała się w pół kroku i spojrzała wprost na niego. Wyraz jej twarzy się nie zmienił, ale pozdrowiła go ledwie dostrzegalnym ruchem ręki i znów zaczęła chodzić tam i z powrotem. Podniósł aluminiowy czajnik i wskazał na niego. Lene pokiwała głową i posłała mu blady uśmiech.

Stwierdził, że nie spotkał jeszcze osoby tak trzeźwo myślącej i bezkompromisowej jak ona. Doskonale rozumiał, dlaczego była tak dobra w swoim fachu i w wieku czterdziestu kilku lat dorobiła się stopnia komisarza. Ale kurczę, odrobina... najmniejsza nawet odrobina humoru i radości zajebiście by jej się przysłużyła.

Michael nalał wody do czajnika. A potem przypomniał sobie o jej córce i zrobiło mu się wstyd. Tak naprawdę niepojęte, że ta kobieta w ogóle była w

stanie funkcjonować.

Wyszedł na zewnątrz z kubkami parującej kawy i postawił je na ławce. Obok dostrzegł siatki z zakupami i nowy plecak. Nie próżnowała. Przy ścieżce oparty o drzewo stał ładny niebieski rower, damka.

Skończyła rozmowę i otrząsnęła się, jakby zmokła, zanim ruszyła do niego, stawiając długie kroki.

– Szefowa? – spytał.

– Mój eks – odparła i podniosła kubek do ust.

– Domyślam się, że coś mu się nie spodobało?

– Nie chcę o tym rozmawiać – ucięła. – Pokaż te ręce.

Michael posłusznie podsunął jej dłonie i Lene zaczęła grzebać w siatkach.

– Kiedy spałeś, byłam w aptece – wyjaśniła. – Kupiłam żel na oparzenia, bandaże, plastry, maści przeciwbólowe. Tak naprawdę to przez tydzień winienesz chodzić z workami na rękach. Moim zdaniem na grzbietach dłoni masz oparzenie trzeciego stopnia.

– A moim zdaniem worki na rękach mogłyby mi trochę przeszkadzać. Za to tych maści znieczulających jest chyba dość, żebym się nimi wysmarował cały.

– Niezupełnie. Plastrów za to wystarczy, żeby owinąć ci głowę i usta – odparła i zębami oderwała kilka pasków. Zaczęła opatrywać mu dłonie. Nałożyła żel na świeże i sączące się rany, a potem obłożyła je chłodzącymi kompresami. Michael z wdzięcznością przyjmował te zabiegi. Ruchy miała pewne i zwinne.

– Jak dotarłeś do cywilizacji? – spytał, a ona nagle się zaczerwieniła.

– Zajumałam rower.

– Dobra robota – pochwalił. – Co jeszcze tam masz?

Wręczyła mu pudełko.

– Nowy telefon na kartę i mały laptop. Ale zachowałam paragony, bo nie zarabiam aż tyle co ty.

– Jasna sprawa. Dzięki.

Obracał w palcach pudełko z nowym aparatem. Wreszcie był w stanie zginać i prostować palce.

– Wygląda to niezłe – przyznał. – Ten opatrunek – dodał, wskazując na swoje dłonie.

Lene ogrzała własne na kubku i zapatrzyła się przed siebie.

– Wyspałeś się?

– Nawet nawet. A ty?

– Ja też.

– Michael, jaki jest plan? – spytała rzeczowo.

Odchylił się do tyłu i popatrzył w niebo. Pogoda dopisywała. Spróbował sobie wyobrazić, jak musi być teraz w północnej Norwegii. Pewnie zimno. I śnieg. Łód na jeziorach. I zimno, jak już wspomniał.

– Dalej poradzę sobie sam – postanowił, dopił kawę i świadomie unikał jej wzroku.

– Nie ma mowy – oznajmiła.

Michael z trudem się uśmiechnął i coś pękło mu na policzku, dotknął twarzy i poczuł strup i świeżą limfę.

– Lene, nie wiem, co sobie myślałaś, ale to nie jest demokratyczne forum. Mówię, że od teraz idę sam, i tak po prostu będzie – oznajmił.

– Mogę cię aresztować – zagroziła.

– Za co?

– Za włóczęgostwo.

Wstał i popatrzył na nią z powagą.

– Posłuchaj. Tam, gdzie oni działają, jest rzeczywista strefa zbrodni. Arena. Widziałaś, do czego są zdolni. I mają to wszystko doskonale przećwiczone. Nie dostaniesz taryfy ulgowej, bo jesteś z policji, to ci mogę zagwarantować. Zrobią wszystko, żeby cię zlikwidować. I sama wiesz, że są w tym dobrzy. Poza tym tak naprawdę nie jesteś w stanie w żaden sposób mi pomóc. Zwyczajnie nie masz odpowiedniego przygotowania i jesteś dla nich za słaba.

Zdania, które powiedział na koniec, pożałował, zanim jeszcze je wymówił:

– I pomyśl o swojej córce, o Josefi...

Kiedy się ocknął, kilka sekund później, leżał na progu i nie miał pojęcia, jak się tam znalazł. I nawet nie czuł bólu. Był już tak poobijany i poparzony, że nie potrafił odróżnić świeżych urazów od starych. Jego centralny układ nerwowy był przeciążony i iskrzył bezradnie jak zwarty tranzystor. Podniósł wzrok i zobaczył ją stojącą przy ławce z rękami wzdłuż ciała i dłońmi zaciśniętymi w pięści. Z dwóch knykci prawej dłoni leciała jej krew.

Michael poruszał na boki dolną szczęką. Był w stanie zacisnąć zęby i otworzyć usta. Żuchwa działała prawie tak jak zwykle.

– Ale, oczywiście, jestem otwarty na propozycje.

Uniosła i opuściła ramiona, a płomień w jej zielonych oczach powoli gasł.

– Zatem sugeruję, żebyś się nie wygłupiał i powiedział, co robimy. Nie rozumiem, po co w ogóle odbyliśmy wcześniej tę enigmatyczną rozmowę o Thomasie Bergu, skoro nie zamierzałeś mnie uwzględnić w swoich planach. I tak się składa, Michael, że właśnie o córkę mi chodzi.

O nikim innym w tej chwili nie myślę.

Wstał i spróbował skupić wzrok na rowerze. Na czymś trwałym i prawdziwym.

– Może usiądziemy? – zaproponował. – Z powrotem?

– To się musi skończyć. Słyszysz? To się musi skończyć. NATYCHMIAST!

Pokiwał głową.

– Dobrze już, rozumiem! Uważam po prostu, że pora odwrócić karty. A jeśli chodzi o łowców martwych albo żywych, to uważam, że nie powinnaś robić niczego, co kłóciłoby się z twoją pracą w policji.

– Okej – przytaknęła. – Świetnie. To jak odwracamy karty? A o moją pracę się nie martw. Możliwe, że właśnie ją rzuciłam.

– Przynęta – odpowiedział. – Nieodparta pokusa.

– Co konkretnie masz na myśli?

– Jak to co? Nas, oczywiście. I tak nic lepszego nie mamy. Trzeba ich wypłoszyć z nory. Zmusić do konfrontacji w otwartym terenie, gdzie będziemy ich widzieli. To nasza jedyna szansa.

– Ale gdzie konkretnie?

Wyjaśnił jej wszystko, a ona ani razu mu nie przerwała. Kiedy skończył, popatrzyła w ziemię, potarła czoło czubkami palców i pokiwała głową. Jej twarz nie zdradzała żadnych emocji: ani zwątpienia, ani zapału.

– To właśnie chcę zrobić – podsumował. – Tam chcę ich zabrać.

– Pod warunkiem, że sami tego zechcą – przypomniała mu nieśmiało. – I że miliony twoich założeń i przewidywań się potwierdzą. A konkretnie pod warunkiem, że one wszystkie się potwierdzą.

– Moim zdaniem wejdą w to, bo nie mają wyjścia. Najtrudniejsze będzie nie pozwolić im przerwać gry przedwcześnie.

– Ale myślisz, że coś tam znajdziemy? – spytała.

– Myślę, że to bez znaczenia – odparł spokojnie. – Dopóki nikt nie wie, że tam *na pewno* nic nie ma, wszyscy jesteśmy zmuszeni rozgrywać to do końca. Takie są zasady. Chyba że oni nagle jak jeden mąż nabiorą przemoż-

nej chęci do emigracji. W której, oczywiście, nikt im nie będzie mógł przeszkodzić.

– Do Antigui i Barbudy? – domyśliła się. – Ja bym tak zrobiła. Mają w tamtejszych bankach mnóstwo pieniędzy i pewnie nic im tam nie grozi, pod warunkiem że powstrzymają się przed popełnianiem zbrodni naprawdę straszliwych, jak obcięcie komuś dredów albo spalenie portretu Hajle Selsjego.

– Nie przeceniaj męskiej próżności – upomniał ją. – To potężna siła napędowa. Na dobre i na złe. Mówię ci, zgodzą się na pewno.

– No tak. Patrz Berlusconi.

– Albo Napoleon. I co, na pewno chcesz w to wchodzić? To śmiertelnie niebezpieczne, bez dwóch zdań. A ty jesteś urzędniczką państwową. Masz przyszłość i karierę. Ja natomiast dostaję niesamowicie dużą kasę za wykonanie tego zadania.

– Tak, chcę w tym uczestniczyć. Muszę – dodała grobowym głosem. – A zasady obmyśliłeś ty, jak rozumiem?

– Mhm. Tak wyszło. W każdym razie mam taką nadzieję.

– Jest pewne określenie na bezpodstawne i mylne przekonanie o swojej wszechmocy, wiesz?

– Megalomania?

– Albo przynajmniej obłąd.

Pół godziny później Michael wyjechał z lasu na szosę. Ze stancy do najbliższej stacji kolejowej było jakieś pół godziny jazdy. Miał ogromną nadzieję, że nie zostanie zatrzymany, zanim dotrze na miejsce, bo wyglądał dokładnie tak, jak się czuł: jak ktoś, kto przed chwilą cudem ocalał z pożaru, z zabandażowanymi rękami i czarnymi spalonymi plackami tam, gdzie kiedyś rosły włosy. Aha, i jechał skradzioną niebieską damką.

Nie powiedział jej tego, ale musieli działać szybko. W istocie jeśli chcieli utrzymać inicjatywę, to czasu mieli bardzo niewiele. I zdecydowanie ich życie leżało w rękach zbyt wielu osób.

Nie aresztowano go w drodze na stację, za to został dokładnie otaksowany przez współpasażerów i miał całą kanapę dla siebie, chociaż w kolejce podmiejskiej panował tłok. Nie winił tych ludzi. Jego łysa głowa pewnie wciąż dymiła.

Wysiadł przy Nørreport i ruszył w dół Nørre Voldgade do eleganckiego i adekwatnie drogiego butiku z odzieżą męską przy Jarmers Plads. Sprzedawcy krzątali się przy nim z nienaganną uprzejmością albo po prostu byli wyjątkowo dyskretni. Mimo to gdy przyszło do płacenia, każdą z jego kart kredytowych starannie obejrzano, wykonano kontrolny telefon do jego banku oraz w drodze wyjątku, nadal z wystudiowaną grzecznością, poproszono go o okazanie paszportu. Portfel Michaela był przypalony na krawędziach, ale jego zawartość przetrwała zarówno pożar, jak i zalanie. Pół godziny później stał przed sklepem objuczony siatkami i w nowych ciuchach od stóp po czubek spalonej głowy.

Z Nørrevold wziął taksówkę do sklepu górskiego w Østerbro. Prowadzili go dwaj pasjonaci wspinaczki wysokogórskiej i w zasadzie była to raczej hurtownia specjalistycznego sprzętu. Jeden z właścicieli oprowadzał go po mieszkaniu w przyziemiu, gdzie mieścił się sklep, a Michael zdejmował z półek wszystko, co mu wpadło w oko: dwie sześćdziesięciometrowe liny wspinaczkowe 11 mm, pętle, uprząże, przyrządy zjazdowe, kostki, ringi, ekspresy, młotek, mały, które się przydawały do podciągania się na linie, dwuosobowy namiot, dwa plecaki, telefon satelitarny iridium, buty górskie i tak dalej.

Brodaty właściciel sklepu aż zamruczał z zadowoleniem, gdy Michael wsunął w terminal rozpaloną do czerwoności kartę MasterCard. Potem ochoczo pomógł mu wynieść wszystko z piwnicy na chodnik. Michael zadzwonił po taksówkę i czekając, zapalił papierosa. Pomyślał o komisarz Jensen, był ciekaw, gdzie się nauczyła bić. Zastanawiał się również nad jej

innymi kompetencjami. Niewiele było takich kobiet. W sumie może to i lepiej, bo na tej twardej sztuce można się było nieźle poobijać.

Pantomima niezręcznych gestów powtórzyła się przy stanowisku Hertza na kopenhaskim lotnisku. Choć Michael był teraz nienagannie ubrany, jego twarz, dłonie i głowa wystarczyły, aby dziewczyna wezwała swojego przełożonego, który dokładnie przejrzał wszystkie dokumenty, paszport i kartę kredytową.

– I jaki samochód pan sobie życzy? – spytał mężczyzna z wahaniem. – Mamy akurat dobrą ofertę na zgrabnego forda focusa.

Michael nieznacznie, lecz bez cienia zainteresowania pokiwał głową i popatrzył na zalaminowany przegląd dostępnych modeli.

– Myślałem o czymś nieco szybszym – oznajmił. – Może ten?

Zabandażowanym palcem wskazał na ostatni model na liście. Mężczyzna lekko się zapowietrzył, a dziewczyna stała nieruchomo.

– Audi A sześć, silnik V osiem, czterysta koni? Od zera do setki w cztery koma sześć sekundy? – upewnił się wynajmujący.

– Brzmi nieźle. Jest dostępny? – spytał spokojnie Michael.

– Tak, ale...

– Ale co?

Tamten widocznie dostrzegł nieustępliwy wzrok Michaela, bo tylko pokiwał głową.

– Nic. Tak, wóz jest dostępny, jak najbardziej. Na jak długo go pan potrzebuje?

– Myślę, że na jakiś tydzień.

Mężczyzna się uśmiechnął i, wręczając Michaelowi kluczyki, dodał, wyraźnie spięty:

– Niech pan o niego dba. To rzadki okaz...

Potem dostrzegł wózek bagażowy wyładowany sprzętem górskim i skrzywił się jeszcze bardziej.

– Wspinaczka?

– Taki mam plan.

– Niech pan o niego dba – powtórzył i poprosił dziewczynę, żeby zrobiła dodatkową kopię paszportu Michaela.

Kiedy skończyli pakować torby do bagażnika audi, Michael odbezpieczył służbową broń Lene i włożył do kieszeni w drzwiach samochodu, żeby ją

mieć pod ręką. Lene usiadła na miejscu pasażera z pistoletem maszynowym między stopami. Przesunęła czubkami palców po eleganckim skórzanym obiciu w złotym kolorze.

– A czemu ty prowadzisz? – spytała.

Michael wcisnął czerwony guzik startu i osiem turbodoładowanych cylindrów z rykiem tygrysa obudziło się do życia.

– Lene, już to przerabialiśmy. Poza tym ja jestem w papierach. To kwestia ubezpieczenia.

Coś tam jeszcze powiedziała, ale przyśpieszył i zagłuszył jej słowa.

Kilka minut później wjechali na autostradę w kierunku Holbæku. Ściemniało się i ruch się przerzedzał. Warunki na drodze były idealne, Michael pozwolił audi trochę się wyszumieć. Samochód prowadził się doskonale cieszył się poczuciem kontroli nad tym małym skrawkiem rzeczywistości.

Lene odchyliła się w fotelu. Wyglądała na pogodzoną ze swoją bierną rolą.

– Rozmawiałam z córką – powiedziała.

Michael zerknął na nią z boku.

– Trzyma się jakoś?

Lene się uśmiechnęła. W promieniach zachodzącego słońca zieleń jej oczu była głębsza niż kiedykolwiek. Zanim odpowiedziała, pokręciła głową zamyślona.

– Jest młoda. Dojdzie do siebie. Wiem to, po prostu. Co w sumie jest dość niezwykle. Przez telefon wydawała się jednocześnie smutna i... spokojna. Wyjdzie z tego.

Michael też się uśmiechnął.

– Jasne, że tak.

Pomyślał o córce Pietera Henryka, która trafiła na oddział zamknięty w prywatnej klinice w Szwajcarii. Przestała grać na flecie. Żeby nie zrobiła sobie krzywdy, lekarze utrzymywali ją w czymś w rodzaju świadomej śpiączki. Było to coś jak farmakologiczna lobotomia. Dziewczyna rozsmarowywała na sobie własne odchody, żeby wszystkich – w szczególności męski personel – trzymać na dystans.

Potrząsnął głową, nie chciał o tym dłużej myśleć.

– A ty? Rozmawiałeś z żoną? – spytała Lene.

– Jeszcze nie.

Zaczął wyprzedzać ciężarówkę, wcisnął gaz i samochód wystrzelił z urażonym wyciem. Jednocześnie autostrada zwężyła się niemal do jednopasa-

smówki.

Lene z niepokojem spojrzała na prędkościomierz.

– Zapomnij, że zapytałam – mruknęła.

– Co? Wybacz...

Michael zdjął nogę z gazu. Kilkukrotnie tego dnia trzymał w ręce nowy telefon z zamiarem zadzwonienia do Sary, ale za każdym razem coś go powstrzymywało. Nie miał siły na kolejną serię wyrzutów kierowanych w jego stronę w milczeniu lub wypowiedzianych na głos. Był również zmęczony własnym poczuciem winy. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że to początek końca. Bo przecież zawsze zaczynało się od tego, że ktoś nie miał siły zadzwonić, prawda? On wiedział dokładnie, co powie Sara oraz co on jej odpowie, i zaczął się zastanawiać, od kiedy tkwili w tym przeklętym schemacie, którego żadne z nich nie chciało, ale też nie miało odwagi przerwać.

– Zadzwon do niej, Michael – powiedziała cicho, jakby czytała mu w myślach. – Pewnie odchodzi od zmysłów ze strachu. Może nie wiesz, ale już o tym piszą. O pożarze. Powiedziałeś jej chyba, że działamy razem?

– Nie mówiłem jej, kim jesteś – zapewnił ją.

– Ale pewnie potrafi połączyć fakty.

Po rozmowie z Charlotte Falster Lene Jensen oficjalnie zginęła w wybuchu gazu w domu niedaleko fiordu Holbæku. Ta informacja została już za pośrednictwem prasy przekazana opinii publicznej. Falster zwołała nawet dziennikarzy na szybki briefing i komisarz uśmiechnęła się pod nosem, słuchając, jak szefowa nazywała ją oddaną i niezwykle utalentowaną śledczą. Wstępnie uznano, że doszło do tragicznego wypadku, ale kryminaliści badają jeszcze miejsce zdarzenia.

– Masz rację – przyznał. – Tak zrobię. Możesz sprawdzić, jaka tam jest pogoda, na północy?

– Jasne.

Otworzyła laptop z mobilnym internetem i zaczęła wyszukiwać odpowiednich stron z prognozami, a Michael zjechał na pobocze, żeby zadzwonić.

Gdy skończył, schował telefon do kieszeni kurtki.

– Dzięki – powiedział.

– Nie ma za co. Jak poszło?

– W porządku, o dziwo.

Rzeczywiście poszło nieźle. Sara się rozplakała, ale nie robiła mu wyrzutów z powodu rzeczy, na które żadne z nich nie miało wpływu. Dzieci były zdrowe i cieszyły się z pobytu w domku letniskowym wujka. Sąsiedzi prowadzili gospodarstwo, do którego wszyscy troje mogli chodzić, gdy tylko chcieli. W ich posesji właśnie urodziły się kociaki i szczenięta. Właściciele pozwalali małej brać je na ręce, obserwować je i uczyć się szacunku dla zwierząt. Były też świny i owce, za którymi ganiał ich czterolatek, i było morze, którego widok działał kojąco na Sarę. Stwierdziła, że wie, że do nich wróci. Miała taką pewność.

Michael poczuł, że ją kocha i nigdy nie przestanie.

A teraz zerknął na ekran na kolanach Lene.

– I jak?

– Do granicy między Szwecją a Norwegią jest jako tako – odparła. – Ale za Kiruną biało i minus sześć stopni. W dzień. Wygląda na to, że wiosna im się spóźnia.

– Ale E10 jest odsnieżona? – dociekał.

– Tak.

Kiruna. Kto wie, czy w ogóle dotrą tak daleko. Odległość wydawała się nierzeczywista. Tysiąc pięćset kilometrów. Co najmniej. A potem jeszcze kolejnych kilkaset przez góry. W tym czasie wszystko mogło się zdarzyć. Przeciwnik miał inicjatywę, a oni mogli tylko iść przed siebie i się dostosować.

Michael ponownie sprawdził wiadomości w telefonie. Ostatni esemes przyszedł dwie godziny temu. I był tak samo niepokojąco krótki i frustrujący jak pozostałe: „stand-by”.

To oczywiście w pełni akceptowalne i zrozumiałe, ale i tak gotowało się w nim ze zniecierpliwienia i czarnych scenariuszy.

– Wciąż tam stoi – powiedziała trzy kwadransy później.

Wjechali na małe zacienione wzgórze i Michael zjechał na pobocze. Jakieś sto metrów przed nimi w zatoczce przy punkcie widokowym stał biały passat Charlotte Falster.

Poza tym parking był pusty. Podobnie jak okolica. Żadnych psiarzy, biegaczy ani rowerzystów.

Wyłączył silnik. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu i tylko się rozglądali.

Michael wysiadł, oparł się o ciepłą maskę i zapalił papierosa. Słońce zaszło za półwysep Tuse Næs, w powietrzu nadal unosił się swąd spalonej leśniczówki. Za to ptaki śpiewały niewzruszone i wszystko zdawało się w najlepszym porządku. Tafla fiordu Holbæk spokojnie połyskiwała pod granatowym niebem. Michael dostrzegł mały biały prom sunący przez wodę w stronę odległego ciemnego kształtu z rozproszonymi światłami wyspiarskich gospodarstw. Na niebie zalśniły pierwsze gwiazdy. Pstryknął peta i podszedł do passata. Każdym włókmem ciała próbował wyczuć, czy ktoś go obserwuje, ale nie rejestrował niczyjej obecności.

Samochód komendant głównej policji był mokry od rosy i całkiem zimny. Najwyraźniej nikt nie ruszył go o milimetr, odkąd zostawili go tu poprzedniego wieczoru.

Przesunął wzrokiem po stołach i ławach w punkcie widokowym i po linii lasu, która stykała się z parkingiem. Nikogo. Położył się na brzuchu i w świetle kieszonkowej latarki uważnie obejrzał podwodzie, tłumik, rurę wydechową, zderzaki i nadkola. Wszystko wyglądało normalnie. Nie znalazł na przykład ładunku wybuchowego w formie bloku z cyfrowym ekranem odliczającym czas do eksplozji i śmierci, gdyby ktoś spróbował odpalić silnik.

Wreszcie wstał i popatrzył na nieruchomą postać siedzącą w audi. Pomachał do niej, ale nie odpowiedziała. Otworzył bagażnik. Nadajnik Garmin znajdował się dokładnie tam, gdzie wczoraj. Nadal migał na zielono, wesoło i morderczo.

Michael zajrzał pod siedzenia w kabinie i pod deskę rozdzielczą. Dopiero gdy sprawdził wszystkie zakamarki, poczuł się uspokojony. Wrócił do audi i wówczas Lene wysiadła i zaczęła grzebać w ich bagażach.

Ziewnęła, zasłaniając usta, i wyprostowała plecy. Przez chwilę patrzyła na gwiazdy i białą smugę księżyca na tafli wody, a potem się skuliła.

– Tysiąc sześćset kilometrów? – spytała, chociaż znała odpowiedź. – Bez przystanków na spanie?

– Myślę, że to byłoby nierozsądne – powiedział mechanicznie i zarzucił plecak na ramię. – Lene, przerabialiśmy to tysiąc razy.

Popatrzyła na ziemię i ramiona jej opadły.

– Wiem, ale...

– Ale co?

– Nic. GPS?

– Nasz czy ich?

– Oba.

– Ich jest tam, gdzie był. A tu masz swój.

Wręczył jej prosty przenośny GPS.

– Masz w nim całą zachodnią Europę. Wystarczy wpisać Kirunę.

– Tak, wiem, jak to działa.

Również zarzuciła sobie plecak na ramię. Na drugim ramieniu powiesiła pistolet i ruszyli razem w stronę passata.

– Nie ma tam jakichś bomb? – spytała.

– Z tego, co widziałem, nie.

– I co to niby znaczy?

– Że żadnych nie znalazłem.

Sprzęt Lene zapakowali do bagażnika, a pistolet sama położyła między siedzeniami. Wreszcie usiadła za kierownicą i popatrzyła na niego. Wręczył jej kluczyk, który od razu włożyła do stacyjki i przekręciła, zaciskając powieki. Silnik ruszył. Nic więcej.

Michael popatrzył na nią.

– Nie mogłaś poczekać, aż się trochę oddalę? – spytał z wyrzutem.

– Powiedziałeś, że nic tu nie ma.

– Powiedziałem, że nic nie znalazłem.

– Na jedno wychodzi.

– Moim zdaniem wcale nie.

– Dobra, chcesz się zamienić? Bo chętnie się przesiądę do twojej niemieckiej limuzyny.

– Nie, spoko.

– Jesteś pewien, że dalej sprawdzają sygnał z tych nadajników? Przecież myślą, że nie żyjemy – spytała bez przekonania.

– Nie sądzę, żeby je obserwowali dzień i noc, ale jestem pewien, że gdy tylko ruszysz, w różnych komputerach, smartfonach i tabletach rozdzwonią się alarmy i powiadomienia.

– Słuchaj, gdybyś jednak...

– Szerokiej drogi – nie dał jej dokończyć. Zatrzasnął drzwi, a kiedy coś do niego wołała, przytknął dłoń do ucha, jakby próbował ją usłyszeć, po czym pokręcił głową i odwrócił się na pięcie.

Szwecja ciągnęła się w nieskończoność. I była nieskończenie nudna. Lene w białym passacie jechała dwieście metrów przed nim. E45 godzinami wiła się między iglastymi lasami nadal przysypanymi śniegiem. Wcześniej słońce wpadało do kabiny przez boczne prawe okno, ale teraz znajdowało się z tyłu. Jediną rozrywką Michaela było słuchanie, jak z każdym mijającym regionem zmieniały się akcenty w radiu.

Zatrzymywali się na tych samych stacjach benzynowych, pili tę samą szwedzką lurę i jedli te same kanapki o smaku plastiku. Ale udawali, że się nie znają ani nawet nie widzą. Michael czekał na nią, aż zatankuje, skorzysta z toalety i kupi zapasy na drogę. Trzymał się na uboczu, lecz w pobliżu, cały czas z odbezpieczonym pistoletem z tyłu przy pasku. Był gotów odstrzelić każdego, kto spróbowałby się do niej zbliżyć w niewłaściwy sposób. Obserwował ruch wokół stacji, zapamiętywał numery rejestracyjne i marki samochodów i przez cały czas myślał, że nikt ich nie śledzi.

Na południe od zapomnianej przez Boga osady o nazwie Porjus telefon na jego udzie zawibrował.

– Michael? Muszę się przespać. Poważnie – powiedziała.

– Ale teraz? Lene, to nie jest dobry pomysł. Uwierz mi.

– Wierzę, ale muszę zjechać na następny parking. Mówię ci tylko, że to zrobię. Padam na twarz. Inaczej umrę na drodze.

– Okej – wymamrotał niechętnie.

Z parkingu ciągnął się widok na małe smutne miasteczko przy wyschniętej rzece. Michael zaparkował pięćdziesiąt metrów od passata. Przy dwóch niewyobrażalnie długich ciężarówkach załadowanych długimi drgającymi pniami drzew rozmawiali dwaj potężnie zbudowani kierowcy w zielonych puchowych kamizelkach. W rękach trzymali parujące kubki termiczne i

wyglądali, jakby cieszyli się tą przerwą w trasie. Michael zacisnął zęby. Od wyjścia ze stancy w środku lasu nie miał w ustach porządnej kawy.

Passat stał pod pokrytymi śniegiem gałęziami, które przesłaniały część parkingu. Z rury wydechowej wydobywała się biała para, ale Lene w środku nie widział. Zapiął parkę pod szyję, przeszedł przez parking i osłaniając oczy dłońmi, zajrzał do środka przez boczną szybę.

Leżała na tylnej kanapie, na boku, z podkulonymi nogami i dłońmi między kolanami. Miała zamknięte oczy. Z radia płynęła cicha muzyka akordeonowa. Zapukał w okno, ale się nie poruszyła. Otworzył więc drzwi i zgasił silnik.

– Lene?

– Idź stąd.

– Zamarzniesz – powiedział.

– Włącz silnik – wymamrotała, nie otwierając oczu.

Wyprostował się i popatrzył na niebo, szczelnie zasłonięte chmurami. Kierowcy ciężarówki mu się przyglądali. Niewiele tu się działo.

– Tak nie można – powiedział.

– Jak?

– Leżeć tu z włączonym silnikiem.

Uchyliła jedną powiekę i popatrzyła na niego złym zielonym okiem.

– Chodzi ci o globalne ocieplenie? Błagam, powiedz, że sobie robisz jaja.

Please.

– Będę tu stał, dopóki ty będziesz tam leżeć – zastrzegł.

– Zgiń – syknęła.

Więc czekał.

– Lene, wciąż tu jestem. Drzwi są otwarte, silnik wyłączony.

Dopiero kiedy do niej dotarło, że on nie żartuje, zamknął drzwi i wrócił do audi. Ciężarówki właśnie wyjeżdżały z parkingu. Ich aerodynamiczne hamulce świstały, a szoferki kołysały się łagodnie. Michael postukał w kierownicę niezdecydowany. Ziewnął i poczuł, jak bardzo sam był zmęczony. Pół godziny? Co się mogło stać w pół godziny?

Wszystko.

Pomyślał o niezamordowanym nadajniku GPS w samochodzie komendant Falster pięćdziesiąt metrów przed nim i zaklął. Jedno z nich musiało czuwać. Znów zaklął i postawił kołnierz kurtki. Otworzył boczne okno, żeby zimno z zewnątrz pomogło mu nie zasnąć, i otworzył komputer.

Postanowił, że pozwoli jej się przespać dwie godziny, a sam będzie czuwał. Poczuł się dzięki temu jak prawdziwy chrześcijanin pełen miłości do bliźniego. Do Lakselv i tak dotarliby najprędzej późnym wieczorem. A czy to będzie przed północą czy po, nie miało znaczenia. Nie zamierzali się tam zatrzymywać, tylko przejechać przez to położone w najniższej części fiordu miasteczko i drogą krajową 98 dotrzeć do Børselvy. Stamtąd do upatrzonej pozycji mieli jakieś czterdzieści kilometrów. Pieszko.

Starannie przeanalizował wszystkie dostępne mapy i zdjęcia satelitarne. Okolica w istocie napawała grozą: głębokie wąwozy, a na ich dnie rwące rzeki roztopowe, lodowce – w nich szczeliny i ozy. Dzikie, rozległe i niedostępne krajobrazy morenowe z tysiącami bloków skalnych wielkości od samochodu osobowego po kamienicę. I tylko nieliczne ścieżki były oznaczone.

W tej chwili trekking w Finnmarku wydawał mu się abstrakcją, czymś niepojętym. Nawet gdyby był wypoczęty albo przynajmniej w miarę sprawny. A przecież nie był ani taki, ani taki. Mieli oczywiście doskonały sprzęt, porządne buty, ciepłe, nieprzemakalne ubrania, małą kuchenkę spirytusową, namiot, żywność liofilizowaną, napoje energetyczne, śpiwory i tak dalej, ale wiadomo, że odpowiedni sprzęt nie był tu kluczowy. Najważniejszy był czynnik ludzki. Zwłaszcza jego zachowanie, Lene miała bowiem z nich dwojga silniejszą motywację, żeby tam być i walczyć jeszcze długo po tym, jak jej ciało osiągnie, a nawet przekroczy granice wytrzymałości. Ona chce pomścić córkę, ale przede wszystkim zapobiec, by coś takiego się powtórzyło. Jego powody były natomiast beznadziejnie prozaiczne, wręcz żałosne w porównaniu z jej pobudkami.

Zamknął Google Earth i mało zachęcające zdjęcia dzikiej przyrody, która czekała na nich na dalekiej północy, i zamiast tego postanowił popatrzeć na skapaną w słońcu plażę na Szeszelach, którą ustawił jako tło pulpitu. Pomyślał, że tym zdjęciem można było niemal ogrzać sobie dłonie. Potem zarejestrował przed sobą jakiś ruch i zobaczył, że Lene idzie do niego z dłońmi wciśniętymi pod pachy i drobiąc kroki na sztywnych nogach jak ktoś, kto właśnie się obudził zziębnięty.

Usiadła obok niego bez słowa i popatrzyła przed siebie.

– Gotowa? – spytał.

Wzdrygnęła się i skuliła.

– Włącz ogrzewanie – poprosiła.

Michael uruchomił silnik i podkręcił ogrzewanie w kabinie. Podał jej snickersa. Lene rozerwała papierek i w milczeniu zaczęła jeść batona.

– Daleko jeszcze? – spytała, gdy skończyła i starannie zwinęła papierek, zanim go schowała do kieszeni.

– Jakież czterysta kilometrów – odparł. – W prostej linii.

– Chryste. Nie miałam pojęcia, że Szwecja jest taka... ogromna.

– Tak, to duży kraj – przyznał. – Nigdy wcześniej tu nie byłaś?

– Tutaj? Po co ktokolwiek miałby się tu zapuszczać?

Wzruszył ramionami.

– Jest pięknie i czysto... i zajebicie pusto – dodał. – Można chodzić po górach, jeździć na biegówkach. Łowić ryby. Może cię to zdziwi, Lene, ale tu naprawdę mieszkają ludzie.

– O, a z czego żyją? I w ogóle jesteś tego pewien?

– Na sto procent. I patrząc na te wszystkie ciężarówki, żyją z drewna. Kiedy minimy Lakselv, będziemy mieli do przejścia jakieś czterdzieści kilometrów – oznajmił z sadystyczną satysfakcją.

– W imię Ojca i Syna...

– ...i Ducha Świętego. Tam, dokąd zmierzamy, nie prowadzą żadne drogi.

– A kiedy już tam dotrzemy, to co? – spytała cierpko.

Michael rozparł się w fotelu i splótł ręce na kolanach.

– Najdziwniejsze, że scenariusz najlepszy i najgorszy są takie same – odparł. – Dość wyjątkowa sytuacja. Klasyczny dylemat. Dużo o tym myślałem. Sytuacja może się rozwinąć na wiele sposobów, w zależności od tego, jak zachowają się rywale.

– Rywale? Tak nazywasz tę bandę psycholi? Wybacz, Michael, ale to wszystko brzmi jak akademickie dywagacje. Nie pomyślałeś, że może oni po prostu wynajęli kogoś, kto strzeli nam w plecy, nie zadając żadnych, kurwa, pytań... i to z dużej odległości?

– Jasne, przeszło mi to przez myśl, ale obstawiam, że nie oparli się pokusie, żeby trochę się ponapawać zwycięstwem i może trochę wytłumaczyć. A przy tym zobaczyć na własne oczy, jak to się dzieje. Jak sama mówisz, to psychopaci.

– O ile tam są.

Michael pokiwał głową.

– Zgadza się.

Pomyślał o tamtej niewielkiej grupie serbskich najemników, których Pieter Henryk zaprzął do uwolnienia swojej porwanej córki. Europa była pełna dostarczycieli tego typu usług, wywodzących się przede wszystkim z wszystkich frakcji kalejdoskopicznych wojen bałkańskich z lat dziewięćdziesiątych. Byli tani, potrafili się ze sobą porozumieć i współpracować, nawet jeśli w Bośni i Hercegowinie czy Kosowie stali po przeciwnych stronach. Do tego zadania wykonywali starannie, byli kompetentni i nie budzili niepotrzebnego zainteresowania.

Ale nie, pomyślał. Myśliwi nie wynajmowaliby obcego, żeby ich wyręczał w ściganiu zwierzyny. To nie w ich stylu.

– Mój plan to założenie – wyjaśnił. – Rodzaj szkicu, chyba potrafisz to zrozumieć?

– Szkicu?

Michaela zaczęła irytować ta rozmowa.

– Lene, nie jestem jasnowidzem ani nie siedzę w ich głowach, okej? Działam na podstawie informacji i faktów, jakie są mi znane w danym momencie, i wedle swoich najlepszych umiejętności. To się nazywa improwizacja. I wybacz, jeśli to dla ciebie zbyt, kurwa, akademickie.

– To ja przepraszam. – Położyła dłoń na jego przedramieniu. Jeden z rzadkich fizycznych kontaktów z jej inicjatywy. – Boisz się?

Odwrócił się w fotelu i popatrzył na nią zaskoczony.

– Oczywiście, że się boję! Kobieto, co ty sobie myślałaś? Musiałbym nie mieć mózgu albo wziąć pół opakowania valium, żeby powiedzieć, że nie sram w gacie ze strachu.

– Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało, przepraszam. – Spuściła wzrok. – Chyba po prostu nie do końca rozumiem, dlaczego to robisz. Zatem: dlaczego?

– Taki mam zawód – wymamrotał cicho. – Może nie jest to coś wspaniałego, ale tak wyszło i tak już zostało. To jedyne, na czym się mniej więcej znam.

Roześmiała się głucho, wypuszczając małe chmury pary z ust.

– W to akurat nie uwierzę. Wydajesz się mieć sporą wiedzę i mnóstwo różnych umiejętności. Mógłbyś zostać, kimkolwiek zechcesz.

– Lene, niedługo stukną mi czterdzieści cztery lata. I żebyś wiedziała, że próbowałem kiedyś robić coś innego, ale nie wyszło. Dlatego pogodziłem się z tym, że takie życie jest dla mnie najwłaściwsze. Ważne, żeby samemu

tak uważać.. Bo jeśli ty w to nie wierzysz, to długo w tej branży nie wytrzymasz.

Uśmiechnęła się.

– Jak twoje dłonie? Zmienić ci opatrunki?

Michael rozczapierzył i zgiął palce. Bandaże były brudne i wilgotne, ale niespecjalnie go bolało.

– Może później – stwierdził.

Otworzyła drzwi i postawiła stopę na asfalcie.

– Daj znać, kiedy.

Potem popatrzyła na ciężkie zachmurzone niebo.

– Czteryście kilometrów, powiedziałaś?

– Mniej więcej. Zatrzymajmy się na następnym parkingu i zjedzmy coś porządnego. Według GPS-a za siedemdziesiąt kilometrów będzie restauracja.

– Ostatnia wieczerza? – zażartowała.

– Miejmy nadzieję, że nie.

50

Czy da się w krajobrazie zamknąć dźwięk? I czy można go potem wypuścić? Takie myśli chodziły Lene po głowie, bo na tych odcinkach, na których ścieżka oddalała się od huczącego potoku po prawej stronie, słyszała, jak ich kroki odbijają się echem od skalnych ścian, tworząc złudzenie, że ktoś za nimi idzie. A potem, gdy ścieżka znów zbliżała się do rwącej wody, spieniona kipiela pochłaniała wszystkie odgłosy.

Rwący potok wił się na dnie wąskiego wąwozu między wysokimi skałami. Ścieżka biegła mniej więcej wzdłuż albo powyżej niego i wielu w miejscach przecinały ją zwiastujące wiosnę rzeki roztopowe. Co jakiś czas ścieżka oddalała się spory kawałek od potoku, a on sam chował się za wysokimi mokrymi blokami chaotycznie rozrzuconymi między ścianami wąwozu.

Dróżka biegła cały czas w cieniu, więc było zimno, ale pozostawali osłonięci przed silnym północno-wschodnim wiatrem, który rozerwał na drobne strzępy warstwę chmur nad ich głowami.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła jedenasta. Szli bez przerwy, odkąd cztery godziny temu wyruszyli z parkingu w Børselvie. Przespali na nim ostatnie godziny nocy, aż Michael wsunął rękę do jej passata i wcisnął klakson. Obudziła się raptownie i uderzyła w coś głową.

Nagle fragment ścieżki osunął jej się spod nóg i Lene przywarła do skalnej ściany. Żwir, ziemia i drobne kamyki powoli potoczyły się w dół, gdzie niewiarygodnie prędko porwała je woda. Pień, na którym stała, po chwili także runął w dół z boczka, pozbawiając ją ostatniego oparcia. Czując ruch pod stopami, instynktownie skoczyła w przód i stanęła na pewnym gruncie. Na dnie wąwozu pień uderzył w skalisty brzeg, siła uderzenia obróciła go, więc uderzył w przeciwległy kraniec i na koniec z rozdzierającym trzaskiem pękł, a nurt poniósł oba kawałki do następnego wodospadu. Puls dudnił jej w uszach, ale Michael, który szedł kilka metrów przed nią, od-

wrócił się i zniecierpliwiony ponaglił ją tylko ręką. Miała ochotę krzyknąć do niego, że właśnie omal nie zginęła, ale zacisnęła zęby i ruszyła dalej. Przewodnik ekspedycji wydał złowieszczy zakaz wszelkich rozmów i wydawania gwałtownych, niekontrolowanych dźwięków.

Zabronione było również zbliżanie się do siebie. Michael szedł spory kawałek przed nią. Przeważnie był poza zasięgiem jej wzroku, a Lene czuła się osamotniona i bezbronna, kiedy nie widziała jego prężnej sylwetki. Wziął od niej pistolet maszynowy i niósł go na ramieniu, w ciągłej gotowości. Ona z kolei trzymała swój służbowy pistolet w kaburze na biodrze. Jak na kogoś, kto kilkakrotnie powtarzał, że nie przepada za bronią palną, Michael obchodził się nią z dużą łatwością i wprawą. Lene uważała się za świetną strzelczynię, a policyjny instruktor się z nią zgadzał. Miała jednak przeczucie, że i ona, i instruktor byli amatorami w porównaniu z Micha-elem Sanderem.

Przyśpieszyła kroku, aż na kolejnej prostej znowu go zobaczyła. Wąwóz się poszerzył i wyrównał, zwiększyły się odstępki między potężnymi blokami skalnymi na jego dnie. Również potok płynął teraz szerzej i spokojniej. Nad ich głowami pokazało się więcej nieba. I nagle znowu straciła go z oczu. Poczwała, jak narasta w niej panika, a gardło się zaciska.

Podbiegła kawałek. Pojawiła się roślinność. W małych kępkach między głazami morenowymi rosły karłowate brzozy i gęste iglaste krzewy. Zastanawiała się, czy go nie zawołać, ale wiedziała, że się wścieknie. Minęła blok skalny wielkości domu jednorodzinnego i krzyknęła przerażona, gdy jakaś ręka zacisnęła się na jej barku i pociągnęła ją za skałę.

– Michael, kurwa!

– Spokojnie...i ciszej.

Miejsce, w którym się znajdowali, było placikiem wielkości stołu do ping-ponga pokrytym suchym żwirem. Mogli tu usiąść osłonięci przed wiatrem i wzrokiem... rywali.

Lene oparła się plecami o skałę, która zdążyła się już nagrzać. Granit był czerwony, szorstki i młodszy niż okoliczne skały, a w wieczornym słońcu stanie się ognistoczerwony i pomarańczowy. Michael małą, ale silną lornetką skanował okolicę.

– Gdzie jesteśmy? – spytała.

Siedziała na zwiniętej karimacie i czuła, jak drżą jej mięśnie ud. Obiecała sobie, że jeśli dane jej będzie wrócić do domu, to znowu zacznie biegać. I może nawet chodzić po górach. Ten teren kompletnie ją wypompał. Nogi

miała jak z waty, a całe ciało domagało się jedzenia. Było jej słabo przez niski poziom cukru i pochyliła głowę między kolanami.

– Co się dzieje? – spytał.

– Cukier we krwi.

Michael pogrzebał w plecaku i podał jej dwa batony proteinowe i snickersa. Potem wyjął Kuchenkę i czajnik, który napełnił w szemrzącym obok strumyku i nastawił wodę. Do dwóch plastikowych kubków wrzucił torebki herbaty.. Potem wyjął butelkę miodu akacjowego i Lene przyglądała się, jak złota ciecz spływała do ich jednorazowych naczyń.

– Dziękuję – powiedziała z pełnymi ustami.

– Smacznego.

– To się zawsze dzieje z nienacka – wyjaśniła. – Nagle spada mi cukier i czuję się, jakby mi ktoś wyciągnął szkielet przez stopy.

– Znam to. Mam tak samo.

– Czyli jak?

– Że wymiękam – uśmiechnął się z przekąsem.

Potem podał jej herbatę, a swoją podmuchał.

Lene spojrzała na swoją czerwoną kurtkę, a potem na jego, jasnoszarą, znacznie lepiej maskującą w tym terenie. Poczowała się widoczna jak żywa pochodnia.

– Michael, dlaczego jestem w czerwonym, co? Przecież w tym kolorze nawet ślepy mnie wypatrzy z odległości pięćdziesięciu kilometrów.

Popatrzył na jej kurtkę obojętnym wzrokiem i przystawił kubek do warg.

– Mnie się twoja kurtka podoba – oznajmił, kiedy się napił.

– Ale jest czerwona.

– Mhm. Jest dość czerwona.

– Zauważyłeś, że tutaj nie ma nic innego równie czerwonego? – spytała i zatoczyła ręką koło.

Z jego twarzy zniknął wyraz rozbawienia czy troski. Znów zrobił się ponury i spięty.

– Lene, najlepszy i najgorszy scenariusz – zaczął szorstko – to przecież dwie strony tego samego medalu. Chcemy, żeby nas znaleźli. Tak naprawdę to od nas zależy, czy im się to uda. Sądziłem, że miałaś tego świadomość, więc o co ci teraz chodzi?

Spuściła wzrok, wzięła z ziemi garść żwiru i patrzyła, jak przesypuje jej się między palcami.

– Chcę, żeby mnie znaleźli – powiedziała cicho. – I skończ z tym protekcyjnym tonem, bo to wkurzające. Gdzie jesteśmy tak w ogóle?

Michael rozłożył mapę i sprawdził swój GPS. Potem wskazał na długi cienki pas wody.

– Od jeziora Kjæsvatnet dzieli nas jakieś sześć kilometrów. To tam zaginęła tamta dwójka: policja albo wojsko znaleźli w pobliżu kosz wędkarski z inicjałami Kaspra Hansena.

– A stamtąd mamy daleko?

– Jakieś plus minus osiemnaście kilometrów. Szczerze mówiąc uważam, że trzymamy niezłe tempo, zważywszy na okoliczności.

Lene przełknęła ostatni kawałek czekolady, zwinęła papierek w kulkę i już miała ją wcisnąć w szczelinę skały, kiedy poczuła na sobie jego karcący wzrok. Westchnęła, schowała ją do kieszeni i wstała.

– Od teraz będzie pod górkę – zapowiedział. – To tu zaczyna się płaskowyż.

– Ekstra.

Kjæsvatnet było jak żywy organizm. Północnowschodni wiatr pchał przed sobą wodę, marszcząc ją i formując małe, krótkie fale. Przenikał przez ich kurtki, gdy nie znajdowali się akurat w niecce albo między skałami, albo gdy nie brnęli w ciężkim topniejącym śniegu przez niskie brzozowe zagajniki. Lód raz po raz pękał im pod butami. Lene ostrożnie stawiała kroki, idąc po śladach Michaela, sto metrów za nim, widoczna z daleka w swojej czerwonej kurtce. Słońce nadal stało wysoko i wokół rozciągała się absolutna pustka. Piękna, ale dziwnie przerażająca.

Chociaż teren był niełatwy, utrzymywali dobre tempo, jak stwierdził Michael, kiedy po raz kolejny spojrzął na mapę. Przystawił lornetkę do oczu i uważnie przesunął wzrokiem wzdłuż brzegu jeziora. Ani żywej duszy. Zupełnie nic, nawet ptaka wędrownego na niespokojnej czarnej wodzie. Żadnego ruchu ani wśród zamrożonego sitowia, ani w brzozowych gajach przy brzegu.

To tutaj spędzili swój ostatni wieczór, pomyślał. Kasper i Ingrid. Pewnie przy ognisku. Pogoda im dopisała, niebo było bezchmurne, nieskończone i pełne gwiazd.

Tuż za plecami usłyszał kroki Lene w śniegu.

– Schodzimy do brzegu? – spytała.

Michael popatrzył na zegarek.

– Okej. Zostały nam prawie cztery godziny do zmroku.

– Wypatrzyłeś kogoś?

– Ani żywej duszy.

Ruszyli między niskimi drzewami i dotarli do kamienistego brzegu jeziora, łamiąc butami kruchy lód w małych kałużach pomiędzy kamieniami. Tylko przy samym brzegu na wodzie unosiły się jeszcze nieliczne cienkie kry.

Stali obok siebie i patrzyli na wąskie, ale ciągnące się kilometrami jezioro, które znikало na północnym wschodzie.

Lene aż się wzdrygnęła.

– Tu można zgubić całą armię – zauważyła. – Tu jest... pustka.

– Nie no są tu jacyś Samowie i ich reny.

Wspięła się na palce i rozejrzała.

– Niby gdzie?

– Teoretycznie powinni być – sprecyzował.

– Ale tamtych dwoje tutaj dotarło?

Przytaknął. Chociaż w artykule w „Verdens Gang” napisano jedynie, że ekipa poszukiwawcza znalazła pusty kosz na ryby i pozostałości po ognisku, bez wskazania dokładnej lokalizacji.

– To tu, nad jeziorem, zostali uprowadzeni – powiedział.

– Tak, teraz rozumiem, że tutaj mogło się wydarzyć coś takiego – pokiwała głową. – w takim miejscu może się zdarzyć dosłownie wszystko.

– Jak w Himalajach – dodał.

– I w Afganistanie. Nie było żadnych świadków.

Michael odwrócił się do niej.

– Dokładnie. Nikt nie widzi, więc mogą sobie na to pozwolić. Idziemy?

– To było tutaj? To jest to miejsce z filmu?

Michael przesunął dłonią po wyslizganej przez lód ścianie bloku skalnego. Od strony fiordu Porsanger wiatr i lód wyżłobiły w niej głęboką wnękę. U stóp skały leżały oszronione kamyki i żwir. I to wszystko. Było to, oczywiście, rozczarowujące. I oczywiście niczego innego się nie spodziewał.

– Tak. Kiedy go znaleźli, stał dokładnie w tym miejscu.

Michael wskazał na skraj klifu.

– I tam pobiegł i skoczył.

Michael stanął nad przepaścią i poczuł, jak wiatr uderzający w stumetrową skalną ścianę wypełnia mu spodnie i kurtkę, aż ubranie niemal pękało w szwach. Wiatr północno-wschodni, który marszczył wodę na jeziorze tu, w fiordzie, piętrzył ją, tworząc wysokie fale. Ich białe grzywy niezmordowanie i długimi pasmami maszerowały na południowy zachód. Po drugiej stronie, na tle nieba rysowały się wysokie, nadal ośnieżone góry. Ich ostre czubki ciągnęły się po horyzont. Śnieg leżał również na przełęczach między szczytami. Niekończące się pustkowie. Michael pochylił się pod wiatr i

spojrzał w dół. Rzeka roztopowa utworzyła z boku skały wiele topniejących warstw stalagmitów i na jego oczach lodowy kawał wielkości samochodu oderwał się od ściany, balansował chwilę i wpadł do czarnej wody fiordu. Zniknął pod powierzchnią i zaraz wynurzył się ponownie kawałek dalej, wypluwając z siebie kaskady morskiej wody. Kołysał się chwilę, aż na nowo złapał równowagę i podryfował w otwarte morze.

Dwie ciekawskie rybitwy zanurkowały obadać ten nowy obiekt, który pojawił się w wodzie, ale zaraz się wyłoniły i odleciały.

Odwrócił się, kiedy usłyszał wołanie Lene:

– Michael, odsuń się!

Popatrzył na swoje buty i zorientował się, że stał na samym skraju wyślizganej, wyerodowanej skały.

Wrócił do Lene i do zagłębienia bloku skalnego.

– Wybacz – powiedział.

Jej wargi drżały.

– Myślałam, że spadłeś! Człowieku, co ty wyprawiasz?! Masz pojęcie, co by było, gdybyś spadł?!

– Tak, wiem. I przepraszam, naprawdę. Ale tak, to się stało tutaj.

Wciąż była wściekła. I przerażona.

– Skąd możesz to wiedzieć tak dokładnie?

Michael popatrzył na słońce po przeciwnej stronie fiordu. Rzucano długie niebieskie cienie w poprzek doliny i sprawiało, że szczyty się żarzyły.

– Za parę godzin przekonasz się sama – wyjaśnił. – Kiedy pokażą się gwiazdy. Widać je na ostatnich ujęciach nagrania. Poprosiłem astronoma, żeby na podstawie ich wysokości i umiejscowienia względem siebie obliczył współrzędne. To niesamowicie precyzyjna metoda. W sumie to się okazało najprostsze w tym całym zadaniu.

Lene, poruszając barkami, wyplątała się z szelek plecaka, zrzuciła go na skałę i usiadła na nim.

– Sprytnie – pochwaliła.

– Dzięki.

Poklepała miejsce obok siebie.

– Siadaj. Niedługo się ściemni i będziesz mógł mi o wszystkim powiedzieć.

– Czyli o czym?

Uśmiechnęła się rozbrajająco.

– O swojej niespodziance.

Uniósł spaloną brew.

– Mam jakąś niespodziankę?

– Michael. Trochę cię już poznałam. Tak mi się w każdym razie wydaje... – Pokiwała głową w zamyśleniu. – No, może odrobinę. Ale jednak. I wiem, że nie przyjeżdżałbyś tu, żeby się szwendać po tym pustkowiu niczym żywy cel, nie zabezpieczając sobie tyłów. Powiedz mi zatem, co masz w zanadru.

Potoczył ręką po pustym horyzoncie. Wiatr szarpał mu rękaw.

– Ale co by to na przykład miało być? Ukryty pod tundrą czołg? Myśliwiec F-16? Albo oddział komandosów?

– Tak!

Michael pokręcił głową.

– Przykro mi, Lene. Mamy tylko siebie.

Wbiła w niego wzrok na dłuższą chwilę. Powoli coraz szerzej otwierała zielone oczy, a ręce zwiesiła bezwładnie między kolanami.

– Mówisz poważnie?

– Tak.

– Niech Bóg ma nas w opiece – wymamrotała.

Mógł tylko przytaknąć:

– Mam w każdym radzie nadzieję, że jest pod telefonem.

Machnęła ręką w stronę krawędzi klifu.

– Okej, ale zakładam, że po to taszczyliśmy tutaj te kilometrowe liny, żeby przynajmniej w którymś momencie ich użyć.

– Owszem. Muszę zjechać na dół.

– Dlaczego? Zauważyłeś coś? Tuż przed tym, jak niemal uległeś myślom samobójczym?

Zawahał się. Trudno to było wyjaśnić. Czuł po prostu, że coś go tam ciągnęło. A Lene pewnie uzna, że zwariował.

– Na skale znajduje się nawis, coś w rodzaju lodospadu utworzonego przez tamten potok – powiedział zamiast tego. – Powinnaś go zobaczyć. Jest naprawdę ładny.

– Nie, dziękuję.

Wcisnęła się głębiej w wyżłobienie w skale, żeby podkreślić swoją niechęć.

Michael pokiwał głową i popatrzył na fiord. Komisarz miała lęk wysokości.

– Tam na dole nic nie ma – powiedział wreszcie. – Kamienie, woda, lód. Nic więcej.

Teraz wstała, a on popatrzył najpierw na jej plecak, a potem – na twarz.

– Chodźmy już – postanowił. – Poszukajmy jakiegoś miejsca na nocleg. Gdzieś, gdzie będzie można rozbić namiot i ugotować posiłek. Tu jest niebezpiecznie.

– Zwłaszcza jeśli ktoś lunatykuje – dodała.

– Właśnie.

Wyszedł na otwartą przestrzeń i wyjący wiatr. Popatrzył na skaliste zbocza w oddali, z których pewnie w którymś momencie epoki lodowcowej odłamał się ten potężny blok i przywędrował tu, żeby stać samotnie, jak zapomniany strażnik na końcu świata. Zmrużył oczy i skupił wzrok. Porośnięte mchem wzgórze, gdzieś kępki karłowatych brzoź, a poza tym nagie skały i śnieg w nieckach jak okiem sięgnąć. Michael wyczuwał jednak, że nie byli sami. Nic się nie poruszało ani nie odbijało, nie słychać było żadnych dźwięków, tylko w powietrzu wibrowała i bzyczała czyjaś czujna obecność.

A potem jego uwagę przykuł świeży, na wpół uświadomiony błysk. Coś kobaltowo-niebieskiego. Kolor, którego absolutnie nie powinno tu być.

Lene zaczepliła kciuki o paski plecaka i czekała, gotowa do drogi.

– Co jest, Michael?

– Coś niebieskiego – wymamrotał.

– Hm?

Pstryknął palcami zniecierpliwiony.

– Kobaltowego. Jak ta porcelana, no. Ta, którą wszyscy mieli w latach osiemdziesiątych.

– Gdzie?

Wskazał na blok skalny na skraju klifu.

– Tam.

Wrócił do bloku z wyłobieniem. Zdjął plecak i odstawił na ziemię. Potem klęknął i mrużąc oczy, spojrzął pod słońce, które skrzyło się w drobinach krzemu na granitowym bloku.

– Michael?

Ręką ostrożnie oczyścił ziemię u stóp skały z drobnych kamyczków i żwiru i poczuł pod palcami coś miękkiego. Linę. Żyłkę. Nie, sznurek. Szarpnął go. Kobaltowo-niebieska sznurówka zaczepiła się o kamień, ale szybko go

odsunął. Szarpnął znowu i z wnęki pod skałą wyjął ciężki but górski z szarej skóry i goreteksu. Zajrzał do środka.

– SCARPA, rozmiar czterdzieści cztery – przeczytał na głos. – Prawy. Porządne obuwie. I nowe. Spójrz na podeszwę.

– Rozwalona – zauważyła.

Małe metalowe haczyki, które przytrzymały sznurówkę, były wyrwane.

– To może być ślad po kuli – zastanawiał się. – Środek jest ciemnobrązowy. Jak od krwi.

W milczeniu oglądali znalezisko. Ramieniem dotykała jego ramienia i czuła jej zapach. Pachniała wiatrem, słońcem i potem. Przyjemnie.

Odchrząknął.

– Myślisz, że to jego? – spytała.

– Wiem, że tak. Musiał go tu ukryć, zanim go znaleźli.

– Kiedy stracił nadzieję na ocalenie – domyśliła się.

Michael pokiwał głową.

– Ale liczył, że ktoś to kiedyś znajdzie.

– To dowód – stwierdziła. – Z krwi możemy wyodrębnić DNA.

– I dowiesz, że Kasper Hansen tu był, ale nie kto go zabił.

– Dobra, Michael, ale naprawdę nie musisz się spuszczać w dół tej ściany!

– Porozmawiamy o tym jutro. Chodź.

Znaleźli w miarę płaskie miejsce na namiot, między brzoza jakiegoś pół kilometra od krawędzi przepaści. Michael oczyścił placzyk z mniejszych kamieni i rozbił namiot, co było proste jak wsunięcie dwóch giętkich aluminiowych pałków w dwa tunele jednopowłokowego namiotu i rozwinięcie karimat i śpiworów w sypialni.

Choć żadne z nich nie było szczególnie głodne, podgrzali sobie coś i zjedli. Potem zagotowali wodę na herbatę, którą Michael podkreślił koniakiem z piersiówki.

Dostał ją od Keitha Mallory'ego na trzydzieste urodziny. Była srebrna, płaska i wklęsła i miała eleganckie, choć wyślizgane skórzane etui. Widniała na niej przyjacielska dedykacja nad skrzydlatym sztyletem, symbolem dawnego pułku Anglika, 22. Stirling Lines oraz ich mottem *Who dares wins*.

Odkręcił nakrętkę i pomachał piersiówką w jej stronę.

– Dolewka?

Lene była ciemnym kształtem zasłaniającym pierwsze gwiazdy na zimnym niebie. Wyciągnęła ku niemu kubek.

– Poproszę. Ładna piersiówka.

Podniósł ją i też na nią popatrzył. Czuł inskrypcję pod palcami.

– Prezent od przyjaciela – wyjaśnił.

– Od przyjaciela?

– Tak. Wyobraź sobie, że mam przyjaciół.

– Jasne, że masz – powiedziała pojednawczo. – Będziemy czuwać na zmianę, co nie?

– Mogę wziąć pierwsze cztery godziny – zaoferował się.

– Michael, jak się nazywa twój przyjaciel?

– Keith Mallory.

Po chwili i pod wpływem nagłego impulsu spytała:

– Zajmuje się tym samym co ty?

– Tak. Tylko on jest w tym lepszy.

Dopiła herbatę i nagle powiedziała cicho:

– Nie jesteśmy sami. – Michael przyglądał się jej spokojnej twarzy, której jasny profil odznaczał się w zapadającym zmierzchu. W jej głosie nie słyszał lęku. Po prostu stwierdziła fakt.

– Tak myślisz?

– Wiem to.

Michael przysunął kolana do piersi, z namiotu wyjął swój śpiwór i się nim owinął.

– Ale widziałaś coś? Albo słyszałaś? – dopytywał.

– Nie. Po prostu to wiem. Tu w górach ktoś jest.

– Nigdy nie wierzyłem w żaden szósty albo siódmy zmysł – wyznał.

– Może pora to zmienić. Bo jestem absolutnie pewna, że ktoś nam towarzyszy. Dobranoc.

– Śpij dobrze.

Weszła do namiotu i zamknęła się w środku. Słyszał, jak się mości. Było coś kojącego w tych zwyczajnych, codziennych dźwiękach.

Michael wziął do ręki pistolet maszynowy, przeładował broń i ją odbezpieczył. Rozpiął śpiwór, naciągnął go na nogi i dolną część ciała, potem zaplął i spróbował usadowić się wygodnie pod grubym, ale krótkim pniem brzozy. Położył pistolet na kolanach. Był ciężki i bardzo rzeczywisty. Widział delikatną chmurę własnego oddechu i myślał o słowach Lene.

Tam nic nie było. Nawet światła samochodów nie odbijały się już w tafli fiordu. A samotny blok skalny przy krawędzi odcinał się ostro od granatowej wody w tle. Zwarty, sztywny i czarny jak litera tajemnego szyfru.

Możliwe, że na moment przysnął. Chyba odwykł od trzymania warty. Ostatni raz robił to, gdy z Keithem utknęli na tamtym przeklętym strychu w Grozonym.

We will, we will rock ya!

Na wpół przytomny obserwował gwiazdę na zachodzie. Wydawała się jaśniejsza od pozostałych. Poruszała się nienaturalnie szybko, a po chwili zrobiła się zielona, zaczęła migać i Michael usłyszał dźwięk silnika. Stłumiony, jakby pochodził od uwięzionego owada.

Wyprostował plecy i w jednej chwili oprzytomniał.

Światła pozycyjne helikoptera przesuwały się złowrogo i wyglądały jak strzała przelatująca nad fiordem. Dźwięk silnika co jakiś czas zanikał, ale za każdym razem wracał. Przelot odbywał się metodycznie i konsekwentnie. Ostatecznie helikopter zniknął za pierwszymi wzniesieniami na północnym wschodzie. Dźwięk był coraz słabszy, aż w końcu ucichł zupełnie.

Wzdrygnął się, gdy poczuł, że Lene stoi tuż za nim. Nie słyszał, jak wyszła z namiotu, i mimo, że był pod wrażeniem tego, jak cicho potrafiła się przemieszczać, przestraszył się nie na żarty.

– Ja pierdołę! Nie możesz chrząkać albo nie wiem, jakoś uprzedzić człowieka, tylko się skradasz jak, kurwa, ninja?!

Sam słyszał, że głos drży mu ze strachu.

– Przepraszam – powiedziała cicho i położyła dłoń na jego poparzonym ramieniu. – To byli oni? Ten helikopter. Myślisz, że już tu są?

– Tak. I zabierz łaskawie tę rękę.

– Przepraszam. I co? Cieszysz się? – spytała.

– Nie.

Miała dwie bezużyteczne dłonie, walkie-talkie w kieszeni, a w lewym uchu – słuchawkę.

Michael od dziesięciu minut nie odzywał się ani słowem. Słyszała za to jego charczący oddech, kiedy opuszczał się w dół oblodzonej ściany. Cienka czerwono-niebieska lina drgała jak cięciwa łuku na karimacie, którą Michael podłożył między linę a krawędź klifu. Czasem odchyłała się też na boki, jakby szerokimi łukami kołysał się przy tej ścianie. Był spokojny, choć małomówny, kiedy z wprawą mocował w skale ringi i dodatkowe punkty asekuracyjne. Potem rzucił linę w przepaść, przyczepił do niej uprząż i sam zniknął w otchłani, inkasując ostatnie martwe spojrzenie od Lene, która siedziała za blokiem skalnym. Nie było na tym świecie siły, która by ją skłoniła do zbliżenia się do krawędzi tego klifu. Michael za to wyglądał, jakby całe życie nie robił nic, tylko zjeżdżał po pionowych górskich ścianach.

Pistolet maszynowy zostawił przy niej.

Ile czasu mógł trwać taki stumetrowy zjazd? Minutę? Minęło już dwanaście minut. Wyjęła walkie-talkie i wcisnęła guzik nadawania.

– Michael?

Lina szarpnęła gwałtownie, jak dotąd najsilniej. Pianka karimaty zaczęła się przecierać. Jeśli lina będzie leżała bezpośrednio na skale, pewnie też się przetrze i pęknie.

– ...tak?

– Co robisz? Jesteś już na dole?

Usłyszała coś między jękiem a westchnieniem.

– Głównie sobie wiszę... Końcówka tej przekłetej liny zahaczyła o sople i zaklinowała się za wyłomem... Próbuje ją odblokować, ale, kurwa...

Lene zamknęła oczy, kiedy usłyszała ostre uderzenia czekana.

– A nie możesz zeskoczyć?

– Trzydzieści metrów? Nie sądzę. Zadzwoń, czy jak to się mówi, kiedy wyląduję, okej?

– Dobra...

Wróciła na swoją pozycję za skalnym blokiem i wyjęła z kieszeni ostatniego snickersa – czymś musiała się zająć.

Michael zwiesił ręce luźno. Dostał zakwasów, nie mógł dłużej pracować czekanem. Wisiał więc w sumie całkiem wygodnie i utrzymywał równowagę dzięki rakom wbitym w lodową ścianę. Jedyne odpływ rzeki roztopowej bez ustanku zraszał mu kask i ramiona lodowatą wodą. Małe krople wędrowały dalej pod kołnierz i ciekły mu po plecach, z przodu zaś wymykały się bariery gumowych mankietów i po ramionach spływały w dół na klatkę piersiową. W końcu Michael podniósł głowę i teraz pryskało mu na twarz. Mrugał więc pośpiesznie i wpatrywał się w linę zablokowaną gdzieś nad nim.

Potem popatrzył w dół i między butami zobaczył wąski brzeg fiordu. Kamienie. Lód. Cienki wachlarz śniegu od północnej strony skały. Czyli nic. Zgiął kolana, wbił raki w lód i mocno odepchnął się w bok. Kiedy znów dotknął skały, złapał linę nad swoją głową i zaczął biec w poprzek ściany, jedną ręką trzymając się liny, zaś w drugiej dzierżąc gotowy do akcji czekan. Kiedy zakończył lot, odbił się ponownie i z całej siły wbił czekan w najbardziej wystający punkt lodowego nacieku.

Zaczął się wspinać, żeby odciążyć potwornie napiętą linę. Czekan wchodził głęboko w porowaty lód. Michael czuł luz na linie i od razu zaczęło mu się lżej oddychać. Widział wyraźnie wszystkie elementy struktury klifu pokryte cienką skorupą przejrzystego lodu. Minął pętlę na linie, pochylił się do przodu i mocnym szarpnięciem ją odblokował. Dalej już bez przeszkód opuścił się na dół.

Dłuższą chwilę stał na brzegu, opierając ręce na kolanach i wciągając powietrze szybkimi, ostrymi haustami, zanim był w stanie w miarę normalnie mówić.

– Jestem na dole – wymamrotał do krótkofalówki.

– ...na dole? – zatrzeszczało.

– Tak, na dole!

– ...dobrze... świetnie...

Rozłączył się.

– Bardzo, kurwa, zajebicie świetnie – mruknął pod nosem i się rozejrzał.

Między kamieniami i w płytkiej wodzie przy brzegu lód utworzył dziwne formacje wyglądające jak pomięta kołdra. W najszerszym miejscu plaża mogła mieć sześć metrów. Michael ostrożnie przeszedł obok lodospadu. Stwierdził, że stał w miejscu, w którym Kasper Hansen powinien uderzyć w ziemię.

Nie było żadnych nurkujących ptaków, nie słyhać było też dźwięku silnika. Tereny w zasięgu wzroku świeciły pustkami. Wszedł do wody po łydki i uważnie zbadał dno. Woda przy skale była zielonkawa, ale dalej niebieska i migotała tam, gdzie w tafłę uderzało słońce. Wrócił tą samą drogą, obok lodospadu, tym razem kierując się na północ. Po dwudziestu metrach zatrzymał się i wbił wzrok w ścianę. Wąska kręta szczelina wiała się od dna fiordu aż na samą górę. Wyglądała prawie jak schody i nawet staruszek z balkonikiem dałby radę się tędy wspiąć.

Jego uwagę przykuł okrągły biały przedmiot wciśnięty głęboko pod skałę. Całą plażę pokrywały zadziwiająco jednakowe, ciemnozielone i wyszlifowane przez wodę kamienie wielkości ziemniaków, a wiosenny śnieg był szary i brudny. Natomiast tam, w cieniu coś świeciło oślepiającą bielą. Schylił się i zmarszczył brwi. Przedmiot był gładki, kopulasty i wystawał ze żwiru. Kiedy ostrożnie uderzył w niego czekaniem, wydał z siebie suchy głuchy odgłos. Michael zaczął powoli odsuwać kamyki i piach i wkrótce się zorientował, że kościsto biała kopuła w rzeczywistości stanowiła wierzchołek dużego nieregularnego bloku lodu, niemal całkowicie ukrytego w zagłębieniu skały. W miejscu wiecznie zacienionym i chronionym przed żwirem i piaskiem. Lód był zielonkawy i poprządkany długimi czarnymi nitkami. Michael szacował, że mógł tu przeleżeć długie lata. Łopatką czekana odkopał go i podważył grotem. I upadł do tyłu. Wstrząśnięty zasłonił dłońmi twarz i zamknął oczy. Serce waliło mu twardo i głucho. Spróbował kilkakrotnie przełknąć ślinę, zanim się odważył ponownie otworzyć oczy.

W lodowym bloku zobaczył doskonale zachowaną kobiecą głowę: regularne rysy twarzy, proste czarne włosy rozproszone i zastygłe w zielonkawej wieczności lodu. Głowa była zatknięta na krótkiej szyi obciętej tuż pod gardłem. Gładko, z chirurgiczną precyzją. Oczy kobiety były przymknięte, a jej spojrzenie – zadumane, niemal rozmarzone. Wokół pozbawionych krwi ust majaczył senny uśmiech. Młoda brunetka. Ingrid Sundsbö.

Trzęsły mu się ręce i na policzkach poczuł ciepłe łzy. Czubek głowy wystawał nad powierzchnię ziemi i był narażony na działanie żywiołów. Wiatr,

lód i woda zdarły włosy i skalp. Zostały białe, gładkie jak porcelana kości czaszki. Reszta głowy pozostała nietknięta.

Odruchowo pomyślał o strunie pianina. O tym, że łowcy odcięli jej głowę cienką metalową pętlą, prawdopodobnie kolaniem dociskając kark do ziemi. Nagle nie miał również wątpliwości, który z nich to zrobił. Głowę schowali do worka i rzucili jej mężowi. Kilka sekund po tym, jak krzyknął triumfalnie przekonany, że jej się udało. Kiedy zajrzał do worka, zgasło w nim światło. Jego dusza umarła. Michael wiedział już, że Kasper Hansen sam rzucił się ze skały. Zrobił to, czego nie była w stanie zrobić Johanne Reimers. Tamta kula z mausera nie zdążyła go trafić.

Długo siedział oparty o czerwony granit klifu i patrzył na lodową kulę. Potem przeszukał kieszenie, a kiedy znalazł piersiówkę, opróżnił ją do dna.

Zanim opuścił plażę, pogrzebał lodowy blok pod szarymi okrągłymi kamkami, żwirem i piaskiem. Ona powinna tu zostać. Tak blisko ciała i ducha swojego męża, jak to możliwe.

Droga w szczelinie była dokładnie tak łatwa, jak wyglądała od dołu. Przeszedł jakieś pięćdziesiąt metrów, kiedy zatrzeszczało walkie-talkie. Możliwe zresztą, że trzeszczało już od jakiegoś czasu, tylko tego nie usłyszał.

– Tak?

Michael przystawił urządzenie do ucha i pomyślał, że to idiotyczne, że Lene komunikuje się z nim przez radio, zamiast normalnie podejść do krawędzi i zawołać.

– Ktoś tu idzie. Michael, gdzie jesteś?!

– Kto idzie?

– Wracaj na górę! Natychmiast!

Przyspieszył. Miał doskonale chwyt na ręce, więc po góra dwudziestu sekundach rozsunał niskie zarośla i stanął kilka metrów od Lene, która niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę obok liny, odwrócona do niego plecami.

Położył jej rękę na ramieniu.

Odwróciła się, jednocześnie wyjmując pistolet z kabury. Jej oczy były jednocześnie oszalałe i intensywnie skupione a twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Spokojnie. To ja!

Wzrok jej się przejaśnił i tupnęła mocno w skaliste podłoże.

– Michael, kurwa! Jak tu wszedłeś?!

Wykonał pół obrotu i pokazał jej wylot ścieżki.

– Tamtędy. Prawie jak ruchome schody, wyobrażasz sobie?

– Ale... nieważne. Ktoś idzie.

Pociągnęła go za sobą za skalny blok i podała mu lornetkę.

– Gdzie?

– Tam.

Pokazała skalny wyłom od południowego wschodu. Michael wyszedł na słońce z lornetką przy twarzy.

Mężczyzna nie próbował się ukrywać. Szedł dziarskim, równym krokiem przez kamieniste pustkowia, jakby się wybrał na przechadzkę w czasie przerwy na lancz. Znajdował się jakieś trzysta metrów od ich położenia. Był sam i Michael od razu go rozpoznał.

Lene baczenie mu się przyglądała i poczuła, jak jego cierpienie staje się jej własnym bólem. Stał z twarzą pobladłą i spiętą, ręce, w których trzymał lornetkę drżały. Wstrzymywał oddech.

– Michael, kto to jest? Oddychaj.

– Cicho.

Mężczyzna wyprostowany jak struna zatrzymał się jakieś piętnaście metrów od nich. Z zainteresowaniem przyglądał im się szarymi oczami, ale wargi schowane częściowo pod wąsem zaciskał w cienką kreskę. Twarz miał wąską i wychudzoną. Przeniósł wzrok z Lene na Michaela i wtedy jego usta i twarz się rozluźniły. Splótł ręce za plecami i skinął im krótko, po wojskowemu.

– Powiedz, Mike, jak ty to robisz? – spytał po angielsku, głośno i wyraźnie.

Michael uśmiechnął się nieznacznie, ale się nie poruszył.

Lene natomiast zrobiła krok do przodu, na co tamten od razu cofnął się o krok. Michael mocno pociągnął ją za ramię. Mężczyźni toczyli pojedynek na spojrzenia, na nią żaden nie zwracał uwagi.

– O co ci chodzi, Keith? – spytał.

– Blisko bieguna, na takim zapomnianym przez Boga odludziu, jednak w towarzystwie pięknej kobiety?

– Chyba po prostu mam szczęście. Lene jest komisarzem policji. Keith, co się stało i czy oni nas słyszą?

Keith? Keith Mallory, pomyślała Lene. Przyjaciół Michaela. Ten as, o którym od początku wiedziała, że skrywa w rękawie, bo przecież był zbyt mądry i zbyt przewidujący, żeby wejść prosto w pułapkę, nie dysponując wyjściem znanym tylko jemu samemu.

– Nie słyszą nas.

Podniósł lewą dłoń. Brakowało opuszka serdecznego palca.

– I szło nieźle, dopóki się na nich nie natknąłem na lotnisku w Oslo. Jakieś stare zdjęcia z dawno zapomnianej przeszłości i całą przykrywkę diabli wzięli. Zrobili wyjątkowo dokładny research. Każdy dupek, z którym kiedykolwiek służyłem, napisał książkę o swoich bohaterskich wyczynach w pułku. Oraz sporo dupków, którzy nawet w pułku nie byli. Zwykle nie przeklinam przy damach, ale taka jest prawda. To są dupki.

– Nic nie szkodzi – wymamrotała.

– Zdemaskowało mnie zdjęcie w jebanej książce, wyobrazasz sobie, Mike? Ten przeklęty paluch, który zostawiłem w Iraku. Więc... żegnaj, Magnussonie, norwesko-szkocki potentacie naftowy, który tak w ogóle był w porządku gościem. S & W pracowało dla niego parę razy na przestrzeni lat, a że był zadowolony, to nie miał nic przeciwko temu, żeby przez parę dni robić za mojego sobowtóra. Jesteśmy podobni jak dwie krople wody. Przyznaję, twój pomysł był niezły. I pieniądze też, jak sam powiedziałaś. Tylko...

– Keith, nikt nie jest doskonały.

– Mów za siebie.

Keith Mallory uśmiechnął się smutno.

– Mike, zrób coś z nimi. Zwłaszcza z tym młodym. To zło wcielone. Chory umysł.

– Postaram się – obiecał Michael.

Zaraz wychylił głowę i popatrzył przez ramię Anglika w stronę wyższych partii gór z morenami bocznymi i wierzbowymi gajami w dolinach.

– Ilu, Keith?

– Trzech.

– Gdzie?

Anglik uśmiechnął się i stojąc nieruchomo, odparł:

– Gdzieś za moimi plecami. Przykro mi, Mike.

– Mnie też, Keith.

Mallory zaczął się odwracać, żeby wskazać jakiś punkt za sobą, i wtedy padł strzał. Kula dotarła jednocześnie z własnym echem. Trafiała chudego

Anglika między łopatki, przeleciała przez klatkę piersiową i Lene usłyszała i poczuła, jak na jej twarz i ubranie pryskają drobne krople. Kolana się ugięły pod Mallorym i mężczyzna upadł twarzą do ziemi. Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Ciałem przygniótł zgięte nogi, a ramiona upadły wzdłuż tułowia. Wyglądał, jakby upadł podczas modlitwy.

Lene zaczęła krzyczeć, kiedy zobaczyła swoje spryskane krwią dłonie. Michael złapał ją w ostatniej chwili i nie pozwolił podbiec do leżącego na ziemi człowieka. Nagle był nieludzko silny i nie dała rady mu się wyrwać.

– Co ty wyprawiasz?! Nie ruszaj się – syknął. – Patrz, kurwa! Patrz!

– Na co?!

Michael zatrzymał rękę na wysokości jej klatki piersiowej. Na grzbiecie jego dłoni drżała czerwona i zielona kropka.

– Celownik laserowy. Dwie sztuki. Dokładnie na twoim sercu. Teraz rozumiesz, kurwa?

Pokiwała głową i poczuła, że nogi się pod nią uginają.

Kropki przeniosły się niżej i zatrzymały na pistolecie maszynowym na jej ramieniu. Michael bardzo powoli zdjął go i równie wolno, demonstracyjnie wysunął magazynek i razem z bronią odrzucił na bok. Ruchliwe kropki przeskoczyły na jej kaburę i Michael odpiął jej pasek i powtórzył procedurę. Pistolet uderzył mechanicznie o kamień kilka metrów od nich.

Następnie Michael splótł dłonie na karku i skinieniem dał jej znak, żeby zrobiła to samo.

Posłuchała.

– Michael, a nie możemy...? – urwała w pół zdania.

– Nie.

– To był twój przyjaciel – powiedziała i popatrzyła na skuloną nieruchomą postać.

– Tak.

– Co to oznacza, Michael?

– Nic. To już nic nie oznacza. Przegraliśmy. A oni wygrali.

Jakieś pół kilometra dalej dwie postacie powoli odłączyły się od skał i skarłalej roślinności i ruszyły w ich stronę. Nieśpiesznie. Mieli czas.

Z przodu szedł Victor Schmidt, stawiał długie kroki, a strzelbę trzymał w zagięciu łokcia. Miał na sobie taki sam kamuflaż jak na DVD Elizabeth i jaki znaleźli w plecaku Kima Andersena: nieregularne linie i kształty w bieli, czerni i szarościach, pasujące do północnej Norwegii. Na głowie miał kaptur, a na szyi – okulary przeciwsłoneczne. Za nim szedł Henrik Schmidt w takim samym stroju. Syn nie miał okularów, w jego niebieskich oczach skrzyło.

Lene przeszły ciarki, gdy rozpoznała te oczy, i Michael modlił się w duchu, żeby się na niego nie rzuciła. Nie zdążyłaby przejść nawet metra. Henrik trzymał w ręce gotowy do strzału karabin wojskowy. Lufą celował w jej brzuch, palec trzymał na spuście.

Obaj zatrzymali się jakieś trzy metry od nich. Henrik Schmidt się uśmiechnął, a jego ojciec zdjął kaptur. Przez chwilę patrzyli na leżącego na ziemi Mallory'ego.

– Lene, mam nadzieję, że twoja córka czuje się już lepiej – powiedział Henrik cicho i spokojnie. – Powinnaś była słuchać uważniej. Znajdę ją. Obiecuję ci to. Odnajdę jej szczątki. – Uśmiechnął się do Lene.

Michael zerknął na nią z boku. Stała sztywno, blada jak ściana, a jej zielone oczy były zimne i nieruchome.

Victor Schmidt zarzucił sobie strzelbę na ramię.

– Za twoją córkę cię przepraszam. To nie było konieczne. – I patrząc na syna z dezaprobatą, dodał: – Henrik...

– Dlaczego nie przedstawicie nam swojego przyjaciela? – przerwał mu Michael i wskazał głową na krajobraz za nimi. – Thomasa Berga.

Victor Schmidt przyjrzał mu się badawczo, mrużąc oczy, i spojrzął na zegarek. Potem wzruszył ramionami i powiedział parę słów do radia na VHF.

– Nie widzę problemu. W sumie powinniśmy być tu w komplecie. Lubię, kiedy wszystko zostaje odpowiednio podsumowane, chociaż zasadniczo

wyjaśnienia są dla małych dzieci. – Uśmiechnął się do Michaela. – Z całym szacunkiem. Gratuluję, wykonałeś kawał dobrej roboty. W pewnym sensie. Rozumiem, dlaczego Elizabeth cię wybrała. Zna się na ludziach.

– Swojego ojca nie znała zbyt dobrze – zauważył Michael.

– Flemminga?

Victor schował radio do kieszeni kurtki i został tak, z rękami w kieszeniach, kiedy z zagajnika pół kilometra dalej wyłoniła się wysoka, potężnie zbudowana postać.

– Ja znałem Flemminga – ciągnął Victor cichym głosem. – I wiem, że byś mu się spodobał, Michaelu. Ludzi bystrych cenił ponad wszystko.

– Najwyraźniej aż taki bystry nie jestem – zaprotestował Michael, choć kolana miał jak z gumy. – Gdybym był, to teraz leżałbym na plaży na Sesselach.

Nie zdołał się powstrzymać, żeby między nogami obu mężczyzn nie spojrzeć na Keitha. Czuł, że ogarnia go bezgraniczna rozpacz i poczucie winy. Do tego myśli o Sarze i dzieciach dudniły mu w głowie. Był jak w transie. Jakby miał przed sobą czarną ścianę i patrzył prosto w nią.

– Kompetencji ci nie brakuje, tylko spotkałeś przeciwnika mocniejszego od siebie – zapewnił go Victor i uśmiechnął się lekko. – Michaelu, organizacja z reguły wygrywa z jednostką. To tak naprawdę kwestia zasobów, nic więcej. A Flemming... cóż, on był rzeczywiście wyjątkowym człowiekiem. Chyba nigdy nie odkryłem, co tak naprawdę go napędzało... cały czas naprzód... Nie dało się go złamać. Nic nie mogło go powstrzymać, dopóki nie osiągnął tego, czego, jak mu się zdawało, pragnął. I doskonale radził sobie z wszelkimi przeciwnościami.

– A kiedy chciał się odprężyć, mordował ludzi – dodał Michael. Z najwyższym trudem udawało mu się panować nad głosem. – I to tu, w tym miejscu. Wszyscy się tak zabawialiście. Caspersen, Allan Lundkvist, Robert Olsen, Kenneth Enderlein, Kim Andersen, Thomas Berg i... twój syn Henrik również, jak mniemam?

Victor Schmidt pokiwał głową i lekko się uśmiechnął. Szklane oko było skierowane w ziemię, zdrowym przyglądał się Michaelowi z krytyczną powagą. Michael dopatrzył się w tym oku jakiegoś żalu. Pomyślał, że Victora nie cechowało tak wielkie szaleństwo, jak jego syna.

– Z takim majątkiem... Kiedy już spróbowałeś właściwie wszystkiego... Nie wiem, możliwe, że nie da się tego zrozumieć, nie będąc w takiej sytuacji. Ja sam nigdy tego nie zrozumiałem. Tego pragnienia, dziwnej po-

trzeby. Tak, muszę przyznać, że też tego nie rozumiem. Sam zresztą nigdy tu nie byłem, jak wiesz. Nigdy.

Ręką wskazał na syna.

– Henrik to co innego. On i Flemming praktycznie się nie rozstawali. Flemming opiekował się nim, kiedy ja zajmowałem się firmą. To ja przyczyniłem się do obecnego sukcesu Sonarteku. Dobre pomysły może mieć każdy.

Z tym nigdy nie ma problemu. Ale do ich realizacji potrzeba talentu, szczęścia i ciężkiej pracy.

Zamilkł i popatrzył przed siebie.

– Jakobem też zajmował się Flemming? – spytał Michael.

Błękitne oczy Henrika Schmidta przesłonił cień. Karabin poderwał się i celował w brzuch Michaela.

– Spokojnie – upomniał go ojciec neutralnym głosem. – Sander próbuje cię tylko troszkę sprowokować. Ale ty nie możesz mu na to pozwolić. To dziecinne.

Michael zerknął na ziemię, gdzie leżał pistolet maszynowy, i zaraz z powrotem przeniósł wzrok na twarz młodego Schmidta. Nie było szans. Chłopak nie spuszczał z niego oczu. Jego niewątpliwy obłęd raczej nie wpływał na refleks i celność strzału, a on do pistoletu miał co najmniej cztery metry.

Victor uśmiechnął się do Michaela i postanowił odpowiedzieć.

– Tak. Flemming zajmował się również Jakobem. Wszyscy się nim opiekowaliśmy, chociaż potem się okazało, że on wolał, abyśmy tego nie robili. Pewnie już się domyśliłeś, że Jakob był tym synem, którego Flemming tak żarliwie pragnął. Dzieliliśmy się wszystkim, Flemming i ja. Chociaż ja nie zawsze o tym wiedziałem.

– A Jakob był tego świadomy? – drażył Michael.

– Oczywiście, że tak. Za mną nigdy nie przepadał.

– Coraz bardziej go lubię – przyznał Michael.

Victor odwrócił się, gdy usłyszał ciężkie kroki na skale.

– Thomas. Poznałeś już Michaela Sandera i, oczywiście, znasz Lene – zagaikł.

Nowo przybyły stanął obok ojca i syna. Był wyprostowany, miał mocny, umięśniony kark i szerokie ramiona. Michael pomyślał, że rzeczywiście był niesamowicie podobny do Jakoba Schmidta. Jego kurtka moro była rozpięta, za to koszula pod spodem – zapięta po szyję. Ogon skorpiona wystawał znad kołnierzyka i sięgał prawego ucha.

– To ty – syknęła Lene. Jej usta wykrzywiły się odrazą.
– Słuchajcie... – wtrącił się Michael, ale Victor machnął ręką.
– W porządku, Michael. Pozwól mówić pani komisarz. Uważam, że ma do tego prawo.

– To ty. Ty ją porwałś – powtórzyła i przeszywała go wzrokiem. – Porwałś ją, bydlaku!

– Mam nadzieję, że wyzdrowieje. – Thomas miał niski, przyjemny głos.
– To fajna dziewczyna.

– Lene – Michael spróbował raz jeszcze – zostaw go.

Victor z zainteresowaniem przyglądał się tej wymianie. Potem uśmiechnął się do Lene.

– Może rzeczywiście powinnaś na tym poprzestać – zaproponował. Wyjął rękę z kieszeni i ponownie popatrzył na zegarek. – CD, Michael. Gdzie je schowałeś? Pytam o płytę Kima. Domyślam się, że uciekliście przez piwnicę. I to w ostatniej chwili, wnosząc po twoich nieistniejących brwiach i włosach.

Michael spojrzał mu w oczy.

– Spłonęła – odparł.

Miliarder zamyślony pokiwał głową i zerknął na łowczego ze swego pałacu. W mgnieniu oka, jak za sprawą czarów, w ręce Thomasa Berga pojawił się czarny pistolet automatyczny. Lufa celowała dokładnie między Michaela a Lene.

– CD, Michael – powtórzył Victor, teraz ostrzej. – Mów!

– Więc to *był* Flemming. To on był tutaj jako klient? – spytał nagle Michael.

Victor wyglądał na szczerze zaskoczzonego.

– Oczywiście. Ale dla niego wyprawę zorganizowaliśmy gratis. I udała się wybornie. Kasper Hansen zachwycił wszystkich. Stanowił świetną zdobycz. A jego żona była równie dobra, jeśli nie lepsza. To Henrik ją znalazł.

– I odciął jej głowę?

Stary Schmidt wykonał ręką gest, który wyglądał niemal na pojednawczy.

– Słuchaj, naprawdę musimy wchodzić w szczegóły?

– A Caspersen zmarł we śnie?

Schmidt zacisnął wargi i przyglądał mu się czujnie.

– Tak. Przyszedł jego czas. Diabeł widocznie nie mógł czekać dłużej. Nikt z naszych mu nie pomógł, jeśli to sugerujesz.

– I kiedy Flemming zmarł, postanowiliście użyć DVD, żeby szantażować Elizabeth Caspersen, która została prawną opiekunką swojej matki, prawda? – ciągnął Michael. – Podrzuciliście je do sejfu jej ojca pod pozorem kradzieży rogów nosorożca. Mam rację?

Michael patrzył kolejno na ojca i syna, ale obaj milczeli.

– Bądź tak uprzejmy i mi odpowiedz.

Victor Schmidt patrzył na niego z osłupieniem, które wyglądało na szczere. Thomas Berg wpatrywał się w morze i zdawał się ich nie słuchać. Nawet opętany Henryk sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

– Nie tak było? – dopytywał Michael i sam usłyszał, że jego głos zrobił się nienaturalnie wysoki.

– Rogi nosorożca? – odezwał się wreszcie Victor. – Co ta idiotka ci wmówiła? Flemming cały czas miał to DVD, chociaż w życiu nie uwierzę, że trzymał je w swoim sejfie.

Dla Michaela to było jak uderzenie taranem w splot słoneczny. Nie miał cienia wątpliwości, że Schmidt mówi prawdę, cała intuicja podpowiadała mu, że tak jest. Dłonie na jego karku same się rozplotły, żeby opaść bezradnie, ale Thomas przyjacielskim ruchem pistoletu pomógł mu zapanować nad ciałem.

Mimo najgorszego przeczucia spróbował raz jeszcze:

– Nie sądzicie, że Kim Andersen mógł się włamać do domu Caspersena i ukraść te dwa rogi? Skoro są warte pięćdziesiąt tysięcy dolarów za kilogram?

Victor patrzył na niego pustym wzrokiem. Potem niechętnie przekierował uwagę na swojego syna i Berga.

– Henrik? Thomas? Rogi nosorożca? Wiecie coś o tym?

– Pierwsze słyszę – przyznał Henrik Schmidt. – Ale gdyby Andersen to zrobił, to nie musiałby opróżniać swojego konta w kasynie z powodu wesela. Zresztą w życiu by nie dał rady się tam przedrzeć. Flemming zawsze miał u siebie najnowsze alarmy i monitoring. Dom jest jak forteca.

– Też tak uważam – zawtórował mu Berg. – Gdyby sprzedał dziesięć kilo tych rogów na czarnym rynku, toby nie robił wypłaty z RunningMan. Wiedział, że tych pieniędzy nie wolno ruszać przez co najmniej pięć lat. A najlepiej dłużej. I wiedział, co się stanie, jeśli to zrobi. Tylko jakie to ma teraz znaczenie?

Victor ponownie odwrócił się do Michaela.

– CD. Pytam po raz ostatni.

Michael miał piasek w ustach. Czyli tak to się kończy.

– Jeszcze jedna sprawa... – powiedział.

– Tato... – Henrik Schmidt popatrzył błagalnie na ojca. Wyglądał jak dziecko, któremu wciąż nie pozwala się rozpakować prezentów.

– Jeszcze chwila – zarządził Victor i potarł dłońmi zarost. – Co takiego?

Michael popatrzył na martwego przyjaciela leżącego na ziemi za tą trójką. Piasek czuł również pod powiekami, ale wolał zginać, niż pokazać im swoją rozpacz. Nagle stało się niesłychanie ważne, żeby nie okazywać żalu, w ogóle żadnych uczuć.

Victor pochwycił jego spojrzenie.

– Jeden z twoich dawnych kolegów z Shepherd and Wilkins, jak się domyślam? Elizabeth musiała wypisać naprawdę grubą czekę, żeby go tu ściągnąć. Jest starszym doradcą, prawda? Jezu, nawet nie próbuję sobie wyobrazić jego stawki godzinowej. Bo nie wierzę, że kierował się wyłącznie przyjaźnią do ciebie, kiedy się zgłaszał do RunningMan jako ten Magnusson z Aberdeen. – Patrzył na Michaela wyczekująco.

A ten pomyślał nagle, że Victor jest narcyzem. Małostkowym, pedantycznym, żądnym zemsty wzgardzonym małym człowieczkiem. W jednej chwili zrozumiał i zachowanie jego żony, i niechęć, jaką okazywał mu Jakob.

– Nie, nie zrobił tego wyłącznie z przyjaźni – potwierdził Michael.

I nie skłamał. Keith Mallory był jego przyjacielem, ale również zawodowcem i nigdy nie mieszał jednego z drugim.

Victor popatrzył na syna z błyskiem uznania w oku. Henrik lekko się zaczerwienił.

Michaela na ten widok przeszły ciarki.

– To zasługa Henrika – uśmiechnął się ojciec. – Z początku oznajmił, że wie o tym nafciarzu Magnussenie wszystko, więc go podpuściłem. Powiedziałem, że o nikim nie da się wiedzieć wszystkiego. Henrik na szczęście podjął wyzwanie i zawziął się, że tego klienta przeświecili na wylot. – Uśmiechnął się do Michaela i dodał: – Miałeś dobry plan. Naprawdę. Timing okazał się może nieco zbyt dogodny, żeby ta historia była w pełni przekonująca, ale i tak mogło się udać. Wam. – Odwrócił się i sam popatrzył na martwego Anglika. – I wówczas to my leżelibyśmy tu martwi, prawda?

– Taki był plan – potwierdził Michael.

Czuł na sobie wzrok Lene, ale wolał teraz na nią patrzeć.

– Tato – znowu jęknął Henrik i tym razem Victor pokiwał głową.

– Gdzie jest CD?

– Ja... – zaczął Michael, ale przerwał mu strzał z pistoletu Thomasa. Huk był taki, jakby strzał oddano wewnątrz jego czaszki.

Lene wrzasnęła i Michael zobaczył, jak osuwa się na ziemię. Wyciągnął ku niej ręce, ale wtedy Thomas zrobił krok w jego stronę i kopniakiem podciął mu nogi. Mężczyzna rąbnął o skałę barkami i plecami z siłą, która wycisnęła mu powietrze z płuc. Nie zastanawiał się i nie myślał o niczym. Rozglądał się za nią. Klatka piersiowa na próżno próbowała wtłoczyć w płuca powietrze, kiedy czołgał się po skale w stronę Lene, która leżała z szarą twarzą zwróconą do niego i szukała jego wzroku.

Michael dyszał jak noworodek, aż jego drogi oddechowe się otworzyły.

– Lene... Lene, kurwa – szeptał. – Lene...

Leżała na plecach, ale nie odrywała od niego przerażonych, szeroko otwartych oczu. Uśmiechnęła się prawie zażenowana.

– Przepraszam, Michael... Przepraszam.

Rękami mocno ścisnęła prawe udo tuż powyżej kolana. Michael wsparł się na poparzonych dłoniach, kręcił głową i oszołomiony patrzył, jak pomiędzy jej palców przecieka krew. Odwrócił się, gdy usłyszał głos Victora Schmidta gdzieś nad swoją głową.

– Michael. To było kolano. Następny strzał trafi ją w cipkę albo głowę. Thomas, ty widziałeś jej cipkę. Ładna, prawda?

Łowczy pokiwał głową.

– Tak, chyba tak – potwierdził obojętnym głosem.

Victor najwyraźniej się niecierpliwił, bo oddychał ciężiej.

– Rozumiesz już? Więc jak będzie, kurwa?

Michael pokiwał głową. Była ciężka, jak wszystkie grzechy ludzkości, ale udało mu się ją podnieść i popatrzeć na swojego kata.

– W stancy – powiedział. – W lesie jest stanica harcerska...

Henrik Schmidt pochylił się nad Lene. Twarz miał zamkniętą, nieruchomą i skupioną. Już się nie uśmiechał. W końcu.

Michael chaotycznie wyrzucał z siebie adresy i informacje o antresoli i szczelinie w podłodze, rozpaczliwie próbował zyskać na czasie i unieszkodliwić śmiertelnie groźnego psychopatę. Ten natomiast pochylił się jeszcze niżej, zdjął karabin z ramienia i przyłożył lufę do jej uciskających ranę dłoni. Użył lufy, żeby odsunąć jej palce i się wesprzeć. Uśmiech wrócił na jego twarz. Lene zawyła jak zwierzę.

A potem krzyknęła jeszcze raz, kiedy padł następny strzał.

Michael zamrugał i popatrzył na jej ręce. Wciąż je miała, ale lufa strzelby zniknęła.

– Henrik...? – Głos Victora Schmidta brzmiał gdzieś nad głową Michaela. – Henrik...?!

Wtedy Michael zdał sobie sprawę, że strzelano z daleka. Teraz wszyscy odwrócili się w stronę Henrika. Nie miał kciuka i wskazującego palca prawej ręki, z małych tętnic w powietrze tryskały cienkie strugi krwi.

– Tato...

Jego karabin leżał parę metrów dalej.

I zaraz wszyscy odwrócili się od fiordu w stronę przełęczy, głązów morenowych i niskich zarośli. Na ułamek sekundy coś tam błysnęło. Jakby słońce odbiło się w optycznym celowniku.

Łowczy Thomas właśnie odwracał się w tamtą stronę, kiedy niewidzialna ręka szarpnęła mu głowę, która spęczniała jak przejrzały owoc i pękła. Mężczyzna padł do przodu, wokół niego wzbił się tuman pyłu. Na jego potylicy widoczny był mokry od krwi krater.

Huk strzałów niewidzialnego strzelca odbijał się echem i niósł po górzystym terenie. Michael i Lene popatrzyli po sobie.

Victor Schmidt zdjął z ramienia własną strzelbę, ale na nich dwoje nie zwracał już uwagi. Lufę skierował w stronę ciągnącej się przed nimi pustki, w stronę moren i skał, wśród których nic się nie poruszało, nie było żadnego widocznego celu.

– KIM JESTEŚ?! – zawołał. – KIM JESTEŚ?!!

Gdy nikt mu nie odpowiedział, odwrócił się na pięcie.

– Ty...! Przeklęty gnoju! – wrzeszczał. – Wszystko przez ciebie... przeklęty gnoju... – powtarzał.

Sekundę później Victor leżał w poprzek ciała Thomasa Berga, wyglądali jak krzyż na białym śniegu.

Michael szybko pokuśtykał w stronę Henrika Schmidta, który stał skulony i przyciskał do brzucha okaleczoną dłoń. Nawet na niego nie spojrzął, kiedy Michael go mijał. Niebieskie oczy zawiesił na dwóch ciałach na śniegu.

Michael podniósł służbowy pistolet Lene, stanął za Henrikiem i kopniakiem zmusił go do klęku. Potem wyjął sznurówkę z buta Victora Schmidta i związał nią jego synowi ręce na plecach. Wiążąc, czuł pod palcami ciepłą, gęstą krew z oderwanych palców. Z drugą sznurówką starego Schmidta

podbiegł do Lene, która tymczasem usiadła. Wsunął palce wskazujące w dziurę w jej spodniach i rozerwał materiał. Lene przygryzała dolną wargę i śledziła jego ruchy, ale nawet nie pisnęła. Kula przeszła na wylot, wyszła po zewnętrznej stronie uda, ale krwawiła już mniej. Obstawiał, że nie uszkodziła kości udowej ani żadnej z większych tętnic. Oderwał dolną część nogawki, zrobił z niej opatrunek i mocno obwiązał ranę sznurówką.

– Będzie wykurwiście bolało, ale przeżyjesz – uspokoił ją.

Pokiwała głową, blada jak ściana, ale wzrokiem wwiercała się w Henrika Schmidta za jego plecami.

– Dasz radę wstać?

Pomógł jej się podnieść. Wszystkie mięśnie na jej twarzy pracowały intensywnie, kiedy postawiła ciężar ciała na prawej stopie i zrobiła pierwszy niepewny krok. Potem popatrzyła na niego, więc puścił ją, ale cały czas asekurował.

– Jest okej – powiedziała cicho.

– Na pewno?

– Tak.

– Z tym drugim też? – spytał poważnie i popatrzył jej głęboko w oczy.

Potwierdziła skinieniem i dotknęła jego ramienia.

Michael odwrócił się w stronę gór za ich plecami.

– Miałaś rację.

– W czym?

– Nie byliśmy sami – przyznał.

Wskazał na sylwetkę widoczną w oddali, między blokami. Stała niewyobrażalnie daleko. Nagle wstała i założyła plecak. Powoli i metodycznie dociągała paski. Potem się wyprostowała i stanęła przodem do nich. Michael wiedział, że strzelec na nich patrzy. Powoli podniósł dłoń. Po paru sekundach tamten odwzajemnił pozdrowienie i zniknął wśród skał.

– Znasz go? – spytała Lene.

– Nie sądzę – przyznał Michael.

Wokół jej ust zamajaczył lekki uśmiech, ale zaraz znikł, kiedy jej wzrok padł na Henrika Schmidta.

– Jesteś tego absolutnie pewna? – zapytał ponownie Michael i jego głos znowu stał się śmiertelnie poważny. – Lene, to będzie trwało do końca twojego życia.

– Wiem i tak, jestem tego absolutnie pewna – oznajmiła.

Wręczył jej pistolet.

– Zaczekam tu. Nigdzie się nie ruszę, chyba że...

– Nie, chcę, żebyś został.

Henrik Schmidt podniósł głowę i patrzył to na nią, to na niego. Kiedy Lene pokuśtykała do niego bliżej, zaczął płakać.

Zatrzymała się dwa metry przed nim i podniosła pistolet.

Henrik podniósł wzrok, spojrzął na nią, a kiedy w jej twarzy nie znalazł niczego, czego mógłby się uchwycić, przekierował uwagę na Michaela.

– Zrób coś – powiedział i spróbował się uśmiechnąć. – Ona mnie zabije.

– A co ja mogę zrobić, Henrik? Jesteś nieuleczalnie chory. – Michael długo się wahał, popatrzył na Lene, która z trudem trzymała się na nogach.

– To ty odciąłeś jej głowę, prawda?

Młody Schmidt nie odpowiedział, zamiast tego wbił w Michaela granatowe oczy.

– Komu?

– Tamtej dziewczynie, Henrik. Ingrid Sundsbö.

Uśmiechnął się na to wspomnienie. Z zapalem pokiwał głową:

– Flemming zawsze powtarzał: „Jeśli zniszczysz to, co kochają, to ich wykastrujesz. I więcej nie wrócą”. Dobrze pomyślane, nie sądzisz? – Popatrzył na Michaela wesoło. – Dość szybko ją znaleźliśmy i Flemming pozwolił mi ją dokończyć. Powiedział, że to moje prawo.

– Żegnaj, Henrik.

Młody człowiek zacisnął zęby, mięśnie zuchwy mu drżały. Próbował przełknąć ślinę, ale nie był w stanie. Znowu spojrzął w twarz Lene, ale zaraz wbił wzrok w ziemię. Zamknął oczy, Michael zrobił to samo i padł strzał.

Michael policzył do trzech i wtedy kolejny, miłosierny strzał w serce huknął nad skałami, klifem i fiordem i odbił się echem w nieckach i dolinkach. Dwie mewy poderwały się z czarnej wody, ale tylko żeby się przemieścić kawałek dalej.

Za każdym razem, kiedy Michael wyczerpany zasypiał na zewnątrz namiotu po tym, jak napił się wody albo zjadł ten pseudobaton proteinowy smakujący jak styropian z orzechami, Lene pozostawała milcząca i nieprzystępna. Albo siedziała z wzrokiem wbitym w jakiś kamień, albo leżała w namiocie zwinięta w kłębek i patrzyła w tropik. Michael doskonale to rozumiał i sam niespecjalnie miał ochotę rozmawiać. Nawet przeżuwanie było dla niego bolesne.

Leżał na plecach na jednej z karimat, które wyciągnęli na słońce, patrzył w bezchmurne niebo i czuł, jak tętno i ciśnienie powoli się wyciszają i jak pot na jego skórze wysycha. Wstał, zanim mięśnie całkiem mu zeszywniały, stęknął obolały i podszedł do krawędzi skały po kolejne ciało, które zarzucił sobie na barki i zaniósł do kryjówki, jaką znalazł między dużymi głazami.

Victor i Henrik wazyli sporo; mimo wszystko dał radę. Za to Thomas Berg prawie go wykończył. To był olbrzym, ciężki i wysoki, jego jedna stopa wlokła się za Michaelem po ziemi.

Michael zrzucił go przed głazami i dyszał ciężko. Po kolana był uwalony ich krwią, moczem i kałem, przez co ledwie był w stanie ich dotykać. Stęknął, kiedy chwycił Berga za kurtkę i tyłem zaczął go ciągnąć przez wąską szczelinę. Pot na nowo zalał mu oczy i Michael niemal szlochał z wysiłku, zanim dotarł do miejsca, z którego ciało Thomasa Berga mógł wepchnąć pod nawis skalny. Pod nim znalazł zacienioną wilgotną jamę. Miał szczerą nadzieję, że wszyscy trzej będą mogli w niej leżeć przez nikogo nieruszani aż po sądny dzień, wraz ze swoim sprzętem i resztą broni. Ich rzeczy znalazł w zaroślach poniżej. Telefony komórkowe i satelitarne zniszczył, a odzież przeszukał, ale nie znalazł niczego ciekawego, poza DVD Elizabeth Caspersen w ekwipunku Henrika Schmidta. W każdym razie na klapie plecaka widniało jego imię.

Michael wstał, wyprostował obolałe plecy i zaczął butem zgarniać do jamy kamienie i żwir. Godzinę zajęło mu zamknięcie szczeliny.

Gdy skończył, chwiejnym krokiem ruszył między skały i dalej, w stronę bloku i krawędzi klifu. Keitha zostawił na koniec. Dla niego znalazł miejsce szczególne. Zależało mu, aby przyjaciel spoczął jak najdalej od swoich kątów.

Kiedy stanął nad jego ciałem, wytarł z twarzy krew i brud, potem wziął Mallory'ego na ręce jak śpiące dziecko. Anglik był lekki, dużo lżejszy od pozostałych. Twarz miał dziwnie spokojną, jakby w obliczu śmierci pozostał równie opanowany jak za życia. Michael zawsze sobie wyobrażał, że przyjaciel odejdzie właśnie tak. Keith trzymał klasę w każdej sytuacji. Nigdy nie ulegał rozpaczom czy panice, był elegancki w każdym calu. I zmarł jak na kulturalnego człowieka przystało, z zamkniętymi oczami i ustami, pachnący wodą po goleniu. Naturalnie najdroższą z możliwych.

Michael nie miał żadnych wątpliwości, że Mallory powinien spocząć właśnie tutaj. Przyjaciel miał tylko ekszozę, której nie widział od trzydziestu lat. Był bezdzietny. Wielu ludzi za nim zatęskni, to było pewne, ale nikt z rodziny.

Godzinę później Michael położył na piersi Keitha swoją piersiówkę, na niej złożył jego dłonie i czubkami palców po raz ostatni pogłaskał przyjaciela po policzku. Zmówił krótką modlitwę i zasypał zmarłego ziemią, kamieniami, a na koniec – mchem. Miejsce było dobre, wysoko położone. Na małej, porośniętej wrzosem i trawą równinie między skałami, z widokiem na fiord. W każdym razie lepszego nie znalazł.

– Lene?

– Co?

– Podasz mi mój plecak?

Bagaż wyleciał przez otwarcie namiotu i Michael rzucił się na niego, gorączkowo wyrzucając zawartość. Wrzeszcząc z zimna, nago wykąpał się w rzece poniżej, potem natarł śniegiem i biegiem wrócił na ich polanę. Teraz jego skóra była czerwona i pobudzona, ale wkrótce zrobi się zimna i sina.

Założył czystą bieliznę termoaktywną, polar, skarpetki i dzinsy. Zapiął je drżącymi rękami i podniósł z ziemi w miarę czystą kurtkę. Zasznurował buty i kucnął przed namiotem, żeby nastawić wodę.

Gdy się zagotowała, rozlał ją do kubków i wrzucił do środka torebki z herbatą.

– Herbaty? – spytał przez ramię.

Słyszał, że się poruszyła, ale nie odpowiedziała.

Nim zdążył powtórzyć pytanie, wyczołgała się z namiotu i usiadła metr od niego. Podał jej kubek. Wzięła go i spoglądała środka pustym wzrokiem.

– Jak się czujesz? – spytał i odwrócił głowę w stronę fiordu. Wkrótce miało się ściemnić, a bardzo nie chciał tutaj nocować.

– Nie wiem. Jakoś. Chryste... nie wiem.

– Zrobiłbym to samo – powiedział cicho. – Dokładnie to samo.

– Tak.

Przesunęła się. Nie dalej od niego, ale też nie bliżej.

– Co teraz? – spytała.

Michael popatrzył na niebo.

– Myślę, że Elizabeth Caspersen zafunduje nam helikopter. Mamy telefon satelitarny.

– Wolałabym wrócić do samochodów – wyznała.

– Jesteś ranna w nogę.

– Nie boli mnie już tak bardzo.

– Jutro będziesz błagać o morfinę, uwierz mi.

– Michael, wolałabym pójść. Pogrzebałeś ich?

– Pozbyłem się ich.

– Na zawsze?

– Na zawsze.

– A twój przyjaciel?

– Jego pochowałem gdzie indziej. Daleko stąd. Miodu?

– Tak, dziękuję.

Michael wycisnął do jej kubka długą stróżkę miodu akacjowego.

– Kto to był? Ten anioł, który nas ocalił? Ty to oczywiście wiesz, tylko nie chcesz mi powiedzieć, bo jestem gliną. Czy on był planem B?

Zwrócił jej kubek.

– Tajemniczy snajper? Całkiem możliwe, ale nie był *moim* planem B. Szczerze mówiąc, nie przyjrzałem mu się dokładnie. Czapka. Ciemne okulary. Siatka kamuflująca narzucona na czapkę. Poszedłem w tamto miejsce, z którego musiał strzelać.

– Znalazłeś coś?

Uśmiechnął się.

– Nic a nic. Nawet przydeptanego źdźbła trawy. Żadnych łusek ani śladów w śniegu poniżej, między skałami. Nic, zupełnie. To była zjawą.

Pokręciła głową.

– Jaki magik umie trafić z takiej odległości? Od krawędzi klifu dzieliło go co najmniej sześćset metrów.

– Dokładnie osiemset szesnaście metrów – sprecyzował Michael. – Thomas Berg miał w plecaku dalmierz.

– Osiemset metrów? – niedowierzała.

Potwierdził i zapalił papierosa.

– Zdolna bestia.

– Myślisz, że Henrik Schmidt jeszcze wróci? – spytała. – Tego boję się najbardziej. Że on już zawsze gdzieś tam będzie.

– *Fuck...* Lene. Tego nie wiem. Ale obstawiam, że trafili do piekła i tam zostaną. Ty wiesz, że postąpiłaś słusznie, i ja też tak uważam. Gdyby zrobili moim dzieciom to, co Josefine, postąpiłbym dokładnie tak samo. I byłbym wdzięczny, gdyby pozwolono mi wymierzyć karę osobiście. Henrika posłałiby na przymusowe leczenie, a ty musiałabyś się bać, że on gdzieś tam jest, bo naprawdę by był. Tak jest lepiej, przysięgam.

– Co powiem po powrocie?

– W sensie w biurze?

– Tak.

– Nic.

– Michael, nagłe zniknięcie założyciela jednego z największych duńskich koncernów oraz jego syna zostanie zauważone.

Powiódł wzrokiem po milczących ośnieżonych szczytach po drugiej stronie fiordu, których nieskończone pasmo ciągnęło się też po drugiej stronie horyzontu.

– Sama powiedziałaś, że tutaj można zgubić armię. Więc pewnie da się też zgubić małą grupę turystów i myśliwych.

Zgodzili się na kompromis i Michael wstukał w telefon satelitarny numer Elizabeth. Odebrała od razu, a połączenie było idealne.

Jego mocodawczyni czuła się usatysfakcjonowana finałem. Linia była nieszyfrowana, więc unikał nazywania czegokolwiek wprost, ale pokrótce wyjaśnił jej, na czym stoją i w jej głosie coraz wyraźniej dało się wyczuć ulgę i wdzięczność. Oczywiście, że przyśle po nich czarterowy helikopter, który ich zawiezie, dokąd tylko zechcą. Michael powiedział, że chodzi jedynie o jakieś czterdzieści kilometrów do parkingu.

Oddzwoniła po dziesięciu minutach. Mówiła rzeczowo, choć nie zdołała ukryć napięcia. Elizabeth Caspersen była jak zawsze skuteczna i oszczędna w słowach.

– Półtorej godziny – powiedziała.

– Dzięki – powiedział.

– Michael, to bardzo dobre wieści – dodała. – Najlepsze.

– Zatem jest tak, jak sobie życzyłeś? – spytał.

– Na to wygląda – odpowiedziała po chwili namysłu. – Znalazłeś tam coś?

– Nic.

– Nic? – upewniła się.

– Nic.

– Hm... w porządku. Helikopter jest w drodze.

– Dzięki.

– Myślę, że powinniśmy wrócić do Kopenhagi jednym samochodem – stwierdziła Lene, która jednym uchem słuchała jego rozmowy.

– W takim razie wracamy audi – postanowił Michael.

– Okej. – Popatrzyła na telefon w jego dłoni. – Ufasz jej?

Michael zapalił papierosa, jednego z czterech, jakie mu zostały i położył się na karimacie z głową na przedramieniu.

– Jeśli ten helikopter rzeczywiście się tu zjawi, to chyba nie mam powodu narzekać – odparł wymijająco.

– Ale czy jej ufasz?

– Nie uważasz, że to bez znaczenia? Jeśli pytasz, czy jest w stanie zachować dyskrecję, to ufam jej bezwarunkowo. Natomiast jeśli chcesz wiedzieć, czy moim zdaniem ona od początku miała jakiś ukryty cel i posłużyła się mną, żeby go osiągnąć, i nigdy tak naprawdę nie przedstawiła mi pełnego obrazu sytuacji, to tak, nie mam ku wątpliwości. Elizabeth Caspersen nie jest po prostu skruszoną córką, która z czystego poczucia przyzwoitości postanowiła odkupić grzechy ojca.

– I nie wkurza cię, że zostałeś wykorzystany w ten sposób?

Michael popatrzył na nią dziwnie i się roześmiał. Siedziała z chorą nogą wyprostowaną przed sobą, a drugą przyciągnęła do piersi. Brodę opierała o kolano i obiema rękami ostrożnie masowała mięśnie wokół rany. W rzeczach Victora Schmidta znalazł nieźle zaopatrzoną apteczkę, więc dokładnie oczyścił i zdezynfekował ranę. Gdy to robił, Lene przygryzała wargi aż

do krwi. Na koniec dał jej garść ibuprofenu i paracetamolu oraz antybiotyk o szerokim spektrum. Okazało się, że nie jest fanką łykania tabletek.

– Z czego się śmiejesz? – zdziwiła się.

– Lene. Dostaję za to pieniądze. To moja praca. Gdybym pracował dla laureatów Pokojowej Nagrody Nobla albo wszystkich świętych, to nie miałbym za dużo do roboty.

– Przecież to nieprawda – zaprotestowała z lekkim uśmiechem. – Gdybyś rzeczywiście miał do tego tak chłodne, zawodowe podejście, to nie zabrałbyś mnie ze sobą. Zostawiłbyś mnie związaną i zakneblowaną w stancy harcerskiej. Nie martwiłbyś się o moją córkę, nie dzwoniłbyś do domu i na pewno nie ryzykowałbyś życia, schodząc w dół tego klifu, bo przecież to nie miało żadnego znaczenia, czy coś tam było czy nie. Dla twojej misji to było obojętne. Oni i tak by się tam pojawili. I nie opłakiwałbyś swojego...

– Wystarczy! – ostrzegawczo podniósł rękę z papierosem i Lene zamilkła. – Zostaw mnie w spokoju, chociaż na chwilę. – Zamknął oczy i dodał:

– Nie jestem po prostu tak profesjonalny, jak bym chciał. Jeszcze nie.

– Mam nadzieję, że nigdy się taki nie staniesz – rzuciła na koniec.

– Okej, a teraz możemy się na chwilę przymknąć? Oboje? *Please?*

– Możemy. Znalazłeś coś tam, w dole? O co chodziło z tą głową?

Michael usiadł i popatrzył na nią z wściekłością. Potem wstał i nie racząc jej ani słowem, ani spojrzeniem, zaczął zwijać ich obóz.

Godzinę później usłyszeli, jak od strony fiordu Porsanger nadlatuje helikopter.

Trzy dni później Michael znowu siedział za biurkiem w tym samym pokoju co zwykle w Hotelu Admiral. Dywan w korytarzu został wymieniony. Nie miał ze strony administracji hotelu żadnych nieprzyjemności. Zero wyrzutów czy żądań rekompensaty. Recepcjonistka była uprzejma jak zawsze. Michael podejrzewał, że skoro regularnie nocowały tu gwiazdy rocka i raperzy, to pewnie nic z tego, co tu nawyrabiał, nie mogło się równać ze skalą zniszczeń i spustoszeniem, jakie zostawiały w hotelu aktualne bożyszczą tłumów, poniekąd zobowiązane do wandalizmu swoim niepokornym wizerunkiem. Mimo to było mu głupio, więc wręczył zarówno recepcjonistce, jak i wszystkim, z którymi miał tu do czynienia, wyjątkowo hojne napiwki.

Zresztą miał na to pieniądze. Sara zadzwoniła przed południem lekko przerażona ogromnymi kwotami, jakie wpłynęły na jego firmowe konto. Księgowy aż nucił pod nosem, kiedy jej o tym mówił. Elizabeth Caspersen uznała najwyraźniej, że poza ustalonym wynagrodzeniem i zwrotem poniesionych kosztów zasłużył na coś w rodzaju premii. Siedmiocyfrowej. To jest siedmiocyfrowy knebel, powiedział żonie, ale go nie słuchała.

Nie mogła się doczekać, aż go zobaczy.

– Nie mogę się doczekać, aż cię zobaczę – powiedział.

– A dzieci? – spytała przekornie.

– Pieprzyć dzieci. *Ciebie* nie mogę się doczekać – powtórzył.

W jej głosie usłyszał uśmiech.

– To miłe. Więc kiedy będziesz?

– Jutro.

– Dopiero?

– Zostało mi tu jeszcze parę spraw. Drobiazgi, ale ważne.

– To do jutra – powiedziała. – Poznam cię?

– Po uszach – odparł.

Elizabeth odwiedził poprzedniego dnia w caspersen'skim pałacu w Helle-
rupie. Jej czarny opel stał przed schodami, ale garaż był pusty. Zniknęły
maserati, mercedes i rolls-royce. Pusta była również ściana nad schodami w
holu. Po portrecie Flemminga Caspersena został jasny prostokąt. Michael
pomyślał, że pan domu jest systematycznie ze swego domu wymazywany.

W zaciemnionej sypialni Klara Caspersen nadal jęczała żałośnie, a pielę-
gniarka ściszym głosem próbowała ją uspokoić. Światło w bibliotece
oraz widok z okna też były równie spektakularne jak poprzednim razem, ale
zniknął wypchany niedźwiedź i zdjęcie ze spływu kajakowego w Szwecji.
Wieczne lato się skończyło.

– Wprowadzisz się tu? – spytał.

– Wolalabym umrzeć – prychnęła i usiadła. – Siadaj.

Michael zajął miejsce w fotelu obok adwokatki. Miała na sobie dopaso-
wany garnitur w prążki i białą jedwabną bluzkę ze stójką. Jej twarz nie wy-
rażała żadnych emocji.

– Odrosną? – spytała.

– Co?

– Włosy.

Przesunął dłonią po krótkiej szczecinie. Miał na dłoniach świeże opa-
trunki. Chirurg plastyczny przejawiał optymizm. Jego stanem Michael nie
odniósł trwałych uszkodzeń.

– Tak mówią.

– Oby mieli rację – stwierdziła i dotknęła perłowego naszyjnika. – Ładne
były. Twoje włosy.

– Dziękuję.

Michael wyjrzał przez okno. Czegoś mu tam brakowało.

– A gdzie pies? – spytał.

– Murzyn? Musiałam go uśpić. Niestety. Ludzie się skarżyli. Michael?
Odwrócił się do niej.

– Tak?

Lekko się zaczerwieniła.

– To był on?

– To był on.

Na chwilę zamknęła oczy i zapadła się w fotel.

– Dlaczego?

Michael zapalił papierosa i ją poczęstował. Zawahała się, ale wyjęła jed-
nego, wstała, przyniosła popielniczkę i postawiła ją na podłokietniku fotela.

– Próbuję rzucić – wyjaśniła. – Znowu.

– Ja też – postanowił. – Moim zdaniem przewodnikiem był Henrik Schmidt. Możliwe, że sam pomysł wyszedł od twojego ojca, ale to Henrik wszystko zorganizował, założył Running Man Casino do rozliczeń i to on sprawdzał klientów. Wydaje mi się, że w pewnym momencie uznali, że równie dobrze mogą zacząć zarabiać na swojej ulubionej rozrywce. Oni wszyscy, twój ojciec, Victor i Henrik, we wszystkim szukali okazji do robienia interesów.

– Ale dlaczego? – powtórzyła.

– Henrik to psychol. Książkowy psychopata. A przy tym za wszelką cenę pragnął być jak najbliżej zarówno twojego, jak i własnego ojca. Chciał coś znaczyć dla nich obu i dla każdego z nich na własny sposób. I chciał prześcigać we wszystkim swojego brata. Kto wie, czy właśnie to nie stanowiło dla niego największy motor do działania. – Gdy skończył, popatrzył na nią i dodał: – Tak w ogóle, dzięki za pomoc. Już było po nas. Zdemaskowali Keitha, a raczej Henrik tego dokonał. Jego zabili od razu.

– Bardzo ci współczuję, Michaelu.

– Jak udało ci się namówić Jakoba, żeby nam pomógł?

Zmrużyła oczy i zanim odpowiedziała, przyglądała mu się przez chwilę.

– To oportunistą. Przy całej swojej złożoności. Sam widział, do czego zmierza to, co robił jego brat i... Victor.

– Przyrodni brat, chciałaś powiedzieć.

– Tak, oczywiście.

– Elizabeth, myślę, że to nie jest całe wytłumaczenie.

Zamrugnęła, a potem się uśmiechnęła. Szczerze.

– Spostrzegawczy jesteś. Chodziło o dziewczynę. To Henrik mu ją odebrał. Z zazdrości. Kochał brata i go nienawidził, bo Jakob był zawsze pupilkiem mojego ojca i Victora, chociaż to on, Henrik, harował dla nich dzień i noc i zawsze robił i mówił to, czego od niego oczekiwano.

– A tą dziewczyną była Johanne Reimers?

– Tak. Jakob poznał ją w Nepalu. Zakochał się, ale wtedy był jeszcze w wojsku. I wrócił do Afganistanu.

– A Henrik się o niej dowiedział?

– Byli sobie bliscy. Więc tak, oczywiście, że opowiedział o niej Henrikowi, który następnie zorganizował wyprawę razem z kolegami z zamku. Możliwe, że to była ich pierwsza taka wycieczka i że po niej Henrik wpadł na pomysł, by zająć się tym na poważnie. Przywiozłam tamto CD ze sta-

nicy i zadzwoniłam do Jakoba. Opowiedziałam mu o Nepalu i pokazałam film. Zmotywowałam go, można by rzec.

– I współrzędne do miejsca w Porsanger też mu podałaś?

– To było jedyne, o co poprosił. Jest bystry.

Michael przytaknął:

– Niesłychanie bystry i ma talent. Ale dlaczego mi nie powiedziałaś, że on tam jest?

– No tak, pewnie mogłam ci powiedzieć. Z drugiej strony przecież nie miałam pojęcia, czy w ogóle będzie musiał cokolwiek robić. Może tylko by obserwował wszystko z daleka, a potem spokojnie wrócił do domu. Może twoje zachowanie byłoby mniej naturalne, gdybyś wiedział, że on tam jest. Może oni nie czuliby się mniej pewnie.

– I może mógłby zastrzelić Thomasa, zanim ten zamordował Keitha Mallory'ego – dopowiedział Michael lodowatym tonem.

– Możliwych scenariuszy jest tu mnóstwo. Postąpiłam najlepiej, jak umiałam. Niestety nie jestem w stanie zdalnie wszystkim kierować.

Wbiła wzrok w szybę i Michael wyczuł w niej niezłomność i stanowczość, które powinien był zauważyć już dawno.

– Masz rację, Elizabeth. Przepraszam. Jakob uratował nam życie. To pewne. I za to ci dziękuję.

– Znalazłeś je? – zmieniła temat.

Wyjął z kieszeni DVD i jej wręczył.

Trzymała płytę dwoma palcami.

– I nie zrobiłeś kopii? – Uśmiechnęła się, jakby tylko się droczyła.

– Nie.

Pokiwała głową i knykcie jej zbielały, gdy przełamała płytę. Zrobiła to z niemal błogim wyrazem twarzy.

– Tak się cieszę – powiedziała. – Dziękuję.

– Nie ma za co. – Też spróbował się uśmiechnąć. – To przecież twoja własność, prawda?

– O czym ty mówisz?

– Od początku mnie zastanawiało, dlaczego na płycie były tylko twoje odciski palców. Czy jej właściciel wytarłby własne? I czy trzymałby taki materiał we własnym domu?

Dziedziczka rodu uśmiechnęła się lekko, ale unikała jego wzroku.

– To ciekawa teoria, Michaelu. Naprawdę ciekawa. Jedna z tych, których nigdy nie uda się potwierdzić ani obalić.

– Tak, na to wygląda.

Wstała i on też wstał.

– Chętnie polecę cię znajomym, jeśli się zgodzisz – zaproponowała. – Znajomym z naprawdę wyjątkowymi problemami.

– Tak, śmiało. Chociaż nie muszą to być problemy aż tak wyjątkowe.

– No wiesz, kłopotów się nie wybiera – zauważyła.

Michael wyciągnął rękę.

– A pliki?

Elizabeth zmrużyła oczy.

– Na co ci one?

– Chcę po prostu zaspokoić własną ciekawość. Postawić kropkę.

– Michael, nie chcę ich kiedyś zobaczyć na YouTube – zastrzegła i położyła mu na dłoni mały dysk USB.

– Jasna sprawa. Skasuję je, gdy tylko z nimi skończę. A w ogóle jak sobie z tym radzisz?

– Z czym?

– Z tym, że twój ojciec... że on...

– Mordował ludzi?

Widział jej twarz z profilu na tle szarych okien. Światło było przyjemne, przygaszone, ładnie wygładzało kontury. Nieobecny wzrok wbiła w odległy punkt gdzieś na morzu. Pod cienką skórą na szyi widział jej powolny puls.

– Tak. Z tym, że mordował ludzi – potwierdził.

– Dziwne, ale myślę, że to nie ma znaczenia – wyznała. – Już nie. W każdym razie nie takiego, jak by mogło.

– No tak. A drogo wyszło?

– Co?

– Wynajęcie ludzi, którzy się tu włamali i ukradli te rogi? Rozumiem, że również dlatego nigdzie nie było psa, Murzyna.

Na jej twarzy nie dostrzegł żadnej reakcji. Stwierdził, że jest fenomenalna.

– Okazało się, że była to usługa po kosztach. Żegnaj, Michaelu.

– A nie: do widzenia?

– Nie sądzę. Chyba że zrobiłbyś coś bardzo głupiego, a o to cię nie podejrzewam.

– Ostanía sprawa.

– Mam nadzieję, że naprawdę ostatnia.

– Co zamierzasz zrobić z Tove Hansen i bliźniakami?

Elizabeth z powagą pokiwała głową:

– Nadal bardzo mi zależy na tym, aby im pomóc. Niczego im nie zabraknie. Nigdy. Dzieci zostaną uwzględnione w testamencie anonimowego bogacza. Takiego, który sam nie miał potomstwa ani innej rodziny. Czytał o zaginięciu ich rodziców i ich historia mocno nim wstrząsnęła.

– Znakomicie – skwitował Michael i wyszedł z wielkiego pustego domu.

Wsunął USB Elizabeth Caspersen do swojego komputera i w najwyższej rozdzielczości otworzył pierwsze zdjęcie. Znał je na pamięć: pięciu żołnierzy na afgańskiej pustyni. Kim Andersen, Kenneth Enderlein, Robert Olsen, Allan Lundkvist i kawałek dalej Thomas Berg. Młodzi wojownicy. Zdjęcie było zapisane również na CD Andersena.

Szarpnął się na profesjonalny program do obróbki zdjęć i wyciął fragment: lustrzane okulary Oakley Roberta Olsena. Następnie wyciął jedno szkło i powiększył. I powiększył jeszcze bardziej, i jeszcze.

Serce szybciej mu zabiło. Lundkvist powiedział Lene, że zdjęcie było zrobione samowyzwalaczem, ale ta informacja, podobnie jak wszystkie inne w tej historii, oczywiście okazała się kłamstwem.

W okularach Olsena widać było odbicie fotografa, szóstego żołnierza trzymającego aparat zasłaniający połowę – ale tylko połowę – twarzy. Jego pustynny kapelusz leżał na ziemi obok karabinu, miał na sobie koszulkę w kolorze piaskowym i luźne spodnie moro.

Jakob Schmidt.

Michael zamknął zdjęcie i otworzył następny plik. Było to nagranie z handlarzami narkotyków z Musa Qala. Stukał w klawiaturę aż dotarł do momentu, w którym ten wyższy i bystrzejszy wyciągnął oskarżycielsko palec w kierunku humvee i kadr się poruszył. Zatrzymał obraz i przyjrzał mu się milimetr po milimetrze. W grubej, kuloodpornej szybie bocznych drzwi widać było zielonkawy błysk. Michael wycinał i powiększał, znów wycinał i znów powiększał, aż odchylił się w krzesło, wwiercając się wzrokiem w ekran.

To również Jakob sfilmował całą wymianę i zabójstwo szmuglerów z wnętrza wozu opancerzonego. Jego odbicie było widoczne w szybie.

Kameleon. Zjawa.

Michael wstał, otworzył drzwi balkonowe i zapalił. Do pokoju wpadło morskie powietrze. Zmarszczył brwi i przypomniał sobie tamten wieczór, gdy Henrik Schmidt zaatakował go tu, w tym pokoju, i zabrał DVD Eliza-

beth Caspersen, a potem Jakob zaskoczył go zakrwawionego w łazience. Powiedział wtedy coś o stawianiu na zwycięskiego konia. A Elizabeth opisała go jako oportunistę po trupach zmierzającego do celu.

Michael podszedł do biurka i zamknął komputer. Postanowił, że jeszcze nie skończył z Jakobem Schmidtem. Że kiedyś go odnajdzie.

Potem popatrzył na odbicie swojej poważnej twarzy w zamkniętych drzwiach balkonowych. Tęsknił za domem. Naprawdę. Ale już wiedział, że będzie mu brakować również tej sprawy. Adrenaliny. Dociekania. Przeciwności. Pościgu. Nawet tej gburowatej, niemożliwie upartej komisarz, którą dziś rano odprowadził na lotnisko Kastrup. Żadna siła nie mogła jej dłużej trzymać z dala od córki.

Pożegnali się czymś w rodzaju cmoknięcia i kilkoma niewyraźnymi słowami przed ruchomymi schodami w hali odlotów. Ale potem, na górze odwróciła się jeszcze i pomachała do niego. Bez uśmiechu.

Nawet się do niej przyzwyczał. Tak, jak człowiek się przywyka do dziwactw własnego psa albo kota.

Westchnął, odwrócił się od balkonu i zaczął się pakować.

Epilog

Trzy tygodnie później

Elizabeth Caspersen odwróciła się, kiedy młoda kobieta stojąca w drzwiach jej biura odchrząknęła. Adwokatka uśmiechnęła się i zaprosiła gošcinie do środka:

– Usiądź, Louise.

Kobieta usiadła w jednym z foteli i założyła nogę na nogę. Elizabeth uważnie jej się przyjrzała. Louise zmieniła się w ciągu tych paru tygodni, od kiedy widziały się po raz ostatni. Jej skóra była promienista i zadbana. Ciemne kręcone włosy zawsze wyglądały zjawiskowo, ale teraz burzę loków zastąpił długi bob.

Louise Andersen pokazała ręką na kartony.

– Pakujesz się – stwierdziła.

Elizabeth pokiwała głową, wyjęła z szuflady ostatnie papiery i włożyła je do jednego z kartonów. Potem starannie owinęła folią bąbelkową zdjęcie męża i córek i położyła na wierzchu.

– Awansowałam – wyjaśniła. – A raczej dostałam to, co mi się należało.

Louise się uśmiechnęła.

– Elizabeth, zostałam przewodniczącą zarządu w Sonarteku. Uważasz, że to ci się należało?

Prawniczka, również z uśmiechem, odparła:

– W jakimś sensie tak. A ty się nie pakujesz?

– Nie mam za wiele do pakowania. Większość rzeczy spłonęła.

– No tak. Kiedy wyjeżdżacie?

– W poniedziałek. Na razie na miesiąc. Zawsze chciałam odwiedzić Szwajcarię. Myślę, że przy mojej astmie alpejskie powietrze dobrze mi zrobi.

Elizabeth usiadła za biurkiem, pochyliła się i odsunęła na bok karton, który właśnie pakowała.

– Twój bank to Allgemeine Geneve. A twoim doradcą jest doktor Steinschweiger. Pamiętaj, żeby zwracać się do niego per *Herr Doktor*. Oni tam są bardzo wyczuleni na punkcie tytułów. To niewielki, bardzo dyskretny bank, z którego zresztą korzysta również Sonartek. Są z nas zadowoleni i właściwie zrobią dla nas wszystko.

– Dziękuję.

Elizabeth Caspersen uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– To ja dziękuję, Louise. Gdybyś nie znalazła tych nagrań z Norwegii i pozostałych, z Himalajów i Afganistanu, i gdybyś do mnie z nimi nie przyszła, nie byłabym tu, gdzie teraz jestem. Na pewno nie w Sonarteku, a możliwe, że w ogóle nigdzie. Więc ile bym ci nie zapłaciła, to zawsze będzie za mało. DVD i pozostałe filmy z kryjówki twojego męża okazały się dostatecznie mocne, żeby zainteresować sprawą Lene Jensen i Michaela Sandera, którzy tak długo naciskali na moich przeciwników, aż tamci popełnili błąd. Wiedziałaś, że twój mąż popełni samobójstwo?

Wdowa wyjrzała przez okno. Jej twarz wyrażała spokój.

– Był mordercą. Nie wiem, ile osób zabił z tą swoją bandą, i nie chcę wiedzieć. Ale nasze dzieci kochał. Nie miałam wątpliwości, jak zareaguje, gdy usłyszy tę piosenkę i zobaczy naboje. Wcześniej sam mówił, że jesteś jedyną normalną osobą na tym zamku, więc kiedy się zorientowałam, że to całe towarzystwo było właśnie stamtąd, wiedziałam również, do kogo się zwrócić.

Elizabeth pokiwała głową:

– I jak mówię, jestem ci za to do zgonnie wdzięczna. Na marginesie: Sander nie uwierzył w tę kradzież rogów. W to, że to był Kim.

Louise Andersen zmarszczyła czoło:

– Jak to? Przecież specjalnie włożyłam do jego plecaka plan waszego domu, tak jak mnie prosiłaś. Nie mógł go nie znaleźć.

– Znalazł, ale Victor albo któryś z pozostałych musieli go w jakiś sposób przekonać, że Kim nie mógł w tym uczestniczyć.

Machnęła ręką.

– To teraz bez znaczenia. To był tylko detal, który w tamtym momencie wydawał mi się niezbędny.

– A oni nie będą mnie ścigać? – spytała młoda wdowa. – Michael Sander albo ta policjantka?

Adwokatka bacznie jej się przyjrzała.

– Dlaczego by mieli? Nie mają żadnych informacji, które naprowadziłyby ich na ten trop. Louise, nie zrobiłaś niczego złego. Przeciwnie. Ty to powstrzymałaś. Powinnaś być z siebie dumna. Sander zresztą robi tylko to, za co mu płacą, a nikt mu nie zapłaci za nękanie ciebie.

Kobieta niepewnie pokiwała głową.

– Jasne. Dziękuję.

Adwokatka położyła dłoń na ramieniu młodej kobiety. Jej zapach podobiał jej się tak, że sama mogłaby go używać.

– A co powiedziały dzieci na pomysł ze Szwajcarią?

– Narty!

Elizabeth się roześmiała.

– To cudownie.

Podziękowania

Dziękuję następującym osobom za bezcenne informacje: magister psychologii Vibeke Schmidt, głównej psycholożce z Instytutu Psychologii Wojskowej, doktor Dorte Sestoft z kliniki psychiatrii kryminalnej przy Ministerstwie Sprawiedliwości, majorowi i lekarzowi Danowi Volderowi oraz młodszej aspirantce Nai Svarre. Ewentualne błędy faktograficzne lub nieścisłości są wyłącznie winą autora.

o książce *Trofeum*

Kiedy Elizabeth Caspersen znajduje płytę DVD w sejfie swojego zmarłego ojca, zwraca się o pomoc do prywatnego detektywa, Michaela Sander, o rozwikłanie rodzinnej zagadki. Nagranie przedstawia brutalną, cyniczną i szczegółowo zaplanowaną obławę na tle arktycznego krajobrazu, a w polowaniu, które kończy się śmiercią młodego mężczyzny uczestniczy jej ojciec. Elizabeth obawia się, że odnaleziony przez nią film może zaszkodzić rodzinie oraz zszargać opinię jej ojca. Kobieta prosi Michaela Sander, byłego policjanta i żołnierza, żeby przyjrzał się tej sprawie.

W czasie dochodzenia Michael Sander nawiązuje skomplikowaną współpracę z komisarz Lene Jensen, która prowadzi śledztwo dotyczące tajemniczego samobójstwa pewnego weterana wojennego. Dwójka bohaterów staje się częścią osobliwego świata, w którym grupa myśliwych, weteranów z Bałkanów i Afganistanu oraz bogatych biznesmenów, dla zabawy uczestniczy w polowaniach na ludzi.

W pogoni za prawdą, kryjącą się za tym tajemniczym ludzkim safari, Michaelowi i Lene przyjdzie niebawem walczyć o swoje własne życie. Z przeżeniem odkrywają bowiem, że sami stali się zwierzyną łowną w następnej rundzie tej chorej gry.

„Trofeum” to pierwsza część nordyckiej serii thrillerów o prywatnym detektywie Michaelu Sanderze i komisarz Lene Jensen autorstwa Steffena Jacobsena.

Przypisy

- [1] Opowiadanie *On the Blue Water* opublikowane w dwumiesięczniku „Esquire” w 1936 roku. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.
- [2] Tu: Cicho, oboje! (szw.)
- [3] Tu, ze zniecierpliwieniem: proszę cię (szw.).